

WYNIOSŁA WIEŻA



BARBARA
TUCHMAN



Barbara w. Tuchman

Wyniosła wieża

Świat przed pierwszą wojną

1890 - 1914

Przełożyła Janina Zawadzka

Tytuł oryginału: The Proud Tower

**Gdy śmierć patrzy z wyniosłej wieży
na miasto, które w dole leży.**

Edgar Allan Poe: Miasto w morzu

Podziękowania

Cecilowi Scottowi z The Macmillan Company, uczestniczącemu w pracy przy tej książce od pierwszego jej szkicu aż do końca, jestem jako autorka szczególnie wdzięczna za stałe towarzyszenie w charakterze zainteresowanego czytelnika i za konstruktywną krytykę przez cały czas, połączone z zachętą w chwilach, kiedy było to potrzebne.

Za rady, sugestie i odpowiedzi na pytania wdzięczna jestem Rogerowi Butterfieldowi, autorowi *The American Past*; profesorowi Fritzowi Epsteinowi z Uniwersytetu Indiany; Louisowi Fischerowi, autorowi *The Life of Lenin*; profesorowi Edwardowi Foxowi z Uniwersytetu Cornelia; K. A. Goldingowi z Międzynarodowej Federacji Pracowników Transportu w Londynie; Jayowi Harrisonowi z Archiwów Kolumbii; Johnowi Gutmanowi z Metropolitan Opera; George'owi Lichtheimowi z Instytutu Zagadnień Komunistów Uniwersytetu Kolumbii; Williamowi Manchesterowi, autorowi *The House of Krupp*; profesorowi Arthurowi Marderowi, wydawcy listów sir Johna Fischera; George'owi Painterowi, biografowi Prousta; A. L. Rowse'owi, autorowi przedmowy do dzieł Grahama Wallasa; Helen Ruskell i personelowi New York Society Library; Thomasowi K. Schermanowi, dyrektorowi Little Orchestra Society; Janice Shea za informacje o cyrku w Niemczech; profesor Rebie Soffer z San Fernando Valley State College za informacje o Wilfredzie Trotterze; Josephowi C. Swidlerowi, prezesowi Federalnej Komisji ds. Energii, i Louisowi Untermeyerowi, wydawcy, między innymi, *Modern British Poetry*. Równą wdzięczność odczuwam wobec wielu innych, którzy ustnie udzielali mi pomocy, a których nazwisk nie zanotowałam.

Za pomoc w znalezieniu kilku ilustracji wdzięczna jestem A. J. Ubelsowi z Archiwów Królewskich w Hadze; personelowi Działu Sztuki i Druków Biblioteki Publicznej w Nowym Jorku; oraz Harry'emu Collinsowi z Brown Brothers i jego żonie.

Pragnę wyrazić szczególne podziękowania dwóm niestrudzonym korektorom, Jessice Tuchman i Timothy'emu Dickinsonowi, za poprawki i korektę, a także Esther Bookman, która bezbłędnie przepisała rękopisy zarówno tej, jak i mojej poprzedniej książki, Sierpniowe salwy.

Barbara W. Tuchman

Przedmowa

Epoka, której ostatnie lata są tematem tej książki, nie zmarła na uwiad starczy ani wskutek wypadku, lecz zakończyła się wybuchem gwałtownego kryzysu, będącego jednym z ważkich wydarzeń historycznych.

O kryzysie tym nie ma żadnej wzmianki w dalszym tekście, gdyż się jeszcze wtedy nie wydarzył i nie dotknął osób występujących w tej książce. Staralam się ograniczyć do tego, co w owym okresie było wiadome.

Wojna 1914-18 dzieli tamtą epokę od naszej jak szeroki pas wypalanej ziemi. Pozbawiła życia wielu ludzi, którzy byliby aktywni w późniejszych latach, a innym odebrała wiarę, zmieniła poglądy i na zawsze pozbawiła złudzeń, tworząc tym samym nie tylko fizyczną, ale i psychiczną przepaść między dwiema epokami. Książka ta jest próbą zrozumienia i określenia świata, z którego zrodziła się pierwsza wojna światowa.

Nie jest to książka, jaką zamierzałam napisać, kiedy zasiadłam do pracy. Głębsze badania wykazały, że przyjęte z góry założenia muszą odpaść jedno po drugim. Okres ten był złotym wiekiem czy Belle Epoque jedynie dla cieniutkiej warstwy klasy uprzywilejowanej. Nie charakteryzowała go wyłącznie ufność, dobrobyt, stabilność, bezpieczeństwo i pokój. Owszem, wszystkie te cechy z pewnością istniały. Ludzie mieli większe niż obecnie zaufanie do wartości i wzorców, byli bardziej prostoduszni w tym sensie, że pokładali większe nadzieje w ludzkości, lecz nie byli spokojniejsi ani też, z wyjątkiem nielicznych u szczytu, nie żyli w większym dobrobycie. Błędem z naszej strony jest niedostrzeżenie, że istniały wtedy również zwątpienie i strach, ferment, protest, gwałt i nienawiść. Ludzie z tego okresu sami wprowadzili nas w błąd, bo patrząc wstecz przez otchłań wojny widzą tę pierwszą połowę swego życia w złocistej mgiełce pokoju i bezpieczeństwa.

Kiedy tkwili w środku tego okresu, nie wydawał się taki złoty. To ich wspomnienia i ich nostalgia ukształtowały nasze poglądy na epokę przedwojenną, mogę jednak zapewnić czytelnika na podstawie dokładnych badań, że wszystkie wypowiedzi ludzi tej epoki pełne zachwyty dla jej uroków wygłoszone zostały po roku 1914.

Zjawisko o tak przewlekłym i złośliwym działaniu jak pierwsza wojna

światowa nie rodzi się ze złotego wieku. Może powinno to być dla mnie jasne, kiedy zaczynałam pisać, ale nie było. Czułam jednak, że geneza wojny nie leżała w tzw. *Grosse Politik*, w tym, co Izwolski powiedział do Aehrenthala, a sir Edward Grey do Poincarego, w tym zagmatwanym łańcuchu traktatów gwarancyjnych, dwu-i trój przymierzy, w kryzysach marokańskich i bałkańskich, które historycy śledzili tak mozolnie w poszukiwaniu źródeł. Zbadanie tych wydarzeń i wzajemnych stosunków było konieczne i my, którzy przychodzimy potem, wiele owym badaczom zawdzięczamy, ale ich praca została już wykonana. Zgadzam się z Sergiuszem Sazonowem, rosyjskim ministrem spraw zagranicznych w chwili wybuchu wojny, który po szeregu badań wykrzyknął wreszcie: „Dosyc tej chronologii!” Podejście od strony *Grosse Politik* zostało wyczerpane. Ponadto wprowadza ono w błąd, ponieważ pozwala nam cieszyć się iluzją, że to „oni”, nieznośni mężowie stanu, są zawsze odpowiedzialni za wojnę, a „my”, niewinni ludzie, zostajemy tylko wciągnięci. Jest to wrażenie błędne.

Tak zwane źródła dyplomatyczne pierwszej wojny światowej są tylko wykresem temperatury pacjenta; nie mówią nam, co tę temperaturę spowodowało. Ażeby odnaleźć głębsze przyczyny i ukryte siły, trzeba poruszać się w obrębie całego społeczeństwa i starać się poznać, czym kierowali się ludzie w tym społeczeństwie. Starałam się skoncentrować raczej na społeczeństwie niż na państwie. Polityka władzy i rywalizacja ekonomiczna, choć ważne, nie są moim tematem.

Okres objęty tą książką to kulminacja stulecia, w którym zmiany następowały szybciej niż kiedykolwiek w dotychczasowej historii ludzkości. Po wojnach napoleońskich — ostatniej eksplozji powszechnej wojowniczości — rewolucja przemysłowa i naukowa przeobraziła świat. Człowiek wszedł w wiek dziewiętnasty posługując się jedynie energią własną i zwierzęcą, uzupełnianą siłą wiatru i wody, podobnie jak wszedł w wiek trzynasty, a nawet pierwszy. W wiek dwudziesty wszedł — dzięki energii maszyn — z powiększonymi tysiącrotnie możliwościami w dziedzinie transportu, komunikacji, produkcji, przemysłu i zbrojeń. Społeczeństwo przemysłowe obdarzyło człowieka nową siłą i nowym polem działania, stwarzając jednocześnie nowe napięcia poprzez dobrobyt i ubóstwo, przez przyrost ludności i przeludnienie miast, przez antagonizmy klasowe i grupowe, przez oderwanie się od przyrody i utratę zadowolenia z pracy. Nauka obdarzyła człowieka nowym dobrobytem i nowymi horyzontami, ale odebrała mu wiarę

w Boga i poczucie pewności w znanym porządku rzeczy. Wychodząc z dziewiętnastego wieku człowiek miał tyleż nowych powodów do zadowolenia, co do niepokoju. Chociaż termin *fin de siecle* oznacza zazwyczaj dekadencję, społeczeństwo na przełomie wieków w istocie nie tyle chyliło się ku upadkowi, co pękało wskutek nowych napięć i nagromadzonej energii. Stefan Zweig, który w roku 1914 miał trzydzieści trzy lata, uważał, że wybuch wojny „nie miał nic wspólnego z ideami i nawet niewiele z granicami. Da się on wytłumaczyć jedynie tą nadwyżką siły, tragiczną konsekwencją wewnętrznego dynamizmu, który nagromadził się w ciągu czterdziestu lat pokoju i szukał teraz gwałtownie ujścia”.

Metoda, jaką zastosowałam próbując przedstawić świat przed wojną, może się wydawać bardzo selektywna. Kończąc tę książkę, mam świadomość, że mogłaby być napisana na nowo pod tym samym tytułem z zupełnie odmienną tematyką i jeszcze trzeci raz, wciąż bez powtarzania. Mogłyby tam być rozdziały o literaturze tego okresu, o wojnach — chińsko-japońskiej, hiszpańsko-amerykańskiej, burskiej, rosyjsko-japońskiej, bałkańskiej — o imperializmie, o nauce i technologii, o handlu, o kobietach, o monarchach, o medycynie, o malarstwie, o tylu różnych dziedzinach, które mogą interesować poszczególnych historyków.

Mogłyby tam być rozdziały o Leopoldzie II, królu Belgów, Czechowie, Sargencie, o koniu lub o koncernie U.S. Steel. Wszystko to znajdowało się w moim pierwotnym planie. Miał tam też być rozdział o zwykłym, przeciętnym sklepikarzu, reprezentującym niemą, nieznaną, anonimową klasę średnią, lecz takiego w ogóle nie znalazłam.

Sądzę, że winna jestem czytelnikowi kilka wyjaśnień na temat mojej metody selekcji. Przede wszystkim ograniczyłam się do świata anglo-amerykańskiego i zachodnioeuropejskiego, z którego najbardziej bezpośrednio wywodzi się nasza kultura; pominęłam Europę Wschodnią, gdyż jakkolwiek ważna, ma ona odmienne tradycje. Jeśli chodzi o wybór tematów, stosowałam kryterium, że muszą one być rzeczywiście reprezentatywne dla przedstawianego okresu i że wywarły największy wpływ na cywilizację przed 1914 rokiem, a nie po nim. To założenie wykluczyło samochód i samolot, Freuda i Einsteina oraz ruchy, które reprezentowali. Wykluczyłam także dziwaków, nawet najbardziej uroczych.

Wiem, że to, co następuje, nie daje wcale poglądu na całość zagadnienia,

uwazam jednak za niesluszne wyciaganie uogolniajacych wnioskow z tak roznorodnych zjawisk tego okresu. Wiem rowniez, ze to, co nastepuje, nie jest wcale pelnym obrazem. Nie mowie tego z falszywej skromnosci, lecz po prostu zdaje sobie doskonale sprawe z tego, o czym nie napisalam. Twarze i glasy tych wszystkich, ktorzych pominelam, otaczaja mnie teraz, kiedy dochodze do konca.

I. PATRYCJUSZE

Anglia 1895-1902

Ostatni prawdziwie arystokratyczny rząd w świecie zachodnim objął władzę w Anglii w czerwcu 1895 roku. W tym okresie Imperium Brytyjskie osiągnęło swoje apogeum, a gabinet utworzony przez konserwatystów po wygranych wyborach wspaniale to odzwierciedlał. W jego skład wchodziła przedstawiciele największych w kraju właścicieli ziemskich, przyzwyczajeni od pokoleń do rządzenia. Jako obywatele wyższego rzędu uważali, że ich powinnością jest strzeżenie interesów państwa i kierowanie jego sprawami. Rządzili na zasadzie dziedziczności, z obowiązku i z nawyku, a także w przekonaniu, że mają do tego prawo.

Premier był markizem i potomkiem w pierwszej linii najważniejszych ministrów królowej Elżbiety i Jakuba I. Minister wojny miał także tytuł markiza; jego niższy tytuł barona pochodził z roku 1181, pradziadek był premierem za Jerzego III, a dziadek uczestniczył w trzech gabinetach za panowania trzech monarchów. Lord Prezydent Rady, diuk, właściciel 186 000 akrów w jedenastu hrabstwach, pochodził z rodu, który brał udział w rządach od czternastego wieku; on sam zasiadał w Izbie Gmin przez trzydzieści lat i trzykrotnie odmówił przyjęcia funkcji premiera. Minister do spraw Indii, syn innego diuka, miał siedzibę nadaną rodzinie w roku 1315 przez Roberta Bruce, a czterech jego synów zasiadało równocześnie w Parlamencie. Przewodniczący Wydziału Samorządu Lokalnego, wpływowy właściciel ziemski, miał diuka za szwagra, markiza za zięcia, przodka, który był burmistrzem Londynu za panowania Karola II, a sam przez dwadzieścia siedem lat był posłem do Parlamentu. Nazwisko Lorda Kanclerza pochodziło od Normana ze świty Wilhelma Zdobywcy i utrzymało się przez osiem wieków bez żadnego tytułu. Namiestnik Królewski Irlandii był hrabią, cioteczynym wnukiem księcia Wellingtona i dziedzicznym kuratorem British Museum. W skład gabinetu wchodził również jeden wicehrabia, trzech baronowie i dwaj baroneci. Sześciu członków gabinetu nie należało do arystokracji, lecz jeden z nich był dyrektorem Banku Anglii, drugi

właścicielem ziemskim, którego rodzina reprezentowała w Parlamencie to samo hrabstwo od szesnastego wieku, trzeci — pełniący funkcję przywódcy większości w Izbie Gmin — był siostrzeńcem premiera i dziedziczył w Szkocji majątek wartości 4 000 000 funtów szterlingów, a czwarty, znany mąciciel, jak kukułka w gnieździe, był fabrykantem z Birmingham, uważanym powszechnie za człowieka, któremu w Anglii najlepiej się powiodło.

Oprócz bogactw, tytułów, rozległych włości nowy rząd, ku ubolewaniu liberalnej opozycji, posiadał również, jak to wyraził jeden z jej przedstawicieli, „nieomal żenujące zasoby talentu i zdolności”. Konserwatyści, pewni swego autorytetu, spokojni dzięki poparciu wyborczej większości w Izbie Gmin i stałej większości w Izbie Lordów, znajdowali się w pozycji, jak przyznawał ten sam oponent, „nieodpartej siły”.

Szeregi ich powiększali wigowie arystokracji, którzy w roku 1886 woleli raczej wystąpić z Partii Liberalnej niż poprzeć Gladstone’a w jego staraniach o autonomię dla Irlandii. Należeli do nich przeważnie wielcy właściciele ziemscy, którzy podobnie jak ich naturalni bracia, torysi, uważali unię z Irlandią za świętą. Pod wodzą diuka Devonshire, markiza Lansdowne i Josepha Chamberlaina pozostawali niezależni do roku 1895, po czym przyłączyli się do Partii Konserwatywnej, tworząc wspólnie z nią partię unionistów — nazwaną tak w uznaniu polityki, która doprowadziła do połączenia. Klasa reprezentowana przez tę koalicję (z wyjątkiem Chamberlaina) od wieków łączyła nierozdzielnie posiadanie ziemi z rządzeniem. Wynikało to z jej tradycji, dziedzictwa i z praktyki. Począwszy od czasu, kiedy saksońscy wodzowie zebrali się na pierwszym krajowym zgromadzeniu, aby doradzać królowi, angielscy arystokraci wysyłali posłów do Parlamentu i pełnili w swoich hrabstwach funkcje najwyższego szeryfa, sędziego pokoju i namiestnika policji. Jako posiadacze wielkich nieruchomości, nabyli praktyki w rządzeniu i podejmowali się kierowania sprawami kraju w sposób tak naturalny i bezsporny, jak bobry zabierają się do budowania tamy. Taką wyznaczono im rolę i taki obowiązek nałożyła na nich natura.

Dawał się jednak słyszeć szmer sprzeciwu z dołu i z wielu stron pojawiało się zagrożenie: radykałowie z opozycji mówili o opodatkowaniu dochodów z ziemi; zwolennicy autonomii chcieli oderwać wyspę Irlandię, dającą Anglii tak wiele dochodów; działacze związków zawodowych mówili

o przedstawicielach klasy robotniczej w Parlamencie i żądali ustawowego prawa do strajku oraz innych możliwości ingerencji w swobodne działanie czynników gospodarczych; socjaliści chcieli upaństwić własność, a anarchiści chcieli ją obalić; dochodziły dziwne wyzwania z zagranicy i niebezpieczne stawały się nowo wzbogacone narody. W odległym na razie łoskocie wyraźnie brzmiało jedno słowo — Zmiana — i ci, którzy stali u steru rządu, nie mogli go nie słyszeć.

Jeden z rządzących stanowczo opierał się zmianie, działając ostrożnie, przebiegle, lecz z żarliwym przekonaniem w obronie istniejącego ładu: był nim par, dożywotni rektor uniwersytetu w Oxfordzie, który dwukrotnie piastował urząd ministra do spraw Indii, dwukrotnie ministra spraw zagranicznych, a obecnie po raz trzeci premiera — Robert Arthur Talbot Gascoyne-Cecil, lord Salisbury, dziewiąty hrabia i trzeci markiz w swojej linii.

Lord Salisbury stanowił uosobienie swojej klasy, a równocześnie nie posiadał cech jej właściwych — chyba tylko o tyle, o ile za cechę charakterystyczną uważać można swobodę bycia innym. Miał sześć stóp i cztery cale wzrostu; jako młody człowiek był chudy, niezgrabny, pochylony i krótkowzroczny, o włosach, jak na Anglika, niezwykle czarnych. Obecnie, w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, jego młodzieńcza chudość zmieniła się w tuszę, ramiona poszerzyły się i pochyliły jeszcze bardziej, a ciężka łysa głowa z dużą, siwą, kręconą brodą spoczywała na nich, jakby przytrzymywana własnym ciężarem. Ten melancholik, zdecydowany intelektualista, lunatyk, podlegający przyływowi depresji, które nazywał „atakami nerwowymi”, kostyczny, nietaktowny, roztargniony, znudzony towarzystwem i lubiący samotność, o umyśle dociekliwym, sceptycznym i badawczym, uchodził za Hamleta angielskiej polityki. Gardził konwenansami i nie chciał mieszkać na Downing Street. Głęboko religijny, równocześnie interesował się nauką. U siebie w domu co rano przed śniadaniem szedł do swej prywatnej kaplicy; założył także laboratorium chemiczne, gdzie w samotności robił różne doświadczenia. W Hatfield ujarzmił rzekę, żeby zbudować elektrownię w swoim majątku, i po starych belkach swego domu przeprowadził jedną z pierwszych w Anglii instalację elektryczną; jego rodzina rzucała w przewody poduszkami, gdy iskrzyły się i trzeszczały w czasie rozmów i dyskusji, będących stałym zajęciem w domu Cecilów.

Lord Salisbury nie interesował się sportem i niezbyt interesowali go

ludzie. Jego rezerwę podkreślała jeszcze krótkowzroczność tak silna, że zdarzyło mu się raz nie poznać członka swojego gabinetu, a raz nawet własnego lokaja. Pod koniec wojny burskiej wziął w rękę podpisaną fotografię króla Edwarda i patrząc na nią w zadumie powiedział: „Biedny Buller (miał na myśli naczelnego dowódcę na początku wojny), jak on to wszystko zepsuł”. Innym razem widziano go, jak rozmawiał przez dłuższy czas na tematy wojskowe z jakimś pomniejszym parem w przekonaniu, że rozmawia z marszałkiem polnym, lordem Robertsem.

Lord Salisbury nie darzył również szczególnymi względami *alter ego* każdego Anglika z wyższych sfer, jego najbliższego towarzysza i przedmiotu stałej troski, konia. Jazdę konną uważał za sposób lokomocji, a konia za „konieczny, lecz bardzo niewygodny dodatek”. Nie pociągało go też polowanie. Po zakończeniu sesji Parlamentu nie udawał się na północ, aby zabijać na wrzosowiskach szkockie kuropatwy albo podchodzić sarny w szkockich lasach. Kiedy protokół wymagał jego obecności w Balmoral przy monarchii, nie chodził na spacer i — jak pisał sir Henry Ponsonby, sekretarz prywatny królowej Wiktorii — zdecydowanie odmawiał podziwiania krajobrazów lub saren. Ponsonby miał polecenie, aby jego pokój w ponurym zamku był ogrzany co najmniej do 60 stopni Fahrenheita. W przeciwnym razie udawał się w czasie swoich wakacji do Francji, gdzie posiadał willę w Beaulieu na Riwierze i gdzie uprawiał się we francuskim, choć mówił tym językiem biegle; mógł się tam też zatopić w lekturze *Hrabiego Monte Christo*, jedynej książki — jak powiedział kiedyś Dumasowi synowi — która pozwala mu zapomnieć o polityce.

Jego znajomość gier sportowych ograniczała się do tenisa, ale w późniejszym wieku wymyślił sobie własny rodzaj ćwiczenia fizycznego, a mianowicie wcześniej rano jeździł na trójkołowym rowerze po St. James Parku lub po wycementowanych w tym celu ścieżkach parku w swoim majątku w Hatfield. Nosił wtedy kapelusz typu sombrero, rodzaj krótkiego poncho, i wyglądał jak mnich; towarzyszył mu młody woźnica, aby popychać go pod górę. Przy zjazdach mówił młodemu człowiekowi, aby wskoczył z tyłu i tak premier, z rękami woźnicy na ramionach i w rozwianym poncho, sunął naprzód, aż furczały pedały.

Hatfield w Hertfordshire, dwadzieścia mil na północ od Londynu, należało do Cecilów od blisko trzystu lat, od kiedy Jakub I w roku 1607 dał je swemu premierowi, Robertowi Cecilowi, pierwszemu hrabiemu Salisbury,

w zamian za dom Cecila, który spodobał się królowi. Była to rezydencja królewska, gdzie królowa Elżbieta spędziła dzieciństwo i gdzie, po otrzymaniu wiadomości o odziedziczeniu tronu, odbyła pierwszą naradę, celem zaprzysiężenia Williama Cecila, lorda Burghley, jako swego najwyższego sekretarza stanu. Długi Krużganek tego pałacu, z wymyślnie rzeźbioną boazerią na ścianach i z sufitem ze złotych płatków, miał sto osiemdziesiąt stóp długości. Marmurowa Sala, nazwana tak ze względu na czarno-białą marmurową posadzkę, z freskami i złoceniami na suficie, obwieszona brukselskimi gobelinami, jarzyła się jak szkatułka na klejnoty; w „Czerwonym Salonie Króla Jakuba” wisiały portrety rodzinne naturalnej wielkości pędzla Romneya, Reynoldsa i Lawrence'a. 10 000 tomów oprawnych w skórę lub welin wypełniało ściany bibliotek od podłogi do galerii. W innych pokojach znajdowały się „Listy ze szkatułki” Marii Stuart, zbroje zabrane żołnierzom hiszpańskiej armady, kołyska ścietego króla Karola I i portrety reprezentacyjne Jakuba I i Jerzego III. Na zewnątrz cisowe żywopłoty przyszytych na kształt zakończonych blankami murów obronnych, a o ogrodach pisał Papys, że nie widział nigdy „takich pięknych kwiatów i tak dużego agrestu wielkości gałki muszkatołowej” Nad wejściem wisiały flagi zdobyte pod Waterloo i ofiarowane Hatfield przez księcia Wellingtona, który był stałym gościem i oddanym wielbicielem matki premiera, drugiej markizy. Na jej cześć Wellington nosił w czasie kampanii płaszcz Drużyny Hatfield. Pierwszą markizę malował sir Joshua Reynolds; zmarła ona mając osiemdziesiąt pięć lat. Aż do śmierci jeździła na polowania; na wpół ślepej markizie, przypasanej rzemieniem do siodła, towarzyszył stajenny, który krzychał, gdy koń jej zbliżał się do rowu: „Proszę skakać, do diabła, *my lady*, proszę skakać”.

Ta właśnie niezwykła postać dodała wigoru rodowi Cecilów, który po Burghleyu i jego synu nie wydał już potomków o wybitnym intelekcie. Można raczej powiedzieć, że odmianę w ogólnej przeciętności następnych pokoleń stanowiły jedynie, jak to określił jeden z późniejszych Cecilów, przypadki „wyjątkowej głupoty”. Ale drugi markiz okazał się człowiekiem energicznym i zdolnym, z silnym poczuciem obywatelskiego obowiązku i w połowie stulecia wchodził w skład kilku torysowskich gabinetów. Jego drugi syn, także Robert Cecil, był premierem w roku 1895. On z kolei miał pięciu synów, z których każdy czymś się później odznaczył. Jeden został generałem, drugi biskupem, trzeci ministrem stanu, czwarty reprezentował w Parlamencie Oxford, a ostatni służąc rządowi uzyskał godność para dla siebie

osobiście. Lord Birkenhead wyraził się kiedyś o osiągnięciach Cecilów: „U istot ludzkich podobnie jak u koni dziedziczność ma swoje znaczenie”.

W roku 1850 w Oxfordzie rówieśnicy młodego Roberta Cecila twierdzili zgodnie, że skończy on jako premier albo dzięki swym nieprzejednanym zapatrywaniom, albo mimo nich. Przez całe życie nie starał się ich powściągać. Jego młodzieńcze przemówienia odznaczały się złośliwością i zuchwalstwem; Disraeli powiedział o nim, że nie jest „człowiekiem, który wyraża się z umiarem”. Określenie „to salisbury” stało się synonimem politycznej nieoględności. Porównał raz Irlandczyków z ich brakiem umiejętności rządzenia do Hotentotów, a o jednym hinduskim kandydacie do Parlamentu wyraził się „ten czarny”. Zdaniem lorda Morleya jego przemówienia czytało się z przyjemnością, „ponieważ zawierały zawsze jakiś gruby nietakt, który bardzo miło jest zapamiętać”. Nie wiadomo, czy te nietakty były całkowicie przypadkowe, bo chociaż lord Salisbury wygłaszał swoje przemówienia bez notatek, to jednak opracowywał je uprzednio w myśli, tak że były zawsze jasne i odznaczały się doskonałą budową zdań. W owym czasie uważano sztukę krasomówstwa za niezbędną cechę męża stanu, a każdego, kto odczytywał napisane przemówienie, za godnego pożałowania. Kiedy lord Salisbury przemawiał, to, zdaniem jednego z kolegów posłów, „każde zdanie wydawało się tak istotne, tak ważne, tak niezbędne dla całego rozumowania, jak poszczególne członki ciała dla atlety”.

Występując publicznie przed obojętnym mu audytorium, Salisbury stawał się niezręczny; ale w Izbie Wyższej, kiedy zwracał się do sobie równych, mówił doskonale, przekonywająco i swobodnie. Głos jego brzmiał dźwięcznie, przybierając od czasu do czasu ton lodowatej drwiny lub oschłego sarkazmu. Kiedy jakiś wig, świeżo nobilitowany, zaczął przemawiać w Izbie Lordów z właściwym wigom kwiecistym i uroczystym sentymentalizmem, Salisbury zapytał sąsiada, kim jest mówca, a usłyszawszy wyszeptane nazwisko, odpowiedział zupełnie głośno: „Myślałem, że on nie żyje”. Przemówienia innych często go nudziły i wtedy zaczynał machać nogą, co, zdaniem jednego obserwatora, robiło wrażenie, jakby mówił: „Kiedy się to wreszcie skończy?” Czasami unosił obcasy z podłogi, wprawiając nogi i kolana w drżenie, trwające niekiedy do pół godziny. W domu, gdy goście go niecierpliwili, trzęsła się od tego drżenia podłoga i stukały meble; w Izbie posłowie z pierwszego rzędu skarżyli się, że dostają choroby morskiej. Kiedy indziej poruszał długimi palcami, bębnił nimi w

kolano czy poręcz krzesła albo też wywijał bezustannie nożem do papieru.

Nigdy nie jadał obiadu poza domem i przyjmował rzadko: tylko jedno lub dwa przyjęcia polityczne w domu miejskim, przy Arlington Street, i od czasu do czasu *garden party* w Hatfield.

Unikał oficjalnego klubu konserwatystów, Carlton, bywał natomiast w klubie Junior Carlton, gdzie miał zarezerwowany dla siebie samego stolik na lunch i gdzie w bibliotece wisiały wielkie plakaty z napisem CISZA. Ubierał się bezbarwnie i często niedbale. Nosił spodnie i kamizelkę w ponurym szarym kolorze, a na to wyświecony sukienny surdut. Lecz choć nie zwracał uwagi na strój, dbał bardzo o staranne przystrzyganie brody i siedząc na krześle u fryzjera dawał mu dokładne wskazówki: „Jeszcze trochę tutaj”, równocześnie „mistrz i obiekt patrzyli stale w lustro, aby ocenić efekt”.

Mimo sarkazmu i ostrego języka czarował swych kolegów i wszystkich bliskich osobistym wdziękiem, który, jak się ktoś z nich wyraził, „był niemalym atutem przy prowadzeniu spraw państwowych” Poświęcał wiele uwagi sprawom partyjnym, rezygnując dla nich nawet ze swojej ekskluzywności. Pewnego razu zdumiał wszystkich przyjmując zaproszenie na tradycyjny obiad, wydany dla stronników partii przez przywódcę większości w Izbie Gmin. Prosił o podanie z góry szczegółowych danych biograficznych każdego gościa. Przy obiedzie premier oczarował siedzącego obok znanego specjalistę rolnictwa swoją wiedzą z dziedziny płodozmianu i hodowli, później gawędził uprzejmie z każdym gościem po kolei, a przed odejściem skinął na swego prywatnego sekretarza, mówiąc: „Zdaje mi się, że załatwiłem ich wszystkich, ale był tam ktoś, kogo nie zidentyfikowałem, ten, o którym pan powiedział, że wyrabia musztardę”

Gladstone, najzagorzalszy jego antagonistą w dziedzinie filozofii politycznej, doceniał w nim jednak „wielkiego dżentelmena w stosunkach towarzyskich” W przeciwieństwie do swych wystąpień publicznych, w życiu prywatnym Salisbury zjednywał sobie sympatię osobistym czarem. Nie dbał o powszechne uznanie, uważał bowiem ogół za niewykształcony, a zatem jego opinię o sobie za bezwartościową. Nie zabiegał o publiczność, nie posiadał i nie próbował wyrobić sobie tego specyficznego stylu, dzięki któremu przywódca polityczny staje się znaną osobistością i zdobywa jakiś przydomek, jak „Pam”, „Dizzy” lub „Grand Old Man” („Wspaniały Stary”). W prasie, a nawet i w „Punchu”, nie nazywano go nigdy inaczej jak lord

Salisbury. Nie ukrywał swej niechęci do tłumu wszelkiego rodzaju, „nie wyłączając Izby Gmin” Kiedy przeszedł do Izby Lordów, nie wracał nigdy do Izby Gmin, aby przysłuchiwać się jej obradom z Galerii Parów lub gawędzić z jej członkami w lobby, a jeśli musiał o nich wspomnieć w swojej Izbie, ton jego pełen był wyniosłej pogardy, co bawiło gości z Izby Gmin, gdy przychodzili go posłuchać. Była to jednak tylko zewnętrzna poza, mająca podkreślić jego głęboko zakorzenioną dumę patrycjusza. Nie zwracał uwagi na stanowisko, był nieczuły na zaszczyty i inne formy uznania. Po prostu jako Cecil, i to z tych najlepszych, urodził się z przeświadczeniem tkwiącym we wszystkich komórkach ciała i mózgu, że ma zdolności do rządzenia, i nie widział żadnego powodu, żeby rezygnować z tego odwiecznego uprawnienia na rzecz kogokolwiek.

Wszedł do Izby Gmin w wieku dwudziestu trzech lat, wybrany bez żadnej opozycji, jak wszyscy synowie parów z okręgu podlegającego rodzinie, i potem pięć razy wybierano go ponownie w ten sam sposób i z tego samego okręgu; przez ostatnie dwadzieścia siedem lat zasiadał w Izbie Lordów, nie miał wiele doświadczenia w zdobywaniu głosów. Uważał się za odpowiedzialnego nie przed narodem, ale za naród, powierzony jego opiece. Cały swój szacunek kierował nie w dół, lecz w górę — ku monarsze. Czczył królową Wiktorię, około dziesięć lat starszą od niego, zarówno jako jej poddany, jak też jako mężczyzna rycerski wobec kobiety. Dla niej starał się opanować swoją szorstkość, choć w Balmoral nie potrafił ukrywać znudzenia.

Królowa zaś odwiedzała go w Hatfield i darzyła największym zaufaniem, stawiając, jak powiedziała biskupowi Carpenterowi, „...jeśli nie na najwyższym, to na równym najwyższemu miejscu pośród swoich ministrów”, nie wyłączając Disraelego. Salisbury, któremu „nogi często odmawiały posłuszeństwa”, był jedynym mężczyzną, którego prosiła, żeby usiadł. Stara królowa, drobnej postaci, i wysoki, ociężały starzejący się premier, o zupełnie odmiennej mentalności, ale z jednakowo silnym poczuciem władzy, czuli dla siebie wzajem szacunek i uznanie.

W sprawach publicznych małej wagi, podobnie jak w sposobie ubierania się, Salisbury był raczej niedbały. Raz, kiedy dwóch duchownych o podobnych nazwiskach kandydowało na wakujące biskupstwo, mianował jednego z nich, niepolecanego przez arcybiskupa Canterbury, a kiedy mu to z żalem wypomniano, powiedział: „Ach, chyba ten będzie równie dobry”.

Powagę zachowywał tylko dla spraw poważnych, a za sprawę najpoważniejszą uważał utrzymanie wpływu arystokracji i zachowanie władzy wykonawczej w jej rękach; nie chodziło mu przy tym o własną osobę, lecz według jego przekonań tylko ten jeden czynnik mógł utrzymać naród w jedności wobec rosnących sił demokracji, które „rozbijają naród i czynią z niego zlepek różnych odłamów, nieprzyjaznych sobie i nieufnych”.

Największe zło stanowiła w jego oczach walka klasowa i bezwyznaniowość, toteż nienawidził socjalizmu, nie tyle jako zagrożenia własności, ale dlatego że głosił walkę klas i opierał się na materializmie, co było dla niego zaprzeczeniem wszelkich wartości duchowych. Nie negocjował potrzeby reform socjalnych, ale uważał, że można je osiągnąć tylko przez wzajemne naciski i rozgrywki między istniejącymi partiami. I tak ustawa o odszkodowaniu dla robotników, w myśl której pracodawcy byli odpowiedzialni za szkody poniesione przy pracy, została przedstawiona i przeszła za jego poparciem w roku 1897, mimo że niektórzy członkowie partii sprzeciwiali się jej, uważając, że stanowi ona ingerencję w kompetencje prywatnego przedsiębiorstwa.

Zwalczał wszystkie propozycje mające zwiększyć władzę polityczną mas. Jeszcze jako młodszy syn, bez perspektyw na odziedziczenie tytułu, w wieku lat trzydziestu kilku sformułował swoją filozofię polityczną w serii około trzydziestu artykułów, opublikowanych w „Quarterly Review” na początku lat sześćdziesiątych. Wobec przybierających w tym czasie na sile żądań reformy systemu wyborczego, mającej rozszerzyć prawo wyborcze, lord Robert Cecil, późniejszy lord Salisbury, oświadczył, że obowiązkiem Partii Konserwatywnej jest zachować przywileje klasy posiadającej, jako „jedynego bastionu” przeciw wpływowi mas. Rozszerzenie prawa wyborczego byłoby, w jego pojęciu, udzieleniem klasie pracującej nie tylko głosu w Parlamencie, ale głosu przeważającego, który nadałby „pospolitym masom władzę, jakiej nie powinny posiadać”. Ubolewał nad tym, że liberałowie schlebiają klasie pracującej, jakby różniła się od reszty społeczeństwa angielskiego”, podczas gdy w rzeczywistości jedyną różnicę stanowi mniejsze wykształcenie i mniejszy majątek, a „skoro majątek jest mały, niebezpieczeństwo nadużycia praw obywatelskich jest proporcjonalnie duże”. Uważał, że funkcjonowanie demokracji stanowi zagrożenie dla wolności, gdyż w demokracji „namiętność nie jest wyjątkiem, lecz regułą”, i „nie można absolutnie” oczekiwać dalekowzroczej, beznamiętnej polityki „od ludzi, których umysł nie jest

przyzwyczajony do myślenia ani wdrożony do nauki”. Rozszerzenie prawa wyborczego na ubogich i zwiększenie opodatkowania bogatych doprowadziłoby w końcu, jak pisał, do całkowitego rozdziału władzy i odpowiedzialności: „Bogaci płaciliby wszystkie podatki, a biedni ustalaliby wszystkie prawa”.

Nie wierzył w polityczną równość. Mówił, że istnieje pospółstwo i „naturalni” przywódcy. Znamionami człowieka, od którego zdrowo nastawiona społeczność oczekuje, aby nią rządził, są: „zawsze bogactwo, w niektórych krajach urodzenie, a wszędzie siła intelektu i kultura”. Tacy ludzie mają na to czas i majątek, „tak że realizacja i ambicja nie będą skalane plugawą chciwością... Są oni arystokracją kraju w pierwotnym i najlepszym znaczeniu tego słowa... Jest bardzo ważne, aby władcy kraju dobierani byli spośród nich”, a jako klasa powinni oni zachować „przewagę polityczną, do której mają wszelkie prawa, jakie dają większe umiejętności”.

Jego przekonanie o tych większych umiejętnościach było tak szczere i niezłomne, że kiedy w roku 1867 rząd torysowski opowiedział się za drugim projektem Ustawy o Reformie, która podwoiła liczbę wyborców i nadała prawa wyborcze robotnikom w miastach, Salisbury, liczący wtedy trzydzieści siedem lat, wolał raczej rzucić urząd ministra w rok po uzyskaniu go po raz pierwszy, niż brać udział w tym, co uważał za zdradę i odstąpienie od zasad konserwatywnych. Zwrot w jego partii, przeprowadzony przez Disraeliego jako zręczny manewr, tak w celu „wyprowadzenia w pole wigów”, jak i dla zadośćuczynienia realiom polityki, przejmował odrazą lorda Cranborne (którym został wtedy lord Robert Cecil, po śmierci starszego brata w roku 1865). Choć mogło to zrujnować jego karierę, zrezygnował ze stanowiska ministra do spraw Indii i wygłosił w Izbie gorzkie i surowe przemówienie przeciw polityce przywódców partii, lorda Derby i Disraeliego. Prosił usilnie członków, aby nie robili dla politycznych korzyści tego, co może w końcu zniszczyć ich jako klasę. „Bogactwo, inteligencja, energia środowiska, wszystko, co dało wam siłę, która napełniła was narodową dumą i dzięki której obrady tej Izby mają taką wagę, zostanie zdominowane liczebnie”. Powstaną sytuacje, w których interesy pracodawców wejdą w konflikt z interesami pracowników i rozstrzygać będzie tylko polityczna siła, „a w tym konflikcie politycznej siły przeciwstawiać przytłaczającą większość pracowników znikomej mniejszości pracodawców”. W rezultacie dojdzie do „ograniczenia wpływów politycznych i zaniku klas, które dotychczas tak

bardzo się przyczyniły do wielkości i dobrobytu kraju”.

W rok później, po śmierci ojca, lord Robert Cecil wszedł do Izby Lordów jako trzeci markiz Salisbury. W roku 1895, po upływie blisko trzydziestu lat, poglądy jego nie zmieniły się na jotę. Bez przekonania, że zmiana przyniesie poprawę, i bez wiary, że przyszłość jest lepsza od terażniejszości, poświęcił się „z ponurą zaciętością” zachowaniu istniejącego ładu. Uważając, że „stanowisko bez władzy, jakiej było pierwotnie symbolem, to blaga”, postanowił, jak długo żyje i rządzi Anglią, opierać się dalszym atakom na władzę tej klasy, której widocznym symbolem wciąż jeszcze było stanowisko. Nie tracąc z oczu zbliżających się wrogów, przeciwstawiał się nadchodzącym czasom. Demokracja osaczała go, ale jej krąg nie zamykał się jeszcze wokół tej postaci, o której lord Curzon wyraził się: „Ten dziwny, potężny, niezbadany, wspaniały, obstrukcyjny balast u góry”.

Przeciwni ludzie z klasy rządzącej, nieobdarzeni głębokim, zbyt przewidującym umysłem lorda Salisbury, nie martwili się bardzo o przyszłość; terażniejszość była taka zachwycająca. Epoka przywilejów, choć w wielu punktach atakowana i zachwiana, w ostatnich latach dziewiętnastego wieku i panowania Wiktorii wydawała się wciąż jeszcze stanem trwałym. Dla uprzywilejowanych życie jawiło się jako „bezpieczne i wygodne... Pokój zalegał ziemię”. Dreszcz u wielu wywołał niewątpliwie budżet sir Williama Harcourta na rok 1894, uchwalony przez liberałów za premiera lorda Rosebery, niezbyt odpowiedniego następcy Gladstone’a. Wprowadzał on podatek spadkowy, i co gorsza wprowadzał go na zasadzie progresywności od 1 procenta z majątku wartości 500 funtów do 8 procent z majątków wartości ponad miliona funtów. Zwiększał też podatek dochodowy od jednego do ośmiu pensów za funt. Wprawdzie dla osłabienia ciosu i wyrównania obciążenia nakładał również podatek na piwo i alkohole, aby klasa pracująca, która nie płaciła podatku dochodowego, także ponosiła jakieś ciężary na rzecz dochodów państwowych, lecz to nie zagłuszyło alarmu z powodu podatku spadkowego. Ósmy diuk Devonshire przepowiadał nawet, że nadejdzie czas, którego, „jak sądzę, nie da się odroczyć poza okres mego życia”, kiedy duże rezydencje, jak Chatsworth, zostaną zamknięte jedynie z powodu „nieodpartyh wymogów demokratycznych finansów”.

W roku 1894 ważniejsze, i z konserwatywnego punktu widzenia szczęśliwsze, wydarzenie zrekompensowało budżet. Gladstone wycofał się z Parlamentu i z polityki. Ostatni jego wysiłek jako osiemdziesięciolatka, aby

przeforsować autonomię dla Irlandii, został obalony w Izbie Lordów przez zgromadzenie gniewnych parów, którzy przybyli w tym celu w liczbie tak wielkiej, jak nigdy dotychczas. Spowodował nieodwołalny rozłam w swojej partii, skończył osiemdziesiąt pięć lat, nadszedł kres jego kariery. Wobec zwycięstwa konserwatystów w następnym roku zapanowało powszechne uczucie, któremu wyraz dał „Times”, że skoro autonomia, „ten zarazek wszczepiony przez Gladstone'a do naszego życia politycznego, który groził zatruciem całego organizmu”, przestaje zagrażać przynajmniej na razie, Anglia może się spokojnie zająć innymi sprawami. „Czynniki panujące” siedziały bezpiecznie w siodle.

Określenie „czynniki panujące” nie pochodziło od konserwatywnie nastawionego „Timesa”, lecz dziwnym trafem od samego Gladstone'a, który należał do ziemiańskiej szlachty, o czym nigdy nie zapominał, podobnie jak nigdy nie stracił wrodzonego poczucia, że własność to odpowiedzialność. Posiadał w Hawarden majątek o powierzchni 7 000 akrów z 2 500 dzierżawcami, płacącymi czynsz od 10 000 do 12 000 funtów rocznie. W liście do swego wnuka, który miał po nim dziedziczyć, wzywał go, aby odzyskał ziemie utracone przez zadłużenie wcześniejszych pokoleń i aby przywrócił Hawarden jego dawne znaczenie jako „czynnika kierowniczego” w hrabstwie, bo, jak mówił, „społeczeństwo nie może sobie pozwolić na zrezygnowanie ze swoich czynników panujących”. Żaden książę nie mógłby tego lepiej wyrazić. Takie właśnie były uczucia konserwatywnych właścicieli ziemskich, najzagorzalszych przeciwników Gladstone'a, z którymi jednak w głębi duszy dzielił on wiarę w „wyższe uzdolnienia” nabyte przez dziedziczenie własności ziemskiej, jak i w to, że są one krajowi potrzebne. Credo tych ludzi stanowiło dokładne przeciwieństwo idei panującej w Stanach Zjednoczonych, państwie później powstałym, gdzie uważano niskie urodzenie za szczególną, dodatkową cnotę i twierdzono, że tylko ludzie zawdzięczający wszystko sobie dali dowód zdolności, a ludzie wyrosli w dobrych warunkach są raczej głupi lub źli albo jedno i drugie. Anglicy natomiast, którzy rozwinęli się powoli pod rządami wielu pokoleń klas posiadających, wierzyli, że rodzinna ciągłość wykształcenia, wygód i odpowiedzialności społecznej stanowi naturalną pożywkę „dla wyższych uzdolnień”.

Kwalifikowało ich to do rządzenia, co w Anglii, jak nigdzie indziej, uważano za właściwy i najbardziej, zaszczytny zawód dżentelmena. Posada

prywatnego sekretarza u wuja ministra lub innego krewnego mogła być albo solidną praktyką, przydatną do pełnienia późniejszych funkcji w gabinecie, albo tylko przyjemnym zajęciem dla dżentelmena, jak w przypadku sir Schomberga McDonnella, brata hrabiego Antrim, prywatnego sekretarza lorda Salisbury. Dyplomacja także dawała osobom utalentowanym możliwość odpowiedniej kariery. Markiz Dufferin i Ava jako ambasador w Paryżu w roku 1895 nauczył się języka perskiego i zanotował w swoim dzienniku z tego okresu, że nie tylko przeczytał po grecku jednaście sztuk Arystofanesa, ale także nauczył się na pamięć 24 000 słów z perskiego słownika, „8 000 doskonale, 12 000 dość dobrze i 4 000 słabo”. Służba wojskowa w jednym z elitarnych pułków gwardii, huzarów lub lansjerów uchodziła również za odpowiednie zajęcie dla bogatych mężczyzn z arystokracji, ale szli tam raczej mniej zdolni. Mniej bogaci wstępowali w szeregi kleru lub do marynarki; dla tych, którzy musieli zarabiać na życie, pozostawała adwokatura lub dziennikarstwo. Nade wszystko jednak Parlament dawał właściwe, naturalne, upragnione pole do realizowania wyższych uzdolnień. Miejsce w Parlamencie otwierało jedyną drogę do miejsca w gabinecie, gdzie można było zyskać władzę i wpływy oraz członkostwo w Radzie Przybocznej, a po przejściu w stan spoczynku tytuł para. Rada Przyboczna, złożona z 235 najważniejszych osobistości wszystkich dziedzin, choć miała funkcje ceremonialne i formalne, była jednak symbolem ważnej pozycji w narodzie. Godność para wciąż jeszcze jak czarodziejska szata wyróżniała go spośród otoczenia. Funkcja w gabinecie była niezmiernie pożądana i stanowiła przedmiot usilnych zakulisowych manewrów. Kiedy zmieniał się rząd, nic tak nie absorbowało uwagi brytyjskiego towarzystwa, jak skomplikowany menuet tworzenia gabinetu. Kluby i salony huczały, powstawały i zmieniały się kliki i przymierza, a zwycięzcy wynurzali się z dumą w laurowym wieńcu fortuny. Nagroda wymagała ciężkiej pracy i wiele czasu, rzadko natomiast znajomości spraw departamentu. Minister sam nie wykonywał pracy, lecz dbał o to, żeby praca została wykonana, podobnie jak przy zarządzaniu własnym majątkiem. Szczegóły takie, jak znaki dziesiątne, które lord Randolph Churchill jako minister skarbu zbył wzruszeniem ramion, mówiąc „te przeklęte kropki”, nie były jego sprawą.

Członkowie rządu lorda Salisbury, których większość, choć nie wszyscy, dziedziczyła nieruchomości, bogactwa lub tytuły, nie weszli w skład rządu dla korzyści materialnych. Uważali oni za słuszne i sprawiedliwe, aby sprawy

publiczne podlegały kierownictwu ludzi, których — jak to określił lord Salisbury — nie Plami „plugawa chciwość”. Kariera parlamentarna — naturalnie bez wynagrodzenia — nie przynosiła zysku, lecz wyróżnienie. Izba Gmin stanowiła centrum stolicy, centrum Imperium, centrum wytwornego towarzystwa, a towarzystwo to było najlepsze w całym królestwie. Mężczyzn wiódł tam nie tylko obowiązek, ale i ambicja, ponadto tego od nich oczekiwano. Po ojcach do Parlamentu wchodził synowie, często nawet zasiadali tam równocześnie. James Lowther, zastępca przewodniczącego Izby od roku 1895 do 1905, a następnie przewodniczący, pochodził z rodziny, która reprezentowała okręg wyborczy Westmorland prawie nieprzerwanie od ponad sześciuset lat. Jego pradziadek i dziadek zasiadali w Parlamencie po pół wieku, a jego ojciec dwadzieścia pięć lat. W charakterze przedstawicieli hrabstwa wchodziłi zazwyczaj do Parlamentu ludzie, których dom znany był w promieniu siedemdziesięciu mil jako „Dwór”, których rodzina znana była w okolicy od stuleci, a oni sami od urodzenia. Ponieważ koszty kandydowania, wyborów i zabiegania o względy wyborców ponosił sam kandydat, przywilej reprezentowania ludności w Parlamencie ograniczał się przeważnie do tej klasy, która mogła sobie na ten zbytek pozwolić. W roku 1895 na 670 członków Parlamentu było 420 dzentelmenów niepracujących, wiejskich dziedziców, oficerów i prawników, wśród nich 33 najstarszych synów parów, a także wielu młodszych synów, braci, kuzynów, siostrzeńców i wujów, nie wyłączając lorda Stanleya, spadkobiercy szesnastego hrabiego Derby, uważanego za najbogatszego po diukach para Anglii. Jako tzw. *whip*, Stanley musiał stać w drzwiach lobby i nakłaniać członków partii pochlebstwami lub groźbą, aby nie oddalali się przed głosowaniem, choć jemu samemu w czasie pełnienia obowiązków nie wolno było wchodzić na salę. Ktoś ze współczesnych pisał, że robił wrażenie „arystokratycznego służącego”. Widok tego dziedzica wielkiego historycznego nazwiska i olbrzymiego majątku wykonującego prawie że lokajską funkcję świadczył nie tylko o poczuciu politycznego obowiązku, ale i o powabach kariery politycznej.

W klasie rządzącej nie rodzili się sami tylko władcy. Można tam było znaleźć w tej samej proporcji co w innych klasach ludzi nieprzystosowanych i niezdolnych, złych lub po prostu głupich. Oprócz premierów i budowniczych imperium wywodzili się z szeregów arystokracji także nicponie i klubowi nudziarze, różni zblazowani dandysi, pokazywani w karykaturach „Puncha”, jak dyskutują o swoich kamizelkach, kołnierzykach i

krawatach, długonodzy gwardziści, których rozmowy ograniczały się do „hm, hm”, nicponie rujnujący się przez picie, wyścigi i karty, a także sporo przeciętniaków, którzy nigdy nie zrobili nic godnego uwagi, złego czy dobrego. Nawet Eton miał swoich *scugs*, chłopców, którzy, zdaniem jednego etończyka, „po prostu nie umieli się zachować... i jeśli nie (byli) występni z natury, to na pewno ograniczeni umysłowo i zdegenerowani”. Chociaż *scug* z Eton mógł niekiedy po trzydziestu latach wyładować jako członek Rady Przybocznej, wielu zostawało nicponiami przez całe życie. Jeden z siostrzeńców lorda Salisbury, Cecil Balfour, uciekł do Australii po aferze ze sfalszowanym czekiem i umarł tam, jak mówiono, z przepicia.

Mimo takich przypadków rodziny rządzące nie miały wątpliwości co do swego wrodzonego uprawnienia do władzy, a na dobrą sprawę reszta kraju też takich wątpliwości nie miała. Być lordem, pisał w roku 1895 lord Ribblesdale, szczególnie malownicza postać, „jest wciąż rzeczą bardzo popularną”. Ribblesdale, nazywany „Antenatem” z powodu swojej powierzchowności w stylu Regencji, był tak pięknym uosobieniem patrycjusza, że John Singer Sargent, sławiący w swej sztuce klasę i typ, zapragnął go malować. Z portretu Sargenta, na którym stoi w całej postaci w stroju Królewskiego Łowczego, w długim żakiecie do konnej jazdy, cylindrze, błyszczących butach, ze zwiniętym biczem myśliwskim w ręce, Ribblesdale patrzy na świat z wyrazem takiej naturalnej wyniosłości, elegancji i pewności siebie, jakiej później już nikt nigdy nie osiągnął. Kiedy obraz został wystawiony w Salonie w Paryżu i Ribblesdale przyjechał go obejrzeć, Francuzi szli za nim tłumnie z sali do sali i poznając postać z portretu, pokazywali go sobie szepcząc „*ce grand diable milord anglais*”.

Podczas otwarcia tygodnia wyścigów w Ascot, kiedy lord Ribblesdale na czele królewskiego pochodu jechał po zielonej darni na błyszczącym kasztanie na tle błękitnego czerwcowego nieba, w ciemnozielonej kurtce, z wiszącymi u złotego pasa złotymi sprzączkami, wyglądał tak, że ktokolwiek go widział, nie mógł już nigdy zapomnieć tego widoku. I on brał udział w rządzie jako whip Partii Liberalnej w Izbie Lordów, jako aktywny członek Rady Hrabstwa Londynu i naczelny kurator National Gallery. Jak większość ludzi z jego środowiska, posiadał umiejętność swobodnego porozumiewania się z wiejskimi ludźmi pracy, zatrudnionymi w majątkach szlachty jako służba, a także do pomocy przy polowaniach i innych sportach. Kiedy królowa nadała stajennemu w psiarni, J. Milesowi, medal za pięćdziesiąt lat

służby, Ribblesdale przyjechał konno z Windsoru, żeby mu pogratulować, i został „na herbacie i pogawędce” z panią Miles. Sam pisał o przeciętnym arystokracie, że „wygodne warunki życia od samej młodości powodują na ogół dobroduszne nastawienie... Zadowolenie z siebie może być przejawem samolubstwa lub głupoty, lecz rzadko jest zdecydowanie nieprzyjemne — często wręcz przeciwnie”. Mimo że prasa liberalna lubiła przedstawiać parów j ako charakteryzujących się „w przygnębiającym stopniu nogami w x i cofniętym czołem”, zdaniem Ribblesdale'a, par cieszył się wciąż szacunkiem w swoim okręgu. Identyfikując się z jego interesami i sprawami, utrzymując wzajemnie miłe stosunki ze swoimi dzierżawcami, wieśniakami i kupcami w targowym mieście, musiałby się naprawdę bardzo źle prowadzić, aby „naderwać prestiż starego nazwiska i wypróbowanych związków”. Lecz mimo tego spokojnego obrazu również Ribblesdale słyszał odległy pomruk i w trzydzieści lat później wybrał jako motto do swych pamiętników cytaty z Chateaubrianda: „Zachowałem silne ukochanie wolności, właściwe arystokracji, dla której wybiła ostatnia godzina”.

Szczyt sezonu londyńskiego przypadał na środek lata. Towarzystwo bawiło się w tym okresie i pokazywało w pełni blasku. Pewien utytułowany gość z Paryża pisał, że robiło to wrażenie, jakby „w czerwcu i lipcu ród bogów i bogiń zstąpił z Olimpu do Anglii”. Zdawało się, „że żyją w złotej chmurze, trwoniąc swoje bogactwa z taką indolencją i naturalnością, z jaką zielenią się liście” 45. W ślad za księciem Walii sunęła „flotylla białych łabędzi o wysmukłych szyjach i wytwornych, pokrytych klejnotami głowach” o takich nazwiskach, jak lady Glenconner, diuszesa Leinster i lady Warwick. Diuszesa, która zmarła młodo w latach osiemdziesiątych, była, według słów lorda Ernesta Hamiltona, „boskiego wzrostu... piękności tak oślepiającej, że omal nieprawdopodobnej”. Jej następczyni, hrabina Warwick, „najpiękniejsza mężatka w Londynie”, w której kochał się książę Walii, stała się przyczyną sławnej awantury, kiedy to lord Charles Beresford o mało co nie uderzył swego przyszłego monarchy. Pewien dziennik elity towarzyskiej pisał, że bije od niej blask jak od „bogini o okrągłych kształtach, w przezroczyście, pofałdowanych szatach, o wspaniałym, pięknym, dumnym obliczu, której sława dotarła do dalekich zakamarków spokojnej wsi”. Była pięknnością, co w tym okresie stanowiło magiczny tytuł, nadający kobiecie charakter osobistości publicznej. „Wstawaj, Daisy! — wołała jej matka, kiedy statek przybijał do brzegu, a ona leżała zmęczona chorobą morską po szczególnie przykrym rej się przez Kanał Irlandzki — tłum czeka, żeby cię

zobaczyć”.

Procesje ludzi przechodziły nieustannie tam i z powrotem przez neoklasyczne drzwi w stylu Adamów na Berkeley Square i Belgrave Square. Tylko umierający zostawali w domu. Dzień zaczynał się o dziesiątej przejażdżką konną po parku i kończył się na balu o trzeciej nad ranem. Małe kółko całego liczącego się towarzystwa mogło się zawsze spotkać w ekskluzywnym miejscu, na przykład w Hyde Parku między Albert Gate i Grosvenor Gate w czasie porannej przejażdżki konnej lub po południu, między porą herbaty i obiadu, w powozach. Londyn nie stracił swej georgiańskiej atmosfery. Skrzynki w oknach domów i skwery o nazwach pochodzących od zamieszkałych tam rodzin — Devonshire House, Lansdowne House, Grosvenor Square, Cadogan Place — mieniły się od kolorowych kwiatów. Po ulicach jeździło mnóstwo wspaniałych pojazdów. Panie w wiktoriach zaprzęzonych w eleganckie, zgrabnie kłusujące koniki, z groomem, zwanym *tiger*, siedzącym sztywno ze skrzyżowanymi rękami na koźle obok woźnicy, przyciągały aprobujące spojrzenia mężczyzn przejeżdżając pod oknami klubów. Panowie wdychali i mówili jeden do drugiego: „Jak to przyjemnie widzieć w Londynie piękną kobietę w powozie zaprzężonym w dobraną parę”. Inną ulicą nadjeżdżała kłusem Królewska Gwardia Konna w błękitnych bluzach i białych bryczesach, na czarnych koniach, dzwoniących błyszczącymi cugłami i uździenicami. Jak chińskie cienie rysowały się profile znanych polityków i członków klubów, kiedy w wysokich dwukołowych pojazdach jechali odwiedzać wielkie domy i kluby na Pall Mall i Piccadilly; Carlton dla konserwatystów, Reform dla liberałów, Athenaeum dla ludzi wybitnych, Turf dla sportowców, Travellers' lub White's, Brook's czy Boodle's, gdzie panowie o podobnych poglądach prowadzili towarzyskie rozmowy. Sprawy rządu i imperium załatwiane były w „najlepszym klubie Londynu”, w Izbie Gmin, której sesje odbywały się w sezonie. Biblioteka, palarnia, jadalnia Izby, jej służba, kelnerzy i piwnice z winem stały na poziomie odpowiednim dla dżentelmena. Panie w szerokich kapeluszach i powłóczystych sukniach piły herbatę z posłami i ministrami na tarasie nad Tamizą, skąd mogły patrzeć na pełen episkopalnej godności Lambeth Palace po drugiej stronie rzeki i gdzie mogły plotkować o politycznych awansach.

Na obiadach w prywatnych domach, z lokajem za każdym krzesłem, panowie we frakach i białych krawatach prowadzili rozmowy z paniami o

gołych ramionach, okrytych obłokami tiulu, z diademami i gwiazdami na kunsztownie upiętych włosach. Konwersacja, wcale niebanalna, stanowiła sztukę, „której opanowanie nadawało prestiżu”. W operze, modnej dzięki jej najenergiczniej szej patronce, lady de Grey, Nellie Melba śpiewała swoim czystym anielskim sopranem duety miłosne z przystojnym ulubieńcem publiczności Janem Reszke. W łoży królewskiej jaśniała jak zjawisko lady Warwick w aksamitnej wydekoltoowanej toalecie z „kilku tylko brylantami na tle mefistofelesowskiej purpury sukni” i ze szkarłatną egretą we włosach. Szereg lornetek podnosiło się, żeby zobaczyć, co ma na sobie lady de Grey, rywalizująca z nią o tytuł najlepiej ubranej kobiety w Londynie. Później, na przyjęciach u lady de Grey, zwanych „bohema w diademach”, bywała niekiedy sama pani Melba i książę Walii oraz — przed nieszczęsnym dla niego rokiem 1895 — Oscar Wilde. Co wieczór odbywały się przyjęcia polityczne trwające do północy albo tańce ciągnące się do białego rana. Na szczycie szerokiego łuku schodów, w blasku diamentów diuszesa Devonshire lub lady Londonderry, obydwie uważane za wyrocznie eleganckiego towarzystwa, przyjmowały szereg wybitnych gości, podczas gdy majordomus oznajmiał stentorowym głosem z całym rytuałem tytułów: „jego książęca mość... jej wysokość... wielce czcigodny... lord i lady... jego ekscelencja ambasador...”, a na dole na oświetlonym lampami placu lokaj wzywał okrzykami pojazd jakiegoś odjeżdżającego lorda.

Wytworne towarzystwo dzieliło się na kilka grup, które jednak częściowo na siebie zachodziły tak, że przynależność do nich nie była ściśle rozgraniczona.

Grupie „lekkoduchów” (*fast*), czy sportowców, z Marlborough House przewodził książę Walii, postać królewska, choć zażywna, z brzuszkiem i cygarem w ustach; miał on charakterystyczne dla dynastii hanowerskiej wydatne rysy twarzy i nosił krótką, siwą bródkę. Książę, towarzyski, o eklektycznych poglądach, znudzony szarą monotonością królewskiego regulaminu narzucanego przez matkę, jak wszyscy, którzy temu regulaminowi podlegali, dopuszczał do swego arystokratycznego kręgu ludzi z zewnątrz wprowadzających ożywienie: Amerykanów, Żydów, bankierów i maklerów, czasem nawet jakiegoś fabrykanta, badacza lub inną w danej chwili sławną osobę — musieli oni jednak być albo piękni, albo bogaci, albo zabawni. Urzędowo książę spotykał się z każdym: do jego osobistych przyjaciół należeli niektórzy najzdolniejsi ludzie w kraju, jak admirał sir John

Fisher. Złośliwą plotką było twierdzenie, że nigdy nie czytał żadnej książki. Prawda, ze wszystkich żyjących autorów najbardziej lubił Marię Corelli, ale jednak przeczytał „z jak największym zainteresowaniem” pierwszą książkę porucznika Winstona Churchilla, *The Malakand Field Force*, i wysłał do autora uprzejmy i pochlebny list, w którym pisał, że uważa „opisy i język za na ogół znakomite”. W jego kręgu jednak intelektualiści czy literaci nie byli mile widziani, a zdolności nie ceniono, ponieważ, jak twierdziła lady Warwick, ludzie z towarzystwa, lub z tej jego części, „nie chcieli, aby zmuszano ich do myślenia”. Lubili oni przyjemności, byli nieobliczalni, bezmyślni i szalenie rozrzutni; odnosili się niechętnie do przybyszów, zwłaszcza do Żydów, „nie dlatego, że nie lubili ich indywidualnie, bo niektórzy z nich byli uroczy, nawet świetni, ale dlatego, że odznaczeni się rozumem i znali się na sprawach finansowych”. To właśnie szczególnie ich niepokoiło, bo ludzie z towarzystwa absolutnie nie chcieli myśleć o robieniu pieniędzy, a jedynie o ich wydawaniu.

Po prawicy sportowców znajdowali się „Nieprzejednani” („Incorruptibles”), surowe, reakcyjne, stare rodziny o silnym poczuciu klasowym, które uważały krąg księcia za „wulgarny”, a siebie za podtrzymujących właściwy ton towarzyski. Każdą rodzinę otaczała gromada biedniejszych kuzynów wiejskich, którzy pojawiali się w Londynie raz lub dwa razy w życiu, aby wprowadzić w świat córkę, poza tym jednak prawie nie wychodzili poza wiek osiemnasty. Grupę bardziej na lewo stanowili „Intelektualiści” lub „Dusze” („Souls”), którzy, jak wokół słońca, krążyli w uwielbieniu wokół ośrodka, Arthura Balfoura, siostrzeńca lorda Salisbury, najznakomitszego i najpopularniejszego człowieka w Londynie. Do grupy tej należeli ludzie bardzo wykształceni, inteligentni, pewni siebie i pełni samouwielbienia. Lubili przebywać w swoim gronie, podobnie jak przystojny mężczyzna lub kobieta lubi wdziąć się do swego odbicia w lustrze. „Siedzicie tu sobie wszyscy i rozmawiacie o swoich duszach — zauważył lord Charles Beresford w czasie jakiegoś obiadu w roku 1888. — Będę was nazywał Duszami”. Ta nazwa przyłgnęła do nich. Lord Charles, admirał marynarki, prawdziwa ozdoba grupy księcia Walii, sam nie należał do „Dusz”, choć ożeniony był z niezwykłą kobietą, która wkładała diadem do sukni popołudniowej, a Sargent namalował jej portret z dwoma parami brwi, gdyż — jak tłumaczył — miała dwie pary, jedną prawdziwą i drugą narysowaną nad nią ołówkiem.

Wszyscy mężczyźni należący do „Dusz” zajmowali się polityką i prawie wszyscy byli wiceministrami w rządzie lorda Salisbury. Jeden z przywódców grupy, George Wyndham, napisał książkę o francuskich poetach oraz wstęp do *Plutarcha* Northa; sprawował on funkcję prywatnego sekretarza parlamentarnego Balfoura, a w roku 1898 został mianowany podsekretarzem w Ministerstwie Wojny, mimo niechętniej uwagi lorda Salisbury: „Nie lubię poetów”. George Curzon, wiceminister spraw zagranicznych, mający wkrótce zostać wicekrólem Indii, zaliczał się także do „Dusz”, podobnie St. John Brodrick, późniejszy minister wojny. Obydwaj mieli odziedziczyć tytuł para i protestowali na próżno przeciw przewidywanej konieczności przejścia do Izby Lordów. Należało tam również kilku spowinowaconych z rodziną Tennantów: Alfred Lyttelton, mistrz krykieta, który miał później zostać ministrem kolonii i który poślubił Laurę Tennant niedługo przed jej śmiercią; lord Ribblesdale, ożeniony z Charlotte Tennant; trzecia siostra, niepoohamowana Margot, wyszła za ustępującego ministra spraw wewnętrznych, liberała Asquitha; na jej ślubie obecnych było dwóch byłych premierów, Gladstone i lord Rosebery, oraz dwóch przyszłych, Balfour i pan młody. Pośród członków grupy szczególnym uznaniem cieszył się Harry Cust, dziedzic magnackiej posiadłości Brownlow, erudyta i sportowiec, o błyskotliwym dowcipie; ponieważ miał dobrą opinię, mimo braku doświadczenia poproszono go w czasie jakiegoś obiadu, aby został redaktorem „Pall Mall Gazette”. Przyjął natychmiast propozycję i sprawował tę funkcję przez cztery lata. Jednak jego kariera polityczna, tak dobrze się zapowiadająca, ucierpiała wskutek pewnej słabostki, mianowicie „fatalnego pobłażania sobie” w odniesieniu do kobiet — które uważały go za „nieodparcie pociągającego”.

Do elity towarzyskiej należało grono nieliczne i niejednorodne — warunkiem *sine qua non* było posiadanie ziemi. Jeśli ktoś z zewnątrz chciał wejść w tę sferę, musiał najpierw nabyć majątek ziemski i zamieszkać w nim, choć i to nie zawsze wystarczało. John Morley, w owym czasie członek gabinetu, przebywając z wizytą w Skibo, gdzie Andrew Carnegie urządził basen kąpielowy, pokazał ten basen towarzyszącemu mu detektywowi i zapytał go o zdanie. „No cóż, sir — odpowiedział rozsądny detektyw — wydaje mi się, że to pachnie parweniuszem”.

W „znakomitym i możnym gronie”, jak je nazwał Winston Churchill, złożonym z dwustu wielkich rodzin, które od pokoleń rządziły Anglią,

wszyscy się znali lub byli z sobą spokrewnieni. Ponieważ poczucie wyższości i dobre warunki materialne nakładały na arystokrację obowiązek rozmnażania się, mieli skłonność do dużych rodzin; dzieci było zazwyczaj pięcioro lub sześcioro, nierzadko siedmioro lub ośmioro, a zdarzało się także dziewięcioro i więcej. Książę Abercorn, ojciec lorda George'a Hamiltona, członka rządu Salisbury'ego, miał sześciu synów i siedem córek; czwarty baron Lyttelton, szwagier Gladstone'a i ojciec Alfreda Lytteltona, miał ośmiu synów i cztery córki; książę Argyll, minister do spraw Indii za Gladstone'a, miał dwanaścioro dzieci. Wskutek małżeństw tak dużego rodzeństwa, a często powtórných małżeństw, każdy był spowinowacony z tuzinem innych rodzin. Ludzie, widujący się z sobą codziennie, w swoich domach, na wyścigach i polowaniach, na regatach, w Akademii Królewskiej, na dworze i w Parlamencie, przeważnie spotykali swoich kuzynów, albo wuja szwagra, siostrę ojczyma, czy siostrzeńca ciotki z drugiej strony. Kiedy premier tworzył rząd, niektórzy z jego ministrów byli spowinowaceni z nim lub między sobą, co nie świadczyło wcale o nepotyzmie, lecz wynikało z sytuacji. W gabinecie z roku 1895 lord Lansdowne, minister wojny, miał za żonę siostrę lorda George'a Hamiltona, ministra do spraw Indii, a córka Lansdowne'a była żoną bratanka i dziedzica diuka Devonshire, przewodniczącego Rady.

Ktoś się wyraził, że rządzący krajem „znają się doskonale, zupełnie niezależnie od Westminsteru”. Chodzili razem do szkoły i do jednego z dwóch uprzywilejowanych college'ow, Christ Church w Oxfordzie lub Trinity College w Cambridge. Stąd w naturalny sposób wyrastali premierzy — między innymi lord Rosebery i lord Salisbury oraz ich bezpośredni następcy, Balfour i sir Henry Campbell-Bannerman z Trinity College. Kuźnią mężów stanu był jednak Balliol; szacowny dyrektor tego college'u, Benjamin Jowett, przyznawał się otwarcie, że swoje talenty pedagogiczne poświęca inteligentnym studentom, którzy „dzięki pozycji społecznej mogą osiągać wysokie stanowiska w służbie państwowej”. Christ Church, nazywany po prostu „Domem”, stanowił specjalny ośrodek bogatej arystokracji ziemskiej. Za czasów młodości ludzi, którzy rządili Anglią w latach dziewięćdziesiątych, na czele tego college'u stał dziekan Liddell, wyjątkowo przystojny, wytworny mężczyzna o wielkiej ogładzie towarzyskiej; jego córkę, Alicję, otaczał niezmiennym uwielbieniem skromny wykładowca matematyki, Charles Dodgson. Głównymi zajęciami w „Domu” były gonitwy za lisem, wyścigi, niezbyt poważny rodzaj krykieta i „nieustający ciąg

obiadów w towarzystwie kolegów”, którzy mieli się za najlepszych w świecie.

Kiedy ludzie ci w późniejszym życiu pisali swoje pamiętniki, początkowe strony roiły się od przypisów wyjaśniających, że Charles, Arthur, William i Francis z lat szkolnych autora, to, zależnie od okoliczności, „później dowódca Sztabu Generalnego Imperium” lub „później biskup Southampton”, lub przewodniczący Izby czy poseł w Atenach. Lata zażyłości sprawiały, że znali nawzajem swoje charaktery i że mogli siebie wzajemnie prosić o przysługi. Kiedy dwudziestotrzyletni Winston Churchill chciał się przyłączyć do wyprawy do Sudanu mimo zdecydowanego sprzeciwu głównodowodzącego sir Herberta Kitchenera, sprawa okazała się jednak możliwa do załatwienia. Dziadek Winstona, siódmy diuk Marlborough, był kolegą lorda Salisbury w rządzie Disraeliego; lord Salisbury jako premier wysłuchał życzliwie młodego człowieka i przyrzekł pomoc. Winston, stwierdziwszy, że pomoc ta potrzebna jest zaraz, zwrócił się do prywatnego sekretarza, sir Schomberga McDonnella, „którego od dzieciństwa widywałem i spotykałem w towarzystwie”. Winston zastał go przebierającego się do obiadu; wysłuchawszy, o co chodzi, ten elegancki pan powiedział: „Zrobię to zaraz”, i poszedł, rezygnując z obiadu. W ten sposób załatwiała się sprawa.

Wszystkich kształcono według jednego modelu, przy czym nie tyle chodziło o wyrobienie zamiłowania do nauki lub ścisłego umysłu, ile raczej o pełne wdzięku dostojeństwo upoważniające do statusu angielskiego dżentelmena i o przekonanie, że status ten jest najwyższym dobrem człowieka na ziemi. Z drugiej strony status dżentelmena nakładał odpowiednie zobowiązania. W Eton w pokoju każdego chłopca wisiał sławny obraz lady Butler przedstawiający klęskę pod Majubą i oficera z podniesionym mieczem, rzucającego się do ataku na pewną śmierć, z okrzykiem „*Floreat Etona!*”. Wpajanie takiego ducha mogło, jak twierdzono, powodować u brytyjskich oficerów przewagę odwagi nad strategią. Być etończykiem oznaczało jednak „przyswoić sobie bez wysiłku poczucie wyższości i dać się ukołysać przez świadomość nienaruszalnego prymatu”. Odziani w taki pancerz, z pogodną ufnością żyli w swoim świecie i żalowali tych, którzy do niego nie należeli. Kiedy sir Charles Tennant i jego partner w golfie przygotowywali się do uderzenia, a jakiś obcy przerwał im niegrzecznie, wysunął się naprzód i umieścił swoją piłkę na *tee*, rozwścieczony partner omal nie wybuchnął. Sir Charles uspokajał go: „Niech

się pan na niego nie gniewa. Może ten biedak nie jest prawdziwym dżentelmenem — biedak”.

Magiczny status angielskiego dżentelmena stanowił przedmiot zazdrości i naśladownictwa całej kontynentalnej arystokracji (może z wyjątkiem Rosjan, mówiących po francusku i nie naśladowujących nikogo). Arystokraci niemieccy uparcie żenili się z Angielkami, nosili tweedy i raglanowe płaszcze, a we Francji życie *haut monde* skupiało się wokół Jockey Clubu, jego członkowie grali w polo, pili whisky i dawali się portretować w myśliwskich kurtkach przez Helleu, będącego francuskim odpowiednikiem Sargenta.

Nie przypadkiem o owym podziwianym modelu myślano w kategoriach jeździeckich. Trudno było sobie wyobrazić angielskiego dżentelmena bez jego konia. Odkąd pierwszy człowiek siadając na koniu zyskał korzystniejszą postawę i większą szybkość (a po wynalezieniu strzemienia także większą siłę pchnięcia w bitwie), koń decydował o różnicy między rządzącym a rządzonym. Człowiek na koniu symbolizował władzę. Arystokracja angielska jak żadna inna klasa na świecie czuła się związana z koniem, który stanowił atrybut jej władzy. Gdy pewien współczesny pisarz chciał przedstawić punkt widzenia oligarchii okręgu, posłużył się terminologią jeździecką: w ich pojęciu, pisał, społeczeństwo składało się „z nielicznej, wyborowej arystokracji, urodzonej w butach i ostrogach po to, aby jeździć na koniu, i z wielkiej, bezimiennej masy, urodzonej z siodłem na grzbiecie i uzdą po to, aby służyła za konia”.

W roku 1895 koń był wciąż jeszcze równie wszechobecny w życiu klasy wyższej i równie od niej nieodłączny jak służący, ale niepomiernie bardziej pieoszony. Stanowił środek lokomocji, dostarczał zajęcia i tematu do rozmów. Wzbudzał miłość, odwagę, poezję i fizyczne męstwo. Nie mogłyby istnieć bez niego wyścigi, sport królów, ani kawaleria, elita wojska. Kiedy jakiś angielski patrycjusz wspominał z nostalgią młodość, myślał o niej jako o okresie, „kiedy patrzyłem na życie z siodła i czułem się prawie jak w niebie”.

Galeria Tattersall, gdzie w niedzielę wieczór zbierało się towarzystwo, aby obejrzyć konie przed poniedziałkową sprzedażą, robiła wrażenie niemal tak wytworne jak opera. Ludzie nie ograniczali się do chodzenia na wyścigi w Newmarket: starali się nabywać albo wynajmować domy w sąsiedztwie i mieszkali tam podczas zawodów. Wyścigami kierowało trzech gospodarzy

Jockey Clubu, a od ich decyzji nie było odwołania. Trzech ministrów gabinetu lorda Salisbury sprawowało w różnych okresach funkcję gospodarzy Jockey Clubu: Henry Chaplin, hrabia Cadogan i diuk Devonshire. Posiadanie stadniny i hodowanie koni wyścigowych wymagało wielkiego majątku. Kiedy lord Rosebery, poślubiwszy Rothschildównę, wygrał Derby w roku 1894, będąc premierem, otrzymał od Chaunceya Depew z Ameryki telegram: „Już tylko niebo ci pozostało”. Okazało się jednak, że Depew w swoim telegramie zbyt nisko ocenił szanse lorda Rosebery, wygrał on Derby jeszcze dwa razy, w roku 1895 i w 1905. W 1896 wygrał je dla księcia Walii jego duży, długi gniadosz, Persimmon, wyhodowany w jego własnej stadninie, po raz drugi w 1900 brat Persimmona, Diamond Jubilee, a po raz trzeci w 1909, kiedy księżę został już królem, koń Minoru. To pierwsze zwycięstwo panującego monarchy uważano za najwspanialsze wydarzenie w Epsom. Kiedy w Tattenham Comer królewskie kolory, purpura, szkarłat i złoto, Wysunęły się naprzód, tłum zaryczał; kiedy Minoru, biegnący łeb w łeb ze swym rywalem, wyprzedził go w szalonym galopie Wzdłuż bariery, ludzie szaleli z podniecenia, a kiedy wygrał o głowę, płakali z zachwytu. Przerwali sznur, klepali króla po plecach, ściskali mu rękę i „nawet policjanci machali hełmami i wiwatowali do ochrypięcia”.

Można się było również wyróżnić przez doskonałe powożenie. I tak lord Londesborough, prezes Klubu Czterokonnych, Four-in-Hand Club, który posiadał szykowną uprzęż i powoził końmi o niezwykłym „połysku, szybkości i stylu”, zyskał sobie przydomek swell — określenie osoby odznaczającej się elegancją i dostojnością. Koń przy powozie był czymś więcej niż ozdobą: był nieodzownym środkiem transportu i dlatego człowiek był od niego uzależniony. Kiedy w 1900 roku siostrzenica Karola Darwina pojechała zobaczyć się z lordem Robertsem, udającym się statkiem do Afryki Południowej, zobaczyła tylko statek, ale nie lorda Roberta, „bo powóz musiał wrócić do domu, żeby konie się nie zmęczyły”. Kiedy jej ciotka Sara, żona Williama Darwina, robiła zakupy w Cambridge, wysiadała przy najmniejszym wzgórzu i szła piechotą za powozem, a jeśli miała do załatwienia sprawy w odległości większej niż dziesięć mil, odsyłała powóz i konie do domu i kończyła swoje wizyty w dorożce.

Prawdziwa namiętność koniarza wyrażała się jednak najsilniej w gonitwie z ogarami. Wilfrid Scawen Blunt pisał w jednym swym sonecie, że

galopować przez wzgórza z ogarami i jeźdźcami to czuć, „że mój koń ma skrzydła, a ja sam jestem Bogiem”. Człowiek w gonitwie za lisem nigdy nie miał dość emocji, niebezpieczeństw i uroków polowania; należały do nich zawodzenia myśliwskiego rogu, skowyt psów, przebiegający pędem jeźdźcy w czerwonych kurtkach i ubrane na czarno panie na damskich siodłach, przeskakiwanie w locie wałów, płotów, kamiennych murów i rowów, a nawet upadki, połamane kości i marznięcie aż do bólu w czasie jazdy do domu w zimie. Jeśli w tym okresie ludzie z klasy uprzywilejowanej rozkoszowali się życiem, to w czasie polowania dochodzili do stanu upojenia. Miłośnicy tego sportu — mężczyźni czy kobiety — uczestniczyli w gonitwach z ogarami przez pięć, a niekiedy sześć dni w tygodniu. Mówiono o Knoxie, prywatnym kapelanie diuka Rutlanda, że nosił buty i ostrogi pod swą sutanną i komzą i że „myślał o koniach nawet na ambonie”. Rodzina diuka orientowała się zawsze po tempie, w jakim Knox odprawiał modlitwę poranną, czy poluje on w tym dniu.

Henry Chaplin, cieszący się popularnością „Squire” („Dziedzic”) w gabinecie lorda Salisbury, uważany za prototyp angielskiego szlachcica wiejskiego, traktował bardzo poważnie swoją funkcję przedstawiciela interesów rolnictwa w Parlamencie i równie poważnie funkcję łowczego, tak że nie mógł się zdecydować, które z tych obowiązków mają pierwszeństwo. W czasie debaty lub posiedzenia gabinetu szkicował konie na urzędowych papierach. Jeśli jego obecność jako ministra była konieczna w czasie interpelacji, specjalny pociąg czekał, aby zabrać go następnego rana tam, gdzie miało się zacząć polowanie. Pociąg stawał gdzieś między stacjami, pan Chaplin wysiadał w białych bryczesach i szkarłatnej kurtce, przechodził przez nasyp, a tam czekał na niego stajenny i konie. Ważył 250 funtów i dlatego ustawicznie poszukiwał koni dość dużych, aby mogły go unieść, i często „wypróbowywał dokładnie kilka w ciągu jednego dnia”. „Przedstawiał wspaniały widok, gdy na jednym ze swych wielkich koni rzucał się na płot”. Pewnego razu jedynym wyjściem z pola okazała się wyrwa w wysokim ogrodzeniu, gdzie zasadzono młode drzewko, otoczone żelazną klatką wysokości 4 stóp i 6 cali. „Rozległy się wołania o siekierę lub nóż, a wtedy nadjechał «Squire» z szybkością 40 mil na godzinę, z monoklem w oku, nie widząc nic, tylko wyrwę w ogrodzeniu. Nie dał się zatrzymać, nie zatrzymało go też młode drzewko, bo ciężar jeźdźca i konia złamał je tak dokładnie, jakby się złamało cienki kij; popędził dalej nie mając pojęcia, że było tam w ogóle jakieś drzewo”.

Funkcja łowczego, który odpowiadał za hodowlę i utrzymanie sfory psów, a oprócz tego utrzymywał własną stajnię, pociągała za sobą niemałe koszty. Namiętność Chaplina popychała go do takiej rozrzutności, że w pewnym okresie trzymał dwie sfory, jeździł na polowanie z dwoma grupami, a że równocześnie posiadał stadninę wyścigową, las z płową zwierzyną w Szkocji i podejmował kosztownego przyjaciela, księcia Walii, w końcu zrujnował się i stracił majątek rodzinny. W roku 1911, kiedy miał ponad siedemdziesiąt lat, podczas jednego z ostatnich swoich polowań spadł z konia i złamał dwa żebra, tak że przebiły mu płuco, nalegał jednak, aby przed odwiezieniem go do domu zatrzymać się w najbliższym miasteczku i zatelegrafować do czuwającego nad dyscypliną członka Partii Konserwatywnej w Izbie Gmin, że nie będzie obecny na głosowaniu tego popołudnia.

George Wyndham, który w roku 1902 miał otrzymać funkcję w gabinecie jako minister do spraw Irlandii, dzielił swój czas, podobnie jak Chaplin, między namiętność do polowania i obowiązki polityczne. U Wyndhama z poczuciem obowiązku łączył się cień ambicji, postanowił on bowiem zostać premierem. Ponieważ pisał także poezje, interesował się literaturą i sztuką, w życiu swym stawał często przed trudnym wyborem. Przyjaciel sportowiec radził, aby nie „poświęcał życia polityce, i dawał jako odstraszcający przykład Harry'ego Chaplina, po którym w młodości spodziewano się większych rzeczy”. Trudno było się nie zgodzić i gardzić urokami beztroskiego życia, kiedy to dżentelmeni schodzili na śniadanie w swych różowych kurtkach i fartuchach chroniących ich śnieżnobiałe bryczesy lub kiedy w wieczór Bożego Narodzenia, jak to opisywał Wyndham: „siedziało nas trzydziestu dziewięciu przy obiedzie”, i trzydziestu polowało następnego dnia. „Dziś znowu wyszliśmy wszyscy... Trzech z nas pognało naprzód (pięćdziesiąt długości przed najbliższymi z tyłu). Reszta zniknęła z oczu. Rozstawiliśmy się na polu. Przy tak ostrym tempie nie dało się wybierać miejsca jard po jardzie. Zostawiliśmy po prostu wszystko swemu biegowi; ogary ujadały u naszego boku. Nikt nie mógł posunąć się nawet o cal. Takie chwile... to są właśnie przyjemności polowania. Nie ma nic piękniejszego”.

Najstarszą rolą jeźdźca, starszą niż gonitwa za lisem, jest jego rola na wojnie. Oficerowie kawalerii uważali się za śmietankę armii; w istocie odznaczali się raczej prestiżem towarzyskim niż rozważą czy wyobraźnią. Byli „pewni siebie — pisał pewien oficer kawalerii, wspominając później ten

okres — tą wspaniałą pewnością, jaką w owym czasie dawała młodość i przynależność do ich klasy i kraju”. W pierwszych latach służby w pułku, gdzie codziennie pili porto i co tydzień spadali z konia na głowę, pozostawali stale w ”tym stanie chronicznego ogłuszenia, do j akiego dążył każdy oficer kawalerii”. Z pasją uprawiali polo, którego indyjskie pułki uczyły się na jego rodzinnym gruncie; szarżę kawalerii uważali za istotę i szczyt strategii, z kawalerii wywodzili się najwyżsi dowódcy wojskowi kraju. Wierzyli w szarżę kawalerii tak, jak wierzyli w Kościół anglikański. Klasycznym typem oficera kawalerii był bliski przyjaciel księcia Walii, „wyróżniający się na dworze, w klubach, na polowaniach... jedna z najświetniejszych gwiazd londyńskiego towarzystwa”, wspaniała, jowialna postać, pułkownik Brabazon z Dziesiątego Pułku Huzarów. Miał sześć stóp wzrostu, wyraziste, regularne rysy, jasne szare oczy, wystającą szczękę, wąsy, jakich kajzer mógłby mu pozazdrościć, i odpowiednie do tego wszystkie poglądy. W 1902 roku generał Brabazon (był wówczas w tej randze) informując Komitet Obrony Imperium o swoich doświadczeniach wyniesionych z wojny burskiej, w której dowodził formacją brytyjskiej królewskiej kawalerii, „zelektryzował komisję opowiadaniem o swoich osobistych wyczynach w walce wręcz i o swoich teoriach posługiwania się bronią kawaleryjską w wojnie”. W swym sprawozdaniu dał też wyraz — jak informował króla lord Esher — „uporczywej nieufności do broni dostarczanej kawalerii i swojej preferencji do taktyki starcia ludzi uzbrojonych w tomahawki”. Składając swoje oświadczenie „w sposób wysoce charakterystyczny dla tego dzielnego oficera... rysował szkice szarży kawalerii w tych warunkach, co zupełnie sparaliżowało wyobraźnię członków komisji”. W następnej kolejności wysłuchali pułkownika Douglasa Haiga, będącego wówczas dowódcą sztabu dywizji kawalerii w wojnie południowoafrykańskiej; ten ubolewał nad propozycją odrzucenia lancy i zapewniał, że uważa *arme blanche*, to jest kawaleryjską szablę, za skuteczną broń.

Patrycjusz angielski rozkwitał w swym naturalnym klimacie, to jest w domu na wsi, wśród swych dzierzawców i chałupników, wśród plonów i zwierząt, w posiadłości, która dominowała w życiu okręgu, gdzie „Dwór” był dużym zespołem, a wieś małym, na ziemi, którą jego rodzina od pokoleń posiadała i uprawiała, którą wydzierżawiała i z której pobierała dochody. Od dzieciństwa żył tu blisko z przyrodą, z niebem i drzewami, z polami i ptakami, ze zwierzyną w lesie. „Korzystaliliśmy z bogatego daru, niezrównanej piękności domów, w których nas wychowano”, pisała lady

Frances Balfour. Okazałe domy — Blenheim diuków Marlborough, Chatsworth diuków Devonshire, Wilton hrabiów Pembroke, Warwick Castle hrabiów Warwick, Knole Sackville'ow, Hatfield Salisbury — miały po trzysta lub czterysta pokoi, setkę kominów i dachy mierzone w akrach. Inne, nie tak okazałe, zamieszkałe były przez jeszcze dłuższy czas, jak np. Renishaw, siedziba rodziny Sitwellów od co najmniej siedmiuset lat. Właściciele, wielcy czy mali, stale dodawali coś do domu lub przerabiali go, upiększali krajobraz. Usuwali lub wznosili pagórki, wyczarowywali jeziora, zmieniali kierunek strumieni, wycinali w swych lasach perspektywy widokowe z marmurowym pawilonem na końcu, aby zatrzymać wzrok.

Domy mnożyły się. Dom w mieście, posiadłość rodzinna, drugi dom na wsi, domek myśliwski w północnym hrabstwie, jeszcze jeden w Szkocji, w miarę możliwości zamek w Irlandii, wszystko to nie należało do rzadkości. Lord Salisbury posiadał nie tylko Hatfield i dom w Londynie przy Arlington Street, ale także rezydencję w Cranborne, Dorsetshire, willę we Francji; gdyby uprawiał sport, miałby pewnie jeszcze coś w Szkocji lub stadninę w pobliżu Epsom czy Newmarket. Sto piętnaście osób w Wielkiej Brytanii posiadało majątki powyżej 50 000 akrów, a czterdzieści pięć z nich powyżej 100 000 akrów, z czego jednak dużą część stanowiły nieużytki w Szkocji, przynoszące znikome dochody. Sześćdziesiąt parę osób, sami parowie, posiadało ponad 50 000 akrów ziemi i dochód ponad 50 000 funtów rocznie, a piętnastu z nich — siedmiu diuków, trzech markizów, trzej hrabiowie, jeden baron i jeden baronet — miało dochody z ziemi przekraczające 100 000. W całej Wielkiej Brytanii na 44 500 000 ludności 2 500 właścicieli ziemskich posiadało więcej niż po 3 000 akrów i czerpało dochody z ziemi przekraczające 3 000 funtów.

Podatku dochodowego nie płaciło się od dochodów poniżej 160 funtów, a do tej kategorii należało około osiemnastu do dwudziestu milionów ludzi. W tej grupie około trzech milionów stanowili urzędnicy lub pracujący w usługach — ekspedienci, sklepikarze, handlowcy, oberżyści, farmerzy, nauczyciele — którzy zarabiali przeciętnie 75 funtów rocznie. Robotników fizycznych było piętnaście i pół miliona, licząc w tym żołnierzy, marynarzy, listonoszy, policjantów i tych pracowników rolnych czy domowych, którzy zarabiali mniej niż 50 funtów rocznie. Za „granicę ubóstwa” uważano 55 funtów rocznie, czyli 21 szylingów 8 pensów tygodniowo dla rodziny składającej się z pięciu osób. Służący domowi spali na poddaszach lub w

suterenach bez okien. Wyrobnicy rolni mieszkali w domach, za które płacili szylinga tygodniowo; pracowali w polu kosą, pługiem i sierpem od chwili, kiedy zagrzmiał wielki róg — o godzinie piątej rano — do zmroku. Gdy ich domy przeciekały lub butwiały, naprawa zależała od pana, a jeśli pan nie zatroszczył się o nich, gdy już utracili zdolność zarobkowania, kończyli swe życie w przytułku. Służący w majątku — stajenni, ogrodnicy, cieśle, kowale, mleczarze i pomagający w polu — których rodziny mieszkaly na tej ziemi tak długo jak właściciele, służyli „żarliwie i z całego serca... Byli z tego dumni”.

Od rozpoczęcia sezonu na kuropatwy w sierpniu do otwarcia Parlamentu w styczniu wielcy właściciele ziemscy podejmowali się wzajem nieustannie na przyjęciach trwających tydzień. Gości przyjeżdżało dwudziestu do pięćdziesięciu, a ponieważ każdy gość zabierał ze sobą służącego, gospodarz żywił około stu osób, a raz w Chatsworth przez cały czas przyjęcia przebywało czterystu dodatkowych stołowników. Do ulubionych zajęć należało polowanie, które polegało na tym, że w asyście ładowacza i trzech lub czterech myśliwych trzeba było wykazać dość wytrwałości i umiejętności strzeleckich, żeby przynieść jak największy worek drobnej zwierzyny, wypłoszonej ze swych kryjówek przez armię naganiaczy. Ziemianie wędrowali nieustannie z hrabstwa do hrabstwa, do Szkocji i z powrotem, znacząc swój ślad wieloma tysiącami zabitych ptaków i zajęcy: polowanie z księciem Walii w Sandringham, polowanie z ogarami diuka Beaufort w Wiltshire (w niebieskich i żółtych kurtkach zamiast w czerwonych), polowanie „na wychodnego” wśród szkockich jezior, turni i bezdroży leśnych („Proszę się schylić, panie dziedzicu, proszę się nie podnosić — szeptał pomocnik do Chaplina, zmuszonego wypełznąć na otwartą przestrzeń, aby znaleźć się w odległości strzału od swego jelenia — pan jest tak wspaniale zbudowany w biodrach, że zwierzę może pana zobaczyć”), przyjęcia w święta Bożego Narodzenia lub przyjęcia z okazji dojścia do pełnoletności, a od czasu do czasu wyjazd do Homburga lub Marienbadu, aby oczyścić przesycone żołądki i móc zacząć na nowo.

Przedpołudnia dżentelmeni spędzali na terenach łowieckich: panie schodziły na śniadanie w kapeluszach, a przy popołudniowej herbacie królowały w wyszukanych, powłóczystych sukniach popołudniowych, niekiedy z „jedwabiu *eau de Nil*, udrapowanego mieniącym się złoto *mousseline de soie*, oblamowanych sobolami na dole i przy dekolcie”. Później następował uroczysty obiad w strojach wieczorowych. Przez cały

dzień tłumy służących kręciły się bezszelestnie; wcześniej rano przynosili herbatę i „Timesa”, wnosili na górę wodę do kąpeli i węgiel do kominków, wkładali do wazonów codziennie świeże kwiaty, informowali szeptem: „Jego książęca mość jest w Długiej Bibliotece”, uderzali w gong w porze posiłków, a wieczorem pokojowe czekały, aby zdjąć pani gorset przed jej pójściem do łóżka.

W czasie przyjęcia w prywatnym domu nazwisko każdego gościa wypisywano na karcie i umieszczano w mosiężnych ramkach na drzwiach jego pokoju; taka sama karta z nazwiskiem znajdowała się na tablicy w pokoju kredensowym, przy odpowiednim dzwonku. Przy wyznaczaniu pokoi należało uwzględniać uznane, choć nie ujawnione romanse. Dopóki partnerzy tych wiarołomstw zamkniętych w czterech ścianach zachowywali się na tyle dyskretnie, aby nie wywołać publicznego skandalu ze strony znieważonej żony lub męża rogakza, mogli robić, co im się podoba. Natomiast pod żadnym pozorem nie wolno było dopuścić do ujawnienia wiarołomstwa wobec klasy niższej. Pod tym względem kodeks był surowy. W obrębie zamkniętego kręgu klasy rządzącej zdradzenie jakiegoś członka grupy uważano za grzech niewybaczalny; nie wolno było zwracać się do sądu rozwodowego, niedopuszczalny był rozgłos, który mógłby zdyskredytować przedstawicieli klasy jako takiej. Jeśli jakiś mąż, ku ogólnemu żalowi, absolutnie nie chciał ustąpić i groził skargą, wszyscy arbitrzy towarzystwa, w razie potrzeby także książę Walii (choć sam nie bez skazy), łączyli swe wysiłki, aby go powstrzymać. Przypominali mu, że nie powinien tak demaskować swojej sfery. Obowiązkiem jego jest zachować pozory i nieskalane czoło wobec spóółstwa. Pokonany poddawał się, nawet jeśli go to miało wiele kosztować. W jednym przypadku na przykład mąż przez dwadzieścia lat nie rozmawiał ze swoją żoną, chyba tylko przy świadkach.

W tym luksusowym, bogatym świecie pobłażanie sobie uważano za prawo naturalne. Znani ekscentrycy, jak nocny Marek, diuk Portland, robiący dzień z nocy, lub nieopanowani autokraci, jak sir George Sitwell i sir William Eden, byli jedynie przedstawicielami swojej klasy, którzy zatracili wszelką miarę w swym przyzwyczajeniu stawiania na swoim. Na ogół jednak mogli bez trudu pozwolić sobie na uprzejmość, gdyż uczyniono wszystko, aby zapewnić im wygody, swobodę, aby życie wielkich i bogatych stało się możliwie nieprzerwanym pasmem przyjemności.

Zachowywali się wskutek tego po wielkopańsku. Kiedy pułkownik

Brabazon, który, zgodnie z ówczesną modą, udawał, że nie może wymówić „r”, spóźnił się na stację i poinformowano go, że pociąg do Londynu właśnie odszedł, zwrócił się do naczelnika stacji z poleceniem: „A więc puoszę mi spuowadzić dugi”. Panowie, którzy nie mieli ochoty marznąć czekając na wiejskiej stacyjce albo jechać powoli pociągiem lokalnym, przyzwyczaili się korzystać z pociągów specjalnych; podróż taka kosztowała średnio 25 funtów. Wielu spośród nich, podobnie jak królowa Wiktorja, nigdy nie widziało biletu kolejowego. Panie nosiły suknie projektowane wyłącznie dla nich przez Wortha lub Douceta; poświęcali oni każdej klientce tyle starań, jakby malowali jej portret. „Ażeby się odróżnić od innych”, Angielka z pochodzenia, piękna Daisy, księżna von Pless, miała „lamówkę z prawdziwych fiołków” przyszytą do trenu swej sukni dworskiej z przezroczystej koronki, podbitej błękitnym szyfonem i nakrapianej złotymi cekinami.

Patrycjusze dzięki swym przywilejom świetnie się rozwijali. Co najmniej pięciu najważniejszych ministrów w rządzie lorda Salisbury miało ponad sześć stóp wzrostu, dużo więcej niż normalny wzrost w owym czasie. Z dziewiętnastu członków gabinetu wszyscy z wyjątkiem dwóch przekroczyli siedemdziesiątkę, siedmiu przekroczyło osiemdziesiątkę, a dwóch dziewięćdziesiątkę, wszystko to w czasie, kiedy średnią życia dla mężczyzny oceniano przy urodzeniu na czterdzieści cztery lata, a po ukończeniu dwudziestu jeden lat — na sześćdziesiąt dwa. Dzięki szczególnie dobremu odżywianiu zyskiwali pewną właściwość, którą lady Warwick potrafiła określić jedynie słowami: „Mają postawę!”

Od czasu do czasu pomruk dochodzący z oddali wywoływał u nich niejasny lęk, że nadejdą zmiany, które popsują im zabawę. Po obiedzie przy porto panowie rozmawiali o rozwoju demokracji i groźbie socjalizmu. Karykatury w gazetach przedstawiały Johna Bulla patrzącego przez płot na byka zwanego świat pracy. Większość ludzi zdawała sobie sprawę z istnienia problemów, lecz nie wierzyła naprawdę w możliwość poważniejszej zmiany istniejącego stanu rzeczy; niektórzy jednak głęboko się niepokoiли. Młody Arthur Ponsonby, który widział co wieczór na nabrzeżu od Westminsteru do mostu Waterloo „tłum bezdomnych nędzarzy, nieszczęsnych wyrzutków, śpiących na ławkach” zerwał z dworską tradycją swego ojca i brata, stając się socjalistą. U lady Warwick życie poświęcone uganianiu się za przyjemnościami wywoływało dręczące wątpliwości, które starała się tłumaczyć

„okresowymi napadami filantropii”, oddając się im „z przemożnego pragnienia, aby przyczynić się do poprawy stanu rzeczy, i z głębokiego przekonania, że istniejący stan rzeczy nie jest właściwy”. W roku 1895, kiedy przeczytała w piśmie „Clarion” artykuł Roberta Blatchforda, wydawcy tego pisma, socjalisty, w którym atakował on Warwick Castle za bal wydany tam z okazji otrzymania przez jej męża tytułu, rozgniewana pospieszyła do Londynu, aby stawić czoło nieprzyjacielowi, zostawiając dom pełen gości. Wy tłumaczyła autorowi artykułu, że w czasie ostrej zimy, kiedy tyle ludzi nie miało pracy, uroczystości w Warwick dawały zatrudnienie. Pan Blatchford wyjaśnił swemu pięknemu gościowi istotę pracy produkcyjnej i zasady teorii socjalizmu. Lady Warwick wróciła do domu oszołomiona nowymi ideami i od tego czasu poświęcała ich propagowaniu swą energię, pieniądze i wpływy, ku wielkiemu niezadowoleniu swego otoczenia.

Reakcja lady Warwick stanowiła wyjątek i nie odzwierciedlała ogólnego nastawienia. Wielka Brytania jako naród przybierała w roku 1895 postawę beztroskiej wyższości, co irytowało jej sąsiadów. Postawa ta, zwana *splendid isolation*, wyrażała zarówno stan ducha, jak i faktyczną rzeczywistość. Wielka Brytania nie martwiła się na serio potencjalnymi wrogami, nie odczuwała potrzeby sojuszników i nie miała przyjaciół. W świecie, w którym energia innych narodów rozsadzała stare granice, niewielkie mogły być nadzieje na trwałość tego szczęśliwego stanu. 22 lipca, za ledwie w miesiąc od objęcia władzy przez rząd lorda Salisbury, spotkał się on z nagłym i zaskakującym wyzwaniem z nieoczekiwanej strony, ze strony Stanów Zjednoczonych. Sprawa dotyczyła spornej od dłuższego czasu granicy między Gujaną Brytyjską a Wenezuelą. Wenezuelczycy twierdzili, że Brytyjczycy rozszerzają swoje terytoria ich kosztem, z pogwałceniem doktryny Monroego, i prowokowali Stany Zjednoczone, aby otwały ten sławny parasol i zażądały arbitrażu. Wprawdzie amerykański prezydent Grover Cleveland wykazywał zazwyczaj rozsądek i rozumował logicznie, lecz jego rodaków ogarnęła rosnąca pewność siebie; Rudyard Kipling zauważył słusznie, że dla wyładowania swego szowinizmu Francja miała Niemcy, Wielka Brytania Rosję, a Ameryka Anglię, jedyny kraj, „po którym Amerykanin przemawiający publicznie mógł deptać”. 20 lipca sekretarz stanu Clevelanda, Richard Olney, wystosował do Wielkiej Brytanii notę stwierdzającą, że nieprzestrzeganie doktryny Monroego „będzie uważane za akt nieprzyjazny wobec Stanów Zjednoczonych”, które przedstawiał, nie ukrywając zbyt wojowniczości, jako „pana sytuacji i państwo praktycznie

nienaruszalne przez nikogo z zewnątrz”.

Styl ten, rzeczywiście zdumiewający jak na pismo dyplomatyczne, miał jednak stanowić celową prowokację ze strony Olney a, jego zdaniem bowiem „Anglicy uważali wówczas Stany Zjednoczone za tak mało znaczące”, że, jak twierdził, „tylko słowa równe uderzeniom mogły wyrzucić wrażenie”. Nie zrobiły jednak wrażenia na lordzie Salisbury, sprawującym w swym rządzie funkcję ministra spraw zagranicznych. Tego rodzaju zaczepki nie wywoływały wcale jego reakcji, podobnie jak nie wywołałoby jej nagłe wyzwanie na pojedynek przez własnego krawca. Przez dwadzieścia lat polityka zagraniczna stanowiła jego *métier*. Uczestniczył w 1878 roku w kongresie berlińskim wraz z Disraelim i przebrnął przez wszystkie zwroty i łamańce tej wiecznej gmatwaniny, kwestii wschodniej. Jego metoda różniła się od metody lorda Palmerstona, podziwianego przez księcia Walii, gdyż „wiedział, czego chce, i tupał nogą”. Problemy spraw zagranicznych nie były już takie proste jak za lorda Palmerstona, toteż lord Salisbury nie poszukiwał efektownych sukcesów w ich rozwiązywaniu. W dyplomacji, mówił, osiągało się zwycięstwa przez „szereg mikroskopijnych korzyści; jakąś rozsądną sugestią tu, jakąś uprzejmość na czasie tam, rozsądne ustępstwo w jednym momencie i dalekowzroczną stanowczość w innym; czujny takt, niewzruszony spokój i cierpliwość, której nie może zachwiać żaden szalony postępek, żadna prowokacja, żadna gafa”. Uważał jednak, że te finezje byłyby zmarnowane wobec państwa demokratycznego, jak Stany Zjednoczone, tak samo jak uważał prawo wyborcze za zbyt dobre dla klasy pracującej. Notę Olneya pozostawił po prostu bez odpowiedzi przez cztery miesiące.

Odpowiedział wreszcie 26 listopada, stwierdzając chłodno, że „sporna granica Wenezueli nie ma nic wspólnego z żadną ze spraw poruszonych przez prezydenta Monroego”, i odmówił stanowczo poddania arbitrażowi „granicy posiadłości brytyjskiej, która należała do tronu Anglii, nim zaistniała Republika Wenezueli”. Nie zachował nawet podstawowej zasady dyplomatycznej: pozostawienia możliwości negocjacji. Taka odprawa to było za wiele nawet dla Clevelanda. W orędziu do kongresu z 17 grudnia oznajmił, że po zbadaniu i ustaleniu przez Amerykański Komitet Wywiadowczy linii granicznej jakiegokolwiek brytyjskie rozprzestrzenianie się poza tę linię będzie uważane za „rozmyślną agresję” wobec praw i interesów Stanów Zjednoczonych. Cleveland został bohaterem, huragan szowinizmu

przewalił się przez kraj; „Wojna, jeśli trzeba”, głosił nowojorski „Sun”. Słowa „wojna” zaczęto wkrótce używać tak lekkomyślnie, jakby chodziło o ekspedycję przeciw Irokezom lub barbarzyńskim piratom.

Wielką Brytanię ogarnęło zdumienie, wyrażano różne stanowiska, zależnie od partii. Liberałów przygnębił wyniosły ton lorda Salisbury, torysów zirytowała amerykańska zarozumiałość. Torysowski dziennikarz i pisarz, Morley Roberts, pisał, jak to było w zwyczaju, w liście do „Timesa”: „Żaden Anglik z imperialistycznymi instynktami nie może patrzeć bez pogardy na doktrynę Monroego. Anglicy, a nie mieszkańcy Stanów Zjednoczonych, są największą potęgą w obydwu Amerykach i żadnemu republikańskiemu psu nie wolno otwierać pyska do szczekania bez naszego zezwolenia”. Ton był wprawdzie nieco przesadny, ale obraza rzeczywista. Choć po obydwu stronach Atlantyku zdawano sobie sprawę z absurdalności zagadnienia, wojowniczość wzmagała się i krew wrzała. Agresywność zrodzona z siły i dobrobytu wydobywała się na powierzchnię. Zakończenie kłótni stawało się coraz trudniejsze, kiedy szczęśliwie działanie trzeciej siły skierowało uwagę w innym kierunku.

Jako katalizator dla animozji innych krajów działał w tym okresie najskuteczniej niemiecki kajzer Wilhelm II. Zawsze się rwał do podkreślania swego znaczenia i znaczenia swego kraju, do odgrywania roli, do przybierania pozy, do zmieniania biegu historii, nie omijając żadnej po temu okazji. Chciał zaznaczyć swój wpływ i zazwyczaj mu się to udawało.

29 grudnia 1895 Najazd Jamesona zaognił zadawniony konflikt między burską republiką Transwalu a Brytyjczykami z Kraju Przylądkowego. Republika ta, nominalnie podległa Brytanii, lecz faktycznie niezależna, stanowiła przeszkodę na drodze brytyjskiej ekspansji wzdłuż Afryki; gnębiła też w obrębie swoich granic tzw. Uitlanderów, tj. Brytyjczyków i innych cudzoziemców, którzy zwabieni złotem, ściągnęli do Transwalu i osiedlali się tam, aż wreszcie przewyższyli liczebnie Burów, nie uzyskali jednak prawa wyborczego i nie korzystali z innych praw obywatelskich, toteż kipieli z rozgoryczenia. Dr Jameson, zachęcony przez niespokojnego ducha imperializmu, Cecila Rhodesa, poprowadził sześciuset jeźdźców przez granicę z zamiarem wywołania powstania Uitlanderów, obalenia rządu burskiego i zagarnięcia Republiki Południowoafrykańskiej pod panowanie brytyjskie. Szwadron został otoczony i ujęty w przeciągu trzech dni, lecz misja Jamesona wywołała łańcuch wydarzeń, które dopiero po czterech

latach miały dać pełne wyniki.

Na razie kajzer, czujny jak zawsze, zyskał nowe możliwości. Wysłał do prezydenta Republiki Transwalu, Krugera, telegram, gratulując mu powodzenia w odparciu najeźdźców „bez uciekania się do pomocy przyjaznych potęg”. Jasno wynikało z tego, że w razie potrzeby pomoc zostałaby w przyszłości udzielona. Wszystkie spojrzenia Brytyjczyków jak głowy widzów na meczu tenisowym przeniosły się natychmiast z Ameryki na Niemcy, a ich gniew z Clevelanda, który nigdy nie stanowił poważnego zagrożenia, skierował się teraz przeciw kajzerowi, będącemu znacznie bardziej niebezpiecznym przeciwnikiem. Telegram do Krugera był jednym z najbardziej brzemiennych w skutki pociągnięć kaj zera, przyczynił się bowiem do ostatecznego okrążenia, czego się tak obawiał. Telegram ujawniał wrogość, która zdumiała Brytyjczyków. Od tej chwili polityków brytyjskich dręczyć zaczęła myśl, że odosobnienie może się okazać bardziej niebezpieczne niż wspaniałe.

Rok 1895 obfitował we wstrząsy, a jeden szczególnie przykry dla społeczeństwa zdarzył się na dwa miesiące przed dojściem konserwatystów do władzy. Proces i skazanie Oscara Wilde'a na podstawie Artykułu 11 Poprawki do Ustawy Karnej za czyny poważnej obrazy moralności między mężczyznami zniszczyły zarówno wspaniałego pisarza, jak i nastrój dekadencji, której był symbolem.

Widmo upadku moralnego straszło już od dwóch lat wskutek szeroko dyskutowanej książki Maxa Nordau *Degeneracja*. Z wzrastającą histerią kreślił on na sześciuset stronach obraz zepsucia, dopatrując się go na równi w realizmie Zoli, w symbolizmie Mallarmego, mistycyzmie Maeterlincka, w muzyce Wagnera, w dramatach Ibsena, w obrazach Maneta, w powieściach Tołstoja, w filozofii Nietzschego, w wełnianej bieliźnie dra Jaegera, w anarchizmie, socjalizmie, w strojach kobiecych; za wyraz zepsucia uważał szaleńców, narkomanów, samobójców, chorych nerwowo, a także tańce i swobodę seksualną. Wszystko to razem tworzyło społeczeństwo bez samokontroli, dyscypliny i wstydu, które „kroczy ku swemu pewnemu upadkowi, bo jest zbyt wyczerpane i słabe, aby dokonać czegoś wielkiego”.

Wilde, zgodnie z powołaniem dekadenta, powoli niszczył się już sam. W roli estety, lubieżnika i dowcipnisa chronił go dotychczas pancierz powodzenia. Jego niezrównany dowcip w rozmowie wprawiał w zachwyt

przyjaciół, podobnie jak i jego sztuki wprawiły w zachwyt publiczność. Ale jego pewność siebie jako artysty przechodziła w arogancję, niepohamowane apetyty doprowadziły do tego, że utył, rozlał się, urósł mu podbródek i, jak zauważył jeden z jego przyjaciół, „wszystkie wady zaczęły uwidaczniać się na jego twarzy”. Powodzenie też go nie zadowoliło, przesyt wzbudzał w nim chęć, aby doświadczyć uczucia ostatecznego upadku. „Byłem problemem nie do rozwiązania”, powiedział ze smutną samowiedzą. Przyspieszył swoje aresztowanie wnosząc skargę o zniesławienie przeciw markizowi Queensberry. Dalsze wyniki z tego procesu zdarły z towarzystwa zasłonę tajemnicy i odkryły przed wszystkimi przerażający widok na ponury świat występku: stręczycieli, męskie prostytutki, spotkania w hotelu ze służącym, stajennym, dozorcą z plaży, oraz szantaż. Nie wniesiono żadnej skargi przeciwko lordowi Alfredowi Douglasowi, synowi markiza Queensberry, wykwintnemu i uwodzicielskiemu młodzieńcowi, który uczestniczył w tych praktykach i korzystał z towarzystwa i uczuć Wilde'a. Nie postawiono też nikogo w stan oskarżenia, kiedy podczas obławy policyjnej w 1889 zastano w burdelu homoseksualistów lorda Arthura Somerseta, syna diuka Beaufort i przyjaciela księcia Walii. Pozwolono mu wynieść się i żyć po swojemu na kontynencie, a księżę prosił lorda Salisbury, aby lord Arthur mógł od czasu do czasu odwiedzać po cichu rodziców w kraju „bez obawy, że zostanie aresztowany pod tym strasznym zarzutem”.

Frank Harris, w owym czasie wydawca „Fortnightly Review”, przypuszczał, że solidarna klasa rządząca w podobny sposób ochroni jego przyjaciela Oscara. Sądził, że arystokratyczna stronnicość polega na faworyzowaniu tego, co wybija się ponad przeciętność, i że tak samo, jak działa wobec lorda i milionera, działać będzie wobec „człowieka genialnego”. Mylił się jednak. Wilde popełnił niewybaczalny błąd afiszując się swoimi występami. Schwytanie tego artysty-intelektualisty na gorącym uczynku wywołało wycie i jeden z najjadowitszych ataków oburzenia moralnego, jakie od czasu do czasu wstrząsają narodem brytyjskim. Sędzia był niechętny, publiczność ubliżająca, towarzystwo, które przedtem bawił, obróciło się plecami, dorożkarze i roznosiciele gazet wymieniali wulgarne dowcipy o „oskarżę”, prasa go obrzucała obelgami, jego książki wycofano ze sprzedaży, a na afiszach teatralnych najwspanialszego jego klejnotu, sztuki *Bądźmy poważni na serio*, granej wówczas ku wielkiemu zachwytowi publiczności, zaklejono nazwisko. Upadek Wilde'a, jak powiedział dżentelmen-socjalista H. M. Hyndman, „był najbardziej przygnębiającym

wydarzeniem, z jakim się spotkałem w świecie literackim”. Wraz z tym procesem rozwiła się w Anglii, jeśli nie na kontynencie, żółta mgiełka dekadencji *fin de siecle*'u.

Pod koniec tego samego roku lord Salisbury mianował Poetą Laureatem pisarza będącego zupełnym przeciwieństwem Wilde'a i przyczynił się przez to w dużym stopniu do przywrócenia atmosfery powagi i godności. Od czasu śmierci Tennysona w roku 1892 nikt nie zajmował tego stanowiska, bo ani Gladstone, ani lord Rosebery, którzy poważnie traktowali swą odpowiedzialność wobec literatury, nie mogli znaleźć odpowiedniego następcy. Swinburne, niestety, „absolutnie nie wchodził w rachubę” z powodu swoich kłopotliwych nawyków i poglądów (choć Gladstone „podziwiał jego geniusz”), William Morris był socjalistą, Hardy wydawał do tej pory jedynie powieści, a młodszy utalentowany poeta miał skłonności do przywdziewania barw „Żółtej księgi” i Liliowej Dekady. Młody Anglik, urodzony w Indiach, Rudyard Kipling, uderzył wprawdzie w swoich *Balladach koszarowych (Barrack Room Ballads)* z 1893 roku w ton męski i imperialistyczny, lecz w stylu raczej niewybrednym, toteż ani on, ani W. E. Henley, ani Roberts Bridges nie wchodził w rachubę. Wszyscy inni kandydaci nie wyrastali ponad przeciętność; jeden z nich, sir Lewis Morris, dał sposobność do najdowcipniejszej spontanicznej wypowiedzi w Anglii” — jak to określił ktoś ze współczesnych. Morris, autor kobyły zatytułowanej *Epos Hadesu (The Epic of Hades)*, który gorąco pragnął wawrzynu, skarżył się Oscarowi Wilde w okresie przed jego upadkiem: „Zmowa milczenia mnie otacza, zmowa milczenia. Co mam zrobić, Oskarze?” „Przyłączyć się do niej” — odpowiedział Wilde.

Lord Salisbury, kiedy został premierem, mianował Laureatem Alfreda Austina, wychodząc z założenia, że tak jak nie ma znaczenia, kto zostanie biskupem, obojętne jest również, który poeta będzie Laureatem. Austin, dziennikarz o wybitnie konserwatywnym zabarwieniu, założyciel i wydawca „National Review”, produkował żarliwe wiersze okolicznościowe, na przykład z takiej okazji, jak śmierć Disraeliego. Kiedy jakiś przyjaciel zwrócił uwagę na błędy gramatyczne w jego poemacie, Austin powiedział: „Nie śmiem zmieniać tych rzeczy. Przychodzą do mnie z góry” Był on niewielkiego wzrostu — pięć stóp — o okrągłej twarzy i starannie utrzymanych, białych wąsach; jako autor artykułów, sygnowanych „Diplomaticus”, w których interpretował politykę zagraniczną

konserwatystów, był osobistym znajomym premiera i częstym gościem w Hatfield. Rozpoczął swą karierę jako korespondent w czasie wojny 1870 roku uzyskując wywiad z Bismarckiem w Wersalu; w trzydzieści lat później musiał przyznać z przykrością, że Niemcy w swych wojnach 1859-70 „bez wątpienia uciekały się do środków, których użycia nie mógłby sobie wyobrazić ani Alfred Wielki, ani żaden ze współczesnych ministrów brytyjskich”. Do tej pory z jego dzieł największą popularność zyskała książka prozą o angielskich ogrodach, lecz w przeciągu dwóch tygodni po mianowaniu go Laureatem przeszedł oczekiwania, publikując w „Timesie” poemat sławiący wyczyn dra Jamesona:

*Ze złotodajnych rubieży
Dochodzą kobiece wołania!
Kto żyw na pomoc niech bieży!
My dzielni nie znamy wahania...*

*Więc gnaliśmy co koń wyskoczy,
Brodziliśmy przez potoki,
Na wschód, potem ku północy,
Przez step falisty, szeroki...*

Kiedy do królowej doszły pogłoski, że poezja ta budzi wesołość, poprosiła o wyjaśnienia lorda Salisbury; musiał on przyznać, że pierwszy utwór jej Laureata jest „niestety w guście galerii teatrów gorszej kategorii, która śpiewa to z zapalem”. Salisbury nie starał się nigdy wytłumaczyć wyboru Austina, raz tylko na pytanie odpowiedział bez zastanowienia, że „życzył sobie tego”; wybór Laureata nie przyniósł wprawdzie zaszczytu poezji brytyjskiej, lecz doskonale odpowiadał ówczesnym brytyjskim nastrojom.

Według opinii jednego amerykańskiego obserwatora Anglik uważał się za obywatela mającego najlepszy na świecie rząd, nawet jeśli jako członek

opozycji wyrażał przekonanie, że ci u władzy rujną kraj. Angielski sposób rządzenia „jest czymś, z czego przede wszystkim jest dumny... i ma niewzruszone zaufanie do osobistej prawości mężów stanu”. Austin odzwierciedlał tę spokojną dumę. Podczas słonecznego lata w jubileuszowym roku 1897 pewien gość zastał go w płóciennym ubraniu i kapeluszu panama na trzcinowym fotelu na trawniku przed jego wiejską posiadłością w miłej rozmowie z lady Paget i lady Windsor. Każdy miał powiedzieć, jak sobie wyobraża niebo. Austin wyraził szlachetne życzenie. Pragnął siedzieć w ogrodzie i otrzymywać szereg telegramów oznajmiających na przemian o brytyjskim zwycięstwie na morzu i o zwycięstwie na lądzie.”

Alfred Austin, człowiek małego wzrostu, bardzo pompatyczny i piszący banalne wiersze, był łatwym tematem do żartów i wielu z niego żartowało. Jego życzenie z okazji jubileuszu wyrażało jednak jakąś prostotę i oddanie, ufność, pełną radości miłość i podziw dla kraju, nieświadomość zła; wyrażało ono nastroje i stan, który — podobnie jak powierzchowność lorda Ribblesdale, miał wkrótce zniknąć bezpowrotnie.

Teraz, kiedy konserwatyści zajęli miejsce liberałów, Izba Lordów mogła siedzieć wygodnie w fotelach i dać upust swym naturalnym skłonnościom, to jest robić możliwie jak najmniej. W ostatnich latach rządów liberałów Izba Lordów ożywiła się, ażeby „położyć kres zepsuciu” wywołanemu przez radykalne ustawodawstwo, i odrzuciła projekt ustawy o odpowiedzialności pracodawców, projekt ustawy o radach parafialnych mający na celu wprowadzenie większej demokracji do lokalnych organów rządowych, i w końcu projekt ustawy o autonomii Irlandii. W przemówieniu z 1 marca 1894 roku, ostatnim w swojej karierze, Gladstone poważnie ostrzegał, że różnice o „charakterze zasadniczym” między dwoma Izbami doszły w ubiegłym roku do punktu, w którym konieczne stało się znalezienie jakiegoś rozwiązania „tych olbrzymich sprzeczności i nieustannych konfliktów w sprawach istotnej wagi i największego znaczenia”. Wielokrotnie proponowano taką reformę Izby Wyższej, jaka mogłaby przywrócić równowagę, kiedy rząd liberalny był u steru, i usunąć przyczyny krytyki. Ale teraz, kiedy po konflikcie nastąpił stan szczęśliwej harmonii i potrzeba przestała naglić, zapomniano o ostrzeżeniu Gladstone'a, lordowie mogli znów spokojnie powrócić do zwykłego bezruchu.

Spośród pięciuset sześćdziesięciu członków wielu parów z tzw. *backwoods* (ostępów leśnych) w ogóle nigdy nie zajmowało swoich miejsc.

Inni pojawiali się tylko w okresach kryzysu; niewielu więcej niż pięćdziesięciu uczestniczyło w sesjach regularnie. Lord Newton powiedział, że jest to „wyjątkowo dobrodusze audytorium”, wysłuchujące mówców, których w Izbie Gmin nie słuchano by przez pięć minut. Debaty prowadzono „zawsze uprzejmie”, powściągliwie, „z obiektywizmem graniczącym nieomal z obojętnością”. Partyjne animozje kryły się „pod zasłoną wystudowanej grzeczności”. Nie było to stymulujące audytorium, zwłaszcza dla liberałów, których przywódca, lord Rosebery, skarżył się, że „wszyscy słuchacze robią wrażenie niezmiernie zmęczonych i znudzonych”.

Kiedy stanowisko premiera zajmował lord Salisbury, Izba Lordów była mu całkowicie podporządkowana, choć oficjalnie przewodniczył tam Lord Kanclerz, sprawujący funkcję przewodniczącego; w owym czasie był nim lord Halsbury. Jego nazwisko brzmiało Hardinge Giffard; pochodził z rodziny niearystokratycznej, lecz jednej z najstarszych w Anglii. Jej założyciel walczył pod Hastings i otrzymał od Williama Rufusa tytuł hrabiego Buckingham. Wprawdzie tytuł wygasł w następnym pokoleniu, rodzina trzymała się jednak krzepko, choć bez większego majątku, a żwawy Lord Kanclerz, wówczas siedemdziesięciodwuletni, dożył pięćdziesięciu ośmiu lat. Lord Halsbury, krępa, pickwickowska, komiczna postać o krótkich nogach, czerwonych policzkach, z kępkami białych włosów nad uszami, był mimo swojego jowialnego sposobu bycia zaciętym przeciwnikiem, o niezawodnej pamięci, a w sądzie odznaczał się wielką stanowczością. Nosił angielski kapelusz derby z kwadratowym denkiem, „prawdziwie niebieski” krawat torysowski i, jak twierdził jeden z młodszych członków Izby Wyższej, „z zasady przeciwstawiał się stale wszelkim zmianom”. Ze względu na skąpe środki finansowe jego rodziny wykształcenie pobierał w domu, u ojca, prawnika i wydawcy skrajnie torysowskiego dziennika „Standard”. Ojciec udzielał mu lekcji greki, łaciny i hebrajskiego do czwartej nad ranem, a był człowiekiem tak surowych zasad, że odmówił diukowi Newcastle, wielbicielowi jego gazety, kiedy ten zaproponował wykształcenie jego trzech synów w Oxfordzie. Najmłodszy syn skończył jednak Merton College, doszedł szybko do szczytu kariery prawniczej, zdobywając równocześnie majątek i przyjaciół; w pewnych środowiskach naraził się przy tym na posądzenie, że „pełnił swą doniosłą funkcję z nie lada cynizmem” i że korzystał bez skrupułów z sądownictwa w celach politycznych. Kiedy jednak spośród wielu rywalizujących z nim kandydatów został mianowany Lordem Kanclerzem i w ten sposób zajął najwyższą pozycję społeczną po rodzinie

królewskiej i arcybiskupie Canterbury, „Carlton Club poparł go co do jednego”, a lord Coleridge, najwyższy sędzia i liberał, pisał: „Pana poglądy polityczne są dla mnie naturalnie niezrozumiałe, lecz pod każdym innym względem, jako uczonego, dżentelmena i prawnika, nadaje się pan jak najbardziej na naszego przewodniczącego”.

Dwaj parowie wysokiej rangi w gabinecie lorda Salisbury, markiz Lansdowne i ósmy diuk Devonshire, pochodzili z rodziny wigów, ale przeszli do stronnictwa konserwatystów. Lord Lansdowne, minister wojny, arystokrata w każdym calu, gładki i zimny jak polerowany gład, elegancki, poprawny i uprzejmy, był jak wymarzony na wielkie reprezentacyjne stanowiska; został generalnym gubernatorem Kanady w wieku trzydziestu ośmiu lat i wicekrólem Indii, kiedy miał czterdzieści trzy lata. Nazywał się Fitzmaurice. Pierwszy z jego linii osiedlił się w dwunastym wieku w Irlandii, w hrabstwie Kerry, i obecny markiz był dwudziestym ósmym lordem Kerry w prostej linii męskiej. Charakteryzując rząd lorda Salisbury, „Spectator” pisał o lordzie Lansdowne, że należy do tych osiadłych w Irlandii Anglików, „którzy mają swego rodzaju instynkt rządzenia”. Instynkt ten rozwinął się bujnie u jego pradziadka, pierwszego markiza, który jako lord Shelburne był sekretarzem stanu za Jerzego III i sprawował krótko funkcję premiera w ostatnim roku wojny z koloniami amerykańskimi. Ten sam instynkt zaprowadził jego dziadka, trzeciego markiza, do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i na inne stanowiska w sześciu rządach w latach 1827-57, później nie zgodził się jednak zostać premierem i odmówił przyjęcia diukostwa. Szwagier obecnego markiza, lord Ernest Hamilton, uważał go za „największego dżentelmena swojej epoki”, który w każdym międzynarodowym konkursie dżentelmenów powinien występować jako przedstawiciel brytyjski.

Spencer Compton Cavendish, ósmy diuk Devonshire, starszy od Lansdowne'a i z jeszcze znakomitszego rodu, nie obnosił swojej patrycjuszowskiej postawy z taką powagą. Prawdopodobnie był jedynym człowiekiem w Anglii na tyle pewnym siebie i na tyle roztargnionym, że mógł zapomnieć o spotkaniu ze swym monarchą. Edward VII, poinformowawszy diuka, że w oznaczonym dniu ma zamiar zjeść z nim obiad w Devonshire House, przyjechał punktualnie ku konsternacji domowników, bo gospodarza nie było w domu i musiano go pospiesznie ściągnąć z Turf Clubu.

W 1895 miał sześćdziesiąt dwa lata, postać wysoką, pociągłą twarz, jak Habsburgowie, oczy o ciężkich powiekach, prosty, wspinały nos i nosił brodę. Po trzydziestu czterech latach w Izbie Gmin jako lord Hartington, został teraz Lordem Prezydentem Rady w gabinecie Salisbury'ego. Jego majątek obejmował 186 000 akrów, a dochód z samej tylko ziemi, nie licząc lokat, wynosił 180 000 funtów. Choć znany ze swej ospałości, zdołał jednak sprawować funkcję w tylu gabinetach i pod tyloma rządami, jak nikt inny z żyjących: jako Pierwszy Lord Admiralicji za lorda Palmerstona, jako minister wojny za lorda Johna Russella, jako minister poczty, minister do spraw Irlandii, minister do spraw Indii i znów minister wojny w kolejnych rządach Gladstone'a. Przyzwyczajono się do widoku lorda Hartingtona jadącego do Parlamentu lekkim faetonem, którym sam powoził, trzymając niedbale lejce, z cygarem w ustach i z owczarkiem szkockim obok na siedzeniu.

Diuk Devonshire odgrywał główną rolę w narastającej opozycji przeciw Gladstone'owi podczas dwóch kryzysów lat osiemdziesiątych, które wywołały rozłam Partii Liberalnej: w sprawie ekspedycji generała Gordona do Sudanu, mającej charakter imperialistyczny, i w dotyczącej Irlandii sprawie Ustawy o Autonomii. Choć jako mówca nie odznaczał się wyrefinowaniem ani pasją, jego wystąpienie w roku 1886, informujące o zerwaniu z Gladstone'em, wywołało głębokie wrażenie. Stwierdził wyraźnie, że nie można pozostawać w fałszywej pozycji popierając nadal rząd, nawet rząd własnej partii, jeśli nie akceptuje się jego zasad, i tym swoim oświadczeniem narzucił — jak powiedział jeden z członków Parlamentu — „nowe poczucie obowiązku i nową siłę działania setkom ludzi w całym kraju”. Henry Chaplin powiedział mu, że to przemówienie powinno na pewno uczynić go premierem. Kilka lat wcześniej królowa, starając się uniknąć sytuacji, w której Gladstone stałby się nieodzowny, prosiła już lorda Hartingtona o utworzenie gabinetu; odmówił on jednak i skłonił się Gladstone'owi wiedząc, że ten nie przyjmie innego miejsca niż pierwsze.

Według opinii znawcy, Balfoura, lord Hartington był ze wszystkich znanych mu mężów stanu „najbardziej przekonywającym mówcą”, nie tyle przez to, co mówił, ile przez charakter, jaki przebijał spoza jego słów. Każdemu słuchaczowi wydawało się, że jest człowiekiem, „który zrobił wszystko, aby opanować wszelkie aspekty danej sprawy, którego logika doprowadziła do pewnych wniosków i który nie ukrywa przed nami żadnego argumentu ani za, ani przeciw... Czyż możemy się spodziewać uczciwszego

przewodnika?” Ta właśnie zaleta, którą Hartington posiadał, jak mówił Balfour, „w znacznie większym stopniu niż ktokolwiek ze znanych mi ludzi”, pozwalała mu wywierać duży wpływ na publiczność, czyniła go niezbędnym dla rządów i „pozwalala mu panować nad każdym zgromadzeniem”, tak w gabinecie, jak w Parlamencie czy na platformie publicznej.

Diuk wolałby zajmować się czymś innym i podejmował się tej ciężkiej pracy z wiążącymi godzinami urzędowania z poczucia obowiązku, nie z ochoty. Nagrodą było mu jednak przekonanie monarchy i kraju, że jest jednym z filarów, na których opiera się państwo. „Królowa nie może zakończyć tego listu — pisała do niego Wiktoria w 1892 — nie wyrażając diukowi... jak bardzo liczy na jego pomoc w utrzymaniu bezpieczeństwa i honoru jej rozległego imperium. Wszyscy muszą się włączyć do tej wielkiej i potrzebnej pracy”, kończyła, wyrażając najprościej swoje przekonania.

Diuk włączył się bez widocznego zapału. „Nigdy nie zagniewany, choć często znudzony”, według jednego z przyjaciół; „naprawdę niczym się nie przejmuje”, zdaniem innego przyjaciela. Niektórzy uważali jego ospałość za lenistwo, inni za rozważną niechęć do pośpiechu; cechę tę podkreślał zwyczaj zasypiania pośrodku spraw. Nudziły go nawet własne przemówienia i pewnego razu, gdy mówił o budżecie Indii, przerwał na chwilę, pochylił się do siedzącego obok kolegi i wstrzymując ziewanie szepnął: „To jest diabelnie nudne”.

Jego jedyną namiętnością była stadnina wyścigowa, utrzymywał jednak również, czy to z namiętności, przyzwyczajenia, czy z indolencji, przez trzydzieści lat stosunek „z jedną z najpiękniejszych kobiet Europy”, do jakich należała, kiedy zaczął się ten romans, despotyczna, ambitna Luiza, diuszesa Manchesteru, Niemka z pochodzenia. Pierwszy jej diuk rozczarował ją tracąc majątek, lecz posłuszny nakazom swojej kasty wstrzymał się, lub został nakłoniony do wstrzymania się, od jakiegokolwiek nieprzyjemnej akcji publicznej, pozwalając swojej żonie i lordowi Hartingtonowi cieszyć się zarówno sobą wzajem, jak i nienaganną pozycją moralną i społeczną. Po śmierci Manchestera wdowa po nim wyszła za diuka Devonshire w roku 1892, zaraz po odziedziczeniu przez niego tytułu. Nazywana później „podwójną diuszesa”, w dalszym ciągu poświęcała swój ogromny talent dla najważniejszego w jej pojęciu celu: uczynienia swego męża premierem.

Diuk nie udzielał jej potrzebnej pomocy. Nie należał do tych, u których

pałaca ambicja osiągnięcia wysokiego stanowiska góruje nad wszelkimi innymi względami. Po wyprowadzeniu liberalnych unionistów z partii odmówił dwukrotnie lordowi Salisbury, kiedy ten zaproponował mu swój udział w jego rządzie, nie był bowiem jeszcze przygotowany do koalicji. W roku 1895 jednak, kiedy rozłam między umiarkowanymi i radykalnymi wigami powiększył się i kiedy głosowanie wspólne z torysami stało się najlepszym wyjściem, diuk wraz z czterema innymi liberałami unionistami przeszedł na drugą stronę, aby uczestniczyć w rządzie lorda Salisbury.

Ten rząd konserwatywny — obecnie unionistyczny — rozpoczął urzędowanie w czerwcu 1895. Obawiano się niezręcznej sytuacji w Windsorze, kiedy diuk i inni byli liberałowie, którzy przyjdą tam po swoje akta nominacji, wychodząc będą musieli przejść obok swoich dawnych kolegów. Aby uniknąć zakłopotania, prywatny sekretarz królowej ustalił taktownie, że odchodzący liberałowie złożą swoje nominacje o jedenastej, a tymczasem nowi ministrowie będą czekali w innym salonie, aż ich poprzednicy odejdą. Wszystko poszłoby dobrze, gdyby nie diuk, który spóźnił się jak zwykle, nie wszedł do wyznaczonej poczekalni i spotkał się ze swymi dawnymi towarzyszami, kiedy wychodzili; zarzucili go gradem drwin na temat jego nowych przyjaciół. „Żadna twarz nie nadawałaby się lepiej do trudnej sytuacji”, pisał jeden ze świadków, bo diuk, bynajmniej nie zmieszany, „przeszedł między nimi z otwartymi ustami i na wpeł przymkniętymi oczyma”. Ród Cavendishów pochodził od przodka, który piastował urząd sędziego Najwyższego Sądu Karnego w Londynie w czasie buntu chłopskiego w roku 1381. Jego syn zabił Wata Tylera, za co z miejsca nobilitował go Ryszard II, gdy tymczasem gdzie indziej w odwet za ten czyn ojca jego pojmano i ścięto. Od tego czasu przez stulecia Cavendishowie sumiennie, choć bez entuzjazmu, pomagali rządzić krajem. Czwarty diuk był przez krótki czas premierem, w latach 1756-57, w okresie wojny między Pittem a Newcastle'em, ale zrezygnował, skoro tylko miał go kto zastąpić. Jego brat, lord John Cavendish, był dwa razy ministrem skarbu; Edmund Burke chwalił go, ponieważ na tym stanowisku wykazał „wielką uczciwość... i całkowitą bezinteresowność”, ale chciałby równocześnie, aby można było lorda Johna „skłonić do mniej więcej regularnego zajmowania się sprawami” i żeby wolno mu było „polować tylko w rozsądnych granicach”, a nie więcej. Piąty diuk wybił się dzięki małżeństwu z czarującą Georgią, diuszesa Devonshire, którą Gainsborough przedstawił na swym portrecie w bladym promienistym świetle na tle ciemnych burzowych chmur, a Reynolds

roześmianą, z niemowlęciem w szerokiej sukience na kolanach. Miała równie wiele urody i nieodpartego wdzięku, co długów karcianych, które kosztowały jej męża milion funtów. Na szczęście Cavendishowie należeli do jednej z dwóch lub trzech najbogatszych rodzin w całym królestwie. Kiedy rządca informował z żalem piątego diuka, że jego spadkobierca, wówczas lord Hartington, ma „skłonności do wydawania wielkiej ilości pieniędzy”, diuk odpowiedział: „Im więcej, tym lepiej; lord Hartington będzie miał bardzo dużo pieniędzy do wydania”.

Ósmy diuk wykazywał „pewien dziedziczny instynkt rządzenia”, którego nie zdołał zachwiać ani majątek, ani jego pozycja najstarszego syna, ani niechęć do wysilania się, ani nawet pragnienie wyżywiania się na polowaniu. Miał świadomość, że „winien jest państwu dług, który musi zostać spłacony”. To poczucie obowiązku, widoczne dla wszystkich, którzy go znali, wypływało nie tylko z jego sytuacji rodzinnej, ale także z przekonania o swoich wybitnych zdolnościach. Jego ojciec, studiujący matematykę i klasyków, nazywany „uczonym” diukiem, kształcił go w domu. Później w Trinity College w Cambridge lord Hartington, mimo że oddawał się głównie sportowi i życiu towarzyskiemu wśród kolegów z arystokracji, otrzymał jako jedyny ze swojej grupy stopień naukowy po zdaniu egzaminu drugiego stopnia z matematyki. Wstąpił do Parlamentu mając dwadzieścia cztery lata, a w wieku lat trzydziestu skończył swą pierwszą kadencję ministerialną. Jego brat, lord Frederick Cavendish, poświęcił się również karierze politycznej i w roku 1882, w pierwszym dniu po objęciu funkcji ministra do spraw Irlandii, został zamordowany w Phoenix Parku w Dublinie. Zabicie angielskiego ministra królewskiego przez irlandzkich malkontentów wywołało sensację taką samą jak śmierć generała Gordona w Chartumie. Może z powodu zamordowania brata, a może z innej, mniej jasnej przyczyny, diuk zaczął nosić stale przy sobie nabity rewolwer, co martwiło jego rodzinę. „Zawsze je gubił i kupował nowe”, pisał jego siostrzeniec, i w chwili jego śmierci co najmniej dwadzieścia rewolwerów pętało się po Devonshire House.

Z nastaniem diuszesy, niestrudzonej pani domu, Devonshire wślawiło się wspaniałymi przyjęciami. Co roku diuk z małżonką wydawali wielkie przyjęcie z okazji otwarcia Parlamentu. Co roku w dniu Derby w Devonshire House, pełnym róż i czerwcowych kwiatów z ogrodów diuka, odbywał się świetny bal. Przed balem król wydawał obiad w Buckingham Pałace dla członków Jockey Clubu, a królowa przyjeżdżała w tym czasie na obiad do

diuszesa. Najślawniejszym i najwystawniejszym przyjęciem w tym okresie był bal maskowy w Devonshire w roku 1897 — roku jubileuszu. W Chatsworth w Derbyshire, będącym od czterystu lat siedzibą Cavendishów, najwystawniejsze przyjęcia odbywały się w czasie corocznej wizyty księcia i księżnej Walii, którzy przyjeżdżali tam później nadal jako król i królowa. Uprzedzono i zaspokajano wszystkie życzenia króla tak dalece, że dbano o obecność jego kochanki, pani Keppel, błyszczącej od diamentów, z którą, jak twierdziła księżna Daisy von Pless, „król gra zawsze w brydża w osobnym pokoju, podczas kiedy w innych pokojach ludzie przebywają razem i naturalnie również grają w brydża”.

Pałac Chatsworth, zbudowany z miejscowego złocistego kamienia, otoczony był osiemnastowiecznym parkiem, zaprojektowanym przez Capability Brown. Wszędzie panował zbytek. Kaskady skopiowane z włoskich renesansowych ogrodów wodnych spływały po kondygnacjach schodów długości sześciuset stóp. Z każdego liścia miedzianej wierzby dzięki skomplikowanemu mechanizmowi wewnątrz mogły spływać łyzy wody. Przepiękne, wymyślne girlandy kwiatów i owoców wyrzeźbione w drewnie zdobiły ściany. Biblioteka oraz kolekcja obrazów i rzeźb na książęcą skalę, jak u Medyceuszów, administrowane były prawie tak jak zbiory publiczne. Kustosze zatrudnieni przez diuka udostępniali je naukowcom i znawcom, uzupełniali nowymi nabytkami i wypożyczali te skarby bez ograniczeń na wystawy. Memling z Chatsworth jeździł do Brugii, Van Dycki do Antwerpii; cały dom udostępniono zwiedzającym, których tysiące wydeptywały sale. Diuk lubił na nich patrzeć i sądząc, że nie znają go, tak jak on nie znał ich, stał nie wiedząc, że został rozpoznany, „i dziwił się, że pokojówka, występująca w roli przewodnika, i cała grupa stawali nagle i patrzyli na niego”. Choć wyścigi konne cenił bardziej niż książki, zdumiał jednak pewnego razu swojego bibliotekarza, który pokazywał mu jego własne pierwsze wydanie *Raju utraconego*, bo usiadł i zaczął czytać na głos z prawdziwą przyjemnością, aż weszła diuszesa i szturchając męża swoją parasolką powiedziała: „Jeśli będzie czytał poezję, nie pójdzie nigdy na spacer”.

Nudziła go pompa, a pompatyczności nienawidził. Kiedy król postanowił nadać mu Wielką Komandorię nowego orderu, Victorian Order, diuk „na swój senny sposób” zapytał prywatnego sekretarza króla, sir Fredericka Ponsonby, co ma z „tym zrobić”. „Nie widziałem nigdy nikogo, komu tak

mało zależałoby na dostaniu orderu. Robił wrażenie, jakby uważał, że to mu tylko skomplikuje ubieranie się”. Podczas próby koronacji króla Edwarda w 1902 roku, kiedy parowie wystąpili w koronach przy przedpołudniowych ubraniach, co robiło komiczne wrażenie, diuk przyszedł późno jak zwykle i z niesłuchaniem znudzonym wyrazem twarzy oraz z prawą ręką w kieszeni spodni przeszedł przez scenę na polecenie Mistrza Ceremonii. Lubił stare, luźne, wygodne ubrania, nie przejmował się wcale gośćmi, świadomie ignorował nudziarzy, a pewnego razu, kiedy jakiś mówca w Izbie Lordów deklamował o „najważniejszych chwilach w życiu”, diuk otworzył oczy po to, aby powiedzieć do swego sąsiada: „Ja przeżyłem najważniejszą chwilę, kiedy mój wieprz dostał pierwszą nagrodę na Targach w Skipton”. Jego ulubionym klubem, oprócz Turf, był klub Travellers, znany ze swej ekskluzywności i atmosfery „uroczystej ciszy”, gdzie czytanie, drzemanie i rozmyślanie miały pierwszeństwo przed rozmową. Do przemawiania na zebraniach publicznych, co stanowiło dla niego nieprzyjemne zadanie, przygotowywał się metodą, którą wyjawiał kiedyś młodemu Winstonowi Churchillowi, gdy mieli razem występować na zebraniu w sprawie wolnego handlu w Manchesterze. „Czy jesteś zdenerwowany, Winstonie?”, zapytał diuk, a po otrzymaniu potwierdzającej odpowiedzi, poradził mu: „Ja się dawniej też denerwowałem, ale teraz, ilekroć wstępuję na mównicę publiczną, rozglądam się uważnie wkoło i siadając mówię sobie: «Nigdy w życiu nie widziałem jeszcze takiej gromady diabelnych głupców», i od razu czuję się dużo lepiej”.

Kiedy chciał, potrafił być „najlepszym towarzyszem... czarującym rozmówcą”, to znaczy o ile istniały odpowiednie warunki. Na jakieś przyjęcie obiadowe w roku 1895 przyszedł zmęczony i głodny po całym dniu urzędowania; siedział w posępnym milczeniu, gdy się okazało, że pierwsze dania to wykwintne francuskie potrawy, a nie solidne, jakie lubił. Kiedy wniesiono wreszcie pieczeń wołową, wykrzyknął basowym głosem: „Hurra!, nareszcie coś dojedzenia”, i od tej chwili włączył się do rozmowy. Literat Wilfred Ward, także gość na przyjęciu, zauważył, że lord Hartington w każdej sprawie, w której był odmiennego zdania niż Gladstone, „wskazywał na słaby punkt w wywodzie logicznym, który Gladstone starał się pokryć retoryką”. Osiemnaście lat później Ward spotkał znów diuka w Ambasadzie Brytyjskiej w Rzymie i widząc, że ten go nie poznaje, przypomniał mu miejsce ich ostatniego spotkania. W odpowiedzi diuk wykrzyknął z przejęciem: „Naturalnie, pamiętam. Nie było nic do jedzenia”. Ward

opowiadając tę anegdotę dodawał, że te lekkie francuskie dania „utkwily mu w pamieci przez blisko dwadziescia lat”.

W przeciwienstwie do lorda Salisbury po odziedziczeniu tytuliu w 1891 roku przychodził w dalszym ciagu do Izby Gmin i w czasie wieczornej debaty „mozna go bylo zazwyczaj widziec ziewajacego w pierwszym rzedzie Galerii Parow”. Jako diuk mial wiecej pracy niz kiedykolwiek. Posiadal majatki w Derbyshire, Yorkshire, Lancashire, Lincolnshire, Cumberland, Sussex, Middlesex oraz w Irlandii i osobiscie przegladal ze swymi rzadcami rachunki ze swych nieruchomosci i omawial wszystkie wazniejsze sprawy. Byl namiestnikiem krolewskim Derbyshire, rektorem tytularnym Uniwersytetu w Cambridge, przewodniczacy Ligi Imperium Brytyjskiego i patronem roznych kościelnych beneficjow, na ktore musial mianowac ludzi. Byl dyrektorem lub prezesem roznych spolek, w ktorych posiadal udzial, m. in. dwuch linii kolejowych, stalowni, wodociagow i stoczni. Choc nie mial zaufania do swych wiadomosci handlowych, to „kiedy sie juz zabral do jakiejś sprawy”, jak mowil jeden z jego pracownikow, „nikt nie potrafil lepiej odeprzec falszywego argumentu lub dotrzec do sedna”. Umysl jego pracowal powoli i jesli nie mogl zrozumiec czegoś od razu, nalegal, zeby mu jeszcze raz powtorzyc, dopoki wszystko nie stalo sie jasne. Wykonywal wszystkie swoje funkcje, nie przestajac twierdzic, ze najszczesliwszy jest ze swoja stadnina wyścigowa w Newmarket. Raz w Aix-le-Bains spotkal W. H. Smitha, wowczas przywodce konserwatystow w Izbie Gmin, i szybko usiadl z nim, aby porozmawiac przez pol godziny o polityce, mowiac potem: „Przyjemnie bylo miec cos do roboty w takim miejscu jak to”. Mozliwe, ze bylyby jeszcze bardziej znudzony nie bedac w rzadzie niz uczestniczac w nim.

W roku 1895 wniosl do rzadu konserwatywnego nie tylko wieloletnie doswiadczenie i prestiż swojego nazwiska i stanowiska, ale takze olbrzymi kapital publicznego zaufania, zgromadzony przez cztery dekady kariery politycznej. Jego bezinteresownosc nie ulegala najmniejszej watpliwosci. Tak wyraźnie wznosil sie ponad prywatna ambicje — pisal o nim wydawca „Spectatora”, ze „nikt nigdy nie przypisywal mu nieszlachetnych pobudek ani nie insynuowal, ze dziala na wlasna reke. Gdyby ktos odwazyl sie tak zrobic, w kraju uznano by po prostu, ze oskarzyciel zwariowal”. Kiedy diuk obejmowal jakies stanowisko, ludzie czuli, ze maja przywodce. Nie zostal nigdy premierem ani nie wygral Derby, ale, jak pisal „Times”, „nikt nie cieszył sie wikszyim autorytetem przy urabianiu przekonanj politycznych

swoich rodaków”. Sam był nieco zakłopotany zasięgiem swego wpływu. „Nie rozumiem, dlaczego mam ludziom mówić, co bym zrobił, gdybym musiał głosować — protestował. — Zrobią to, co uważają za właściwe, a ja zrobię to, co ja uważam za właściwe. Nie chcę wcale, żebym się wtrącał”. A kiedy ksiązę Walii, który nie mniej niż jego poddani polegał na sądach diuka o ludziach i sprawach, radził się go jako arbitra w delikatnych kwestiach towarzyskich, skarżył się: „Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale ilekroć przyłapie się kogoś na oszukiwaniu przy kartach, sprawę kieruje się do mnie”. Łącząc cechy odziedziczone z własnym charakterem stał się stróżem sumienia narodu. Kiedy konieczna była czyjaś obecność z okazji jakiejś uroczystości czy ceremonii, uważano diuka za najodpowiedniejszego. Był on, według lorda Rosebery, „jedną z wielkich sił rezerwowych tego kraju”.

Pośród ministrów lorda Salisbury, którzy w roku 1895 zajęli miejsca na rządowej ławie ministerialnej w Izbie Gmin, znajdowało się dwóch baronetów, dziewiąty w swojej linii, sir Michael Hicks-Beach, minister finansów, i szósty, sir Matthew White Ridley, minister spraw wewnętrznych. Pierwszy z nich, wysoki, chudy i surowy, był arcykonserwatystą, orędownikiem Kościoła anglikańskiego i klasy właścicieli ziemskich. Nazywano go „Czarnym Michałem”. Zgryźliwy, z ostrym językiem, raz, po przeczytaniu uwag jednego z posłów liberałów o jego budżecie, powiedział krótko do swego sekretarza: „Proszę pójść powiedzieć mu, że jest świnią”. Obok nich zasiadało dwóch wpływowych właścicieli ziemskich, panowie Henry Chaplin i Walter Long; reprezentowali oni ziemian, starą arystokrację bez tytułów, którzy „gardzili tytułem para, ale uważali za punkt honoru kandydowanie ze swojego hrabstwa przy pierwszych wyborach po dojściu do pełnoletności”. Long, przewodniczący Rady Rolniczej i przy swoich czterdziestu jeden latach najmłodszy członek rządu, „nie powiedział w swoim życiu nic, co by ktokolwiek zapamiętał”. „Drzemie cichutko — zauważył jakiś obserwator — z założonymi rękoma, głową opuszczoną w tył na poduszkę, a jego twarz zarumieniona po jesiennych polowaniach nadaje trochę kolorytu całej scenie”; drugi, starszy Chaplin „energicznie, czujnie, żwawo strzeże Imperium przed podłymi sztuczkami opozycji”

Pięćdziesięcioletni Chaplin, ze swą wspaniałą postawą, dużą, kształtną głową, długim nosem, wystającą brodą, bokobrodami i monoklem, był osobistością wybitną, jednym z najpopularniejszych ludzi swego pokolenia, „wpadał w oko, widywano go wszędzie. Każdy znał go z

widzenia”. Stanowił widomy symbol angielskiego szlachcica wiejskiego. Podlegał mu Wydział Samorządu Lokalnego, zajmujący się opieką nad ubogimi, zapewnianiem mieszkań, planowaniem miejskim, opieką zdrowotną i zarządem komunalnym. Funkcje tego ministerstwa najlepiej scharakteryzował Winston Churchill, gdy mu je proponowano w roku 1908: „Nie chcę się dać zamknąć w garkuchni z panią Sidney Webb”. Chaplin spełniał te obowiązki, jak i obowiązki posła z ogromną powagą. Uważał się za bastion istotnych brytyjskich wartości i podobne zdanie mieli o nim jego wyborcy. Ćwiczył zazwyczaj w odosobnieniu przemówienia, aby lepiej wywiązać się ze swojej roli. Ktoś ze świadków powiedział, że jego jowiszowy, grzmiący głos, szlachetny, zamaszysty gest rąk, kiedy przemawiał z ławy rządowej, nie wyrażały próżności, lecz „spokojną, niewzruszoną pewność klasy rządzącej”. Nie obawiając się najtrudniejszych problemów rządu, zabierał się do taryf celnych lub do projektu ustawy o szkolnictwie z taką samą energią jak do przeskoczenia trudnej przeszkody na polowaniu i zaczął nawet gorąco orędownąć za bimetalizmem jako lekarstwem na trudności ekonomiczne. Raz, po dwugodzinnym przemówieniu na ten zawity temat, otarł czoło i pochylając się do Balfoura, zapytał:

- „Jak to wypadło, Arturze?
- Wspaniale, Harry, wspaniale.
- Zrozumiałeś mnie, Arturze?
- Ani słowa, Harry, ani słowa”.

Arthur Balfour, księżę z linii Cecilów, siostrzeniec premiera i jego spadkobierca polityczny, mistrz dyskusji i bożyszcze towarzystwa, był ozdobą swojej partii i jej przywódcą w Izbie Gmin. W roku 1895 miał czterdzieści siedem lat, a w 1902, kiedy ustąpił jego wuj, został premierem. Miał ponad sześć stóp wzrostu, niebieskie oczy, faliste brązowe włosy i wąsy, delikatną i dobrotliwą twarz, która mogłaby się wydawać słaba, gdyby opanowanie nie nadawało jej wewnętrznego spokoju. Mimo łagodnego sposobu bycia, wiotkiej postaci i nonszalanckich manier w jego wyrazie pozostawało coś tajemniczego. Nikt nie potrafił powiedzieć, jaki ogień tam płonie, czy płonie i czy w ogóle istnieje.

Rzadko siedział prosto, przeważnie rozpierał się leniwie w pozycji zbliżonej możliwie najbardziej do poziomej, „jakby chciał sprawdzić”, pisał

sprawozdawca parlamentarny „Puncha”, „czy mógłby usiąść na łopatkach”. Łączył w swej osobie wszystkie atuty klasy uprzywilejowanej. Był bogaty, błękitnej krwi, przystojny, posiadał duży wdzięk i „najznakomitszy umysł, jaki za naszych czasów poświęcił się polityce”. Jako filozofa traktowano go poważnie; jego drugie wielkie dzieło, *Podstawy wiary (The Foundations of Belief)*, wydane w 1895, czytał amerykański filozof William James z ogromną przyjemnością. „Więcej prawdziwej filozofii jest w takiej książce — pisał do swego brata Henry'ego — niż w pięćdziesięciu dziełach niemieckich, naładowanych subtelnosciami i szczegółami technicznymi”.

Balfour, choć wyniosły i powściągliwy, miał ujmujący sposób bycia, zyskujący mu powszechny podziw. Jego wdzięk był tego rodzaju, że po rozmowie z nim każdy czuł się uszczęśliwiony. „Choć mówił najlepiej ze znanych mi osób — powiedział John Buchan — nie był monopolistą w konwersacji, lecz ożywiał się i wzbogacał całą dyskusją, wydobywając ze swoich rozmówców to, co najlepsze”. Austen Chamberlain pisał po wieczorze spędzonym w jego towarzystwie: „Odchodziło się z przeświadczeniem, że osiągnęło się szczyt swojej formy i że się naprawdę dobrze mówiło”. Na przeciwników politycznych oddziaływało to nie mniej niż na zwolenników. Był jedynym konserwatystą, do którego Gladstone w czasie debaty stosował określenie zarezerwowane zazwyczaj dla członków własnej partii: „mój czcigodny przyjaciel”. Kobiety także nie umiały mu się oprzeć. „O Boże — wzdychała lady Constance Battersea po wizycie w jego domu w roku 1895 — co za przepaść między nim a większością mężczyzn!” Margot Asquith uważała jego „znakomity sposób słuchania” i „wdzięczne pochylenie głowy” kiedy z nią rozmawiał, za „porywające” do tego stopnia, że wcześniej, jeszcze jako Margot Tennant, gwiazda towarzyska pierwszej wielkości, „poruszała niebo i ziemię”, jak twierdziła lady Jebb, żeby wyjść za niego za mąż. Zapytany o to małżeństwo, Balfour odpowiedział: „Nie, nie jest tak. Ja myślę raczej o swojej własnej karierze”.

Jako najstarszy syn siostry lorda Salisbury, lady Blanche, Balfour otrzymał imię Arthur po swoim ojcu chrzestnym, księciu Wellingtonie. Ze strony ojca należał do starego rodu szkockiego. Majątek zrobił pod koniec osiemnastego wieku dziadek Arthura, James Balfour, nabab Kompanii Wschodnioindyjskiej. James nabył w Szkocji w Whittinghame nad zatoką Firth of Forth posiadłość wynoszącą 10 000 akrów, która stała się siedzibą rodziny. Wraz z posiadłością nabył również las ze zwierzyną, rzekę z

łososiami, pawilon myśliwski, miejsce w Parlamencie i wziął córkę ósmego hrabiego Lauderdale za żonę. Ciotka Balfoura, córka z tego małżeństwa, wyszła za diuka Grafton, tak że wraz z krewnymi ze strony Salisbury, Balfour mógł, jak powiedział jeden z jego przyjaciół, „uważać za kuzynów połowę angielskiej arystokracji”. Jego młodszy brat, Eustace, ożenił się później z lady Frances Campbell, córką diuka Argyll, wnuczką diuka Sutherland, siostrzenicą diuka Westminster i szwagierką księżniczki Luizy, córki królowej Wiktorii.

Ojciec Balfoura, również członek Parlamentu, zmarł w trzydziestym piątym roku życia, kiedy Arthur miał siedem lat, i lady Blanche, u której szczególnie wyraźnie przejawiała się cechująca Cecilów religijność, musiała sama zająć się rodziną, złożoną z pięciu synów i trzech córek. Nie tylko nauczyła Arthura podziwiać Jane Austen i ulubioną książkę swego brata, *Hrabiego Monte Christo*, lecz wszczepiła mu również poczucie obowiązku właściwe Cecilom. Gdy jej syn w Cambridge rozkochał się w filozofii i chciał odstąpić swoje dziedzictwo bratu, aby poświęcić się pracy naukowej, złażała go surowo za brak charakteru, gdyż chciał uchylić się od obowiązków wynikających z jego pozycji.

W Trinity College, gdzie Balfour studiował etykę, niezdanie egzaminu nie zakłóciło jego niewzruszonej dobroduszości i dobrego samopoczucia. Zachowywał się, pisała lady Jebb, seniorka towarzystwa w Cambridge, „jak młody książę i był niemal równie rozpieszczony”. Spośród jego czterech braci, Frank, profesor embriologii, stałby się, jak twierdził Darwin, „pierwszym wśród angielskich biologów”, gdyby nie zginął podczas wspinaczki w Alpach w wieku trzydziestu jeden lat; Gerald, niezwykle przystojny, był według lady Jebb najwspanialszym ze znanych jej mężczyzn, choć jej siostrzenica uważała go za „najbardziej zarozumiałego”. Eustace nie wybił się ponad przeciętność, a Cecil, zakała rodziny, umarł w upodleniu w Australii. Ale Arthur, zdecydowała lady Jebb, był „najlepszy w rodzinie, w której wszyscy byli najlepsi... człowiek kochany prawie przez wszystkich”. Jednak, jej zdaniem, miał usposobienie „uczuciowo chłodne”, tak że jedyna nieśmiała miłość do May Lyttelton, siostry kolegi z Cambridge i siostrzenicy Gladstone'a, która umarła mając dwadzieścia pięć lat, kiedy Balfour miał dwadzieścia siedem, „wyczerpała jego możliwości w tym kierunku”.

Tym tłumaczono w późniejszych latach kawalerstwo Balfoura. W rzeczywistości zaważył na tym nie tyle chłód uczuciowy, co gorące

przywiązanie do całkowitej swobody.

Spośród jego przyjaciół dwaj byli wybitnymi naukowcami z Trinity: jego wychowawca, Henry Sidgwick, później profesor filozofii moralnej, i fizyk John Strutt, później trzeci baron Rayleigh, przyszły laureat Nagrody Nobla i rektor uniwersytetu; obydwaj ożenili się z siostrami Balfoura. W owym czasie, kiedy być intelektualistą znaczyło być agnostykiem, dziedziczny zmysł religijny Balfoura powodował, że przyjaciele z Cambridge uważali go za „ciekawy relikw stárszego pokolenia”. Natomiast przyjaciele z towarzystwa po opublikowaniu w 1879 jego pierwszej książki *Obrona filozoficznych wątpliwości (A Defence of Philosophic Doubt)* wnioskowali z tytułu, że Arthur broni agnostycyzmu, i gdy ktoś wymieniał jego nazwisko, „przybierali namaszczone miny”. Tymczasem książka wyrażała powątpiewanie w istnieniu rzeczywistości materialnej i tym samym, paradoksalnie, udawadniała prawo do duchowej wiary; stanowisko to zostało wyraźnie określone w jego późniejszej książce *Podstawy wiary*. W Whittingham, gdzie prowadziła mu dom niezamężna siostra Alice i gdzie mieszkali jego żonaci bracia z wieloma dziećmi, co niedzielę czytał wieczorną modlitwę. Przejęty judaizmem Starego Testamentu, interesował się szczególnie „ludem biblijnym” i problemem Żydów we współczesnym świecie. Jego siostrzenica i biografka przejęła od niego „ideę, że religia chrześcijańska i cywilizacja mają wobec judaizmu wielki dług, haniebnie źle spłacany”.

Częściej niż ktokolwiek w Londynie jadał obiad poza domem. Ignorując spokojnie niezłomną zasadę, że przewodniczący większości musi być w Izbie w czasie posiedzenia, zniknął niejednokrotnie w porze obiadowej, a w kilka godzin później pojawiał się z powrotem bez skrpułów, w stroju wieczorowym. We wszystkich pamiętnikach z tego okresu znajdują się wzmianki o jego obecności na przyjęciach i obiadach: „u Rothschildów — pisał John Morley — tylko Balfour, *partie carree*, zawsze najprzyjemniejsza”. Był jednym z dwudziestu mężczyzn na obiedzie u Harry'ego Custa, gdzie rozmowa tak wszystkich pochłonięła, że kiedy w górnej części domu wybuchł pożar, nie przerwano obiadu, a lokaje podawali gościom razem z portem ręczniki kąpielowe dla osłony przed sikawkami strażaków; był w pałacu Blenheim u Marlborough na przyjęciu, w którym brali również udział książę i księżna Walii, Curzonowie, Londonderry'owie, Grenfellowie i Harry Chaplin; był w Chatsworth u Devonshire'ow na

przyjęciu wraz z diukiem i diuszesa Connaught, hrabią Mensdorffem — ambasadorem Austrii, brzydkim, urzekającym i sprośnym markizem de Soveral — ambasadorem Portugalii, z de Greyami, Ribblesdale'ami i Grenfellami; był w Hatfield u Salisburch na przyjęciu z diukiem Argyll, przewodniczącym Izby Peelem i jego córką, z panem Buckle'em z „Timesa”, George'em Curzonem i generałem lordem Methuenem; był w Cassiobury, siedzibie lorda Essex, pewnej niedzieli pod koniec wspaniałego londyńskiego sezonu, kiedy Edith Wharton przyszedłszy na herbatę „zastała na trawniku pod wielkimi cedrami sam kwiat i ozdobę londyńskiego towarzystwa: pana Balfoura, lady Desborough, lady Elcho, Johna Sargenta, Henry Jamesa i wielu innych z tej świetnej plejady... tak wyczerpanych życiem towarzyskim w poprzednich tygodniach... że nie mogli się zdobyć na nic oprócz życzliwego uśmiechu”.

Najczęściej widywano Balfoura w Clouds, siedzibie baroneta sir Percy Wyndhama, ulubionym domu wiejskim „Dusz”. Tam, wśród dobranego towarzystwa, specjalną atrakcją dla Balfoura stanowiła lady Elcho, jedna z trzech pięknych sióstr Wyndham; choć była żoną przyjaciela, Balfour utrzymywał z nią przez dwanaście lat dyskretny romans, po którym pozostały listy. Sargent portretując siostry w roku 1899 nie przestrzegał już realizmu z taką skrupulatnością jak przy malowaniu brwi lady Beresford. Portret grupowy lady Elcho, pani Tennant i pani Adeane, odzianych w stroje o porcelanowej bieli, w pozach wyszukanej, lecz wyniosłej elegancji, jest olśniewającym marzeniem o kobietach z arystokracji.

Panie należące do „Dusz”, przeciwstawiające się świadomie wiktoriańskiemu ideałowi kobiecemu, postanowiły być intelektualne, szczupłe i pozwalały sobie także na swobodę obyczajów w życiu osobistym. Jedynej wśród nich Amerykance, pięknej Daisy White, żonie Henry White'a, pierwszego sekretarza Ambasady Amerykańskiej, gratulowała raz przyjaciółka, że nie zmienia się pod wpływem „wszystkich tych osób, które mają kochanków”. W tej dziedzinie „Dusze” nie różniły się od bardziej filisterskiej grupy księcia Walii. Wszyscy uczestniczyli w tej samej jawnej zмовie, która pozwalała towarzystwu odchodzić od zasad wiktoriańskiej moralności bez rezygnowania z jej pozorów. Nie znane są uczucia małżonka, Hugona, lorda Elcho, dziedzica hrabiego Wemyssa, który, choć milczący, należał do tego samego kółka. Nie wzbudzał sprzeciwu taki romans, jak diuka Devonshire, gdyż diuk cieszył się na tyle dobrą reputacją i pozycją, że

mimo tego epizodu mógł nadal pozostać bez skazy.

Balfour wszedł po raz pierwszy do Parlamentu z podlegającego rodzinie okręgu mając dwadzieścia sześć lat, nie tyle z własnej woli, co raczej z nakazu losu, jako najstarszy syn i jako Cecil. W okresie, kiedy jako minister skarbu i przywódca większości w Izbie, wprowadził się w roku 1895 na Downing Street na miejsce swego wuja, który wolał pozostać w domu, utajona dziedziczna pasja do polityki zaczęła się rozwijać równoległe ze wzrostem talentu i władzy. Nie naruszyła jednak jego wrodzonej niezależności. Nie czuł się urażony krytyką, z jaką się spotykał, lecz badał ją dokładnie, jak interesującego owada. „Całkiem porządny chłop — mawiał o swoim przeciwniku — ma dziwny punkt widzenia, dosyć interesujący”. W duchu był jednocześnie konserwatystą, pragnącym zatrzymać wszystko najlepsze ze znanego mu świata, i liberałem, „patrzącym życzliwie na postęp”, jak mówiła jego siostra. Ludzie czuli w nim „naturalne źródło młodości”, wedle słów jednego z jego przyjaciół, a także „świeżość, spokój i pogodę ducha”, wedle innego przyjaciela. Później jako premier pierwszy na tym stanowisku jechał do pałacu Buckingham samochodem i pierwszy udawał się do Izby Gmin w filcowym kapeluszu.

Uważał się za należącego do młodszej generacji torysów, którzy widzieli konieczność reagowania na coraz mocniejsze wyzwanie klasy pracującej, lecz wychowani w przywilejach nie mogli w dniach próby stanąć po stronie atakujących. W pierwszych latach w Parlamencie Balfour przyłączył się do czterech „radikalnych” torysów z Czwartej Partii pod przywództwem lorda Randolpha Churchilla. Zajmowali pierwszą ławę poniżej przejścia i Balfour siedział z nimi, ponieważ — jak mówił — miał tam dość miejsca na nogi; wybór wynikał jednak z poglądów. Czwarta Partia drażniła jak uporczywa mucha w sprawie zwanej „torysowską demokracją”, polegającą na przekonaniu, że rosnąca siła polityczna świata pracy może zostać okiełznana we współpracy z torysami. Lord Randolph twierdził w roku 1892: jeśli świat pracy przekona się, że będzie mógł „osiągnąć swoje cele i zapewnić sobie korzyści” przy istniejącej konstytucji, której utrzymanie było zadaniem torysów — wtedy wszystko pójdzie dobrze. Lecz jeśli konserwatyści będą się uparcie sprzeciwiać tym żądaniom, „bezmyślnie i krótkowzrocznie popierając wszystkie obecne prawa własności”, wtedy świat pracy stanie przeciw nim. Ponieważ torysi byli w kraju mniejszością, musieli zjednać sobie poparcie „większości głosów mas pracujących”.

Balfoura nie przekonał nigdy w pełni ten dobrze sformułowany argument, podobnie jak samego lorda Randolpha, kiedy doszło do sprawdzenia tej zasady w praktyce. Teoretycznie Balfour wierzył w demokrację, w rozszerzenie prawa wyborczego, w poprawę warunków pracy i praw świata pracy, lecz nie mogło to, według niego, nastąpić kosztem obalenia bariery przywilejów chroniących klasę rządzącą. Na tym polegała zasadnicza trudność realizowania torysowskiej demokracji. Jej orędownicy uważali za możliwe takie spełnienie żądań robotników, aby równocześnie cytadela przywileju pozostała nietknięta; Balfour podejrzewał jednak istnienie gorzkiej prawdy historycznej: że postępu i korzyści nie da się nigdy osiągnąć dla jednej grupy bez utraty jakiejś trwałej wartości przez inną. W dalszym ciągu wyrażał przekonanie, że socjalizm nie zdobędzie nigdy klasy pracującej, „jeśli ci, którzy rządzą kolektywnymi siłami społeczności... okażą się skłonni naprawić każdą prawdziwą krzywdę”. Lecz kiedy dochodziło do konkretnych aktów naprawy, nie wykazywał entuzjazmu ani głębokiej troski. „Co to właściwie są «związki zawodowe»?” — zapytał pewnego razu przyjaciela liberała. Margot Asquith powiedziała mu, że jest podobny do swego wuja, bo ma cudowne poczucie humoru, literacki styl i głębokie zainteresowanie dla nauki i religii. Czy jest jakaś różnica między nimi? „Jest różnica — odpowiedział Balfour — wuj jest torysem, ja jestem liberałem”. Jednak fakt, że wuja nie poruszyły wcale wczesne związki Balfoura z torysowskimi „Radykałami” i że wzajemne głębokie zaufanie pozostało nadal niezłamane, zdaje się świadczyć, że zasadnicze podobieństwo ich przekonań było silniejsze niż różnice.

Balfour wydawał się swoim współczesnym zagadką, gdyż usposobienie miał pełne sprzeczności, wyrażał często całkowicie odmienne opinie i nie patrzył na życie polityczne w kategoriach bezwzględnych. Wskutek tego posądzano go często o cynizm, a ludzie o poglądach liberalnych uważali go za przewrotnego. H. G. Wells nakreślił jego portret w *Nowym Machiavellim* (*The New Machiavelli*) w postaci Eveshama. „Grając o punkty w grze o korzyści partyjne Evesham wykazywał niekiedy złośliwy wręcz brak skrupułów w posługiwaniu się swym wyrafinowanym umysłem... Czy naprawdę mu zależało? Czy coś go obchodziło?” Również Winston Churchill użył raz słowa „złośliwy” (*wicked*) mówiąc o nim do pani Asquith. Jej zdaniem tajemnica niewzruszalności Balfoura w krytycznych momentach polegała na tym, że nie „troszczył się naprawdę o rozważane sprawy ani nie wierzył, że od takiego czy innego biegu wydarzeń zależy szczęście

ludzkości”. Balfour w istocie trwał przy pewnych podstawowych przekonaniach, lecz w każdej sprawie widział argumenty za i przeciw, na co narażony jest zawsze człowiek myślący. Pewnego razu przyszedłszy na wieczorne przyjęcie w wielkim domu, gdzie schody rozdzielały się na dwie bliźniacze kondygnacje, stał na dole przez dwadzieścia minut; przyglądającemu się ze zdziwieniem innemu gościowi wytłumaczył, że starał się znaleźć jakiś logiczny powód, żeby pójść w jedną stronę, a nie w drugą.

W roku 1887 przypuszczano, że zaskakujące posunięcie Salisbury'ego, jakim było mianowanie siostrzeńca na trudne i niebezpieczne stanowisko ministra do spraw Irlandii, okaże się fiaskiem. Uważano wtedy Balfoura za pozbawionego energii intelektualistę, którego prasa nazywała chętnie „Czarującym Księciem”, a nawet „Panną Balfour”. W Irlandii wrzała nieustannie wojna między właścicielami ziemskimi a dzierżawcami, podsycana jeszcze przez agitatorów na rzecz autonomii. Policja codziennie eksmitowała dzierżawców nie mogących płacić czynszu, a tłum w odwecie bombardował policję kamieniami, oblewał witriolem i wrzącą wodą. Stałe zamachy nie pozwalały zapomnieć o losie lorda Fredericka Cavendisha sprzed pięciu lat i „wszyscy, nawet ci najwyżsi, drżeli”. Choć i jemu grożono śmiercią, Balfour nie zwracał na to uwagi i zdumiał obydwie wyspy. Powiedział, że zamierza być „tak nieugięty jak Cromwell” w egzekwowaniu prawa i „radikalny jak każdy reformator” w naprawianiu krzywd dotyczących ziemi. Jego zdecydowane rządy „zaskoczyły jego wrogów — pisał John Morley — a u przyjaciół wywołały radość, jakiej nieczęsto doznaje się w polityce naszych czasów”. Stał się popularną osobistością; w Irlandii zyskał przydomek „Krwawego” Balfoura, a równocześnie w Anglii widziano w nim przyszłego przywódcę partii.

W roku 1891, po rezygnacji W. H. Smitha ze stanowiska przywódcy większości w Izbie, został jednogłośnie wybrany na jego miejsce. Jako minister do spraw Irlandii, lekceważąc absolutnie osobiste bezpieczeństwo, dał dowód takiej odwagi, czy braku strachu, o jaką nie podejrzewał go nikt ze współczesnych. George Wyndham, wówczas sekretarz prywatny Balfoura, pisał z Dublina, że podziw, jaki wywołał u irlandzkich lojalistów, był „niemal komiczny”, i przypisywał to faktowi, że „ponieważ wielka odwaga jest darem tak rzadkim i ponieważ większość ludzkich nieszczęść rodzi się ze strachu, wszyscy gotowi są padać na twarz przed każdym, kto jest całkowicie pozbawiony strachu”. Winston Churchill przypisywał brak nerwów Balfoura

„chłodnemu usposobieniu”, przyznawał jednak, że jest „najodważniejszym człowiekiem z żyjących. Jestem przekonany, że nie przestraszyłby się, gdyby mu przyłożono pistolet do skroni”.

Ta sama cecha pozwalała mu górować w debatach. Pewny własnej siły, nie bał się żadnych oponentów ani zakłopotania. Zdaniem Morleya, kierował się zasadą, że „traktowanie przeciwnika politycznego z szacunkiem oznacza przyznanie mu przewagi, do której nie ma prawa”. Dyskutował z „nieposkromionym dowcipem i wytworną drwiną”. Chociaż w życiu publicznym rzadko pozwalał sobie na złośliwy sarkazm, jego prywatne aforyzmy bywały ostre. Powiedział o jednym koledze: „Gdyby miał trochę więcej rozumu, byłby półgłówkiem”. W Izbie odnosił się do przeciwników z niemal uniżoną uprzejmością, a ostro atakowany przez posłów z Irlandii siedział spokojnie z łagodnym uśmiechem, gdy zaś wstał, żeby odpowiedzieć, druzgotał ich słowami, które działały jak „pocisk na bańkę powietrza” „2. Nie przychodziło mu to jednak bez wysiłku. Zwierzał się raz przyjacielowi, że nigdy nie śpi dobrze po ciężkim wieczorze w Parlamencie. „Nigdy nie tracę panowania nad sobą, ale nerwy są napięte do ostateczności i trzeba czasu, żeby ochłonąć”. Podziwiał Macaulaya, uważał jego prozę za porywającą i zachwycał się stylem. Jego własne przemówienia, wygłaszane bez notatek, nie przygotowywane, odznaczały się doskonałą budową. Lord Willoughby de Broke, aktywny młody członek drugiej Izby, który chętnie przychodził posłuchać Balfoura, mówił, że przyjemność polegała na słuchaniu „idei i argumentów przedstawionych w jak najwłaściwszej kolejności bez jakiegokolwiek wrażenia premedytacji; cały mistrzowski proces myślenia, dowodzenia i wypowiedzenia przeprowadzony był z tak skończonym artyzmem i z tak doskonałą swobodą, że prawdziwą rozkoszą było słuchać, jak ta sztuka się realizuje”.

Balfour nie dbał o fakty, nie był pewny cyfr, a pamięć nie była jego mocną stroną, lecz pokonywał te słabości przy pomocy techniki, która niechybnie wywoływała rozbawienie w Izbie. Kiedy zajmował się jakimś skomplikowanym projektem ustawy, miał zawsze obok siebie dobrze obznajmionego ministra, jak minister spraw wewnętrznych lub prokurator królewski, i jeśli zaplątał się w szczegółach, kolega mógł szepnąć sprostowanie. Według opisu sir Henry'ego Lucy, sprawozdawcy parlamentarnego „Puncha”, Balfour robił pauzę, rzucał koledze przyjacielskie spojrzenie, z lekka strofujące, i mówił „właśnie”. Przy następnej pomyłce i

wyszeptanym sprostowaniu powtarzało się to samo z surowszym akcentem na słowo „właśnie”, co robiło wrażenie, że istnieją granice tolerancji w tych sprawach i że koledze można było wybaczyć raz, lecz nie powinien naprawdę nadal popełniać błędów.

Nie odznaczał się punktualnością i często z niedbałym wdziękiem zjawiał się już prawie po interpelacjach. Dokonał rewolucji przenosząc krótkie posiedzenia Izby ze środy na piątek ze względu na weekend, instytucję, którą właściwie sam wymyślił, aby zapewnić sobie czas na grę w golfa. „Ten przeklęty szkocki krykiet”, jak nazywał golfa jeden znakomity sportowiec, zawdzięczał swoją popularność wpływowi Balfoura. Z całkowitą beztroską i wbrew wszelkim zwyczajom uprawiał ten sport nawet w niedzielę, tylko nie w Szkocji; miał tyle osobistego uroku, że całe towarzystwo naśladowało go, i w ten sposób zrodził się zwyczaj weekendu w domu na wsi. Nie uprawiał polowania w żadnej formie, lecz oprócz golfa grał z zapałem w tenisa, jeździł na rowerze, ile się dało, niekiedy przejeżdżając dwadzieścia mil na raz, i oddawał się ze zdroźną namiętnością nowym emocjonującym doznaniom, jakie dawała jazda samochodem. Jego pojęcie rozrywki odbiegało od potocznego. Podczas wizyty u swojej siostry, lady Rayleigh, zapytany przez nią, jaką mogłaby mu sprawić przyjemność, odpowiedział: „O, postaraj się o coś zabawnego; zaprosz kilka osób z Cambridge, żeby można było porozmawiać o nauce”. Entuzjasmował się również muzyką. Napisał esej o Handlu do „Edinburgh Review” i pojechał śladami muzyki w podróż do Niemiec, gdzie oczarował tę nieznośną wdowę, Frau Wagner.

Pod pozorami nonszalancji i o ciężałości kryła się u niego niespożyta pracowitość. Oprócz reprezentowania rządu w Izbie Gmin często zastępował swego wuja w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Kiedy Salisbury odszedł w 1902 roku, lord Esher uważał, że „niezwykła energia Arthura” zrównoważy jego nieobecność. Żeby zachować energię, Balfour załatwiał jak najwięcej spraw w łóżku i rzadko wstawał przed południem.

Czytał nieustannie: otwarta książka naukowa stała oparta na kominku, kiedy się ubierał; powieść detektywistyczna leżała na jego stoliku nocnym, półki w jego pokoju zapchane były książkami filozoficznymi i teologicznymi, stosy ich walały się na kanapie, stoły i krzesła zarzucone były czasopismami, a gąbki używał do podtrzymywania francuskich powieści, które czytał w wannie. Nie czytał nigdy gazet. Nocujący u niego goście stwierdzali, że nawet ich nie abonował; za to zaniedbanie zganił go pan

Buckie, wydawca „Timesa”. Raz w rozmowie z księciem Walii dziennikarz W. T. Stead zauważył, że Balfour jest człowiekiem, którego dobrze mieć za sobą w bójce, ale w ogóle jest nazbyt obojętny. „Ach — odpowiedział książę, kiwając głową — wie pan, on wcale nie czyta gazet”.

Książę nigdy nie lubił Balfoura i czuł, że ten odnosi się do niego z wyższością, natomiast podziwiała go królowa Wiktorja. Sir Henry Ponsonby opowiadał o jednej wizycie w Balmoral, w czasie której Balfour omawiał sprawy z królową, „przedstawiając jej swój odmienny pogląd w sposób, który każe jej to raz jeszcze przemyśleć... Sądzę, że królowa go lubi, lecz się go trochę boi”. Młodszy Ponsonby uważał, że Balfour umie bardzo dobrze postępować z królową, „choć nigdy nie robi wrażenia, jakoby brał ją na serio”. Królowa wyrobiła sobie opinię o nim w roku 1896 po rozmowie dotyczącej Krety, tureckich okrucieństw, Sudanu i projektu ustawy o oświacie. Była „pod wielkim wrażeniem niesłychanej uczciwości, bezstronności i tolerancji pana Balfoura. Widzi on sprawę z każdej strony, jest niezwykle wielkoduszny w swych uczuciach wobec innych, bardzo miły i ma łagodne usposobienie”.

Okres supremacji i bezpieczeństwa dobiegał już jednak końca, a gdy wraz z nowym stuleciem sytuacja stała się mniej pomyślna, wyszły na jaw słabe strony Balfoura. Mimo tych słabości był on, pod względem charakteru i przymiotów, ostatnim doskonałym wcieleniem patrycjusza. Można by o nim powiedzieć to, co gospodyni Prousta, Celesta, powiedziała po śmierci swego pracodawcy. „Jeśli się znało pana Prousta, każdy inny człowiek wydaje się wulgarny”.

Od czasów rzymskich żadne imperium nie sięgało tak daleko jak ówczesne Imperium Brytyjskie. Obejmowało ponad jedną czwartą powierzchni lądowej globu; żywe świadectwo dał mu w dniu 22 czerwca 1897 roku, dniu Brylantowego Jubileuszu królowej, świetny pochód maszerujący na nabożeństwo dziękczynne u Św. Pawła. Ponieważ uroczystość tę miała obchodzić tylko wspólnota zjednoczona pod brytyjskim berłem, nie zaproszono żadnego z zagranicznych królów, którzy uczestniczyli w Złotym Jubileuszu w roku 1887. Zamiast nich w reprezentacyjnych powozach jechało jedenastu premierów: Kanady, Nowej Zelandii, Kraju Przylądkowego, Natalu, Nowej Fundlandii i sześciu stanów Australii. W

defiladzie jechały kawalerie ze wszystkich części świata: konni strzelcy z Kraju Przylądkowego, kanadyjscy huzarzy, lansjerzy z Nowej Południowej Walii, lekka konnica z Trynidadu, wspaniali brodaci lansjerzy w turbanach z Khapurthala, Badnagar i innych indyjskich stanów, Zaptysi z Cypru w fezach z chwastami, na czarnogrzywych kucykach, ciemnoskóre pułki piechoty, „przedstawiające straszny i piękny widok”, jak pisała z uniesieniem prasa; w fantastycznie kolorowych mundurach sunęła ulicami policja Dyaków z Borneo, artyleria z Jamajki, Królewska Policja Nigeryjska, Sikhowie z Indii, Husacy ze Złotego Wybrzeża, Chińczycy z Hongkongu, Malajczycy z Singapuru, Murzyni z Indii Zachodnich, Gujany i Sierra Leone; kompania za kompanią przechodziła przed olśnionymi ludźmi, przejętymi grozą wobec świadectwa własnej potęgi. Na końcu procesji, w otwartym paradnym powozie ciągnionym przez osiem kremowych koni, jechała najważniejsza osoba dnia, drobna, czarno ubrana postać z kremowymi piórami kiwającymi się na czepku. Słońce świeciło, sztandary o jaskrawych barwach powiewały na wietrze, słupy latarni udekorowano kwiatami, a na ulicach wzdłuż sześciomilowej trasy miliony szczęśliwych ludzi wiwatowały i wymachiwały rękami w radosnym i pełnym dumy uniesieniu. „Sądzę, że nikt nigdy nie miał takiej owacji, jaką zrobiono mnie — pisała królowa w swoim dzienniku. — Każda twarz wyglądała na prawdziwie uradowaną. Byłam ogromnie wzruszona i zadowolona”.

Już od kilku miesięcy unosiła się w powietrzu aura samozadowolenia, „pewnego optymizmu — powiedział Kipling — który mnie przestraszył”. Skłoniło go to do udzielenia — i to nazajutrz rano po paradzie — surowej przestrogi, w postaci poematu *Hymn skruchy*, opublikowanego w „Timesie”. Utwór wywołał olbrzymie poruszenie: „Największy poemat napisany przez współczesnego poetę”, orzekł wybitny prawnik sir Edward Ciarke. Lecz choćby ludzie przyjęli z największą powagą ostrzeżenie zawarte w poemacie, jak mogli uwierzyć, kiedy ceremonie i honory ciągnęły się dalej i osobistości w cylindrach wciąż przychodziły na Naradę Imperium w Whitehall, że cała ta pozorna wielkość była w rzeczywistości „taka sama jak Niniwy i Tyru”.

11 października 1899 roku, odległe zrazu wyzwanie, które stale rosło od czasu Najazdu Jamesona, ujawniło się: wybuchła wojna burska. Lord Salisbury nazwał ją „wojną Joego” podkreślając tym agresywną rolę, jaką odegrał Joseph Chamberlain, minister kolonii, kukułcze piskłę w gnieździe premiera. Choć zaczął on karierę jako radykalny liberał pośród ludzi

przeciwnych z zasady imperializmowi, nauczył się później, jak to wyraził, „myśleć imperialistycznie”. Taka zmiana przekonań nie dziwiła wcale u człowieka o wybitnie oportunistycznym nastawieniu, ponieważ tylko w ostatnich dwunastu latach dołączone zostały do imperium terytoria o obszarze dwadzieścia cztery razy większym od obszaru Wielkiej Brytanii. Wchodząc do rządu w 1895 roku Chamberlain wybrał Ministerstwo Kolonii w przekonaniu, że tędy prowadzi droga do imperium i do tego, co jest „oczywistym przeznaczeniem”, dostrzegał tu ów imperatyw kategoryczny, który nakazywał wówczas Amerykanom kierować wzrok na Kubę i Hawaje, pobudzał Niemców, Belgów, Francuzów, a nawet Włochów do wydzierania sobie wyborowych kawałków Afryki.

Chamberlain był człowiekiem o nieprzeciętnej sile, zdolnościach i zżerającej ambicji, która nigdy nie została zaspokojona. Nie pochodząc z arystokracji, nabył wyglądu człowieka zrównoważonego i autorytatywnego, właściwego tylko jemu. Miał ostre, dość wytworne rysy, oczy nie zdradzające niczego i kruczoczarne włosy, gładko wyszczotkowane. Twarz jego była maską, ozdobioną monoklem na czarnej wstążce; nosił nienaganne garnitury, a w butonierce co dzień świeżą orchideę. Jako fabrykant śrub w Birmingham zrobił dostatecznie duży majątek, aby wycofać się z interesów w wieku trzydziestu ośmiu lat; został burmistrzem swego miasta, gdzie jego osiągnięcia w dziedzinie oświaty i innych reform socjalnych zwróciły na niego uwagę całego kraju. Nie tracąc czasu, wszedł do Parlamentu w czterdziestym roku życia jako poseł z Birmingham, stał się namiętym rzecznikiem radykałów, potępiającym arystokratów i plutokratów z takim zapalem jak socjalista, i szybko otrzymał funkcję ministra handlu w gabinecie Gladstone'a w roku 1880. Nie przebierający w środkach, zimny i arbitralny, dzięki popularności w środkowej Anglii zjednał partii wiele głosów i stanowił czynnik polityczny, z którym należało się liczyć. Uważał się za następcę Gladstone'a, ale „Wspaniały Stary” nie spieszył się ze zwolnieniem mu miejsca, a Chamberlain, zbyt niecierpliwy, aby czekać, wykorzystał sprawę autonomii jako pretekst do wystąpienia z partii z pokaźną liczbą zwolenników. Podczas przygotowań do wyborów w 1895 roku konserwatyści przyjęli go do siebie z zadowoleniem, ale i z niepokojem. Nie wykazywał takiej obojętności wobec opinii publicznej, jak patrycjusze, ale dostosował się do nich manierami i strojem, stając się charakterystyczną osobistością. Mówiono o nim powszechnie „Zadufany Joe”, „Minister Imperium”, i był najbardziej znaną postacią w rządzie.

Jedynie na lordzie Salisbury nie robił żadnego wrażenia. „Nie wmówił sobie, że ma jakiegokolwiek przekonania — pisał w roku 1886 do Balfoura — i na tym polega nieskończona wyższość Gladstone'a”. Balfour w sposób sobie właściwy wyraził się łagodniej, lecz bardziej jednoznacznie. „Joe, choć wszyscy bardzo go kochamy — pisał do lady Elcho — jakoś nie przystaje do nas bezwzględnie i całkowicie, nie tworzy z nami związku chemicznego”. Nic w tym dziwnego. Chamberlain nie chodził do ekskluzywnej szkoły ani nie studiował w Oxfordzie czy Cambridge, gdzie, jak twierdził lord Esher, „każdy z jego zdolnościami uczy się powściągliwości”, i nawet nie należał do Kościoła anglikańskiego. Poruszał się jednak swobodnie wśród swoich nowych towarzyszy i widziano, jak przyjmował na tarasie Izby Gmin duże towarzystwo, w tym trzy diuszesy. Nie można go było nigdy posądzić o zbytnią obojętność, jak Balfoura. Chamberlain oddawał się zawsze z zapalem tej lub innej idei i jak długo ją żywił, obstawał przy niej z całą bezwzględnością. Brak mu było jednak stałych, głęboko zakorzenionych poglądów. Choć tylko o pięć lat młodszy od Salisbury'ego i o dwanaście lat starszy od Balfoura, reprezentował siły i metody nowego okresu, którym rząd Salisbury'ego z zasady się przeciwstawiał. „Różnica między Joe a mną — powiedział Balfour — to różnica między młodością a starszym wiekiem: ja jestem tym starszym”. Balfour miał za sobą długi okres stabilności, jaką daje przynależność do najwyższej klasy społecznej; Joe był nowym potentatem przemysłowym, któremu się spieszyło. Dziedziny, w których nie „przystawali do siebie”, miały charakter zasadniczy.

Na razie współpraca między Chamberlainem i jego nowymi kolegami była lojalna z obydwu stron. Kiedy podejrzewano, że maczał palce w sprawie Najazdu Jamesona, i liberałowie oskarżali go gwałtownie, rząd zwał wokół niego szeregi: parlamentarna komisja dochodzeniowa nie mogła znaleźć żadnych konkretnych śladów prowadzących do Ministerstwa Kolonii. Joe wyszedł z tego z nie zmniejszoną energią i z nie przygaszoną agresywnością. „Nie wiem, przeciw któremu z naszych wrogów powinniśmy wystąpić — pisał do Salisbury'ego po telegramie Krugera — ale musimy wystąpić przeciw komuś”. Jako minister zobowiązany do przeprowadzenia negocjacji, coraz trudniejszych, z Republiką Transwalu stosował najchętniej metodę, określaną Przez Balfoura w sprawozdaniu dla Salisbury'ego jako „dowolne stosowanie środków drażniących”. W czasie ich działania polszczona została dawna klęska: w 1898 roku Kitchener odzyskał Chartum i zatknął brytyjską flagę nad grobem Gordona. Dalej w górę Nilu, pod Faszodą, francuska

ekspedycja wojskowa wdzierająca się do Sudanu spotkała się oko w oko z brytyjską i po okresie napięcia — kiedy Francuzi zdali sobie sprawę ze stanu faktycznego — wycofała się bez jednego strzału. Wraz z prestiżem Wielkiej Brytanii wzrosła jej niepopularność.

Później przysła wojna burska. Armia brytyjska, która po latach *splendid isolation* utraciła swoją prężność, okazała się w pełni przygotowana akurat na wojnę krymską i poniosła szereg klęsk. Buro wie, jak się okazało, mieli armaty od Kruppa i Creusota, a wielu Niemców i Francuzów służyło u nich za kanonierów. Prezydent Kruger wykorzystał odszkodowania przyznane za Najazd Jamesona na zakup artylerii, karabinów maszynowych Maxima, dużej ilości broni palnej i amunicji, żeby się przygotować na ostateczne starcie zbrojne. W jednym „Czarnym Tygodniu” grudnia 1899 lord Methuen został pokonany pod Magersfontein, generał Gatacre pod Stormberg, a sir Redvers Buller, naczelny dowódca, pod Colenso, tracąc jedenaście armat, zostawiając Kimberley i Ladysmith w stanie oblężenia. W kraju ludzie osłupieli ze zdumienia. Diuk Argyll, śmiertelnie chory, nie otrząsnął się już z tego szoku i umarł szepcząc zdanie z wiersza Tennysona o księciu Wellingtonie, „który nie stracił ani jednej angielskiej armaty”.

Wraz z „Czarnym Tygodniem” skończył się ostatni okres, w którym Brytyjczycy czuli się bezspornie panami świata. Stało się to jasne w kilka miesięcy później, kiedy wskutek nalegań kajzera ekspedycja wypływająca do Pekinu w celu ukarania Bokserów oddana została pod dowództwo Niemca. Była to co prawda przede wszystkim niemiecka akcja, bo główne siły brytyjskie znajdowały się już na miejscu, ale Salisbury sprzeciwił się z zasady. Powiedział ambasadorowi niemieckiemu, że Brytyjczycy wyznają zasadę, może nawet nierozsądną, „nie poddawać się dowództwu cudzoziemca”. Nie był to jednak moment odpowiedni do szukania sporu, który mógłby się skończyć udzieleniem pomocy Burom, i musiał się zgodzić.

W nowym roku z nową energią, z posiłkami i z nowym naczelnym dowódcą w miejsce nieszczęsnego Bullera, sytuacja została stopniowo opanowana. Mafeking odbito w maju 1900 roku — przy akompaniamencie wybuchów hysterii w kraju — lord Roberts wszedł do Pretorii w czerwcu, a 1 września ogłoszono aneksję Transwalu, w przekonaniu, że pozostało jeszcze tylko oczyszczenie terenu. Na fali odzyskanej pewności siebie i dobrego nastroju konserwatyści wystąpili o wznowienie mandatu w „wyborach khaki” w październiku. Posługując się sloganem „Każde miejsce zdobyte przez

liberałów jest miejscem zdobytym przez Burów”, z łatwością powrócili do władzy. Lecz choć panował patriotyczny zapał, istniał również nurt przeciwny wojnie; miał on swe źródła nie tylko pośród opozycjonistów, tzw. „Małych Anglików”, wiernych tradycji Gladstone'a, lecz tym razem wynikał raczej z niemiłej świadomości nieczystego motywu, blasku kopalni złota w górach Randu, atmosfery drapieżnego kapitalizmu, komercjalizmu i zysków. W opozycji przeciw wojnie wybił się młody członek Parlamentu David Lloyd George, choć nie posunął się on aż do sprzeciwiania się aneksji, a jedynie zaproponował negocjacje w celu zakończenia wojny.

Wiele osób w rządzie i poza rządem oczekiwało zbliżającego się dwudziestego wieku utraciwszy pewne złudzenia, które nigdy nie miały już odżyć. Na krótko przed śmiercią w listopadzie 1899 roku lady Salisbury powiedziała do pewnego młodzieńca ze swej rodziny: „Młode pokolenie może nas krytykować, jak mu się żywnie podoba; czy potrafi jednak dać coś tak dobrego, jak to, czegośmy zaznali?”

Astronom królewski po rozważeniu wszystkich za i przeciw zdecydował, że rok 1900, a nie 1899 ma być setnym i ostatnim rokiem Dziewiętnastego Stulecia. Zbliżała się chwila jego kresu; końca stulecia najbardziej ze wszystkich w historii pełnego nadziei, zmian, najbardziej postępowego, najruchliwszego i najbogatszego. Zmarła królowa Wiktorja, co wzmogło ogólne poczucie końca jakiejś epoki. Lord Salisbury, zmęczony urzędowaniem, chciał się również wycofać, lecz uważał, że nie może tego zrobić do czasu zwycięstwa w Afryce południowej, które wciąż wymykało się Brytyjczykom. Osiągnięto je wreszcie w czerwcu 1902 roku i lord Salisbury odszedł 14 lipca. Znow zapanowała ponura świadomość, że coś dobiega końca: odszedł pewien autorytet, pewien typ, pewna tradycja. Francuska gazeta „Le Temps” z Paryża, wciąż boleśnie odczuwająca upokorzenie pod Faszodą, pisała: „To, co kończy się dziś wraz z odejściem lorda Salisbury, to cała polityczna gra. Ironią jest, że to, co przekazuje on dalej, to Anglia zdemokratyzowana, zimperializowana, skolonizowana i zwulgaryzowana — wszystko to jest antytezą toryzmu, arystokratycznych tradycji, Wysokiego Kościoła i wszystkiego, co reprezentował. Jest to Anglia p. Chamberlaina, a nie, mimo jego nominalnego kierownictwa, Anglia p. Balfoura”.

Odeszła królowa Wiktorja, lord Salisbury i Dziewiętnasty Wiek. Na rok przed śmiercią królowa wracając swoim jachtem z wizyty w Irlandii cierpiała

z powodu wzburzonego morza. Po szczególnie silnym uderzeniu fali o burtę wezwała swego przybocznego lekarza i powiedziała, naśladując nieświadomie swoją odległą poprzedniczkę: „Sir James, proszę natychmiast pójść, przekazać admirałowi moje pozdrowienia i powiedzieć mu, że to nie może się więcej powtórzyć”.

Ale fale nie chciały się uspokoić.

II. IDEA I CZYN

Anarchiści: 1890-1914

Wizja społeczeństwa bezpaństwowego, bez rządu, bez prawa, bez własności prywatnej, w którym człowiek po usunięciu skorumpowanych instytucji miałby możliwość stać się tak dobry, jak Bóg chciał go widzieć, była tak urzekająca, że w ciągu dwudziestu lat przed rokiem 1914 zamordowano dla niej sześć głów państwa. Byli to: prezydent Francji Carnot w roku 1894, premier Hiszpanii Canovas w roku 1897, cesarzowa austriacka Elżbieta w roku 1898, król Włoch Umberto w roku 1900, prezydent Stanów Zjednoczonych McKinley w roku 1901 i drugi premier Hiszpanii Canelajas w roku 1912. Te zabójstwa były dziełem ludzi zdesperowanych i oszukanych, były gestem mającym zwrócić uwagę na ideę anarchizmu.

Ruch, który pozbawił te ofiary życia, nie miał indywidualnego bohatera. Bohaterem była Idea. Jeden z historyków rewolty nazwał ją „marzeniem zdesperowanych romantyków”. Miała swoich teoretyków i myślicieli, ludzi intelektu, poważnych i szczerych, kochających ludzkość. Miała też swoje narzędzia: ludzi małych, których nieszczęścia lub rozpacz, gniew, upodlenie i beznadziejna nędza uczyniły tak podatnymi na tę ideę, że zawładnęła nimi i pchnęła ich do czynu. To oni stali się mordercami. Między obydwoma tymi grupami nie było żadnego powiązania. Myśliciele konstruowali papierowe modele millennium anarchizmu w prasie i w broszurach; wylewali tyrady nienawiści i obelg na klasę rządzącą i jej pogardzanego sprzymierzeńca, burżuazję; wzywali głośno do akcji, do „propagandy czynu”, aby obalić nieprzyjaciela. Do kogo wołali? Do jakiego czynu wzywali? Tego wyraźnie nie mówili. Nie wiedzieli, że gdzieś nisko, na dnie społeczeństwa, słuchali ich samotni ludzie. Dochodziły ich echa tyrad i apeli, dostrzegali blask millennium, obiecujący życie bez głodu i bez zwierzchnika. Nagle zrywał się któryś z nich z poczuciem krzywdy lub przeświadczony o swej misji i szedł zabijać — składając swoje własne życie w ofierze na ołtarzu Idei.

Pochodzili z mrowisk nędzy, gdzie królował głód i brud, gdzie kaszlali suchotnicy, gdzie powietrze było ciężkie od zapachu ustępów, gotowanej

kapusty i zwietrzałego piwa, gdzie kwiliły niemowlęta i wybuchały nagłe kłótnie małżeńskie, gdzie przeciekały dachy i nie naprawione okna przepuszczały do środka mroźne zimowe wichry, gdzie nie można było marzyć o odosobnieniu, gdzie mężczyźni, kobiety, dziadkowie i dzieci razem mieszkali, jedli, spali, kopulowali, wypróżniali się, chorowali i umierali w jednym pokoju, gdzie sagan do herbaty używany był między posiłkami do gotowania bielizny, gdzie stare skrzynki służyły jako krzesła, sterty słomy jako łóżka, a deski oparte o dwie skrzynie jako stoły; gdzie często w jednej rodzinie nie mogły równocześnie wychodzić wszystkie dzieci, bo nie starczało ubrania, gdzie porządne rodziny żyły wśród pijaków, awanturników, złodziei i prostytutek, gdzie życie było nieustanną huśtawką między bezrobociem a ciężką harówką, gdzie robotnik w fabryce cygar i jego żona zarabiający trzynaście centów za godzinę pracowali po siedemnaście godzin dziennie przez siedem dni w tygodniu, aby utrzymać siebie i troje dzieci; gdzie śmierć była jedynym wyjściem i jedyną rozrzutnością i gdzie uciulane przez całe życie oszczędności wydawano na karawan z kwiatami i pochód żałobników, aby się ustrzec przed anonimowością i ostateczną hańbą pochówku na cmentarzu dla ubogich.

Anarchiści wierzyli, że kiedy usunie się własność, panią wszelkiego zła, żaden człowiek nie będzie już mógł żyć z pracy innego człowieka, a wtedy prawdziwa natura ludzka uzyska swobodę potrzebną, by poszukiwać naturalnej płaszczyzny sprawiedliwego współżycia ludzi. Rola państwa zastąpiona zostanie przez dobrowolną współpracę jednostek, a rola prawa przez najwyższe prawo ogólnej pomyślności. Dla osiągnięcia tego celu bezużyteczne są jakiegokolwiek próby zreformowania istniejącego zła społecznego za pomocą głosowania lub perswazji, bo klasa rządząca nigdy nie zrzeknie się swojej własności ani swej władzy i praw chroniących posiadanie tej własności. Stąd konieczność użycia siły. Jedynie rewolucyjne obalenie całego istniejącego krzywdzącego systemu da pożądaną skutek. Skoro tylko stara struktura rozpadnie się w gruzy, zapanuje spontanicznie nowy ład społeczny oparty na całkowitej równości, bez żadnej władzy, w którym potrzeby wszystkich zostaną zaspokojone. Wydawało się, że wystarczy tę przekonywającą propozycję uświadomić klasom uciskanym, aby wywołać ich odzew. Anarchiści mieli za zadanie pobudzić je do tej idei słowem i czynem, by pewnego dnia ten czyn zabłysnął jako sygnał buntu.

Początek anarchizmu przypada mniej więcej na rok rewolucji 1848.

Dwoma głównymi jego prorokami byli w pierwszym okresie Francuz Pierre Proudhon i jego uczeń Michał Bakunin, emigrant rosyjski, który stał się czynnym przywódcą ruchu.

„Ktokolwiek położy na mnie rękę, aby mną rządzić — oświadczał Proudhon — jest uzurpatorem i tyranem; stwierdzam, że jest on moim nieprzyjacielem... Rządzenie człowiekiem przez człowieka jest niewolnictwem”, a prawa takiego rządu „pajęczyną dla bogatych, a kajdanami ze stali dla biednych”. „Najwyższą doskonałością” wolnego społeczeństwa jest stan bezrządu, czemu Proudhon jako pierwszy nadał nazwę „anarchii”. Krytykował rząd z pełną pasją pogardą. „Być rządzonym to znaczy być pilnowanym, nadzorowanym, szpiegowanym, kierowanym, uświadamianym, napominanym, sterowanym, cenzurowanym przez osoby nieposiadające ani wiedzy, ani cnót. Znaczy to być w każdej akcji i transakcji rejestrowanym, stemplowanym, taksowanym, patentowanym, licencjonowanym, opodatkowanym, mierzonym, ganionym, poprawianym, zawiedzionym. Pod pretekstem dobra publicznego znaczy to być eksploatowanym, monopolizowanym, okpionym, obrabowanym, a potem przy najłżejszym proteście lub słowie skargi karanym grzywną, nękanym, upodlanym, bitym, walonym pałką, rozbieranym, sądzonym, skazywanym, więzionym, zastrzelonym, torturowanym, sprzedanym, zdradzonym, ocyganionym, oszukany, zelżonym, zhańbionym. Taki jest rząd, taka jest sprawiedliwość, taka jest moralność!

I wyobraźcie sobie, że są wśród nas demokraci, wierzący w dobry rząd, socjaliści, którzy w imię wolności, równości i braterstwa popierają tę podłość, proletariusze, którzy wystawiają swoją kandydaturę na prezydenta republiki! Co za hipokryzja!”

Proudhon wierzył, „że abstrakcyjna idea słuszności” pozwoli uniknąć rewolucji i człowiek da się przekonać rozumowo do zrealizowania społeczeństwa bezpaństwowego. Bakunin, biorąc przykład z Rosji za panowania Mikołaja I, dodał do tego konieczność gwałtownej rewolucji. Przecistawiając się swemu rywalowi, Karolowi Marksowi, utrzymującemu, że rewolucja wyjść może tylko od proletariatu przemysłowego, zorganizowanego i przygotowanego do tego zadania, Bakunin wierzył, że natychmiastowa rewolucja może wybuchnąć w jednym z krajów bardziej zacofanych ekonomicznie — we Włoszech, Hiszpanii lub Rosji — gdzie robotnicy, choć nie przygotowani, nie zorganizowani i nie wykształceni, będą

gotowi powstać, bo nie mają nic do stracenia. Zadaniem świadomego rewolucjonisty było popularyzowanie Idei wśród mas, utrzymywanych dotychczas przez klasę rządzącą w niewiedzy i w przesądach. Należało uświadomić im ich własne potrzeby i „wywołać” u nich myśli odpowiadające ich odruchom, myśli o buncie. Kiedy to nastąpi, robotnicy będą wiedzieli, czego chcą, i „siła ich będzie nie do odparcia”. Bakunin nie potrafił jednak zapanować nad I Międzynarodówką, co udało się natomiast Marksowi, który wierzył w organizację.

W samej istocie anarchizmu tkwił paradoks, który uniemożliwiał postęp. Anarchizm odrzucał partię polityczną, którą Proudhon nazwał po prostu „odmianą absolutyzmu”; aby jednak doprowadzić do rewolucji, trzeba było podporządkować się władzy, organizacji i dyscyplinie. Ilekroć anarchiści zbierali się, aby przygotować program, stawali przed tą straszną koniecznością. Lojalni wobec swojej Idei, odrzucali ją. Rewolucja wybuchnie spontanicznie wśród mas. Potrzebna była tylko Idea — i iskra.

Anarchiści wierzyli, a kapitaliści obawiali się, że iskrą może stać się każdy strajk, rozruchy głodowe lub lokalne powstanie. Madame Hennebau, żona dyrektora w *Germinalu* Zoli, patrząc na pochód strajkujących górników w krwawym blasku zachodzącego słońca, widziała „szkarłatną zjawę rewolucji, która zmiecie ich niechybnie w którymś z krwawych wieczorów kończącego się wieku. Tak, pewnego wieczoru lud, zrzuciwszy jarzmo, przemierzać będzie drogi ociekające krwią burżujów, niosąc ich głowy, siejąc wokół złoto z rozbitych skrzyń. Tak, to będą te same łachmany, ten sam stukot sabotów, ta sama przerażająca ciżba brudna i cuchnąca, niepowstrzymany zalew barbarzyńców, którzy stratują cały świat. Zapłoną pożary, miasta obrócą się w perzynę. Nie pozostanie ani grosz z dawnych fortun, nie ostoi się żaden tytuł”.

Iskrę jednak za każdym razem zadeptywano, tak jak wówczas, gdy górnicy Zoli stanęli przed karabinami żandarmerii. Nie nadchodziła ta magiczna chwila, kiedy masy miały sobie uświadomić swoje potrzeby i swoją moc. Komuna Paryska zapłonęła i zgasła w 1871 roku i nie stała się sygnałem do powszechnego powstania. „W naszych przewidywaniach nie wzięliśmy w rachubę mas, które nie chciały dać się porwać pasji do wolności — pisał rozczarowany Bakunin do swojej żony. — Jakież znaczenie miały bez tej pasji nasze teoretyczne racje? Byliśmy bezsilni”. Stracił nadzieję na ocalenie świata i umarł rozczarowany w roku 1876, Kolumb bez Ameryki,

jak powiedział o nim Aleksander Hercen.

Idee Bakunina przyjęły się tymczasem w jego kraju rodzinnym w partii Narodna Wola, założonej w 1879 roku, której członkowie zwani byli narodnikami lub populistami. Ze względu na charakterystyczne dla rosyjskich chłopów wspólne użytkowanie ziemi, reformatorzy wielbili chłopów jako urodzonych socjalistów, którym trzeba było tylko pojawienia się Mesjasza, aby ich obudził z letargu i pchnął na drogę rewolucji. Bomba miała być takim Mesjaszem. „Działalność terrorystyczna — stwierdzał program narodników — polegająca na niszczeniu najbardziej szkodliwych osób w rządzie, ma na celu podważenie prestiżu rządu i pobudzenie w ten sposób rewolucyjnego ducha narodu i jego wiary w zwycięstwo sprawy”.

W 1881 roku narodnicy wymierzili cios, który wstrząsnął światem: zamordowali cara Aleksandra II.

Było to zwycięskie uderzenie, w ich pojęciu równe zburzeniu Bastylii. Miało być krzykiem protestu, miało pobudzić ciemniejących i sterroryzować ciemniejących. Zamiast tego dało początek reakcji. Wprawdzie korona zmarłego cara symbolizowała autokrację, lecz on sam był „wyzwolicielem” niewolników; opłakiwali go chłopcy w przekonaniu, „że szlachta zamordowała cara, żeby odzyskać z powrotem ziemię”. Jego ministrowie wdrożyli kampanię surowych represji, naród się nie sprzeciwiał, porzucając wszelką myśl o reformie, a ruchy rewolucyjne, „zdruzgotane i zdemoralizowane, schroniły się do konspiracyjnych piwnic”. Tak skończył się pierwszy okres anarchizmu.

Nim ruch ten rozwinął się na nowo w latach dziewięćdziesiątych, pewien straszny wypadek, który nadał anarchizmowi większy wymiar, zdarzył się nie w Europie, lecz w Ameryce, w mieście Chicago. Tam w sierpniu 1886 roku ośmiu anarchistów zostało skazanych przez sędziego Josepha Gary na powieszenie za zamordowanie siedmiu policjantów, zabitych 4 maja od bomby rzuconej na uzbrojony oddział policji, mający przerwać zgromadzenie strajkujących na Haymarket Square.

Ten kulminacyjny punkt kampanii o ośmiogodzinny dzień pracy był równocześnie punktem kulminacyjnym trwającej całą dekadę walki przemysłowej, koncentrującej się w Chicago. W każdym starciu pracodawcy

walczyli przy pomocy sił prawa — policji, milicji i sądów, będących ich sprzymierzeńcami. Odpowiedzią na żądania robotników była prawdziwa broń, lokauty i łamistrajki pod ochroną pinkertonów, uzbrojonych i zaprzysiężonych jako zastępcy szeryfa. W walce między klasami państwo nie pozostawało neutralne. Wzrastał gniew robotników podsycany nędzą i niesprawiedliwością, a wraz z nim wzrastał strach pracodawców, ich poczucie rosnącego zagrożenia i ich determinacja, aby je stłumić. Nawet człowiek tak obcy tym sprawom, jak Henry James, czuł, że „groźne anarchistyczne podziemie pęcznieje w swoim cierpieniu, w swojej sile i w swojej nienawiści”.

Anarchizm nie był ruchem klasy pracującej, lecz tylko jednym z elementów w ogólnym wrzeniu wśród klasy niższej. Ale anarchiści widzieli w walkach klasowych zarzewie rewolucji i mieli nadzieję, że rozdmuchają je w płomień. „Funt dynamitu wart jest buszla kul — krzyczał August Spies, wydawca anarchistycznego niemieckojęzycznego dziennika wychodzącego w Chicago, „Die Arbeiter Zeitung”. — Policja i milicja, psy gończe kapitalizmu, gotowe są mordować!” Pod tym względem miał rację, bo podczas starcia między robotnikami a łamistrajkami policja strzelała i zabiła dwie osoby. „Zemsta! Zemsta! Robotnicy do broni!”, krzyczały ulotki drukowane i rozpowszechniane przez Spiesa tej nocy. Na następny dzień zwołał zebranie protestacyjnie. Odbywało się na Haymarket Square, wkroczyła policja, żeby je przerwać, ktoś rzucił bombę, nie stwierdzono nigdy, kto.

Przemówienia oskarżonych w sądzie po wyroku, wyrażające wierność zasadom anarchizmu i przepełnione świadomością męczeństwa, odbiły się szerokim echem w Europie i Ameryce i stały się najlepszą propagandą tego ruchu. Ponieważ brak było bezpośrednich dowodów winy, wiedzieli i stwierdzali głośno, że sądzono ich i skazano nie za zbrodnię morderstwa, lecz za zbrodnię anarchizmu. „Niech się dowie świat — krzyczał August Spies — że w roku 1886 w stanie Illinois ośmiu mężczyzn zostało skazanych na śmierć, ponieważ wierzyli w lepszą przyszłość!” Ponieważ uważali również, że należy posługiwać się dynamitem, przerażone społeczeństwo odpowiednio się mściło. W efekcie wyroki trzech skazanych zmienione zostały na więzienie. Jeden, Louis Lingg, najmłodszy, najprzystojniejszy i najbardziej żarliwy entuzjasta, któremu udowodniono na procesie, że sporządzał bomby, w nocy przed egzekucją sam wysadził się w powietrze za pomocą kapsułki

piorunianu rtęci, a przed śmiercią napisał swoją krwią: „Niech żyje anarchia!” Wielu ludzi uważało jego samobójstwo za przyznanie się do winy. Pozostali czterej, w tym Spies, zostali powieszani 11 listopada 1887 roku.

Sylwetka szubienic z czterema powieszonymi zdołała później przez wiele lat literaturę anarchistyczną, a dzień 11 listopada anarchiści w Europie i w Ameryce obchodzili jako rewolucyjny dzień pamięci. Żniwo szubienicy wstrząsnęło sumieniem narodu i zwróciło jego uwagę na nędzę, protest i wzburzenie klasy robotniczej.

Na każdym rogu ulicy stali ludzie, którzy byli anarchistami nie zdając sobie z tego sprawy. Jacob Riis, nowojorski reporter policyjny, opisujący w roku 1890, „jak żyje druga połowa” (*How the Other Half Lives*), zobaczył jednego takiego na rogu Fifth Avenue i Fourteenth Street. Człowiek ten przyskoczył nagle do powozu, którym dwie eleganckie damy jechały na popołudniowe sprawunki, i przeciął nożem gardła smukłych, lśniących koni. Gdy go aresztowano i zamknięto, powiedział: „Nie muszą myśleć o jutrze. Wydają w ciągu godziny tyle, za ile ja mógłbym utrzymać siebie i moje dzieci przez cały rok”. Należał do tego gatunku, z którego wywodzili się Anarchiści Czynu.

Większość z nich nie umiała w ogóle mówić lub potrafiła tylko wyrażać swój protest lamentem, jak ten wywłaszczony irlandzki chłop, kopiący po raz ostatni ziemię; kiedy pewien przechodzień zapytał go, czego by chciał, starzec krzyknął, wygrażając pięścią niebu: „Czego chcę? Chcę dnia Sądu Ostatecznego!”

Biedni żyli w społeczeństwie, w którym potęga, dobrobyt i przepych sięgały niebywałych dotychczas rozmiarów, w którym bogaci jedli na jeden posiłek rybę, drób i ciemne mięso, mieszkali w domach o marmurowych posadzkach i adamaszkowych ścianach, o czterdziestu lub pięćdziesięciu pokojach, okrywali się w zimie futrami i byli obsługiwani przez gromadę służących, którzy czyścili im buty, układali włosy, przygotowywali kąpiel i zapalali ogień na kominkach. W tym świecie podczas obiadu wydanego w „Savoyu” na cześć pani Nellie Melby, kiedy podano doskonałe brzoskwinie, sezonowy przysmak, „pachnące i okryte rozkosznym puszką”, przejeźdzeni goście zabawiali się rzucając nimi w przechodniów pod oknami.

Byli to władcy i posiadacze olbrzymich majątków, zgromadzonych, jak się wydawało, wyłącznie kosztem eksploatowanych mas. „Czym jest

własność? Proudhon zadawał to sławne pytanie i odpowiadał: „Własność jest kradzieżą”. Enrico Malatesta krzyczał w swojej *Rozmowie dwóch robotników*, klasycznym dziele anarchizmu w latach dziewięćdziesiątych: „Czyż nie wiecie, że każdy kawałek chleba, który jedzą, odebrany jest waszym dzieciom, każdy piękny prezent, jaki dają swoim żonom, oznacza nędzę, głód, zimno, a może nawet prostytutkę waszych żon?”

Choć anarchiści posługiwali się ekonomią mglistą, ich nienawiść do klasy rządzącej pulsowała siłą. Nienawidzili „wszystkich dręczycieli ludzkości — jak nazywał ich Bakunin — księży, monarchów, mężów stanu, żołnierzy, urzędników, finansistów, kapitalistów, lichwiarzy, prawników” Dla samych robotników wrogiem był nie jakiś bogacz gdzieś daleko, ale właściciel domu, właściciel fabryki, szef i policjant.

Umieli nienawidzić, ale tylko niewielu zdobywało się na bunt. Większość egzystowała w apatii, otępiała z nędzy. Niektórzy rezygnowali. Pewna kobieta z czworgiem dzieci, która wyrabiała pudełka do zapalek po 4 i pół centa za gros i pracując czternaście godzin mogła wykonać siedem grosów dziennie za sumę 31 i pół centa, rzuciła się jednego dnia z okna i zabrano ją z ulicy martwą. Sąsiadka powiedziała, że była „zniechęcona”. Jakiś młody człowiek, mający chorą matkę, kiedy stracił pracę, oskarżony został przed sądem o usiłowanie samobójstwa. Żona dozorky śluzy, która wyciągnęła go z rzeki, zeznała, że „skoro tylko go wyciągnęłam, zaraz czołgał się z powrotem”, aż kilkunastu robotników przyszło jej z pomocą. Kiedy sędzia gratulował kobiecie, że ma tak silne mięśnie, sala się śmiała, lecz jeden z obecnych, nazwiskiem Jack London, napisał: „Patrząc na niego widziałem tylko chłopca u progu życia czołgającego się z uporem ku śmierci w błocie”

Bezskuteczność praktycznych prób wprowadzenia anarchizmu za czasów Bakunina spowodowała, że teoria anarchizmu zwróciła się nie ku ziemi, lecz ku obłokom. W nowym okresie, począwszy od lat dziewięćdziesiątych, cele anarchizmu, zawsze idylliczne, stały się jeszcze bardziej utopijne, a czyny mniej niż kiedykolwiek liczyły się z rzeczywistością. Anarchizm stał się niecierpliwy. Pogardzał małostkowymi staraniami socjalistów i związkowców o osiągnięcie osmiogodzinnego dnia pracy. „Osiem godzin pracy dla właściciela to o osiem godzin za dużo — stwierdzało anarchistyczne pismo „La Revolte”. — Wiemy, że zło naszego społeczeństwa polega nie na tym, że robotnik pracuje dziesięć, dwanaście czy czternaście godzin, ale że istnieje właściciel”

Najwybitniejszym z nowych przywódców anarchizmu był książę Piotr Kropotkin, arystokrata z urodzenia, geograf z zawodu, a rewolucjonista z przekonań. Jego sensacyjna ucieczka z ponurej twierdzy Pietropawłowskiej w roku 1876, po dwóch latach więzienia, otoczyła go aurą bohatera, utrzymującą się później przez lata wygnania w Szwajcarii, Francji i Anglii, gdzie nieustannie i niezłomnie głosił sprawę rewolucji.

Dziennikarz angielski Henry Nevinson, który znał go dobrze, mówił, że robi on wrażenie, jakby „pragnął przycisnąć do serca całą ludzkość i ogrzać ją”. Życzliwość promieniowała z jego szlachetnej łysej głowy, otoczonej niewielką aureolą krzaczastych brązowych włosów. Obfita broda rozpościerała się szeroko pod podbródkiem. Był bardzo niski, „zaledwie wystarczało ciała, żeby utrzymać masywną głowę”. Pochodzący z rodu książąt smoleńskich, którzy według tradycji należeli do dynastii Rurykowiczów, panującej w Rosji przed dynastią Romanowów, Kropotkin znalazł się w długim szeregu przedstawicieli szlachty rosyjskiej gnębionych wyrzutami sumienia z tego powodu, że należy do klasy od wieków ciemnącej lud.

Urodził się w 1842 roku. Po odbyciu służby wojskowej jako oficer Kozaków na Syberii, gdzie studiował geografię tego regionu, został sekretarzem Towarzystwa Geograficznego i z jego ramienia badał lodowce w Finlandii i Szwecji w roku 1871. Wstąpił w tym czasie do tajnego komitetu rewolucyjnego; kiedy wyszło to na jaw, aresztowano go i uwięziono. Po swej ucieczce w roku 1876 — tj. roku śmierci Bakunina — udał się do Szwajcarii, gdzie pracował wraz z Elisée Reclusem, francuskim geografem i towarzyszem anarchistą, nad jego monumentalną geografią świata. Kropotkin napisał książkę o Syberii i razem z Reclusem założył i przez trzy lata wydawał „Le Révolté”; pismo to, po likwidacji i po odrodzeniu się jako „La Révolte”, miało stać się najbardziej znanym i najdłużej wychodzącym dziennikiem anarchistycznym. Przekonywające i namiętne polemiki Kropotkina, sławna jego ucieczka z najgroźniejszego rosyjskiego więzienia, jego współpraca ze szwajcarskimi anarchistami z Jury — co spowodowało wysiedlenie go ze Szwajcarii — wszystko to uwieńczone tytułem książęcym, uczyniło go uznanym następcą Bakunina.

We Francji, od roku 1882 następnym miejscu pobytu Kropotkina, z tradycji Komuny wyrósł bojowy ruch anarchistyczny z bujnie rozwiniętą grupą w Lyonie. Obława policji i rzucona w odwecie bomba, która zabiła

jedną osobę, spowodowały aresztowanie i proces pięćdziesięciu dwóch anarchistów, w tym Kropotkina, oskarżonych o przynależność do międzynarodowej ligi dążącej do zniesienia własności, rodziny, kraju i religii. Skazany na pięć lat więzienia, Kropotkin odsiedział trzy, po czym został ułaskawiony przez prezydenta Grévy i wraz z żoną i córką osiedlił się w Anglii, będącej w owym czasie niezawodnym azylem wygnańców politycznych.

W małym domku w Hammersmith, ponurej acz szacownej podmiejskiej sypialni Londynu, pisał w dalszym ciągu gorące peany na temat potrzeby stosowania gwałtu do „La Révolte”, uczone artykuły do pism geograficznych i do „Nineteenth Century”, prowadził w pięciu językach rozmowy z odwiedzającymi go radykałami, wykladał na zebraniach anarchistów w piwnicy przy Tottenham Court, brzdąkał na fortepianie, malował i oczarowywał każdego, kto go poznał, swym łagodnym usposobieniem i miłym zachowaniem. George Bernard Shaw pisał o nim: „Był dobry do granic świątobliwości; ze swą bujną brodą i miłym wyrazem twarzy mógłby uchodzić za pasterza z Rozkosznych Gór. Jedyłą jego słabą stroną był zwyczaj przepowiadania wojny w ciągu najbliższych czternastu dni. A w końcu miał jednak rację” Ta słaba strona wyrażała właściwie optymizm Kropotkina, bo czekał na wojnę jako na katastrofę, która miała zniszczyć stary świat i utorować drogę dla zwycięstwa anarchii. „Galopujący upadek” państw przyspieszał triumf. „Nie może być już daleko — pisał. — Wszystko go przybliża”.

Ten miły człowiek w surducie, konwencjonalnym stroju wiktoriańskiego dżentelmena, głosił nieugięte konieczność przemocy. Pisał, że postęp człowieka w kierunku doskonałości został powstrzymany przez „inercję tych, którzy są zainteresowani w utrzymaniu istniejących warunków”. Dla postępu potrzebne było gwałtowne wydarzenie, „które by wypchnęło ludzkość ze starych kolein na nowe tory... Rewolucja staje się nieodwołalną koniecznością”. Trzeba obudzić w masach ducha rewolucji przez nieustanną „propagandę czynu”. Zdanie to, które stało się hasłem anarchistycznego gwałtu, zostało użyte po raz pierwszy przez francuskiego socjalistę Paula Brousse'a w roku 1878, tj. roku, w którym miały miejsce cztery zamachy na koronowane głowy: dwa na Wilhelma I w Niemczech oraz na królów Hiszpanii i Włoch. Brousse pisał: „Idea kroczy naprzód. Musimy teraz starać się zapoczątkować propagandę czynu. Pierś królów otwiera drogę do

rewolucji!”

Następnego roku, w czasie kongresu anarchistów w Jurze Szwajcarskiej, Kropotkin wyraźnie zalecał propagandę czynu, choć co do metody wypowiadał się w mniej sprecyzowany sposób. Wprawdzie nigdy wyraźnie nie zalecał zamachów, w latach osiemdziesiątych wzywał wciąż do propagandy za pomocą „przemówień i słowa pisanego, sztyletu, rewolweru i dynamitu”. Na stronicach „La Révolte” głosił podniecające wezwania do „ludzi odważnych, pragnących nie tylko mówić, lecz działać, do osób czystych, przedkładających więzienie, wygnanie i śmierć nad życie sprzeczne ze swoimi zasadami, do natur śmiałych, które wiedzą, że aby wygrać, trzeba wykazać odwagę”. Tacy ludzie muszą stworzyć awangardę rewolucji na długo przedtem, nim masy będą gotowe i wśród „rozmów, skarg i dyskusji” muszą dokonać „dzieła buntu”

„Jeden czyn — pisał kiedy indziej Kropotkin — jest lepszą propagandą niż tysiąc broszur”. Słowa „giną w powietrzu jak dźwięk kościelnych dzwonów”. Czyny są potrzebne, „aby wzbudzić nienawiść do wyzyskiwaczy, ośmieszyć władców, pokazać ich słabość, a nade wszystko i zawsze, aby pobudzić ducha buntu”. Czyny, do których wznosił wzywał na papierze, były dokonywane, ale nie przez niego.

W latach dziewięćdziesiątych, kiedy przekroczył pięćdziesiątkę, złagodził nieco swój entuzjazm dla indywidualnego „czynu”, choć nigdy nie przestał wzywać do buntu. Wprawdzie „duch rewolucyjny wiele zyskuje przez takie dokonania indywidualnego bohaterstwa — pisał w „La Révolte” z marca 1891 roku — jednak te heroiczne czyny nie zrobią rewolucji. Rewolucja jest przede wszystkim ruchem mas... Instytucje zakorzenione w wiekowej historii nie ulegną zniszczeniu od kilku funtów materiałów wybuchowych. Minął już okres takich akcji, a nadszedł czas, aby idee anarchistyczne i komunistyczne przeniknęły w masy”. Rezygnacja z czegoś rzadko jednak oddziałuje z taką siłą jak pierwotna zachęta.

W Londynie w czasie strajku węglowego w roku 1893 Kropotkin dyskutował w pewnej restauracji na Holborn z Benem Tillettem i Tomem Mannem, nieugiętymi związkowcami. „Musimy niszczyć! Musimy burzyć! Musimy się pozbyć tyranów!”, krzyczał Mann.

„Nie — mówił Kropotkin swym cudzoziemskim akcentem, a zza jego okularów błyszczały oczy naukowca — musimy budować. Musimy budować

w sercach ludzi. Musimy zaprowadzić królestwo Boga”.

Naszkiecował już plany tego królestwa. Po rewolucji, której, jego zdaniem, potrzeba będzie trzech do pięciu lat, aby obalić rządy, zniszczyć więzienia, forty i slumsy i aby uspołecnić ziemię, przemysł i wszystkie formy własności, ochotnicy zinwentaryzują wszystkie zapasy żywności, mieszkania i środki produkcji. Drukowane wykazy zostaną rozdane milionom ludzi. Każdy weźmie, co mu będzie potrzebne z rzeczy, których będzie pod dostatkiem; rzeczy, których nie wystarczy, będą racjonowane. Cała własność będzie własnością wspólnoty. Każdy odpowiednio do swoich potrzeb będzie pobierał żywność i inne artykuły z magazynu wspólnoty i będzie miał prawo „sam decydować, co jest mu potrzebne do wygodnego życia”. Ponieważ nie będzie już dziedziczenia, nie będzie też chciwości. Wszyscy pełnosprawni mężczyźni zawrą „umowy” ze społeczeństwem za pośrednictwem swoich grup i wspólnot, zobowiązując się do pracy przez pięć godzin dziennie w wybranej przez siebie dziedzinie od ukończenia dwudziestu jeden lat życia do około czterdziestu pięciu lub pięćdziesięciu. Społeczeństwo zapewni im w zamian korzystanie z „domów, magazynów, ulic, transportu, szkół, muzeów itd.” Nie będzie potrzebny przymus ani sędziowie, ani kary, bo ludzie będą spełniać swoje umowne zobowiązania z potrzeby „współpracy, poparcia i zrozumienia”, solidaryzując się z bliźnimi. Proces ten będzie działał dzięki swojej racjonalności, choć nawet Kropotkin mógł zauważyć, że racjonalność rzadko jest motywem ludzkich działań.

Shaw, ze swym nieubłaganym rozsądkiem, uchwycił słabą stronę tego rozumowania w fabiańskiej rozprawie pod tytułem *Sprzeczności anarchizmu*, wydanej w roku 1893 i kilkakrotnie wznawianej w ciągu następnych dziesięciu lat. Jeśli człowiek jest dobry, a instytucje złe, pytał, jeśli człowiek będzie znów dobry, kiedy skorumpowany system przestanie go uciskać, „to w jaki sposób zrodziła się w ogóle korupcja i ucisk, pod którym jęczy?”²⁷ Jednak sam fakt, że Shaw uważał za potrzebne napisanie tej rozprawy, stanowił wyraz jego hołdu dla siły Idei.

Najwięcej kłopotu w swoich planach mieli anarchiści z zagadnieniem wartości towarów i usług. Według teorii Proudhona i Bakunina każdy miał otrzymywać zapłatę w towarach w proporcji do tego, co wyprodukował. Wymagało to jednak organu, który ustalałby wartość i dokonywał rozliczeń, a więc Władzy, wyklętej przez czystą Anarchię. Kropotkin i Malatesta rozwiązali ten problem przyjmując, że każdy będzie „chciał” pracować dla

dobra ogółu, a skoro każda praca będzie przyjemna i godna, każdy dobrowolnie wnieś swój udział i będzie swobodnie korzystał z magazynu wspólnoty, bez potrzeby rozliczania.

Teoria „pomocy wzajemnej” Kropotkina miała udowodnić, że bazą naukową anarchizmu są prawa natury. Twierdził on, że teza Darwina została wypaczona przez myślicieli kapitalistycznych. Natura nie jest w rzeczywistości krwiożercza, jej motorem nie jest też instynkt każdego żywego stworzenia, aby przeżyć kosztem innych, lecz przeciwnie, instynkt każdego, aby „zachować” gatunek poprzez „pomoc wzajemną”. Jako przykład dawał mrówki i pszczoły, a także dzikie konie i bydło — które tworzą koło, gdy zostają zaatakowane przez wilki — jak również ludzi średniowiecza i ich pola należące do wspólnot oraz życie w miasteczkach. Podziwiał niezmiernie króliki, bo choć bezbronne i do niczego specjalnie nie przystosowane, trwają jednak przy życiu i rozmnażają się. Królik był dla niego symbolem wytrzymałości istot łagodnych, które, jak twierdził wcześniej inny prorok, otrzymają w spuściźnie Ziemię.

Choć Kropotkin nigdy nie stłumił swojej żądzy całkowitego zniszczenia burżuazyjnego świata, świat ten nie mógł sobie odmówić honorowania go. Był takim znakomitym uczonym — i w dodatku — księciem. Kiedy nie przyjął członkostwa w Królewskim Towarzystwie Geograficznym, gdyż znajdowało się pod patronatem królewskim, został mimo to zaproszony na obiad Towarzystwa, a gdy nie podniósł się z miejsca przy toaście przewodniczącego na cześć króla, przewodniczący szybko znów wstał ze słowami: „Niech żyje książę Kropotkin!”, i wtedy wszyscy obecni przyłączyli się do tego toastu. W 1901 roku podczas wizyty w Stanach Zjednoczonych, gdzie wykładał w Lowell Institute w Bostonie, przyjmowany był przez intelektualną elitę tego miasta i przez Mrs. Potter Palmer w Chicago, która nie chciała dać się prześcignąć. Jego pamiętniki zamówił „Atlantic Monthly”, jego książki opatrzone były znakiem firmowym najpoważniejszych wydawców. Kiedy wyszło dzieło *Pomoc wzajemna*, „Review of Reviews” nazwało je „dobrą, zdrową, pogodną, czarującą książką, której przeczytanie debrze robi człowiekowi”.

Wyłączając Kropotkina, myśl anarchistyczna najbardziej rozwinęła się we Francji. Wśród wielu różnego rodzaju teoretyków, od najpoważniejszych

do najbardziej powierzchownych, przywódcami byli Elisee Reclus i Jean Grave. Reclus, ciemnobrody, z piękną, melancholijną twarzą bizantyjskiego Chrystusa, uchodził za wieszczą ruchu. Walczył na barykadach Komuny i kroczył do więzienia po zakurzonej, splamionej krwią drodze do Wersalu. Pochodził z rodziny wybitnych naukowców; był geografem, ale całe lata poświęcił na wyjaśnianie i głoszenie systemu anarchistycznego w książkach i pismach, jakie wydawał, niekiedy wspólnie z Kropotkinem i Grave'em. Podczas swoich wykładów w Université Nouvelle w Brukseli, gdzie miał przez jakiś czas katedrę geografii, wywierał na słuchaczy, jak pisał jeden z nich, „nieodparty magnetyzm”. Przechodził od ukształtowania ziemi do przyszłości człowieka i „potwierdzał, jak Rousseau, swą niezmienną wiarę w dobroć człowieka, kiedy tylko zostanie uwolniony od skaz społeczeństwa opartego na sile”.

Grave natomiast pochodził z rodziny robotniczej. Był najpierw szewcem, potem, jak Proudhon, zecerem i drukarzem; w latach osiemdziesiątych wyrabiał piorunian rtęci, aby wysadzić Prefekturę Policji lub Palais Bourbon, siedzibę francuskiego Parlamentu. Jego książka *Umierające społeczeństwo i anarchizm (La société mourante et l'anarchie)* tak przekonująco uzasadniała potrzebę obalenia państwa i proponowała tyle podstępnych posunięć, że kosztowała go dwa lata więzienia. W więzieniu napisał drugą książkę, *Przyszłe społeczeństwo (La société future)*, którą po swym zwolnieniu sam prędko wydrukował i wydał. Miała charakter utopii i dlatego władze nie uznały jej za niebezpiecznie wywrotową. W robotniczej dzielnicy, przy Rue Mouffetard, na poddaszu, wydawał teraz „La Révolte”; pisał do niej dużo i drukował na ręcznej prasie, pracując równocześnie nad swym wielkim dziełem historycznym *Ruch wyzwolenczy w trzeciej republice (Le Mouvement libertaire sous la troisième république)*. Mieszkał i pracował w pokoju, gdzie był tylko stół i dwa krzesła, ubrany nieodmiennie w długą czarną bluzę francuskiego robotnika, otoczony broszurami i gazetami, „prosty, cichy, niestrudzony” i tak zaabsorbowany swoimi myślami i pracą, że „przypominał średniowiecznego pustelnika, który zapomniał umrzeć osiemset lat temu”.

Wyznawcy stanowiący trzon ruchu nie utworzyli nigdy partii, lecz zrzeszali się jedynie w małe lokalne kluby i grupy. Kilku towarzyszy rozprowadzało zawiadomienia informujące przyjaciół, że, na przykład, „Anarchiści z Marsylii tworzą grupę, mającą się nazywać «Mściciele i

Głodomory», która zbierze się w niedzielę w... Zaprasza się Towarzyszy, aby przyszli wysłuchać i wziąć udział w dyskusji i przyprowadzili zaufanych przyjaciół». Grupy takie istniały nie tylko w Paryżu, ale w większości dużych miast i w wielu małych. Należeli do nich „Nieugięci” z Armentieres, „Praca Przymusowa” z Lille, „Zawsze Gotowi” z Blois, „Ziemia i Niezależność” z Nantes, „Dynamit” z Lyonu, „Antypatrioci” z Charleville. Odbywali oni niekiedy wspólne kongresy z podobnymi grupami z innych krajów, jak na przykład kongres w Chicago w 1893 roku w czasie Targów Światowych, lecz nigdy nie organizowali się i nie jednoczyli.

Enrico Malatesta, zarzewie anarchizmu, był Włochem. Wzniecał zawsze płomień w każdym końcu świata, gdzie tylko istniała jakaś anarchistyczna grupa. Młodszy o dziesięć lat od Kropotkina, wyglądał jak romantyczny rozbójnik, który mógłby być przyjacielem hrabiego Monte Christo. W rzeczywistości pochodził z zamożnej rodziny burżuazyjnej i jako młody student medycyny został wypędzony z uniwersytetu w Neapolu za uczestnictwo w rozruchach studenckich w okresie Komuny Paryskiej. Później nauczył się rzemiosła elektryka, aby móc zarabiać na życie, przystąpił do włoskiej sekcji Międzynarodówki, stanął po stronie Bakunina przeciw Marksowi, przewodził nieudanemu buntowi chłopskiemu w Apulii, poszedł do więzienia, a później na wygnanie. W roku 1891 podczas strajku generalnego w Belgii, mającego na celu uzyskanie prawa wyborczego dla całej ludności męskiej, uznał cel ten za mało ważny, gdyż według jego anarchistycznego credo wybory były jeszcze jedną pułapką burżuazyjnego państwa, i próbował skierować ten strajk w innym kierunku. Za podobne rewolucyjne wystąpienia wypędzano go z jednego kraju po drugim i skazano na pięć lat więzienia na wyspie Lampedusa, skąd uciekł łodzią w czasie sztormu. Kiedy zakazano mu wyjechać z Włoch, wyostał się stamtąd w skrzyni z napisem „maszyny do szycia”. Skrzynia ta została załadowana na statek udający się do Argentyny, gdzie miał zamiar poszukiwać złota w Patagonii, ażeby zdobyć fundusze dla ruchu; rzeczywiście znalazł tam złoto, ale jego działka została skonfiskowana przez rząd argentyński.

Malatesta nie zadowalał się mówieniem o zbliżającym się zaniku państwa, lecz był wciąż uwikłany w rzeczywiste zamachy, mające temu dopomóc. Oskarżano go z tego powodu o odchylenie od „czystego” anarchizmu, a nawet o skłanianie się ku marksizmowi. Pewnego razu został postrzelony przez włoskiego towarzysza anarchistę ze skrzydła skrajnych

anti-organizzatori. Nigdy się nie zniechęcał, choć wywoływane przez niego powstania wielokrotnie kończyły się klęską; zawsze albo siedział w więzieniu, albo dopiero co z niego wyszedł po jakiejś nowej dramatycznej ucieczce lub niebezpiecznej przygodzie; jako wygnaniec nie miał nigdy domu lub zaledwie jeden pokój, zawsze pojawiał się, jak mówił Kropotkin, „tak, jak widzieliśmy go ostatni raz, gotów na nowo podjąć walkę, z taką samą miłością do ludzi, pozbawiony nienawiści do swych przeciwników i dozorców więziennych”.

Wszystkich tych przywódców charakteryzował optymizm. Byli pewni, że anarchizm zatriumfuje, bo jest słuszny, a system kapitalistyczny upadnie, bo jest zgniły; przeczuwali, że zbliżający się koniec stulecia stanowić będzie jakąś nieprzekraczalną granicę. „Wszyscy oczekują narodzin nowego porządku rzeczy — pisał Reclus. — Stulecie, w którym dokonało się tyle wielkich odkryć z dziedziny nauki, nie może minąć, nie dając nam jeszcze większych zdobyczy. Po tylu przejawach nienawiści tęsknimy za wzajemną miłością i dlatego jesteśmy wrogami własności prywatnej i pogardzamy prawem”.

Kropotkin, patrząc na świat swymi dobrodusznymi oczyma, znajdował wszędzie oznaki zachęty. Wzrastała ilość bezpłatnych muzeów, bezpłatne biblioteki i parki, wszystko to w jego pojęciu przybliżało czas anarchii, kiedy cała własność prywatna stanie się własnością wspólną. Czyż nie znikają opłaty za roгатki i mosty? Czyż zarządy miejskie nie dostarczały bezpłatnie wody i oświetlenia ulic? Dowodem na twierdzenie anarchistów, że społeczeństwo przyszłości będzie zespolone nie przez rząd, lecz przez „dobrowolne łączenie się ludzi w grupy”, były jego zdaniem takie instytucje, jak Międzynarodowy Czerwony Krzyż, związki zawodowe, a nawet kartele właścicieli okrętów i kolei (potępiane skądinąd jako „trusty” przez innego typu reformatorów w Ameryce).

Anarchizm, jaki przedstawiali ludzie w rodzaju Kropotkina, Malatesty, Jeana Grave'a i Reclusa, miał osiągnąć pod koniec stulecia, jak to wyraził jeden z jego kronikarzy, „wspaniały blask moralny”, ale jedynie kosztem znacznego odejścia od rzeczywistości. Ludzie ci wielokrotnie płacili więzieniem za swoje poglądy. Sam Kropotkin stracił zęby w następstwie więziennego skorbutu. Nie żyli oni w wieży z kości słoniowej, tylko ich głowy znajdowały się w takiej wieży. Aby móc nakreślić obraz powszechnej harmonii, musieli odrzucić prawdę o ludzkim postępowaniu oraz świadectwo

historii. Ich uparte dążenie do rewolucji wpływało bezpośrednio z wiary w ludzkość, której, według nich, potrzebny był świetny przykład i mocne pchnięcie, aby ruszyła w drogę ku złotemu wiekowi. Mówili głośno o swoich przekonaniach. Skutki bywały fatalne.

W sto lat po Rewolucji Francuskiej rozpoczęła się we Francji nowa era anarchizmu: okres gwałtu. Nadeszły dwa lata panowania dynamitu, sztyletu, strzałów karabinowych; ginęli zarówno ludzie zwykli, jak i wybitni, niszczonego posiadłości, zniknęło poczucie bezpieczeństwa, terror rozprzestrzenił się, a potem ustał. Sygnał do ery gwałtu dał w roku 1892 człowiek, którego nazwisko — Ravachol — „siało bunt i nienawiść”. Czyn jego, podobnie jak prawie wszystko, co nastąpiło później, był aktem zemsty za towarzyszy, którzy cierpieli w więzieniach.

1 maja 1891 roku na proletariackim przedmieściu Paryża Clichy demonstracja robotników, prowadzona przez *les anarchos*, niosących czerwone sztandary z rewolucyjnymi sloganami, została zaatakowana przez konną policję. W zamieszkaniu pięciu policjantów odniosło lekkie rany, trzech anarchistów ciężkie. Anarchistów zaciągnięto do komisariatu policji, gdzie krwawiących i nieopatrzonych poddano tzw. *passage à tabac*, okrutnej torturze, polegającej na tym, że musieli przejść między dwoma szeregami policjantów, którzy ich kopali, bili i uderzali kolbami rewolwerów. Podczas rozprawy prokurator Bulot wniósł oskarżenie przeciw jednemu z nich, że w dniu poprzedzającym zamieszki wzywał robotników, aby się uzbroili, i mówił do nich: „Jeśli nadejdzie policja, niech nikt nie boi się zabijać ich jak psy, bo są nimi! Precz z rządem! *Vive la révolution!*” Na tej podstawie Bulot żądał kary śmierci dla wszystkich trzech; ponieważ jednak nikt nie został zabity, żądanie jego nie mogło zostać spełnione i niepotrzebnie je przedstawił. Na razie sędzia przewodniczący Benoist uniewinnił jednego oskarżonego, a pozostałych skazał na pięć i trzy lata więzienia, co stanowiło w danych okolicznościach dopuszczalne maksimum.

W sześć miesięcy po procesie wybuch bomby wysadził w powietrze dom Benoista przy Boulevard St-Germain. W dwa tygodnie później, 27 marca, druga bomba wysadziła dom prokuratora Bulot przy Rue de Clichy. W okresie między tymi dwoma wybuchami policja rozesłała opis podejrzanego przestępcy; miał to być szczupły, ale muskularny młody człowiek w wieku

około dwudziestu lat, o brązowych włosach i brodzie, kościstej twarzy, żółtawej cerze, chorowitym wyglądem, z okrągłą blizną między kciukiem a palcem wskazującym lewej ręki. W dniu drugiej eksplozji człowiek o takim wyglądzie jadł obiad w restauracji Véry przy Boulevard Magenta, gdzie opowiadał szeroko kelnerowi Lhérot o eksplozji, o której nikt w dzielnicy jeszcze nie wiedział. Wyrażał przy tym antymilitarystyczne i anarchistyczne poglądy. Lhérot zainteresował się nim, ale nic nie zrobił. Za dwa dni człowiek ten znów się pojawił i tym razem Lhérot, zauważywszy bliznę, wezwał policję. Kiedy policjanci przyjechali go zaaresztować, ten wąły młody człowiek zmienił się nagle w olbrzyma o szaleńczej sile i dopiero dziesięciu ludziom po zaciętej walce udało się go poskromić i zabrać do więzienia.

Był to Ravachol. Wolał przyjąć nazwisko matki, bo ojciec, Koenigstein, opuścił swą żonę i czworo dzieci, pozostawiając całą rodzinę na prawie wyłącznym utrzymaniu ośmioletniego wówczas Ravachola. Kiedy miał lat osiemnaście, po przeczytaniu *Żyda wiecznego tulacza* Eugene'a Sue stracił wiarę, stał się anarchistą, zaczął chodzić na zebrania, wskutek czego wraz z młodszym bratem utracił pracę u farbiarza. Tymczasem zmarła jego młodsza siostra, a starsza urodziła nieślubne dziecko. Ravachol znalazł wprawdzie inne zajęcia, lecz nie wystarczały one na uchronienie rodziny przed nędzą. Wobec tego zabrał się do nielegalnego zarobkowania, lecz z pewną dumą i zawziętością czynił z tego zasadę. Ubodzy mają prawo rabować bogatych, „aby nie żyć jak zwierzęta — powiedział w więzieniu. — Umieranie z głodu jest tchórzostwem i upodleniem. Wolałem zostać złodziejem, fałszerzem, mordercą”. Popęłnił faktycznie wszystkie te przestępstwa, a także poważne rabunki.

Na procesie, 26 kwietnia 1893 roku, oświadczył, że motywem jego postępowania była chęć pomszczenia anarchistów z Clichy, którzy zostali pobici przez policję i „nie dano im nawet wody do umycia ran”; a Bulot i Benoist wymierzyli im najwyższą karę, choć sąd przysięgłych zalecił najniższą. Miał zdecydowaną postawę, a przeszywające spojrzenie jego oczu wyrażało wewnętrzną siłę. „Celem moim było wywołać taki strach, aby zmusić społeczeństwo do uważnego spojrzenia na tych, którzy cierpią”, powiedział, wyrażając wiele w jednym zdaniu. Chociaż prasa opisywała go jako człowieka złowrogiego i gwałtownego, przebiegłego i o „kolosalnej sile”, świadkowie stwierdzali, że dał pieniądze żonie jednego z uwięzionych

anarchistów z Clichy i kupił odzież dla jej dzieci. Po jednodniowym procesie został skazany na dożywotnie więzienie i ciężkie roboty. Ale wtedy dopiero zaczęła się sprawa Ravachola.

Tymczasem kelner Lherot zdobywał popularność częstując klientów swoim opowiadaniem o bliźnie, rozpoznaniu i zaarrestowaniu. Skutek był taki, że nieznany mściciel podłożył bombę w restauracji Véry, zabijając nie Lhérota, lecz jego szwagra, właściciela, pana Véry. Nie znany anarchistyczny dziennik „Le Père Peinard”, posługujący się prostacką gwarą uliczną, określił ten czyn upiornym kalamburem: *Vérification*.

Policja odkryła wówczas całą serię zbrodni Ravachola, w tym obrabowanie z biżuterii trupa, zamordowanie dziewięćdziesięcio-dwuletniego skąpca i jego gospodyni, dalsze morderstwa dwu starych kobiet, właścicielek sklepu towarów żelaznych — co dało mu czterdzieści *sous* — i jeszcze jednego właściciela sklepu, które mu nic nie dało. Ravachol mówił podobno: „Widzicie tę rękę? Zabiła tylu burżujów, ile ma palców”. Równocześnie żył spokojnie w wynajętym mieszkaniu i uczył czytać córeczkę swojego gospodarza.

Jego proces o trzy morderstwa rozpoczął się 21 czerwca w atmosferze terroru, wywołanej bombą mściciela w restauracji Véry. Wszyscy spodziewali się, że budynek Palais de Justice wyleci w powietrze; otoczono go wojskiem, strzeżono wszystkich wyjść, a przysięgłym, sędziom i adwokatom towarzyszyła silna eskorta policji. Po otrzymaniu wyroku śmierci Ravachol powiedział, że zrobił to wszystko „dla idei anarchizmu”, i dodał prorocze słowa: „Wiem, że zostanę pomszczony”.

Ta niezwykła postać, raz potwornego kryminalisty, to znów opiekuna i mściciela, wywołała spory w prasie anarchistycznej. W „La Révolte” Kropotkin wypierał się Ravachola, uważając go za „nieprawdziwego, nieautentycznego” rewolucjonistę, należącego raczej do „kategorii z opery-buffo”. Czyny te, pisał, odbiegają od „wytrwałej, codziennej pracy przygotowawczej, niedostrzegalnej, lecz olbrzymiej, jakiej wymaga rewolucja. Do tego potrzeba ludzi innych niż Ravachol i jemu podobni. Zostawmy ich burżuazji *fin de siècle*'u, której są produktem”. Również Malatesta w anarchistycznej gazecie literackiej „L'En Dehors” potępił gest Ravachola.

Trudność polegała na tym, że Ravachol należał, choć tylko częściowo, do

tej klasy egoanarchistów, która miała jednego poważnego teoretyka w osobie Niemca Maxa Stirnera i setkę praktykujących *culte de moi*. Charakteryzowała ich najwyższa pogarda dla wszystkich burżuazyjnych poglądów i hamulców społecznych; uznawali jedynie prawo jednostki do „anarchistycznego życia”, obejmując tym pojęciem wszelki rabunek i każdą inną zbrodnię odpowiadającą potrzebom chwili. Interesowali się sobą, nie rewolucją. Zuchwałe akcje tych „miniaturowych Borgiów” przeprowadzane pod banderą anarchizmu, kończące się zwykle wymianą strzałów z policją, przyczyniały się w dużym stopniu do wzbudzania strachu i gniewu wśród ludności, która nie rozróżniała prawdziwego ruchu od jego wypaczeń. Ravachol reprezentował obydwa kierunki. Tkwiła w nim odrobina prawdziwej litości i poczucia solidarności z gnębionymi ludźmi swojej klasy, co skłoniło jedno z anarchistycznych pism do porównania go z Jezusem.

Dnia 11 lipca, spokojny i nieskruszony, poszedł na gilotynę, wykrzykując w ostatniej chwili „*Vive l'anarchie!*” Sprawa natychmiast stała się jasna. Z dnia na dzień stał się anarchistycznym męczennikiem, a dla podziemia uznanym bohaterem. „*La Révolte*” zmieniła zdanie. Pisała: „Zostanie pomszczony”, włączając się w ten sposób w wyłaniający się nurt zemsty. „*L'En Dehors*” otworzył subskrypcję na rzecz dzieci współnika Ravachola, sądanego równocześnie z nim. Datki na ten cel złożyli m.in. malarz Camille Pissaro, dramaturg Tristan Bernard, Emile Verhaeren, belgijski socjalista i poeta, i Bernard Lazare (mający wkrótce odegrać pewną rolę w sprawie Dreyfusa). Zaczęto powszechnie używać czasownika *ravacholiser*, co oznaczało „zlikwidować przeciwnika”, i śpiewano na melodię *La Carmagnole* piosenkę uliczną zwaną *La Ravachole* z następującym refrenem:

Burżuje, nadejdzie czas

Bomby dla każdego z was.

Nie bomby jednak zdecydowały o znaczeniu Ravachola, lecz jego egzekucja. Eksplozja gwałtu nastąpiła tymczasem po drugiej stronie Atlantyku.

Anarchiści, którzy nie uznawali norm w sprawach seksualnych, podobnie jak we wszystkich innych, mieli swoje romanse, a jeden z nich, który później stał się iskrą zapalną dla ruchu w Ameryce, rozgrywał się właśnie w Nowym Jorku. Zaczął się w roku 1890 na zebraniu dla uczczenia pamięci męczenników z Haymarket Square, na którym przemawiał niemiecki emigrant o wykrzywionej twarzy i zdeformowanym ciele, Johann Most, wydawca anarchistycznego tygodnika „Freiheit” w Nowym Jorku.

Nie leczony wypadek w dzieciństwie, który spowodował zniekształcenie twarzy, pełna upokorzeń i samotności młodość, spędzona na wędrowaniu z miejsca na miejsce, często o głodzie, niekiedy przy dorywczych pracach, stanowiły naturalną pożywkę animozji do społeczeństwa. U Mosta animozja ta rozwinęła się bujnie jak chwast. W Niemczech nauczył się introligatorstwa, pisał pełne oburzenia artykuły do rewolucyjnej prasy, a w latach siedemdziesiątych był nawet przez jedną kadencję posłem do Reichstagu. Wygnany z powodu podburzania do rewolucji, schronił się najpierw w Anglii, gdzie został anarchista, założył dziennik, w którym dawał upust swojej zapalczowości i z takim zadowoleniem przyjął zabójstwo Aleksandra II w 1881 roku, że skazano go na osiemnaście miesięcy więzienia. Podczas gdy on siedział w więzieniu, jego towarzysze w podobny sposób pochwalili zamordowanie w Dublinie lorda Fredericka Cavendisha przez irlandzkich buntowników, czego w końcu nie wytrzymała nawet tradycyjna angielska tolerancyjność; „Freiheit” została zlikwidowana, a Most, po wyjściu z więzienia, wyniósł się ze swą gazetą i ze swymi namiętnościami do Stanów Zjednoczonych.

„Freiheit” nadal z niesłabnącą siłą srożyła się i podżegała; jednemu z czytelników przypominała „ławę wyrzucającą płomień szyderstwa, pogardy i buntu... i dyszała nienawiścią”. Most pracował jakiś czas potajemnie w fabryce środków wybuchowych w Jersey City, po czym wydał podręcznik sporządzania bomb, a we „Freiheit” rozwodził się bez ogródek na temat stosowania dynamitu i nitrogliceryny. Jego dążenia, podobnie jak i jego nienawiść, miały charakter uniwersalny i zmierzały do zniszczenia „istniejących rządów klasowych” poprzez „nieugiętą” działalność rewolucyjną. Mosta nie obchodził wcale ośmiogodzinny dzień pracy, ta „cholerna sprawa”, jak to nazywał, bo gdyby nawet cel ten został osiągnięty, posłużyłby tylko do oderwania mas od prawdziwego celu: walki przeciwko kapitalizmowi o nowe społeczeństwo.

Most, mężczyzna średniego wzrostu, z czupryną siwych kędzierzawych włosów pokrywających dużą głowę, miał w roku 1890 czterdzieści lat. Dolna część jego twarzy była wykręcona na lewo wskutek przemieszczenia żuchwy. Ten szorstki, rozgoryczony człowiek przemawiał jednak na rocznicowym zebraniu z taką elokwencją i pasją, że zapominało się o jego powierzchowności. Jedna z kobiet uczestniczących w zebraniu stwierdziła, że jego niebieskie oczy są „sympatyczne” i że on sam „promieniuje miłością i nienawiścią”.

Emma Goldman, dwudziestojednoletnia Żydówka rosyjska, przybyła niedawno emigrantka, o buntowniczej duszy i skłonna do uniesień, została oczarowana. Towarzyszył jej tego wieczoru Aleksander Berkman, także rosyjski Żyd, przebywający w Stanach Zjednoczonych niecałe trzy lata. Prześladowanie w Rosji i ubóstwo w Ameryce wywołały u tych młodych ludzi wybujałe skłonności rewolucyjne. Anarchizm stał się ich religią. Pierwsza praca Emmy w Stanach Zjednoczonych polegała na szyciu w fabryce po dziesięć i pół godziny dziennie za 2 i pół dolara tygodniowo. Pokój kosztował 3 dolary miesięcznie. Berkman pochodził z nieco wyższej klasy społecznej; jego rodzina w Rosji była na tyle dobrze sytuowana, że trzymała służbę i posyłała go do gimnazjum. Dotknęła jednak Berkmanów katastrofa ekonomiczna; ukochany wuj o poglądach rewolucyjnych został ujęty przez policję i nigdy go już nie zobaczono, a Saszę wyrzucono ze szkoły za napisanie nihilistycznego i ateistycznego wypracowania. Teraz, jako dwudziestolatek, „miał kark i pierś olbrzyma”, mądre, wysokie czoło, inteligentne oczy i poważny wyraz twarzy. Po „napięciu i strasznym podnieceniu” wywołanym przemową Mosta o męczennikach Emma szukała „ulgi” w ramionach Saszy, a potem jej entuzjazm skierował ją również w ramiona Mosta. Napięcie, jakie zrodził ten układ, nie różniło się niczym od zwykłego burżuazyjnego trójkąta.

W czerwcu 1892 roku w Homestead, w Pensylwanii, związek metalowców ogłosił strajk protestacyjny przeciw obniżce płac wprowadzonej przez Carnegie Steel Company. Spółka ta zarządziła obniżkę płac celowo, aby zniszczyć związek, i w oczekiwaniu walki zaczęła wznosić barykadę zwieńczoną drutem kolczastym, za którą zamierzała uruchomić walcownię przy pomocy trzystu łamistrajków, zwerbowanych przez agencję Pinkertona. Andrew Carnegie, który z czasem zamienił się w filantropa, wycofał się dyskretnie na lato do Szkocji, by łowić łososie, pozostawiając walkę ze

zorganizowanymi robotnikami swemu zarządcy, Henry'emu Clayowi Frickowi. Nadawał się on do tego jak nikt i jak najbardziej odpowiadała mu taka rola. Frick, wyjątkowo przystojny, czterdziestotrzyletni mężczyzna, miał czarne wąsy łączące się z krótką czarną bródką, uprzejmy, opanowany sposób bycia, oczy, które stawały się nagle „bardzo twarde”, i pochodził z szanowanej rodziny pensylwańskiej. Ubierał się spokojnie i dystyngowanie w granatowy garnitur w cieniutkie prążki, nigdy nie nosił biżuterii, a gdy się raz obraził na pismo „Leader” z Pittsburgha, bo zamieściło jego karykaturę, powiedział do swojego sekretarza: „Tak nie może być. Tak nie może być. Proszę się dowiedzieć, kto jest właścicielem tego pisma, i kupić je”.

5 lipca miano wprowadzić łamistrajków do fabryki, aby ją uruchomić. Kiedy przeprowadzano ich opancerzonymi barkami przez Monongahelę i gdy mieli już wylądować, strajkujący zaatakowali ich działami domowej roboty, karabinami, dynamitem i wrzącym olejem. Dzień zacieklej bitwy zakończył się dziesięcioma trupami i siedemdziesięciu rannymi; pinkertoni zostali wyrzuceni z fabryki przez krwawiących, lecz triumfujących robotników. Gubernator Pensylwanii wysłał osiem tysięcy policjantów, wstrząs przeszedł przez cały kraj, a Frick, wśród dymu, śmierci i rozruchów, postawił ultimatum, oświadczając, że nie będzie pertraktował ze związkami, lecz że uruchomi fabrykę przy pomocy nie zrzeszonych robotników oraz zwolni z pracy i usunie z mieszkań wszystkich robotników, którzy odmówią powrotu do pracy.

„Homestead! Muszę pojechać do Homestead!”, wołał Berkman pamiętnego wieczoru, kiedy wpadła Emma, powiewając gazetą. Uznali, że jest to „psychologicznie odpowiedni moment do czynu... Cały kraj jest oburzony na Fricka i cios skierowany teraz przeciw niemu zwróci uwagę całego świata na sprawę”. Robotnicy strajkowali nie tylko dla siebie samych, lecz „o wolne życie, o anarchizm po wszystkie czasy” — choć tego nie wiedzieli. Dotychczas byli tylko „ślepyimi buntownikami”, ale Berkman uważał za swą misję „naświetlić” walkę i ukazać „wizję anarchizmu, gdyż tylko ona mogła przepoić rozgoryczenie świadomym zamysłem rewolucyjnym”. Usunięcie tyraństwa było nie tylko usprawiedliwione; było „aktem wyzwolenia, obdarzeniem uciskanych ludzi życiem i szansą”; „najwyższym obowiązkiem” i „sprawdzeniem każdego prawdziwego rewolucjonisty” była również śmierć za sprawę.

Berkman wsiadł do pociągu jadącego do Pittsburgha z zamiarem zabicia

Fricka, lecz chciał sam żyć na tyle długo, aby móc „umotywować swoją sprawę w sądzie”, a potem w więzieniu „umrzeć ze swej własnej ręki jak Lingg”.

23 lipca skierował się do biura Fricka, gdzie go wpuszczono, gdy przedstawił kartę, na której napisał „Agent biura zatrudnienia w Nowym Jorku”. Berkman wszedł w chwili, gdy Frick konferował z wiceprzewodniczącym, Johnem Leishmanem; wyciągnął rewolwer i strzelił. Kula zraniła Fricka w kark, po lewej stronie. Berkman wystrzelił jeszcze raz, raniąc go z prawej strony, a kiedy strzelał po raz trzeci, Leishman podbił mu rękę, tak że zupełnie chybił. Krwawiący Frick podniósł się i uderzył Berkmana, a ten, zaatakowany również przez Leishmana, upadł na ziemię pociągając za sobą obydwo. Udało mu się po chwili uwolnić jedną rękę i wyciągnąć ze swej kieszeni sztylet; pchnął go siedem razy w bok i w nogi Fricka, nim odciągnął go zastępca szeryfa, który wpadł do pokoju z kilkoma ludźmi.

„Chcę zobaczyć jego twarz”, szepnął Frick, sam poszarzały na twarzy, z brodą i ubraniem zbuczonymi krwią. Szeryf szarpnął głowę Berkmana w tył, chwyciwszy go za włosy, i wzrok Fricka spotkał się z wzrokiem napastnika. W komendzie policji znaleziono u Berkmana (niektórzy twierdzą, że w ustach) dwie kapsułki piorunianu rtęci, tego samego rodzaju, jakich użył Lingg, żeby wysadzić się w powietrze. Frick wyszedł z tego żywy, strajk został złamany przez policję, a Berkman poszedł do więzienia na szesnaście lat.

Wstrząsnęło to całym krajem, ale powszechny szok nie da się nawet porównać ze wzburzeniem, jakie ogarnęło koła anarchistyczne, kiedy w piśmie „Freiheit” z 27 sierpnia Johann Most, kapłan gwałtu, sprzeniewierzył się swojej przeszłości i potępił zamach Berkmana jako tyranobójstwo. Stwierdził, że przecenione zostało znaczenie terrorystycznego czynu i że nie wywoła ono buntu w kraju, gdzie brak proletariackiej świadomości klasowej; o Berkmanie, będącym w oczach anarchistów bohaterem, wyraził się z pogardą. Kiedy na jakimś zebraniu powtórzył ten pogląd ustnie, spośród słuchaczy podniosła się kobieta jak furia. Była to Emma Goldman, uzbrojona w bicz; wskoczyła na podium i wychłostała swego byłego kochanka po twarzy i po ciele, wywołując straszliwy skandal.

Uczucia osobiste odgrywały niewątpliwie dużą rolę zarówno w

postępowaniu Mosta, jak Emmy. Możliwe, że Most wziął tu przykład z Kropotkina i Malatesty, którzy już przy sprawie Ravachola zaczęli kwestionować wartość aktów gwałtu. Ale oddany idei Berkman nie był bynajmniej Ravacholem, a Mosta z pewnością podrażniła zazdrość o młodszego rywala, zarówno w miłości, jak i w ruchu rewolucyjnym. Jego gwałtowny atak na towarzysza anarchistę, gotowego umrzeć za Czyn, był zdradą i ciosem tak silnym, że po nim ruch anarchistyczny w Ameryce nigdy się już całkowicie nie dźwignął.

Nie wywarło to żadnego wrażenia na ludności, która dostrzegała jedynie anarchistyczne zamachy — *attentats*, jak nazywali je Francuzi. Z każdym atakiem rósł strach społeczeństwa przed niszczącą siłą zagrożenia wewnętrznego. Strach wybuchł na nowo w rok po Homestead, gdy gubernator John P. Altgeld z Illinois ułaskawił trzech pozostałych więźniów z Haymarket. Altgeld, człowiek dziwny, surowy i namiętny, urodzony w Niemczech i przywieziony do Stanów Zjednoczonych w wieku trzech miesięcy, spędził młodość w niedostatku, pracując fizycznie. Jako szesnastolatek walczył w wojnie domowej, studiował prawo, został prokuratorem stanowym, sędzią, a w końcu gubernatorem, zrobił majątek na nieruchomościach i był niemal opętanym liberałem. Ślubował sobie wyrównać niesprawiedliwość przeprowadzonego w trybie doraźnym procesu, skoro tylko dojdzie do władzy; działała tu także osobista uraza do sędziego Gary. Zaraz po swoim wyborze zarządził zbadanie akt sprawy i 26 czerwca 1893 roku ogłosił ułaskawienie, uzasadniając w dokumencie zawierającym 18 000 słów, że pierwotny werdykt i wyrok były nielegalne. Wykazał, że sędziowie przysięgli zostali zebrani i „wybrani, aby skazać”, że sędzia był uprzedzony wobec oskarżonych i nieskłonny do prowadzenia sprawiedliwego procesu oraz że, jak przyznał prokurator stanowy, brak było dowodów przeciw co najmniej jednemu z oskarżonych. O faktach tych wiedziano i dlatego w okresie między werdyktem a powieszeniem wielu wybitnych obywateli Chicago, mając nieczyste sumienie z powodu wyroku śmierci, starało się prywatnie o ułaskawienie; faktycznie dzięki nim zmieniony został wyrok na trzech żyjących jeszcze oskarżonych. Lecz kiedy Altgeld odsłonił publicznie prawdziwe oblicze Prawa, podważył wiarę ludności w podstawową instytucję społeczną. Gdyby uwolnił anarchistów w formie czystego aktu łaski, nie wywołałoby to wielkiego podniecenia. Ponieważ jednak postąpił inaczej, został ostro skrytykowany przez prasę, w przemówieniach ministrów i przez różne ważne osobistości. Pismo „Blade” z

Toledo pisało, że zachęcał do „zniweczenia cywilizacji”. Pismo „Sun” z Nowego Jorku dało wyraz oburzeniu w wierszu:

*Ach, zdziczałe Chicago...
Wzniesł przestępcze, słabe ręce
Spośród ruin w wszystkich stanach
I gdy w gruzy padną wieże,
Napisz ALTGELD na twych bramach!*

Altgeld przegrał następne wybory i wprowadził to uwolnienie nie stanowiło jedynej przyczyny, nie odzyskał już urzędu do swojej śmierci w 1902 roku.

Równocześnie z tymi wydarzeniami era dynamitu wybuchła także w Hiszpanii. Tam rozpoczęła się z większym okrucieństwem, przebiegała z większym barbarzyństwem i gwałtownością, a trwała dłużej niż we wszystkich innych krajach. Hiszpania odznacza się spośród innych krajów desperacją i tragicznym podejściem do życia. Jej góry są nagie, katedry pogrążone w mroku, rzeki suche w lecie, jeden z jej największych królów wybudował swoje własne mauzoleum, aby mieszkać w nim za życia. Narodowym sportem Hiszpanii nie jest żadna gra, lecz krwawy i niebezpieczny rytuał. Szczególny charakter tego kraju wyraziła zdeponowana królowa Izabella II, która w czasie wizyty w stolicy w 1890 roku pisała do swojej córki: „Madryt jest smutny i wszystko bardziej niezwykle niż kiedykolwiek”.

Z natury rzeczy walka tytanów, Marksa i Bakunina, o władzę nad ruchem klasy robotniczej zakończyła się w Hiszpanii zwycięstwem tendencji anarchistycznych. W kraju tym jednak, gdzie wszystko traktowane jest poważniej, anarchiści zorganizowali się, wskutek czego wrosła w społeczeństwo i ich siła utrzymywała się jeszcze do naszych czasów. Podobnie jak Rosja, Hiszpania przypominała kocioł, w którym element rewolucyjny wrzał napierając na szczelną pokrywę ucisku. Kościół, właściciele ziemscy, Guardia Civil, wszyscy strażnicy państwowi, przyciskali tę pokrywę od góry. Wprowadził w Hiszpanii istniały Kortezy i pozory

demokracji, w rzeczywistości jednak klasa robotnicza nie miała dostępu do środków legalnych, aby spowodować reformy i zmiany, jak to miało miejsce we Francji i w Anglii. Wskutek tego silniej występowały skłonności do anarchizmu i wybuchowych metod. Lecz w odróżnieniu od „czystego” anarchizmu, w Hiszpanii przybrał on postać kolektywistyczną, bo tak musiało się stać. Ucisk był zbyt silny, aby pozostawić jakąkolwiek nadzieję na indywidualną akcję.

W styczniu 1892 roku wybuchła rewolta, która podobnie jak sprawa 1 maja w Clichy zapoczątkowała straszliwy łańcuch aktów gwałtu, represji i zemsty. Powstanie chłopskie było zjawiskiem naturalnym na południu, gdzie olbrzymie latyfundia nieobecnych magnatów uprawiali chłopi, pracujący cały dzień za bochenek chleba. Czterystu z nich zbuntowało się; uzbrojeni w widły, sierpy i taką broń palną, jaką udało im się zdobyć, ruszyli na miasteczko Jerez de la Frontera w Andaluzji. Celem ich było uwolnienie pięciu towarzyszy skazanych na dożywotnie więzienie w łańcuchach za współudział w jakiejś akcji robotniczej przed dziesięciu laty. Powstanie zostało szybko stłumione przez wojsko, a czterech przywódców uduszonych tzw. garotą; jest to hiszpański sposób egzekucji, w której ofiarę przywiązuje się plecami do słupa i dusi szarfą skręcaną z tyłu przez kata za pomocą drewnianej rączki. Zarzuela, jeden ze skazanych, umarł wzywając lud do „pomszczenia nas”.

Ostoją rządu hiszpańskiego był generał Martinez de Campos, którego silne ramię przywróciło monarchię w roku 1874. Potem pokonał karlistów, stłumił wczesne powstanie kubańskie i sprawował funkcję premiera oraz ministra wojny. 24 września 1893 roku odbierał paradę wojskową w Barcelonie. Stojący w tłumie w pierwszym rzędzie anarchista Pallas rzucił najpierw jedną, potem drugą bombę, zabijając konia generała, jednego żołnierza i pięciu widzów, lecz przez przypadek generał, zamierzona ofiara, odrzucony wybuchem pod ciało konia, jedynie się potłukł. Pallas, jak to wyznał z dumą, miał zamiar zabić generała i „cały jego sztab”. Kiedy sąd wojskowy skazał go na śmierć, wykrzyknął: „Zgoda! Tysiące będą kontynuowały to dzieło”. Pozwolono mu pożegnać się z dziećmi, lecz z jakiegoś barbarzyńskiego powodu nie pozwolono pożegnać żony i matki. Skazany na rozstrzelanie przez stojący za jego plecami pluton egzekucyjny — inny wariant hiszpańskich zwyczajów — powtórzył okrzyk Andaluzji: „Zemsta będzie straszliwa!”.

Zemsta nadeszła rzeczywiście w przeciągu kilku tygodni, znów w stolicy Katalonii, a liczba zabitych przewyższyła wszystkie zamachy anarchistyczne. 8 listopada 1893 roku, nieomal w rocznicę Haymarket, odbywała się pierwsza premiera sezonu operowego w Teatro Lyceo; publiczność w wytwornych strojach wieczorowych słuchała *Wilhelma Telia*. W połowie tego dramatu rzucającego wyzwanie tyranom zrzucono dwie bomby z balkonu na dół. Jedna wybuchła, zabijając na miejscu piętnaście osób, druga nie eksplodowała, grożąc w każdej chwili wybuchem. Spowodowała istne piekło „przerażenia i zamieszania”, krzyki i przekleństwa, dziki pęd do wyjść, w których ludzie „walczyli jak dzikie zwierzęta, żeby się wydostać, nie szanując wieku ani płci”. Potem, kiedy wynoszono ofiary, których wspaniałe suknie były podarte, a białe usztywnione gorsy zbroczone krwią, tłumy zgromadzone na zewnątrz „przeklinały anarchistów i policję”, jak podawał jeden z reporterów. Dalszych siedem osób zmarło na skutek odniesionych ran, tak że w sumie dwadzieścia dwie osoby zostały zabite i pięćdziesiąt rannych.

Rząd zareagował z odpowiednią zaciętością. Policja przeprowadziła obławy we wszystkich znanych klubach, domach i miejscach spotkań towarzyskich malkontentów. Zaaresztowano setki, nawet tysiące osób i wrzucono ich do lochów Montjuich, twierdzy wznoszącej się na wysokości siedmiuset stóp nad poziomem morza, której działa panują nad portem i miastem Barceloną i z góry skazują na klęskę każdy bunt w tym chronicznie buntowniczym mieście. Cele były tak pełne, że nowych więźniów trzeba było przetrzymywać w kajdanach na okrętach wojennych zakotwiczonych poniżej. Ponieważ w sprawie tej nikt nie przyznał, że jest winien śmierci tylu ludzi, zastosowano bezlitosne tortury, żeby wymusić takie wyznanie. Przypalano więźniów żelazem, zmuszano razami bicia do chodzenia przez trzydzieści, czterdzieści lub pięćdziesiąt godzin bez przerwy albo też poddawano innym męczarniom, nie nowym w kraju Inkwizycji. W ten sposób wymuszono informację, która doprowadziła do aresztowania w styczniu 1894 roku anarchisty Santiago Salvadora, który przyznał się do zbrodni w operze jako do aktu zemsty za Pallasa. Anarchiści z Barcelony odpowiedzieli natychmiast na jego aresztowanie jeszcze jedną bombą, zabijając dwie niewinne osoby. Rząd zareagował wydając sześć wyroków śmierci, wykonanych w kwietniu na więźniach, od których wymuszono torturami coś w rodzaju przyznania się do winy. Salvadora, który bezskutecznie próbował się zastrzelić z rewolweru i otruć, sądzono oddzielnie w lipcu, a egzekucji jego dokonano w listopadzie.

Przerażająca wieść o eksplozji w operze w Hiszpanii wywołała nerwowe podniecenie władz we wszystkich krajach i nawet Anglicy zaczęli się zastanawiać, czy wskazane jest zezwalanie anarchistom na otwarte głoszenie ich doktryn. Kiedy w trzy dni później odbywało się tradycyjne zebranie anarchistów dla uczczenia męczenników z Haymarket, Parlament zażądał wyjaśnień w sprawie udzielenia na to zezwolenia przez ministra spraw wewnętrznych, liberała Asquitha — takie zebrania wymagały bowiem specjalnego zatwierdzenia z góry przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Asquith usiłował zrazu zbyć sprawę jako pozbawioną znaczenia, lecz — jak twierdzi jeden reporter — został „zmiażdżony przez przywódcę opozycji, Balfoura, który flegmatycznie stwierdził, że prawo do rzucania bomb nie jest kwestią do dyskusji na zebraniach publicznych ani nie da się uzasadnić tym, że społeczeństwo jest źle zorganizowane”. Może przekonany przez Balfoura, a może po przemyśleniu raz jeszcze zabójstw w Hiszpanii, Asquith zmienił zdanie i ogłosił w kilka dni później, że uważając „propagowanie doktryny anarchistycznej za niebezpieczne dla porządku społecznego”, nie zezwala na dalsze otwarte zebrania anarchistyczne.”

W Londynie w tym okresie anarchistami byli przeważnie Rosjanie, Polacy, Włosi i inni uchodźcy, skupiający się wokół anarchistycznego klubu „Autonomie”; drugą grupę stanowili imigranci żydowscy, którzy żyli i pracowali w rozpaczliwie nędznych warunkach na East Endzie, wydawali pismo w języku jidysz, „Der Arbeiter Fraint”, i zbierali się w klubie „International” w Whitechapel. Angielska klasa pracująca, dla której akty indywidualnego gwałtu nie są tak naturalne jak dla Słowian czy narodów latyńskich, nie interesowała się specjalnie tymi zagadnieniami. Od czasu do czasu jakiś intelektualista, jak William Morris, zapalał się do tej idei, lecz Morrisa obchodziła przede wszystkim jego własna wersja państwa utopijnego; pod koniec lat osiemdziesiątych stracił wpływ i kontrolę nad założonym i wydawanym przez siebie dziennikiem „Commonweal” na rzecz bardziej plebejskich, ortodoksyjnych i walczących anarchistów. Inny dziennik, „Freedom”, był organem grupy spod znaku Kropotkina, a trzeci, „The Torch” — wydawany przez dwie córki Williama Rosettiego — publikował wypowiedzi Malatesty, Faure'a i innych francuskich i włoskich anarchistów.

W roku 1891, wraz z ukazaniem się *Duszy człowieka w socjalizmie (The Soul of Man Under Socialism)*, zabłysnął na krótko, jak wspaniały motyl,

nowy zwolennik ruchu i potem odleciał. Autorem tego eseju był Oscar Wilde. Poruszyła go bardzo osobowość Kropotkina; prawdziwą wolność dla artysty widział w społeczeństwie, w którym „władza i przymus oczywiście nie wchodzi w rachubę”. Wbrew tytułowi przeciwstawiał się socjalizmowi na tej samej zasadzie co ortodoksyjni anarchiści; uważał go mianowicie za „autorytarny”. Jeśli rządy mają być wyposażone we władzę ekonomiczną, jednym słowem, jeśli mamy mieć tyranie przemysłową, to sytuacja człowieka na końcu będzie gorsza niż na początku”. Według wyobrażenia Wilde'a socjalizm miał się opierać na indywidualizmie i kiedy w ten sposób wyzwoli się prawdziwa osobowość człowieka, artysta będzie mógł być wreszcie sobą.

Tymczasem we Francji zamachy nie ustawały. 8 listopada 1892 roku, w czasie strajku górników przeciwko Société des Mines de Carmaux, podłożono bombę w paryskim biurze spółki przy Avenue de l'Opéra. Odkrył ją dozorca, po czym policjant wyniósł ją i ostrożnie skierował się do najbliższego komisariatu dzielnicowego. Kiedy bombę przyniósł, wybuchła z wielką siłą, zabijając pięciu innych policjantów, obecnych w pokoju. Krew i kawałki ciała obryzgały potrzaskane ściany i okna, wszędzie leżały części rąk i nóg. Podejrzenia policji skupiły się wokół Émile'a Henry, młodszego brata znanego radykalnego mówcy i syna Fortunego Henry, który uciekł do Hiszpanii po otrzymaniu wyroku śmierci za udział w Komunie. Kiedy sprawdzono dokładnie, co Emile Henry robił przez cały dzień, okazało się niemożliwe, aby mógł znajdować się w krytycznym momencie przy Avenue de l'Opéra, wobec czego na razie nie aresztowano nikogo.

Bomba w komendzie policji wywołała panikę w Paryżu; nikt nie wiedział, gdzie ugodzi następna. Każdy, kto miał jakiegokolwiek związek z prawem lub policją, traktowany był przez swoich sąsiadów — paryżanie mieszkają bowiem przeważnie w kamienicach czynszowych — jak zaraza i gospodarze często wypowiadali takim osobom mieszkanie. Miasto, jak pisał pewien przybysz z Anglii, było „całkowicie sparaliżowane” strachem. Ludzie z klasy uprzywilejowanej „żyli znów jak w okresie Komuny. Nie mieli odwagi, aby pójść do teatru, do restauracji, do eleganckich sklepów przy Rue de la Paix lub jeździć konno po Lasku, gdzie wydawało im się, że anarchista stoi za każdym drzewem”. Krążyły straszliwe pogłoski: anarchiści podminowali kościoły, wlali kwas pruski do miejskich zbiorników wody, kryli się za siedzeniami powozów, aby wyskoczyć na pasażerów i obrabować

ich. Ściągano na przedmieścia wojsko gotowe do wymarszu, turyści uciekali, hotele świeciły pustkami, omnibusy kursowały bez pasażerów, teatry i muzea były zabarykadowane.

W okresie tym panowało powszechne rozgoryczenie i oburzenie. Ledwo Republika obroniła się przed zamachem stanu Boulanger'a, a już zhańbiła ją sieć korupcji, ujawniona w związku ze skandalem panamskim i z urzędowym frymarczeniem odznaczeniami. W latach 1890-92 odkrywano w Parlamencie dzień po dniu nowe dowody nadużyć przy finansowaniu kanału w Panamie przez pożyczki, łapówki, nieczyste kapitały, sprzedaż wpływów, aż okazało się, że 104 deputowanych było wmieszanych w sprawę. Rzuciło to cień nawet na Georges'a Clemenceau i stracił on mandat w następnych wyborach.

Wraz z upadkiem prestiżu państwa rozkwitał anarchizm. Flirtowali z tym ruchem intelektualiści. Skryta niechęć do rządu i prawa, istniejąca u wielu ludzi, u niektórych bliższa jest powierzchwni. Jak w człowieku sytym siedzi człowiek głodny, który krzyczy, aby się wydostać, tak nawet ludzie poważni ukrywają w środku małego anarchistę: jego nieśmiały krzyk słycać było często wśród artystów i intelektualistów lat dziewięćdziesiątych. Powieściopisarz Maurice Barrés, który w różnych okresach próbował każdego stanowiska politycznego jako trybuna dla swego talentu, gloryfikował filozofię anarchistyczną w swoim *Wrogu praw (l'Ennemi des lois)* i w *Człowieku wolnym (Un homme libre)*. Poeta Laurent Tailhade określił przyszłe społeczeństwo anarchistyczne „jako błogosławiony okres”, kiedy arystokracją będzie arystokracja intelektu, a „pospolity człowiek całować będzie ślady stóp poety”. Anarchizm literacki był w modzie wśród symbolistów, takich jak Mallarmé i Paul Valéry. Pisarza Octave'a Mirbeau anarchizm pociągał dlatego, że miał on wstręt do władzy. Nienawidził ludzi w mundurach: policjantów, bileterów, posłańców, dozorców, służących. W jego oczach, jak mówił jego przyjaciel Léon Daudet, właściciel ziemski był zbrodniarzem, minister złodziejem, prawnicy i finansiści doprowadzali go do mdłości; tolerancję wykazywał tylko wobec dzieci, żebraków, psów, niektórych malarzy i rzeźbiarzy oraz bardzo młodych kobiet. „Głębokim jego przekonaniem było, że bieda nie musi istnieć na świecie — mówił inny przyjaciel — a to, że jednak jest, stanowiło powód jego gniewu”. Spośród malarzy Pissarro dawał swoje rysunki do „Le Pere Peinard”, a kilku znakomitych gniewnych paryskich ilustratorów dawało wyraz swojej odrazie do niesprawiedliwości społecznej w anarchistycznych dziennikach; niekiedy

robili to w formie, jaka w późniejszych czasach nie nadawałaby się do druku, jak na przykład przedstawiając karykaturę prezydenta w poplamionej pidżamie.

Ukazywały się dziesiątki efemerycznych pism i biuletynów o nazwach takich, jak „Antychryst”, „Nowy Brzask”, „Czarna Chorągiew”, „Wróg Ludu”, „Pochodnia”, „Nowa Ludzkość”, „Niesprzedajni”, „Sankiulota”, „Kraj i Wolność”, „Zemsta”. Grupy i kluby nazywające się „Liga Antypatriotów” lub „Wolnomyśliciele” odbywały zebrania w słabo oświetlonych salach z drewnianymi ławkami, gdzie członkowie dawali upust swojej pogardzie dla państwa, dyskutowali o rewolucji, lecz nigdy się nie organizowali, nigdy nie tworzyli związków; nie uznawali przywódców, nie robili planów, nie przyjmowali rozkazów. Według nich państwo, ogarnięte paniką z powodu Ravachola, przeżarte zgnilizną, jak to ujawniła afera panamska, już się rozpadało.

W marcu 1893 roku trzydziestoletni mężczyzna nazwiskiem August Vaillant wrócił do Paryża z Argentyny, dokąd wyjechał w nadziei, że rozpocznie nowe życie w Nowym Świecie, co mu się jednak nie udało. Urodził się jako syn nieślubny i miał dziesięć miesięcy, kiedy jego matka wyszła za mąż za człowieka, nie będącego jego ojcem, który nie chciał dziecka utrzymywać. Oddano go przybranym rodzicom. W wieku dwunastu lat chłopiec żył w Paryżu na własną rękę, zarabiając dorywczymi pracami, kradnąc i żebrząc. Dostał się jakoś do szkoły i otrzymał pracę urzędnika. Wydawał przez krótki czas tygodnik „Union Socialiste”, lecz wkrótce, jak i inni wydziedziczeni, zbliżył się do kół anarchistycznych. Jako sekretarz Fédération des groupes indépendants miał pewien kontakt z rzecznikami anarchizmu, między innymi z Sebastienem Faure, którego „harmonijny, pieśzcotliwy głos”, piękny styl i eleganckie maniery mogły skłonić do uwierzenia w millennium każdego, kto go słuchał. Vaillant ożenił się, rozszedł się z żoną, lecz zatrzymał córkę Sydonię i znalazł sobie kochankę. Nie będąc typem nazbyt swobodnym ani libertyńskim, zachował przy sobie tę małą rodzinę aż do końca. Po nieudanym pobycie w Argentynie starał się zarobić na życie w Paryżu i doświadczył wielu upokorzeń, podobnie jak jego rówieśnik, Knut Hamsun, wędrujący w owym czasie o głódzie przez ulice Christianii, który pisze: „Odmówiono mi już tyle razy, dając to połowiczne obietnice, to rzucając wprost: «Nie!» Tyle przeżyłem daremnych nadziei, tyle poczyniłem wysiłków, kończących się niczym”. Popadł w końcu w taką

nędzę, że nie miał już porządnego ubrania, które mógłby włożyć idąc na poszukiwanie pracy. Vaillant nie mógł sobie pozwolić na nową parę butów i nosił stare kalosze, znalezione na ulicy. W końcu dostał pracę w rafinerii cukru, gdzie płacono mu 3 franki dziennie; za mało, aby utrzymać trzy osoby.

Ze wstydem i rozgoryczeniem patrzył na głodującą rodzinę, i rozczarowany do świata, którego nigdy nie pojął, postanowił skończyć z sobą. Nie chciał jednak odejść po cichu, lecz, jak pisał w noc przed swoim czynem, z krzykiem protestu, „z krzykiem całej tej klasy, która żąda swych praw i pewnego dnia doda czyny do słów. Umrę przynajmniej zadowolony, z przeświadczeniem, że zrobiłem, co mogłem, aby przyspieszyć nadejście nowej ery”.

Nie umiejąc zabijać, Vaillant planował gest niepozbawiony pewnej logiki. Zwrócił uwagę na chorobę społeczeństwa, której objawem były głośne skandale w Parlamencie. Sporządził bombę z rondla napełnionego gwoździami i nieśmiercionośnym ładunkiem wybuchowym. Po południu 9 grudnia 1893 roku wziął tę bombę i zajął miejsce w galerii dla publiczności Izby Deputowanych. Ktoś z obecnych widział, jak wysoki, wychudzony człowiek z bladą twarzą wstał z miejsca w środku debaty i rzucił coś w dół. Bomba Vaillanta wybuchła z okropnym hukiem, zasypując deputowanych kawałkami metalu, raniąc kilku, lecz nie zabijając nikogo.

Wiadomość o tym zamachu rozeszła się i wywołała ogromną sensację, upamiętnioną przez przedsiębiorczego dziennikarza. Tego wieczoru, na obiedzie wydanym przez dziennik „La Plume” dla kilku znakomitości, m. in. Zoli, Verlaine'a, Mallarmégo, Rodina i Lauranta Tailhade'a, poprosił on obecnych o komentarze. Tailhade odpowiedział wzniośle i melodyjnie: „*Qu'importe les victimes si le geste est beau?*” („Cóż znaczą ofiary, jeśli gest jest piękny?”) Uwaga ta, zacytowana następnego ranka przez „Le Journal”, miała zostać wkrótce przypomniana w makabrycznych okolicznościach. Tego samego rana Vaillant oddał się w ręce sprawiedliwości.

Cała Francja zrozumiała ten gest, a niektórzy — nie-anarchiści — nawet z nim sympatyzowali. Jak na ironię losu, sympatycy ci pochodzili ze skrajnej prawicy, w której siły antyrepublikańskie — rojaliści, jezuici, artystokracja i antysemita — miały swoje przyczyny, aby pogardzać państwem burżuazyjnym. Edouard Drumont, autor *La France juive* i wydawca „La Libre Parole”, który z furią napadał na Żydów zamieszanych w skandal

panamski, napisał utwór pod kwiecistym tytułem *O błocie, krwi i złocie. Od skandalu panamskiego do anarchizmu*. „Ludzie krwi — mówił — zrodzili się z błota Panamy”. Diuszesa d'Uzès, która przez małżeństwo weszła w jedną z trzech pierwszych rodzin książęcych, zaoferowała córce Vaillanta dom i wykształcenie (wolał on jednak pozostawić ją pod opieką Sebastiena Faure).

Rząd, w gniewnym nastroju i zdecydowany skończyć raz na zawsze z anarchistami, podjął kroki, aby stłumić anarchistyczną propagandę. W dwa dni po bombie Vaillanta Parlament uchwalił jednogłośnie dwie ustawy: uznano za przestępstwo drukowanie bezpośredniej lub „pośredniej” prowokacji do aktów terroru oraz popieranie zamiaru dokonania takich aktów. Choć ustawy te nazywano *les lois scélérates* (zbrodniczymi ustawami), trzeba je uznać za środek rozsądny, gdyż pochwalanie czynu było w istocie najczęstszą formą podżegania. Policja zrobiła obławy w kawiarniach anarchistów i ich miejscach zebrań, wydano dwa tysiące nakazów sądowych, kluby i grupy dyskusyjne rozproszyły się, „La Révolte” i „Le Père Peinard” przestały wychodzić, a przywódcy ruchu opuścili kraj.

10 stycznia Vaillant stanął w sądzie przed pięciu sędziami w czerwonych togach i czarnych, lamowanych złotem beretach. Oskarżony o umyślne zabójstwo, podkreślał, że chciał tylko zranić. „Gdybym chciał zabić, mógłbym być użyć silniejszego ładunku i napełnić zbiornik kulami, zamiast tego użyłem jedynie gwoździ”. Jego adwokat, maître Labori, który miał zetknąć się w przyszłości z tragedią i przemocą w o wiele głośniejszej sprawie, bronił go mądrze jako *un exaspéré de la misère*. To wina Parlamentu, mówił Labori, że nie potrafił zaradzić „niedolom ubóstwa, które gnębi trzecią część narodu”. Mimo wysiłków Laboriego Vaillant otrzymał wyrok śmierci, wydany po raz pierwszy w dziewiętnastym stuleciu na osobę, która nikogo nie zabiła. W pośpiechu, w ciągu jednego dnia przeprowadzono proces, wydano werdykt i wyrok. Prawie natychmiast prezydent Sadi Carnot zarzucony został petycjami o ułaskawienie; taka petycja złożona została m. in. przez grupę sześćdziesięciu deputowanych pod przewodnictwem abbé Lemire'a, jednego ze zranionych przez bombę. Zapalczywy socjalista, Jules Breton, przepowiedział, że jeśli Carnot „wypowie się oziębłe za śmiercią, nikt we Francji nie będzie go żałował, jeśli sam stanie się pewnego dnia ofiarą bomby”. Kosztowało to Bretona dwa lata więzienia, jako podżeganie do morderstwa, i okazało się drugą wypowiedzią na temat sprawy Vaillanta,

do której historia dopisała dziwną i ponurą pointę.

Rząd nie mógł wybaczyć anarchistom ataku na państwo. Carnot odmówił złagodzenia wyroku i Vaillant został stracony 5 lutego 1894 roku. Przed egzekucją wykrzyknął: „Śmierć burżuazyjnemu społeczeństwu! Niech żyje anarchia!”

Śmierć coraz szybciej zbierała swe ofiary. Zaledwie siedem dni po zgilotynowaniu Vaillanta, został on pomszczony w sposób pozornie tak złośliwy i bezsensowny, że wszystkim wydało się to jakimś koszmarem. Tym razem bomba nie została skierowana przeciw żadnemu przedstawicielowi prawa, własności czy państwa, lecz przeciw człowiekowi z ulicy. Wybuchła w Café Terminus przy dworcu St-Lazare, jak pisał „Le Journal”, wśród „spokojnych anonimowych obywateli, siedzących w kawiarni, aby napić się piwa przed pójściem do łóżka”. Jeden został zabity, dwudziestu rannych. Jak się później okazało, sprawca działał z własną, szaleńczą logiką. Jeszcze nim stanął przed sądem, ulice Paryża trzęsły się od dalszych eksplozji. Jedna przy St-Jacques zabiła przechodnia, druga przy Faubourg St-Germain nie wyrządziła żadnej szkody; trzecia bomba wybuchła w kieszeni belgijskiego anarchisty, Jeana Pauwelsa, kiedy wchodził do kościoła Madeleine. Został on zabity; jak się okazało, podłożył również dwie poprzednie bomby. 4 kwietnia 1894 roku czwarta bomba wybuchła w eleganckiej restauracji Foyot, gdzie wprawdzie nie zabiła nikogo, lecz wybiła oko poecie Laurentowi Tailhade, który przypadkiem jadł tam obiad i który zaledwie przed czterema miesiącami z taką obojętnością potraktował ofiary „pięknego gestu”.

Wzmagala się powszechna histeria. Kiedy podczas przedstawienia teatralnego jakaś dekoracja upadła z hukiem za scenę, publiczność rzuciła się ku wyjściom, krzycząc: „Anarchiści! Bomba!” Gazety zaczęły drukować codzienny biuletyn pod nagłówkiem „Dynamit”. 27 kwietnia rozpoczął się proces sprawcy wybuchu w Café Terminus i wyszło wtedy na jaw, że idea anarchizmu może niezwykle łatwo przeistoczyć się z miłości do ludzkości w nienawiść do ludzi.

Oskarżonym okazał się ten sam Emile Henry, już poprzednio podejrzany o podłożenie w biurach Société des Mines de Carmaux bomby, od której zginęło w efekcie pięciu policjantów. Posądzony o morderstwo w Café Terminus, przyznał się teraz również do innych zabójstw, choć nie dało się tego udowodnić. Oświadczył, że podłożył bombę w Café Terminus, aby

pomścić Vaillanta i z zamiarem zabicia, „ilu się tylko da.

Liczyłem na piętnastu zabitych i dwudziestu rannych”. Policja znalazła rzeczywiście w jego pokoju materiał wystarczający na zrobienie dwunastu lub piętnastu bomb. Ze swą zimną pasją, intelektualną dumą i pogardą dla zwykłego człowieka, Henry wydawał się „Saint-Justem anarchizmu”. Świetny student, który został przyjęty do ekskluzywnej Ecole Polytechnique, a następnie wyrzucony za znieważenie profesora, miał o czym myśleć jako subiekt w sklepie tekstylnym z płacą 120 franków miesięcznie. W wieku dwudziestu dwu lat był, obok Berkmana, najbardziej wykształconym i najlepiej obznajmionym z teorią anarchizmu ze wszystkich zamachowców i z nich wszystkich najszczerzej się wypowiadał.

W więzieniu opisał w obszernym i mądrze sformułowanym wyjaśnieniu cynizm i niesprawiedliwość, jakich doświadczył ze strony burżuazyjnego społeczeństwa, swój „szacunek dla inicjatywy indywidualnej”, zbyt wielki, aby mógł się przyłączyć do stadnych socjalistów, i uzasadnił swoje przystąpienie do anarchizmu. Okazało się, że jest dobrze obznajmiony z anarchistyczną doktryną, z pismami Kropotkina, Reclusa, Grave'a i Faure'a, choć twierdził, że anarchiści nie są „ślepych wyznawcami”, którzy połykają w całości niektóre lub wszystkie idee teoretyków. Kiedy jednak wyjaśnił, dlaczego jego wybór padł na Café Terminus, znalazł się nagle w odosobnieniu. Przychodzą tam, powiedział, „wszyscy, którzy są zadowoleni z ustalonego porządku, wszyscy współwinni i słudzy Własności i Państwa... cała ta masa dobrych drobnomieszczan, z dochodem 300 do 500 franków miesięcznie, którzy są bardziej reakcyjni niż ich zwierzchnicy, którzy nienawidzą biednych i stoją po stronie silnych. Tacy są klienci kawiarni Terminus i innych dużych lokali tego rodzaju. Teraz wiecie, dlaczego uderzyłem właśnie tam”.

W sądzie, kiedy sędzia zarzucił mu, że naraził na niebezpieczeństwo życie niewinnych ludzi, odpowiedział z lodowatą wyniosłością, słowami, które powinny były być wypisane na niektórych anarchistycznych sztandarach: „Nie ma niewinnych burżujów”.

O przywódcach anarchistycznych wyraził się, że ci, „którzy odżegnują się od propagandy czynu”, jak Kropotkin i Malatesta w sprawie Ravachola, i „którzy próbują wprowadzić delikatne rozróżnienie między teoretykami i terrorystami, są tchórzami... My, którzy rozdajemy śmierć, wiemy, jak ją

przyjąć... Moja głowa nie jest ostatnią, jaką zetniecie. Wieszaliście w Chicago, ścinaliście głowy w Niemczech, garotowaliście w Jerez, rozstrzeliwaliście w Barcelonie, gilotynowaliście w Paryżu, lecz jest coś, czego nie możecie zniszczyć: Anarchizm... Buntuje się on gwałtownie przeciw ustalonemu łaadowi. Aż w końcu zabije was”.

Swoją śmierć przyjął Henry z godnością. Nawet kostyczny Clemenceau, obecny przy egzekucji w dniu 21 maja 1894 roku, był wzruszony i wstrząśnięty. Widział, jak Henry „z twarzą udręczonego Chrystusa, niezwykle bladą, nieugiętą, próbował narzucić swemu dziecinnemu ciału swą intelektualną dumę”. Skazaniec mimo kajdan wstępował szybkim krokiem na stopnie szafotu, rozejrzał się wokoło i zawołał ochrypłym, zduszonym głosem: „*Courage, Camarades! Vive l'anarchie!*”. W tym momencie Clemenceau uznał odpowiedź udzieloną Henry'emu przez społeczeństwo za „akt barbarzyństwa”.

Niemal zaraz padł następny cios, ostatni z francuskiej serii, najważniejszy ze względu na osobę ofiary, choć najmniej ważny, jeśli chodzi o osobę zamachowca. 24 czerwca 1894 roku w Lyonie, podczas zwiedzania wystawy, prezydent Sadi Carnot zabity został przez młodego włoskiego robotnika, który zadając mu cios sztyletem zawołał: „*Vive la révolution! Vive l'anarchie!*”. Prezydent jechał w otwartym powozie przez ulice wypełnione po obu stronach tłumem ludzi i polecił swojej eskorcie, aby pozwoliła ludziom zbliżyć się do niego, jeśli będą chcieli. Kiedy młody człowiek z pierwszego rzędu rzucił się w przód trzymając w ręce zwiniętą gazetę, strażnicy nie zatrzymali go, przypuszczając, że w gazecie znajduje się bukiet kwiatów dla prezydenta. Znajdował się tam jednak sztylet i młody człowiek silnym uderzeniem wepchnął go na głębokość sześciu cali w brzuch prezydenta. Carnot zmarł w przeciągu trzech godzin. Jego żona otrzymała nazajutrz list wysłany przed zamachem i zaadresowany do „wdowy Carnot”; zawierał on fotografię Ravachola z podpisem: „Został pomszczony”.

Zamachowiec, Santo Caserio, miał niecałe dwadzieścia jeden lat i był terminatorem u piekarza. Urodził się we Włoszech, z grupami anarchistycznymi zetknął się w Mediolanie, siedlisku politycznych niepokoi. Kiedy miał osiemnaście lat, został skazany za rozprowadzanie wśród żołnierzy anarchistycznych broszur. Idąc w ślad innych niespokojnych wichrzycieli, pojechał do Szwajcarii, a następnie do Cette w południowej Francji, gdzie znalazł pracę oraz lokalną grupę anarchistyczną o nazwie „Les

Coeurs de Chêne” („Dębowe Serca”). Rozmyślał o sprawie Vaillanta i odmowie zawieszenia wyroku ze strony prezydenta, kiedy przeczytał w gazetach, że prezydent ma przyjechać z wizytą do Lyonu. Caserio zdecydował się natychmiast dokonać „wielkiego czynu”. Poprosił w pracy o urlop i o dwadzieścia franków, jakie mu się należały; kupił za te pieniądze sztylet i wsiadł do pociągu do Lyonu. Tam szedł za tłumem, aż nadarzył mu się odpowiedni moment.

Później, kiedy go schwytano, i w sądzie, był posłuszny, uśmiechnięty i spokojny. Jego mizerna i raczej pospolita, łagodna twarz przypominała jednemu z dziennikarzy „białą maskę wypudrowanego Pierrota, rozjaśnioną dwoma błyszczącymi, niebieskimi oczkami. Usta jego zdobił zarys wąsików, jakby przepraszających, że wyrosły”. Pozostał spokojny przez cały czas przesłuchania i procesu, mówił zupełnie rozsądnie o zasadach anarchizmu, wydawał się całkowicie przez nie opętany. Określał swój postępek jako świadomą „propagandę czynu”. Raz tylko okazał wzruszenie, kiedy wspomniano o jego matce, był do niej bardzo przywiązany i pisywał regularnie listy w czasie pobytu poza domem. Kiedy strażnik więzienny przyszedł go obudzić 15 sierpnia, w dniu egzekucji, płakał przez chwilę, a potem w drodze na gilotynę nie wydał już żadnego dźwięku. W chwili, gdy umieszczono jego głowę na szafocie, wyszeptał kilka słów, które jedni zrozumieli jako tradycyjne „*vive l'anarchie*”, a inni jako „*a voeni nen*”, co w lombardzkim dialekcie znaczy „ja nie chcę”.

Anarchizm we Francji doszedł do punktu kulminacyjnego uśmiercając głowę państwa, po czym — stając nagle twarzą w twarz z realiami polityki i rzeczywistą sytuacją w ruchu robotniczym — wycofał się. Z początku wyglądało jednak, że anarchiści będą mieli wspaniałą okazję albo do propagandy, albo do męczeństwa. Przechodząc do ofensywy, rząd zainscenizował 6 sierpnia proces zbiorowy trzydziestu najbardziej znanych anarchistów, starając się dowieść zmyślenia między teoretykami i terrorystami. Ponieważ znani terroryści zostali już straceni, rząd mógł przedstawić jako przykład tylko trzech pomniejszych osobników z rodzaju „włamywaczy”, wśród nich żadnego Ravachola. Jeśli chodzi o przywódców, Elisée Reclus wyjechał z kraju, lecz jego bratanek Paul Reclus, Jean Grave, Sebastien Faure i inni siedzieli na ławie oskarżonych. Wobec braku partii czy też jakiejś osoby prawnej, przeciw której można by skierować oskarżenie, prokurator miał podobne trudności jak przy braku *corpus delicti*. Oskarżano więc coś, co

nazywano „sektą” dążącą do zniszczenia państwa przez propagandę zachęcającą do kradzieży, grabieży, podpalania i mordu, „w których każdy z członków sekty bierze udział wedle swojego temperamentu i możliwości”. Oskarżyciele prawdopodobnie obawiali się porywającego krasomówstwa Faure'a i dlatego sami mówili cały czas, ledwie zezwalając oskarżonym na otwarcie ust, a gdy nie udało im się tego uniknąć, bardzo żalowali. Zwracając się do Felixa Feneona, krytyka sztuki i pierwszego obrońcy impresjonistów, który był jednym z oskarżonych, przewodniczący zespołu sędziowskiego powiedział: „Widziano pana rozmawiającego z anarchistą za słupem latarni”. „Czy może mi pan powiedzieć, panie przewodniczący, gdzie to jest «za słupem latarni»?” — odpowiedział Feneon.

Wobec braku dowodów stwierdzających związek oskarżonych z czynami sąd przysięgłych, nie ulegając naciskowi, uniewinnił wszystkich z wyjątkiem trzech włamywaczy, którzy otrzymali kary więzienia. Raz jeszcze francuski rozsądek wziął górę.

Rozumny werdykt sądu przysięgłych pozbawił anarchistów *cause celebre*, ale późniejszy upadek anarchizmu nastąpił przede wszystkim dlatego, że francuska klasa robotnicza miała za duże poczucie rzeczywistości, aby dać się wciągnąć w ruch skazany na niepowodzenie przez bezsilność, jaką sam sobie narzucił. Przywódcy tacy, jak Kropotkin, Malatesta, Reclus i nawet Johann Most zaczęli zdawać sobie sprawę z bezskuteczności aktów terroru. Kiedy szukali innych środków obalenia państwa, potykali się o tkwiący w samej idei paradoks: rewolucja wymaga organizacji, dyscypliny i władzy, anarchizm je odrzuca. Zaczynali odczuwać bezsens swojej sytuacji.

Grupy anarchistyczne, wykluczone z Drugiej Międzynarodówki Socjalistycznej na zebraniu w Londynie w 1896 roku z powodu odmowy uznania potrzeby akcji politycznej, zwołały w roku 1900 własny kongres w Paryżu. Starano się usilnie o znalezienie takiej formy unii, jaką towarzysze mogliby przyjąć, ale wszystkie propozycje upadały wobec uporu Jeana Grave'a, uznającego tylko indywidualną działalność. Powtórna próba na kongresie w Amsterdamie w roku 1907 doprowadziła do powstania Biura Międzynarodowego; jego żywot był jednak krótki, bo z powodu braku poparcia w niedługim czasie straciło znaczenie i przestało działać.

Mimo wszystko odrzucanie władzy przez anarchistów było w jakiś tragiczny sposób uzasadnione, bo jak powiedział wychowany przez jezuitów

Sebastien Faure w przyпыlywie chłodnego realizmu, „każda rewolucja kończy się powstaniem nowej klasy rządzącej”.

Realiści innego rodzaju zaczęli w tych latach dochodzić do porozumienia z ruchem robotniczym. Klasa robotnicza Francji pragnęła ośmiogodzinnego dnia pracy, a nie bomb w Parlamencie czy zamordowanych prezydentów. Ale właśnie anarchistyczna propaganda czynu rozbudziła ich tak, że uświadomili sobie, czego chcą, i że muszą o to walczyć. Dlatego Ravachol, którego rozumieli, stał się popularnym bohaterem i śpiewano o nim pieśni na ulicach. Od rzezi z okresu Komuny proletariat francuski nie mógł się podnieść; zamachy anarchistów postawiły go na nogi. Robotnicy zrozumieli, że siła ich leży w zbiorowym działaniu i w 1895, w rok zaledwie po ostatnim *attentat*, utworzona została Confédération Générale de Travail (CGT), Powszechna Federacja Pracy.

Przyciągała ona anarchistów, zniechęconych tkwiącym w ich własnej ideologii paradoksem. Jedni po drugich przechodzili do związków zawodowych, wnosząc tyle ze swojej doktryny, ile dało się zastosować. To połączenie anarchistycznej teorii i praktyki związków zawodowych przybrało postać zwaną syndykalizmem, od słowa *syndic at*, oznaczającego w języku francuskim związek zawodowy. Anarchizm francuski rozwijał się w tej zmienionej formie w latach 1895-1914, choć stronili od niego anarchiści „czystej” odmiany, jak Jean Grave.

Dogmatem syndykalizmu stało się bezpośrednie działanie poprzez strajk powszechny, a za nowego proroka uznano Georges'a Sorela. Pod jego banderą strajk powszechny zastąpić miał propagandę czynu. Sorel twierdził, że obalenie kapitalizmu będzie mogło nastąpić wtedy, kiedy w klasie robotniczej rozwinię się chęć władzy. Zastosowanie gwałtu miało być środkiem do podsycania i ćwiczenia rewolucyjnej woli. Syndykaliści nadal nie cierpieli państwa i wszystkich, którzy, jak socjaliści, chcieli z nim współpracować; podobnie jak ich anarchistyczni poprzednicy, nie uznawali połowicznych, reformistycznych środków. Wszystkim był strajk, strajk powszechny, nic, tylko strajk. Pozostał szkielet dawnego ruchu, zniknęło jednak coś z ducha anarchizmu: jego szalona, cudowna niezależność.

W Hiszpanii cykl zamachów i represji wcale się jeszcze nie kończył. 7 czerwca 1896 roku w czasie uroczystości Bożego Ciała w Barcelonie rzucono

bombę w sam środek religijnej procesji, kiedy wchodziła w drzwi kościoła z biskupem i generałem, Komendantem Barcelony na czele. Przedstawiciele Kościoła i armii, w których bomba była wycelowana, uniknęli obrażeń, lecz jedenaście osób zostało zabitych, a czterdzieści rannych, przy czym zapanowała panika i lała się krew, podobnie jak podczas masakry w operze przed trzema laty. Anarchistom udało się wprawić w przerażenie cały kraj z wyjątkiem jego premiera, Antonia Canovasa, który nie należał do ludzi dających się zastraszyć.

Canovas, powołany w roku 1895 po raz piąty na stanowisko premiera, był człowiekiem „skromnego pochodzenia”, jak to wówczas określano; zaczął jako inżynier, dziennikarz, a następnie poprzez pracę w dyplomacji i wybory do Kortezów wzniósł się na najwyższą pozycję w Partii Konserwatywnej. Swoją działalnością polityczną przyczynił się do przywrócenia korony w roku 1874. Oprócz czynnego uprawiania polityki zajmował się pisaniem poezji i krytyk literackich, był autorem życiorysu Calderona i dziesięciotomowej historii Hiszpanii oraz prezesem Królewskiej Akademii Historii. Kolekcjonował obrazy, rzadką porcelanę, stare monety i laski, mieszkał w pełnym przepychu pałacu w Madrycie, ubierał się zawsze na czarno i — podobnie jak Frick — nie uznawał klejnotów, nie chcąc, aby „narzucały swą wulgarność” jego osobie. Niezależnie od tego, że republikanie uważali go za reakcjonistę, a inni za najzdolniejszego męża stanu swojej epoki, wszyscy przyznawali, że tylko on potrafi utrzymać jedność Partii Konserwatywnej i zachować Kubę dla Hiszpanii. Opracował wprawdzie plan autonomii kubańskiej, lecz równocześnie wysłał generała Weylera, aby zgniótł *insurrectos*, w przeciwieństwie do swych liberalnych poprzedników był zwolennikiem silnej ręki i surowych środków, co zaczynało już dawać wyniki. Canovas nie miał żadnych skrupułów postępując bezwzględnie z anarchistami.

Za jego aprobatą rozpoczęły się znów masowe aresztowania. Uwięziono ponad czterysta osób, przy czym rząd jak zwykle chwycił się pretekstów w postępowaniu przeciw każdemu i przeciw wszystkim wrogom ustroju, czy byli to anarchiści, czy antyklerykałowie, czy katalońscy republikanie. Dały się znów słyszeć jęki więźniów torturowanych w twierdzy Montjuich, a w ślad za nimi przerażające wieści, że prokurator generalny będzie domagał się kary śmierci dla dwudziestu ośmiu spośród osiemdziesięciu czterech oskarżonych, mających stanąć przed sądem wojennym. Wynikało to z

uchwalonej przez Kortezy po wybuchu w operze ustawy, w myśl której wszystkie zbrodnie popełnione środkami wybuchowymi podlegały sądowi wojennemu, a dla winnych przewidziana była kara śmierci. Karę dożywotniego więzienia wymierzano osobom winnym namawiania do gwałtu w przemówieniach, artykułach lub obrazach. Rozprawa odbywała się za kamiennymi murami Montjuich, gdzie dopuszczano jedynie personel wojskowy. Ogłaszano tylko wyroki: ośmiu skazanych na śmierć — czterem z nich zawieszono wyrok, czterech stracono. Siedemdziesięciu sześciu oskarżonych otrzymało wyroki od ośmiu do dziewiętnastu lat, przy czym sześćdziesięciu jeden z nich zostało wysłanych do kolonii karnej w Rio de Oro, hiszpańskiej Diabelskiej Wyspie.

Równocześnie świat zewnętrzny dowiedział się z pierwszej ręki o torturach zadawanych w Montjuich więźniom z 1893 roku. Tarrida del Marmol, pochodzący ze znakomitej rodziny katalońskiej, dyrektor Akademii Politechnicznej w Barcelonie, został aresztowany za swoje liberalne poglądy; jego relacja, opublikowana w 1897 roku w Paryżu pod tytułem *Les Inquisiteurs de l'Espagne*, wywołała pełen oburzenia protest. Relacja ta zawierała pośmiertne wołanie o pomoc w postaci listu współwięźnia, napisanego przed egzekucją i skierowanego do „Wszystkich dobrych ludzi na świecie”. Opisywał, jak zabrano go w nocy z celi na nadbrzeżną skałę, gdzie strażnicy nabili swe karabiny i grozili, że go zastrzelą, jeśli nie powie wszystkiego, co porucznik kazał mu powiedzieć. Kiedy odmówił, skrecono mu genitalia, a później, po powrocie do więzienia, powtórzono tę torturę, podczas gdy wisiał przez dziesięć godzin na drzwiach celi. Następnie zmuszono go do chodzenia bez przerwy przez pięć dni. „W końcu zeznałem wszystko, czego chcieli, i w mej słabości i tchórzostwie podpisałem tę deklarację”.

Nieco później, w sierpniu 1897 roku, premier Canovas pojechał na letnie wakacje do Santa Agueda, miejscowości klimatycznej w górach baskijskich. Tam podczas spokojnego pobytu zauważył w hotelu jasnowłosego, dobrze wychowanego gościa, mówiącego po hiszpańsku z włoskim akcentem, który kilkakrotnie grzecznie mu się uklonił. Canovas zapytał swego sekretarza, czy wie, kim jest ten dziwny młody człowiek, i dowiedział się, że jest on zarejestrowany jako korespondent włoskiego dziennika „Il Popolo”. Pewnego przedpołudnia, kiedy premier siedział z żoną na tarasie czytając gazetę, zjawił się nagle młody Włoch, wyciągnął z kieszeni rewolwer i z odległości

trzech jardów strzelił trzykrotnie do Canovasa, zabijając go na miejscu. Pani Canovas, w ataku wściekłości i rozpaczy, rzuciła się na mężczyznę, trzymającego jeszcze rewolwer w ręce, i uderzyła go w twarz, krzyząc: „Morderca, zbrodniarz! „ „Nie jestem mordercą — odpowiedział Włoch surowo. — Jestem mścicielem moich towarzyszy, anarchistów. Nie mam z panią nic wspólnego”

Podczas aresztowania i przesłuchania okazało się, że nazywał się naprawdę Michel Angiolillo. Kiedy był we włoskim wojsku, musiał odsłużyć trzy okresy w batalionie dyscyplinarnym za niesubordynację. Po zwolnieniu z wojska został drukarzem; zawód ten wykazywał pewne powinowactwo z anarchizmem albo dlatego, że anarchiści szukali kontaktu z drukowanym słowem, albo dlatego, że kontakt z drukowanym słowem prowadził do anarchizmu. W każdym razie Angiolillo został wkrótce skazany na osiem miesięcy więzienia za drukowanie wywrotowej literatury. W 1895 roku po nieudanej próbie założenia wspólnie z włoskimi towarzyszami anarchistami tajnej drukarni w Marsylii pojechał do Barcelony i opuścił ją po eksplozji w dzień Bożego Ciała. Udał się do Belgii, potem do Londynu, gdzie nabył rewolwer z zamiarem zabicia hiszpańskiego premiera za to, że „zarządził masowe tortury i egzekucje anarchistów”. Wrócił do Hiszpanii, chodził za Canovasem w Madrycie, lecz nie nadarzyła mu się odpowiednia sposobność, pojechał więc za nim do Santa Agueda i tam znalazł właściwą okazję. W tydzień później w czasie rozprawy w sądzie wojennym próbował wyłożyć swoje anarchistyczne zasady, a kiedy sąd go uciszył, zawołał: „Muszę się usprawiedliwić”, lecz nie pozwolono mu mówić. Przy egzekucji garotą odmówił religijnego obrządku i zachował niewzruszoną zimną krew.

Europejska prasa w rozgorączkowaniu domagała się zbiorowego wysiłku celem poskromienia „wściekłych psów” anarchizmu. Panowało przeświadczenie, że strata człowieka takiego kalibru, jak Canovas, mogła mieć poważne skutki dla Hiszpanii, a nawet, jak przepowiadało pismo „Nation” w Nowym Jorku, mogła stać się „katastrofą narodową”. Jego śmierć okazała się rzeczywiście jednym z tych wypadków, które nadają decydujący impuls biegowi rzeczy. Kiedy zabrakło Canovasa, liberałom udało się dojść do władzy, ale wkrótce zmusiły ich do wycofania się dzikie krzyki oburzenia przeciwko „rzeźnikowi” Weylerowi, które wywołane przez Hearsta rozległy się wówczas ze Stanów Zjednoczonych. Generał Weyler został odwołany właśnie wtedy, gdy był już bliski przywrócenia porządku;

powstanie kubańskie wybuchło na nowo, dając imperialistom w Stanach Zjednoczonych pretekst do wojny wywołanej z większą premedytacją niż wszystkie inne wojny w tym stuleciu. Gdyby Canovas żył, nie istniałby taki pretekst.

Jego śmierć miała uzasadnienie; nie miały żadnego uzasadnienia dwa zabójstwa z trzech, jakie nastąpiły w przeciągu następnych trzech lat. Były one po części następstwem anarchistycznej propagandy, która podsunęła taką myśl, lecz w jeszcze większym stopniu wynikały z powszechnego podniecenia czynami anarchistów, z atmosfery wróżącej zamachowcom sławę bohaterów i działającej jak toksyna na niezrównoważone umysły.

Pierwsza śmierć, zadana sztyletem, miała miejsce 10 września 1898 roku przy Quai Mont Blanc w Genewie, obok kursującego po jeziorze parowca. Zetknęły się tam w śmiertelnym spotkaniu, bezsensownym jak uderzenie pioruna w małe dziecko, dwie osoby tak z sobą nie związane, znajdujące się tak daleko od siebie w rzeczywistym świecie, że ich zbliżenie mogło nastąpić tylko w jednej chwili szaleństwa. Jedną z tych osób była cesarzowa austriacka Elżbieta, żona cesarza Franciszka Józefa, drugą Luigi Lucheni, wędrowny włoski robotnik.

Elżbieta, najpiękniejsza i najsmutniejsza ze wszystkich panujących głów w Europie, wydana za mąż i ukoronowana, kiedy miała szesnaście lat, jako kobieta sześćdziesięcioletnia wciąż jeszcze wędrowała z miejsca na miejsce w wiecznym niepokoju uciekając przed samą sobą. Znana była ze swej urody, długich złotobrazowych włosów, smukłej, eleganckiej sylwetki i płynnych ruchów; mówiono o niej, że w momentach błyskotliwego humoru jest „wcieleniem wdzięku”; cierpiała jednak także na „ból głowy w czasie przyjęć dworskich”, a kiedy występowała publicznie, musiała zasłaniać twarz wachlarzem. Carmen Sylva, królowa rumuńska, pisała o niej, że jest to „dziecię wrózek, z ukrytymi skrzydełkami; odlatuje zawsze, gdy świat okazuje się nie do zniesienia”. Pisała smutne, romantyczne wiersze i doczekała się śmierci syna, który odebrał sobie życie w najbardziej melodramatyczny sposób w całym stuleciu. Jej najbliższy kuzyn, król bawarski, utopił się w stanie oblędu, brat męża, Maksymilian, został rozstrzelany w Meksyku, siostra zginęła w pożarze w Paryżu podczas dobroczynej wenty. „Odczuwam tak dotkliwie ciężar życia — pisała do swej córki — że przypomina to często fizyczny ból; wolałabym umrzeć”. Wyruszyła nagle do Anglii lub Irlandii, gdzie spędzała dłuższy czas na

polowaniach, jeżdżąc wariacko na koniu i skacząc przez karkołomne przeszkody. W Wiedniu brała lekcje najniebezpieczniejszych jeździeckich trików cyrkowych. Okresami stosowała surową dietę, ograniczając swoje pożywienie do jednej pomarańczy lub szklanki mleka dziennie, a kiedy zdrowie nie pozwalało jej już na polowania, chodziła po sześć lub osiem godzin bez przerwy, tak szybko, że nikt nie mógł jej dotrzymać kroku. Widać było, czego szuka: „Tęsknię za śmiercią”, pisała do swej córki na cztery miesiące przed przyjazdem do Genewy.

9 września zwiedziła willę baronowej Adolfowej de Rothschild na wybrzeżu jeziora, baśniowy zaczarowany świat, gdzie oswojone miniaturowe jeżozwierze z Jawy i ptaki o egzotycznych barwach zdobiły prywatny park i gdzie rosły libańskie cedry. Kiedy następnego ranka wyszła z hotelu, aby wsiąść na parowiec, Włoch Lucheni czekał na ulicy.

Przyjechał z Lozanny, gdzie go zgłoszono policji jako podejrzanego osobnika. Sanitariusz w szpitalu, do którego został zabrany po wypadku przy pracy na budowie, znalazł wśród jego rzeczy notatnik z anarchistycznymi pieśniami oraz rysunek maczugi zatytułowany „Anarchia”, a pod nim, po włosku, „Dla Umberta I”. Policja szwajcarska, przyzwyczajona do wszelkiego rodzaju dziwaków, radykałów i emigrantów, nie uważała tego za przyczynę wystarczającą do aresztowania go czy śledzenia.

Lucheni opowiadał sanitariuszowi w szpitalu, że jego matka jako osiemnastoletnia dziewczyna w ciąży wyjechała do Paryża, aby urodzić nieślubne dziecko wśród milionów anonimowych mieszkańców wielkiego miasta. Potem mogła już wrócić do Włoch; zostawiła swoje dziecko w przytułku w Parmie, a sama zniknęła udając się do Ameryki.

Mając dziewięć lat chłopiec pracował ciężko jako robotnik na kolejach włoskich. Później, kiedy jako poborowy służył w wojsku włoskim, w pułku kawalerii, dobrze się sprawował i awansował do rangi kaprała. Po zwolnieniu z wojska, w roku 1897, nie mając ani oszczędności, ani żadnych perspektyw, został służącym u swego dawnego kapitana, księcia dAragona, lecz kiedy odmówiono mu podwyżki, odszedł z gniewem. Później prosił o przyjęcie go z powrotem, lecz książę odmówił, uważając, że jest on zbyt niesubordynowany jak na domowego służącego. Lucheni, bezrobotny i rozgoryczony, zabrał się do lektury anarchistycznych pism i broszur, takich jak „L'Agitatore”, „Il Socialista”, „Avanti” i innych, których głównym

tematem była w owym czasie zgnilizna burżuazyjnego społeczeństwa, co objawiło się w sprawie Dreyfusa. Pisma te twierdziły, że Samson mógłby sam obalić państwo jednym ciosem. Lucheni, przebywający w tym czasie w Lozannie, wysyłał wycinki z tych czasopism do swoich dawnych towarzyszy z pułku kawalerii. W rozmowie ze swoim ówczesnym przyjacielem o jakimś robotniku, zabitym podczas kłótni, odezwał się: „Ach, jak bym chciał kogoś zabić. Ale musiałby to być ktoś ważny, żeby napisały o mnie gazety”. Chodził na zebrania włoskich anarchistów, którzy z zapałem dyskutowali nad projektem wstrząśnięcia światem przez jakiś wielki czyn, przy czym najchętniej wybierali na ofiarę króla Włoch, Umberta.

Gazety szwajcarskie informowały tymczasem o spodziewanym przyjeździe cesarzowej Elżbiety do Genewy. Lucheni próbował nabyć sztylet, lecz brak mu było potrzebnych dwunastu franków. Zamiast tego sporządził sztylet domowym sposobem ze starego pilnika: starannie go naostrzył i dodał rękojeść z kawałka opałowego drzewa. Kiedy cesarzowa i jej dama dworu, hrabina Sztaray, szły w kierunku Quai Mont Blanc, Lucheni stanął im na drodze. Rzucił się na nie z podniesioną ręką, przystanął i spojrzał pod parasol, aby się upewnić, że jest to cesarzowa, po czym uderzył ją w serce. Elżbieta zmarła po czterech godzinach.

W chwili, kiedy Lucheniego pochwycili dwaj żandarmi, w tym wielkim momencie jego życia, jakiś bystry przechodzień z aparatem fotograficznym zrobił mu zdjęcie. Fotografia przedstawia go idącego żwawo między żandarmami z uśmiechem zadowolenia na twarzy. Na policji chętnie opowiadał o swoich poczynaniach i przygotowaniach, a kiedy później nadeszła wiadomość, że cesarzowa zmarła, powiedział, że jest „zachwycony”. Oświadczył, że jest anarchistą, i uparcie podkreślał, że działał z własnej inicjatywy, a nie jako członek jakiegokolwiek grupy lub partii. Zapytany o powód zabicia cesarzowej, odpowiedział, że był to jego „udział w wojnie z bogatymi i wielkimi... Teraz przyjdzie kolej na Umberta”.

Z więzienia pisał listy do prezydenta Szwajcarii i do gazet, podając do wiadomości swoje credo i głosząc nadchodzący upadek państwa; podpisywał się „Luigi Lucheni, anarchista, i to jeden z najniebezpieczniejszych”. Do księżnej d'Aragona napisał: „Sprawę można porównać do sprawy Dreyfusa”. Lecz za tą biedną, szaloną megalomanią nawet u Lucheniego żarzyła się idea, bo pisał do księżnej również, że przez dwadzieścia pięć lat życia dowiedział się o świecie dosyć, aby móc stwierdzić: „nigdy w życiu nie doświadczyłem

takiego zadowolenia jak teraz... dałem światu do poznania, że już niedaleko jest godzina, kiedy nowe słońce zaświeci jednakowo wszystkim ludziom”.

Ponieważ w Genewie nie istniała kara śmierci, Lucheni został skazany na dożywotnie więzienie. Dwanaście lat później, kiedy po kłótni ze strażnikiem ukarano go osadzeniem w samotnej celi, powiesił się na swym pasku.

W następnym miesiącu po śmierci cesarzowej najbardziej ze wszystkich władców zwrócił na siebie uwagę kaiser Wilhelm II, gdyż jego podróży do Jerozolimy towarzyszył szeroki rozgłos. Policja zrobiła obławę na wszystkich znanych anarchistów na całej trasie podróży, a napięcie międzynarodowe doszło do szczytu, kiedy aresztowano w Aleksandrii włoskiego anarchistę, posiadającego dwie bomby, bilet do Hajfy i jawnie mordercze zamiary w stosunku do kajzera.” Władca ten nie miał się jednak czego obawiać, bo w jego kraju jedynymi i ostatnimi ludźmi czynu byli dwaj anarchiści, którzy próbowali zabić jego dziadka. Poza tym anarchiści niemieccy zadowalali się teorią, z wyjątkiem tych, którzy dostali się do Ameryki. Jak powiedział z pogardą Bakunin, Niemcy nie nadają się do anarchizmu, gdyż ze swoją żądzą władzy „chcą być równocześnie panami i niewolnikami, a anarchizm nie uznaje ani jednego, ani drugiego”.

Zabójcy prezydenta Francji, premiera Hiszpanii, cesarzowej austriackiej oraz niedoszły zabójca kajzera byli wszyscy Włochami. W samych Włoszech w roku 1897 anarchista kowal Pietro Acciarito usiłował zabić króla Umberta, przyskakując do niego ze sztyletem, kiedy król jechał powozem, tak samo jak Caserio skoczył na prezydenta Carnot. Król, bardziej niż Carnot wyczulony na niebezpieczeństwa stanowiska, uskoczył na bok, uniknął ciosu i mówiąc ze wzruszeniem ramion: „*Sono gli incerti del mestiere*” („Takie jest ryzyko zawodowe”), kazał woźnicy jechać dalej. Acciarito powiedział policji, że wolałby być „zarznąć tę starą małpę”, papieża Leona XIII, lecz ponieważ nie mógł dostać się do Watykanu, zdecydował się zaatakować monarchię jako kolejne zło po papieństwie.

Coraz widoczniejsza stawała się nienawiść do ukonstytuowanego społeczeństwa wrzająca wśród klas niższych, jak również bezsilność społeczeństwa w obronie przed tymi atakami. Policja, pragnąca, jak zwykle, odkryć „spisek”, aresztowała kilku rzekomych współników Acciarita, ale nie udało się udowodnić żadnemu z nich jakiegokolwiek związku z zamachowcem. Ze spiskami grup lub partii można sobie było poradzić:

zawsze istnieli szpicle. Lecz jak można było zapobiec nagłemu wyskokowi takiego samotnego tygrysa?

Problem uznano za tak poważny, że rząd włoski zwołał w Rzymie w listopadzie 1898 roku międzynarodową konferencję policji i pracowników Ministerstw Spraw Wewnętrznych, aby znaleźć jakieś rozwiązanie. Tajne posiedzenia trwały miesiąc; wynik osiągnięto tylko jeden, i to negatywny, choć godny podziwu, a mianowicie Belgia, Szwajcaria i Wielka Brytania oświadczyły, że nie zrezygnują z tradycyjnego prawa azylu i nie wyrażą zgody na wydawanie podejrzanych anarchistów na żądanie ich krajów ojczystych.

W następnym roku, 1899, doszło we Włoszech do rozruchów tzw. chlebowych; spowodowały je podatki i cło importowe nałożone na zboże, co w oczach anarchistów stanowiło jeszcze jedną formę walki państwa z biedotą. Rozruchy rozszerzały się na północ i południe mimo represji i krwawych starć między wojskiem a ludnością. W Mediolanie zbudowano barykady z przewróconych wozów tramwajowych, ludzie ciskali kamieniami w policjantów uzbrojonych w karabiny, kobiety rzuciły się przed pociągi, żeby wstrzymać przyjazd wojska, ogłoszono stan oblężenia i w całej Toskanii wprowadzono stan wojenny. Okrzyk, że wreszcie nadeszła rewolucja, sprowadził z powrotem tysiące robotników z Hiszpanii, Szwajcarii i południowej Francji, którzy chcieli wziąć w niej udział. Dopiero wysłanie do Mediolanu połowy korpusu wojska pozwoliło zapanować nad sytuacją. Zlikwidowano wszystkie socjalistyczne i rewolucyjne czasopisma. Parlament został odroczone; rządowi udało się wprawdzie przywrócić porządek, lecz jedynie powierzchowny.

W tej sytuacji na czele państwa znajdował się monarcha nieszkodliwy, o białych wąsach, pełen rycerskiego ducha, lecz nie bardziej uzdolniony do rządzenia niż wszyscy inni z dynastii sabaudzkiej. Namiętnością Umberta były konie i polowanie, zupełnie nie znał się na sztuce, którą pozostawiał patronatowi królowej, i prowadził bardzo regularny tryb życia. Wstawał co rano o szóstej, zarządzał osobiście swoim prywatnym majątkiem (dającym duże dochody, zdeponowane w Banku Anglii), odwiedzał swoje stajnie, a każdego popołudnia o tej samej godzinie jechał powozem tą samą drogą przez Villa Borghese. Co wieczór o tej samej porze odwiedzał pewną panią, której pozostał oddany przez trzydzieści lat, jeszcze z okresu przed swoim małżeństwem. 29 lipca 1900 roku w Monza, letniej rezydencji królewskiej w

pobliżu Mediolanu, rozdzielał ze swego powozu nagrody lekkoatletom i wówczas został postrzelony czterokrotnie przez mężczyznę, który wszedł na stopnie powozu i wymierzył w niego z odległości zaledwie dwu jardów. Król przez chwilę patrzył na niego z wyrzutem, po czym upadł na ramię swego adiutanta, szepnął do woźnicy „*Avanti!*” i umarł.

Zamachowca, „z dymiącą jeszcze bronią podniesioną triumfalnie w górę”, natychmiast schwymano. Został zidentyfikowany jako Gaetano Bresci, trzydziestoletni anarchista, tkacz jedwabiu, który przyjechał z Paterson, New Jersey, do Włoch z zamiarem zabicia króla. To zabójstwo było w anarchistycznej propagandzie czynu jedynym przykładem, co do którego istnieją pewne poszlaki, choć nie udowodnione, że poprzedzał je spisek.

Paterson było ośrodkiem Włochów i anarchizmu. Anarchiści z Paterson odbyli na pewno wiele zebrań i gorąco dyskutowali o czynie mającym stać się sygnałem do obalenia ciemnicy. Na pewno uważali króla Włoch za najlepszy cel, ale nie ma pewności, czy faktycznie wyciągano losy, aby wybrać osobę do dokonania czynu, jak brzmiało oskarżenie w protokole już po wypadku, czy też dyskusje pobudziły tylko Bresciego do działania na własną rękę. Dziennikarze wówczas chętnie wyobrażali sobie anarchistów ciągnących w piwnicy losy, aby wybrać zamachowca.

Pewien pełen fantazji reporter przedstawiał Bresciego jako „wyszkolonego ideologicznie” przez Malatestę, „mózg i inicjatora wszystkich spisków, które w ostatnich czasach wstrząsnęły światem, ponieważ były tak straszliwie udane”. Twierdził, że widziano Malatestę popijającego coś spokojnie we włoskim barze w Paterson, ale policja nie znalazła żadnego dowodu, że Bresci w ogóle znał Malatestę. Nabył jednak w Paterson lub otrzymał od kogoś rewolwer; w strzelaniu ćwiczył się w lesie, podczas gdy jego żona i trzyletnia córeczka zbierały w pobliżu kwiaty. Otrzymał także od towarzyszy lub uzyskał jakoś pieniądze na bilet najtańszej klasy na statek linii francuskiej i pozostało mu ich dosyć na podróż z Hawru do Włoch.

„Nie był na tyle szalony, aby się spodziewać, że po jego czynie nastąpi zmiana rządu — wyjaśniał jakiemuś reporterowi Pedro Esteve, wydawca anarchistycznej gazety w Paterson. — Ale w jaki inny sposób mógł pokazać narodowi włoskiemu, że istnieje na świecie taka siła, jak anarchia?” Esteve, człowiek sympatyczny i wykształcony, posiadający w swojej bibliotece obok

dział Emersona dzieła Jeana Grave'a, przyjmował jako rzecz zupełnie zrozumiałą, że jeden z jego czytelników wspaniałym gestem wyraża protest mas.

Towarzysze Bresciego wysłali mu do więzienia telegram gratulacyjny i nosili jego podobiznę na znaczkach w kłapie marynarki. Podczas masowego zebrania w Paterson, przy udziale ponad tysiąca osób, powtarzali, że nie było żadnego spisku. „Nie trzeba nam spisków ani przemówień — powiedział główny mówca Esteve. — Jeśli się jest anarchista, wie się, co należy robić, i robi się to samemu, z własnej woli”.

Samego Bresciego spotkał ten los co i innych, którzy służyli jako narzędzia „idei”. Ponieważ Włochy zniosły karę śmierci, został skazany na dożywotnie więzienie, w tym pierwsze siedem lat w samotnej celi. Po pierwszych kilku miesiącach odebrał sobie życie w więzieniu.

W Stanach Zjednoczonych Amerykanin polskiego pochodzenia nazwiskiem Leon Czołgosz czytał raz po raz relację gazety o zabójstwie króla Umberta. Wycinek ten brał co noc z sobą do łóżka, jak rzecz najcenniejszą. Miał w owym czasie dwadzieścia osiem lat, był mały i szczupły, o szczególnym, nieruchomym spojrzeniu jasnoniebieskich oczu. Urodzony w Stanach Zjednoczonych wkrótce po przyjeździe swoich rodziców do Ameryki, miał pięciu braci i dwie siostry i mieszkał ze swą rodziną w małej farmie w Ohio. Zdaniem swojego ojca „robił wrażenie, że jest bardziej skłonny do rozmyślań niż większość dzieci”; z powodu swego zamiłowania do lektury uchodził w rodzinie za intelektualistę. W roku 1893, kiedy miał dwadzieścia lat, w czasie strajku został zwolniony z fabryki drutu, gdzie pracował, i od tego czasu, jak twierdził jego brat, „stał się cichy i nie taki wesoły”. Nie ukoła go modlitwa ani miejscowy ksiądz, zerwał więc z Kościołem katolickim, zaczął czytać broszury wydawane przez „Wolnomyślicieli” i zainteresował się radykalizmem politycznym. Przystąpił do kółka polskich robotników, gdzie dyskutowano między innymi o socjalizmie i anarchizmie, a także, jak powiedział później, „dyskutowaliśmy o prezydentach i że są do niczego”.

W 1898 roku przeszedł jakąś nieokreśloną chorobę, po której stał się ponury i otepiały. Przestał pracować, siedział w domu, posiłki zanosił na górę, do sypialni, przebywał sam, czytał anarchistyczne pismo z Chicago „Free Society” oraz utopię Bellamy'ego *Patrząc wstecz (Looking Backward)*

i rozmyślał. Wyjeżdżał do Chicago i Cleveland, gdzie uczęszczał na zebrania anarchistów, słuchał przemówień Emmy Goldman i prowadził rozmowy z anarchistą Emilem Schillingiem; zwierzał mu się, że martwi go postępowanie armii amerykańskiej, która po uwolnieniu Filipin od Hiszpanii prowadzi teraz z Filipinami wojnę. „Nie zgadza się to z tym, czego uczy się w naszych szkołach państwowych o naszym sztandarze”, mówił Czołgosz z przygnębieniem.

Ponieważ anarchiści nie szanowali sztandarów, Schilling zaczął go podejrzewać i 1 września 1901 roku ogłosił we „Free Society” ostrzeżenie, że dziwnie się zachowujący Polak może być prowokatorem, co było dalekie od prawdy. W pięć dni później Czołgosz zjawił się w Buffalo, gdzie na Panamerykańskiej Wystawie, ustawivszy się w szeregu czekających na przyjęcie, zastrzelił prezydenta McKinleya. Po ośmiu dniach prezydent zmarł, a jego następcą został Theodore Roosevelt. W ten sposób Czołgosz, anarchista na najniższym ze wszystkich zamachowców stopniu wtajemniczenia, dokonał czynu o największych konsekwencjach.

Czołgosz pisał w swoim wyznaniu: „Zabiłem prezydenta, spełniając w ten sposób mój obowiązek”, a później dodał: „ponieważ był on wrogiem dobrych ludzi pracy”. Powiedział reporterom, że słuchał odczytów Emmy Goldman i jej pogląd, „że wszyscy władcy powinni zostać zgładzeni... wywołał u mnie tyle myśli, że głowa omal nie pękła mi z bólu”. Mówił też: „McKinley wędrował po kraju krzycząc o dobrobycie, gdy w rzeczywistości nie było żadnego dobrobytu dla biednego człowieka”. I dalej: „Nie uważam, że powinniśmy mieć jakichś władców. Należy ich zabijać... Znam innych ludzi, którzy tak jak ja są przekonani, że byłoby dobrze zabić prezydenta i nie mieć żadnych władców... Nie uznaję głosowania, jest sprzeczne z moimi zasadami. Jestem anarchistą. Nie uznaję małżeństwa. Uznaję wolną miłość”.

Idea anarchizmu, wizja lepszego społeczeństwa, nie dotarła wcale do świadomości Czołgosza. Jak Caserio, prostoduszny zabójca prezydenta Carnot, należał do typu królobójców opanowanych obsesją, że misją ich jest zabicie władcy. Tak twierdził dr Walter Channing, profesor chorób umysłowych w Tufts, i syn poety Williama Ellery'ego Channinga, wkrótce po przyspieszonym procesie Czołgosza i po straceniu go na krześle elektrycznym 29 października. Nie zadowolivszy się opinią urzędowego psychiatry, sam przeprowadził badania i doszedł do wniosku, że Czołgosz popadał stopniowo w *dementia praecox* i podlegał złudzeniu

wyodrębnionemu już i opisanemu w 1890 roku przez francuskiego psychiatrę dra Emanuela Regisa. Według dra Regisa typ królobójcy skłonny jest do rozmyślań, samotności i „wszelki rozsądek, jeśli go nawet posiada, ustępuje przed chorobliwym, maniakalnym przeświadczeniem, że jest powołany do zadania wielkiego ciosu, poświęcenia swego życia dla słusznej sprawy, do zabicia króla lub dygnitarza w imię Boga, Ojczyzny, Wolności, Anarchii lub innej idei”. Charakteryzuje go premedytacja i obsesja. Nie działa nagle ani na ślepo, przeciwnie, przygotowuje wszystko starannie, sam. Jest on *solitaire* (samotnikiem). Dumny ze swej misji i ze swej roli, działa zawsze publicznie, w dzień, i nie używa nigdy broni potajemnej, jak trucizna, lecz takiej, która wymaga zastosowania przemocy osobiście. Potem nie próbuje się wymknąć, lecz manifestuje dumę ze swego czynu oraz pragnienie sławy i śmierci albo przez samobójstwo, albo przez „pośrednie samobójstwo” jako skazany męczennik.

Opis ten odpowiada rzeczywistości, lecz po to, aby iluzje zamieniły się w czyn, potrzebny jest pewien klimat protestu — i przykład. Tego właśnie dostarczyły poglądy i czyny anarchistów. W każdym okresie setka Czołgoszów przeżywa pewnie swoje jałowe, bierne życie; trzeba było całej serii czynów od Ravachola po Bresciego, aby natchnąć jednego z nich do zabicia prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Ludność ogarnęło teraz wielkie podniecenie, a ludność składała się nie tylko z bogatych, ale także z naśladowców bogaczy. Zwyczajny człowiek, drobnomieszczanin, urzędnik, solidaryzował się ze swymi pracodawcami — o czym wiedział Émile Henry, kiedy podrzucił bombę w Café Terminus. Człowiek taki uważał, że jego stopa życiowa zależy od ich dobrobytu. Gdy ten dobrobyt był zagrożony, on sam czuł się zagrożony. Odczuwał szczególne przerażenie wobec dążenia anarchistów do zniszczenia podstaw, na jakich opierało się jego życie codzienne: sztandaru, legalnej rodziny, małżeństwa, Kościoła, głosowania, prawa. Anarchista stał się wrogiem każdego. Jego ponura postać stała się synonimem wszystkiego, co nikczemne i wywrotowe, synonimem, jak pisał pewien profesor nauk politycznych w „Harper's Weekly”, „króla wszystkich anarchistów, arcybuntownika Szatana”. „Century Magazine” pisał po śmierci McKinleya, że doktryna anarchistów „zapowiada światu więcej zła niż jakakolwiek wcześniejsza koncepcja stosunków międzyludzkich”.

Nowy prezydent, człowiek o dziwnie złożonej osobowości, zdolny

zarówno do subtelnego rozumowania, odważnego czynu, jak i do największej popolitości, widział w anarchiście po prostu przestępcę, bardziej „niebezpiecznego” i „zdeprawowanego” od zwykłego kryminalisty. 3 grudnia 1901 roku Theodore Roosevelt powiedział w swoim orędziu do Kongresu: „Anarchizm jest zbrodnią przeciwko całej ludzkości i cała ludzkość powinna zespolić się przeciw anarchistom”. Nie jest on produktem niesprawiedliwości społecznej czy politycznej i jego protest w imieniu człowieka pracy jest „oburzający”. Prezydent podkreślał, że instytucje Stanów Zjednoczonych otwierają możliwości „przed każdym uczciwym i rozumnym człowiekiem pracy”. Nalegał, aby od tej chwili traktować anarchistyczne przemówienia, pisma i zebrania jako wywrotowe, aby anarchistom nie pozwolić przebywać na wolności; tych, którzy są już w kraju, powinno się deportować. Kongres powinien „absolutnie wykluczyć wszystkie osoby znane ze swych anarchistycznych przekonań lub będące członkami anarchistycznych stowarzyszeń”, a propagowanie przez nich zabijania powinno być ustawowo uznane za naruszenie prawa międzynarodowego, jak piractwo, tak aby rząd federalny był władny rozprawić się z nimi.

Po wielu dyskusjach i nie bez poważnych zastrzeżeń co do uchylenia tradycyjnego prawa wjazdu, Kongres zmienił w roku 1903 ustawę imigracyjną, pozbawiając tego prawa osoby nie uznające lub „uczące nieuznawania każdego zorganizowanego rządu albo opozycji przeciw takiemu rządowi”. Poprawka wywołała krzyki oburzenia ze strony liberałów i pełne smutku aluzje do Statuy Wolności.

Anarchizm był wprawdzie w swej istocie dualistyczny, bo nienawidził społeczeństwa, a równocześnie kochał ludzkość, lecz ludzie widzieli tylko tę pierwszą cechę. To bomby i wybuchy, strzały rewolwerowe i sztylety zrobiły na nich wrażenie. Nie wiedzieli nic o drugiej stronie anarchizmu, nadziei, że poprowadzi ludzkość przez bagno gwałtu do Rozkosznych Gór. Prasa przedstawiała im na przykład Malatestę jako złego ducha anarchizmu, „milczącego, zimnego, spiskującego”. Nie przedstawiała go jako człowieka, którego filozofia altruizmu skłoniła do oddania dwu domów odziedziczonych po rodzicach we Włoszech mieszkającym w nich lokatorom. Ponieważ ludzie nie wiedzieli także nic o teorii propagandy przez czyn, nie mogli dopatrzeć się sensu w anarchistycznych akcjach. Wydawały się bezcelowe, szalone, popełniane dla samego tylko zła. Prasa określała zazwyczaj anarchistów jako

„dzikie bestie”, „kryptoszałeńców”, degeneratów, kryminalistów, tchórzy, przestępców, „wstrętnych fanatyków, inspirowanych przez wypaczony intelekt i chorobliwe szaleństwo”. „Wściekły pies jest najbliższym w przyrodzie odpowiednikiem anarchisty”, stwierdzał dostojny miesięcznik brytyjski, „Blackwood's”. Carl Schurz zapytał po zamordowaniu Canovasa, jak można uchronić społeczeństwo przed „mieszaniną wariata i przestępcy?”

Na to pytanie nie było odpowiedzi. Wysuwano różnego rodzaju propozycje, między innymi założenia międzynarodowej kolonii karnej dla anarchistów, umieszczenia ich w szpitalach dla umysłowo chorych lub powszechnej deportacji, choć nie wyjaśniono, jaki kraj by ich przyjął, skoro wszystkie byłyby zobowiązane do ich wydalania.

A jednak niektórzy słyszeli i rozumieli krzyk protestu wydobywający się z gardła każdego anarchisty. Pośród hysterii wywołanej zamachem na McKinleya, Lyman Abbott, wydawca pisma „Outlook” i wyraziciel tradycji Nowej Anglii, z której wywodzili się zwolennicy zniesienia niewolnictwa, miał odwagę zapytać, czy nienawiść anarchistów do rządu i prawa nie wynika z faktu, że rząd i prawo działają niesprawiedliwie. Jak długo prawodawcy ustanawiać będą prawo dla niektórych klas, mówił, jak długo „będą popierać ograbianie wielu dla korzyści małej garstki, ochraniać bogatych i zapominać o biednych”, tak długo anarchizm „będzie żądał zniesienia wszystkich praw, bo widzi w prawie jedynie narzędzie niesprawiedliwości”. Przemawiając do dobrze sytuowanych panów z Klubu Dziewiętnastego Stulecia, wskazywał, że „należy zaatakować anarchizm tam, gdzie powstają urazy”. Z jego wystąpienia przebijał niepokój, jaki już znajdował wyraz w dążeniu do reform, w dobroczynnej pracy społecznej zainicjowanej przez Jane Addams w Hull House, w działalności muckrakers (rozrabiaczy), którzy za rok czy dwa zaczęli odsłaniać obszary niesprawiedliwości, zepsucia i korupcji w życiu Ameryki.

Wraz ze śmiercią McKinleya zakończył się okres anarchistycznych zamachów w demokracjach zachodnich. Nawet Aleksander Berkman w swojej celi więziennej uznał — jak pisał do Emmy Goldman — bezskuteczność indywidualnych aktów gwałtu, nie popartych rewolucyjnym nastawieniem proletariatu. To odstępstwo wywołało u adresatki, wciąż jeszcze wierzącej, „płacz nie do opanowania” i „wstrząsnęło nią do głębi”, tak że się rozchorowała i przeleżała kilka dni. Choć ona sama miała jeszcze gorących zwolenników, zwłaszcza w prasie, która nazywała ją „królową

anarchistów”, fanatyczny anarchizm zmienił się, jak we Francji, w bardziej realistyczną walkę związków zawodowych. W Stanach Zjednoczonych byłych anarchistów wchłonęła organizacja Przemysłowych Robotników Świata (Industrial Workers of the World, IWW), założona w roku 1905; mimo to jednak w każdym kraju pozostały jeszcze jednostki nieprzejednane, samotne i wierne pierwotnym przekonaniom.

W dwóch krajach na krawędzi Europy, rządzonych despotycznie i zacofanych przemysłowo, w Hiszpanii i w Rosji, bomby i zamachy wzmogły się, gdy świat wstąpił w dwudziesty wiek. W Hiszpanii w roku 1906, kiedy rzucono bombę na króla Alfonsa i jego młodą żonę Angielkę w dzień ich ślubu, raniąc dwudziestu widzów, można się było z przerażeniem przekonać, jak głębokie są złoza nienawiści, które mogły skłonić do takiego czynu. Klasa rządząca odwzajemniała się taką samą nienawiścią; i tak w roku 1909, po nieudanym buncie w Barcelonie, zwanym „Czerwonym Tygodniem”, rząd dokonał egzekucji na Francisco Ferrerze, mimo że nie należał on wcale do prawdziwych anarchistów, choć propagował poglądy radykalne i antyklerykalne. Sprawa ta wywołała burzę protestów w pozostałej Europie, gdzie jak zwykle rażące gwałcenie sprawiedliwości w Hiszpanii stanowiło wentyl bezpieczeństwa dla sumienia liberałów. W 1912 roku anarchista hiszpański Manuel Pardo skradał się za premierem José Canelajaseм po ulicach Madrytu i postrzelił go śmiertelnie z tyłu, kiedy tamten oglądał wystawę księgarni w Puerta del Sol. Nie był to trafny wybór, bo Canelajas, powołany na stanowisko po śmierci Ferrery, próbował nieco zreformować nieograniczoną władzę Kościoła i magnatów; zamach ten dowodził jednak, że anarchistów hiszpańskich pobudzało w nieustającej walce przeciw społeczeństwu — jak pisał Shaw — „sumienie wstrząśnięte ponad granice wytrzymałości.

W Rosji istniała od dawna głęboko zakorzeniona tradycja rewolucyjna, naznaczona zarówno rozpaczą, jak nadzieją. Każde pokolenie wydawało nowych bojowników w długotrwałej wojnie między buntownikami a despotą. W 1887 roku, kiedy powieszono pięciu studentów uniwersytetu za usiłowanie zabicia za pomocą bomby Aleksandra III. Ich przywódca, Aleksander Uljanow, uzasadniał w swoim procesie stosowanie terroru jako jedynej możliwej metody w państwie policyjnym. Miał rodzeństwo, trzech braci i trzy siostry

— wszyscy rewolucjoniści; młodszy jego brat, Włodzimierz Iljicz, zaprzysiągł zemstę, zmienił nazwisko na Lenin i rozpoczął walkę o rewolucję.

W latach dziewięćdziesiątych wzrastający niepokój pozwalał rewolucjonistom przypuszczać, że dojrzeła pora odpowiednia do powstania. Nowy car był autokratą o słabym charakterze, to jest najniebezpieczniejszym rodzajem władcy; rozpoczął on swoje panowanie w roku 1895 jako Mikołaj II, odrzucił kategorycznie wszelkie propozycje konstytucji jako „bezsensowne marzenia” i wywołał przez to rozpacz demokratów, a radość ekstremistów. W miastach raz po raz strajkowali robotnicy, zatrudnieni w nowo powstałym przemyśle. Zbliżający się moment końca stulecia wywierał na wszystkich tajemniczy, nieuchwytny wpływ, jak księżyc na przypiły morza. Panowało przeświadczenie końca czegoś i początku „okresu przełomowego”.

Wszystkie grupy niezadowolonych czuły potrzebę przygotowania się do okresu czynu, skupiały swe siły w partiach i ustalały programy. Istniał jednak konflikt między zwolennikami marksizmu, z właściwym im upartym podkreśleniem konieczności organizacji i szkolenia, a tradycją narodników, którzy wierzyli w spontaniczną rewolucję, wywołaną jakimś terrorystycznym czynem. W końcu, w latach 1897 i 1898, uformowały się dwie partie: z jednej strony marksistowska Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza Rosji, z drugiej narodnicka partia socjalistów-rewolucjonistów, których różne grupy połączyły się ostatecznie w jedną partię w 1901.

Socjaliści-rewolucjoniści tym różnili się od anarchistów pełnej krwi, że uznawali organizację partyjną — podzielali jednak przekonania anarchistów, że terrorystyczne czyny mogą przyspieszyć rewolucję. Podobnie jak anarchiści, wyobrażali sobie rewolucję jako wschód słońca na horyzoncie, pod którego łaskawymi promieniami przyszłość sama się ułoży. Powszechnie identyfikowanie anarchistów z Rosjanami wywodzi się stąd, że stale posługiwali się bombą, która od czasu zabójstwa cara w 1881 uchodziła za specyficznie rosyjski rodzaj broni, a także z nieświadomego stosowania sylogizmu: Rosjanie byli rewolucjonistami, anarchiści byli rewolucjonistami, zatem anarchiści byli Rosjanami. W Rosji istniały tylko niewielkie grupy ortodoksyjnych anarchistów, publikujące w języku rosyjskim gazety w Genewie i czerpiące natchnienie z pism Kropotkina; nie były one tam jednak znaczącą siłą.

W 1902 roku Maksym Gorki wyraził w *Na dnie* całą niedolę, rozpacz i beznadziejność Rosji. Zapytany: „Po co ludzie żyją na świecie”, pijany szuler w sztuce woła: „żeby było lepiej... żeby było lepiej i szukając słów, znaczenia, filozofii, umie tylko powtórzyć: dla lepszej przyszłości”. W dążeniu do tego celu, w latach 1901-1903 organizacja bojowa socjalistów-rewolucjonistów zabiła ministra oświaty Bogolepowa; ministra spraw wewnętrznych Sipiagina, któremu podlegała tajna policja; gubernatora Ufy, Bogdanowicza, który ze szczególną brutalnością zmiażdżył strajk górników na Uralu. 15 lipca 1904 roku, w czasie wojny rosyjsko-japońskiej, terroryści ci zgładzili następnego ministra spraw wewnętrznych, Wiaczesława Plehwego, najbardziej znienawidzonego człowieka w Rosji. Plehwe, ultrareakcjonista, był przeświadczony, jeśli to możliwe, silniej jeszcze niż car, że należy utrzymać autokrację nienaruszoną przez najmniejsze nawet ustępstwo na rzecz procesu demokratyzacji. Jedyłą jego polityką było miażdżenie w zarodku wszelkiej niechęci do reżimu. Aresztował rewolucjonistów, poskramiał ortodoksyjnych „starowierów”, ograniczał ziemstwa, gnębił Żydów, rusyfikował przymusowo Polaków, Finów, Ormian i w rezultacie pomnożył wrogów caratu i przekonał ich o konieczności rozstrzygającej zmiany.

Dla odwrócenia powszechnego niezadowolenia stosował najchętniej metodę, którą w rozmowie określił słowami: „Musimy utopić rewolucję w krwi żydowskiej”. W czasie Paschy w 1903 roku Rosjanie w Kiszyniowie, podnieceni przez jego agentów i obserwowani z tolerancją przez policję, wpadli w szał okrucieństwa wobec wieczystego kozła ofiarnego — zabijali i bili, palili i plądrowali domy i sklepy, bezczęścili synagogi, wydarli świętą Torę z rąk siwobrodego rabina, a jego samego, przerażonego widokiem plugawienia jej przez ludzi innej wiary, zatłukli na śmierć pałkami i butami. Pogrom w Kiszyniowie nie tylko odbił się echem w świecie, lecz także poruszył do głębi przywódcę organizacji bojowej Jewna Azefa, będącego równocześnie agentem tajnej policji i w dodatku — Żydem. Azef postarał się, aby nie wyszła na jaw informacja o planowanym zamachu na Plehwego i zamach ten w swoim czasie został dokonany. Zrobiło to w Rosji olbrzymie wrażenie, jako straszny cios zadany systemowi, którego Plehwe był wcieleniem. Wydawało się to wszystkim tak groźne, że następca Plehwego, książę Swiatopołk-Mirski, zabójcę skazał na dożywotnią katorgę na Syberii zamiast na śmierć, w nadziei, że łagodnym postępowaniem da się coś zdziałać.

Sześć miesięcy później, w styczniu 1905 roku, przed Pałacem Zimowym doszło do masakry, znanej jako „Krwawa Niedziela”, kiedy to wojsko strzelało do robotników, którzy przyszedli do cara z petycją w sprawie konstytucji. Około tysiąca osób zostało zabitych. Terrorysty planowali teraz zabicie cara i jego stryjów, wielkiego księcia Włodzimierza, uważanego za odpowiedzialnego za masakrę, i wielkiego księcia Sergiusza, o którym mówiono, że miał największy ze wszystkich wpływ na cara. Jako generał-gubemator Moskwy Sergiusz znany był ze swej wyjątkowej brutalności, z kapryśnego i władczego usposobienia, z bezgranicznego autokratyzmu graniczącego z obłąkaniem. Zdaniem pewnego angielskiego obserwatora, „wyróżniał się swym okrucieństwem i znany był nawet wśród arystokracji rosyjskiej ze swych dziwacznych występków”. Ażef, choć na usługach policji, musiał zapewnić organizacji bojowej tyle sukcesów, żeby ją zadowolić i utrzymać swoją pozycję, bez której byłby dużo mniej wart dla policji. W lutym 1905 roku Sergiusz został zabity wybuchem bomby rzuconej przez młodego rewolucjonistę Kaliajewa; zamachowiec w niebieskiej marynarce i czerwonym szaliku stał żywy wśród szczątków, z twarzą zakrwawioną, lecz poza tym nie zraniony. Z wielkiego księcia, jego powozu i koni została tylko „bezkształtna masa odłamków, wysokości ośmiu lub dziesięciu cali”. Tego wieczoru, gdy car dowiedział się o tym, zszedł na obiad jak zwykle i nie wspominał o morderstwie, lecz, jak twierdził jeden z obecnych wówczas gości, „po obiedzie car i jego szwagier zabawiali się starając się nawzajem zepchnąć z długiej, wąskiej sofy”.

Podczas procesu w kwietniu 1905 roku Kaliajew, chudy, wynędzniały, z zapadniętymi oczyma, powiedział do sędziów: „Jesteśmy dwoma wojującymi obozami... dwoma światami w ostrym starciu. Wy, przedstawiciele kapitału i ucisku, ja, jeden z mścicieli narodu”. Na zewnątrz Rosja znajdowała się wtedy w trakcie wojny z Japończykami, wewnątrz przeciw własnemu narodowi, jawnie się buntującemu. „Co to wszystko znaczy? To wyrok wydany na was przez historię”. Kiedy ogłoszono wyrok śmierci, Kaliajew powiedział, że spodziewa się, że jego kaci będą mieli odwagę dokonać egzekucji publicznie. „Nauczcie się patrzeć prosto w oczy zbliżającej się rewolucji”, powiedział sądowi. Ale powieszono go, ubranego na czarno, po północy na dziedzińcu więziennym i pogrzebano pod więziennym murem.

W październiku nadeszła rewolucja; propaganda czynu w postaci zabójstwa Plehwego i wielkiego księcia Sergiusza przyczyniła się do

podniecenia nastrojów mas aż po wywołanie powstania. Nie organizowana i nie kierowana przez socjalistów-rewolucjonistów ani przez socjaldemokratów, ani przez anarchistów, była to spontaniczna rewolucja, w którą wierzył Bakunin, lecz której nie doczekał. Zgodnie z teorią syndykalistów zrodziła się z generalnego strajku robotników i z chwilą gdy pierwszy przyływ strachu ogarnął reżim, udało się jej uzyskać konstytucję i Dumę. Wprawdzie zdobycze te zostały później odebrane, a kiedy reżim odzyskał odwagę, rewolucja bezlitośnie zmiądzona, dodała ona jednak syndykalistom wiary w „bezpośrednią akcję” poprzez strajk generalny i spowodowała, że coraz więcej anarchistów przechodziło do związków robotników przemysłowych. W Rosji organizacja bojowa dokonała jeszcze kilku zabójstw, nim się rozpadła po wstrząsie wywołanym zdemaskowaniem Azefa w roku 1908. Kiedy w 1911 roku zamordowany został premier Stołypin, na wpół szalony świat z okresu zmierzchu Romanowów pograżył się w takim mroku, że nigdy się nie wyjaśniło, czy zabójcy byli prawdziwymi rewolucjonistami, czy też agentami policji.

Anarchizm mimo samoograniczenia swoich czynów, mimo fantastyczności swoich marzeń straszliwie udramatyzował wojnę między dwoma obozami społeczeństwa, między światem przywileju a światem protestu. W pierwszym przez wstrząs obudził sumienie społeczne; w drugim, przeistoczywszy się w syndykalizm, nadał walce zorganizowanego świata pracy o władzę swoje cechy gwałtu i ekstremizmu. Idea anarchizmu pociągała ludzi, lecz ze względu na tkwiący w niej paradoks nie mogła połączyć ich w grupę zdolną do zgodnego działania. Był to ostatni krzyk indywidualnego człowieka, ostatni ruch wśród mas na rzecz wolności indywidualnej, ostatnia nadzieja na swobodne życie, ostatnia pięść podniesiona w górę przeciw wkraczającemu państwu, nim państwo, partia, związek, organizacja zamknęły swe okrażenie.

III. KONIEC MITU

Stany Zjednoczone 1890-1902

W Stanach Zjednoczonych podczas otwarcia Kongresu w styczniu 1890 roku obrady prowadził nowo wybrany przewodniczący Izby Reprezentantów. Olbrzymiej postaci, wzrostu sześć stóp trzy cale, wagi blisko trzystu funtów, cały w czerni, „z ogromną, gładko wygoloną dziecinną twarzą wznoszącą się nad kołnierzykiem jak melon wykwitający z grubej, czarnej łodygi, nadawał się na model dla jakiegoś Fransa Halsa, a jego długie, białe palce urzekłyby na pewno jakiegoś Memlinga”. Mówił powoli, przeciągając, z rozkoszą dorzucał chłodne perły sarkazmu do mocno podgrzanej retoryki i wsłuchiwał się w powstały przy tym syk z niewzruszoną powagą Buddy z Nowej Anglii. Kiedy wieloletni poseł, gadatliwy Springer z Illinois, oznajmił z emfazą Izbie, że ważniejsze dla niego jest mieć słusność niż zostać prezydentem, przewodniczący wtrącił: „Ten szanowny pan nie ma powodu do niepokoju; nie grozi mu nigdy ani jedno, ani drugie”. Kiedy inny poseł, znany z niedowarzonych poglądów i niezdecydowania, zaczął swoje uwagi od słów: „Myślałem, panie przewodniczący, myślałem...”, wyraził nadzieję, „że nikt nie przerwie nowego zajęcia szanownego pana”.

O dwóch szczególnie nieudolnych mówcach powiedział, że „ilekroć otwierają usta, odejmują coś od sumy ludzkiej wiedzy”. Opowiadano o nim, że woli powiedzieć aforyzm niż zyskać przyjaciela. Jednak wśród elity wybranych przyjaciół znany był jako „jeden z najweselszych ludzi, ten, który wnosi życie do każdego zebrania towarzyskiego”, z którym rozmowa, „tryskająca życzliwością, lepsza jest od najlepszego szampana”. Był to Thomas B. Reed, republikanin z Maine, lat pięćdziesiąt.

Po czternastu latach w Kongresie uważano go już za „najbardziej utalentowanego mówcę we współczesnej Ameryce”, a przed zakończeniem sesji nazwano go „największym przywódcą parlamentarnym jego epoki... niewątpliwie najznakomitszą postacią w polityce amerykańskiej”.

Choć ród Reeda sięgał korzeniami początków Nowej Anglii, do kariery

politycznej nie przygotowały go ani odziedziczony majątek, ani pozycja społeczna, ani posiadłości ziemskie. W Ameryce politycy nie wykorzystywali tych atrybutów, a ludzie, którzy je posiadali, nie zajmowali się polityką. Dawno osiadłe, dobrze sytuowane rodziny nie brały na swe barki odpowiedzialności rządu, przeciwnie, unikały jej. Starszy brat Henry'ego Adamsa, John, „uważany za najzdolniejszego z rodziny i za najpewniejszego kandydata na wysokie stanowisko”, zrobił majątek w spółce kolejowej Union Pacific Railroads i „wycofał się” z rządu, jak twierdził jego brat. „Miał wszystko, czego chciał, majątek, dzieci, towarzystwo, poważanie; śmiał się na myśl, że miałby poświęcić się, by zdobyć jakiś gabinet w Cleveland lub zasłużyć na oklaski tłumu Irlandczyków”. Nie tylko stara rodzina Adamsów zajmowała takie stanowisko. Kiedy młody Theodore Roosevelt w 1880 roku oznajmił, że ma zamiar poświęcić się polityce, wyśmiali go „ludzie prowadzący kulturalne i łatwe życie”; powiedzieli mu, że polityka jest „wulgarna” i zajmują się nią „szynkarze, woźnice i tym podobni”, którzy są „nieokrzesani, brutalni, nieprzyjemni w kontaktach”.

To, że bogacze zrzekli się udziału w rządzie, było wynikiem powodzenia amerykańskiej rewolucji i porażki Hamiltona, który chciał zorganizować państwo zgodnie z interesami klasy rządzącej. Zwyciężyły zasady Jeffersona i demokracja Jacksona. Wprawdzie większość twórców *Deklaracji* i jej sygnatariuszy stanowili ludzie posiadający majątki i stanowiska, to jednak samo powodzenie ich dzieła zniechęciło w końcu przedstawicieli tej klasy do uczestniczenia w rządzeniu. Wobec przyznania wszystkim mężczyznom prawa głosu właściciele majątków stwierdzili, że przy urnach wyborczych nie mają większego znaczenia niż pospolici ludzie; ponieważ stanowili niewielką mniejszość, wycofali się z walki. Żaden prezydent, po pierwszych sześciu, nie pochodził ze świetnej, starej rodziny (chyba że można uważać za taką rodzinę Harrisonów). Wycofując się do domowego zacisza i ograniczając się do zajęć praktykowanych przez swoją klasę, rządy w coraz większym stopniu pozostawiali napierającym mocno nowicjuszom, którzy pragnęli się wybić. Stopniowo opuszczali majątki ziemskie, a całą posiadaną energię poświęcali zbijaniu pieniędzy w dziedzinie handlu i bankowości. Pierwsze upadły wielkie posiadłości należące do nowojorskich *patroons* holenderskiego pochodzenia; plantacje Południa skończyły się wraz z wojną domową; stare rodziny bostońskie pozostały nadal bogate i aktywne, ale na ogół stroniły od rządów. Wyniosły Boston, tzw. „Hub”, nie wydał żadnego prezydenta po pierwszych dwóch Adamsach. „Najbardziej wartościowa,

najbardziej umiarkowana, zdolna i kulturalna część ludności — pisał Emerson w swoim eseju o polityce — jest bojaźliwa i broni jedynie własności”.

Czterdzieści lat później Anglik James Bryce zwrócił uwagę na „apatię sfer żyjących w zbytku i ludzi wyrafinowanej inteligencji” i w dziele *The American Commonwealth* poświęcił cały rozdział zagadnieniu „Dlaczego najlepsi ludzie nie zajmują się polityką”. Nie mieli wcale poczucia, że *noblesse oblige*. „Obojętność sfer wykształconych i bogatych” wynikała częściowo, jak sądził, z braku szacunku ze strony mas. „Skoro masy nie oczekują od nich kierownictwa, oni sami z tym nie występują”.

Bez więzi z ziemią nie mogła wytworzyć się dziedziczna klasa rządząca; brak takiej klasy, zespolonej tradycyjną moralnością, spowodował, że Ameryka została wydana na pastwę różnych nieposkromionych „spekulantów” i grabieżców, hochsztaplerów, przestępców i paskarzy, a tym samym doprowadził do korupcji w polityce. Po wojnie domowej, kiedy ruszyła fala ożywionej przedsiębiorczości, Ameryka weszła w okres niesłychanej ekspansji.

W latach 1880-1900 liczba ludności powiększyła się o 50 procent, z pięćdziesięciu do siedemdziesięciu pięciu milionów. Wobec otwierających się ze wszystkich stron możliwości rząd amerykański w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych starał się głównie o zapewnienie bezpieczeństwa krajowi, a korzyści — kapitaliście. Rząd stał się płatnym agentem. Rządowe skandale i transakcje nabrały rozgłosu, co wywołało oburzenie, i ludność domagała się reform. Ale tymczasem dżentelmeni nie „raczyli zajmować się polityką”, jak wyraziła się Edith Wharton o nowojorskim „towarzystwie”. Niewielu jej przyjaciół z „najlepszego środowiska” wykorzystywało swoje zdolności, aby świadczyć usługi publiczne, do jakich się kwalifikowali. Ameryka „trwoniła tę klasę, zamiast ją spożytkować”.

Nie odgrywając żadnej roli w rządzie i nie mając oparcia w ziemi, amerykańscy bogacze łatwo wpadali w panikę. Kiedy w roku 1893 z powodu kryzysu finansowego groziła Johnowi Adamsowi utrata majątku, „zupełnie się załamał — jak pisał Henry. — Wydawało się, że zawiódł cały system nerwowy Bostonu, a on załamał się razem z gromadą innych osobistości. Nie mam najmniejszego powodu przypuszczać, że ktoś z nas jest silniejszy od

niego. Moje nerwy już od dawna są poszarpane”. Choć wielu z jego klasy wykazywało silniejszy charakter niż Adams, to daleko im było do Lewisa Morrisa, dziedzica majątku Morrisania, który napominany przez brata, aby nie podpisywał **Deklaracji niepodległości** ze względu na konsekwencje dla swego majątku, odpowiedział: „Do diabła z konsekwencjami, podaj mi pióro”.

Thomas B. Reed reprezentował pod względem charakteru, intelektu i swego rodzaju brutalnej niezależności najlepsze cechy, jakie mogły w tym okresie w Ameryce służyć polityce. Pochodził z gór w tym surowym północnym zakątku Nowej Anglii o bezkompromisowej jednozgłoskowej nazwie. Przodkowie jego żyli w Maine od dwustu lat przed jego urodzeniem, tj. przed rokiem 1839. Ze strony matki był potomkiem pasażera statku „Mayflower”, przez matkę ojca wywodził się od George'a Cleve'a, który przybył z Anglii w roku 1632, wybudował pierwszy dom białego człowieka w Maine, założył Portland Colony i został jej pierwszym gubernatorem. Pradziad Reed, ożeniony z prawnuczką Cleve'a, pochodził z rodziny rybaków i żeglarzy. Przodkowie jego i ich sąsiedzi nigdy nie posiadali większych nieruchomości ani majątku i w ciągu pokoleń starali się z wielkim trudem utrzymać osadę na skalistej ziemi, przeżyć atak Indian, odosobnienie i zimowe zasy śnieżne. Thomas Reed miał instynkt walki z przeciwnościami. Ojciec jego, kapitan małego statku przybrzeżnego, zaciągnął pożyczkę hipoteczną na dom, aby móc wysłać syna do Bowdoin. W college'u Reed zarabiał na swe utrzymanie udzielaniem lekcji, przy czym musiał codziennie odbywać pieszo sześciomilową wędrowkę z mieszkania i z powrotem. Rodziny z Portland posyłały swoich synów do Bowdoin nie po to, aby uczynić zadość towarzyskiemu zwyczajowi, lecz żeby im zapewnić solidne wykształcenie. Ponieważ większość z nich znajdowała się w podobnie ciężkiej sytuacji, semestry ułożono tak, aby studenci mogli udzielać lekcji w zimie. Reed miał początkowo zamiar poświęcić się kapłaństwu. W nocy siedząc na łóżku w swoim pokoju na strychu czytał wiele na głos wraz ze swoim przyjacielem z college'u. Po przeczytaniu takich dzieł, jak **Rewolucja Francuska** Carlyle'a, **Faust** i Werter Goethego, **Eseje** Macaulaya oraz powieści Thackeraya i Charlesa Reade'a, wyrobił sobie jednak przekonania religijne zbyt odrębne, aby dały się podporządkować oficjalnej wierze. Uzyskawszy dyplom w roku 1861, studiował prawo i udzielał lekcji za 20 dolarów miesięcznie i wyżywienie u miejscowych rodzin.

Wojna domowa wciągnęła go dopiero w roku 1864, kiedy wstąpił do marynarki i odbył na kanonierce na Missisipi niezbyt bojową służbę. Chętnie się później przyznawał, że jako oficer intendentury nigdy nie znalazł się w ogniu. Większość wspomnień wojennych otacza z czasem aura chwały i bohaterstwa: nie odnosiło się to do Reeda. „Jakie to było urocze życie za starych dobrych czasów w marynarce — mawiał, gdy inni wspominali wojnę — miałem magazyn spożywczy na kanonierce. Znałem wszystkie przepisy, a inni ich nie znali. Otrzymywałem wszystkie moje racje, a także większość przypadających innym”. Później w Kongresie miał powtórzyć tę metodę z takim samym skutkiem.

W roku 1865, kiedy został adwokatem, Reed był wysokim, silnym dwudziestopięcioletnim młodzieńcem, miał ładną, szeroką twarz o wystających kościach i gęste blond włosy. Przez dziesięć lat sprawował funkcję miejskiego radcy prawnego dla okręgu Portland, został wybrany do stanowego organu ustawodawczego, następnie do stanowego senatu, otrzymał nominację na głównego prokuratora Maine, ożenił się i utył. Miał dwoje dzieci, syna, który zmarł młodo, i córkę. Włosy mu się przeredziły omal że do łysiny, roztył się tak, że kiedy chodził ulicami Portland, wyglądał jak „ludzka fregata wśród szalup”. Milczący, niewzruszony, z wzrokiem zwróconym do wewnątrz, nie zauważał nikogo i poruszał się ociężałym, ostrożnym, kołyszącym się krokiem słońca. „Jaka wąska wydaje się przy nim ulica!”, wykrzyknął raz pewien przechodzień.

W 1876 roku trzydziestosześcioletni wówczas Reed został wybrany do Kongresu na miejsce Blaine'a, który przeszedł do Senatu. Jako członek komisji powołanej do zbadania oskarżeń demokratów o nadużycia w wyborach, w których kandydowali Hayes i Tilden, przeprowadzał badania świadków z taką prawniczą maestrią, że rozprawy ściągały liczną publiczność, i wsławił się wtedy na cały kraj. W następnych Kongresach został członkiem bardzo ważnej Komisji Prawnej i przewodniczącym Komisji Sądownictwa, przy czym na każdej sesji coraz bardziej doskonalił swoje umiejętności w zakresie obowiązującej w Izbie procedury i środków parlamentarnych. Nagromadził się zbiór przepisów, który, zdaniem jednego z kolegów, „nadawał się jak najlepiej do utrudniania ustawodawstwa” e, zbiór pełen takich „zawiłości i tajemnic” jak armamentarium średniowiecznego kabalisty. Reed wszystko to opanował. „Moim zdaniem organ parlamentarny nie miał nigdy lepiej przygotowanego przywódcy”, powiedział znajdujący się na

rzeczy obserwator, senator Henry Cabot Lodge, który przez siedem lat zasiadał z nim w Izbie. Reed znał nie tylko prawo i parlamentarną procedurę, lecz również „rozumiał jak mało kto teorię i filozofię systemu”. Świadomie lub nieświadomie przygotowywał się do tego okresu, kiedy jako przewodniczący będzie umiał przekonać Izbę, że nie ma na sali nikogo, kto mógłby z nim konkurować, jeśli chodzi o opanowanie przepisów.

Mimo to jednak trudno by mu było narzucić swój autorytet, gdyby nie był równocześnie „najświeńszym, najbardziej przekonującym dyskutantem, jakiego — jak twierdził Lodge — kiedykolwiek widziałem czy słyszałem”. Nigdy nie posłużył się niepotrzebnym słowem, nigdy nie zagubił się w składni, nigdy nie dawał się zbić z tropu, nigdy nie musiał się wycofywać ani zmieniać stanowiska. Replikował natychmiast w sposób zwięzły, dosadny, przejrzysty. Posługiwał się językiem żywym i obrazowym. „Zaledwie dość czasu, żeby dojrzały truskawki” — w ten sposób określił upływ dwu miesięcy. Wyrażał się w sposób charakterystyczny i szczególnie trafny. Podczas sporu dwóch kolegów z Izby, Berry'ego i Curtisa, który z nich jest wyższy, poprosił, żeby wstali i dali się zmierzyć. Gdy Berry powoli wyprostował się do pełnej wysokości, Reed powiedział: „Na miłość Boską, Berry, jaką część swojej osoby trzymasz w kieszeni?” Jego aforyzmy zyskały mu sławę. Jeden z nich brzmiał: „Cała mądrość świata polega na krzyczeniu z większością” a inny: „Mąż stanu to nieżyjący polityk”. W czasie mówienia rzadko robił jakiś gest. „Kiedy stał — mówił Lodge — czekając, aby przeciwnik skończył, i zajmując swoją postać całe przejście, z rękami opartymi o pulpit, z twarzą całkowicie pozbawioną wyrazu, tak jakby nie myślał o niczym, tylko słuchał przemówienia, wtedy był najbardziej niebezpieczny”. Raz, kiedy po jego ciętej replice ofiara zaniemówiła z wrażenia, Reed, rozejrzawszy się uprzejmie wkoło, nadmienił: „Zanurzywszy tę muchę w płynnym bursztynie moich uwag, będę mówił dalej”.

W okresie obowiązywania zasady „pięciu minut” przejrzystość i logika jego wypowiedzi były szczególnie cenne. „Russel — powiedział do posła z Massachusetts — nie rozumie pan teorii pięciominutowej debaty. Celem jej jest przekazanie Izbie prawdziwej lub nieprawdziwej informacji. Pan zużył dziś po południu kilka okresów pięciominutowych nie przekazując nic”.

Przekonywał opowiadając, nie perorując. Raz oddając się ulubionej zabawie, znęcaniu się nad głęboko pogardzaną drugą Izbą, opisywał wybory prezydenckie, jakie odbędą się za pięćdziesiąt lat, kiedy prezydent na

podstawie poprawki do konstytucji będzie wybierany przez senatorów, i spośród nich. „Gdy głosy zostały zebrane i rozłożone, zauważono, że sędzia najwyższy, który przewodniczył, waha się, a osoby siedzące najbliżej spostrzegły, że zbladł, jakby stało się coś niezwykłego. Wstał z wysiłkiem i donośnym głosem przez megafon, właśnie wynaleziony przez Edisona, podał tłumnie zebrany zdumiewający wynik wyborów: każdy z siedemdziesięciu sześciu senatorów otrzymał jeden głos”.

Wypowiadając się na temat przywilejów ekonomicznych w czasie debaty nad stawkami podatkowymi zauważył, że kiedy chodzi ulicami Nowego Jorku i porównuje fasady z piaskowca u bogatych kupców z niczym nie wynagradzaną pracowitością ludzi na chodniku, robi mu się słabo. „Nie odczuwam życzliwości do mieszkańców tych domów. Wiem jednak, co to jest za uczucie. Jest to poczciwa, szlachetna zazdrość. Kiedy panowie po drugiej stronie Izby mają takie samo uczucie, sądzą, że jest to ekonomia polityczna”.

Gdy po korytarzach rozchodziła się wiadomość, że Reed wstał, aby przemawiać, plotkujące grupki rozprasały się, członkowie spieszyli na miejsca, znikła nuda i obojętność, cała Izba słuchała oczekując cyzelowanej prozy, kłującego sarkazmu i błyskotliwego dowcipu. Każdy deputowany gorąco pragnął przynoszącej rozgłos dyskusji z Reedem, lecz ten nie dawał się wciągać przez „małe płotki”, czekając na przeciwników, których uznałby za godnych siebie.

Reporterzy prosili go zawsze o wypowiedzi na temat najnowszych wiadomości w nadziei, że uda im się wywołać jakiś dowcip. Nie zawsze mieli takie szczęście. Proszony o komentarz na temat orędzia papieskiego, odpowiedział: „Oniemiałem wobec przygniatającej błahości tego orędzia”. Zapytany o największy problem, przed jakim stoi naród amerykański, odrzekł: „Jak uchronić się przed rowerem”.

Po pierwszej kadencji nie kwestionowano już nigdy jego nominacji na reprezentanta Pierwszego Okręgu Maine. Jeśli chodzi o wybory, to była inna sprawa; omal ich nie przegrał w roku 1880, bo nie zgodził się na kompromis ani na wykręty w sprawie wolnego srebra, mimo silnego przywiązania do „zielonych” w Maine. Utrzymał wtedy swoje miejsce tylko 109 głosami. Kiedy jednak stał się sławny, znajdował się zazwyczaj na czele swojej listy w odbywających się co dwa lata wyborach. Nawet demokraci przyznawali, że

„potajemnie głosują na niego”. Senator Hoar z Massachusetts powiedział o nim, że „odpowiada gustom Nowej Anglii. Ludzie słuchają jego wypowiedzi w sprawach publicznych chętniej niż kogokolwiek innego, nie wyłączając Blaine'a czy McKinleya”. Działo się tak może z tej samej przyczyny, którą pewien Anglik tłumaczył tajemnicę popularności Palmerstona: „To, za co naród lubi Palmerstona, to jego «idźcie do diabła»”. Choć Reed gardził zjednywaniem stronników i unikał poufaleń się z publicznością, wśród równych mu intelektualistów „nie było nigdy miłszego towarzysza”. W małym świątku stanowiącym wówczas elitę Waszyngtonu promieniował humorem, grał w pokera, opowiadał anegdoty i był zawsze pożądanym gościem na przyjęciach. Podczas jednej z kolacji, kiedy rozmowa zeszła na temat hazardu, inny sławny gawędziarz, pan Choate z Nowego Jorku, oznajmił z pewnym namaszczeniem, że nigdy w życiu nie postawił żadnego zakładu na konia ani na kartę, ani na nic innego. „Chciałbym móc to powiedzieć o sobie”, odezwał się na serio jeden z gości. „Dlaczego pan nie może? — zapytał Reed z charakterystycznym nosowym akcentem. — Przecież Choate to powiedział”.

Kultura umysłowa przebiegała z jego rozmów towarzyskich. Do swych ulubionych poetów zaliczał Burnsa, Byrona i Tennysona, do ulubionych powieści *Targowisko próżności* Thackeraya. Czytywał zazwyczaj „Puncha” i Balzaka w oryginale; mówił o nim: „Prawie wszystkie jego książki są niewypowiedzianie smutne” Francuskiego nauczył się po czterdziestce i „dla wprawy” prowadził dziennik w tym języku. Narodowa biblioteka zawdzięcza Reedowi swoje istnienie; jego uparte starania i przekonujące argumenty przełamały wreszcie wrodzoną niechęć Izby do zapewnienia odpowiednich funduszy na Bibliotekę Kongresu.

Lodge mówił o nim: „Nie znam nikogo, kogo by się chętniej słuchało i kto byłby lepszym słuchaczem, bo ma on wiele współczucia, nieograniczone zainteresowania i nic, co ludzkie, nie jest mu obce”. Młody przyjaciel Lodge'a pisał z Nowego Jorku: „Zaprosiliśmy państwa Reedów na kolację: Tom Reed był czarujący”. Wkrótce po tym Reed, orędownik reformy administracyjnej, wystarał się temu młodzieńcowi o posadę w Waszyngtonie w Komisji Służby Państwowej, a następnie, ilekroć młody komisarz potrzebował pomocy, Reed chętnie nią służył. Później, kiedy młodzieniec z Nowego Jorku wstąpił na scenę krajową, Reed wyraził pochwałę, szczególnie godną zapamiętania: „Theodore, cechą, którą najbardziej u ciebie podziwiam,

jest twoje oryginalne odkrycie Dziesięciorga Przykazań”. Powiedział także, z daleko mniejszą dalekowzrocznością: „Theodore nigdy nie zostanie prezydentem, nie ma politycznego zaplecza”

W 1889 roku Theodore Roosevelt okazał się jednak politycznie pożyteczny dla Reeda w jego wewnątrzpartyjnym współzawodnictwie z McKinleyem, Joe Cannonem i dwoma innymi o stanowisko przewodniczącego Izby. Zarządzając farmą i polując na północnym zachodzie, Roosevelt prowadził równocześnie ostrą i skuteczną kampanię, aby cztery nowe stany, które właśnie przystąpiły do Unii — Waszyngton, Montana i obie Dakoty — wysłały na najbliższy Kongres republikanów. Po powrocie do Waszyngtonu otworzył własne biuro w hotelu „Wormley”, w pokoju od podwórza, gdzie „napędzał” nowych kongresmenów, aby głosowali na Reeda. Choć Reed, ku rozpaczy swoich zwolenników, nie chciał zdobywać głosów obietnicami stanowisk w komisjach, został jednak wybrany.

Zajmował teraz najwyższe wybieralne stanowisko obok prezydentury. „Ambitny jak Lucyfer”, zdaniem posła Champa Clarka, który znał go dobrze, nie miał zamiaru na tym poprzestać. Po objęciu stanowiska przewodniczącego Izby postanowił zrealizować plan, nad którym długo się zastanawiał nie zasięgając niczyjej rady i przy którym ryzykował swoją karierę polityczną. Zdawał sobie sprawę, że walka ściągnie na niego uwagę narodu, a jeśli przegra, będzie się musiał pożegnać z karierą w Kongresie. Stawka była wysoka: albo złamie „tyranię mniejszości”, która paraliżowała Izbę, wprowadzając ją w stan „bezsilnej głupoty”, albo zrezygnuje.

Reed postanowił rzucić wyzwanie systemowi określonymu jako milczące — lub znikające — quorum. Praktyka ta pozwalała partii mniejszościowej uniemożliwić uchwalenie niewygodnej dla niej ustawy przez niedopuszczenie do stwierdzenia wymaganego quorum, co polegało na tym, że żądano odczytania listy obecności, a kiedy wywoływano nazwiska, posłowie partii mniejszościowej milczeli. Ponieważ według przepisów obecność członka Izby mogła zostać stwierdzona tylko przez odpowiedź *viva voce* na odczytywaną listę i ponieważ do ustalenia quorum wymagana była większość całej Izby, cicha obstrukcja mogła skutecznie powstrzymać działalność Kongresu.

W ostatnich wyborach 1888 roku zwyciężyli republikanie i po raz

pierwszy od szesnastu lat ta sama partia, która sprawowała władzę wykonawczą, miała jednocześnie przewagę w Kongresie. Ale przewaga ta była minimalna. Zgorzkniały Benjamin Harrison, prezydent mniejszości, w głosowaniu powszechnym przegrał na rzecz Clevelanda i siedział na tym chwiejnym tronie, w osobliwy sposób skonstruowanym przez kolegialny system wyborczy. Większość republikanów w Izbie, 168 na 160, była krucha jak opłatek, przekraczała bowiem tylko o trzy mandaty quorum ustalone na 165. Z tą nikłą większością republikanie stali przed zadaniem wprowadzenia dwu ważnych dla partii ustaw, ustawy Mills *Bill* dotyczącej rewizji podatków i ustawy zwanej *Force Bill* przeciwko podatkowi wyborczemu i innym machinacjom Południa, mającym powstrzymać Murzynów od głosowania. Demokraci przygotowali się do zablokowania tych ustaw oraz do zapobieżenia głosowaniu w sprawie mandatów czterech republikanów — w tym dwu Murzynów — z zakwestionowanych wyborów w południowych okręgach.

Dla Reeda od sprawy tej zależało istnienie rządu opartego na zasadzie reprezentacji. Jeśliby demokraci zdołali udaremnić te ustawy, które republikanie na mocy swojego zwycięstwa wyborczego słusznie spodziewali się wprowadzić, wówczas wynik wyborów zostałby faktycznie uchylony. Uważał, że prawa mniejszości zabezpiecza swoboda dyskusji i głosowania, lecz gdy mniejszość ma możliwość udaremnienia akcji większości, „staje się tyranią” Uważał też, że zadaniem Kongresu jest nie tylko obradowanie, lecz przede wszystkim prawodawstwo. Obowiązkiem przewodniczącego Izby wobec partii i kraju było nie tylko rozstrzygnięcie debaty, lecz dopilnowanie, aby zadanie to zostało spełnione.

Funkcja przewodniczącego miała w tym czasie duże znaczenie, korzystał on bowiem jeszcze ze wszystkich uprawnień, jakie w roku 1910, w wyniku buntu przeciw Joe Cannonowi, przeszły na komisje. Przewodniczący Izby był *ex officio* przewodniczącym Komisji Ustawodawczej, gdzie członkowie, dwaj republikanie i dwaj demokraci, uchylali wzajemnie swoje decyzje, a ponieważ do jego uprawnień należało mianowanie wszystkich komisji — decyzje ustawodawcze i kariery posłów zależały od jego woli. W rękach Reeda spoczywała teraz „władza i odpowiedzialność”, a mimo znanego powiedzenia, władza nie tylko korumpuje, ale wywołuje i inne skutki: może poszerzyć orientację. Niekiedy rodzi wielkość. Urząd przewodniczącego, nazwany przez „Washington Post” „nie mniej ważnym niż prezydentura”,

może stać się odskocznią do tego najwyższego stanowiska. Reed nie należał do ludzi, którzy marnowaliby taką sposobność lub wykorzystali ją niedostatecznie.

Sam podjął decyzję zaatakowania milczącego quorum i sam zaplanował swoją kampanię, po części dlatego, że nikt inny nie uwierzyłby w jej powodzenie, jak i dlatego, że nie był pewien, czy poprze go nawet jego własna partia. Pewne oznaki wskazywały, że zabraknie mu tego poparcia. Poglądy Reeda na milczącą obstrukcję były znane, toteż nie ulegało wątpliwości, że kwestia obliczania quorum będzie poruszona w nowym Kongresie. REED BĘDZIE ICH LICZYŁ, zapowiadał tytuł w „Washington Post”, a tekst pod tym tytułem informował, że nawet Mr. Cannon, najbliższy współpracownik Reeda, jest przeciw tej próbie. Demokraci zwierali szyki do obrony. Były przewodniczący Carlisle dawał do zrozumienia, że wszelkie dekrety uchwalone przez quorum, nie ustalone w drodze „zaprotokołowanego głosu”, zostaną zaskarżone jako sprzeczne z konstytucją.

Reed upewnił się jednak, że znajdzie oparcie w prawie, a jeśli chodzi o stanowisko własnej partii, postanowił ryzykować. Trafnie przewidywał, że demokraci swoją furią sprowokują republikanów do skupienia się po jego stronie. Kiedy pierwsze z zakwestionowanych wyborów stanęły na porządku dziennym 29 stycznia, był gotów do walki. Zgodnie z przewidywaniami demokraci podnieśli krzyk, że brak quorum, i zażądali odczytania listy. Dało to 163 „tak” ze strony samych republikanów, o dwa mniej niż wymagane quorum. Nadszedł czas dla Reeda. Bez najmniejszego drgnienia na wielkiej, bladej jak księżyc twarzy — „największej twarzy ludzkiej, jaką w życiu widziałem” jak opisywał to jeden z kolegów — przeciągając słowa, jak zwykle, oznajmił: „Przewodniczący poleca protokolantowi zapisać nazwiska następujących członków, obecnych, lecz nie chcących głosować”, i sam zaczął odczytywać nazwiska. Jak pisał jeden z reporterów, natychmiast „rozgorzało istne piekło. Zerwała się wściekła burza... i chyba nigdy przedtem nie doszło do takiego dzikiego podniecenia, niesłychanego oburzenia, jadowitych złośliwości i naprawdę niebezpiecznej sytuacji, jaka panowała w Izbie przez następnych pięć dni”. Republikanie burzliwie klaskali, wszyscy demokraci „ryczeli, wrzeszczeli i walili w ławki”, a równocześnie ich przyszy przewodniczący, Crisp z Georgii, wołał grzmiącym głosem: „Apeluję, apeluję od decyzji przewodniczącego!” Jeden z członków wspominał później, że wybuch ten był „najgwałtowniejszy ze

wszystkich, jakie kiedykolwiek miały miejsce w parlamencie”. Niewzruszony, obojętny, Reed kontynuował wyliczanie, „p. Blanchard, p. Bland, p. Blount, p. Breckinridge z Arkansas, p. Breckinridge z Kentucky...”

Posel z Kentucky, „znany ze srebrnych włosów i złotoustej wymowy”, podskoczył. „Nie uznaję uprawnień przewodniczącego i potępiam je jako rewolucyjne!”, wołał.

Z podium rozlegał się nadal niewzruszony, donośny, nosowy głos: „p. Bullock, p. Bynum, p. Carlisle, p. Chipman, p. Clement, p. Crisp, p. Curamings — wśród syków, kwików i wołań «Apeluję!» ciągnął bez przerwy według alfabetu — p. Lawler, p. Lee, p. McAdoo, p. McCreary...”

— Odmawiam panu prawa do zaliczania mnie do obecnych, panie przewodniczący! — ryczał McCreary.

Po raz pierwszy przewodniczący przerwał, przez chwilę przetrzymał salę w milczeniu jak aktor publiczność, po czym powiedział uprzejmie: — Przewodniczący stwierdza fakt, że pan jest obecny. Czy pan temu zaprzecza?

Wyliczał dalej nie reagując na protesty, sprzeciwy, przywoływania do porządku i całą wrzawę rosnącą przy literach S i T, aż doszedł do końca. Wtedy nagle jakby zebrał wszystkie siły swego olbrzymiego ciała, okazując całą moc swojej władczej osobowości, podniósł głos zdolny wypełnić największą salę i oznajmił:

— Przewodniczący wobec tego orzeka, że jest quorum wymagane przez konstytucję.

Wybuchła wrzawa jeszcze większa niż przedtem. Breckinridge z Kentucky zażądał głosu w kwestii formalnej, ponieważ przewodniczący nie miał prawa wydać takiego orzeczenia.

— Przewodniczący uchyla kwestię formalną — oświadczył chłodno Reed.

— Odwołuję się od decyzji przewodniczącego! — krzyczał Breckinridge.

— Wnoszę o odłożenie odwołania do późniejszego rozpatrzenia — wtrącił szybko czujny republikanin Payson z Illinois.

Demokraci pienili się ze złości, bo gdyby ten wniosek został uwzględniony, zamknąłby debatę. Jak pisał pewien reporter, około stu

demokratów „stało i wyło, żądając głosu”. „Bojowy Joe” Wheeler, były generał kawalerii konfederatów, drobnej postaci, nie mogąc wysunąć się do przodu, bo przejścia były zatłoczone, przedostał się z tylnych rzędów, „skacząc z ławki na ławkę jak koziorożec z turni na turnię”. Gdy wzburzenie jeszcze wzrosło, na swym miejscu pozostał tylko jeden demokrat, poseł z Teksasu, ostrząc znacząco o but swój nóż myśliwski. Na propozycję jednego z republikanów, że „powinniśmy przedyskutować tak ważną sprawę”, Reed wyraził zgodę. Debata trwała cztery dni, demokraci walczyli cały czas, nalegając na odczytanie każdego słowa ze sprawozdania, składając odwołania i wnioski w kwestii formalnej, żądając odczytywania listy, przy czym Reed, niewzruszony, zaliczał milczących członków do obecnych, co wywoływało za każdym razem dzikie sprzeciwy. Raz poseł McKinley, starając się przypodobać jak zwykle, nieuważnie odstąpił komuś głos i został przywołany do porządku przez Reeda:

— Dżentelmen z Ohio nie życzy sobie, żeby mu przerywano.

— Nie życzę sobie, żeby mi przerywano — powtórzył odważnie McKinley, nie dopuszczając do dalszej przerwy.

Nieubłaganie przy każdej kwestii Reed liczył obecnych i powtarzał swoją formułę: „Jest konstytucyjne quorum, potrzebne do załatwienia spraw”, co wzmagało wściekłość i rozczarowanie demokratów. Jedna grupa, klnąc szeptem, podeszła bliżej i groziła, że ściągnie go z podium; przez chwilę robiło to wrażenie, „jakby zamierzali rzucić się na przewodniczącego”. Reed pozostał niewzruszony. Publiczność i korespondenci na galerii, którym udzieliła się rozgorączkowana atmosfera sali, przechylali się przez balustrady wygrażając przewodniczącemu pięściami i przyłączali się do wyzwisk i przekleństw. Jeden z reporterów ubolewał, że „zupełnie zapomniano o dobrych obyczajach. Członkowie miotali się gwałtownie, rzucali wojownicze spojrzenia... wylewając z wściekłością potoki bezecnych inwektyw”. Nazywali Reeda tyranem, despotą i dyktatorem, ciskając epitety jak kamienie. Wśród różnych synonimów słowa „tyran” najczęściej powtarzano epitet „car”, stanowiący w owym czasie uosobienie niczym nieograniczonej autokracji; przydomek „Car Reed” przylgnął na stałe do przewodniczącego. Im bardziej złościł się demokraci, tym bardziej opanowany pozostawał Reed, wypełniając fotel swoją olbrzymią postacią, „pogodny jak letni poranek”. Choć jego sekretarz widział, jak w przerwie, w swoim prywatnym pokoju, chwytał za biurko i trząsał się z tłumionej wściekłości, to na sali nie

dał niczym poznać, że złośliwe obelgi robią na nim wrażenie. Zachowywał niewzruszoną postawę, „spokojny i zdecydowany jak rozbójnik”, pisał „New York Times”.

Tajemnica jego opanowania polegała na tym, że jak mówił znacznie później swemu przyjacielowi, zdecydował nieodwołalnie, co zrobi, jeśli Izba go nie podtrzyma: „Po prostu opuściłbym fotel przewodniczącego, zrezygnowałbym ze stanowiska i z miejsca w Kongresie”. Czekala na niego prywatna praktyka prawnicza w biurze Elihu Roota w Nowym Jorku: „Doszedłem do wniosku, że jeśli życie polityczne ma polegać na bezsilnym siedzeniu w fotelu przewodniczącego i patrzeniu, jak większość nie może uchwalić przepisu prawnego, to mam tego dość — wolę zejść z fotela i wyjść”. Kiedy się powzięło takie postanowienie, mówił, „człowiek nastawił się na najgorsze” i był do tego przygotowany. Działa to bardzo „uspokajająco” na samopoczucie.

Postanowienie to nie tylko go uspokoiło: dodało mu również nieugiętej siły, jakiej nie mają nigdy ludzie, którzy boją się najgorszego lub gotowi są zrezygnować z zasad, aby najgorszego uniknąć. Mógł dzięki temu górować moralnie nad Izbą, co posłowie wyczuwali w powietrzu, choć nie zdawali sobie z tego sprawy.

Demokraci, zmieniając strategię, postanowili teraz faktycznie się nie stawiać, licząc na to, że republikanie sami nie zbiorą dostatecznego quorum. Kiedy stopniowo po jednym opuszczali salę, Reed, zgadując ich intencję, polecił zamknąć drzwi. Zaraz zaczęli się gwałtownie przepychać, żeby zniknąć przed następnym głosowaniem. Tracąc „wszelkie poczucie osobistej czy urzędowej godności”, demokraci chowali się pod ławkami lub za tablicami. Poseł z Teksasu, Kilgore, żeby się wymknąć, otworzył kopnięciem zamknięte drzwi. „Kopniak Kilgore'a” wprawił w zachwyty karykaturzystów.

W piątym dniu demokraci w ogóle się nie stawili i kiedy przyszło do głosowania, republikanie nie mieli pełnego quorum. Dwóch chorych przywieziono na szpitalnych łózkach. Wciąż jeszcze brakowało jednego. Wiedzano, że jeden poseł jest w drodze do Waszyngtonu. Nagle otwarły się drzwi i, jak to opisuje pewien reporter: „błysnęły czerwone baczki i odezwał się głos: «Jeszcze jeden, panie przewodniczący»,”. Doliczono więc Sweneya z Iowy, quorum zostało uzupełnione i głosowanie dało wynik 166-0. Bitwa się skończyła. Demokraci wrócili na miejsca w ponurym nastroju.

Komisja Ustawodawcza przedłożyła pakiet nowych przepisów, nie trzeba dodawać, że zredagowanych i narzuconych przez przewodniczącego. Przepisy te, nazwane później „Normami Reeda”, uchwalone zostały 14 lutego i wprowadzały między innymi następujące zasady: 1. wszyscy członkowie muszą głosować; 2. sto osób stanowi quorum; 3. wszyscy obecni mają być liczeni; 4. żadne wnioski opóźniające nie mogą być uwzględniane, a określenie, co jest opóźniające, zależy od decyzji przewodniczącego.

Pięć lat później Theodore Roosevelt pisał, że reforma Reeda dzięki obaleniu milczącej obstrukcji „miała o wiele większe i trwalsze znaczenie” niż same postanowienia, które zostały wówczas uchwalone.” Reed zdał sobie z tego sprawę, kiedy tylko wygrał. W swoim przemówieniu zamykającym Pięćdziesiąty Pierwszy Kongres Reed powiedział, że jedynie „werdykt historii” jest wart utrwalenia i że jest co do niego spokojny, „bo uczyniliśmy wielki krok w kierunku odpowiedzialnego rządu”.

Bliższy w czasie niż werdykt historii, a uważany wówczas powszechnie za równie ważny, był portret namalowany przez Sargenta. Zamówiony w hołdzie dla Reeda przez jego republikańskich kolegów, okazał się jednak całkowicie nieudany. „Ma niby liczyć quorum — zauważył jeden z krytyków — a faktycznie wygląda, jakby gryzł niedojrzałą śliwkę”

We wszystkich organach parlamentarnych na świecie dyskutowano o obaleniu milczącego quorum. W kraju uczyniło to Reeda czołową osobistością polityczną i naturalnym kandydatem na prezydenta w 1892 roku. Lecz jego czas jeszcze nie nadszedł, jak to sam właściwie ocenił, bo gdy go zapytano, czy sądzi, że partia mianuje go kandydatem, odpowiedział: „Mogą zrobić coś gorszego i sądzę, że zrobią”.

Zrobili rzeczywiście. Wciąż miano za złe Reedowi jego „caryzm”, a sarkazm nie zjednywał mu przyjaciół. Niechęć do przetargów, do zjednywania publiczności uśmiechami i uściskami dłoni, a polityków obietnicami nie powiększała kręgu jego zwolenników. Stali członkowie partii woleli mianować narzucającego się Harrisona, nieprzekupnego, lecz opryskliwego, nazywanego „Górą Lodową Białego Domu”, którego Reed nie lubił, wcale się z tym nie kryjąc. Kiedy Harrison mianował poborcą w Portland, rodzinnym mieście Reeda, człowieka, którym Reed pogardzał, ten nie chciał potem, aż do śmierci, wejść do Białego Domu ani spotykać się z Harrisonem.

W 1892 roku demokraci zdobyli panowanie w Izbie tak dużą większością, że sami mogli zawsze zebrać odpowiednie quorum, i wtedy odrzucili z triumfem reformę Reeda. Reed czekał na dalszy bieg historii nie bez wiary, że jak mówił: „sama Izba wykaże więcej rozsądku niż każdy, kto w niej zasiada”. Historia nie dała mu długo czekać. Na następnym kongresie przy zmniejszonej o połowę przewadze demokratów, gdy doszło do ich rozłamu w sprawie waluty i w innych żywo dyskutowanych sprawach, Reed zakosztował słodkiej zemsty. Raz po raz żądał odczytania listy, a kiedy Bland z Missouri oburzał się na tę „niedopuszczalną obstrukcję”, odparował natychmiast: „Niedopuszczalną? ma pan na myśli: dopuszczalną?” Jako przywódca mniejszości nadal całkowicie panował nad swoją partią, tak samo jak wówczas, gdy był przewodniczącym Izby. „Panowie z tamtej strony ślepo go słuchają — mówił smętnie jego następcą na tym stanowisku, Crisp. — Prywatnie mówią czasem: «Reed nie powinien był tego zrobić» , albo «To źle» , lecz kiedy im poleci: «Zróbcie to» , wszyscy to robią”. Kiedy w końcu demokraci musieli ustąpić i dla utrzymania swego programu przyjąć z powrotem wprowadzoną przez Reeda zasadę liczenia quorum, powstrzymał się on od manifestowania triumfu. „Ta dzisiejsza scena tutaj ma większą wymowę niż wszelkie słowa, jakie mógłbym wygłosić — powiedział. — Gratuluję Pięćdziesiątemu Trzeciemu Kongresowi”.

W roku 1890, kiedy po raz ostatni w Stanach Zjednoczonych doszło do konfliktu zbrojnego między Indianami i białymi przy Wounded Knee Creek i Biuro Statystyczne oświadczyło, że zniknęły wszelkie granice lądowe, Reed miał wkrótce stanąć przed nową próbą. W tymże roku kapitan A. T. Mahan, przewodniczący Szkoły Marynarki Wojennej, oznajmił w „Atlantic Monthly”: „Czy chcą, czy nie chcą, Amerykanie muszą teraz zacząć rozglądać się na zewnątrz”.

Alfred Thayer Mahan, spokojny, małomówny oficer marynarki, jeden z najtęższych umysłów tego okresu, postanowił sam zostać tak potrzebnym krajowi „głosem mówiącym bez ustanku o naszych zagranicznych interesach”. Mało Amerykanów zdawało sobie sprawę, że mają interesy zagraniczne, a wielu uważało, że nie powinni ich mieć. Sprawą najpilniejszą była aneksja Hawajów. Baza węglowa marynarki w Pearl Harbour została zdobyta w roku 1887, lecz główny impuls do aneksji wysp wyszedł ze sfer Amerykanów mających tam posiadłości, a ulegających naciskom sędziego

Dole'a i trustu cukrowniczego. W styczniu 1893 roku przy pomocy Marynarki Stanów Zjednoczonych zorganizowali bunt przeciw tubylczemu rządowi hawajskiemu; sędzia Dole został prezydentem Dole'em i szybko wynegocjował traktat o aneksji z amerykańskim ministrem, a prezydent Harrison pośpiesznie, bo już w lutym, przedłożył traktat Senatowi. Przegrał jednak wybory na rzecz dawnego prezydenta Clevelanda, którego inauguracja miała nastąpić 4 marca. Harrison zażądał od Senatu natychmiastowego działania w nadziei, że uzyska ratyfikację przed objęciem władzy przez nowego prezydenta. Całe postępowanie było jednak szyte zbyt grubymi nićmi i Senat sprzeciwił się.

Przeciwny każdej formie ekspansji Cleveland, człowiek prawy jak Reed, przypominał go także z postaci. Pewnego razu, gdy w źle oświetlonym pokoju ktoś wziął go za Clevelanda, Reed zawołał: „Na miłość Boską! Nie mówcie tego Groverowi. Jest i tak zbyt dumny ze swojej urody”. Już w pierwszym tygodniu urzędowania Cleveland wycofał traktat o aneksji z Senatu, ku wielkiemu żalowi młodego przyjaciela Reeda, Roosevelta, który „bardzo mocno” odczuł „opuszczenie flagi”, jak to określił.

Zwolennicy aneksji kierowali się osobistymi interesami ekonomicznymi. Dopiero Mahan nadał sprawie istotne znaczenie narodowe. W marcu, wtedy kiedy Cleveland wycofał traktat, Mahan opublikował w „Forum” artykuł zatytułowany *Hawaje i nasza przyszła potęga morską*, w którym stwierdzał, że władanie nad morzami jest najpoważniejszym czynnikiem potęgi i dobrobytu narodów i że dlatego jest „bezwzględnie konieczne, kiedy można tego słusznie dokonać, zajęcie takich stanowisk morskich, jakie mogą się przyczynić do zapewnienia panowania”. Hawaje „zwracają uwagę strategów”, są pozycją o „niezwykłym znaczeniu... mającą duży wpływ na handlową i militarną kontrolę Pacyfiku”. W innym artykule, opublikowanym w tym samym miesiącu w „Atlantic Monthly”, Mahan uzasadniał, że dla przyszłej potęgi morskiej Ameryki nieodzowny jest proponowany kanał w przesmyku (Isthmian Canal) między dwoma kontynentami.

Charakter i styl kapitana Mahana nadawał jego wypowiedziom ton takiego autorytetu, że wszystko, co pisał, wydawało się bezsporne. Był już autorem dzieła *Wpływ potęgi morskiej na historię (The Influence of Sea Power on History)*, wydanego w roku 1890 i będącego publikacją wykładów wygłoszonych w 1887 w Szkole Marynarki Wojennej. Dzieło to wywarło natychmiast olbrzymie wrażenie na fachowcach w dziedzinie marynarki za

granicą, a w kraju, choć znalazło wydawcę dopiero po trzech latach, zwróciło uwagę wielu rozważnych ludzi zainteresowanych polityką kraju. Theodore Roosevelt, który w wieku dwudziestu czterech lat był już autorem książki *Wojna morska 1812 (The Naval War of 1812)*, zaproszony, aby wygłosić odczyt w Szkole Marynarki Wojennej, wysłuchał Mahana i stał się jego zwolennikiem. Kiedy ukazała się książka *Wpływ potęgi morskiej na historię*, przeczytał ją „jednym tchem” i napisał do Mahana, że jego zdaniem stanie się ona „klasycznym dziełem z dziedziny marynarki”. Walter Hines Page z „Forum” i Horace E. Scudder z „Atlantic Monthly”, wydawcy tych pism w okresie, kiedy stanowiły one ważny teren ścierania się poglądów, stale udzielali Mahanowi swoich łamów.

Uniwersytety Harvard i Yale przyznały mu tytuł doktora praw. Koledzy Mahana, choć tradycjoniści, także nie przeciwstawiali się nowemu. Jego poprzednik w Szkole Marynarki Wojennej, admirał Stephen Luce, który wybrał Mahana na swoje miejsce, kiedy sam został mianowany dowódcą eskadry północnoatlantyckiej, przyprowadził swoją eskadrę do Newport, aby oficerowie mogli wysłuchać jego wykładów; Luce przepowiadał, że Mahan wniesie taki wkład do wiedzy marynistycznej, jaki za czasów Napoleona wniósł do wiedzy wojskowej Jomini. Po pierwszym wykładzie Luce wstał i obwieścił: „On jest tutaj, a jego imię jest Mahan!”

Mahan zwrócił uwagę na decydujące znaczenie potęgi morskiej i stwierdził, że każdy, kto jest panem mórz, jest panem sytuacji. Podobnie jak Jourdain mówił prozą przez całe życie, nie wiedząc o tym, tak i ta prawda funkcjonowała przez długi czas, ale ci, którzy się nią posługiwali, nie zdawali sobie z tego sprawy i sformułowanie Mahana oszołomiło wszystkich. Po pierwszej książce pojawiła się druga, *Wpływ potęgi morskiej na Rewolucję Francuską (The Influence of Sea Power on the French Revolution)*, wydana w 1892 roku; ugruntowała ona sławę autora. Pierwsza myśl przyszła „z wewnątrz”, kiedy w trakcie czytania *Historii Rzymu* Mommsena uderzyło go, „jak zupełnie inaczej wyglądałoby wszystko, gdyby Hannibal mógł wtargnąć do Italii morzem... lub gdyby po przybyciu miał możliwość swobodnej komunikacji z Kartaginą drogą wodną”. Mahan natychmiast zdał sobie sprawę, że „panowanie na morzu jest czynnikiem historycznym, który nigdy nie został systematycznie oceniony ani objaśniony”. Było to „jedno z tych spostrzeżeń, które zamieniają wewnętrzną ciemność w światło”. W czasie urlopu w roku 1885, przed objęciem swoich funkcji w Szkole

Wojskowej, miesiącami przesiadywał przy Astor Place w oddziale Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, szukając w historii, z coraz większym podnieceniem „i w stanie ożywienia i pobudzenia” wszystkich władz umysłowych, uzasadnienia dla swojej koncepcji.

W Stanach Zjednoczonych rozbudowę marynarki ponad potrzeby obrony wybrzeży uważano tradycyjnie za świętokradztwo wobec pierwotnego wyobrażenia Ameryki jako narodu umiejącego żyć bez agresji i wskazującego światu nową przyszłość. W Europie narody od wieków panujące nad morzami uświadomiły sobie nagle dzięki Mahanowi, co posiadają. Komentator podpisujący się „Nauticus” zwracał uwagę, że potęga morska, jak tlen, przez wieki oddziaływała na świat, ale jak nie zdawano sobie sprawy z istoty i znaczenia tlenu aż do odkrycia Priestleya, „tak byłoby i z potęgą morską, gdyby nie Mahan”.

W 1893 roku, otrzymawszy rozkaz dowodzenia statkiem flagowym bazy europejskiej (ku swemu wielkiemu niezadowoleniu, bo wolałby zostać w kraju i dalej pisać), Mahan przyjmowany był w Anglii z niespotykanymi honorami. Został zaproszony przez królową na uroczyste przyjęcie w Osborne, jadł kolację z księciem Walii i był pierwszym cudzoziemcem przyjmowanym przez Królewską Eskadrę Jachtową, gdzie wydano na jego cześć kolację z setką gości, samymi admirałami i kapitanami. Przebywający w Londynie John Hay napisał mu: „Wszyscy inteligentni ludzie czekają, żeby pana przywitać”. Ówczesny premier, lord Rosebery, zaprosił go na prywatną kolację we trzech z Johnem Morleyem; rozmowa trwała do północy. Poznał Balfoura i Asquitha, odwiedził lorda Salisbury w Hatfield i jeszcze raz został przyjęty przez królową w Buckingham Pałace. W czerwonej akademickiej todze na galowym mundurze ze szpadą otrzymał w Oxfordzie doktorat prawa cywilnego i doktorat prawa w Cambridge; mówiono, że jest jedynym człowiekiem, któremu w jednym tygodniu obydwie te uniwersytety nadały stopnie naukowe.

Po krótkiej wycieczce na kontynent, gdzie z przewodnikiem w ręce, z parasolem i lornetką szedł śladami marszów Hannibala, został zaproszony przez swego najbardziej entuzjastycznego zwolennika, Wilhelma II, na przyjęcie na jachcie „Hohenzollern” w czasie regat w Cowes. Książka *Wpływ potęgi morskiej na historię* wszczepiła kajzerowi przekonanie, że przyszłość Niemiec znajduje się na morzu, co okazało się epokowe w skutkach dla historii świata. Rozkazał, aby egzemplarz książki Mahana znajdował się na

każdym okręcie marynarki niemieckiej; egzemplarze kajzera w języku angielskim i niemieckim były gęsto podkreślone, a marginesy jeżyły się od komentarzy i wykrzykników. „Teraz właśnie nie tyle czytam, co pożeram książkę kapitana Mahana i próbuję nauczyć się jej na pamięć — informował telegraficznie swego przyjaciela w roku 1894, kiedy Mahan przebywał w Europie. — Jest to pierwszorzędna książka, klasyczna pod każdym względem. Znajduje się na pokładach wszystkich moich okrętów i jest ustawicznie cytowana przez moich kapitanów i oficerów” . Japończycy byli nie mniej zainteresowani. Dzieło to uznano za podręcznik we wszystkich uczelniach wojskowych i marynarskich, a wszystkie następne książki Mahana zostały przetłumaczone na japoński.

Z tezy Mahana jasno wynikała nieodzowna potrzeba podniesienia poziomu marynarki amerykańskiej, znajdującej się wówczas w stanie ostatecznego zaniedbania. Minister marynarki za Clevelanda, William C. Whitney, powiedział w roku 1887, że marynarka nie ma dość sił, aby walczyć, ani dostatecznej szybkości, żeby uciekać; według oceny Mahana nie mogła sprostać jako przeciwnik marynarce chilijskiej, a tym bardziej hiszpańskiej. W roku 1880, gdy zaczęła się poważna dyskusja w sprawie kanału, który przy braku odpowiedniej potęgi morskiej stanowiłby raczej zagrożenie niż wartościowy nabytek, napisał on: „Jeśli kanał ma stać się faktem, musimy natychmiast przystąpić do tworzenia marynarki, która byłaby co najmniej równa angielskiej... Nie mam ani przez chwilę nadziei, że tak się stanie, lecz jeśli nie, to możemy równie dobrze natychmiast przestać mówić o doktrynie Monroego”.

Od tej pory stale zadręczał tym tematem przyjaciół, kolegów korespondentów. Namiętnością jego była potęga morska, a nie okręty jako takie, bo nie sprawiała mu przyjemności służba na morzu i nie wyglądał zupełnie na żeglarza. Wzrostu ponad sześć stóp, chudy, żyłasty, wyprostowany, miał długą, wąską twarz z blisko osadzonymi bladoniebieskimi oczami, nos długi i prosty jak nóż, oraz wąsy rudoblond, łączące się ze starannie przystrzyżoną brodą na niepokaźnym podbródku. Cała siła jego twarzy skupiała się w górnej części, w oczach, w sklepionej czaszce i znamionujących inteligencję wypukłościach nad brwiami. Urodzony o rok później niż Reed, miał w roku 1890 pięćdziesiąt lat, i choć wyjątkowo powściągliwy i skromny, potrafił, jak twierdziła żona, ryknąć nagle „swym marynarskim głosem”. Brat nazywał go Alf. Nie miał dużego

poczucia humoru, odznaczał się wysoce moralistycznym nastawieniem, a także podzielał odrazę szacownych ludzi do powieści Zoli i zabronił swoim córkom je czytać. Z taką pedanterią przestrzegał zasad uczciwości, że kiedy mieszkał w Szkole Wojskowej, nie pozwalał swoim dzieciom używać rządowych ołówków.

Miał niewielu przyjaciół i znajomych, nie prowadził prawie żadnego życia towarzyskiego. Raz tylko wyjechał służbowo za granicę. Jego osobowość nie uzewnętrzniała się zbyt; żył życiem wewnętrznym, jak kocioł parowy, gdzie wrzenie odbywa się w zamkniętej przestrzeni, a para wydobywa się przez jedno tylko ujście. Podobnie jak Reed, odznaczał się jasnością myśli i precyzyjnością wniosków. A *propos* wycieczki na wybrzeże w Adenie, gdzie odwiedził kolonię Żydów, pisał: „Nie żywię uczucia antysemityzmu. To, że Jezus Chrystus był Żydem, chroni w moim pojęciu całą rasę”. W kilkunastu słowach rozstrzygnął ku swemu zadowoleniu problem, który przez dziewiętnaście wieków niepokoił ludzkość, a w jego czasach wybuchł ponownie z niespotykaną ostrością i spowodował nowe nieszczęścia. Samuel Ashe, jego przyjaciel z lat szkolnych w Annapolis i następnie przez całe późniejsze życie, powiedział: „Odznaczał się największą inteligencją ze wszystkich znanych mi ludzi”.

W roku 1890 marynarka wreszcie zaczęła się rozbudowywać. Na polecenie Rady Politycznej, powołanej przez Benjamina Trący, ministra marynarki w rządzie Harrisona, Kongres zgodził się, niechętnie i nie bez silnych obiekcji z wewnątrz i z zewnątrz, na trzy okręty wojenne, „Oregon”, „Indiana” i „Massachusetts” oraz na czwarty, „Iowa”, w dwa lata później. Były to pierwsze owoce długiej kampanii Mahana. Polityka, której wyrazem były te okręty, choć zrazu wcale nieuznawana powszechnie, reprezentowała zasadniczy zwrot w kierunku wskazywanym przez Mahana: na zewnątrz. Oznaczały one akceptację poglądu, że Ameryka musi stworzyć flotę zdolną do zwycięskiego zmierzenia się z najlepszą flotą, jaką potencjalny nieprzyjaciel mógłby przeciw niej wysłać. Kanadę uważano za zakładnika mającego powstrzymać Wielką Brytanię, sądzono też, że równowaga polityczna w Europie powinna powstrzymać każdego potencjalnego nieprzyjaciela europejskiego od wysyłania całej swojej floty na wody amerykańskie. Chodziło zatem o uzyskanie supremacji na tych wodach, co wymagało floty zdolnej do ochrony wybrzeży amerykańskich, to znaczy do podejmowania akcji ofensywnych przeciwko bazom nieprzyjacielskim od

Nowej Fundlandii po Karaiby. Taka miała być funkcja nowych okrętów wojennych. Należały do klasy dziesięcioletników o średniej szybkości piętnastu węzłów, ładowności węgla wystarczającej na pływanie w promieniu 5000 mil przy średniej szybkości i wyposażone były w cztery działa trzynastocalowe i osiem dział ośmiocalowych. Połączenie opancerzenia i siły ognia stanowiło najwyższe w tym okresie osiągnięcie, tak w projekcie, jak w konstrukcji. W czasie próby okrętów, „Indiany” w 1895 roku i „Iowy” w 1896, zrobiły one wielkie wrażenie na Brytyjczykach jako równe ich okrętom pierwszej linii, z których ostatni klasy „Majestic” miał 15 000 ton, cztery działa dwunastocalowe i dwanaście sześciocalowych.

Okręty dodały ducha zwolennikom Mahana. Roosevelt, wciąż jeszcze w Komisji Służby Państwowej, nie miał na razie wielkiego wpływu, ale jego przyjaciel i polityczny mentor, senator Henry Cabot Lodge z Massachusetts, był w Waszyngtonie głównym politycznym głosicielem poglądów Mahana. Lodge, pochodzący z rodziny, która zrobiła majątek na statkach klipperach i na handlu z Chinami, autor różnych biografii i historii z okresu kolonialnego, włączył się do życia politycznego wskutek głębokiego zainteresowania dziejami Ameryki. Jego dziadek i imiennik, Henry Cabot, pamiętał, jak to jako chłopak w domu ojca krył się pod kredensem, aby widzieć prezydenta George'a Washingtona przy śniadaniu. Lodge, wybrany do Kongresu w 1886, wywarł tam natychmiast wrażenie swoimi przemówieniami, wygłaszanymi często i z talentem, przy czym okazał się zręcznym mistrzem politycznej strategii i taktyki. Bystry, doświadczony, umiejący przekonywać, odznaczał się energią i inteligencją. Razem z Rooseveltem był orędownikiem reformy administracyjnej i członkiem ekskluzywnego grona zbierającego się wokół dwóch osób stojących poza rządem, Johna Haya i Henry'ego Adamsa, którzy na wpół ze smutkiem, na wpół cynicznie obserwowali rząd z ubocza. Lodge i Roosevelt, reprezentujący partię opozycyjną, nie mieli żadnego wpływu na Clevelanda, wierzyli jednak i z zapałem głosili swoją wiarę.

„Potęga morską jest najważniejszą dla każdego wielkiego narodu”, deklamował Lodge w Senacie 2 marca 1895 roku. Miał przed sobą mapę Pacyfiku z bazami brytyjskimi oznaczonymi bardzo widocznymi czerwonymi krzyżykami i w czasie przemówienia posługiwał się pałeczką, aby przedstawić pogląd Mahana istotnym znaczeniu położenia Hawajów. Wywołał dramatyczny efekt, i to tym bardziej że przemawiał, jak pisał do matki, „z rozpaczliwym przejęciem”. Hawaje muszą zostać zdobyte, a kanał

wybudowany. „Jesteśmy wielkim narodem: panujemy nad tym kontynentem, mamy supremację na tej półkuli, posiadamy zbyt wielkie dziedzictwo, aby pozwolić je roztrwonić lub z nim się rozstać. Stało się nasze po to, żebyśmy go strzegli i je powiększali”. W czasie jego przemówienia wchodzili senatorzy z szatni, pojawili się członkowie drugiej Izby, a także kurierzy dziennikarze, aż w końcu sala tak się zapełniła, że ludzie stali pod ścianami. Lodge czuł, że słuchali go „z pełną uwagą... Kiedy usiadłem, wszyscy tłoczyli się wokół, aby uścisnąć mi dłoń... co bardzo rzadko zdarza się w Senacie”. W artykule na ten sam temat, opublikowanym w „Forum” tego miesiąca, Lodge stwierdzał stanowczo, że skoro kanał zostanie zbudowany, „wyspa Kuba okaże się konieczną” dla Stanów Zjednoczonych. Nie mówił, jak tę konieczność zrealizować; czy Stany Zjednoczone mają kupić wyspę od Hiszpanii, czy po prostu ją zabrać. Wyrażał jednak pogląd, że małe państwa należą do przeszłości i że ekspansja przyczynia się do „cywilizacji i rozwoju rasy”.

W tym punkcie pomocy użyczyła historia. 24 lutego 1895 roku wybuchło powstanie Kubańczyków przeciw rządowi Hiszpanii, a 8 marca kanonierka hiszpańska ścigała i ostrzeliwała amerykański statek handlowy „Alliance”, mający, przypuszczalnie, korsarskie zamiary. To „znieważenie naszej flagi”, jak je nazywano, wywołało wybuch komentarzy ze strony wybitnych członków Komisji Spraw Zagranicznych Senatu, z czego wynika, że Lodge mówił nie tylko w swoim imieniu. W Ameryce obudziła się żądza zagarnięcia nowych terytoriów. Senator Morgan z Alabamy, demokrat, przewodniczący Komisji, powiedział, że istnieje proste rozwiązanie: „Kuba powinna stać się kolonią amerykańską”. Kolega Reeda, ale nie zaprzyjaźniony z nim, senator Frye z Maine, potwierdzał, że „powinniśmy naprawdę mieć tę wyspę, aby zaokrąglić nasze posiadłości”, i dodał z prostoduszną szczerością: „Jeśli nie możemy jej kupić, to ja na przykład chętnie widziałbym możliwość zdobycia jej dla nas”. Inny republikanin, senator Cullom z Illinois, jeszcze jaśniej wyraził to, co nurtowało Amerykanów. „Już czas, żeby ktoś się obudził — powiedział — i zdał sobie sprawę z konieczności aneksji pewnych terenów. Potrzebna nam cała ta północna półkula”. W 1895 roku agresywność nie musiała szukać ukrycia pod innymi pozorami. Senatorzy nie posługiwali się wtedy jeszcze zwrotami o pomocy dla Kubańczyków, walczących słusznie o wolność, bo nie przedstawiano na razie w tym świetle *insurrectos*, którzy z takim samym entuzjazmem podpalali posiadłości amerykańskie jak hiszpańskie.

Prezydent Cleveland tak mocno przeciwstawiał się ekspansji, że wybujała zachłanność senatorów nie wywarła większego wpływu na politykę. Dopiero postępek samego Clevelanda pod koniec roku wywołał publiczną eksplozję nowych amerykańskich nastrojów. Jego stanowcze potwierdzenie doktryny Monroego w sprawie Wenezueli, na przekór Brytyjczykom, oznaczało początek nowej ery w życiu Ameryki w sposób tak wyraźny, jakby flaga sygnałowa wciągnięta została na wierzchołek amerykańskiego masztu. W sprawie Wenezueli nie chodziło o zyski terytorialne ani inne; była to po prostu kwestia utwierdzenia amerykańskich uprawnień, jak wydawało się Clevelandowi, a zwłaszcza jego niezwykle apodyktycznemu sekretarzowi stanu, Richardowi Olneyowi. Sprawa wyzwołała wybuch szowinizmu, dżyngoizmu i ogólnej wojowniczości, który zaskoczył wszystkich, choć miał początek nie tyle wśród ludzi prostych, lecz w środowisku bogatych, wpływowych i wymownych. „Klub Ligi Unii ma 1600 członków — głosił jeden z nich — i wszyscy co do jednego popieramy pana Clevelanda w tej sprawie... Absolutnie nikt nie jest innego zdania”. Do Białego Domu wpłynęło mnóstwo gratulacji pełnych podziwu od innych republikanów, między innymi również od Theodore'a Roosevelta. „New York Times” przejawiał sytuację w tytułach, które nie miały żadnego związku z tekstem pod nimi. Brzmiały one: PRZYGOTOWANIA DO WOJNY, KRAJ SIĘ OBUDZIŁ albo TRZEBA STOCZYĆ WALKĘ Z ANGLIĄ: „Żołnierze i marynarze oświadczają, że z zapałem pójdą na wojnę. Mówi się o inwazji Kanady”. Szef biura armii, którego cytowano, nie mówił wcale o inwazji Kanady, złożył natomiast ostrożne i rzeczowe oświadczenie o niedostatecznych siłach morskich i wojskowych Ameryki i wyraził przekonanie, że Ameryka „przedstawiałaby smutny widok w razie wojny z Anglią”.

Fala wojowniczości wywołana orędziem wenezuelskim wstrząsnęła ludźmi, którzy wciąż myśleli o Stanach Zjednoczonych kategoriami ich założycieli, jako o kraju przeciwnym militarystyce, podbojom, stałym armiom i innym złym nawykom, kojarzącym się z monarchiami starego świata. Tradycja ta była najsilniejsza w Nowej Anglii i silniejsza w starszej generacji — u tych, którzy w 1890 roku mieli około pięćdziesięciu lat — niż w młodszym pokoleniu. Byli oni bliżsi Jeffersona, który powiedział: „Jeśli jest jakaś zasada najgłębiej zakorzeniona w umyśle każdego Amerykanina, to jest to przekonanie, że nie powinniśmy mieć nic wspólnego z podbojem”. Brali na serio *Deklarację niepodległości* i jej założenia sprawiedliwej

władzy, wywodzącej się ze zgody obywateli. Uważali rozciągnięcie amerykańskiego panowania na obce ziemie i obce narody za pogwałcenie tej zasady i za profanację amerykańskich dążeń. W pierwotnej demokracji amerykańskiej widzieli pochodnię, ideał, przykład wspaniałego, nowego świata, który przeciwstawił się staremu. Nie chcieli mieć nic wspólnego z tytułami szlacheckimi i związanymi ze stanowiskiem, ze spodniami do kolan, orderami ani wszelkimi innymi zdradzieckimi pokusami monarchii; kiedy w marynarce zaproponowano po raz pierwszy tytuł admirała, jeden z oficerów oburzał się: „Nazywać ich admirałami? Nigdy! Zaraz zechcą zostać diukami”

Imigranci pierwszej generacji, którzy przybyli do Stanów Zjednoczonych zwabieni tu przez amerykański mit, wierzyli tak głęboko w jego podstawowe zasady, jak ci, którzy byli w nich wychowani od pokoleń. Niektórzy wywedrowali w poszukiwaniu wolności po stłumieniu rewolucji 1848 roku, jak ojciec Altgelda i reformator Carl Schurz, obecnie sześćdziesięciosześcioletni, który jako dziennikarz, wydawca, minister i senator miał duże wpływy od czasu rządów Lincolna. Niektórzy przybyli, aby uniknąć ucisku i nędzy, aby szukać dogodnej okazji, jak szkocki tkacz, który przyjechał w 1848 roku z dwunastoletnim synem, Andrew Carnegie'm, lub jak holenderski Żyd, fabrykant cygar, który przybył z londyńskich slumsów w 1863 roku z trzynastoletnim synem, Samuelem Gomperssem. Inni, jak E. L. Godkin, wydawca „Nation” i nowojorskiej „Evening Post”, znaleźli się tam nie w ucieczce przed uciskiem, lecz jako dobrowolni wygnańcy ze starego świata, zwabieni przez Amerykę, będącą w ich oczach żywym wyrazem demokratycznego ideału. Dla nich, podobnie jak dla tych, których przodkowie przywedrowali około roku 1630, Ameryka prezentowała nowe zasady, toteż panująca wówczas wojowniczość jawiła im się jako zdrada.

Godkin, pełen „obawy o kraj”, zdecydował przeciwstawić się wenezuelskiemu orędziu, nawet gdyby miał narazić swoją gazetę wobec „na wpół oszalałej” publiczności. Pochodził z rodziny angielskiej, osiadłej od dwunastego wieku w Irlandii, gdzie się urodził i wychował, był korespondentem angielskich gazet w czasie wojny krymskiej i amerykańskiej wojny domowej. Został wydawcą „Nation” w 1865 roku, gdy pismo to założyła grupa czterdziestu akcjonariuszy, którzy dostarczyli 100 000 dolarów w określonym celu bronięcia klasy pracującej, Murzynów, sprawy powszechnego wykształcenia i „prawdziwych zasad demokratycznych w społeczeństwie i rządzie”. W roku 1883 Godkin zajął miejsce Carla Schurza

jako wydawca „Evening Post”, pozostając równocześnie w „Nation”, i za pomocą tych dwóch organów wyrobił sobie, jak powiedział William James, „olbrzymi wpływ we wszystkim, co dotyczyło poglądów na sprawy polityczne”.

Ten przystojny, brodaty, zapalczywy Celt, który rozkoszował się walką, pogrążał w melancholijnych rozważaniach, był przy tym żywy, wojowniczy i demaskatorski — prawdziwy *muckraker*, nim jeszcze Roosevelt wymyślił to określenie. Ścigał przedajne praktyki polityków z Tammany w sposób tak nieprzejednany, że w pewnym przypadku spowodowali oni trzykrotne aresztowanie go w jednym dniu za oszczerstwo. James Russell Lowell zgadzał się z opinią jednego z angielskich dziennikarzy, że Godkin zrobił z „Nation” „najlepszy periodyk świata”, a James Bryce, sławny już jako autor *The American Commonwealth*, stwierdzał, że „Evening Post” jest „najlepszym pismem drukowanym w języku angielskim” 40. We własnym kraju ostrzej go oceniano. Gubernator Hill z Nowego Jorku powiedział, że nie obchodzi go „garstka niezależnych”, którzy czytają „Evening Post” w mieście Nowy Jork. „Kłopot z tą przeklętą płachtą polega na tym, że czyta ją prawie każdy redaktor w stanie Nowy Jork”. To właśnie tłumaczyło przenikanie wpływu Godkina: inni ludzie kształtujący opinię zapożyczali swoje poglądy od niego — choć naturalnie nie wszyscy. „Jaką przerażającą degenerację umysłową powoduje stałe czytanie tego pisma lub «Nation»,” pisał Theodore Roosevelt do kapitana Mahana w 1893.

W roku 1895 Godkin miał sześćdziesiąt cztery lata i obawiał się o przyszłość. Stany Zjednoczone, pisał do jednego z przyjaciół, „posiadają olbrzymią siłę i gorąco pragną jej użyć w brutalny sposób przeciw każdemu, kto się nadarzy, ale nie wiedzą, jak to zrobić, i dlatego są stale na krawędzi jakiejś okropnej katastrofy”. Rzeczywiście, skoro Stany Zjednoczone posiadały w owym czasie dokładnie jeden uzbrojony okręt wojenny, nie bez podstaw uważał Godkin dżyngoistów za „zupełnie szalonych”. Sądził, że nowy duch „wściekłego optymizmu”, jak go dobitnie określił, doprowadzi w końcu do klęski.

William James, profesor filozofii w Harvardzie, tak samo się niepokoił. Pisał *a propos* Wenezueli: „Pouczające jest stwierdzenie, jak płytko pod powierzchnią znajduje się dawny duch bojowy i jak niewiele trzeba, aby go obudzić. A kiedy już rzeczywiście się obudzi, nie ma odwrotu”. Jego kolega z Harvardu, Charles Eliot Norton, profesor sztuk pięknych, uważany za

wyrażiciela i arbitra kultury w życiu Ameryki, protestował przeciw wojennym nastrojom na zebraniu w kościele Shepard Memorial w Cambridge. „Brutalny ryk aplauzu, jaki zabrzmiał wszędzie w narodzie”, powiedział, napawa każdego rozsądnego człowieka, kochającego ten kraj, uczuciem „największego niepokoju” o jego przyszłość.

Jego siwe włosy, szczupła, pochylona postać, głos melodyjny, choć przytłumiony, wyraźny bostońsko-bramiński akcent, wdzięk jego „niezwykle wytwornej i łagodnej osobowości”, wszystko to znajdowało najpełniejszy wyraz wówczas, gdy występował przeciw motłochowi. Urodzony w 1827, tylko rok po śmierci Jeffersona i Johna Adamsa, Norton, bojowy liberał, reprezentował purytańskie sumienie starszego pokolenia. Był synem Andrew Nortona, „papieża unitarian” z Nowej Anglii i profesora literatury religijnej w Harvardzie, który ożenił się z Catherine Eliot, córką bogatego bostońskiego kupca; on sam wywodził się — poprzez kilka pokoleń pastorów — od Johna Nortona, duchownego purytańskiego, który w 1635 roku wyemigrował do Ameryki.

Podobnie jak lord Salisbury, także Norton wierzył w supremację klasy arystokratów, co oznaczało dla niego klasę opartą nie na własności ziemskiej, lecz na podłożu wspólnej kultury, subtelności, wykształcenia i ogłady. Dostrzegał jej zanikanie i w swoich wykładach stale protestował przeciw wdzierającej się wszędzie wulgarności. Parodiując jego sposób bycia, jeden ze studentów powiedział: „Proponuję na dzisiejsze popołudnie kilka uwag na temat o-krop-nej wul-gar-noś-ci wszystkiego”. Inna jego studentka w Radcliffe pisała w swoim dzienniku z roku 1895, że wygląda na „dość zadowolonego i dobrotliwego... a przy tym mówi łagodnie, że lepiej byłoby dla nas, gdybyśmy się nie urodzili w tych zdegenerowanych i nieszczęsnych czasach” Norton jako jeden z pierwszych pisywał do „Atlantic Monthly”, gdy pismo to zostało założone przez Jamesa Russella Lowella w roku 1857, później wydawał razem z Lowellem „North American Review” i był jednym z czterdziestu akcjonariuszy założycieli „Nation”.

Pisząc do Godkina o orędziu wenezuelskim wyraził przekonanie, że stanowi to „przykre zakończenie tego stulecia” i że przyczyniło się w dużym stopniu do umocnienia „najgorszego ducha w naszej demokracji... barbarzyńskiego ducha arogancji i nieuzasadnionej pewności siebie”. Jeszcze bardziej niepokoiła go „głęboka świadomość”, że rozwój demokracji nie okazał się mimo wszystko „rękojmią pokoju i cywilizacji”, bo łączył się z

„dojściem do głosu ludzi niecywilizowanych, którym żadne szkolne wykształcenie nie może dać inteligencji i rozsądku”. Mógłby to powiedzieć równie dobrze lord Salisbury. Norton odczuwał gorycz mężczyzny, który nagle dostrzega, że jego ukochana nie jest taka piękna — ani taka czysta — jak sądził. „Obawiam się — pisał do przyjaciela w Anglii — że Ameryka wstąpiła na długą drogę prowadzącą w mylnym i złym kierunku i może z czasem wykorzystywać swą potęgę w celach coraz bardziej awanturniczych i barbarzyńskich... Wygląda na to, że świat wchodzi w nowe stadium doświadczeń, w którym musi zaistnieć nowa dyscyplina cierpienia, aby dostosować ludzi do nowych warunków”.

Nie przejawiał jednak tak czystego i pełnego rozczarowania pesymizmu jak Henry Adams, który pojawiał się w Waszyngtonie i znikał, wędrował tam i z powrotem między Europą i Ameryką i krakał nieustannie o swych żalach jak stary kruk; uważał, że całe stulecie jest „zgniłe i zbankrutowane”, społeczeństwo pogrążone w wulgarności, pospolitości, głupocie i moralnej atrofii, a on sam czuje zbliżającą się „drętwotę umysłową” i „umiera ze znużenia”; stwierdzał, że Ameryka jest nie do zniesienia, i wyjeżdżał do Europy; stwierdzał, że Europa jest nie do wytrzymania, i wracał do Ameryki: stwierdzał, że „wszędzie widać upadek” i wszędzie widać „stojącą wodę *fin de siecle'u...* gdzie żaden powiew nie porusza gnuśnej atmosfery w nauce ani nie burzy umysłowej drętwoty samozadowolenia”. Kryzys wenezuelski potwierdził jedynie jego przekonanie, że „społeczeństwo jest dziś bardziej zgniłe niż w jakimkolwiek znanym mi okresie. Wszystko jest jedną rozległą strukturą długów i oszustw”. Była to nie tyle ocena aktualnych nastrojów, co odbicie wstrząsu nerwowego, jakiego doznał w czasie finansowej paniki w 1893 roku. Adams, jak większość ludzi, oceniał społeczeństwo według siebie i przypisywał szerokiemu ogółowi swoją własną nieudolność i własny bezwład. „Nie zostało mi dość żywotności, żeby być zmysłowym”. Stare zgniłe stulecie tryskało jednak żywotnością i Adamsowi wystarczyłoby tylko przyjrzeć się najbliższym z jego kręgu w osobach Lodge'a i Roosevelta, aby znaleźć „wściekły optymizm”, który Godkin zauważał wszędzie dokoła.

Norton, choć o dziesięć lat starszy od Adamsa, pozwalał sobie od czasu do czasu na chwilę optymizmu, a mianowicie wówczas, kiedy sądził, że utrata ukochanych przez niego wartości może być ceną za jednoczesny wzrost ludzkiego dobrobytu. „Jest dziś o wiele więcej istot ludzkich dobrze sytuowanych materialnie niż kiedykolwiek w historii światowej”, pisał w

1896 roku i nie mógł oprzeć się myśli, „jak interesujące były nasze czasy i wciąż są!”

W ostatnich kilku latach zaszło rzeczywiście wiele różnych wydarzeń. Dla Clevelanda, mimo całej jego dobrej woli, nadeszły ciężkie czasy. Zamieszki w przemyśle rozszerzyły się na cały kraj. Po panice roku 1893 nastąpił kryzys. W 1894 armia bezrobotnych Coxeya pomaszlerowała na Waszyngton, a krwawy strajk pulmanowski rozdrażnił i przeraził obydwie strony, pogłębiając jeszcze wrogość między światem pracy i kapitałem. W listopadzie tego roku w wyborach do Kongresu republikanie odzyskali przewagę w Izbie dużą większością 140 głosów (244-104) i kiedy w grudniu 1895 roku zebrał się nowy, Pięćdziesiąty Czwarty Kongres, dobrze znana duża czarna postać o wielkiej białej twarzy została znów intronizowana na podium przewodniczącego.

Reed osiągnął teraz szczyt swych możliwości. Dawno minęła niebezpieczna walka z okresu jego pierwszej kadencji, a partyzantka, którą prowadził podczas dwóch kadencji w charakterze przywódcy mniejszości, zakończyła się, pozostawiając w jego rękach nieograniczoną władzę. „Kieruje wszystkim dzięki bezkompromisowości sposobu myślenia”, powiedział jeden z kongresmenów. Dobrze wytresowane jego szeregi, choć z czasem coraz bardziej niespokojne, nie mogły wyzbyć się nawyku posłuszeństwa. Kiedy wznosił ręce w górę, wstawali wszyscy członkowie co do jednego, a kiedy przypadkiem podnosili się, by prosić o głos, a on chciał, żeby milczeli, na skinienie ręką opadali na swoje fotele. „Panował nad Izbą tak bezwzględnie jak żaden inny przewodniczący”, pisał senator Cullom z Illinois.

Surowy w przestrzeganiu godności i form, nie pozwalał na palenie, siedzenie bez marynarki, sprzeciwiał się nawet troskliwie hołubionemu zwyczajowi trzymania nóg na ławce. Pewien kongresmen w szczególnie widocznych białych skarpetkach, który zapomniał się tak dalece, że przybrał wygodną pozę, otrzymał kartkę od przewodniczącego: „Car poleca panu opuścić na dół te białe flagi”.

Nie otaczali go faworyci ani rywale, rządził sam. Starał się nie wzbudzać zazdrości i dlatego unikał pokazywania się publicznie z którymś z członków Izby. Samotny olbrzym kroczył powoli co rano ze starego hotelu „Shoreham” (wówczas przy ulicach Piętnastej i H), gdzie mieszkał, na Wzgórze

Kapitolińskie, odpowiadając zaledwie skinieniem głowy na pozdrowienia i nie dostrzegając wcale obcych, którzy oglądali się za nim na ulicy.

Posiadał pewien rodzaj „spokojnej wielkości”, jak wyraził się o nim jeden z kolegów, która wynikała z jego własnej filozofii i pozostawiała go „obojętnym na zwykłe troski i niepokoje życia”. Reed sam dał do tego klucz pewnej nocy, kiedy przyjacielowi, który przyszedł, aby omawiać z nim sprawy polityki, i zastał go nad poematem *Kasidah* sir Richarda Burtona, przeczytał na głos następujący czterowiersz:

Czyń, co ci męstwo zaleca, Na cudze oklaski nie czekaj, Godnie żyje i schodzi z tej ziemi, Kto się rządzi prawami własnymi.

Spokojny i pewny siebie, dzięki prawom, jakie sam sobie narzucił, Reed nie dawał się wyprowadzić z równowagi. Pewnego razu członek Izby, demokrat, kiedy Reed uchylił jego wniosek w kwestii formalnej, przypomniał sobie, że przewodniczący zajął inne stanowisko w swoim podręczniku *Normy Reeda (Reed's Rules)*, posłał więc po tę książkę, przejrzał ją, znalazł właściwy ustęp i pomaszerował do trybuny, aby z poczuciem spodziewanego triumfu położyć ją przed Reedem. Reed przeczytał uważnie wskazany ustęp, spojrzął na posła swymi piwnymi iskrzącymi się oczyma i powiedział w sposób rozstrzygający: „Och, książka jest w błędzie”.

W czasie kryzysu wenezuelskiego Reed rzadko zabierał głos publicznie, trzymał w ryzach republikanów w Kongresie i wierzył, że niechęć Clevelanda do zagranicznych awantur, którą podzielał, potrafi przeciwstawić się zapałowi szowinistów do aneksji tego lub innego terytorium. Reed nadal niezmiennie sprzeciwiał się ekspansji i wszystkiemu, co się z nią łączyło. Wierzył, że wielkość Ameryki polega na tym, co się dzieje wewnątrz kraju, i że da się osiągnąć raczej przez poprawę stopy życiowej i podnoszenie poziomu kultury politycznej wśród Amerykanów niż przez rozszerzanie amerykańskiego panowania na narody półcywilizowane, trudne do asymilacji. Dla niego Partia Republikańska była strażnikiem tej zasady, a ekspansja była „polityką, której żadnemu republikaninowi nie wolno usprawiedliwiać, a co dopiero wyznawać”.

W roku 1896 miały się odbyć wybory prezydenckie i Reed pragnął nominacji. Wobec niezgody panującej wśród demokratów republikanie mieli szanse zwycięstwa, a nominacja stanowiła nagrodę, o którą warto było

walczyć. „Jest w znakomitej formie fizycznej i umysłowej — informował Roosevelt. — Sądzi, że bieg wypadków zmierza w jego kierunku”. Kiedy Reed pojawił się ze zgolonymi włosami, jednemu z reporterów wydawało się, że czuje on „konieczność traktowania poważnie siebie samego”, co tłumilo trochę jego dowcip. Reed jako kandydat znajdował się w skomplikowanej sytuacji, gdyż Lodge i Roosevelt, najbardziej zaangażowani w jego kampanię, mieli poglądy na ekspansję zasadniczo sprzeczne z jego poglądami, choć jeszcze nie zostało to wystawione na próbę. „Wkładam całe serce w zdobycie głosów dla Reeda”, powiedział Roosevelt.

Reed nie chciał zmienić swojego sposobu postępowania, aby zapewnić sobie poparcie stosowanymi zazwyczaj metodami. Kiedy posłowie żądali otwarcia prywatnych rachunków kredytowych dla swoich okręgów, bo obawiali się, że bez tego nie będą mogli zdobyć dla niego głosów, pozostawał niewzruszony. „Pana rachunek nie będzie mógł zostać przedstawiony, nawet mimo tego znaczka Reeda w pana marynarce”, powiedział do jednego posła Kiedy magnat kolejowy Collis H. Huntington z Southern Pacific wyraził trzykrotnie życzenie spotkania się z kierownikiem kampanii Reeda, posłem F. J. Aldrichem, Reed powiedział, owszem, Aldrich może go odwiedzić, „ale proszę pamiętać, ani jednego dolara od pana Huntingtona na fundusz mojej kampanii!” Aldrich jednak poszedł się z nim spotkać i wyznał, że Reed pozwala jedynie na kilka dotacji od swych prywatnych przyjaciół i że zebrał już w sumie 12 000 dolarów. Huntington zgorszony wyjawiał, że rywale Reeda nie mają takich skrupułów, jeśli chodzi o pieniądze. „Inni je wzięli”, powiedział, przyznając, że sam postawił na przeciwną stronę.

Jeszcze ktoś wydawał hojnie pieniądze na kontrkandydata. Mark Hanna, boss z Ohio, w czasie poprzedniej kampanii spojrzął na Reeda okiem producenta prezydentów, lecz stwierdził, że jest on nazbyt sardoniczny, że jego przemówienia zbyt wyraźnie zdradzają pochodzenie ze Wschodu i że ma odporne usposobienie. Jak powiedział Henry Adams, Reed był „za mądry, za cyniczny i miał zbyt silną wolę”, aby szefowie partii uznali go za odpowiedniego. Hanna odnalazł wówczas bliskiego sobie człowieka w kimś, kto stanowił przeciwieństwo Reeda — w uprzejmym, przymilnym, w miarę przystojnym McKinleyu, o którym mówiono, że najbardziej zależało mu na tym, aby być lubianym. Jakby stworzony do tego, by dać sobą kierować, nie zrobił sobie nigdy wrogów, a jego poglądy na zasadnicze zagadnienia

walutowe „nigdy nie były tak zdecydowane — jak wyraził się taktownie jego biograf — aby uczynić go niepopularnym”, czy to u zwolenników srebra, czy w grupie parytetu złota. Reed miał teraz powód, aby żałować, że mianując McKinleya przewodniczącym Komisji Budżetowej otworzył mu drogę do wyróżnienia jako wnioskodawcy ustawy w sprawie ceł. Od Pięćdziesiątego Pierwszego Kongresu, kiedy McKinley zaryzykował pierwsze zastrzeżenia co do metod Reeda w sprawie quorum, ten nie darzył go sympatią. Uważał, że jest bez kręgosłupa, i wyraził to w nieśmiertelnym powiedzeniu: „McKinley ma taki kręgosłup jak ciastko czekoladowe”.

Hanna widział w osobie McKinleya nie tyle ciastko, co swego rodzaju Lohengrina i był przekonany, że będzie mógł zapewnić jego nominację, jeśli tylko rywale McKinleya pozostaną podzieleni i nie zjednoczą się wokół jednego kandydata, zwłaszcza wokół Reeda, który jedyny nadawał się na prezydenta. Hanna założył jednak trafnie, że Reed jest zbyt nieugięty, aby zechciał się zniżyć do zabiegania o poparcie innych. Miał słuszość. Przywódcy partyjni ze Wschodu, uważając obóz Reeda za pozbawiony powabów, komu innemu przyrzekali swoje głosy. Reed nie ułatwiał sprawy swoim ewentualnym poplecznikom. Odmówił prośbie jednego z przywódców politycznych z Kalifornii o obietnicę stanowiska w Sądzie Najwyższym dla kogoś z jego stanu, wyjaśniając, że nie warto starać się o nominację, jeśli mają się z tym łączyć jakiekolwiek transakcje. Przywódca z Kalifornii wkrótce pojawił się w środowisku Hanny. Kiedy gubernator Pingree z Michigan, który decydował o głosach delegatów ze swego stanu, przyjechał do Waszyngtonu, żeby zobaczyć się z Reedem, Aldrich miał pewne trudności, aby skłonić przewodniczącego do zejścia z trybuny i udania się do biura, gdzie gubernator go oczekiwał. Wreszcie Reed zjawił się w biurze i Pingree przedstawił mu swoje poglądy w sprawie wolnej waluty srebrnej, którym Reed był przeciwny, co natychmiast powiedział. „Pingree chciał popierać Reeda — informował bezradnie Aldrich. — Odszedł i został orędownikiem McKinleya”.

Reed zdawał sobie sprawę z ogólnego nastawienia, ale nie mógł się zmienić. „Niektórzy ludzie lubią stać prosto — powiedział raz — a niektórzy, nawet kiedy są bogaci i na wysokich stanowiskach, lubią się czołgać”.

Kiedy w mistrzowskim przemówieniu rozszarpał, zdeptał i obalił koncepcję wolnej waluty srebrnej, co uważał nie tyle za zagadnienie walutowe, co za zagadnienie walki klas, Roosevelt, pełen entuzjazmu, napisał

do niego: „O Boże, cóż bym dał za to, żebyś nosił nasz sztandar”. Roosevelt przyznawał jednak czasami, że Reed go „dostyc irytował”, bo nie ulegał jego naleganiom o popieranie dużej floty. „Słowo daję — skarżył się przed Lodge'em — uważam, że Reed powinien zwracać pewną uwagę na twoje i moje życzenia” Była to próżna nadzieja w odniesieniu do człowieka, który nie uznawał „zwracania uwagi” na czyjekolwiek życzenia. Ku zmartwieniu Lodge'a Reed odmawiał również „obiecywania stanowisk od gabinetu w dół i wydawania pieniędzy dla zjednania delegatów z Południa”. Hanna, dysponujący dużymi funduszami, uwijał się na Południu, zbierając delegatów republikańskich, białych i Murzynów, którzy byli na sprzedaż. „Popierali mnie, dopóki nie zaczęło się kupowanie”, powiedział Reed.

Nie spodziewał się powodzenia i już przed zebraniem konwencji pisał w liście do Roosevelta o wycofaniu się i powróceniu do praktyki prawniczej. „Jednym słowem, drogi chłopcze, jestem tym zmęczony i chcę być pewny, że żaden syndykat nie będzie musiał płacić moich długów (aluzja do McKinleya)... Ponadto wymykające się winogrona robią się kwaśne i wszystko to zakrawa na farsę”.

W czerwcu Lodge wygłosił w St. Louis swoje nominacyjne przemówienie, Reed otrzymał 84 głosy w pierwszym głosowaniu, a McKinley 661 i winogrona stały się nieosiągalne.

Na konwencji demokratów przepadł podobnie prezydent Cleveland, zwyciężył ambitny, trzydziestosześcioletni kongresman z Nebraski, znany ze swego demagogicznego krasomówstwa; poczęstował on konwencję retoryką, jakiej nie słyszano tu od czasu, kiedy Patrick Henry żądał wolności lub śmierci: „Odziani w zbroję słusznej sprawy... sprawy tak świętej jak sprawa wolności... Nie powinniście wciskać na czoło świata pracy tej cierniowej korony. Nie powinniście krzyżować ludzkości na krzyżu ze złota! Kiedy minął wybuch hysterii, gubernator Altgeld zwrócił ku Clarence'owi Darrow „znużoną twarz z figlarnym uśmiechem” i zauważył: „Zastanawiałem się nad przemówieniem Bryana. Co on właściwie powiedział?”

Kampania wywołała w kraju skrajne uczucia i wzajemną nienawiść. Chodziło o Srebro przeciw Złotu, Naród przeciw Posiadaczom, o rolników przeciw przedsiębiorcom kolejowym, którzy ciągnęli zyski biorąc wysokie opłaty za transport, o małych ludzi przeciw bankierom, spekulantom i wierzycielom hipotecznym. Republikanie naprawdę się obawiali, że

zwycięstwo demokratów po rozruchach w Homestead i u Pullmana oznaczałoby obalenie systemu kapitalistycznego. Właściciele fabryk powiedzieli swoim ludziom, że jeśli Bryan zostanie wybrany, „syrena nie zabrzmi w środę rano”. Nawet pismo „Nation” popierało McKinleya.

Kiedy wygrał, ludzie interesu usadowili się z powrotem w swoich fotelach, z większą pewnością odrzucali protest społeczny. „Era Marka Hanny — pisał jeden ze współczesnych o minionym okresie — stanowiła punkt kulminacyjny tej beztroskiej prowokacji silnych. Dobrze pamiętam, jak Hanna bronił nieograniczonego prywatnego monopolu, przybierając postawę miłego buldoga... Nuta ta nigdy już nie zabrzmi tak nieustraszonym dźwiękiem”.

Arena została teraz uprzątnięta przed inną walką, w której rozstrzygnąć się miał los Reeda i jego kraju. Cleveland nie ustąpił ani trochę, kiedy Kongres podjął rezolucję, która uznając buntowników kubańskich za prowadzących wojnę, pozwoliłaby sprzedać im broń. Rezolucja była „tylko wyrazem opinii szanownych panów, którzy na nią głosowali”, powiedział, a ponieważ zatwierdzenie jej zależało wyłącznie od organu wykonawczego, będzie ją uważał „jedynie za radę”, która pozostawia „niezmienione stanowisko rządu”. Teraz zastąpił go McKinley, który choć osobiście przeciwny wojnie z Hiszpanią, nie miał wprawy w sztuce realizowania swoich przekonań. W Hiszpanii premier Canovas już nie żył i władza spoczywała w słabszych rękach. W Nowym Jorku William Randolph Hearst zakupił pismo „Journal” i zastosował się do sentencji wydawcy „Daily Mail”, pierwszego angielskiego groszowego dziennika, który zapytany, co najbardziej pomaga sprzedawać gazetę, odpowiedział: „Wojna”. Hearst robił, co mógł, aby przyczynić się do wywołania wojny, drukował straszliwe historie o okrucieństwie Hiszpanów, bohaterstwie Kubańczyków, przeznaczeniu i obowiązku Ameryki; wszystko to przejawskrawione ze względu na współzawodnictwo o wielkość nakładów z nowojorskim pismem Pulitzerza „World”.

Na świecie zaistniała nowa sytuacja wskutek zwycięstwa Japonii nad Chinami w wojnie lokalnej 1895 roku, dzięki czemu Japonia okazała się nagle rosnącą potęgą na wschodzie, a przestraszony Wilhelm II ukuł nowe określenie, *die gelbe Gefahr* — „żółte niebezpieczeństwo”. Wobec rozkwitu Japonii nabrała znaczenia i znów stała się pilna sprawa budowy Kanału Panamskiego, a także zaktualizowało się twierdzenie kapitana Mahana, że

Kuba w strefie Karaibów, a Hawaje na Pacyfiku są konieczne dla strategicznej obrony tego kanału. W serii artykułów opublikowanych w roku 1897 Mahan wykazywał, że Morze Karaibskie jest ważną militarnie strefą, która może być kontrolowana albo z Jamajki, albo z Kuby, po czym dowodził fachowo i niezbicie, że z punktu widzenia położenia, siły i środków Kuba jest „o wiele lepsza”.

Głos jego wywołał echo w Senacie, gdzie Lodge powtarzał argument, że z powodu kanału zajęcie Kuby stanie się „sprawą konieczną”. Senatorom zainteresowanym raczej stroną materialną niż strategiczną przedstawiał ponadto szeroko inne atrakcje, mianowicie że ta „wspaniała wyspa... wciąż rzadko zaludniona, niezwykle urodzajna” oferuje ogromne możliwości do inwestowania amerykańskich kapitałów i jako rynek zbytu dla amerykańskich towarów. Roosevelt, choć bez takiego forum, występował w tej sprawie równie gorliwie wszędzie, gdzie go słuchano. Krzykliwa kampania prowadzona przez niego i przez Lodge'a dotarła do pewnego dostojnego słuchacza, nie wzbudzając jego zachwyty.

Charles William Eliot, rektor uniwersytetu Harvarda, najwybitniejsza postać Nowej Anglii, przemawiając w Waszyngtonie na temat szeroko dyskutowanej sprawy międzynarodowego arbitrażu, potępił doktrynę dżyngoizmu jako „ofensywną”. Doktryna ta, wywodząca się z krajów, gdzie zawsze istniała klasa wojskowych, jest, jak mówił, „całkowicie obca społeczeństwu amerykańskiemu... jednak niektórzy z moich przyjaciół usiłują ją przedstawić jako amerykański patriotyzm”. Sformułował potem wyraźnie zasady, które, jego zdaniem, wyróżniają Amerykę spośród starych krajów. „Tworzenie marynarki i utrzymanie dużej stałej armii oznacza... porzucenie tego, co jest najbardziej amerykańskie... Tworzenie marynarki, a zwłaszcza budowa okrętów wojennych to polityka Anglii i Francji. Nigdy nie powinna być naszą”. Polityka amerykańska to opieranie się na sile pokoju, a dżyngości to wytwór „tkwiącej w człowieku wojowniczności”. Wymienił konkretnie jako dżyngoistów Lodge'a i Roosevelta, a prywatnie, jak wyszło na jaw, nazywał ich „zdegenerowanymi synami Harvardu”.

Eliot cieszył się największym autorytetem. Pochodził z rodziny Eliotów i Lymanów, którzy osiedlili się w Nowej Anglii w siedemnastym wieku i należeli do grupy uważającej się za najlepszą. „Elizo — protestowała pani Eliot, gdy jedna z jej przyjaciółek przystępowała do Kościoła episkopalnego — czy klękasz w kościele i mówisz sobie, że jesteś nędzną grzesznicą? Ani

ja, ani nikt z mojej rodziny by tego nie zrobił!” Ojciec Charlesa Williama Eliota, burmistrz Bostonu i kongresman, był również skarbnikiem w Harvardzie, członkiem siedmioosobowej korporacji, organu kierującego Harvardem; który pewien angielski obserwator nazwał „rządem siedmiu kuzynów”. Sam Charles William jako rektor Harvardu prowadził przez ćwierćwiecze nieustającą walkę przeciw tradycjonalistom, pragnąc przekształcić uczelnię z zacofanej osiemnastowiecznej oazy we współczesny uniwersytet. Jak powiedział rektor Hyde z Bowdoin, był on w tym okresie „niezrozumiany, oczerniany, fałszywie przedstawiany, znienawidzony”, a sam Eliot przyznawał, że podczas wszystkich wystąpień publicznych w tych latach miał wyraźne uczucie, że zwraca się do wrogiego audytorium. Nie powstrzymało go to, bo miał naturę bojownika. Nie starał się nikomu przypodobać. Wzrostu ponad sześć stóp, z „plecami wioślarza i poważną, jakby wyrzeźbioną głową”, był „postacią szlachetną”, urodzoną do rozkazywania. Poziomkowe znamię, które pokrywało jedną stronę jego twarzy i podnosiło kącik ust w grymas pozornej dumy, odsunęło go od rówieśników i skłoniło do samotności. Choć musiał przezwyciężyć ten uraz, a i dodatkowe utrudnienie, a mianowicie że, jako profesor chemii, reprezentował nauki ścisłe, został jednak mianowany rektorem Harvardu w wieku trzydziestu pięciu lat. Swój ideał postępowania określił słowami: „dżentelmen, który jest równocześnie demokratą. Był nieugięty w tym, co uważał za słuszne. Kiedy pewien gracz baseballowy, gwiazda Harvardu, został usunięty z drużyny z powodu złych stopni, Eliot powiedział podobno, że to żadna strata, bo jest to gracz, który ucieka się do podstępu, i wyjaśnił: „Chępli się przecież, iż udawał, że rzuca piłkę w jednym kierunku, aby potem rzucić ją w inny!”

Mimo ospałości konserwatystów udało mu się zapoczątkować program nowoczesnych studiów, wprowadzić system obieralny, zebrać wykładowców, dzięki którym Harvard wszedł w swój wiek złoty, nadać Wydziałowi Prawnemu i Medycznemu prestiż i wybitną rangę, a przez swój wpływ zmodernizować cały amerykański system studiów wyższych. Kiedy w roku 1894, mając sześćdziesiąt lat, obchodził dwudziestopięciolecie swej pracy jako rektor, dawna niechęć przerodziła się już w szacunek i podziw. Nieoczekiwanie uznano go za najwybitniejszego rektora Harvardu i „pierwszego prywatnego obywatela kraju”. Mówiono, że otwarcie Filharmonii Bostońskiej nie może się bez niego odbyć. Czerwone znamię nie wydawało się już skazą, lecz „symbolem triumfu nad upośledzeniem losu”.

Roosevelt, wówczas trzydziestoosmioletni, uważał Eliota za jednego z upartych konserwatystów, który nie chce zrozumieć, że oczywista przyszłość Ameryki leży na zewnątrz. Głęboko przejęty poglądami Mahana sądził, że jest konieczne, aby jego kraj uzbroił się odpowiednio do tej wielkiej roli, jaką mu gotowała historia. Niechęć do tej roli, występująca u wielu współczesnych wpływowych ludzi, sprawiła mu zawód i nadała jego głosowi jeszcze ostrzejszy ton. „Jeśli kiedyś staniemy się niczym jako naród — pisał do Lodge'a, dowiedziawszy się, że nazwano ich „zdegenerowanymi synami Harvardu” — to dlatego, że nauki Carla Schurza, rektora Eliota, «Evening Post» i bezpłodnych sentymentalistów z rodzaju tych od międzynarodowego arbitrażu «wytworzą» słaby, bojaźliwy typ osobowości, który zaprzepaści wszystkie bojowe cechy naszej rasy”.

Do wściekłości doprowadzała go myśl, że teraz, kiedy rysuje się perspektywa wojny z Hiszpanią, taki właśnie słaby, bojaźliwy człowiek zasiada w Białym Domu. Roosevelt uznał, że w administracji musi się znaleźć koniecznie ktoś czujny i zdolny poczynić przygotowania do wielkich zdarzeń. Uparł się, aby koniecznie zetknąć człowieka, który dobrze rozumie nowe przeznaczenie — siebie samego — z instrumentem, od którego wszystko zależy — z marynarką. Funkcję ministra marynarki u McKinleya sprawował niefrasobliwy i uprzejmy pan, były gubernator Massachusetts, John D. Long. Roosevelt uważał, że jeśli on sam zostanie mianowany podsekretarzem, potrafi, dzięki większej energii i sile przekonań, przejąć w swoje ręce ster władzy w tym resorcie.

Tak samo myśleli wszyscy inni. Long powiedział z pewną obawą: „Roosevelt ma charakter, stanowisko, zdolności i reputację upoważniające go do zostania ministrem — czy to nie jest dla niego zbyt mało?” Po rozmowie z McKinleyem w jego sprawie, Lodge pisał do swego przyjaciela, że jedyne, co przemawia przeciw niemu, to „obawa, że będziesz chciał walczyć z kimś natychmiast”. Niemniej jednak McKinley, ulegający jak zwykle silniejszym osobowościom, mianował Roosevelta 5 kwietnia 1897 roku, a nominacja ta zatwierdzona została 8 kwietnia. S. S. McClure, popędliwy i spostrzegawczy wydawca „McClure's Magazine”, wyczuł, skąd przyszła ta nominacja i dokąd prowadzi. „Trzeba natychmiast porozmawiać z Mahanem — pisał do swego współnika. — Jest największym w naszym stuleciu biografem i uczonym w dziedzinie marynarki, a ta jego dziedzina stanie się coraz bardziej popularna”. McClure, podobne dziecię epoki, wiedział, co zrobi jego bliźniaczy brat.

„Roosevelt wydaje się stąd wielki — pisał dalej. — Napisz do niego i postaraj się dostać od niego materiał w sprawie marynarki. Mahan i Roosevelt są ludźmi naszego formatu”. Rzeczywiście tak było. McClure podzielał ich poczucie władzy i siły oraz świadomość wielkiej okazji. W ostatnim roku stulecia, chcąc pozyskać na redaktora Waltera Hinesa Page'a, zatelefonował do niego: „Muszę się z panem natychmiast zobaczyć. Mam coś kolosalnego!” Kiedy Page zgodził się przyjechać, McClure szalenie się ucieszył i odpowiedział, że staną się najsilniejszym konsorcjum wydawniczym na świecie. „Och, mój drogi chłopcze, jesteście ludźmi, którzy mają lata przed sobą!”

Odżyła teraz długo torpedowana sprawa aneksji Hawajów. Chcąc pobudzić McKinleya, Roosevelt poinformował go raportem z 22 kwietnia, że Japończycy wysłali do Honolulu krążownik. Napisał do Mahana z zapytaniem, jak rozwiązać polityczny problem zawładnięcia wyspami. „Nie rób nic niewłaściwego — brzmiała klasyczna odpowiedź — ale najpierw weź wyspy, a problem rozwiąż potem”. Roosevelt odpowiedział, że gdyby mógł robić jak chce, wyspy byłyby anektowane „jutro”, Hiszpania zostałaby wypędzona z Indii Zachodnich, nowe okręty zostałyby wybudowane natychmiast, połowa z nich na wybrzeżu Pacyfiku. Informował, że część Kongresu wykazuje godną pożałowania skłonność, aby wstrzymać budowę floty, dopóki nie ustabilizuje się sytuacja finansowa. „Ku mojemu zdumieniu i oburzeniu Tom Reed podziela to stanowisko”.

Reed, panując wciąż w pełni nad posłami republikańskimi, mógłby stłumić wśród nich jakąkolwiek niezdrową żądę aneksji, lecz jako przewodniczący obowiązany był przeprowadzać w Izbie politykę administracji. Pozostawało pytanie, co stanowi politykę administracji, ociąganie się McKinleya czy pęd „na zewnątrz” Lodge'a i Roosevelta, podsycany przez idee Mahana i perswazje trustu cukrowniczego? Odpowiedź nadeszła w czerwcu, kiedy nowy traktat o aneksji został zawarty z rządem hawajskim, podpisany przez McKinleya i przesłany Senatowi do ratyfikacji. Choć prawdopodobieństwo zebrania dwóch trzecich głosów senatorów za układem było niewielkie, przeciwnicy ekspansji zaniepokoiili się. Carl Schurz, którego McKinley, zawsze chcący się przypodobać, zapewniał przedtem, że nie jest zainteresowany aneksją Hawajów, poruszył tę sprawę w Białym Domu, przy poobiednim cygarze. McKinley, bardzo zakłopotany, twierdził, że przedłożył traktat Senatowi tylko w celu uzyskania opinii.

Niemniej Schurz odszedł z sercem „ciężkim od złych przeczuć”. W Anglii „Spectator”, nieco podenerwowany, pisał, że traktat stanowi „koniec historycznej polityki republiki, od czasu jej założenia... i będzie oznaczał jej stopniową ewolucję w kierunku mniej pokojowego, a może nawet militarne go mocarstwa”.

W sprawie Kuby kraj ogarniało coraz większe podniecenie. Reed patrzył z pogardą na wywołane przez Hearsta rozjuszenie z powodu hiszpańskiego ucisku, a za hipokryzję uważał poparcie republikanów dla Kuby. Widział, że jego partia traci moralną uczciwość i staje się partią politycznego oportunisty w odzwie na krzyki ciemnego tłumu. Bez skrupułów wstrzymał uchwałę uznającą prowadzenie wojny przez republikę Kuby. Skorzystał z czasopism, by argumentować przeciw ekspansji w artykule, którego tytuł *Imperium może poczekać* stał się hasłem skupiającym przeciwników aneksji Hawajów. Wypowiedział to straszne słowo; dotychczas takie jednoznaczne określenia, jak „imperium” i „imperializm”, oznaczające walkę mocarstw europejskich o Afrykę, a walka ta wtedy doszła do punktu kulminacyjnego, nie były nigdy używane w Stanach Zjednoczonych. James Bryce, jedyny może Anglik, którego rad należałoby słuchać, namawiał Amerykanów, aby odżegnali się od polityki aneksji. Odległe położenie Ameryki i jej olbrzymia potęga, pisał w „Forum”, uwalnia ją od ciężaru zbrojeń, przygniatającego mocarstwa europejskie. Jej misją na świecie jest „dać innym narodom i państwom przykład wstrzymywania się od kłótni, wojen i podbojów, które stanowią tak dużą i pożałowania godną część dziejów Europy”. Poddanie się „głodowi ziemi”, szalejącemu teraz wśród państw europejskich, byłoby „całkowitym odejściem od zasad sławnych założycieli republiki”. Za tymi trzeźwymi słowami dawała się wyczuć miłość człowieka do tego, co jest celem jego życia, i błaganie skierowane do Ameryki, aby nie zaprzepaściła nadziei, jaka towarzyszyła jej narodzinom.

Mahan, planując strategię wojny z Hiszpanią, wybiegł już myślami poza Hawaje, do odległych posiadłości hiszpańskich, Filipin. Nie powodował nim głód ziemi, lecz górujące nad wszystkim wyobrażenie potęgi morskiej, które wywołało jego wielkie pompatyczne słowa o marynarce brytyjskiej w wojnach napoleońskich: „Te odległe, miotane burzami okręty, których Wielka Armia nigdy nie widziała, przeszkodziły jej w opanowaniu świata”. Pod koniec 1897 roku włączył się do coraz bardziej ożywionej dyskusji swoją książką *Zainteresowanie Ameryki potęgą morską (The Interest of*

America in Sea Power), stanowiącą zbiór najważniejszych jego artykułów z ubiegłych siedmiu lat. Radził również Rooseveltowi, aby mianował nowego komandora Eskadry Azjatyckiej, takiego, co do którego można by mieć pewność, że zareaguje energicznie, gdy nadejdzie moment próby. Wybrano komandora George'a Deweya i określono z góry jego zadanie. „Nasza Eskadra Azjatycka powinna zablokować i, w miarę możliwości, zająć Manilę”, pisał Roosevelt do Lodge'a 21 września 1897 roku; dołożył też starań, aby zaopatrzyć Eskadrę Azjatycką w węgiel potrzebny do przygotowania akcji.

15 lutego 1898 nastąpił wybuch na amerykańskim krążowniku pancernym „Maine”; zatonął on w porcie Hawany, zginęło 260 ludzi. Choć nie stwierdzono nigdy przyczyny wybuchu, wobec panujących ówczesnie nastrojów przypisywano to naturalnie podłej hiszpańskiej intrydze. Wśród rzeczników wojny wybuchła histeria, zwolenników pokoju nie dopuszczono do głosu. McKinley trzymał się z dala, lecz obawiając się rozłamu w partii, szybko ustąpił przed wrzawą. Nie zrobił tego przewodniczący Reed. W czasie trwających dwa miesiące negocjacji, mających zmusić Hiszpanię do wojny, robił, co tylko mógł, aby powstrzymać falę, ograniczając czas debaty, anulując uchwały uznające niepodległość Kuby. Kiedy senator Proctor, właściciel kamieniołomów marmuru w Vermont, w swoim przemówieniu poparł całą siłą zwolenników wojny, Reed wyjaśnił: „Stanowisko Proctora było do przewidzenia. Wojna stworzy duży popyt na nagrobki”. Atakowała go prasa prowojenna, a jego decyzje wywoływały niechęć w Izbie, która na ogół — jak cały kraj — chciała wojny. „Ambicja, interesy, głód ziemi, duma, czysta radość walki, cokolwiek by to było — przyznawał „Washington Post” — jesteśmy ożywieni nowym uczuciem... Naród czuje w ustach smak imperium, tak jak czuje się w dżungli smak krwi”.

Psychoza była zbyt silna, by Reed mógł ją opanować. Zapytany pewnego ranka przy śniadaniu przez reportera o swoje uwagi na temat masowego pędu do wojny, pokazał mu dopiero co otwarty list od gubernatora Mortona z Nowego Jorku, który go namawiał, żeby zszedł z podium na salę i wyperswadował posłom interwencję. „Wyperswadować im! Gubernator może mnie równie dobrze prosić, żebym stanął w środku pustkowia w Kansas i wyperswadował coś cyklonowi” ss. Nie mógł powstrzymać obrad nad ultimatum dla Hiszpanii; wyniki głosowania Izby w tej sprawie — 311 do 6 — świadczyły o sile cyklonu. Do jednego z sześciu głosujących przeciw

Reed powiedział: „Zazdroszczę panu, że mógł pan pozwolić sobie na ten głos. Moje miejsce nie pozwoliło mi tak uczynić”.

Wojna została wypowiedziana 25 kwietnia 1898 roku. Mahan, przebywający wówczas w Rzymie, na zapytanie reporterów, jak długo jego zdaniem będzie trwała, odpowiedział, jak się później okazało, z doskonałym wyliczeniem: „Okolo trzech miesięcy”. Wrócił natychmiast i został mianowany jednym z trzech członków rady wojennej marynarki. Roosevelt posłał mu plan kampanii na Filipinach i po otrzymaniu jego uwag napisał: „Bez wątpienia stoi pan o głowę wyżej od nas wszystkich. Dał nam pan właśnie takie sugestie, jakich nam było trzeba”.

30 kwietnia eskadra komandora Deweya wpłynęła do Zatoki Manilskiej i po jednodniowym bombardowaniu, rozpoczętym na klasyczny rozkaz: „Możesz strzelać, gdy będziecie gotowi, Gridley”, zniszczyła lub unieszkodliwiła eskadrę hiszpańską i baterie nadbrzeżne. Nigdy jeszcze kraj nie przeżył takiego porywu dumy. NAJWIĘKSZA MORSKA AKCJA BOJOWA WSPÓŁCZESNOŚCI, pisano w tytule. Powstał naraz problem, o którym niewielu tylko pomyślało wcześniej: Co robić dalej? Większość Amerykanów nie wiedziała, jak twierdził np. Dooley, czy Filipiny to wyspy, czy konserwy, i nawet McKinley wyznał, że „nie umiałby określić położenia tych cholernych wysp w granicach 2000 mil”. Stronnicy Mahana dobrze wiedzieli, gdzie się one znajdują i co się ma z nimi stać. W cztery dni po zwycięstwie Deweya Lodge pisał: „Nie możemy pod żadnym pozorem zostawić wysp... Flaga amerykańska została podniesiona i musi tam zostać”. Proste rozwiązanie senatora Lodge'a nie brało pod uwagę zgody rządzonych, choć już od trzydziestu lat istniał niepodległościowy ruch filipiński, a wielu Filipińczyków walczyło o wolność, cierpiało w więzieniach, wygnanie i śmierć. Ich przywódcą był Emilio Aguinaldo, młody, dwudziestoosmioletni mężczyzna, przebywający na wygnaniu w Hongkongu. Po zwycięstwie Deweya wrócił natychmiast na Filipiny.

W Ameryce wybuch wojny prowadzonej na terenie nieprzyjacielskim i nie zagrażającej ojczyźnie nie zmusił do milczenia jej przeciwników, lecz zelektryzował ich. Zjednoczyli się nagle pod nazwą antyimperialistów. Profesor Norton, liczący wówczas ponad siedemdziesiąt lat, ściągał potoki obelg i grózb gwałtu na swój dom, a także na swoją osobę za to, że namawiał studentów, żeby nie zaciągali się na wojnę, w której „wyrzucamy jak balast wszystko, co było najcenniejsze w naszym narodowym ładunku”. Choć

„pewien irlandzki polityk z Bostonu groził mu linczem,” choć prasa nazywała go „zdrajcą” i potępił go nawet senator Hoar z Massachusetts, Norton cierpiał tak bardzo z powodu wypadków w kraju, że nic nie mogło go powstrzymać. W przemówieniu na zebraniu Kościoła kongregacjonistów w Cambridge wyraził żal i gorycz, że teraz, z końcem stulecia, które przyniosło tak wielki postęp wiedzy i nadzieję pokoju, Ameryka zwraca się przeciw swoim ideałom i „pogrąża się w niesprawiedliwej wojnie”.

Odezwali się także inni ludzie w Bostonie. Należał do nich Moorfield Storey, przewodniczący Klubu Reform i Ligi Reformy Administracji, były przewodniczący Amerykańskiego Stowarzyszenia Adwokatów; drugim był Gamaliel Bradford, niepohamowany krytyk rządu, znany ze swych jednoosobowych krucjat w formie licznych listów do gazet. Pierwszy Story (bez litery „e” w nazwisku) osiedlił się w Massachusetts w roku 1635, a Bradford był potomkiem pierwszego gubernatora kolonii Plymouth. We dwóch zorganizowali zebranie protestacyjne w Faneuil Hall i tutaj 15 czerwca 1898 roku, w trzy dni po ogłoszeniu deklaracji niepodległości przez Aguinalda na Filipinach, założyli Ligę Antyimperialistyczną. Jej przewodniczącym został osiemdziesięcioletni republikanin, George S. Boutwell, były senator z Massachusetts i były minister skarbu za prezydenta Granta. Liga nie postawiła sobie za cel protestu przeciw wojnie jako takiej, lecz domagała się, aby wojna podjęta jako oswobodzicielska nie została zamieniona w imperialistyczną. Liga twierdziła, że dążenie do potęgi, pieniędzy i chwały za granicą odsunie na plan dalszy reformy w kraju i w konsekwencji doprowadzi do silnego rządu centralnego kosztem uprawnień stanowych i swobód lokalnych. Amerykanie, nim wezmą obce narody pod swe panowanie, mają dość do zrobienia w kraju: muszą rozwiązać problemy korupcji w organach komunalnych, walki między kapitałem a pracą, nieuporządkowanej waluty, niesprawiedliwego opodatkowania, wykorzystywania funkcji urzędowych do protekcyjnego obsadzania stanowisk, a także problem praw ludności kolorowej na Południu i Indian na Zachodzie.

Te zagadnienia absorbowwały reformatorów — niektórzy z nich, razem z niezależnymi i różnego rodzaju dysydentami oraz z wybitnymi demokratami, których partia z konieczności stała się teraz antyekspansjonistyczna, zrzeszyli się pod sztandarem Ligi. Pośród jej czterdziestu jeden wiceprezydentów znaleźli się wkrótce: eks-prezydent Cleveland, jego minister wojny William

Endicott; były minister skarbu, przewodniczący Izby Carlisle, senator „Pitchfork Ben” („Widlasty Ben”) Tillman; rektor David Starr Jordan ze Stanford; rektor James B. Angell z uniwersytetu w Michigan, Jane Addams, Andrew Carnegie, William James, Samuel Gompers, prezydent Amerykańskiej Federacji Pracy, oraz wielu innych kongresmenów, duchownych, profesorów, prawników i pisarzy. Powieściopisarz William Dean Howells uważał wojnę za „ohydłą sprawę”. Kiedy jego przyjaciel, Mark Twain, powrócił po dłuższej podróży zagranicznej, przystąpił również do Ligi. Oprócz „Evening Post” Godkina wyrazicielami jej poglądów były głównie następujące pisma: „Herald” z Bostonu, „Sun” z Baltimore, „Republican” ze Springfield, a dwie inne republikańskie gazety, bostoński „Evening Transcript” i filadelfijski „Ledger”, także popierały Ligę.

Antyimperialiści mieli za sobą duże poparcie społeczne, którego źródłem były kłopoty z Murzynami po wojnie domowej i niechęć do przyjmowania dalszych kolorowych narodowości. Godkin pisał bez ogródek w „Nation”, że „podległe terytoria zamieszkałe przez ciemne i niższe rasy”, z którymi Amerykanie nie mają żadnego związku „oprócz tego, jaki będzie potrzebny do pozyskania głosów przy wyborach i w celach korupcji”, nie przyniosą nic prócz większych kłopotów. Tego samego argumentu użył Carl Schurz przeciw budowie kanału, mówiąc, że kiedy imperialiści „raz zaczną na dobre proces powiększania państwa”, będą nalegać, aby po obu stronach kanału znajdowały się terytoria amerykańskie, i zechcą zaanektować kraje „z ludnością składającą się z 13 000 000 Hiszpano-Amerykanów pomieszanych z Indianami”, a wtedy dwudziestu senatorów i pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu posłów tych terytoriów zapełni Kongres. Hawaje, gdzie jest znacznie więcej tubylców niż białych, przedstawiają tę samą groźbę.

Antyimperialiści nie porwali za sobą populistów ani zwolenników Bryana, ani tych, którzy wkrótce mieli nazwać się progresywistami. Grupy te sprzeciwiały się stałym armiom, wielkim marynarkom, mieszaniu się w sprawy zagraniczne i były w teorii antyimperialistyczne, antimilitarne i antyeuropejskie, lecz równocześnie ulegały gorączce walki z Hiszpanią jako okrutnym tyranem europejskim, depreczującym wolność u progu Ameryki. Bryan wzywał do wojny tak głośno jak Roosevelt i pełen szczerego zachwytu postarał się, choć nie tak prędko, o nominację na pułkownika Trzeciego Pułku Ochotników z Nebraski, za późno, żeby widzieć akcję na Kubie. Najgłośniej ze wszystkich krzyczał młody prawnik z Indianapolis, znany już

w wieku trzydziestu sześciu lat jako mówca polityczny, który wkrótce potem został przywódcą progresywistów. Albert Beveridge opiewał urok imperium i uniesienia nacjonalistycznego wyrażającego się w kategoriach rozległych dominiów w sposób najbardziej porywający. Podobnie jak Bryan, posiadał on ten niebezpieczny dar krasomówstwa sugerującego działanie, a nawet myślenie. Wojna wprowadzała Beveridge'a w euforię.

„Jesteśmy rasą zdobywcą — głosił w Bostonie w kwietniu, jeszcze przed zwycięstwem w Zatoce Manilskiej. — Musimy być posłuszni naszemu dziedzictwu i zająć nowe rynki, a w razie potrzeby nowe kraje... Według boskiego planu Wszchemogącego... upodlone cywilizacje i podupadłe rasy” muszą ustąpić „wobec wyższej cywilizacji szlachetniejszego i mężniejszego typu człowieka”. Pangermanie w Berlinie i Joseph Chamberlain w Anglii także mówili o misji rasy wyższej, teutońskiej czy też anglosaskiej, ale Beveridge nie potrzebował ich nauk; do wszystkiego doszedł sam. W ówczesnych wydarzeniach widział „rozwój potężnego narodu i jego niezależnych instytucji” oraz spełnienie marzenia, „jakie Bóg tchnął w umysły” Jeffersona, Hamiltona, Johna Brighta, Emersona, Ulyssesa S. Granta i inne „królewskie intelekty”; marzenia „o ekspansji Ameryki, aż wszystkie morza zakwitną tym kwiatem wolności, flagą wielkiej Republiki”. W oczach Beveridge'a flaga miała utorować drogę nie tyle dla wolności, co dla handlu. Amerykańskie fabryki i amerykańska ziemia produkuje więcej, twierdził, niż naród amerykański może skonsumować. „Los zadecydował o naszej polityce; handel światowy musi być i będzie nasz. Nasza marynarka handlowa pływac będzie na wszystkich oceanach. Zbudujemy flotę na miarę naszej wielkości... Amerykańskie prawo, amerykański porządek, amerykańska cywilizacja zapanuje w krajach dotychczas krwiożerczych i pogrążonych w ciemnocie, które jednak dzięki temu Boskiemu pośrednictwu staną się odtąd piękne i jasne”.

Beveridge dał się do tego stopnia unieść powabom wielkości, że miecz, którym wymachiwał, zbyt wyraźnie błyszczał swą nagością. Mówił o Pacyfiku jako o „właściwym polu naszych operacji. Hiszpania ma tam wyspiarskie imperium na Filipinach... Stany Zjednoczone mają tam potężną eskadrę. Logika wskazuje, że Filipiny są naszym pierwszym celem”.

W czasie łąta, kiedy inni walczyli jako ochotnicy na Kubie, chorowali na żółtą febrę, na którą to chorobę zmarło ponad pięć tysięcy, osobista odpowiedź Beveridge'a na zew krwi pozostawała w sferze retoryki.

Wyszydział argumenty antyimperialistów: „Kuba nie sąsiaduje z nami? Puerto Rico nie sąsiaduje? Filipiny nie sąsiadują?... Dewey, Samson i Schley uczynią je sąsiadami, a amerykańska siła, amerykańskie działa, amerykańskie serce, umysł i energia utrzymają je jako sąsiadów na zawsze!... Któż ośmiela się powstrzymać to teraz, teraz, kiedy jesteśmy wreszcie narodem dość silnym, aby podjąć się każdego zadania, dość wielkim, aby udźwignąć wszelką chwałę, jaką przeznaczenie zechce nam zgotować?” Następnego roku Beveridge został wybrany senatorem. „Jesteśmy wielkim narodem — zauważył Mr. Dooley. — A najlepsze w tym jest, że o tym wiemy”.

Theodore Roosevelt był w tym czasie na froncie. Choć zajmował wysokie i bardzo ważne stanowisko, zdecydował z góry, że je opuści dla czynnej służby, jeśli dojdzie do wojny. Gdy z nich zadrwiono, że są „dzyngoistami w salonie i na fotelu”, pisał w liście prywatnym do przyjaciela: „Moje pozytywne możliwości, jakiegokolwiek by były, skończyłyby się — gdybym nie próbował żyć stosownie do doktryn, które starałem się głosić”. Natychmiast po Manili zrezygnował ze stanowiska podsekretarza w Ministerstwie Marynarki, nie przyjął dowództwa pułku kawalerii ochotniczej, które mu zaproponował minister wojny, Ager, ale poprosił o funkcję podpułkownika pod warunkiem, że dowództwo zostanie powierzone jego przyjacielowi pułkownikowi Leonardowi Woodowi z armii stałej. Tak się stało. Dwa miesiące później, 24 czerwca, brał udział w akcji w San Juan Hill. 3 lipca walka na lądzie zakończyła się, zapalony „Ujeżdżacz” („Rough Rider”) urósł do rangi bohatera i w listopadzie został triumfalnie wybrany gubernatorem Nowego Jorku.

Tymczasem w Kongresie rozgorączkowanym wojną rzecznicy aneksji Hawajów dostrzegli nową okazję. Nie mogąc wciąż zebrać dwóch trzecich Senatu, postanowili przeprowadzić aneksję w formie tzw. Wspólnej Rezolucji (*Joint Resolution*), która wymagała tylko zwykłej większości. Rezolucja została przedłożona Senatowi 16 marca, lecz Reedowi udało się nie dopuścić jej pod obrady Izby przez cały pełen podniecenia kwiecień. Jego bezwzględne panowanie nad członkami partii czyniło z niego, jak pisał 15 kwietnia „Washington Post”, „najniebezpieczniejszego przeciwnika w życiu publicznym”. Był rzeczywiście jedynym człowiekiem, którego nieposkromiony Beveridge nie chciał prowokować. Ponaglany, aby napisał do Reeda i przekonał go, żeby nie przeciwstawiał się ekspansji, Beveridge odpowiedział: „Czuję, że wszelkie moje wysiłki będą zupełnie nieskuteczne

wobec mocnego jak Gibraltar ducha i woli przewodniczącego”.

Kiedy jednak wojna dotarła do Pacyfiku, nawet Reedowi trudno było utrzymać żelazną dyscyplinę. Zirytowany powiedział do Champa Clarka z Missouri, że chciałby, aby Dewey „natychmiast stamtąd odpłynął. Jeśli tego nie zrobi, będziemy z tym mieli kłopoty po wszystkie czasy”. Zwolennicy aneksji argumentowali, że jeśli Stany Zjednoczone nie wezmą Hawajów, weźmie je Wielka Brytania lub Japonia, która już stara się zdobyć tam władzę, popierając zasiłkami rządowymi imigrację obywateli japońskich. Ponadto wyspy te znajdują się teraz na amerykańskim szlaku. „Hawaje są nam potrzebne tak bardzo, a nawet bardziej, niż potrzebna była Kalifornia — powiedział McKinley do swego sekretarza 4 maja. — To jest oczywiste Przeznaczenie”.

4 maja rezolucja została przedłożona Izbie. Reed opierał się przez trzy tygodnie wbrew wzrastającemu naciskowi. Argument, że opanowanie Hawajów jest niezbędne dla pokonania Hiszpanii na Pacyfiku, uważał za czysty pretekst wymyślony przez przemysł cukrowy i przez imperialistów. Pod tym względem nie zgadzał się z prezydentem, z całą prawie swoją partią w Kongresie i z przyjaciółmi spoza Kongresu. „Opozycja wychodzi teraz wyłącznie od Reeda, który czyni wszystko, by położyć sprawę Hawajów”, pisał Lodge do Roosevelta. Reed poszedł nawet tak daleko, że zjednał sobie pomoc demokratów. Kiedy Champ Clark, przyszły przewodniczący i przyjaciel Reeda — choć demokrat — prosił go o przydzielenie do Komisji Budżetowej, Reed usilnie nalegał, aby zgodził się zamiast tego zasiąść w Komisji Spraw Zagranicznych, gdzie potrzebował jego pomocy jako „człowieka, który wierzy w to, co ja, i który umie walczyć”. „Jeśli tak stawiasz sprawę — odpowiedział Clark bardzo wzruszony — będę stał po twojej stronie”. Zgodził się poświęcić pożądane od dawna stanowisko, aby pomóc najzagorzalszemu przeciwnikowi swojej partii.

W partii Reeda wzrastał opór. 24 maja posłowie republikańscy uciekli się do nie stosowanego zazwyczaj kroku i podpisali petycję o zwołanie zebrania partyjnego celem rozważenia rezolucji. Postawiło to Reeda wobec wyzwania ze strony tego wszystkiego, co walczył w swojej bitwie przeciw milczącemu quorum. Podstawowym założeniem tej walki i Norm Reeda było przekonanie, że zwyciężać musi wola Izby wyrażona większością. Reed wiedział, że ze swej nienaruszalnej pozycji wysoko ponad posłami, ze swym mistrzowskim opanowaniem techniki proceduralnej przy współpracy Clarka

mógłby nie dopuścić do głosowania nad Rezolucją Hawajską, nie miał jednak wpływu na zmianę nastrojów. Wiedział, że jego partia, partia większości, chciała aneksji, i że Izba na ogół była za tym. Siłą całego swego autorytetu mógłby udaremnić rezolucję, lecz jeśli tak zrobił, jego obecny sukces przekreśliłby całkowicie to, co uprzednio uzyskał: reformę, dzięki której Izba rzeczywiście sama decyduje, dzięki której żadne triki proceduralne, żadne arbitralne zarządzenia przewodniczącego nie mogą zablokować woli większości. Teraz wystawiony został na próbę cel walki o quorum i z tragiczną ironią losu skierował się przeciw niemu samemu. Musiał wybierać między nienawistnym mu zaborem obcego kraju a swym obowiązkiem przewodniczącego, między swymi najgłębszymi przekonaniem z jednej strony a Normami Reeda z drugiej.

Pozostawało mu tylko jedno. Znając zbyt dobrze wartość tego, co osiągnął na Pięćdziesiątym Pierwszym Kongresie, ugiął się przed większością. Debata rozpoczęła się 11 czerwca, a 15 czerwca rezolucja przeszła większością 209 głosów przeciw 91, przy czym republikanie prawie jednogłośnie ją poparli. Reed nie przewodniczył. Zastępca, poseł Dalzell, oznajmił przed głosowaniem: „Przewodniczący Izby jest nieobecny z powodu choroby. Prosił mnie, żeby powiedzieć, że gdyby był obecny, głosowałby «nie»„. Pismo „Nation” stwierdziło, że Reed zajął takie stanowisko „sam jeden” w swojej partii. „Odwaga przeciwstawienia się powszechnej psychozie, a przede wszystkim wystąpienia przeciw partii, nie jest cnotą polityczną tak pospolitą, abyśmy mogli przejść obok niej nie wyrażając uznania dla człowieka, który ją wykazuje”.

Aneksja Hawajów została formalnie ratyfikowana 7 lipca, w cztery dni po zakończeniu wojny kubańskiej bitwą morską pod Santiago. Flota hiszpańska, usiłująca sforsować amerykańską blokadę, została tam zniszczona silniejszym ogniem pięciu niedawno zbudowanych okrętów wojennych, „Indiany”, „Oregonu”, „Massachusetts”, „Iowy” i „Teksasu”. W dwa tygodnie po poddaniu się Santiago zakończyło się panowanie hiszpańskie, obalone nie przez powstańców kubańskich, lecz przez Stany Zjednoczone. Kiedy doszło do negocjacji pokojowych, cała namiętność, którą przez trzy lata hojnie poświęcano sprawie niepodległości Kuby, wszystkie uchwały Kongresu sprzyjające uznaniu niezależnej Republiki Kubańskiej i zaprzeczające intencjom zajęcia jej okazały się poważną przeszkodą dla „sprawy koniecznej” senatora Lodge'a. Nie można było zabrać Kuby jako

owocu zwycięstwa, choć strategiczne i handlowe korzyści tego stanowiły wielką pokusę, pozostała jednak dostępna mniejsza wyspa, Puerto Rico. Hiszpania, zmuszona do zrzeczenia się Kuby i odstąpienia sąsiedniej mniejszej wyspy, została całkowicie usunięta z półkuli zachodniej. Stopień niezależności Kuby i charakter jej stosunków ze Stanami Zjednoczonymi miały zostać określone w obecności amerykańskiej armii okupacyjnej. Doprowadziło to do Poprawki Platta z 1901 roku, ustanawiającej faktycznie protektorat amerykański.

Tymczasem 12 sierpnia podpisano wstępne warunki pokoju, pozostawiające jeszcze bardziej kłopotliwą kwestię Filipin do dalszych negocjacji przez specjalnych komisarzy pokojowych, którzy mieli się spotkać w Paryżu, celem zawarcia ostatecznego porozumienia. Robiąc bilans wojny Lodge mógł powiedzieć z pewną satysfakcją: „Urosliśmy do rangi jednego z wielkich mocarstw światowych i sądzę, że wywarliśmy w Europie trwałe wrażenie”. Mahan pisał w tej sprawie do pani Roosevelt w formie bardziej pompatycznej: „Pogodna młodość naszego narodu mija, kończy się i nigdy już nie powróci; teraz czekają nas troski i niepokoje lat dojrzałych”.

W kraju antyimperialiści chwyтали się wszelkich możliwych środków — zebrań, protestów, przemówień, artykułów, petycji i konferencji publicznych — aby zapobiec zabraniu archipelagu na Pacyfiku, który kusił zgubnym blaskiem, jak jabłko w rajskim ogrodzie. Carl Schurz usilnie namawiał McKinleya do powierzenia zarządu nad Filipinami jakiemuś mniejszemu mocarstwu, jak Belgia lub Holandia, aby Stany Zjednoczone mogły zostać „wielkim neutralnym mocarstwem świata”. Francja przechodziła wtedy „lato Dreyfusa”, a i Amerykanie czuli w tych miesiącach, że ich kraj doszedł do krytycznego momentu, mającego zdecydować o jego charakterze i przyszłości. Rozgorzały publiczne i prywatne dyskusje, czy należy zatrzymać Filipiny, czy oddać je Filipińczykom, aby się rządili sami. Nawet Mahan, zazwyczaj trzeźwy i praktyczny, zaraził się gorączką sprawiedliwości i pisał do przyjaciela w Anglii, że Ameryka ma obowiązek zatrzymać Filipiny. „Deus vult!” Był to okrzyk krzyżowca i purytanina; wątpię, czy człowiek może kiedykolwiek wydać szlachetniejszy okrzyk”.

W sierpniu zebrała się w Saratodze grupa przywódców życia publicznego, zarówno zwolenników, jak i przeciwników ekspansji, na trzydniowej konferencji mającej rozważyć „kilka najdonioślejszych problemów w historii Republiki”. Ulubionym tematem ekspansjonistów,

który pobudzał ich do najsilniejszej argumentacji, była wizja nie tkniętych jeszcze rynków Wschodu, przedstawiających nieograniczone możliwości dla amerykańskiej przedsiębiorczości. Henry Wade Rogers, rektor Uniwersytetu Północno-zachodniego, przewodniczący konferencji w dniu jej otwarcia, przemawiając w imieniu antyimperialistów podkreślał z naciskiem, że aneksja nie jest wcale potrzebna do handlowania z jakimiś terytoriami. Nie potrafił jednak zdobyć się na taką pasję, z jaką sędzia Grosscup, znany ze swojego nakazu w sprawie strajku pulmanowskiego, wygłosił gorący paean na cześć „nowego kierunku działalności handlowej, ku któremu, jak wierzę, zmierzamy”. Mając Filipiny i Hawaje w swoich rękach Stany Zjednoczone będą panowały nad szlakiem wiodącym do Azji, całego kontynentu z „drzwiami uchylonymi do wewnątrz, które zaprowadzą nas do połowy pożądanego terytorium i do jednej trzeciej ludności świata”.

Samuel Gompers występował przeciwko zajmowaniu obcych krajów, co w jego pojęciu stanowiło nie tylko zdradę amerykańskich zasad, ale także niebezpieczeństwo dla stopy życiowej amerykańskich pracowników. Do dziwnych związków dochodziło w imię antyimperializmu. Kiedy w czasie odbywającego się później zebrania w Chicago Gompers oświadczył, że zatrzymanie Filipin dowodziłoby, że „nasza wojna nie była prowadzona w słusznej sprawie”, Andrew Carnegie wysłał mu telegram gratulacyjny ze słowami: „Musimy trzymać się razem, aby ocalić Republikę”.

Po dłuższych rozważaniach i modlitwach prezydent McKinley powziął decyzję, jakiej pragnęli jego doradcy i większość w jego partii: trzeba zatrzymać Filipiny. W Paryżu dano do zrozumienia komisarzom hiszpańskim, że skończył się czas targów: decydowało posiadanie. Będą musieli ustąpić lub przygotować się na nową wojnę. Zaoferowano symboliczną zapłatę 20 000 000 dolarów, aby ułatwić akceptację tego, co nieuniknione. 10 grudnia podpisany został traktat paryski, przekazujący Stanom Zjednoczonym suwerenność nad Filipinami; suma 20 000 000 dolarów miała być wypłacona po ratyfikacji. „Kupiliśmy dziesięć milionów Majów na pniu po dwa dolary za głowę — powiedział cierpko Reed i dodał uwagę, która okazała się najbardziej proroczą ze wszystkich wypowiedzianych w owym czasie — ale nikt nie wie, ile nas będą kosztowały żniwa”.

Jak można się było już wówczas spodziewać, Aguinaldo i jego wojsko przyjęli wiadomość o układzie z rozgoryczeniem i bólem; wielu nie mogło

uwierzyć, że zamiast oswobodzicieli i sprzymierzeńców mają jedynie nowych zdobywców. Bez zorganizowanej armii i bez nowoczesnej broni przygotowywali się do ponownej walki, czekając na możliwą jeszcze zmianę. Wiedzieli, że w Stanach Zjednoczonych istnieje silny ruch antyimperialistyczny, i mieli pewną nadzieję, że Senat nie ratyfikuje traktatu.

W czasie zimowej sesji Kongresu, otwartej 5 grudnia 1898 roku, rozgorzała walka o traktat, silniejsza jeszcze niż w sprawie Hawajów. Liczył się każdy głos. Ażeby zebrać potrzebne dwie trzecie, republikanie pod wodzą Lodge'a jako głównego agitatora musieli użyć wszelkich sztuczek, wszelkich argumentów, wszelkich możliwych sposobów nacisku na swoich członków i na tych demokratów, którzy dawali się przekonać, podczas gdy przeciwnicy ekspansji walczyli, aby zatrzymać tylu senatorów, ilu trzeba było do jednej trzeciej plus jeden głos. W Izbie Reprezentantów niektórzy członkowie proponowali Reedowi w tym czasie koalicję demokratów i antyimperialistycznych republikanów, ażeby przeprowadzić uchwałę Izby przeciw traktatowi, co doprowadziłoby do jej upadku w Senacie. Choć nie było już wtedy tajemnicą w Waszyngtonie, że Reed „pogardza” administracją, odmówił jednak tej propozycji. Dopóki sprawował funkcję zobowiązującą go do przeprowadzenia decyzji rządu, nie chciał przewodzić buntowi opozycji. Jego zadanie jako przewodniczącego napawało go goryczą. „Reed jest strasznie rozgoryczony — pisał Lodge do Roosevelta — i prywatnie mówi różne okropne rzeczy o administracji i jej polityce, tak że trzymam się od niego z daleka, bo go lubię i przyznaję, że jego stanowisko jest dla mnie niewymownie przykre i bolesne”.

Ludność nie była zadowolona z filipińskiego przedsięwzięcia i niepewna co do swego obowiązku. Zwłaszcza demokraci i populiści uważali wojnę na Kubie za wojnę prowadzoną w imię wolności. Teraz jakieś igraszki losu sprawiły, że wojna stała się sposobem narzucenia suwerenności niechętnemu narodowi na prawach zdobywcy. Ameryka stała się nową Hiszpanią. W tej krytycznej chwili przekonywającej rady udzielili wspólnym wysiłkiem dwaj ludzie, obaj pełni takiego samego niezwykłego wyczucia historii w trakcie jej powstawania. 1 lutego 1899 roku S. S. McClure opublikował na dwóch stronach swego magazynu wierszowane napomnienie Rudyarda Kiplinga skierowane do Amerykanów w ich dylemacie:

*Dźwigaj białych ludzi brzemię,
Wyślij swych synów daleko,
Niechaj podbite plemiona
Otoczą troskliwą opieką;
Niech służą w ciężkim trudzie
Nowo zdobytym szczepom,
Strwożonym dzikim ludom,
Wpół diabłom, a wpół dzieciom.*

(...)

*Dźwigaj białych ludzi brzemię,
Prowadź te wojny pokoju,
Ujarmij głód i choroby
W surowym zaciętym boju.*

(...)

Nie wolno ci się uchylić...

Rozbrzmiał na nowo motyw słusznej sprawy; Kipling uderzył we właściwy ton połączenia szlachetnego przeznaczenia i bezinteresownej misji. Poemat, przedrukowywany i cytowany, rozprzestrzenił się w ciągu tygodnia szeroko po całym kraju i wiele zdziałał, przekonując wahających się do imperialistycznego zadania.

W Waszyngtonie przypuszczano, że przeciwnicy traktatu mogą dopiąć swego, bo republikanom brak było jednego głosu do dwóch trzecich potrzebnych do ratyfikacji. Nagle przyjechał William Jennings Bryan i ku zdziwieniu swoich zwolenników namawiał ich do głosowania z a traktatem. Jako przywódca Partii Demokratycznej miał zamiar zostać jej chorążym w roku 1900, ale zdawał sobie sprawę z potrzeby nowego sztandaru. W przekonaniu, że nie będzie mógł wygrać poruszając na nowo sprawę waluty srebrnej, gotów był ją porzucić na rzecz imperializmu, nowej korony cierniowej. Był pewien, że zatrzymanie Filipin wywoła dosyć kłopotów, aby

można było uczynić z tego sprawę płomiennej kampanii — ale najpierw trzeba do tego doprowadzić. Powiedział zatem swojej partii, że nie należy zwalczać traktatu. To niezwykle rozumowanie zdziwiło, a nawet wstrząsnęło tymi ustawodawcami, którzy sądzili, że chodzi o jakąś zasadę. Senator Pettigrew, „srebrny” senator z Południowej Dakoty, był tak rozdrażniony, iż powiedział mu w końcu, że niepotrzebnie przyjechał do Waszyngtonu z taką misją. Kiedy ważyła się ta sprawa, najważniejsza od czasu secesji, przechylenie szali zależało od głosów dwóch wahających się senatorów. Na niektórych zrobił wrażenie argument Bryana, że ratyfikowanie traktatu zakończy wojnę.

W tym momencie, kiedy głosowanie z niepewnym wynikiem wyznaczone zostało na 6 lutego i kiedy obie strony z niepokojem zabiegały o głosy, licząc każde możliwe za i przeciw, powstańcy na Filipinach rozpoczęli własną wojnę o niepodległość. W nocy 4 lutego siły ich zaatakowały pozycje amerykańskie pod Manilą. Choć wiadomość ta wywołała w Waszyngtonie różne szalone domysły, nikt nie mógł być pewien, jaki wywoła skutek. W ostatniej chwili skierowana została do Senatu petycja, podpisana przez byłego prezydenta Clevelanda, rektora Eliota z Harvardu i jeszcze dwadzieścia dwie znane w kraju osobistości; wyrażała ona protest przeciw traktatowi, chyba że będzie zawierał klauzulę wykluczającą aneksję Filipin i Puerto Rico. „Zgodnie z zasadami, na jakich założona została nasza Republika, jest naszym obowiązkiem uznać prawa mieszkańców... do niepodległości i samostanowienia”, brzmiała petycja i zaznaczała, że jeśli, jak to swego czasu oświadczył McKinley, przymusowa aneksja Kuby byłaby „zbrodniczą agresją według naszego kodeksu moralnego”, aneksja Filipin byłaby nią również. Treść była bezsporna, lecz nie łączyły się z nią propozycje stanowisk sędziowskich, obietnice przyszłości politycznej ani też inna moneta, jaką posługiwali się Lodge i Bryan.

W głosowaniu Senatu 6 lutego traktat przeszedł stosunkiem głosów: 57 do 27, a więc przeważał 1 głos. „Była to najtrudniejsza, najniebezpieczniejsza ze wszystkich walka”, powiedział Lodge. Wszyscy przyznali później, że to Bryan ściągnął decydujące głosy. W czasie kiedy liczono głosy, na Filipinach zginęło 59 Amerykanów, 278 było rannych, straty Filipińczyków wyniosły 500 ludzi. Zaczęło się właśnie płacenie za „żniwa”.

„Przy pierwszym zetknięciu się z pokusą kraj w obrzydliwy sposób

wyrzygał swe dawne zasady”, pisał w prywatnym liście William James. W liście otwartym do bostońskiego „Evening Transcript” pisał: „Jesteśmy teraz otwarci zaangażowani w miążdzenie najświętszej rzeczy na tym wielkim ludzkim świecie — wysiłku ludu od dawna ujarzmionego”, aby zyskać wolność i samemu decydować o swym losie. Dla ludzi takich, jak James, najsmutniejsze było rozstanie z amerykańskim mitem. Ameryka, pisał Norton, „straciła swą wyjątkową pozycję rzecznika postępu cywilizacji i stanęła w szeregu zaborczych i egoistycznych narodów współczesności”.

Wielu innym ból sprawiała świadomość, że amerykańskie armaty strzelają do Filipinczyków. Wzrósł gniew antyimperialistów, a ich liczba powiększyła się do pół miliona: Liga miała swoje oddziały w Bostonie i Springfield, w Nowym Jorku, Filadelfii, Baltimore, Waszyngtonie, Cincinnati, Cleveland, Detroit, St.

Louis, Los Angeles i Portland, Oregon. „Zdradzamy wszystko, w co wierzyliśmy — pisał Moorfield Storey. — Ten wielki wolny kraj, który przez ponad sto lat ofiarowywał schronienie gnębionym, sam zmienił się w gnębielca”. Nie chcąc jeszcze rezygnować, wierzył w przywództwo Reeda, którego Roosevelt nazwał „najbardziej wpływowym człowiekiem w Kongresie”. W liście do senatora Hoara Storey błagał go, aby „skłonił Reeda do wystąpienia tak, jak powinien. Jest on bardzo powolny i brak mu agresywności w ważnych sprawach. Gdyby wystąpił, sądzę, że mógłby naprawdę zostać następnym prezydentem”.

Było już za późno. Opieszałość Reeda wynikała z tego, że walka napełniła go goryczą. Inni, dla których polityka nie stanowiła głównej dziedziny zainteresowań, mogli się przejmować równie głęboko, lecz nie było to dla nich druzgocące. Dla Reeda całe życie koncentrowało się w Kongresie, w polityce, w pełnieniu kierownictwa opartego na przedstawicielstwie, z tym że — jeśli o niego chodziło — musiał wierzyć w cel, do jakiego to kierownictwo zmierza. Jego partia i jego kraj zdecydowały się wstąpić na drogę, do której czuł wielką nieufność i obrzydzenie. Jeden z dziennikarzy powiedział, że wspomnianie przy nim ekspansji było jak „dotknięcie zapalniczki” i wywoływało „siarczyste słowa”. Prąd skierował się przeciw niemu; nie mógł go zawrócić i nie chciał za nim podążyć.

Tak jak dla jego kraju, nadeszła i dla niego pora wyboru. Mógł zostać przez jeszcze jedną kadencję przewodniczącym, ale dostrzegł już oznaki

rosnącego w Izbie Reprezentantów poczucia, że jego stosunek do administracji jest zbyt wrogi, aby mógł w dalszym ciągu występować jako jej główny przedstawiciel. Przez swoje nastawienie i uwagi o prezydencie zraził sobie Joe Cannona i innych dawnych towarzyszy, ale żaden z nich nie odważył się na próbę usunięcia go ze stanowiska. Prezydent nie posiadał dość energii, aby wystąpić otwarcie z poparciem dla kogoś innego. Reed wiedział, że może zachować swoją władzę, lecz byłby w tej kadencji osaczony przez sforę walczącą u jego stóp. Stał się „ponury i odrażający”, opryskliwy dla swoich dawnych kolegów, widząc, że go opuszczają.

Zatrzymanie urzędu przewodniczącego oznaczałoby przeprowadzenie wstrętnej dla niego polityki w sprawie Filipin. Byłoby to dalsze występowanie w charakterze rzecznika partii Lincolna, która przez tak długi czas była jego żywiołem i która teraz zdecydowała, odmiennie, niż to myślał Lincoln, „podle zaprzepaścić ostatnią najcenniejszą nadzieję tego świata”. Swojemu wieloletniemu przyjacielowi i sekretarzowi, Asherowi Hindsowi, powiedział: „Starłem się, może nie zawsze skutecznie, aby moje działania w życiu publicznym były zgodne z moim sumieniem, i nie mogę teraz zrobić czegoś takiego”. Życie na arenie politycznej straciło dla niego cel i powab. Odkrył tragedię ludzkości: że potrafi nakreślić kodeks dobroci, lecz nie potrafi żyć według niego.

W lutym 1899 roku, po głosowaniu nad traktatem, Reed dokonał wyboru. Choć w tym czasie nie powiedział publicznie ani słowa, zaczęły pojawiać się w prasie pogłoski, że zamierza wycofać się z polityki. Kiedy reporterzy chcieli się dowiedzieć czegoś jego wrogim nastawieniu do polityki w sprawie Filipin i ustawy o Kanale Nikaraguańskim, zbył milczeniem ich pytania z wyrazem „zmęczenia i odrazy”. W kwietniu, po zamknięciu Pięćdziesiątego Piątego Kongresu, ukazało się autoryzowane przez niego zawiadomienie. To, co uważano za niewiarygodne, okazało się prawdziwe. Przewodniczący Reed wycofuje się z Kongresu po wakacjach w Europie podejmuje prywatną praktykę prawniczą w Nowym Jorku jako szef firmy Simpson, Thatcher i Barnum.

„Kongres bez Toma Reeda! Kto może sobie to wyobrazić!”, wykrzykiwała w artykule wstępnym nowojorska „Tribune”. Wszędzie odczuwano pewien lęk, jakby został usunięty jakiś wielki słup graniczny, pozostawiając ziejącą jamę u stóp patrzących. „Times”, nie należący nigdy do jego zwolenników, zdobył się na półszpaltowy artykuł wstępny o „stracie

dla narodu”. Wyrażał przekonanie, że „w stosunkach politycznych musiało pojawić się coś złego”, co skłoniło takiego człowieka do opuszczenia życia publicznego dla prywatnej praktyki prawniczej. Waszyngtoński korespondent tego pisma nazwał to wydarzenie „klęską” dla Kongresu, przewidując znaczne obniżenie poziomu tego organu po odejściu Reeda. Godkin z „Evening Post” opłakiwał zniknięcie z życia politycznego rzadkiego zjawiska, jakim jest „dojrzały, rozumny człowiek”.

Sam Reed nie wyjaśnił publicznie przyczyn swego odejścia; napisał jedynie w liście pożegnalnym do swoich wyborców w Maine: urząd traktowany jako wstążka do wpięcia w klapę nie jest wart niczyjej uwagi”. W hotelu „Manhattan” w Nowym Jorku, przyparty do muru przez reporterów, którzy przekonywali go, że ludzie chcą publicznie się czegoś od niego dowiedzieć, odpowiedział: „Publicznie! Nie interesuje mnie publiczność”, po czym obrócił się na pięcie i odszedł.

Operacje wojskowe na Filipinach rozszerzały się i stawały coraz bardziej okrutne. Armia amerykańska wysyłała przeciw upartej partyzantce Filipińczyków pułki, brygady, dywizje, tak że w końcu 75 000 ludzi — ponad cztery razy tyle co w akcji na Kubie — zaangażowanych było jednocześnie na wyspach. Filipińczycy palili, robili zasadzki, najeżdżali, kaleczyli, niekiedy palili jeńców żywcem. Amerykanie odwzajemniali się ze swej strony okrucieństwami, paląc całe wsie i zabijając wszystkich mieszkańców, kiedy znajdowano amerykańskiego żołnierza z podciętym gardłem; stosowali „wodolecznictwo” i inne tortury, żeby uzyskać informacje. Znajdowali się o trzy tysiące mil od domu, dokuczał im upał, malaria, deszcze tropikalne, błoto i moskity. Śpiewali „Przeklęty, przeklęty, przeklęty Filipińczyk, ucywilizuj go karabinem”, a oficerowie wydawali niekiedy rozkazy, aby nie brać więcej jeńców. Wygrywali wszystkie potyczki z nieprzyjacielem, który ciągle pojawiał się na nowo. W dziennikach ukazały się wielkie tytuły, kiedy pewien oddział wypadowy, który wprawdzie nie ujął Aguinalda, porwał jednak jego synka. Reed, wchodząc do swego biura, powiedział z udanym zdziwieniem do współnika: „Co, pracuje pan dzi siaj? Sądziłem, że pan będzie świętował. Dowiaduję się z gazet, że armia amerykańska pojmała synka Aguinalda, a według ostatnich sprawozdań ściga z zapalem matkę”.

Aguinaldo walczył o czas w nadziei, że opinia anty-imperialistyczna w Ameryce wymusi wycofanie armii, której obrzydło już jej zadanie. Im dłużej trwała wojna, tym głośniejsze i coraz bardziej gniewne stawały się protesty antyimperialistów. W swoim programie, przyjętym w październiku 1899 roku w Chicago, domagali się „natychmiastowego zaprzestania wojny przeciw wolności”. Zbierali i publikowali wiadomości o najgorszych przypadkach postępowania Amerykanów na Filipinach, a także przemówienia wyrażające najdobitniej skandaliczną imperialistyczną chciwość i porównywali je z obłudnymi sentencjami o misji białego człowieka. Rozdawali broszury finansowane przez Andrew Carnegie'ego; kierownik egzekutywy Ligi, Edward Atkinson, wystąpił do Departamentu Wojny o pozwolenie wysłania tych broszur na Filipiny i wysłał je tam, mimo że mu odmówiono.

Chcąc zakończyć wojnę, ułagodzić „nowo zdobyte... dzikie szczepy” i chlubnie rządzić administracja wysyłała różne komisje celem zbadania okrucieństw, przekonania się, czego Filipińczycy naprawdę chcą — poza samorządem, którego jawnie żądali — i celem ustalenia, jaką formę rządów cywilnych tam wprowadzić. W kwietniu 1900 roku wysłano na Filipiny nieśmiałego, łagodnego sędziego Williama Howarda Tafta wagi trzystu funtów — z poleceniem zorganizowania cywilnego rządu; zaopatrzone go w kartę zredagowaną przez nowego ministra wojny Roota, w której przyznawano Filipińczykom szeroką autonomię wewnętrzną. Próba okazała się przedwczesna, ponieważ ani oni, ani Amerykanie nie chcieli jeszcze zaprzestać walki; Taft pozostał jednak zdecydowany rządzić w interesie „małego brązowego brata”, skoro tylko będzie miał do tego sposobność. W odpowiedzi na pełne niepokoju zapytania o jego zdrowie, wysyłane przez zmartwionych przyjaciół w kraju, zatelegrafował do Elihu Roota, że jeździ konno i czuje się doskonale. „Jak się czuje koń?” odtelegrafował Root.

Mimo trudności Partia Republikańska, znajdująca się u władzy, nie zastanawiała się już ani nie wahała co do nowego kierunku, w jakim szła Ameryka. W Senacie znajdował się projekt ustawy o budowie Kanału Nikaraguańskiego, w Senacie zasiadał także Albert Beveridge, bardziej niż kiedykolwiek sprzymierzony z Panem Bogiem. „Nie zrzekniemy się udziału w misji naszej rasy, my, z woli boskiej, rzecznicy cywilizacji świata”, powiedział 8 stycznia 1900 roku. Poinformował senatorów, że Bóg od tysiąca lat przygotowywał do tej misji „narody anglojęzyczne i teutońskie”.

U niektórych ludzi z pokolenia Beveridge'a nowy obraz Ameryki wywoływał odrazę. Słyszac odgłos „haniebnego walki”, dochodzący „pośpiesznie przez wody Pacyfiku”, William Vaughn Moody napisał swoją *Ode w okresie niepewności (Ode in a Time of Hesitation)*, która w maju 1900 roku ukazała się w „Atlantic Monthly”. Czy jesteśmy jeszcze „narodem orłów”, pytał, czy też:

Może ptak mniej godny winien być wybrany?

Może jakiś brodziec na bagnie głębokim?

Albo jakaś wrona? czy też sęp żarłoczny?

Tak przemawiało sumienie mniejszości. Należał do niej również Godkin, który, rozczarowany, powiedział coś, jak na owe czasy dziwnego i proroczego. „Duch militarny — pisał w styczniu 1900 do Moorfielda Storeya — ogarnął masy, w których ręce przeszła władza”.

Minęła już pierwsza rocznica wojny prowadzonej coraz to większymi siłami amerykańskimi i wtedy właśnie miało nastąpić wydarzenie, które mogło ją zakończyć: nadchodzące wybory prezydenckie. Zarówno antyimperialiści, jak i Aguinaldo pokładali w tym swoje nadzieje. Pierwszą osobliwością związaną z wyborami były szanse admirała Deweya, wynikające częściowo z tego, że demokraci stracili nadzieję na znalezienie innego kandydata poza Bryanem. Admirał, zapoznawszy się nieco ze sprawą, zdecydował, że „pełnienie urzędu prezydenta nie nastęrcza wielkich trudności”, i oświadczył, że jest do dyspozycji; jego sformułowanie nie wzbudzało jednak zaufania, nie wypowiedział się też jasno co do przynależności partyjnej, wobec czego jego kandydatura upadła. Wyłonił się Bryan.

Antyimperialiści znaleźli się w kłopotliwej rozterce. McKinley reprezentował partię imperialistyczną; Bryan, według Carla Schurza, „zły duch sprawy antyimperializmu”, znienawidzony za zdradę w sprawie traktatu, budził obawy swoim radykalizmem. W styczniu 1900 roku, w hotelu „Plaža” w Nowym Jorku, Schurz spotkał się z Carnegie'm, Gamaliellem Bradfordem i senatorem Pettigrew, próbując zorganizować trzecią partię, aby dwa zmurszałe szkielety starych partii nie zmusiły narodu amerykańskiego do

„wybierania z dwojga złego”. Carnegie zadeklarował natychmiast 25 000 dolarów, a inni dodali odpowiednią sumę. Wkrótce potem członkowie trustu stalowego, z którymi Carnegie pertraktował wówczas w sprawie sprzedaży swojej firmy, oznajmili mu, że jeśli będzie się przeciwstawiał McKinleyowi, transakcja nie dojdzie do skutku. Przedkładając United States Steel nad trzecią partię, Carnegie odwołał swoje poparcie, otrzymał swoje udziały i wycofał się z interesów. Schurz i inni zwołali jednak do Indianapolis Kongres Wolności, gdzie zaproponowali Reedowi, aby został ich kandydatem; jednak ani Reed, ani nikt inny nie chciał się podjąć beznadziejnego zadania przewodzenia niezależnej partii. W lipcu w Kansas City nastąpiło nieuniknione: wybrany został Bryan.

Opierając się, zgodnie z planem, w swej kampanii na imperializmie, Bryan objeżdżał kraj tak zawzięcie jak poprzednio. Miał zszarganą reputację, ale jego osobisty czar, zapał i chwilowa szczerść wciąż przemawiały do ludzi, nawet po drugiej stronie Pacyfiku. Filipińczycy pokładali swoje nadzieje w Bryanie, bez którego byłby upadł traktat paryski. „Wielka partia demokratyczna Stanów Zjednoczonych zwycięży w jesiennych wyborach — obiecywał Aguinaldo w swojej proklamacji. — Imperializmowi nie uda się szalony zamiar ujarznienia nas zbrojną przemocą”. Okrzyk wojenny jego żołnierzy brzmiał „Aguinaldo-Bryan”.

Na zebraniu w Chicago poprzedzającym wybory antyimperialiści powiedzieli: „Będziemy się starali udaremnić działania każdego człowieka i każdej partii, zmierzające do ujarznienia jakiegoś narodu”. Nie można było zrobić nic innego, tylko „trzymać się za nos i głosować” na Bryana, pisał do byłego prezydenta Clevelanda jego przyjaciel. Z powodu tej powściągliwej aprobaty dla demokratycznego kandydata nazwano ich grupą „trzymaj-się-za-nos-i-głosuj”. „Nation” uważała obydwu kandydatów za tak wstrętnych, że odmówiła poparcia jednemu i drugiemu i wołała, jak to określił niezadowolony czytelnik, „siedzieć na płocie i karcić obydwu”.

Republikanie nie mieli takich trudności. Choć woleli, żeby ich nazywano ekspansjonistami niż imperialistami, byli z tego dumni, bez względu na nazwę, i wierzyli w swoje cele. Lodge, szczerzy jak zwykle, powiedział: „Manila ze swoją wspaniałą zatoką jest skarbem i perłą Wschodu... będziemy stać otworem dla rynków chińskich... Czy mamy się wahać i w tchórzliwy sposób zrobić to, co Dante nazywa «wielką rekuzą»?” Po oświadczeniu sekretarza Haya o polityce otwartych drzwi ludzie wiele sobie obiecywali po

chińskich rynkach. W lecie w okresie kampanii wyborczej oblężenie poselstw w Pekinie przez Bokserów i udział Ameryki w ekspedycji wysłanej tam z odsieczą wskazywały, jak daleko sięgały teraz wpływy tego kraju. Najbardziej przekonany i wymowny orędownikiem tej roli był nowy kandydat McKinleya na wiceprezydenta. Niezbyt pewny zwycięstwa, bo slogan „pełen cebryk” nie odpowiadał rzeczywistości, agitował tak niezmordowanie i z taką energią, że publiczność i karykaturzyści brali „Ujeżdżacza” z odsłoniętymi zębami, pince-nez i niewyczerpanym zapalem za prawdziwego kandydata. Wysztytował widmo militarystyki jako „mglistego ducha”, przekonywał, że ekspansja „pod żadnym względem nie narusza naszych instytucji i tradycyjnej polityki”, i twierdził, że problem nie polega na tym, „czy mamy się rozprzestrzeniać — bo tego już dokonaliśmy — ale czy mamy się kurczyć”.

Kraj słuchał tysięcy przemówień i czytał tysiące gazetowych kolumn, gdzie roztrząsano każdy argument za i przeciw imperializmowi i każdy aspekt wojny na Filipinach. Dzięki wysiłkom antyimperialistów dowiadywano się więcej o zachowaniu własnych wojsk niż zazwyczaj w czasie wojny. Zostało stwierdzone, że niektórym amerykańskim oddziałom wydawano kule dum-dum, bezwzględnie potępione na ubiegłorocznej haskiej konferencji pokojowej (przez wszystkich uczestników z wyjątkiem Brytyjczyków). W końcu naród amerykański, podobnie jak Brytyjczycy w „wyborach khaki” tego samego roku, aprobował wszystko.

O tym, co jakiś naród myśli w danym okresie, można się najlepiej przekonać po tym, co robi. McKinley i Roosevelt zostali wybrani 53 procent oddanych głosów, z większą przewagą nad Bryanem niż w roku 1896. Zaakceptowano ekspansję i podbój, przypieczętowane zostało zerwanie z amerykańską przeszłością.

Ameryka, wciąż w stanie wojny z Filipinami, wstąpiła w Wiek Dwudziesty.

Po wyborach Aguinaldo nie mógł już mieć żadnej nadziei. Wciąż walcząc wycofał się w góry, gdzie w marcu 1901 roku został podstępnie złapany; w niewoli podpisał w kwietniu przysięgę posłuszeństwa Stanom Zjednoczonym wraz z proklamacją do swego narodu, wzywającą do zaprzestania oporu: „Było już dość krwi, dość łez, dość zniszczenia”.

W liście do przyjaciela napisanym w miesiąc po ujęciu Aguinalda

profesor Norton zawarł epitafium dla antyimperialistów: „Dochodzę do wniosku, że byłem zbyt idealistą w odniesieniu do Ameryki, zbyt wysoko ulokowałem moje nadzieje, wytworzyłem sobie zbyt szlachetny obraz tego kraju na przyszłość. Żaden naród nie miał nigdy takich możliwości: Ameryka była nadzieją świata. Nigdy już żaden naród nie będzie miał takiej szansy, aby wznieść w górę sztandar cywilizacji.

W sześć miesięcy później, po zamachu Czołgosza, miejsce McKinleya zajął Roosevelt, „ten cholerny cowboy”, jak powiedział Mark Hanna, gdy mu o tym doniesiono. Uwaga nie okazała się wnikliwa. Prezydentem został teraz w wieku czterdziestu trzech lat architekt nowej ery.

Reed wysłał mu list z życzeniami, ale korespondencja miała charakter oficjalny i przepaść między nimi pozostała. Mieszkając w Nowym Jorku Reed znalazł odpowiedniego towarzysza w osobie Marka Twaina, którego dowcip, usposobienie i sardoniczne poglądy zgadzały się z jego własnymi. Razem gościli na pokładzie jachtu Henry'ego H. Rogersa, kapitalisty, przedstawiciela wielu trustów; po tym długim rejsie pozostała bohaterska legenda o wygranych kolejno przez Reeda dwudziestu trzech rozdaniach w pokerze. Od czasu do czasu przyjeżdżał do Waszyngtonu, raz występował w sprawie rozpatrywanej przez Sąd Najwyższy, kiedy to wprowadził sędziów w rozbawienie dosyć niezwykłym stylem swoich wypowiedzi. Nie pokazywał się już w Kongresie, lecz występował w sądzie i odwiedzał starych przyjaciół w biurze Komisji Budżetowej. Stosownie do polecenia lekarza postarał się schudnąć i stracił czterdzieści funtów wagi, lecz zdrowie nadal mu nie dopisywało. W lecie 1902 roku był główną osobą na uroczystości stulecia Bowdoin; spędził tam „wyjątkowo przyjemną chwilę”, o których powiedział, „że takie mogą się nam jeszcze zdarzyć, ale przy zdrowych zmysłach nie możemy się ich spodziewać”. W grudniu przyjechał znów do Waszyngtonu, gdzie nagle zasłabł w Sali Komisji na Kapitolu. Okazało się, że to ostatnie stadium chronicznego zapalenia nerek. Umarł pięć dni później, 6 grudnia 1902 roku, w wieku sześćdziesięciu dwu lat. Joe Cannon, jego następca jako przewodniczący Izby, powiedział o nim: „Nie znam człowieka, który w życiu publicznym łączyłby tak wspaniały intelekt z taką niezwykłą odwagą”. Z tymi dwoma zaletami i swoimi „własnymi prawami” Reed wytrwał do końca na grząskim gruncie polityki, zawsze bezkompromisowy — samotny okaz niezwykłego rodzaju, Niezależny Człowiek.

IV. „DAJCIE MI WALCZYĆ!”

Francja 1894-99

„Odwieczna świetność Francji” — tego zwrotu użył w latach dziewięćdziesiątych Anglik, sir Almeric Fitzroy, sekretarz diuka Devonshire. Uważał on, że każdy potomek cywilizacji zachodniej ma wobec Francji dług, gdyż z kraju tego „wyszedł impuls, który rozerwał w męczarniach stary świat, a tchnął życie i namiętności w terażniejszość”. Męczarnie tego dawnego przełomu wróciły na pewien czas, od lata 1897 do lata 1899. Francja, rozdarta wewnętrznymi namiętnościami, które otwały stare rany, wprowadziły rozłam w społeczeństwie, pochłonęły myśli, energię i honor, pogrzyła się w chaos, jeden z największych w historii.

Przez te „dwa nie kończące się lata” walki o uzyskanie rewizji procesu jednego niewinnie skazanego człowieka „życie zostało jakby zawieszone”, pisał dwudziestokilkuletni wówczas Léon Blum, późniejszy premier. Było to tak, jakby w tych „latach wzburzenia, prawdziwej wojny domowej... wszystko skupiło się na jednej jedynej sprawie, jakby wszystko w najintymniejszych uczuciach i osobistych stosunkach zostało przerwane, odwrócone do góry nogami, przeklasyfikowane... Sprawa Dreyfusa stała się kryzysem społeczeństwa, nie tak rozległym i nie tak długotrwałym jak Rewolucja Francuska, lecz równie gwałtownym”.

„Poróżniłoby to nawet anioły — pisał wicehrabia de Vogüé, stojący po przeciwnej stronie niż Blum. — Ponad niskimi pobudkami i zwierzęcymi namiętnościami, także najwspanialszy ludzie Francji, kierujący się po obu stronach równie szlachetnymi pobudkami, rzucali się na siebie rozjątrzeni przez ten straszliwy konflikt”.

Protagonisci czuli wielkość nawałnicy, która w nich waliła. Dekadencja ustąpiła miejsca gwałtownym uczuciom, znów wierzyli we „wzniosłe zasady i niewyczerpaną energię”. Otaczała ich nienawiść, zło, strach, ale także odwaga i ofiarność. Walka ich była heroiczna, od jej wyniku zależało życie republiki. Obydwie strony walczyły o ideę, swoją ideę Francji: jedna o

Francję kontrrewolucji, druga o Francję 1789 roku; jedna o swą ostatnią szansę zahamowania postępowych tendencji społecznych i przywrócenia dawnych wartości; druga o oczyszczenie honoru republiki i uchronienie jej od szponów reakcji. Rewizjoniści, tj. ci, którzy domagali się rewizji procesu, patrzyli na Francję jako na źródło wolności, jak na kraj światły, nauczyciela rozsądku, kodyfikatora prawa i nie mogli znieść świadomości, że ten właśnie kraj mógł wyrządzić krzywdę i tolerować pomyłkę sądową. Walczyli o sprawiedliwość. Tamci, po drugiej stronie, twierdzili, że walczą w imieniu *Patrie* o zachowanie armii jako tarczy i opiekunki narodu i Kościoła jako przewodnika i nauczyciela jego duszy. Zjednoczyli się pod nazwą nacjonalistów; w ich szeregach uczciwi ludzie weszli w spółkę z demagogami i nie oparli się metodom bezwzględny i brutalnym, a ugoda narzuciła warunki tak podłe, że świat patrzył ze zdumieniem i pogardą, a dobre imię Francji bardzo ucierpiało. Zwarci w okrutnym, ostatecznym zmaganiu nie mogli się od siebie oderwać, choć walka ich powodowała rozłam w kraju, a na granicach stwarzała dogodną sposobność dla wroga, którą ten codziennie mierzył i oceniał.

„Byliśmy bohaterami”, głosił Charles Péguy; przeistaczał on i idealizował polityczne prądy swoich czasów stosując do nich mistyczne określenia odziedziczone po Joannie d'Arc. W roku 1910 pisał: „Sprawę Dreyfusa można wyjaśnić jedynie potrzebą heroizmu, która w pewnych okresach ogarnia ten naród, tę rasę — ogarnia całą naszą generację. To samo można powiedzieć o innych ciężkich doświadczeniach: o wojnach... Wybuch wielkiej wojny lub wielkiej rewolucji oznacza, że wielki naród musi się otrząsnąć, bo miał już dość, zwłaszcza dość pokoju. Oznacza to zawsze, że wielka masa odczuwa i przeżywa gwałtowną potrzebę, tajemniczą potrzebę wielkiego ruchu... nagłą potrzebę chwały, wojny, historii, która powoduje eksplozję, erupcję”. Jeśli wartości i siły, które Péguy widział w sprawie Dreyfusa, były wielkie, to dlatego, że charakteryzowały one okres i to zdarzenie. Dzięki tej sprawie ludziom zdawało się, że są ponadnaturalnej wielkości.

Casus belli stanowiło skazanie oficera armii, Żyda, za zdradę na rzecz Niemiec; walka toczyła się z jednej strony o wznowienie procesu, z drugiej — o zapobieżenie temu. Rząd czuł się słaby, stanął więc po stronie swych domniemych przeciwników używając całego swego autorytetu, żeby umocnić i poprzeć pierwotny wyrok. Nie był to rząd trwały, szanowany,

solidnie podbudowany, jaki mieli Anglicy, lecz rząd niepewny, nie cieszący się powszechnym zaufaniem, lekceważony i defensywny. Dwa razy od 1789 roku republika musiała ustąpić odradzającej się monarchii. Wynurzywszy się po roku 1871 jako Trzecia Republika, Francja odżyła, rozkwitła, stała się imperium. Pielęgnowała sztukę, szczyciła się stolicą o najświetniejszej kulturze i w setną rocznicę rewolucji wzniosła najwyższą budowlę świata, zuchwałą, niezwykłą wieżę, która górowała nad Sekwaną jako symbol żywotności i geniuszu tego kraju.

W życiu politycznym j ednak naród był stale w niezgodzie z sobą; podniecany od wewnątrz przez nie pogodzonych, nie ujarzmionych stronników *ancien régime'u* i Drugiego Cesarstwa, od zewnątrz gnębiony przez przeważającą siłę Niemiec i świadomość nie zakończonej wojny z nimi, łaknął zemsty — *revanche*, lecz nie dysponował niezbędnymi środkami. W 1889 roku niezadowolenie republiki doszło do szczytu i wyraziło się w próbie zamachu stanu generała Boulanger, popartego przez wszystkie elementy kontrrewolucyjne, tworzące prawicę, w skład której wchodził: Kościół, dwieście rodzin biznesu i finansów, odsunięta arystokracja, rojaliści oraz zwolennicy i sympatycy tych grup. Zamach Boulanger'a skończył się fiaskiem, pamiętnym dzięki uwadze premiera Charlesa Floquet: „W pana wieku, generale, Napoleon już nie żył”. Zamach wstrząsnął jednak republiką i pobudził zarówno nadzieje, jak i rozczarowania prawicy.

Aresztowanie, proces, zasądzenie i skazanie kapitana Alfreda Dreyfusa, oficera artylerii, przydzielonego do Sztabu Generalnego, co odbyło się w miesiącach od października do grudnia, nie było ukartowanym spiskiem przeciw niewinnemu człowiekowi. Stanowiło wynik uzasadnionego podejrzenia, popartego niechęcią, pewnymi poszlakami i instynktownymi przesądami. Dowody wskazywały, że jakiś oficer artylerii w Sztabie Generalnym wydał Niemcom tajemnice wojskowe. Dreyfus, oprócz tego, że pracował w sztabie, był ponadto Żydem, od wieków obcym, z natury naznaczonym piętnem zdrady. Jako człowiek nie był lubiany przez kolegów oficerów. Sztywny, milczący, chłodny, prawie nienaturalnie poprawny, nie miał przyjaciół, poglądów ani widomych uczuć, a jego gorliwość w służbie zwracała uwagę w sposób nieprzyjemny. Skoro tylko padło na niego podejrzenie, cechy te wydały się złowrogie. Jego sposób bycia, całkowicie pozbawiony wylewności, robił wrażenie doskonałej maski dla szpiega.

Średniego wzrostu i wagi, w średnim wieku trzydziestu sześciu lat, miał bezdzwięczny głos, ciemne włosy i pospolite rysy; wyróżniało go jedynie pince-nez bez oprawy, modna w jego środowisku forma szkieł. Gdy nie udało się znaleźć motywów ani materialnych dowodów, oficerowie prowadzący śledztwo, zwłaszcza major Henry i pułkownik du Paty de Clam, zastąpili je odpowiednią interpretacją i fałszerstwem. Przekonani, że mają do czynienia z wstępnym zdrajcą, który sprzedał tajemnice obrony wojskowej tradycyjnemu wrogowi, nie odczuwali skrępowań dostarczając materiału potrzebnego do skazania go. Akta, które zgromadzili, zwane później „Tajną Teczka”, były na tyle przekonujące, że szefowie Sztabu Generalnego szczerze uwierzyli w winę Dreyfusa; nie zawierały one jednak prawnego dowodu. Wiedząc o tym i mając świadomość, że sprawa jest szczególnie delikatna ze względu na zamieszanie w to Niemiec, a także obawiając się szantażu prasy, ówczesny minister wojny, generał Mercier, rozkazał, a rząd, którego był członkiem, zezwolił, aby sąd wojenny nad kapitanem Dreyfusem odbył się przy drzwiach zamkniętych. Gdy pytania pięciu sędziów wojskowych wskazywały na ich wątpliwości, przedłożono im Tajną Teczka, lecz nie udostępniono jej obronie. Dokumenty te przekonały sędziów i wydali oni jednogłośnie werdykt skazujący. Ponieważ kara śmierci za zbrodnie polityczne została zniesiona w roku 1848, wyrok opiewał na dożywotnie więzienie. Więzień jednak nie chciał się przyznać i uparcie twierdził, że jest niewinny, wobec czego kazano go wywieźć na Diabelską Wyspę, jedną z trzech wysp-więzień dla najgorszych przestępców opodal wybrzeży Ameryki Południowej. Z nagiej skały długości dwóch mil i szerokości pięciuset jardów usunięto wszystkich oprócz strażników, aby umieścić tam w kamiennej chacie, pod stałym nadzorem, samego tylko Dreyfusa. Jednogłośnie wyrok sądu wojskowego zdawała się potwierdzać opublikowana pogłoska, że Dreyfus się przyznał; kiedy pogłoskę tę przedrukował jeden dziennik po drugim, nabrała ona waloru oficjalnego potwierdzenia i zadowoliła opinię publiczną.

Przez trzy następne lata starano się usilnie z jednej strony, aby odkryć prawdę, z drugiej, aby ją zatrzeć. Długa, uciążliwa walka o sądowe wznowienie procesu, czyli tak zwaną „rewizję”, rozpoczęła się od wątpliwości kilku nie związanych ze sobą osób, których niepokoił zamknięty proces i które podejrzewały pomyłkę sądową. Ujawnili oni nielegalność procesu — na tej podstawie, że materiał nie został pokazany obronie — i zebrali dowody wskazujące z dużym prawdopodobieństwem na rzeczywiście winnego: rozpustnego oficera z innych kręgów, majora Ferdinanda Walsina-

Esterhazego. Ich naciski i starania spowodowały, że oficerowie, odpowiedzialni za pierwotne zmontowanie oskarżenia przeciw Dreyfusowi, spróbowali wzmocnić słabe jego strony. Major Henry z Biura Kontrwywiadu, który z racji swoich funkcji zajmował się fałszowaniem i nielegalnymi czynnościami, podrobił list, rzekomo od włoskiego attache wojskowego, majora Panizzardiego, do jego niemieckiego kolegi, oskarżający Dreyfusa *ex post*, i na tym liście opierało się później oskarżenie armii. Każde posunięcie w kampanii o rewizję wywoływało w Sztabie Generalnym nowe wysiłki w celu odparcia oskarżenia i ukrycia dawniejszych fałszerstw w Tajnej Teczce pod nowymi. Oficerowie ulegali nastrojowi konspiracji. Odbywały się tajne zebrania, miały miejsce oskarżenia i szantaże, potajemne kontakty między Paty de Clamem a Esterhazym, ukrywanie się pod fałszywymi brodami i ciemnymi okularami oraz inne melodramatyczne poczynania; w końcu armia zaplątała się tak głęboko w czyny, jakich nigdy nie dałoby się wytłumaczyć, że nie mogła już sobie pozwolić na dopuszczenie do wznowienia procesu. Każdy agitujący za rewizją lub kwestionujący legalność wyroku na Dreyfusa stawał się *ipso facto* wrogiem armii, a co za tym idzie, wrogiem Francji.

Armia nie miała nastawienia politycznego ani szczególnie klerykalnego, nie składała się wyłącznie z arystokratów czy rojalistów ani też z antysemitów. Wprawdzie wielu spośród jej oficerów charakteryzowało się tymi cechami, lecz armia jako instytucja stanowiła część republiki, nie przeciwstawiała się jej — jak Kościół. Mimo że poszczególni oficerowie mieli poglądy antyrepublikańskie, armia godziła się ze swą rolą narzędzia państwa. Republika, potrzebując armii, starała się uczynić z niej poważniejszy, bardziej wyćwiczony zawodowo organ niż korpusy operacyjne Drugiego Cesarstwa, które od czasu wojny krymskiej aż po Sedan walczyły wprawdzie z zapalem, lecz nie posługiwały się dostatecznie strategią. W korpusie oficerskim wciąż jeszcze dzierżyli prym absolwenci St-Cyr, pochodzący przeważnie z rodzin ziemiańskich, obcy psychicznie ideom rewolucji. Uważali się za klasę odrębną od cywilów, nie wiedzieli i nie obchodziło ich, co się dzieje w narodzie poza nimi. Stanowili rodzaj klubu, lojalnego wobec swoich członków i kultywującego swoją odrębność, której widomą oznaką był mundur. Odwrotnie niż oficerowie brytyjscy, którzy nigdy nie nosili munduru poza służbą, oficerowie francuscy przed rokiem 1900 nigdy nie nosili niczego innego. Płacono im mało, awansowali powoli, spędzali długie okresy w ponurych garnizonach jakichś miast prowincjonalnych; jedyną rekompensatę dawał im prestiż: zaszczyty,

immunitety i kastowość, krótko mówiąc, szacunek, jakim ich obdarzano.

Cieszyli się wielkim poszanowaniem. W oczach ludu armia wznosiła się ponad politykę; była narodem, była Francją, była wielkością Francji. Była to armia rewolucji i armia cesarstwa, armia spod Valmy w 1792, kiedy to Goethe powiedział: „Od dnia dzisiejszego zaczyna się nowa era w historii świata”. Była to armia spod Marengo, Austerlitz i Wagram, Grande Armée, którą Lavisse nazywał z dumą „jednym z najdoskonalszych instrumentów historii wojny”; armia pancerza i szabli, kepi i czerwonych pantalonów, spod Sewastopola i Malakoff, spod Magenty i Solferino, armia, która uczyniła Francję największą potęgą wojskową w Europie do czasu powstania Prus, armia tragedii i chwały, armia walcząca do ostatnich naboń pod Sedanem, armia szaleńczej szarży kawalerii, która wywołała okrzyk cesarza Niemiec: „*Oh, les braves gens!*” („Och, ci dzielni ludzie!”). W dwadzieścia lat później, w zawsze obecnym cieniu Niemiec, armia była zarówno obrońcą narodu, jak i narzędziem *revanche*. Łączyła się z nią nadzieja przywrócenia, kiedyś, w przyszłości, chwały narodowej. Gdy maszerował pułk z pułkownikami i sztandarami na czele, mężczyźni zdejmowali kapelusze. Armia, jak wyraził się jeden z bohaterów Anatola France'a, przedstawiony satyrycznie — ale nie fałszywie — jest wszystkim, co pozostało z naszej chlubnej przeszłości. Pocięsza nas w chwili obecnej i napawa nadzieją na przyszłość”. Armia to byli *les braves gens*.

W czasie sprawy Dreyfusa armia stała się niewolnikiem swoich przyjaciół — klerykałów, rojalistów, antysemitów, nacjonalistów i wszystkich grup antyrepublikańskich, które z jej honoru uczyniły wspólne hasło dla swoich własnych spraw i celów. Wcześniejsze uznanie winy Dreyfusa za niewątpliwie, a następnie fałszerstwa i machinacje oficerów, mające ustalić tę jego winę, spowodowały, że honor armii stał się jednoznaczny z utrzymaniem pierwotnego werdyktu. Honoru tego, jak fortu, należało bronić przed rewizją.

Opór przeciw rewizji wynikał z przekonania, że wznowienie procesu oznaczałoby skompromitowanie armii, a skompromitowana armia nie mogłaby pokonać Niemców. „Rewizja oznacza wojnę”, groziła rojalistyczna „Gazette de France”, a wojna prowadzona przez zdeorganizowaną armię jest „la Débâcle”, jak nazywano klęskę 1870 roku. Czy byłoby możliwe, aby żołnierze szli do bitwy pod komendą oficerów, którymi nauczono ich pogardzać? — zapytywał rojalista hrabia d'Haussonville. Uważał, że

wprawdzie myśl o niewinnym człowieku w więzieniu jest „nie do zniesienia”, a kampania przeciw Żydom „oburzająca”, to jednak kampania obrońców Dreyfusa przeciw armii jest gorsza, bo niszczy zaufanie do korpusu oficerskiego. Właśnie obawa o to, co się stanie, gdy armię osłabi brak zaufania, zastraszyła Parlament i skierowała pospólstwo przeciw rewizji. Armia stanowiła rękojmię pokoju. „Francja kocha pokój, a jeszcze bardziej chwałę” mówiono, a rewizja raniła także i to uczucie. Podając w wątpliwość nieomyślność Sztabu Generalnego rewizja równała się świętokradztwu przeciw *la gloire militaire* i każdego, kto ją popierał, uważano za germanofila, a nawet za zdrajcę.

Zawilóści dokumentów, faksimiliów, procesów i Tajnej Teczki wprowadziły w błąd ludność, która nie mogła pogodzić myśli o fałszerstwach spreparowanych z rozmysłem, aby skazać niewinnego człowieka, ze swoim wyobrażeniem o armii, łączącym się z paradami, mundurami, butami, epoletami, armatami i flagami. Jak można było uwierzyć, że oficerowie, którzy dumnie przejeżdżają konno obok z szablą w dłoni, przy dźwięku bębnow, pochylają się nad stołami w dusznych biurach, podrabiają starannie pismo i zestawiają listy przy pomocy nożyczek i kleju? Przecież taki obraz nie kojarzył się z pojęciem rycerskiej waleczności, a więc uznano to za oszczerstwo. Ludzie byli patriotami i republikanami, wierzyli w to, co pisały gazety, kochali armię, nienawidzili i bali się „innych” — *sans patrie*, podżegaczy, podpalaczy kościołów, dreyfusistów, tych, którzy, jak im powiedziano, poprzysięgli zniszczyć armię. Krzyczeli: „*Vive l'Armée*” i „*Vive la République!*”, „Precz z dreyfusistami!”, „Precz z Żydami!”, „Śmierć zdrajcom!”, „*Vive Mercier!*”, i wszelkie inne zaklęcia, które miały przepędzić zło i umocnić ich wiarę.

Jeśli chodzi o sprawę Dreyfusa, armię uosabiał generał Augustę Mercier, który jako minister wojny w 1894 roku nakazał aresztować Dreyfusa, a w następstwie tego czynu został bożyszczem zwolenników armii i symbolem jej postawy. Na przyjęciach *haut monde* panie wstawały, kiedy generał Mercier wchodził do salonu. Sześćdziesięcioletni, wysoki, chudy, wyprostowany, o starannej powierzchowności, miał wydatne rysy, zakrzywiony nos, podkręcone ku górze ostro zakończone wąsy *à la* kajzer i oczy bez wyrazu, zazwyczaj półprzymknięte, które otwierał tylko, aby rzucić komuś wyraźnie chłodne spojrzenie. Weteran walk w Meksyku i pod Metzem w 1870 roku, gdy mianowano go ministrem wojny w 1893, został

przychylnie przyjęty przez sztab, jako prawdziwy żołnierz, nie polityk. Kiedy anarchista Vaillant rzucił w Parlamencie bombę, Mercier siedział nieporuszony w dymie i zgiełku, sięgnął tylko po odłamek, który odbił się od krzesła poza nim, i podał siedzącemu tam posłowi, mówiąc obojętnie: „Może pan to zatrzymać”. Silnego charakteru, zdecydowany, rozważny, zawsze grzeczny; gdy walka stawała się zjadła, nie przestawał używać tytułu *Monsieur* przy nazwisku pogardzanego przeciwnika wtedy, kiedy inni używali określeń *sale bête* lub *ce salaud*.

W 1894, stwierdziwszy zdradę w swoim sztabie i zdając sobie sprawę, że zebrane przeciw Dreyfusowi dowody są słabe pod względem prawnym, nakazał jego aresztowanie w nadziei, że wydobędzie z niego przyznanie się. Gdy to nie nastąpiło, a oficerowie prowadzący śledztwo szukali rozpaczliwie dowodów dla wzmocnienia oskarżenia, sprawa aresztowania przedostała się do antysemitycznego pisma „La Libre Parole”, które utrzymywało, że Dreyfus nie będzie sądzony, ponieważ Mercier jest na żołdzie Żydów. Sprowokowany przez tę i przez inne gazety, Mercier wezwał wojskowego redaktora „Figaro” i powiedział mu to, w co szczerze wierzył: że od początku posiadał „dowody głośno krzyczące o zdradzie Dreyfusa” i że jego wina „jest absolutnie pewna”. W ten sposób jeszcze przed procesem powiązał sprawę winy Dreyfusa ze sprawą armii, przez co wytworzyła się sytuacja bez wyjścia. Zagadnienie stało się natychmiast jasne dla wszystkich. „Dziś trzeba się opowiedzieć albo za Mercierem, albo za Dreyfusem; jestem za Mercierem”, powiedział reporterom jego parlamentarny doradca, generał Riu. „Jeśli Dreyfus zostanie uniewinniony, odejdzie Mercier” — pisał w „l'Autorité” redaktor Cassagnac, rojalista, a ponieważ Mercier wchodził w skład rządu, dodał: „Jeśli Dreyfus jest niewinny, to winien jest rząd”. Od tego czasu każde powtórzenie tej alternatywy utrudniało tylko rozwiązanie.

Podczas procesu właśnie generał Mercier upoważnił do przedłożenia Tajnej Teczki sądowi i ukrycia jej przed obroną — co spowodowało nielegalność procesu. W pełni świadom decydującego znaczenia swego postępków, Mercier przez następne dwa lata podtrzymywał to i mimo że coraz wyraźniej widać było fałszerstwa i niesłuszność wyroku, z rosnącą butą i pewnością siebie zapewniał o winie Dreyfusa. Skoro Dreyfus został już skazany na podstawie fałszywych dowodów, jakiegokolwiek wznowienie sprawy okryłoby hańbą Ministerstwo Wojny, Sztab Generalny i jego samego; znaczyłoby to, jak powiedział jeden z kolegów, że gdyby w ponownym

procesie „kapitan Dreyfus został uniewinniony, generał Mercier stałby się zdrajcą”. W trakcie wszystkich wznowionych dochodzeń i zeznań, procesu Esterhazego, procesu Zoli, badań Sądu Apelacyjnego, końcowego procesu w Rennes, odpierał siły rewizji i bronił cytadeli fałszywego werdyktu. Surowy, wyniosły, niewzruszony, nie tracił panowania nad sobą nawet wówczas, gdy zaczęła się chwiać cała zbudowana przez niego struktura; ktoś ze współczesnych porównał go do postaci z *Piekle* Dantego, patrzącej dumnie wokół „jakby darzył Piekło wielką pogardą”.

Wszystko, z wyjątkiem prawdy, stało po jego stronie. Ilekroć dreyfusiści przedstawiali nowe dowody, które ich zdaniem musiały tym razem doprowadzić do ponownego procesu, dławiono je, zatajano, wyrzucano lub przeciwstawiano im nowe fałszerstwa armii, popierane przez rząd, przez wszystkich *bien-pensants*, czyli prawomyślnych informatorów Kościoła, i przez cztery piąte krzyżującej i grzmiącej prasy. To prasa zrobiła z tego sprawę i uniemożliwiła rozejm.

Do najważniejszych i najżywszych elementów życia publicznego we Francji należały różnorodne dzienniki paryskie: złośliwe, buntownicze, literackie, kłamiwe, drażliwe, nieodpowiedzialne, a często zjadliwe. Liczba ich w różnych okresach wynosiła od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu. Reprezentowały wszystkie odcienie opinii publicznej i określały się jako republikańskie, konserwatywne, katolickie, socjalistyczne, nacjonalistyczne, legitymistyczne, niezależne, absolutnie niezależne, konserwatywno-katolickie, konserwatywno-monarchistyczne, republikańsko-liberalne, republikańsko-socjalistyczne, republikańsko-niezależne, republikańsko-postępowe, republikańsko-radykalno-socjalistyczne. Niektóre gazety wychodziły rano, inne wieczorem, niektóre miały ilustrowane dodatki. Na czterech do sześciu stronach podawały oprócz zwykłych wiadomości politycznych i zagranicznych także wiadomości z *haut monde*, z *le turf* (wyścigów), z dziedziny mody, teatru i opery, koncertów i sztuki, z salonów i z Akademii. Wszyscy najbardziej podziwiani pisarze, wśród nich Anatol France, Jules Lemaître, Maurice Earrès, Marcel Prévost, pisywali artykuły i recenzje, a ich powieści wychodziły w odcinkach na pierwszej stronie u dołu. W ważnych sprawach wydawcy publikowali podpisane artykuły wstępne, ostre i napastliwe. Paryż żywił się prasą jak codziennym winem, mięsem i chlebem. Dzięki dziennikarstwu robiono wielkie kariery i tysiące mniejszych. Każdy, począwszy od akademików, a kończąc na ginących z głodu

anarchistach, dorabiał pisaniem do gazet. Wybitni politycy po odejściu ze stanowisk szukali w dziennikarstwie platformy politycznej i dochodów.

Każdy mógł z dnia na dzień założyć gazetę. Każdy, kto posiadał energię, poparcie i poglądy, których chciał bronić. Talent do pisania nie stanowił szczególnej kwalifikacji, bo w polityczno-literackim świecie Paryża każdy umiał pisać — i robił to, natychmiast, pospiesznie, obficie. Całe kolumny opinii, krytyki, polemik płynęły jak woda. „Le Temps”, olimpijski i rozważny, przewodził wszystkim innym. Tę gazetę wielkiego formatu czytali wszyscy zajmujący się życiem politycznym, jej recenzje decydowały o losach sztuk, jej artykuły wstępne w sprawach zagranicznych, pisane przez André Tardieu, wywierały taki wpływ, że minister spraw zagranicznych Niemiec, von Bülow, powiedział kiedyś: „W Europie istnieją trzy wielkie mocarstwa — i p. Tardieu”. Jedyne „Le Temps”, strzegący swej godności, nie włączał się w walkę, choć stopniowo zaczął się skłaniać ku rewizji. Drugi z kolei ważny dziennik, „Figaro”, okazał się nie dość mocny. Jego wydawca, Fernand de Rodays, który podczas degradacji wojskowej Dreyfusa usłyszał jego okrzyk, że jest niewinny, uwierzył mu. Trzy lata później opublikował pierwszy dowód przeciw Esterhazemu, a także pierwsze artykuły Zoli. Mimo że syn Rodaysa i zięć służyli w armii jako oficerowie, rozwścieczeni koledzy z nacjonalistycznej prasy nazwali go oszczercą armii i zorganizowali kampanię przeciw prenumeracie „Figaro”. Zarząd pisma uległ presji i de Rodays został wydalony; sprawę uważano za niezmiernie doniosłą, o czym świadczy paryska plotka, głosząca, że de Rodays otrzymał 400 000 franków za popieranie Dreyfusa, a zarząd pisma 500 000 za pozbycie się go.

Szantaż nacjonalistycznej prasy, pisał Zola, który najbardziej na tym ucierpiał, dotknął Francję jak „wstydliva choroba, której nikt nie ma odwagi leczyć”. Głównymi mącicielami były prywatnie wspierane organy reprezentujące czyjeś interesy lub stanowiące własność poszczególnych wydawców, często wyjątkowo zaciętrzewionych lub w ogóle pozbawionych zasad. Należał do nich Ernest Judet z „Petit Journal”, który prowadził kampanię obrzucającą Clemenceau błotem Panamy i który w 1906 roku, kiedy Clemenceau został prezydentem, zabarykadował swoją wilię w Neuilly, jakby chciał jej bronić przed oblężeniem. Trawiony ustawicznym strachem przed wolnomularzami, Judet nosił przy sobie stale naładowany rewolwer i laskę ołowianą ważącą dwanaście funtów. Należał do nich również Arthur Meyer, ochrzczony Żyd, syn krawca, wnuk rabina, zapalony

boulangista i rojalista, wydawca „Le Gaulois”, specjalizującego się w kronice *haut monde*. Gazetę tę czytano w środowisku „Guermantów”. Meyer przyswoił sobie w pełni opinie i poglądy tego środowiska, co wymagało swego rodzaju odwagi czy tępoty, nie był on bowiem Karolem Swannem, który wsiąkł w swoje otoczenie, lecz z wyglądu przypominał antysemickie karykatury Żydów. Przez małżeństwo z bezposażną córką hrabiego de Turenne wszedł jednak do Faubourg i do kółka diuszesy d'Uzès, został przyjacielem, doradcą i powiernikiem nieboszczyka Pretendenta, hrabiego Paryża, a krojem swego żakietu i sposobem wiązania krawatów decydował o ówczesnej modzie męskiej.

Henri, hrabia de Rochefort z „l'Intransigeant”, należał do tego rodzaju dziennikarzy, których umiejętności szkolenia nie krępuje żadna doktryna: im bardziej zmienne ich przekonania, tym błyskotliwsze i bardziej cięte ich pióro. Organicznie „anty”, opisany przez przyjaciela jako „nieświadomy tego reakcjonista”, spostrzegawczy cynik i „arysto” ze spiczastą białą bródką, często roześmiany, łączył w sobie wszystkie, nawet najbardziej sprzeczne tendencje Trzeciej Republiki. Jego *Przypadki mojego życia* wypełniły pięć tomów. Był wszystkim, od przeciwnika Napoleona III do sprzymierzeńca generała Boulanger, a jego codzienną szpaltę czytała z zachwytem najwrażliwsza i najbardziej pobudliwa część społeczeństwa.

Na początku, gdy dreyfusiści zwrócili się do niego w przekonaniu, że będzie mu się uśmiechało wyzwanie do udowodnienia niewinności skazanego człowieka, którego wszyscy uważali za winnego, Rochefort odniósł się do tego przychylnie; jego współpracownik Ernest Vaughan odradził mu jednak tę awanturę twierdząc, że opinia publiczna nie zniesie braku szacunku dla armii. Rochefort uznał, że przeciwnicy są równie podniecający. Vaughan tymczasem zmienił zdanie i pokłócili się, a rezultat tej kłótni miał znaczenie historyczne, bo Vaughan odszedł i założył własne pismo „l'Aurore”, organ dreyfusistów, którego im do tej pory brakowało. Rochefort odwzajemnił się najszkodliwszym dla sprawy wymysłem. Poinformował czytelników, że istnieje list kajzera do Dreyfusa i że prezydent po uprzednim sfotografowaniu tego listu został zmuszony pod groźbą wojny do zwrócenia go ambasadorowi niemieckiemu, hrabiemu Münsterowi. „L'Intransigeant” stwierdzał „z absolutną pewnością” powołując się na autorytet wysokiej osobistości wojskowej, że to był właśnie ten tajny dokument, na podstawie którego Dreyfus został skazany.

Publiczność była do tego stopnia zamroczona oparami mistyfikacji i intryg unoszących się wokół sprawy, że wielu ludzi uwierzyło w tę historyjkę. Na każdym kroku utrudniała ona starania o rewizję i pomagała przy dowodzeniu, że rewizja oznacza wojnę. Na opinię publiczną o sprawie nie działało to, co naprawdę się zdarzyło, lecz to, o czym jako o faktach mówiła prasa nacjonalistyczna i szeptane pogłoski. Hrabia Münster rzeczywiście interweniował celem oficjalnego zaprzeczenia jakimkolwiek kontaktom z Dreyfusem, ale powszechnie uważano ten incydent za faktyczne ultimatum. Generałowie, których myśli z uzasadnionych przyczyn zajęte były problemem niemieckim, skorzystali z tego jako z pretekstu, aby nie wznawiać procesu, i argumentowali tak przekonywująco, że przekonali samych siebie. Generał Mercier zeznawał, że po spotkaniu z hrabią Münsterem siedział do późnej nocy z prezydentem i premierem, oczekując „na wiadomość, czy wynikiem będzie wojna, czy pokój”. Generał Boisdeffre, szef Sztabu Generalnego, odpowiedział ze złością księżniczce Matyldzie Bonaparte na jej argumenty świadczące o niewinności Dreyfusa: „Jak może pani mówić mi coś takiego, skoro sam widziałem i miałem w ręku listy Dreyfusa do cesarza Niemiec?” Księżniczka, sławna jako pani domu, krzyknęła oburzona: „Jeśli pan widział takie listy, to były na pewno fałszywe. Nigdy mnie pan nie przekona o czymś takim”. Na co Boisdeffre rozgniewany wyszedł z pokoju, a księżniczka, westchnąwszy z ulgą, zawołała: „*Quel animal, ce général!*”

Prawdy nie dało się już odróżnić od tego, co ludzie uważali za prawdę. Wielokrotne oświadczenia rządu niemieckiego, że nic nie wiedzą o Dreyfusie, przechodziły bez echa, uważano bowiem, że Berlin może nie znać nazwisk szpiegów, z którymi kontaktują się jego agenci. Z drugiej strony gazety nacjonalistyczne pisały, że Niemcy bliskie są wojny z Francją, gdyż uważają za wielką zniewagę skazanie Dreyfusa mimo ich zaprzeczeń. Przychylnie nastawienie do rewizji potępiano jako tchórzliwe uleganie presji Niemiec — i jako dowód siły „Syndykatu”.

„Syndykat”, wytwór antysemitycznej prasy, był w pojęciu prawicy synonimem zła. Sądono, że jest to podziemne bractwo Żydów, ciemny i ponury spisek, mobilizujący wszystkie siły, aby obalić wyrok skazujący Dreyfusa i podstawić w jego miejsce jakiegoś chrześcijanina jako zdrajcę. Każdy nowy obrót sprawy niepomysłny dla nacjonalistów przypisywano „Syndykatom”. Każda wybitna czy szanowana osobistość, opowiadająca się

za rewizją, była na żołdzie „Syndykatu”. Dowody fałszerstw ze strony armii podrobił „Syndykat”. Według twierdzeń nacjonalistów wydał on od 1895 roku dziesięć milionów franków na przekupienie sędziów, grafologów, dziennikarzy i ministrów. Mówili oni, że fundusze „Syndykatu”, dostarczone przez wielkich bankierów żydowskich, złożone są w skarbcu międzynarodowego banku w Berlinie. Mówili, że doradcą „Syndykatu” jest pastor Günther, prywatny kapelan kajzera. Celem „Syndykatu” miało być podważenie wiary narodu w armię, odkrycie jej tajemnic wojskowych, a gdy kraj będzie już bezbronny, otwarcie dostępu wrogowi. Karykaturzyści przedstawiali to bractwo jako otyłą postać o żydowskich rysach, z pierścieniami na palcach i złotymi łańcuchami, która z wyrazem złośliwego triumfu stoi z nogą na karku leżącej na ziemi Marianny. Wraz z narastaniem wrogości wokół sprawy „Syndykat” rozdymał się w oczach nacjonalistów w potworną ligę, zrzeszającą nie tylko Żydów, ale i wolnomularzy, socjalistów, cudzoziemców i wszystkie inne źle nastawione osoby. Mówiono, że czerpie on fundusze od wszystkich wrogów Francji, którzy posługują się Dreyfusem jako pretekstem, żeby zdyskredytować armię i siać niezgodę w narodzie. Machinacjom „Syndykatu” przypisywano upokorzenie doznane od Anglików pod Faszodą. „Syndykat” znajdował się wszędzie; stanowił on uosobienie nienawiści i obaw prawicy. „Syndykat” był wrogiem.

Nagle nasilenie antysemityzmu we Francji i jego złośliwe objawy stanowiły część zjawiska o szerszym zasięgu. Antysemityzm jako siła społeczna i polityczna wyłonił się pod koniec dziewiętnastego wieku z innych rozprzestrzeniających się sił wywołujących napięcia między klasami społecznymi i narodami. Industrializacja, imperializm, rozrost miast, upadek wsi, potęga pieniądza i potęga maszyn, zaciśnięta pięść klasy robotniczej, schyłek arystokracji, wszystkie te siły i czynniki kipiały jak wewnątrz wulkanu przed wybuchem. Umarło „coś bardzo wielkiego — dawna, kosmopolityczna, feudalna, agrarna Europa”, jak powiedział jeden ze współczesnych, a w procesie tym rodziły się konflikty, obawy, nowo odkryte siły, które szukały ujścia.

Antysemityzm był takim klasycznym ujściem. Wskazując kozła ofiarnego i pragnąc skierować w inną stronę niezadowolenie z klasy rządzącej, pojawił się w Niemczech w latach siedemdziesiątych za Bismarcka i w Rosji w latach osiemdziesiątych. Pogromy 1881 roku i późniejsze Ustawy Majowe, dyskwalifikujące Żydów, spowodowały, że uznali oni za słuszne

powiedzenie Mazziniego: „Bez kraju jesteście bękartami ludzkości”. Antysemityzm, wskazując kozła ofiarnego, służył również klasie posiadającej, a jego zjadliwość w tym okresie odzwierciedlała głęboki niepokój spowodowany świadomością zbliżającego się upadku starego ładu. Ustępowały stare wartości. Zamachy anarchistyczne, agitacja socjalistyczna, rosnąca samoświadomość świata pracy, wszystko to zagrażało stanowisku i własności, a nic nie rodzi takiej wrogości jak zagrożenie stanu posiadania. Na Zachodzie tej nowej antypatii ulegali ludzie kulturalni, jak sekretarz Balfoura George Wyndham i bliski przyjaciel Theodore'a Roosevelta, angielski dyplomata, Cecil Spring-Rice. Stale z zacietrzewieniem dawał wyraz temu Henry Adams: miał jedno tylko życzenie, ujrzeć koniec „przekłętego żydostwa” i wszystkich „rekinów finansowych”; „jesteśmy w rękach Żydów, którzy robią co chcą z naszymi wartościami”; „czytałem z zainteresowaniem *France Juive*, «Libre Parole» i wszystko”; „spędzam dzień czytając antysemickie ataki Drumonta”.

U ludzi tego środowiska uczucia takie wypływały z nienawiści do nowej siły pieniądza (choć samego Adamsa nic nie interesowało bardziej niż pieniądz), to jest do nowego pieniądza „rekinów finansowych”, pochodzącego z kapitałów, akcji i operacji finansowych, a nie z dopuszczalnych źródeł, jak ziemia i czynsze. Książę Orleanu wyjaśniał w czasie sprawy Dreyfusa, że problem żydowski jest jednym z problemów wojny ekonomicznej. Zbliży się dzień, kiedy wszyscy ludzie związani z ziemią, a tym samym ze swoim krajem, będą musieli się bronić przed „anonimowymi i próżniaczymi” majątkami Żydów, którzy nabili kabzy na skutek upadku Union Générale, a rząd się do tego przyczynił. Union Générale — bank katolicki, założony został z błogosławieństwem papieża Leona XIII w konkretnym celu ściągnięcia wkładów od wiernych. Arystokracja inwestowała tam kapitały za poradą swoich kapelanów, skromne rodziny katolickie także lokowały w tym banku swoje oszczędności. Kiedy rywale Union Générale wraz; z Rothschildem dzięki większym kapitałom i sprytnym manewrom doprowadzili w 1882 roku do upadku tej instytucji, zarówno bogaci jak i biedni katolicy stracili swoje fundusze. Winę przypisywano Żydom. „Kwestię” żydowską zaczęto omawiać w klerykalnych i rojalistycznych gazetach. Przypisywano Żydom tajne spiski i złe moce. Ożyły wszystkie animozje, jakie zawsze wywoływali Żydzi, ci wiecznie obcy, którzy starają się utrzymać własną tożsamość. Żydzi nie byli Francuzami; byli we Francji obcym ciałem, prawdopodobnie spiskującym

przeciw Francji, na pewno przeciw Kościołowi; byli krzewicielami ruchu antyklerykalnego i wrogami katolickich *bien-pensants*.

Fala antysemityzmu we Francji, podobnie jak każde poprzednie jego nasilenie w historii, zrodziła się wówczas, gdy w sprzyjających okolicznościach pojawił się podżegacz. Rolę podżegacza spełniał w tym przypadku nie znany dotychczas Edouard Drumont. Po upadku Union Générale napisał on dwutomową książkę, *La France Juive*, która wyszła w 1886 roku i natychmiast odniosła sukces. Ta polemika, sklecona w oparciu o wątek rodziny Rothschildów i mordu rytualnego, nie była traktatem filozoficznym, jak wcześniejsze dzieło Gobineau *Esej o nierówności rasowej (Essai sur l'inégalité des races humaines)*, który największe powodzenie osiągnął za Renem, gdzie mieszkańcy zajmowali się tworzeniem teorii wyższej rasy. Drumont zajął się w swoim dziele głównie szkodliwą potęgą żydowskich finansów. Książka miała wielu czytelników i liczne nakłady, a jej autorowi, krzepkiemu, krępemu mężczyźnie o czerwonej twarzy i czarnej gęstej brodzie, dobrze się powodziło. W roku 1889 razem z markizem de Mores założył Narodową Ligę Antysemityczną, aby zwalczać „potajemny spisek” żydowskiej finansjery, który „dzień w dzień naraża na szwank dobrobyt, honor i bezpieczeństwo Francji”. Podczas pierwszego dużego zebrania publicznego Ligi diuk d'Uzès, diuk de Luynes, książę Poniatowski, hrabia de Breteuil i inni arystokraci cieszyli się, że siedzą obok prawdziwych robotników z rzeźni, a ci znów byli zachwyceni, że dzielą poglądy z arystokracją.

Po sukcesie książki i Ligi następnym krokiem Drumonta musiała być naturalnie gazeta. W 1892 roku, właśnie wtedy, gdy gniew oszukanych inwestorów pożyczki panamskiej spadł na jej dwóch orędowników, Comeliusa Herza i barona de Reinacha, obydwu Żydów, Drumont założył pismo „La Libre Parole”. Gazeta ta, pełna pieniących się filipik i zaciekle tępiąca złoczyńców, stała się potęgą. Podjęła równocześnie kampanię w celu usunięcia oficerów Żydów z armii, w wyniku czego dwóch z nich pojedyńkowało się z Drumontem i markizem de Mores. Markiz, wbrew zwyczajowi, posunął się tak daleko, że zabił swego przeciwnika; został oskarżony o nieprzepisowe postępowanie, lecz sąd go uniewinnił.

Kiedy Dreyfus otrzymał wyrok skazujący, „La Libre Parole” wyjaśniała publicznie, co nim kierowało: zemsta za afronty i pragnienie jego rasy, by zniszczyć Francję. „*A mort! A mort les juifs!*” ryczał tłum za balustradą

placu koszarowego, gdzie odbywała się ceremonia jego degradacji.

Krzyk ten słyszał stojący w tłumie paryski korespondent wiedeńskiej „Neue Freie Presse”, Theodor Herzl. „Gdzie? — pisał później. — We Francji. W republikańskiej, współczesnej, cywilizowanej Francji, w sto lat po **Deklaracji praw człowieka**”. Ten wstrząs rozstrzygnął jego dawne problemy. Pojechał do domu i napisał książkę **Der Judenstaat**, gdzie w pierwszym zdaniu sformułowany został cel działań, „przywrócenie państwa żydowskiego” ; w przeciągu osiemnastu miesięcy zorganizował z najbardziej zdezorganizowanego i frakcyjnego środowiska na świecie pierwszy Kongres Syjonistyczny, w którym wzięło udział dwustu delegatów z piętnastu krajów. Dzięki sprawie Dreyfusa wyłonił się, po osiemnastu wiekach czekania, nowy czynnik polityczny na arenie światowej.

Pierwszym dreyfusistą był Bernard Lazare, lewicowy intelektualista i dziennikarz, który wydawał niewielki przegląd, pt. „Rozmowy Polityczne i Literackie”, a zarabiał na życie jako pracownik katolickiego i konserwatywnego „Echo de Paris”. Anarchista z przekonań, symbolista jako literat, i Żyd, nosił dwuogniskowe okulary na krótkowzrocznych oczach, w których, jak mówił jego przyjaciel Péguy, „świecił płomień sprzed pięćdziesięciu wieków”. Podejrzewając od początku, jaki będzie werdykt, dowiedział się od komendanta więzienia, że Dreyfus nie tylko się nie przyznał, lecz nie przestał oświadczać, że jest niewinny. Przy pomocy Mathieu Dreyfusa, przekonanego o niewinności brata, i po długim poszukiwaniu dowodów, co utrudniało mu kręcenie i milczenie ludzi i zamykanie przed nim drzwi, Lazare wydał w końcu broszurę zatytułowaną **Pomyłka sądowa; prawda o sprawie Dreyfusa**. Choć rozdano trzy tysiące egzemplarzy ministrom, posłom, wydawca dziennikarzom i innym urabiającym opinię publiczną, nikt nie zwrócił na ten dokument uwagi. Nie dały też wyników odwiedziny Lazare'a i Mathieu Dreyfusa u wpływowych osobistości. Zanudzają nas tym swoim Żydem”, powiedział Clemenceau. Hrabia Albert de Mun, sławny katolicki reformator społeczny, nie chciał ich widzieć, a przywódca socjalistów, Jean Jaurès, przyjął ich chłodno. Gazeta socjalistyczna, „La Petite République”, pisząc o broszurze Lazare'a, zgodnie z zasadami marksizmu doszła do wniosku, że „strajkujący są co dzień niesprawiedliwie skazywani, choć nie popełnili zdrady i bardziej zasługują na nasze współczucie niż Dreyfus” M. Socjaliści nie dostrzegali w sprawie Dreyfusa powodu do niepokoju. W warunkach walki klas nieszczęścia

jakiegoś burżuja nie miały dla nich żadnego znaczenia. Antymilitaryzm należał do ich tradycji, a Dreyfus był nie tylko burżujem, ale w dodatku jeszcze oficerem armii. Pomyłka sądowa w stosunku do członka klasy rządzącej wywołała raczej ich uznanie niż żal.

Ale fale wątpliwości wywołane przez Lazare'a rozszerzały się i dały początek ruchowi dreyfusistów. Porwał on Luciena Herra, bibliotekarza w Ecole Normale Supérieure, będącej sercem świata akademickiego. Tutaj najbardziej wykształceni profesorowie przygotowywali najzdolniejszych studentów do kariery przyszłych nauczycieli Francji. Herr wierzył w socjalizm, był przyjacielem i preceptorem studentów. Podczas letnich wakacji 1897 jeździł co popołudnie na poważne dyskusje ze swym młodym przyjacielem Leonem Blumem. Pewnego dnia powiedział wprost: „Czy wiesz, że Dreyfus jest niewinny?” Trwało chwilę, nim Blum skojarzył to nazwisko; potem przypomniał sobie oficera skazanego za zdradę. Zdumiał się, gdyż jak większość ludzi uważał wersję o przyznaniu się Dreyfusa za oficjalną. Wpływ Herra działał przekonywająco. „Kierował naszym sumieniem i naszymi myślami — pisał Blum. — Tak dokładnie rozróżniał prawdę, że mógł przekazywać ją bez wysiłku”.

Gdzie indziej ludzie współpracujący z Gambettą przy założeniu Trzeciej Republiki, dla których święte były reprezentowane przez nią zasady, obudzili się i poczuli niepokój. Dwaj zwłaszcza zaczęli działać: senator Ranc, wybitny radykał i członek pierwszego rządu republiki, oraz młodszy Joseph Reinach, który w wieku dwudziestu kilku lat był naczelnym sekretarzem Gambetty. Jako siostrzeniec i zięć sprzedajnego barona de Reinacha miał powody do szczególnego wyczulenia, choć kierowały nim nie tyle prożydowskie sympatie, co troska o sprawiedliwość we Francji. Znaleźli szermierza w osobie powszechnie szanowanego senatora Scheurer-Kestnera, wiceprzewodniczącego Senatu, założyciela republiki i byłego wydawcy pisma Gambetty „La République Française”.

Scheurer-Kestner, urodzony w Alzacji, który po 1871 roku postanowił zamieszkać we Francji, został mianowany dożywotnio senatorem i był uważany za ucieleśnienie utraconej prowincji. Dostojny dżentelmen, zamożny, elegancki, ze starej rodziny, reprezentował arystokrację republiki. Kiedy reporter z „La Libre Parole” przyszedł do niego na wywiad i usiadł w fotelu, „sam diuk de Saint-Simon — jak mówiono — nie byłby bardziej zgorszony” niż Scheurer-Kestner, pełen oburzenia, że ktoś z takiej gazety

wchodzi do jego domu. Gdy się dowiedział, że armia zataiła dowody wykazujące niewinność człowieka na Diabelskiej Wyspie i że Esterhazy jest prawdziwym autorem dokumentu, na podstawie którego wydano wyrok, ogarnęło go przerażenie.

Dowód ten odkrył oficer armii, pułkownik Picquart, który został mianowany nowym szefem Biura Kontrwywiadu w kilka miesięcy po skazaniu Dreyfusa. Kiedy przedstawił odnaleziony dokument szefowi Sztabu Generalnego i jego zastępcy, generałom Boisdeffre i Gonse, spotkał się ze zdecydowaną odmową zarówno oskarżenia Esterhazego jak i zwolnienia Dreyfusa. Na nalegania Picquarta Gonse zapytał go, czemu tak mu zależy na ściągnięciu Dreyfusa z powrotem z Diabelskiej Wyspy.

„Ależ, generale, on jest niewinny!”, wykrzyknął Picquart. Powiedziano mu, że to jest „nieważne”, że sprawa nie zostanie wznowiona, generał Mercier jest w to wplątany, a dowody przeciw Esterhazemu nie są rozstrzygające. Na uwagę Picquarta, że sytuacja będzie gorsza, gdy rodzina Dreyfusa, o której wiadomo, że bada sprawę, odkryje prawdę, Gonse odrzekł: „Jeśli pan nic nie powie, nikt nie będzie wiedział”.

Picquart spojrzał na niego ze zdumieniem. „To jest wstrętne, generale. Nie biorę tej tajemnicy z sobą do grobu”, powiedział i wyszedł z pokoju. Wychowany jako żołnierz, lojalny i posłuszny w służbie jak każdy inny oficer, nie mając żadnego osobistego interesu, żadnych pobudek osobistych, żadnego rozgłosu do zyskania, czym kierowali się przecież późniejsi orędownicy tej sprawy, Picquart działał wtedy i potem, ryzykując swoją karierę, z czysto abstrakcyjnego poszanowania sprawiedliwości. Jeśli można było coś powiedzieć o jego poglądach, to tyle, że był antysemitą. Pewnego razu, gdy go poproszono, aby przyjął Reinacha, oficera rezerwy, do swego sztabu w czasie manewrów, zaprotestował mówiąc: „Nie mogę znieść tego Żyda”. Dreyfus nie obchodził go bardziej niż Reinach. Nie mógł jednak ścierpieć faktu, że armia mogła świadomie akceptować ukaranie niewinnego człowieka. Gdy nie zaprzestawał swoich nalegań, został przeniesiony do pułku piechoty w Tunezji. Obowiązany do przestrzegania dyscypliny wojskowej, nie mógł składać oświadczeń publicznych, lecz udało mu się przyjechać na krótko do Paryża w czasie urlopu i wówczas odsłonił fakty przed swym przyjacielem prawnikiem i zostawił zapieczętowane sprawozdanie, które w razie jego śmierci miało zostać doręczone prezydentowi Francji. Później, gdy się dowiedziano o wyjawieniu przez

niego tajemnicy, został odwołany, aresztowano go, a po procesie skazano za złe postępowanie i zwolniono z armii; później aresztowano go ponownie i uwięziono na rok.

Tymczasem prawnik Picquarta przekazał informację Scheurer-Kestnerowi, swemu bliskiemu przyjacielowi, który natychmiast oświadczył wobec kolegów senatorów, że Dreyfus jest niewinny, i zażądał rewizji sądowej. Nalegał na rząd, niepokoił ministrów wojny i sprawiedliwości, wielokrotnie rozmawiał z premierem i prezydentem. Ci blokowali sprawę, zbywali go i obiecywali „śledztwo”. Wybory powszechne miały się odbyć w maju 1898, już za osiem miesięcy. Wznowienie procesu wywołałoby wrzask intryganckiej prasy i publiczne dochodzenie w sprawach dotyczących armii, co z kolei zaprowadziłoby nie wiadomo dokąd, z niepożądanym skutkiem zarówno w stosunkach z Rosją, z którą Francja zawarła właśnie sojusz wojskowy, jak i z Niemcami. Te sprawy państwowe, zagraniczne i wewnętrzne, okazały się silniejsze niż sprawiedliwość wobec samotnego człowieka na odległej skale; ponadto istota sprawiedliwości przedstawia się inaczej ludziom, którzy chcą zachować urząd, i tym, którzy stoją poza nim. Ministrowie dali się przekonać przez Sztab Generalny na podstawie podrobionego listu majora Henry, którego nie mieli podstaw podejrzewać, że Dreyfus musi być jednak winny, a Esterhazy może być jego współnikiem lub stanowić innego rodzaju niefortunną komplikację, nie usprawiedliwiającą strasznego wstrząsu, jaki wywołałoby wznowienie procesu.

Daremne były starania Scheurer-Kestnera. Opublikował on wobec tego list w „Le Temps”, informujący wszystkich o istnieniu „dokumentów wykazujących, że winnym nie jest kapitan Dreyfus”, i zażądał przeprowadzenia formalnego śledztwa przez ministra wojny dla „ustalenia winy tej drugiej osoby”.

W tym samym czasie „Figaro” ogłosił listy Esterhazego do porzuconej metresy, jeden w formie facsimile, napisany w okresie boulangistowskim, gdzie wyrażał pogardę dla własnego kraju we wstrząsający sposób. „Gdyby mi powiedziano, że umrę jutro jako kapitan ułanów tnąc szablą Francuzów, byłbym bardzo szczęśliwy”, napisał i wspominał o pragnieniu, aby ujrzyć Paryż „w czerwonej łunie bitwy, wzięty szturmem i oddany na łup 100 000 pijanych żołnierzy”. Ten niezwykły potok jadu i nienawiści w stosunku do Francji, napisany ręcznie, tym samym charakterem pisma co *bordereau* stanowiące podstawą obciążenia Dreyfusa, wydawał się dreyfusistom

prawdziwym cudem. Uważali swoją walkę za wygraną. Ale dowiedzieli się, jak pisał Reinach, że „sprawiedliwość nie spada z nieba; trzeba ją wywalczyć”. Dzienniki prawicy natychmiast oświadczyły, że listy zostały podrobione przez „Syndykat”. Sam Esterhazy, zadłużony hazardzista, spekulator giełdowy, elegancki i dowcipny łotr, ożeniony z córką markiza, mężczyzna o ziemistej, trupiej fizjonomii, z zakrzywionym nosem, z zamaszystym, czarnym węgierskim wąsem, z „rękami bandyty”, wyglądający, jak go określał pewien obserwator, „na eleganckiego i perfidnego Cygana lub na wielką dziką bestię, czujną i pewną siebie”, został teraz przeobrażony przez nacjonalistyczną prasę w bohatera, a jego niewinność stała się artykułem wiary.

Równie zapalczywie oczerniano Scheurer-Kestnera i zachęcano ludność do demonstracji w dniu, w którym miał złożyć oświadczenie w Senacie. Wysoki, wyprostowany, blady, z wysokim czołem, białą brodą, o wyglądzie surowego hugonota z szesnastego stulecia, szedł miarowym krokiem ku trybunie, jakby wchodził na szafot.” Na zewnątrz w mglistym zimowym popołudniu tłumy zapełniały Ogród Luksemburski, wyjąc wrogo przeciw człowiekowi, o którym nic nie wiedziały. Silnym głosem powoli przeczytał swój apel do rozumu wrogo nastawionym senatorom, którzy przerywali jego przemówienie gwizdaniem i obelżywym śmiechem. Z chłodnym milczeniem przyjęto jego przypomnienie, że jest ostatnim posłem z francuskiej Alzacji, co w innym okresie wzruszyłoby wszystkich; wrogie spojrzenia towarzyszyły mu, gdy wracał na miejsce. Miesiąc później, w dorocznych wyborach do prezydium Senatu, utracił stanowisko wiceprzewodniczącego, które piastował przez cały prawie czas istnienia republiki.

Silnego poparcia w walce udzielił mu Clemenceau, specjalista od obalania rządu, nazwany przez konserwatystów *l'homme sinistre*, nieustraszony w dyskusji, w opozycji, w dziennikarstwie, w rozmowie, jak i w pojedynkach na pistolety czy szpady. Pojedynkował się z Paulem Déroulède'em o Panamę i z Drumontem o sprawę Dreyfusa. Lekarz z wykształcenia, był także krytykiem dramatycznym, który wylansował Ibsena, bliskim przyjacielem Claude'a Moneta; w roku 1895 pisał, że „jego dzieła kierują wzrok człowieka ku subtelniejszej i wnikliwszej wizji świata”. Zlecił Toulouse-Lautrecowi zrobienie ilustracji do jednej jego książki, a Gabrielowi Fauré napisanie muzyki do jednej z jego sztuk. „Tylko artyści są na właściwej drodze — powiedział pod koniec życia. — Może potrafią dać temu

światu odrobinę piękna, niemożliwe jednak jest użyczenie mu rozumu”.

Clemenceau, od czasu Panamy pozbawiony stanowiska i bez miejsca w Parlamencie, przekonany przez Scheurer-Kestnera o rzeczywistych okolicznościach oskarżenia Dreyfusa, dojrzał zarysy wielkiej sprawy i chwycił się jej nie tylko jako środka zaspokojenia politycznych ambicji. Clemenceau uważał groźbę ze strony Niemiec za czynnik dominujący w życiu politycznym. „Kto — pytał rozwścieczony marzeniami Esterhazego o pruskich ułanach tnących szablami Francuzów — kto spośród naszych dowódców ochrania Esterhazego? ... Komu powierzono życie francuskich żołnierzy i obronę Francji? „ Drugie po Niemcach niebezpieczeństwo upatrywał w klerykalizmie. „Armia francuska jest w rękach jezuitów... Tu tkwi źródło całej sprawy Dreyfusa”. Co dzień w „Aurorze” atakował z pasją rozstrzygnięcia w tej sprawie; w ciągu kolejnych stu dziewięciu dni po wyroku napisał sto dwa artykuły, a w okresie trzech lat łącznie pięćset, co starczyłoby na wypełnienie pięciu tomów. We wszystkich dźwięczał silnie ton sprawiedliwości. „Patriotyzm nie może istnieć bez sprawiedliwości... Z chwilą gdy pogwałcone zostało prawo jednostki, prawo każdego narażone jest na niebezpieczeństwo... Prawdziwymi patriotami jesteśmy my, którzy walczyliśmy o sprawiedliwość i o uwolnienie Francji od jarzma ozdobionej złotymi łańcuchami nieomyślności”.

Wśród dreyfusistów znaleźli się także różni oportuniści. Urbain Gohier, eks-monarchista, deklarujący się potem jako socjalista, atakował ostro armię w „Aurorze”. Jej oficerów nazywał „generałami klęski”, „kajzerowskimi lizusami”, którzy umieli tylko „uciekać i poddawać się” i odnosili zwycięstwa chyba tylko nad Francją; byli „kawalerią Sodomy” z orszakami utrzymanek. „Połowa Francji rzuca obelgi na drugą połowę”, pisała z Berlina zatroskana księżna Radziwiłł, Francuzka, z domu Castellane. Żona księcia Antoniego Radziwiłła, z pruskiej linii kosmopolitycznej rodziny pochodzenia polskiego, „który chętnie mówi po angielsku, podczas gdy jego brat, Rosjanin, mówi po francusku”, poświęciła się jednemu celowi, zbliżeniu francusko-niemieckiemu. „Nikt nie może przewidzieć, jak się to skończy — ciągnęła dalej w liście — ale jeśli tak dalej pójdzie, będzie to stanowiło rzeczywiste moralne zagrożenie”.

Zagrożenie było nie tylko moralne. Niemcy przyglądali się uważnie wewnętrznemu konfliktowi Francji, pochłaniającemu całą jej uwagę. Powtarzali raz po raz, że nie mieli żadnych kontaktów z Dreyfusem, przez co

chcieli nie tyle osiągnąć sprawiedliwość, co pogłębić niezgodę we Francji. Kajzer, uradowany, że ma czyste sumienie, chętnie informował gości i krewnych z rodziny królewskiej, że Francja skazała niewinnego człowieka. Wiadomość rozeszła się za pośrednictwem międzynarodówki rodzinnej europejskich monarchów. W Petersburgu w sierpniu 1897 roku, nim jeszcze sprawa Dreyfusa urosła we Francji do wielkiej afery, hrabia Witte, wybitny rosyjski minister, powiedział do członka przebywającej tam misji francuskiej: „Widzę tylko jedną rzecz, która mogłaby spowodować wielkie kłopoty w waszym kraju. To ta historia kapitana skazanego przed trzema laty, który jest niewinny”.

Przypuszczenie, z taką beztrąską uznane za prawdziwe w Petersburgu, zostało w grudniu odrzucone z pasją we francuskim Parlamencie przez uczciwego i poważanego człowieka o wzniosłych ideałach. Dla hrabiego Alberta de Mun niewinność lub wina Dreyfusa miała inne znaczenie; przeistoczyła się jak chleb i wino sakramentu w coś zupełnie innego rodzaju. Wiara w winę Dreyfusa równała się wierze w Boga.

Zespolenie tych idei nastąpiło wskutek odwiecznej wojny między Kościołem a republiką. Od czasu rewolucji Kościół znajdował się w defensywie wobec republiki, która według Jules'a Ferry, postawiła sobie za cel „zorganizowanie ludzkości bez Boga czy króla”. Zakony religijne, opierające się zawzięcie wysiłkom republiki, aby odebrać im władzę nad szkolnictwem, pokładały nadzieję na przetrwanie w przywróceniu monarchii katolickiej. To właśnie skłoniło Kościół we Francji do zajęcia stanowiska w sprawie Dreyfusa. W swoim własnym pojęciu i w pojęciu republikańskiej propagandy Kościół był sojusznikiem armii, która zawsze łączyła „Miecz i Kadzielnicę”. Republika uważała jezuitów za sztab generalny klerykalizmu, walczący i agresywny; pociągał on za sznurki, manewrując spiskiem w sprawie Dreyfusa. Jezuitom przewodził ojciec du Lac, spowiednik tak generała Boisdeffre, jak i hrabiego de Mun, uważanych za jego rzeczników.

Papieżowi Leonowi XIII, realicie patrzącemu z zewnątrz, wydawało się możliwe, że republika się utrzyma. Po niepowodzeniu zamachu Boulanger'a nie mógł już poważnie wierzyć w możliwość przywrócenia monarchii. Ponadto potrzebował poparcia Francji w walce z państwem włoskim. W encyklice z 1892 roku wzywał katolików francuskich, żeby pogodzili się z republiką, żeby ją popierali, infiltrowali i w końcu zdobyli, posługując się polityką nazwaną *ralliement*. Postępowi katolicy przyłączyli się, inni nie, a

lewica nie ufała tej polityce. „Uznajecie republikę — powiedział Leon Bourgeois, przywódca radykałów, na zgromadzeniu *railies*. — Świetnie. Czy uznajecie rewolucję?” De Mun nigdy jej nie uznał.

W okresie sprawy Dreyfusa de Mun osiągnął to, co we Francji uchodziło za szczyt kariery, został mianowicie wybrany do Akademii Francuskiej; jako temat swego wystąpienia obrał kontrrewolucję. Rewolucja, twierdził, była „przyczyną i początkiem wszelkiego zła tego stulecia”, była „buntem człowieka przeciw Bogu”. Wierzył, że dawne ideały i idee na pewno „znów się pojawią w naszej epoce w procesie nieuchronnej ewolucji” i ożywią „pojęcia społeczne z trzynastego wieku”. Za cel swojej kariery politycznej uważał leczenie ran niesprawiedliwości społecznej zadanych klasie pracującej, rechrystianizację mas, odstręczonych od religii przez rewolucję.

Mun, jako młody oficer kawalerii po wyjściu z St-Cyr, zapoznał się po raz pierwszy z życiem i problemami biedoty pracując charytatywnie w Stowarzyszeniu Św. Wincentego a Paulo w swym mieście garnizonowym. W okresie Komuny jako adiutant generała Galliffet, dowodzącego batalionem, który strzelał do powstańców, widział umierającego człowieka, przyniesionego na noszach. Konwojent powiedział, że to „rebeliant”, na co człowiek ten, podnosząc się, zawołał ostatnim tchem: „Nie, to wy jesteście rebeliantami!”, i umarł. Pod wpływem tego krzyku, skierowanego przeciw niemu, przeciw jego mundurowi, rodzinie, Kościołowi, de Mun zrozumiał przyczyny wojny domowej i ślubował sobie łagodzić rozdzwięki. Winę za Komunę przypisywał „apatii klasy burżuazyjnej i dzikiej nienawiści do społeczeństwa ludzi pracy”. Odpowiedzialnymi, jak powiedział mu jeden z braci Św. Wincentego, „byliście wy, bogaci, wielcy, szczęśliwcy życiowi, którzy przechodzicie obok ludzi nie widząc ich”. Aby ich zobaczyć i poznać, de Mun pracował wśród biednych. „Nie wystarczy dostrzegać zło i znać jego przyczynę — mówił. — Musimy przyznać, że jesteśmy odpowiedzialni i że społeczeństwo nie spełniło swego obowiązku wobec klasy pracującej”. Postanowił zająć się polityką, lecz jego kandydatura do Parlamentu i jego działalność była źle widziana w armii. Zmuszony do dokonania wyboru, zrezygnował z rangi oficerskiej i złamał swoją szpadę.

Ale będąc już w Parlamencie nadal kochał armię, stanowiła ona temat jego najbardziej wzruszających przemówień. Wygłaszane z adoracją wyznawcy i z ogniem szermierza zjednały mu przydomek *le cuirassier mystique*. Był najznakomitszym mówcą po tej stronie, „Jaurèssem prawicy”,

który doprowadził do perfekcji starannie przestudiowaną sztukę żywego słowa. Wysokiego wzrostu, godnej postawy, o opanowanych gestach i znakomitych manierach, nie miał równego sobie autorytetem, gdy wstawał, aby przemawiać. Mówił z całą siłą przekonania, świadomie konstruując frazę, posługując się jak skrzypcami głosem donośnym i wibrującym lub przytłumionym i drżącym, operując długim harmonijnym rytmem, nagłymi przerwami i kwiecistymi perorami. Jego pojedynki słowne z dwoma największymi przeciwnikami, Clemenceau i Jaurès, przypominały znakomite widowiska dramatyczne, toteż publiczność przychodziła na nie tłumnie, jak na *Orlątko* z Sarą Bemhardt.

Choć zagorzali prawicowcy oskarżali go, że jest socjalistą, popiera idee wywrotowe i narusza ustalony porządek, w istotnych kwestiach zachowywał wierność swej klasie. Popierał Boulangerera i do 1892 roku zajmował jako rojalista na tyle ważną pozycję, że hrabia de Chambord został ojcem chrzestnym jednego z jego dzieci. Kiedy jednak Leon XIII wezwał do *ralliement*, choć większość oszołomionych rojalistów buntowała się, de Mun zrezygnował z rojalistycznej polityki — nie wyzbywając się jednak sympatii do niej — i został przywódcą *ralliés*. Mimo że dążył do sprawiedliwości społecznej, odrzucał socjalizm jako „negację mocy Boga, podczas gdy my jesteśmy jej potwierdzeniem... Socjalizm jest logiczną rewolucją, a my jesteśmy kontrrewolucją. Nie ma między nami nic wspólnego i nie ma między nami miejsca na liberalizm”.

Słowa jego potwierdzały istniejącą przepaść, a on musiał stanąć po jednej jej stronie. W sprawie Dreyfusa doprowadziło go to do opowiedzenia się po stronie bandytów i do walki w kategoriach ustalonych przez Drumonta. To właśnie on wymienił „Syndykat” w pierwszej debacie parlamentarnej. „Czym jest ta tajemna nadprzyrodzona siła — pytał, patrząc wprost na Reinacha — dość potężna, aby rozdzielić cały kraj, jak to miało miejsce przez ostatnie dwa tygodnie, a zarazem wzbudzić wątpliwości i rzucić podejrzenie na przywódców naszej armii — w tym miejscu zatrzymał się, jakby porażony siłą swojego uczucia — armii, która może pewnego dnia będzie musiała poprowadzić kraj przeciw wrogowi. To nie jest sprawa polityki. Nie jesteśmy tu ani przyjaciółmi, ani przeciwnikami rządu, jesteśmy tu tylko Francuzami pragnącymi zachować nasz najcenniejszy skarb... honor armii!”

Jego wyniosła postawa i przejmujący głos wywołały gorące oklaski deputowanych; wszyscy wstali. Reinach czuł, że cała Izba, ogarnięta

przemocnym wzruszeniem, niezdolna jest do indywidualnej refleksji. „Czułem na mej głowie nienawiść trzystu zahipnotyzowanych słuchaczy. Skrzyżowałem ramiona; jedno słowo, jeden ruch zamieniłyby to uniesienie w szal. Jak walczyć z huraganem?” Jaurès milczał, a wielu posłów lewicy klaskało „entuzjastycznie ze strachu”. De Mun zażądał rozkazująco jednoznacznego oświadczenia rządu, potwierdzającego winę Dreyfusa. Minister wojny, generał Billot, usłuchał i oświadczył: „Uroczyście i szczerze jako żołnierz i wódz armii wierzę, że Dreyfus jest winny”. Następnie premier zwrócił się z apelem do wszystkich dobrych Francuzów, aby w interesie kraju i armii poparli rząd, „walczący z takimi trudnościami i dręczony przez tak roznamiętione społeczeństwo”. Namiętności znalazły natychmiast wyraz w pojedynku między Reinachem a socjalistą Alexandre'em Millerandem, który wystąpił z bezprecedensowym u członków tej partii poparciem dla rządu i potępił oskarżenia armii przez dreyfusistów jako „nielojalne”.

Inni arystokraci oprócz de Muna także zasiadali w Parlamencie, lecz zawsze w opozycji, jako rojaliści. Za republiki żaden nie brał udziału w rzeczywistym rządzeniu. Należał do nich diuk de La Rochefoucauld, reprezentujący dawniejszą arystokrację, z okresu przed cesarstwem; majątek swój zawdzięczał szampanowi Pommeroy i maszynom do szycia Singera; jako przewodniczący Jockey Clubu był uznanym przywódcą tzw. *gratin* lub „śmietanki” francuskiego towarzystwa. Inni z tej grupy to markiz de Breteuil, reprezentujący okręg Hautes-Pyrenees, i jego przyjaciel hrabia de Greffulhe; majestatyczny i gniewny zarazem, z żółtą brodą, przypominał króla z talii kart. Posiadał jeden z największych majątków we Francji i najpiękniejszą kobietę francuskiego towarzystwa za żonę; on i ona posłużyli Marcelowi Proustowi jako pierwowzory postaci księcia i księżny de Guermantes. Posłem był również hrabia Boni de Castellane, dandys i arbiter elegancji w swoim kółku. Wysoki i szczupły, o różowej cerze, niebieskich oczach, z małym złocistym, starannie przystrzyżonym wąsem, ożenił się z bogatą, zimną Amerykanką, Anną Gould, i za jej posag wybudował pałac z marmuru, w którym umieścił cenne antyki, co miało wykazać, jaką doskonałość może osiągnąć dobry gust w połączeniu z pieniędzmi. Na przyjęciu z okazji otwarcia pałacu lokaj w szkarłatnym płaszczu stał na zakręcie schodów; kiedy wielki książę Włodzimierz zapytał: „Co to za kardynał tam stoi?”, gospodarz odrzekł: „Och, on tam stoi tylko po to, żeby wywołać przyjemny efekt kolorystyczny na tle marmuru”. W pojęciu hrabiego Boni cała sprawa Dreyfusa polegała na tym, że Żydzi „w bezdusznym pragnieniu ocalenia

współwyznawcy” beczelnie ingerują w proces sądowy i równocześnie, lub alternatywnie, robią z Dreyfusa „pretekst do kampanii przeciw armii, zainicjowanej niewątpliwie przez Berlin”. W każdym razie są „dla mnie nie do zniesienia”. Tak w ogólności przedstawiały się poglądy ludzi z *gratin*, którzy, jak się wyraził wybitny apostata z ich grona, markiz de Galliffet, „nadal nic nie rozumieją”.

Niektórzy spośród nich zyskali literackie lub inne wyróżnienia. Hrabia Robert de Montesquiou, arcyesteta, stroił się w lawendowe i złote jedwabie, pisał wyszukane poematy symboli-styczne i zarówno Proust, jak i Huysmans przedstawili go jako uosobienie dekadencji w literackich postaciach barona de Charlus i des Esseintes'a. Montesquiou był tym, czym chciałby być Oscar Wilde, gdyby miał więcej pieniędzy, mniej talentu i żadnego poczucia humoru. Książę de Sagan, inny znany pederasta, który stale nosił świeży kwiat w butonierce i miał wspaniale wypomadowane wąsy, rywalizował ze swym siostrzeńcem, hrabią Boni, jako najwyższy kapłan elegancji i bił się w pojedynku z Ablem Hermantem, gdyż uważał, że został oczerniony w jego satyrycznych powieściach o życiu bogaczy i rozpustników. Hrabina Anne de Noailles pisała poezje i sunęła przez swoje piękne komnaty w długich białych powiewnych szatach jak „duch czegoś zbyt pięknego, by było prawdziwe”. Nie troszczyła się za bardzo o swoich gości, „uśmiechała się tylko, gdy przychodzili, i wzdychała cicho patrząc, jak odchodzą”. Wicehrabia de Vogtie, powieściopisarz i akademik, wywarł wpływ na literaturę francuską przez swoje studia o Turgieniewie, Tołstojem i Dostojewskim, które zwróciły uwagę Francuzów na wielkich Rosjan.

Oprócz tych wybitnych przedstawicieli środowiska *gratin*, reszta, w liczbie około tysiąca, odznaczała się głównie, jak powiedział jeden z nich, „przekonaniem

o swojej wyższości istniejącej mimo odmiennych pozorów”. Hrabia Aimery de La Rochefoucauld, znany był z "niemal przedpotopowych, surowych przesądów arystokratycznych”. Oburzony z powodu niewłaściwej etykiety w pewnym domu, powiedział do przyjaciela na tym samym poziomie: „Chodźmy razem do domu i porozmawiajmy o koligacjach”. O diuku de Luynes wyraził się, że jego przodkowie „byli po prostu nikim w roku 1000”. Do tego samego gatunku należał diuk d'Uzes; jego przodek odpowiedział królowi, gdy ten wyraził zdziwienie, że nikt z jego rodziny nie został nigdy marszałkiem: „*Sire*, zawsze zbyt wcześnie ginęliśmy w bitwie”.

Ludzie z *gratin* nie odznaczyli się gościnnością; niektóre rodziny, choć bogate, „nie proponowały przyjaciółom nawet szklanki lemoniady”. Mężczyźni uważali, że oni jedynie ze wszystkich mężczyzn wiedzą, jak się ubierać i jak uprawiać miłość; powtarzali sobie wzajemnie komplementy sławnych kurtyzan. Wzorowali się na znakomitościach swojej klasy, byli zagorzałymi anglofilami w sposobie bycia i obyczajach. Greffulhe'owie i Breteuilowie należeli do zażytych przyjaciół księcia Walii; zakłady na wyścigach — *le betting* — należały do zwyczajów w Longchamps, *le Derby* odbywało się w Chantilly, *le steeplechase* w Auteuil, a niedoszęłego członka Jockey Clubu nazywano *blackboule*. Charles Haas, pierwowzór Swanna, dał sobie wypisać „Mr” na swoich kartach wizytowych.

Pewien Anglik, przebywający z wizytą u diuka de Luynes w Chateau Dampierre, dostrzegał tam warstewkę nowoczesności w postaci automobili, sali bilardowej, londyńskich ubrań mężczyzn i kobiecych pogawędek, „ale pod tą cienką glazurą panuje martwota Morza Martwego. Wszystkie książki znajdują się w zamkniętej bibliotece poza domem. W domu nie ma żadnej książki, żadnej gazety, żadnego papieru do pisania i tylko jedno pióro”. Dwie siostry — diuszesy de Luynes i de Brissac — a także ich przyjaciółka, hrabina de Vogüé, wszystkie tuż przed rozwiązaniem, to „wspaniałe stworzenia”, z którymi łatwo było się porozumieć, jeśli nie mówiło się o niczym innym, tylko o sporcie. Gospodarz był marszałkiem dworu ówczesnego Pretendenta. Należeli do gatunku „dzieci niedorozwiniętych, które nienawidzą Żydów, Amerykanów, terażniejszości, ubiegłych dwu stuleci, rządu, przyszłości i sztuk pięknych”.

Ze względu na obowiązujące w republice ustawy wszyscy pretendenci do tronu przebywali na wygnaniu. Nadzieje bonapartystów skupiły się na osobie księcia Wiktora Napoleona, wnuka Hieronima Bonapartego, podczas gdy legitymiści uważali się za poddanych wnuka Ludwika Filipa, hrabiego Paryża, o którym Thiers wyrażał się, że „wygląda z daleka jak Prusak, z bliska jak idiota”. Po jego śmierci w roku 1894 jego miejsce zajął książę Orleanu, lekkomyślny młody człowiek, który w 1890 z tupetem pojawił się we Francji, oświadczając, że zamierza „dzielić *gamelle* (męsę) francuskiego żołnierza”, to znaczy odbyć służbę wojskową. Ponieważ wsławił się również romansiem z primadonną Nellie Melbą, nazywano go później lekceważąco „Gamelba”, przezwisko wymyślone przez Rocheforta. Przed sprawą Dreyfusa jego sprawa wydawała się beznadziejna, ale teraz rojaliści znaleźli

nowy punkt zaczepienia, nową nadzieję i podniecie, a w osobach antysemitów nowych współników i nową energię. Antysemityzm stał się modny, ale wywierał pewne niepożądane skutki w towarzystwie, bo ułatwiał dostęp parweniuszom, jeśli dość gorąco popierali tę nową tendencję. „Cała ta historia z Dreyfusem niszczy towarzystwo”, skarżył się baron de Charlus, a księżna de Guermantes uważała za absolutnie „nieznośne”, że należy teraz uznawać wszystkich ludzi, których się unikało całe życie, tylko dlatego, że bojkotują żydowskich handlarzy i mają wypisane „śmierć Żydom” na swoich parasolkach.

Środowisko *gratin*, bez znaczenia w rządzie i w dziedzinie kultury, ważne było tylko jako tło, bodziec, podnieta i finansowe poparcie reakcji. W sprawie Dreyfusa z klasy tej pochodził jeden tylko poważny przywódca, de Mun. To on zmusił rząd do kroków sądowych przeciw Zoli za zniesławienie armii w otwartym liście J'Accuse i doprowadził do procesu, przez który sprawa nabrała w całym kraju rozgłosu nie dającego się już zahamować. Gdyby rząd postąpił, jak uważał za stosowne, nie wnosiłby skargi, gdyż należało unikać dyskusji, zeznań, a nade wszystko krzyżowych wypytywań świadków. Ale prawica, kierowana przez de Muna, w uniesieniu gniewu zapragnęła zemsty, a jego autorytet miał magiczny wpływ. Ponieważ w Parlamencie nie zasiadał żaden przedstawiciel Ministerstwa Wojny, który mógłby odpowiedzieć na atak Zoli, de Mun zażądał zawieszenia sesji do czasu przybycia ministra wojny tak, żeby nic nie miało pierwszeństwa przed obroną honoru armii. Jeden deputowany zaproponował, aby poczekać z tą sprawą i tymczasem rozważać co innego. Wtedy de Mun oświadczył wyniośle: „Armia nie może czekać!” Deputowani posłusznie opuścili salę aż do przybycia ministra i potem, pod wrażeniem namiętnej oracji de Muna, głosowali za wystąpieniem do sądu przeciw Zoli.

„Olbrzym z brudnymi nogami, ale jednak olbrzym”, nazwał Zolę Flaubert. Choć był on chyba najpoczytniejszym i najlepiej wynagradzanym autorem tej epoki, to jednak brutalny realizm jego powieści wywoływał u wielu ludzi niesmak i oburzenie. Grzebał się bezlitośnie w nikczemności, podłości i zepsuciu wszystkich klas społeczeństwa, od slumsów aż po Senat. Demaskował z najdrobniejszymi szczegółami na równi chłopów, prostytutki, górników, burżujów, biznesmenów, alkoholików, lekarzy, oficerów, kler i polityków. Co gorsza, przedstawił rzekomo dobroczynny Wiek Dziewiętnasty jako sprawcę zubożenia mas w wyniku industrializacji. Wrota

Akademii nigdy się przed nim nie otwarły. Opis roku 1870 w *La Débâcle* doprowadził do wściekłości armię, a po *Germinalu* uznano, że stoi on po stronie robotników przeciw ustalonemu porządkowi. Jako agnostyk, uważał naukę za jedyne narzędzie społecznego postępu. Już wtedy występowała jednak w literaturze reakcja przeciw realizmowi i „bankructwu nauki”.

W roku przed aresztowaniem Dreyfusa Zola osiągnął szczyt sławy po wydaniu ostatniej powieści ze swej olbrzymiej, dwudziestotomowej panoramy francuskiego życia. W przyjęciu wydanym z tej okazji przez jego wydawcę na Grand Lac w Bois de Boulogne uczestniczyli pisarze, mężowie stanu, ambasadorzy, aktorki i piękności, znakomitości wszelkiego rodzaju od Poincarégo do Yvette Guilbert. Co czekało go jeszcze? Sprawa Dreyfusa otworzyła nową drogę do wielkości, ale tylko dla człowieka zdolnego na tę drogę wstąpić. Rzucenie wyzwania państwu wymagało odwagi; doświadczenia i geniuszu wielkiego pisarza wymagało napisanie *J'Accuse*. Współczucie z cierpieniem skłoniło go do działania. Zola poznał cierpienie: w młodości jako bezrobotny spędził dwa lata na poddaszu nędznego pensjonatu, często tak głodny, że zastawiał na dachu pułapki na wróble i piekł je nad świecą wbite na pręt od firanki.

W pierwszym swoim artykule na temat sprawy Dreyfusa, po wyłuszczeniu dowodów przeciw Esterhazemu — charakter pisma, list o ułanach — stwierdził: „Prawda nadchodzi i nic jej nie zatrzyma”. Kiedy po miesiącu armia postawiła Esterhazego przed sąd wojskowy, dreyfusiści, pełni uniesienia, przekonani byli, że jest to pośrednia forma wyrażenia zgody na rewizję. W rzeczywistości chodziło o to, żeby rozwiązać problem Dreyfusa przez proces, w którym armia mogła wpłynąć na werdykt. Esterhazy został uniewinniony, a tłum oklaskiwał go jako „ofiary Żydów”. „Werdykt spadł na nas jak uderzenie obuchem”, pisał Blum. Było tak, jakby Dreyfus został skazany po raz drugi. Prawda została jednak zatrzymana w drodze.

Jedynym sposobem, żeby wprowadzić dowody do akt, było spowodowanie procesu cywilnego. To właśnie miał na celu otwarty list Zoli, skierowany do prezydenta Francji. Powziął tę myśl w dniu uniewinnienia Esterhazego, chcąc w ten sposób wywołać proces przeciw sobie. Nie powiedział o tym nikomu prócz żony i wcale się nie wahał. Zamknięty w swoim gabinecie pracował przez dwadzieścia cztery godziny bez przerwy, zapoznał się dokładnie ze wszystkimi zawłościami i tajemnicami tej wówczas najbardziej skomplikowanej zagadki historii i napisał swoje

oskarżenie w czterech tysiącach słów. Wieczorem 12 stycznia zaniósł je do „Aurore” ; ukazało się ono nazajutrz rano pod tytułem zaproponowanym przez Ernesta Vaughana (według innej wersji przez Clemenceau): *J'Accuse!* Sprzedano trzysta tysięcy egzemplarzy, z tego wiele nacjonalistom, którzy palili je na ulicach.

W oddzielnych akapitach, z których każdy zaczynał się od słowa „Oskarżam”, Zola wymienił wyraźnie dwóch ministrów wojny, generała Merciera, jako „współwinnego największej niesprawiedliwości stulecia”, i generała Billota, który „posiadał konkretne dowody niewinności Dreyfusa i zataił je”. Oskarżał szefów Sztabu Generalnego, generałów Boisdeffre'a i Gonse'a, jako współwinnych tego samego przestępstwa, a pułkownika Paty'ego de Clama (nie wiedział nic o majorze Henrym) jako jego „szatańskiego autora”. Oskarżał Ministerstwo Wojny o prowadzenie „ohydnej kampanii” w prasie, żeby wprowadzić w błąd opinię publiczną i ukryć własne karygodne czyny. Oskarżał pierwszy sąd wojskowy o prowadzenie nielegalnego procesu i sąd wojenny nad Esterhazym o podtrzymanie „na rozkaz” tego nielegalnego werdyktu, a także o przestępstwo sądowe polegające na świadomym uwolnieniu winnej osoby. Zola publikował te oskarżenia znając doskonale ustawę o oszczerstwie, „aby przyspieszyć eksplozję prawdy i sprawiedliwości. Niech mnie postawią przed sądem. Niech śledztwo odbędzie się w pełnym świetle. Czekam”.

Wszyscy osłupieli; rzucenie takich oskarżeń na wojskowych przywódców narodu równało się nieomal aktowi buntu. Wielu rewizjonistów uważało, że Zola poszedł za daleko. I tak już gorącą sytuację rozżarzył poza granice wytrzymałości, przeraził i rozgniewał klasy średnie, przez co wzrosło ich poparcie dla armii i wrogie nastawienie do dreyfusistów. Nazajutrz po uchwale de Muna rząd oznajmił, że Zola stanie przed sądem.

W prasie i w piosenkach sprzedawanych na ulicy obrzucano go wyzwiskami, sprośnościami i nienawiścią. Rysowano złośliwe karykatury. „Pornograficzna Świnia” to najdelikatniejsze z nadanych mu przezwisk. Wysyłano mu paczki z ekskrementami. Palono jego podobizny. Rozdawano plakaty z napisem „Wszyscy dobrzy Francuzi odpowiadają Emilowi Zoli: *merde!*” Chcąc wywołać najsilniejsze emocje związane ze sprawą Dreyfusa, atakowano go jako „cudzoziemca”, bo jego ojciec był Włochem. W rzeczywistości Zola urodził się w Paryżu z matki Francuzki i został wychowany w domu jej rodziców, w Aix-en-Provence.

Skarga rządu, wniesiona w imieniu ministra wojny, pominęła wszystkie oskarżenia odnoszące się do Dreyfusa i ograniczyła się do zarzutu, że sąd wojenny uniewinnił Esterhazego „na rozkaz”. Dzięki temu wybiegowi przewodniczący sądu mógł wykluczyć dowody nie odnoszące się bezpośrednio do tego zarzutu. Ostro protestując przeciw takiej procedurze Jaurès grzmiał w Parlamencie na rząd. „Oddajecie republikę w ręce jezuickich generałów!”, na co deputowany nacjonalistyczny, hrabia de Bemis, zaatakował go fizycznie wywołując taką wrzawę, że straż wojskowa musiała interweniować dla przywrócenia porządku.

J'Accuse zwróciło uwagę na sprawę Dreyfusa i nadało jej wymiar heroicznego dramatu. Zdumiewało zarówno oskarżenie armii francuskiej o takie przestępstwa, jak i fakt, że najbardziej znany za granicą autor francuski mógł zostać w taki sposób zaatakowany. Świat patrzył w „osłupieniu i rozpacz”, pisał Bjornstjeme Björnson z Norwegii. Kiedy rozpoczął się proces, dreyfusiści zdawali sobie sprawę z tego audytorium. „Francja jest sceną, teatrem jest cały świat”, mówili. Przez proces Zoli sprawa z lokalnej stała się uniwersalną.

Interwencja Zoli poruszyła głęboko Czechowa, w owym czasie pisarza najbliższego zagadnieniom uniwersalnym. Przebywając wtedy w Nicei, śledził proces ze wzrastającym podnieceniem, czytał wszystkie stenografowane zeznania i pisał do domu: „Mówimy tu tylko o Zoli i Dreyfusie”. Antysemickie i anty-Dreyfusowskie tyrady w najpoważniejszym dzienniku Petersburga, „Nowoje Wriemia”, który wydrukował większość jego opowiadań, uważał „po prostu za wstrętne”, i pokłócił się z wydawcą, swym starym i zażyłym przyjacielem.

Według opinii zagranicznej, o ile nie była ona stronnicza w stosunku do Żydów, sprawa polegała głównie na problemie sprawiedliwości, dlatego nie rozumiano, z jakiego powodu Francuzi uparcie odmawiają zgody na rewizję. Wrogość zagranicy stała się z kolei jedną z przyczyn odmowy. „Francuskie gazety zapytują, dlaczego zagranica tak się interesuje tą sprawą — pisała księżna Radziwiłł — jak gdyby kwestia sprawiedliwości nie interesowała całego świata”. Tak było, lecz we Francji sprawa nie ograniczała się tylko do tego. Nie chodziło o walkę prawicy przeciw lewicy, bo tacy ludzie jak Scheurer-Kestner i Reinach, Clemenceau i Anatol France nie należeli do lewicy. Walkę prowadzono w kategoriach sprawiedliwości i patriotyzmu, lecz w istocie była to walka prawicy przeciw rozsądkowi.

Proces Zoli rozpoczął się 7 lutego 1898 roku i trwał szesnaście dni. Atmosfera w Palais de Justice na Ile de Cite „pachniała utajoną żądzą krwi — powiedział jeden ze świadków. — Co za namiętności na twarzach ludzi! Co za wyraz nienawiści, gdy spotykały się niektóre spojrzenia!” Sala sądowa zatłoczona była aż po parapety okien przez dziennikarzy, prawników, oficerów w mundurach, panie w futrach. Marcel Proust wspinał się codziennie na galerię dla publiczności, z kanapkami i kawą, aby nie opuścić ani chwili. Pod oknami klaka Drumonta, opłacana po czterdzieści *sous* od osoby, gwizdała i wyła. Wszyscy oficerowie, występujący w procesach i śledztwach Dreyfusa, Esterhazego i Picquarta, wstawali i składali przysięgę, że wszystkie dokumenty są autentyczne, także list Panizzardiego, będący, jak oświadczone, „niezaprzeczalnym dowodem” winy Dreyfusa. (Minister spraw zagranicznych, poinformowany już przez Włochów, że jest to fałszerstwo, chciał odwołać proces, lecz rząd nie miał odwagi, obawiając się buntu armii). Generał Mercier, wyprostowany, wyniosły, niewzruszony, „obwarowany własną nieomylnością”, zaręczył swoim żołnierskim honorem, że Dreyfus został słusznie i zgodnie z prawem skazany. Gdy obrona usiłowała ze swej strony zadawać pytania świadkom, przewodniczący oświadczał surowo: „Pytanie zostaje uchylone”. Zgromadzona tłumnie publiczność przyjmowała nieartykułowanym rykiem zeznania Zoli czy jego adwokata, mecenasa Laboriego, czy też Clemenceau, który nie będąc prawnikiem, występował w imieniu „Aurorę”. Zola, zdenerwowany i posępny, trzymał się na wodzy, aż wreszcie, udręczony do granic wytrzymałości, zawołał: „Cannibals!” Tego słowa użył Voltaire w sprawie Calasa. Esterhazy, wezwany jako świadek, powitany został przez tłum okrzykami „*Gloire au victime du Syndicat!*” Na schodach u wejścia do sądu Henryk, książę Orleanu, kuzyn Pretendenta, ścisnął dłoń autora ułańskich listów i pozdrowiał w jego osobie „francuski mundur”.

„Paryż trząsł się”, pisał przybysz z Anglii, który wyczuwał w powietrzu żądzą krwi. Tłum rozbił szyby w domu Zoli i w biurach „Aurorę”. Zamykano sklepy, cudzoziemcy wyjeżdżali. Fala antysemitycznych rozruchów, organizowanych przez Jules'a Guerina, wysłannika Drumonta, wybuchła w Hawrze, Orleanie, Nancy, Lyonie, Bordeaux, Tuluzie, Marsylii i w mniejszych miastach, dochodząc do szczytu w Algierze, gdzie grabież i plądrowanie dzielnicy żydowskiej trwało przez cztery dni, przy czym wiele osób zostało rannych, a kilka zabitych. W Paryżu otwarto biuro zatrudnienia, gdzie wynajmowano chuliganów za pięć franków dziennie lub dwa franki za

popołudnie, aby krzyczeli: „Precz z Żydami! Niech żyje armia! Plujcie na Zolę! „, Raz, gdy Zola wyszedł z sądu w towarzystwie Remacha, tłum rzucił się na nich, rycząc: „Utopić zdrajców! Śmierć Żydom!”, dopiero policja wyciągnęła ich z opresji. Od tego czasu policjanci na koniach eskortowali co dzień powóz Zoli w drodze do sądu i z powrotem; wrzeszczący tłum stawał się niekiedy tak groźny, że musieli go rozpędzać szarżując. Przyjaciel Zoli, Desmoulins, który mu towarzyszył w charakterze ochrony, nosił przy sobie rewolwer.

W sądzie, mimo przeszkód i szykan, prawda powoli wydobywała się na wierzch. Ani Labori, młody i gwałtowny, o którym mówiono: „To nie intelekt, to temperament”, ani Clemenceau, surowy, bezwzględny, niezwykły w dyskusji, nie dali się zastraszyć czy uciszyć. Podobno przysięgli skłaniali się ku uniewinnieniu, ale generał Boisoeffre wystąpił z ostrzeżeniem: „Jeśli kraj nie będzie miał zaufania do szefów armii... wtedy ci gotowi są przekazać innym swoje ciężkie obowiązki. Powiedzcie tylko słowo”. Oznaczało to, że Sztab Generalny grozi zbiorową rezygnacją, jeśli przysięgli wydadzą werdykt uniewinniający. Boisdeffre nie owijał w bawełnę: Zola albo my. O tym mieli zdecydować przysięgli — nie o winie czy niewinności Dreyfusa. Pochodzili oni przeważnie z drobnej burżuazji: garbarz, właściciel ogrodu warzywnego, handlarz winem, ekspedient, właściciel domu i dwaj robotnicy. „La Libre Parole”, z ukrytą groźbą, ogłosiła ich nazwiska i adresy przedsiębiorstw, a czytelnicy w listach przestrzegali przed zemstą, jeśli „Włoch” zostanie uniewinniony.

W swoim końcowym przemówieniu Zola, któremu wciąż przerywały gwizdy i syki, przysięgał na swoje czterdzieści lat pracy i czterdzieści tomów francuskiej literatury, że Dreyfus jest niewinny. W postępowaniu swoim kieruje się chęcią wyrwania kraju ze „szponów kłamstw i niesprawiedliwości” i nawet gdyby został skazany: „Francja podziękuje mi pewnego dnia, że pomogłem ocalić jej honor”. Clemenceau zakończył: „Waszym zadaniem, panowie przysięgli, jest wydać werdykt nie tyle na nas, co na was samych. My stoimy przed wami, wy staniecie przed historią”.

Zola został skazany siedmioma głosami przeciw pięciu: o dziwo, pięciu przysięgłych miało odwagę głosować za uniewinnieniem. Na zewnątrz plac Dauphine czarny był od ludzi, wrzeszczących triumfalnie. „Słuchajcie ich, słuchajcie ich! — powiedział Zola, szykując się do wyjścia. — Ryczą, jakby czekali, aż im ktoś rzuci mięso”. Clemenceau powiedział do jednego z

przyjaciół, że gdyby zapadł wyrok uniewinniający, „na pewno ani jeden dreyfusista w sądzie czy na korytarzu nie uszedłby z życiem”. Zola otrzymał najwyższą karę, rok więzienia i trzy tysiące franków grzywny; po odrzuceniu apelacji przyjaciele namówili go, aby uciekł do Anglii. Powinien był zostać wysłany „do swojego przyjaciela Dreyfusa na Diabelską Wyspę — komentował Henry Adams — z tyloma francuskimi zgnilcami, ilu pomieści się na wyspie, łącznie z większością prasy, teatru, wszystkimi maklerami i jednym lub dwoma Rothschildami dla przykładu”. Były to jego własne uczucia, nieopłacone jak uczucia paryskiego tłumu, które tak dokładnie odzwierciedlały.

Proces jak tornado wciągnął w swój wir wszystkie zdolne do wypowiedzi elementy społeczeństwa. „Niepokój dręczy sumienie każdego — pisał „Le Petit Parisien”. — Nikt już nie rozumie, niemożliwa jest jakakolwiek dyskusja, każdy zajął zdecydowane stanowisko”. Niezgoda panowała w rodzinach, nawet wśród służby. Na najsławniejszej karykaturze Caran d'Ache'a ojciec dużej rodziny rozkazuje przy obiedzie: „Nikommu nie wolno o tym mówić! „ Drugi obrazek przedstawia dziką bijatykę: przewrócony stół, fruujące noże i widelce, krzesła używane jako broń, a pod tym wszystkim podpis: „Jednak o tym mówili!”

Dreyfusiści zorganizowali się i utworzyli Ligę Praw Człowieka, która patronowała zebraniom protestacyjnym i wysyłała prelegentów na cały kraj. Zredagowali oni petycję o rewizję, co uwidocznilo nieunikniony rozłam w społeczeństwie. Ten tak zwany „Protest Intelektualistów” zaczął się codziennie ukazywać w „Aurorę” z kolejnymi podpisami, dzieląc wszystkich na tych, którzy podpisali, i tych, którzy odmówili podpisu. Organizatorami byli Marcel Proust i jego brat Robert (z tego powodu ojciec nie rozmawiał z nimi przez tydzień), Elie Halévy z bratem Danielem oraz ich kuzyn Jacques Bizet, syn kompozytora, wszyscy w wieku poniżej trzydziestu lat. Nieomal pierwszy podpis, jaki uzyskali, stanowił ich największe osiągnięcie: podpis „najdoskonalszego wcielenia romańskiego geniuszu” i najważniejszego z członków Akademii, Anatola France'a. „Wstał z łóżka i wyszedł do nas w pantoflach, miał katar — pisał Halévy. — «Pokażcie mi to — powiedział — podpiszę, podpiszę wszystko. Jestem oburzony»,. Był racjonalistą, nie znosił głupoty. Ten cynik i satyryk piętnujący ludzkie szaleństwa nie uznawał krucjat, nie sympatyzował z Dreyfusem, który, jak to wnikliwie zauważył, należał „do tego samego rodzaju, co oficerowie, którzy go skazali; na ich

miejscu sam by się skazał”. Nienawidził jednak tłumu i z przekory stawał zazwyczaj po stronie przeciwnej rządowi.

Proza jego miała przejrzystość górskiego strumienia. Mieszkał w domu swojej metresy, Mme Arman de Caillavet, i stanowił ozdobę jej salonu. W 1889 roku, po ostatecznej kłótni z żoną, wyszedł z domu w szlafroku i pantoflach, niosąc na tacy gęsie pióra, kałamarz i rękopis, nad którym właśnie pracował; udał się piechotą do hotelu, potem posłał po swoje ubrania i nigdy już nie wrócił do domu. Mme Arman tyranizowała pisarza swoim oddaniem, a kiedy się rozleniwiał, zamykała go, żeby pracował. Seria jego powieści współczesnych, koncentrujących się wokół osoby M. Bergereta, ukazywała się od roku 1895 w odcinkach w wybitnie prawicowym „Echo de Paris” i nie przestała się ukazywać w czasie sprawy Dreyfusa, stanowiąc ironiczny komentarz do sąsiednich kolumn. Podpis France'a zachwycił rewizjonistów i zdumiał obydwie strony. Należał „całkowicie do nas”; nie powinien był nigdy stanąć po „ich” stronie, żalił się Léon Daudet. Kiedy „Portest Intelektualistów” ukazał się po raz pierwszy, znajdowały się pod nim 104 podpisy; a po miesiącu już 3 000. Podpisali się m. in. André Gide, Caries Péguy, Elisée Reclus, Gabriel Monod, uczeni, poeci, filozofowie, doktorzy, profesorowie i jeden malarz, Claude Monet, z sympatii dla Clemenceau. Jedyna w życiu Moneta akcja polityczna, podpis, spowodowała kłótnię z Degasem i od tego czasu nie rozmawiali z sobą latami. Degas, wówczas prawie zupełnie ślepy, kazał sobie czytać co rano „La Libre Parole” i odnosił się z pogardą do *arrivistes* ery republikańskiej. „W moich czasach — powiedział lekceważąco — nie można było dorobić się stanowiska”.

Malarze i muzycy, choć na ogół politycznie obojętni, skłaniali się raczej ku obozowi nacjonalistycznemu. Debussy siadywał z grupą Léona Daudeta w Café Weber przy Rue Royale. Puvis de Chavannes także sympatyzował z nacjonalistami.

Podpisy składali profesorowie i nauczyciele z Sorbony, Ecole Normale, Fakultetu Medycyny, ze szkół średnich i z prowincjonalnych uniwersytetów; wielu miało inne poglądy, wielu się wstrzymywało z obawy przed represjami. „Jeśli podpiszę — powiedział do Clemenceau pewien dyrektor szkoły — ten osioł Rambaud (minister oświaty) wyśle mnie, żebym gnił gdzieś w zapadłej Bretanii”. Wybitny naukowiec Emile Duclaux, następca Pasteura, podpisał natychmiast mówiąc, że gdyby obawiali się rewizji w laboratorium, nigdy nie doszliby do prawdy, chyba tylko przez przypadek. Za

jego przykładem naukowcy włączyli się do sprawy Dreyfusa i niektórzy ucierpieli z tego powodu. Profesor politechniki, Grimaux, który podpisał protest i wystąpił jako świadek w procesie Zoli, został usunięty z katedry chemii. Dyskutowano gorąco, czy tacy wielcy mistrzowie, jak Hugo, Renan, Taine i Pasteur złożąliby swoje podpisy, czy nie. Uczniowie nie zgadzali się z nauczycielami, panował rozłam wśród studentów, tworzyły się komitety za i przeciw, zwłaszcza na prowincji, gdzie uczelnie znajdowały się pod wpływem katolików.

Świat intelektualistów rozdzielił się wskutek protestu jak pękająca kora, a w miarę, jak posuwała się sprawa, obydwie połowy coraz bardziej oddalały się od siebie. Dawni przyjaciele przechodzili obok siebie w milczeniu; słowa, mogliby powiedzieć, „nigdy nie przedostałyby się przez światy, jakie leżały między nimi”. Kiedy Pierre Louys, autor *Aphrodite*, stanął po przeciwnej stronie niż jego przyjaciel Léon Blum, przestali się widywać do końca życia, nie próbując wcale się porozumieć. Po puszczeniu protestu w obieg trzej dziennikarze, przyjaciele Léona Daudeta, usiłowali go przekonać, apelując przez trzy godziny przy lunchu do „mojego patriotyzmu, mojej inteligencji, mego serca”. Przedtem bywał na przyjęciach w domu Laborisów, gdzie gospodyni śpiewała pieśni Schumanna i gdzie najprzyjemniej spędzało się wieczory; „on silny i elokwentny, ona pełna talentu, wdzięku i dobroci”. Przyjmowano go mile również w uroczym domu Octave'a Mirbeau na Pont-de l'Arche, gdzie znajdowało się *Pole irysów* Van Gogha, gdzie pani domu witała przybyłych „z serdeczną i wystawną gościnnością” i gdzie była niezrównana kuchnia, „od masła po wino, od oliwy aż po zupę”. Po sprawie słowo „nacjonalista” stało się dla Mirbeau synonimem „mordercy”, a Daudet nazywał demokrację „terenem zatrutym”. Wkrótce po procesie Zoli Daudet zaczął pisywać co tydzień do „La Libre Parole” i do „Le Gaulois” diatryby pełne niesłychanej zawziętości.

Maurice Barrés, wspaniały powieściopisarz, łączący literaturę z karierą polityczną, należał do tych, w których pokładali nadzieje przyjaciele rewizjoniści. Léon Blum zwrócił się do niego o podpis bez żadnego wahania, ale Barrés poprosił o czas do namysłu i przysłał potem odpowiedź odmowną. Choć, powiedział, odnosi się z przyjaźnią i szacunkiem do Zoli, odczuwa jednak wątpliwości i w swym wahaniu wybiera „instynkt patriotyzmu”. W przeciągu kilku miesięcy znalazł mistyczną odpowiedź w kategoriach rasy i kraju: określił Zolę jako „zdenaturalizowanego Wenecjanina”, a o Żydach

wyraził się, że „nie mają swego kraju, tak jak my to rozumiemy. Dla nas kraj jest ziemią naszych przodków, ziemią naszych zmarłych. Dla nich jest to miejsce zapewniające największe korzyści”. Barres został intelektualnym przywódcą nacjonalistów i użył im słów, które zapewniły prawicy monopol na patriotyzm.

Forain i Caran d'Ache postarali się o nowy oręż, mały, ale diabelnie skuteczny: czterostronicowy tygodnik z karykaturami, nazwany „Psst!”; przygotowywali to pismo razem, siedząc przy stoliku w Café Weber. Caran d'Ache rysował z talentem uproszczone historyjki obrazkowe. Forain, artysta o przenikliwym spojrzeniu, przedstawiał w zjadliwy sposób paryskie towarzystwo w znakomitej czarno-białej grafice, choć jego obrazy olejne skłoniły Degasa do złośliwej uwagi: „Maluje z rękami w moich kieszeniach”. Rysunek Foraina na okładce, przedstawiający pruskiego oficera stojącego za ciemną i cyniczną postacią reprezentującą „Syndykat” i kręcącego przed jej twarzą maską Zoli, ujmował w jednym obrazie wszystkie elementy sprawy tak, jak widzieli ją nacjonałiści. Reinach, ulubiony obiekt „Psst!”, przedstawiany był zazwyczaj jako orangutan z wybitnie żydowskimi rysami, w cylindrze, udający się często do Berlina na konferencje z Prusakami w pikielhaubach. Scheurer-Kestner i inni rewizjoniści występowali jako żydowscy bankierzy z zakrzywionymi nosami, w płaszczach z futrzanymi kołnierzami, wypłacający niemieckie fundusze, bawiący się kepi jak piłką nożną albo zbierający chwasty z grobu Ravachola na „bukiet dla Zoli”. Wszędzie pojawia się mężny drewniany żołnierz, stojący prosto i odważnie, zawsze dzielny, nieulekniony wśród łotrów — to armia. Intelektualista to chuda postać z nadmiernie wielką głową, z gwiazdą Dawida na czole, trzymająca większe od siebie pióro, którym notuje swoje „obrzydzenie do wszystkiego, co francuskie”. Jedyne urozmaicenie tematu stanowił pojawiający się od czasu do czasu „Wuj Sam” jako „Nowy Gargantua”, który przyrządza posiłek z Hiszpanii, Hawajów, Puerto Rico i Filipin.

Sprawa Dreyfusa przenikała do życia w każdym miejscu i o każdej porze. Léon Blum udając się do nowego dentysty zastał młodego człowieka o postawie i manierach oficera kawalerii, który powiedział nagle, gdy pacjent usiadł na krześle: „A jednak nie ośmielę się tknąć Picquarta!” Gaston Paris, uczonego mediewista i akademik, zakończył naukowy artykuł o Filipie Dobrym wzruszającą inwokacją do sprawiedliwości, co go natychmiast odpowiednio zaklasyfikowało. Paul Stapfer, dziekan Wydziału Literatury w Bordeaux,

został zawieszony, gdyż w przemówieniu na pogrzebie jednego z kolegów zrobił delikatną aluzję do poglądów rewizjonistycznych zmarłego. W Legii Honorowej wybuchła burza, gdy „zawieszono” Zolę, co rozgniewało członków, zarówno jego przyjaciół, jak i wojskowych, którzy żądali wykluczenia go zawsze. Anatol France i inni przestali nosić w klapie czerwoną rozetkę. W kawiarniach nacjonałiści i rewizjoniści siadali przy oddzielnych stolikach, po przeciwnych stronach tarasu. Całe miasteczko stawały po jednej ze stron. Mieszkaniec Samojs, oddalonego o czternaście mil od Paryża, powiedział, że wszyscy w jego miasteczku są dreyfusistami, natomiast w odległym o trzy czy cztery mile Francoville wszyscy prawie bez wyjątku są antydreyfusistami.

W Diner Bixio, klubie elity, która spotykała się tam dla przyjemności wspólnej rozmowy, w czasie sprawy wszyscy stali się „zakłopotani i zmartwieni”; w maju rozmawiano przez chwilę na temat „Czy Amerykanie sami wysadzili okręt «Maine?»», „poza tym mówiono tylko o sprawie; w listopadzie wszyscy byli przygnębieni; „Nie przypominam sobie tak ponurego obiadu”, zanotował jeden z członków w swoim dzienniku.

Premiera *Wilków* Romaina Rollanda zamieniła się w pole bitwy. Napisał to w ciągu sześciu dni, aby pokazać światu, że Francja jest rozdarta z powodu „jednego z najstraszniejszych problemów, jaki może zaprzętać ludzkie sumienie; dylematu godnego Corneille'a: czy poświęcić kraj, czy sprawiedliwość”. Obecność pułkownika Picquarta w loży, a pułkownika du Paty de Clama na parterze doprowadziła widownię do najwyższego podniecenia. Picquart, po pierwszym aresztowaniu, został właśnie zwolniony z armii i przyszedł do teatru jako gość Edmonda Rostanda, znajdującego się u szczytu sławy po wystawieniu przed kilkoma miesiącami sztuki *Cyrano de Bergerac*. Przez całą dekadę bywalcy teatralni we Francji omdlewali pod wpływem sceptycyzmu, symbolizmu i ibsenizmu Théâtre Libre. „Potrzebne nam było pokrzepienie, ideały, pióropusz — pisał krytyk — wtedy przyszedł Cyrano! Nasze pragnienie zostało zaspokojone”. Duch Cyrana panował też i w teatrze tego wieczoru.

Kiedy postać przedstawiająca w sztuce Picquarta spotkała się ze swym przeciwnikiem, widownia wybuchła, zanim dał się słyszeć głos aktora. „Cały teatr trząsł się, od dachu do podłogi”. Zwyczajowe „Niech żyje!” i „Precz!” doszły do takiej furii, że ktoś krzyknął nawet „Precz z ojczyzną!”, a trzynastoletni anarchista na balkonie zakwicział „Precz z chrześcijaństwem!”

Rolland pomyślał sobie: „Moje idee poszły na marne, ale nie szkodzi, sztuka się nie liczy. Prawdziwe przedstawienie odbywa się tu, na widowni. Rozgrywa się historia”.

Rzeź trwała przez następny dzień. „Echo de Paris” i „La Presse” zwolniły swoich krytyków teatralnych, Collège Stanislas odwołał przyjęcie na cześć Mme Rostand, a dwie gazety zapoczątkowały kampanię bojkotu **Cyryana**, lecz popularność tej sztuki okazała się silniejsza niż fakt związku autora z Picquartem. Rolland pisał w swoim dzienniku: „Wolę takie życie w walce niż śmiertelny spokój i ponure odrętwienie ostatnich lat.

Boże, daj mi walczyć, daj mi nieprzyjaciół, wyjące tłumy, całą walkę, do jakiej jestem zdolny”.

Péguy wyraził podobne uczucie: znudzenie spokojem. Inni je podzielali. Senator Ranc wspomniał, że tego lata oczekiwano wciąż jakiegoś niespodziewanego ataku. „Jednego dnia ostrzeżono nas, aby nie spać w domu z obawy przed atakiem antysemitów, a następnego z obawy przed aresztowaniem przez policję. Było to podniecające, żyło się naprawdę. Nie ma nic lepszego niż okres czynu i walki w przekonaniu o jej słuszności”.

Już we wczesnym okresie sprawy, począwszy od dnia, kiedy Joseph Reinach oznajmił gościom w salonie Mme Emile Straus, że Dreyfus został niesłusznie skazany, rozpoczęła się polaryzacja salonów. Do tej pory łączyły one świat mody ze światem intelektu, stanowiły pomost między różnymi stronnictwami politycznymi, między klasami i klikami. Były dla Francji tym, czym dla Anglii przyjęcia na wsi. Były rynkiem idei, giełdą społecznych i politycznych przysług, absorbowowała je jedna troska: kto następny uzyska miejsce w Akademii, kto przywdzieje ciemnozielony mundur i obserwowany przez elitę Paryża, wygłosi pochwałę zmarłego Nieśmiertelnego, którego miejsce obecnie zajmuje? Teraz salony zaczęły się rozpadać na oddzielne grupy, niwecząc swą największą zaletę: rolę czynnika łączącego i zespalającego.

Każdy salon z reguły miał swojego *grand homme*. Mme Aubernon, najstarsza ze wszystkich pań domu, rozpoczęła od Dumasa syna, a skończyła na d'Annunziu. Z drugiej strony Mme Emile Straus, piękna Geneviève o czarnych migotliwych oczach i gorącym spojrzeniu, przyciągała zbyt wielu, aby skoncentrować się na jednym. Córka kompozytora Halévy'ego i wdowa po Georges'u Bizecie, nim wyszła za mąż za Strausa, pozostawiając szereg

niepocieszonych adoratorów, ściągnęła do swego salonu przed spustoszeniem wywołanym sprawą Dreyfusa intelektualną elitę Paryża. Henri Bergson, filozof, Réjane, aktorka, lord Lytton, będący wówczas ambasadorem brytyjskim, chirurg profesor Pozzi, librecista oper Offenbacha Henri Meilhac, Jules Lemaitre, Marcel Prévost, Forain, Proust i księżniczka Matylda, która w środy przyjmowała w swoim salonie, wszyscy przychodzili do niej na Boulevard Haussmann w sobotę po południu przynosząc gorące jeszcze informacje o wydarzeniach w Parlamencie, na Quai d'Orsay, z teatrów i wydawnictw. Po oświadczeniu Reinacha odszedł Lemaitre, pozwalając sobie od tego czasu tylko na uświetnianie prawicowego salonu hrabiny de Loynes. Potem nastąpiły i inne rozstania.

Niedzielne przyjęcia w salonie Mme Arman de Caillavet przy Avenue Hoche, gdzie stale królował Anatol France, stanowiły ośrodek rewizjonistów. Do stałych gości należeli Clemenceau, Briand, Reinach, Jaurès i Lucien Herr. Pani Arman uznawała tylko pisarzy i polityków, odprawiała natomiast arystokrację, z wyjątkiem Mme de Noailles, która należała do dreyfusistów i wyglądała „jak wschodnia księżniczka zstępująca ze swego palankinu... aby rozpalić potok swoich słów od ognia swego spojrzenia”. Na wszystkich stołach leżały książki Anatola France'a, a sam Mistrz stał wśród tłumu wchodzących i wychodzących, którzy gromadzili się wokół niego, i rozprawiał na wybrany temat; przerywał sobie, aby powitać przybywających gości, kłaniał się na prawo i lewo, schylał się, by ucałować dłoń jakiejś bladej wiotkiej postaci odzianej w szynszyle, przy czym nie ustawał potok jego wymowy na temat poezji Racine'a, paradoksów Robespierre'a czy epigramatów Rabelais'go.

Rabelais musiał ustąpić przed sprawą Dreyfusa. U Mme Aubernon, gdzie wciąż zapraszano gości z obu obozów, w dyskusjach na ten temat natychmiast odzywały się namiętności. „Ta petycja tak zwanych «intelektualistów» jest bezsensowna — oświadczył Ferdinand Brunetière, wydawca autorytatywnej „Revue des Deux Mondes”. — Wymyślili tę nazwę, aby się wywyżżyć ponad innych, jakby pisarze, naukowcy i profesorowie byli lepsi niż ktoś inny... Jakie mają prawo mieszać się w sprawy sądownictwa wojskowego?” Victor Brochard, profesor filozofii starożytnej na Sorbonie, odpowiedział gniewnie: „Sprawiedliwość nie opiera się na sądach, lecz na prawie... Skazanie człowieka na podstawie dowodu, którego mu nie pokazano, jest nie tylko nielegalne, to jest morderstwo sądowe...

Sumienia Francji nie reprezentują dzisiaj generałowie ani Rochefort, ani awanturnicy z « La Libre Parole », ani Esterhazy, ani wasz księżę Orleanu. Reprezentujemy je my, intelektualiści”.

Salon Mme de Loynes przy Avenue des Champs Elysées, gdzie królował Jules Lemaître, był główną kwaterą prawicy. Dama ta, która zaczęła karierę w półświatku, poślubiła starszego hrabiego de Loynes i stała się znana jako mistrzyni w kreowaniu akademików, a z biegiem czasu jako opiekunka, matka, siostra i przypuszczalnie kochanka Lemaître'a, choć złośliwa plotka twierdziła, że ich przyjaźń była platoniczna. Goście jej spotykali się w piątki na obiadach w pokoju z pluszowymi meblami, z nagą marmurową Minerwą na kominku i „kiczowatym”, według określenia Boni de Castellane'a, Meissonierem na ścianie. Lemaître, sławny krytyk teatralny z „Journal des Débats” i niezwykle płodny autor sztuk teatralnych, wydawał poezje polityczne, eseje krytyczne, biografie, wybory przemówień, rozprawy polityczne, oceny i polemiki. Jego dzieła zebrane wypełniły pięćdziesiąt tomów. Choć w istocie dyletant, swym słynnym wołaniem na alarm w „Revue des Deux Mondes” ocalił francuski teatr przed zalaniem wielką falą płynącą z północy — sztukami Ibsena, Hauptmanna, Sudermanna i Strindberga — iw swoim czasie wszedł do Akademii. Uważał, że demokracja i powszechne prawo wyborcze przyniosły rozczarowanie. „Republika wyleczyła mnie z republiki — pisał — życie wyleczyło mnie już z romantyzmu”. Rozczarowany również „literackimi sztuczkami”, pożył roli człowieka czynu, orędownika sprawy, która nie tylko wywoływała sensację w prasie, lecz także budziła namietność u ludzi. W jadalni Mme de Loynes, wśród oklasków, mianowany został uroczyście przewodniczącym Ligue de la Patrie Française, zorganizowanej przez nacjonalistów celem zjednoczenia intelektualistów prawicy przeciw wrogom *de la patrie*. W skład prezydium Ligi wchodził między innymi de Vogüé, Barrés, Forain, Mistral, poeta prowansalskiego odrodzenia, kompozytor Vincent d'Indy i malarz Carolus Duran. Ligue de la Patrie ściągnęła na pierwsze zebranie 15 000 osób, a po miesiącu zyskała 30 000 członków. Pragnąc mieć również członka Akademii, jak przeciwnicy mieli France'a, wybrano na przewodniczącego Lemaître'a, lecz on, skłonny do drwin i narzekań, nie posiadał ducha przywódcy i jeśli od razu nie udało mu się narzucić swoich poglądów, wycofywał się z dyskusji.

Nie lepsze wyniki osiągnął łagodny poeta François Coppée jako wiceprzewodniczący. Zmuszony w pewnym sensie przez swych przyjaciół do

przyjęcia tego stanowiska, ogarnięty nostalgią za przeszłością, pisał wierszowane romanse o prostaczkach z dawnych czasów. Zapytany przez przyjaciela Anglika: *Que faites vous, Maître, dans cette galère?* („Co pan robi, Mistrzu, w tej gromadzie?”), odpowiedział: „Prawdę mówiąc, sam nie jestem pewien”. Potrafił jednak wyrazić niejasne poczucie, że zanika religia i patriotyzm, dzięki którym Francja stała się wielka, i że jeśli się ich z powrotem nie ożywi, ojczyzna zginie we wzburzonej fali materializmu.

Prawdziwe kierownictwo i oparcie Ligi stanowili Barrés, Drumont, Rochefort i Déroulède, przywódca dawniejszej Ligue des Patriotes. Podczas obrad nad linią postępowania Drumont śmiał się hałaśliwie i mówił: „Ci ludzie wpędzą mnie do grobu”. Rochefort, który słuchał tylko siebie, po długiej dyskusji odzywał się niecierpliwie: „Tak, tak, to obrzydliwe — co za kanalie!”, a potem opowiadał jakąś anegdotę, która wprawiała w zachwyt Coppéego. „W pojedynkę każdy z nas jest poważny — zwierzał się Lemaître Mme de Loynes — ale razem stajemy się frywolni”.

Czuli jednak, że sprawa jest śmiertelnie poważna. Spoza wszystkich dyskusji nad *bordeaux* i *petit bleu* „słysząc było stąpanie barbarzyńskich legionów”, pisał Léon Daudet. Dreyfusizm oznaczał obcego u wrót. Byli to Żydzi, wolnomularze, wolnomyśliciele, protestanci, anarchiści, internacjoniści. Każdy rozpoznawał wśród nich swojego wroga. Barrés widział wszystko, co było „niefrancuskie”; Arthur Meyer widział „przymierze anarchizmu z dreyfusizmem” i kapłanami tego „podwójnie monstrualnego kultu”, Anatolem France'em i Octave'em Mirbeau. Brunetière widział „indywidualizm... wielką chorobę naszej epoki... Nadczłowieka Nietzschego, Anarchistę i *culte de mor*”.

Silną osobowością w rządzie radykalnym, który objął władzę po wyborach z maja 1893, był minister wojny, Godefroy Cavaignac, cywil. Ten człowiek surowej republikańskiej prawości, „niezłomnie uczciwy”, uważał się za powołanego do ukrócenia korupcji Parlamentu i zainicjował śledztwo w sprawie Panamy. Nienawidził Clemenceau. W 1895, w czasie sześciomiesięcznej kadencji jako minister wojny, uznał Tajną Teczke za prawdziwą i wierzył głęboko w winę Dreyfusa. Odchodzący premier, Méline, próbował załatwić sprawę twierdząc, że nie istnieje jakikolwiek problem po wydaniu werdyktu, ale Cavaignac zdecydował, że należy uczciwie stawić czoło temu zagadnieniu. Ponownie zbadał dokumenty i nabrał przekonania, że wprawdzie Esterhazy był wmieszany, ale werdykt na Dreyfusa jest

sprawiedliwy. Rozkazał wobec tego aresztować obydwu, Esterhazego i Picquarta, i udał się do Izby z postanowieniem pogrzebania na zawsze sprawy rewizji. Tonem surowym i rozkazującym oznajmił deputowanym, że Esterhazy został niesłusznie uniewinniony i będzie sądzony jako współwinny, lecz „jestem zupełnie pewien winy Dreyfusa”. Powtórzył całą historię sprawy, odtworzył całą konstrukcję, której fałszywość punkt po punkcie udowodnili dreyfusiści, i jako ostateczny dowód zacytował rzekome przyznanie się Dreyfusa i list Panizzardiego, o którym były premier Méline, siedzący na sali, wiedział, że jest podrobiony. Kiedy Cavaignac skończył, cała Izba wstała klaszcząc. Usunął okropne brzemie. Wynikiem 545-0 głosów (przy dziewiętnastu wstrzymujących się, wraz z milczącym Méline'em) opowiedziano się za *affichage*, czyli „rozplakatowaniem” jego przemówienia przed każdym ratuszem we Francji. „Teraz ta wstrętna sprawa jest pogrzebana — powiedział Vogüé wieczorem w swoim klubie. — Teraz Dreyfus jest przygwożdżony do swej skały aż do śmierci”.

Dla dreyfusistów był to niewiarygodny cios, „straszna chwila”. Jakiś dziennikarz przybiegł z tą wiadomością wprost z Parlamentu do Luciena Herra, który siedział w swym gabinecie z Leonem Blumem. Zaniemówili z wrażenia; byli bliscy łez; siedzieli porażeni rozpaczą. Nagle zadzwonił dzwonek u drzwi, wpadł Jaurès i nie zwracając uwagi na wyrażające smutek i żalobę gesty przyjaciół obwieścił triumfalnym tonem: „Co, wy też?... Czy nie rozumiecie, że teraz po raz pierwszy możemy być pewni zwycięstwa? Méline'a nie można było tknąć, bo nic nie powiedział... Cavaignac mówi, a więc będzie pobity... Teraz, kiedy Cavaignac wymienił dokumenty, mówię wam, tak, mówię, że są fałszywe, wyglądają na fałszywe, pachną jak fałszywe. To falsyfikaty... Jestem tego pewien i dowiodę tego. Fałszerze wyszli ze swoich nor, chwycimy ich za gardło. Porzućcie pogrzebony wyraz twarzy. Róbcie tak jak ja: cieszcie się”.

Jaurès wyszedł i napisał *Les Preuves*, serię artykułów, która zaczęła się pojawiać jeszcze w tym samym tygodniu w socjalistycznej gazecie „La Petite République”, wprawiła w zdumienie czytelników i była pierwszą oznaką włączenia się socjalizmu do sprawy świata burżuazji. Dzięki sprawie Dreyfusa przekroczone została bariera wrogości klasowej.

Sam Jaurès stał się zdecydowanym dreyfusistą jeszcze przed procesem Zoli. Niskiego wzrostu, krępy, silny, rumiany, jowialny, promieniował radością walki. Ze swą wielką głową, zmierzwioną brodą, niedbale ubrany, z

opadającymi białymi skarpetkami wyglądał tak, jak sobie powszechnie wyobrażano proletariackiego przywódcę. Nie pochodził jednak ze środowiska robotniczego, lecz z uboższej gałęzi poważanej rodziny mieszczańskiej, i studiował w Ecole Normale, gdzie celował w grece, łacinie i naukach humanistycznych; był kolegą i przyjacielem Henriego Bergsona i rywalizował z nim o najwyższe zaszczyty. Kiedy wraz z Anatolem France'em czekał, żeby złożyć zeznania w procesie Zoli, spacerując tam i z powrotem po korytarzu, recytował siedemnastowieczną poezję. W Parlamencie, kiedy ciężkimi, zdecydowanymi krokami wstępował na trybunę i przed zabraniem głosu wychylał kieliszek czerwonego wina, słuchacze czekali w napięciu, pełnym uwielbienia lub wrogości. Przemawiał ze „wspaniałym rozmachem”, głosem niemal zbyt donośnym, który nawet przyciszony dałby się i tak słyszeć w ostatnich rzędach każdej sali, lecz, jak mówił Rolland, wydobywanie pełnej jego siły sprawiało mu zmysłową przyjemność. Potrafił mówić w tej tonacji przez półtorej do dwóch godzin bez przerwy. Ponieważ nie korzystał z notatek, przerywanie nie zbijało go z tropu, przeciwnie, podsuwało nowe pomysły. Gdy ktoś zadawał mu kłopotliwe pytania, bawił się swym przeciwnikiem „jak duży kot myszą: pieści, zmusza do podskakiwania to w jedną, to w drugą stronę... aż wreszcie, z westchnieniem, przydusza ostatnim słowem”.

Nie należał nigdy do sekciarzy ceniących wyżej ścisłą ortodoksję niż ostateczny cel, co zdarzało się często wśród socjalistów. Dla Jauresa, który osobiście prowadził strajk w Carmaux, dążenie do objęcia władzy przez klasę pracującą nie było teorią, lecz dającym się zrealizować celem, a jedność wszystkich socjalistów była niezbędna dla jego osiągnięcia. Kiedy Lucien Herr i inni przekonali go o niewinności Dreyfusa, uważał, że socjalizm powstrzymując się od walki przeciw niesprawiedliwości sam się osłabia. Jeśli sprawę sprawiedliwości uzna za swoją sprawę, będzie mógł sobie przypisać ostateczne zwycięstwo, otworzy sobie nową drogę do władzy i okryje się moralną chwałą. Sprawa Dreyfusa, w jego pojęciu, mogła stać się katalizatorem zjednoczonego frontu lewicy, któremu socjaliści winni przewodzić.

Jego koledzy z partii socjalistycznej wcale nie podzielali tego entuzjazmu. Umiarkowani, jak Millerand i Viviani, nie chcieli się mieszać w tę „ciemną i niebezpieczną” historię; ekstremiści pod przywództwem Jules'a Guesde'a, choć osobiście należeli do dreyfusistów, sprzeciwiali się akcji

partyjnej, uważając, że taki wysiłek odwróciłby siły klasy pracującej w kierunku sprawy nie będącej jej sprawą. Na zebraniu komitetu partyjnego po *J'Accuse*, mającym zdecydować, jak postąpić, jeśli prawica będzie się domagała postawienia Zoli przed sądem, umiarkowani wykręcali się, przedkładając w przededniu wyborów rozwagę nad odwagę. „Dlaczego ryzykować nasze miejsca w Parlamencie z powodu Zoli? — mówili. — Nie jest on socjalistą... jest w końcu tylko burżujem”. W czasie dyskusji między frakcjami Guesde, zniecierpliwiony i rozgoryczony, ostentacyjnym gestem otworzył okno, żeby wpuścić świeże powietrze, i zawołał: „List Zoli jest największym aktem rewolucyjnym stulecia! „ Ale skończyło się na geście i on także podpisał manifest głoszący: „Niechaj burżuazja sama rozrywa się na kawałki o partie, prawo, sprawiedliwość i inne słowa, które są pozbawione znaczenia, dopóki istnieje społeczeństwo kapitalistyczne”. niesprawiedliwość w sprawie Dreyfusa powinna zostać wykorzystana jako broń do uderzenia w burżuazję, a nie, aby „zmobilizować i zdemobilizować proletariat po stronie jednego odłamu burżuazyjnego świata”. Sprawa ta nie była niczym innym, jak tylko walką o władzę między dwoma odłami burżuazji: klerykałami z jednej strony a żydowskimi kapitalistami i ich przyjaciółmi z drugiej. Socjaliści nie mogą popierać jednej strony przeciw drugiej bez pogwałcenia walki klas. „Pomiędzy de Munem a Reinachem — stwierdzał Guesde — należy zachować całkowitą niezależność.

Ale, jak powiedział de Mun, między dwoma stronami nie było miejsca na niezależność. „Nie możesz sobie wyobrazić, jaki jestem udręczony! — powiedział Jaurès do Péguya. — Nasi nieprzyjaciele to nic — ale nasi przyjaciele! Rzucają się na mnie, bo wszyscy się boją, że nie zostaną wybrani. Ciągną mnie za poję zakietu, żeby nie wpuścić mnie na trybunę”. Pozbywszy się ich, Jaurès nie chciał milczeć i faktycznie stracił mandat w wyborach z maja 1898, choć raczej z powodu opozycji przemysłowców w swoim okręgu niż z powodu sprawy Dreyfusa. Znalazł sobie trybunę w „La Petite République”, tak jak Clemenceau w „l'Aurore”, i pisał co dzień szpalte polityczną. Kiedy zaczął publikować *Les Preuves*, musiał deklasować Dreyfusa, aby skupić lewicę w walce o sprawiedliwość, nienawiść klasowa tkwiła bowiem bardzo silnie w tradycji socjalistycznej. „Nie jest już ani oficerem, ani burżujem — pisał Jaurès. — W swoim nieszczęściu został odarty ze swoich cech klasowych... Jest po prostu żywym świadectwem zbrodni władzy... Nie jest niczym innym tylko samym rodzajem ludzkim”. Wertował dowody, rozprawiał się po kolei z argumentami i dokumentami

Cavaignac, wyjawiał plotki i szantaże, tropił fałszerstwa. Siła jego logiki, powaga i zawziętość ożywiły dreyfusistów. Cavaignac się wściekał. Na obiedzie członków gabinetu zaproponował, aby aresztować głównych rewizjonistów pod zarzutem spisku przeciw państwu, i wymienił Mathieu Dreyfusa, Bernarda Lazare, Ranca, Reinacha, Scheurer-Kestnera, Picquarta, Clemenceau, Zolę i innych. Na ironiczne zapytanie jednego z kolegów, dlaczego by nie aresztować również prawników, odpowiedział: „Oczywiście”, i dodał Laboriego oraz adwokata Dreyfusa, Demange'a.

Mimo to *Les Preuves* wstrząsnęły nim. Żeby odpowiedzieć na pewne zarzuty Jaurésa, zarządził jeszcze jedno zbadanie dokumentów, tym razem przez oficera nie zaangażowanego uprzednio w sprawę. Pracując wieczorem przy świetle lampy oficer ten zauważył, że decydujący list Panizzardiego zlepiony został z dwu połówek papieru tego samego gatunku, poliniowanych kreskami nieco odmiennego koloru. Pułkownik Henry użył do sporządzenia tego dokumentu niezapisane części dwóch listów od Panizzardiego. Najważniejszy list okazał się podrobiony. Prowadzący badania oficer, zaalarmowany swym odkryciem, szukał dalej, przedzierając się przez ciemne mrowie sprzeczności, i sumiennie meldował o swoich odkryciach, sprowadzając ruinę na ministra wojny.

Cavaignac, dotychczasowy zwycięzca, zrozumiał teraz, że całokształt sprawy, jaki przedstawił Parlamentowi i krajowi, rozpryskuje się jak szkło. Wszystko opierało się na oszustwie; oświadczenie, które zyskało mu powszechne uznanie, było oszustwem. Człowiek o jego zasadach nie mógł zatuszować odkrycia, musiał stawić czoło tragicznym skutkom swojej pomyłki. Ułatwił mu to fakt, że nie należał do armii. Zarządził aresztowanie pułkownika Henry'ego; zabrano go do Cherche Midi, gdzie przedtem trzymano Dreyfusa. Tej nocy, 31 sierpnia 1898 roku, pułkownik Henry popełnił samobójstwo brzytwą, którą mu zostawiono.

Oficerowie z armii usłyszawszy nowinę osłupieli; niektórzy płakali. Jeden powiedział, że to plama na honorze armii „gorsza niż Sedan”. Léon Blum, na wakacjach w Zurychu, o dziesiątej rano otworzył drzwi swego pokoju portierowi przynoszącemu tę wiadomość. „Chyba przez całe życie nie odczuwałem takiego podniecenia... Olbrzymia, bezgraniczna radość, jaka mnie ogarnęła, miała swe źródło w triumfie rozsądku. Prawda istotnie zwyciężyła”. Tym razem wreszcie zdawało się dreyfusistom, i to na pewno, że wypełnili swoje zadanie. Stało się tak poniekąd, bo prawda została

odkryta. Narzucić ją to była jednak inna sprawa.

Cavaignac podał się do dymisji, a w dwa tygodnie później zrezygnował również jego następca, szósty minister wojny od czasu aresztowania Dreyfusa. Rząd poddając się konieczności przedłożył sprawę Cour de Cassation (Sądowi Kasacyjnemu), który miał za zadanie zdecydować, czy werdykt należy utrzymać, czy uchylić. Postanowienie to, przyjęte jako objaw nieufności do generałów, spowodowało rezygnację jeszcze jednego ministra wojny. Paryż, oczekując na decyzję sądu, czy przyjmie sprawę do rozpatrzenia, wrzał z podniecenia. Jeśliby sąd sprawę przyjął, Tajna Teczka musiałaby zostać poddana cywilnemu badaniu, czemu armia postanowiła zapobiec. W Anglii pismo „Spectator”, wyrażające na ogół wyważone poglądy, uważało, że sytuacja, zgodnie z logiką, doprowadzić musi do wojskowego zamachu stanu. W nadziei, że uda im się to właśnie wywołać, rojaliści i zapaleńcy z prawicowych lig rozpowszechniali w Paryżu pogłoski o spisku, zwoływali zebrania, wysyłali bandy najemników, żeby krzyczały na ulicach. Dla Déroulède'a nadeszła wreszcie oczekiwana godzina.

Niezmordowany agitator, a także poeta i poseł, Déroulède, długonogi i długonosy jak Don Kichot, we wszystkich instytucjach republiki widział wiatraki, które należy zaatakować. Weteran z 1870 roku, założył w 1882 Ligę Patriotów, żeby nie pozwolić wygasnąć duchowi *revanche*. Nazwie towarzyszył napis „1870-18 —” z drugą datą znacząco wypuszczoną i motto wzniosłe, acz bezsensowne: „*France Quand Même*”.

Déroulède pisał patriotyczne wiersze, nienawidził rojalistów tak samo jak republiki i miał „polityczną wyobraźnię małego dziecka”. Celem doprowadzenia do przełomu połączył się z Jules'em Guérinem, aktywnym szefem Ligi Antysemitycznej, subsydiowanej przez księcia Orleanu, który spodziewał się wkroczyć zaraz po przełomie. Napięcie wzrosło, kiedy z powodu strajku 20 000 robotników budowlanych na terenach Wystawy 1900 rząd wysłał wojsko, aby zajęło dworce kolejowe i patrolowało bulwary. Rozeszła się pogłoska o zamachu planowanym na dzień otwarcia sesji Parlamentu, 25 października. Deroulede i Guerin wzywali do wielkiego wiecu protestacyjnego przed Palais Bourbon dla wykazania „zaufania do armii i wstrętu do zdrajców”.

Socjaliści, lub przynajmniej ich część, doszli nagle do wniosku, że warto ratować republikę. Choć wierzyli w konieczność obalenia istniejącego

systemu, nie chcieli jednak dopuścić do obalenia go przez prawicę. Ponadto dowiadawali się za pośrednictwem swoich komitetów lokalnych, że obojętność w sprawie Dreyfusa kompromituje ich w oczach niektórych wyborców. „Ponieważ wydaje się, że przeciwstawiamy się wszelkim formom burżuazyjnego republikanizmu — pisał pracownik partyjny z prowincji — wielu ludzi uważa nas za sprzymierzeńców monarchistycznych reakcjonistów”.

Przywódcy socjalistyczni zwołali w trybie doraźnym pocztą pneumatyczną zebranie różnych swoich grup. aby zorganizować jednolity front w obliczu niebezpieczeństwa, a sytuacja w danej chwili wydawała się tak nagląca, że udało im się doprowadzić do utworzenia wspólnego, choć jedynie tymczasowego Komitetu Straży Obywatelskiej. Stosując prawidłową procedurę rewolucyjną, postanowił on odbywać zebrania co wieczór i wzywać ludzi do masowych demonstracji. Można się było obawiać starć z prawicowymi ligami, rozruchów, a nawet wojny domowej. Dreyfusowska Liga Obrony Praw Człowieka, straszliwie zaniepokojona, wzywała wszystkich republikanów do unikania awantur ulicznych, ale Jaurès dostrzegł okazję dla socjalistów „Paryż drży z niecierpliwości... proletariat się organizuje”. Guesde ostrzegwał jednak, że spowodowanie wybuchu byłoby na rękę generałom, którzy prawdopodobnie czekają na rozruchy, aby pochwycić władzę, wobec czego Komitet Straży Obywatelskiej po zastanowieniu się oświadczył, że socjaliści nie będą niczego prowokować. „Grupy rewolucyjne gotowe są działać lub powstrzymać się od akcji, zależnie od okoliczności”.

Rojaliści tak byli pewni swego „dnia”, że André Buffet, *chef de cabinet* księcia Orleanu, zatelegrafował do Pretendenta, aby „koniecznie” zjawił się w Brukseli 24 października. Książę, który polował w Czechach, odpowiedział: „Czy muszę przyjechać natychmiast, czy mogę tu poczekać? Pilne sprawy”. Nieustępliwy Buffet odtelegrafował: „Zbliżenie się do granicy konieczne”, ale książę, rozsądniejszy, pozostał z dala.

Nadszedł oczekiwany dzień, tłumy otoczyły Parlament, zapełniły Place de la Concorde i sąsiednie ulice, wykrzykiwano slogany, powiewano czerwonymi chorągwiami. „Wyglądało jak w przededniu nowej Komuny lub zamachu dyktatora”. Atmosfera stawała się groźna, pełno było wszędzie wojska i policji. Dzień minął jednak, a republika wciąż trwała, bo prawicy brak było składnika chemicznego niezbędnego do zamachu — przywódcy. Miała wprowadzić swoich małych, choć głośnych fanatyków, ale obalenie

panującego rządu w demokratycznym kraju wymaga albo obcej pomocy, albo materiału na dyktatora. Jak to surowo ocenił Clemenceau, gdy Boulanger zastrzelił się na grobie swojej kochanki, w „Jeźdźcu” tkwiła jedynie „dusza podporucznika”.

Wypadki potoczyły się szybko. 29 października Sąd Kasacyjny oznajmił, że będzie rozpatrywał sprawę i rozpocznie swoje dochodzenia. VICTOIRE! — wołała „l'Aurore” tą samą czcionką co J'ACCUSE. Rewizjoniści powitali tę decyzję jako przywrócenie władzy cywilnej nad wojskową. Sąd zażądał wówczas Tajnej Teczki. Minister wojny odmówił i złożył rezygnację. Rząd upadł. Przez dalsze siedem miesięcy walka koncentrowała się wokół sądu. Począwszy od tego momentu prawica znalazła się w defensywie, a sprawa Dreyfusa weszła w okres największego roznamiętnienia. Prasa nacjonalistyczna obrzucała sąd złośliwymi epitetami, jak „sanktuarium zdrady”, „filia synagogi”, „jaskinia Judasza”, „połączenie giełdy i burdelu”. Sędziów nazywano na przemian „niemieckimi najemnikami”, „lokajami synagogi”, „łobuzami w gronostajach”. Wywierano różnego rodzaju presje, oskarżano obie strony o przekupywanie sędziów, nacjonalistom udało się wydobyć sprawę z Wydziału Kryminalnego, rzekomo zbyt przychylnego, i przenieść ją do połączonego sądu trzech wydziałów, uważanego za łatwiej ulegający naciskom.

Dreyfusiści wznieśli w tym czasie burzę wokół Picquarta. Aby nie dopuścić do jego zeznawania przed Sądem Kasacyjnym, armia przeniosła go do Cherche Midi, przygotowując sąd wojenny. Liga Praw Człowieka organizowała co wieczór publiczne wiece protestacyjne, tak w miastach prowincjonalnych, jak i w Paryżu. Nazwisko i prestiż Jaurésa przyciągnęły 30 000 osób na wiec w Marsylii. On, uczonec Duclaux, Anatol France, Octave Mirbeau i Sebastien Faure byli najpopularniejszymi mówcami. Robotnicy i burżuazja, studenci i profesorowie, kobiety pracujące i kobiety z towarzystwa tłumnie zapelniali salę, tłoczyli się na chodnikach, oklaskując sławnych mówców, i wychodzili razem, aby krzyknąć „*Vive Picquart!*” pod murami więzienia Cherche Midi. Liczba podpisów na proteście w sprawie Picquarta wynosiła tym razem nie setki, lecz tysiące, a wśród nich podpisy trzydziestu czterech członków Institut de France, co zdaniem Reinacha świadczyło, jak daleko naprzód posunęła się prawda w swoim marszu. Pomiędzy nowymi znalazł się podpis Sary Bemhardt i Hervé de Kerohanta, wydawcy „Soleil”, poprzednio występującego przeciw rewizji; podpisał on protest jako

„patriota, rojalista, chrześcijanin”. Historyk i członek Akademii Ernest Lavissee uznał, że należy działać, i złożył rezygnację z katedry St-Cyr, jako wyraz osobistego protestu.

Nawet anarchiści, dotychczas zdecydowanie pogardliwi i obojętni, dali się wciągnąć w sprawę Dreyfusa. Przedtem w swoim dzienniku „Le Père Peinard” potępiali dreyfusowską „paradę” jako „zgromadzenie wstrętnych typów”, której przewodzą Clemenceau, „stary wyzyskiwacz Scheurer-Kestner, stara ropucha Yves Guy ot (wydawca „Le Siècle”), ohydny Reinach, trzech złoczyńcy, którzy przyczynili się do wykoncypowania *lois scélérates*”. Teraz, kiedy ich burżuazyjni nieprzyjaciele krzyczeli o cierpieniach dwóch męczenników, więźniów Diabelskiej Wyspy i Cherche Midi, anarchiści zaczęli także krzyczeć o swoich męczennikach, zesłanych na przymusowe roboty do Gujany Francuskiej. Lidze Praw Człowieka, która zainteresowała się na nowo tymi przypadkami, udało się uzyskać ulaskawienie pięciu z nich.

Niektórzy ludzie z prawicy nie mogli już dłużej odwracać się od prawdy. Mme de Greffulhe, bogini *gratin*, nabrała poufnie przekonania o niewinności Dreyfusa i napisała do kajzera, pragnąc złożyć mu wizytę, aby się dowiedzieć, czy Niemcy naprawdę korzystali z usług Dreyfusa jako szpiega. W odpowiedzi otrzymała tylko olbrzymi kosz orchidei. Proust notuje zmianę stanowiska swojej postaci, księcia de Guermantes, który zwierza się Swannowi, że po samobójstwie pułkownika Henry'ego zaczął czytać co dzień potajemnie „Le Siècle” i „l'Aurore”. On i jego żona, niezależnie od siebie, prosili abbé, aby odprawił mszę świętą na intencję Dreyfusa i jego rodziny, i odkryli ze zdumieniem, że abbé również uważa go za niewinnego. Księżę spotkawszy kiedyś na schodach pokojówkę, niosącą śniadanie księżnej, zauważył, że ukrywa coś pod serwetką, i stwierdził, że była to „l'Aurore”. W armii niektórzy oficerowie, niżsi rangą od generałów złapanych w pułapkę swego uporu, głęboko się niepokoiли. „Tak między nami mówiąc, kiedy nikt obcy nas nie słyszy — powiedział w czasie podróży pociągiem jeden oficer do Galliffeta — nie jesteśmy takimi antyrewizjonistami, jak ludzie przypuszczają. Przeciwnie, chcielibyśmy poznać prawdę i wiedzieć, że winni zostali ukarani, tak aby armia nie ponosiła odpowiedzialności, jeśli popełniono wykroczenia”. Zdawał on sobie sprawę, że gdyby sędzono i skazano Picquarta, opinia publiczna zwróciłaby się przeciw armii.

W tym samym tygodniu, kiedy Sąd Kasacyjny rozpoczął śledztwo, wydano rozkaz odwołujący pułkownika Marchanda z Faszody; przepięliło to

do reszty kielich goryczy armii. Jaurès ostro potępiał to ryzykowne imperialistyczne przedsięwzięcie jako zbrodnię kapitalizmu, która lekkomyślnie naraziła na niebezpieczeństwo pokój, bez przygotowania się na konsekwencje sprowokowania Anglii. Z dużą intuicyjną spostrzegawczością, która jakby zaostrzyła się jeszcze wskutek sprawy Dreyfusa, pisał, pełen złych przeczuć: „Pozostawiono pokój kaprysom przypadku. Jeśli jednak wojna wybuchnie, będzie wielka i straszna. Po raz pierwszy stanie się światową, wciągając wszystkie kontynenty. Kapitalizm rozszerzył pole bitwy i cała planeta zaczerwieni się krwią niezliczonych ludzi. Trudno o okropniejsze oskarżenie obecnego systemu społecznego”. Za jego czasów można było jeszcze przypuszczać, że wina leży w systemie, nie w ludzkości.

Roznamiętnienie w sprawie Dreyfusa nie ustępowało. Gdy Reinach napisał serię artykułów w „Le Siècle”, oskarżając pułkownika Henry'ego, że miał „osobisty interes” rujnując Dreyfusa, Drumont namówił panią Henry, aby zaskarżyła go o oszczerstwo, i zorganizował subskrypcję na jej rzecz, co skupiło nacjonalistów wszelkiego autoramentu. Na oknach biur „La Libre Parole” przy Boulevard Montmartre wywieszono transparent z napisem „Dla wdowy i sieroty po pułkowniku Henrym, przeciw Żydowi Reinachowi” i podświetlono go w nocy. W ciągu miesiąca zebrano sumę 130 000 franków od piętnastu tysięcy osób. Ich nazwiska i komentarze to historia prawicy — z tego okresu i z każdego innego. Najwyższą sumę, pięćset franków, złożyła hrabina Odon de Montesquiou, z domu Bibesco, a trzydzieści *sous* pewien porucznik „ubogi w pieniądze, ale bogaty w nienawiść”. Przejawiły się tam różne rodzaje nienawiści, głównie do Żydów, wyrażone w propozycjach obdarcia ze skóry, spalania, ugotowania w oliwie, poparzenia witriolem, wykastrowania oraz innych hańbiących czy fizycznych kar. Przejawiała się tam także nienawiść do cudzoziemców i intelektualistów, a nawet „pięćsetletnia nienawiść do Anglii” ; wielu dawało jednak swoje pieniądze z litości dla wdowy i dziecka. Pewien abbé złożył swój datek na „obronę odwiecznego prawa przeciw żydowsko-chrześcijańskiemu oszustwu”, jakiś profesor muzyki dla „Francuzów, przeciw cudzoziemcom”; wpłacił też coś urzędnik, „który pragnie Boga w szkołach”, bezimienna ofiarodawczyni, „zrujnowana przez Żyda po sześciu miesiącach małżeństwa”, robotnik, „ofiara anarchistycznych kapitalistów Jaurèsa i Reinacha”. Bardzo wielu podpisanych uważało się za „prawdziwych patriotów”, a jeden za „zgnębitego Francuza”. Wypisywano *Vive!* dla Drumonta, Rocheforta, Déroulède'a, Guérina, Esterhazego, księcia Orleanu, *l'Empereur, le Roi,*

bohaterów spod Austerlitz i dla Joanny d'Arc. Główny cel ataków stanowił Reinach, o Dreyfusie rzadko wspomniano. Generał Mercier ofiarował sto franków bez komentarza, poeta Paul Valéry trzy franki „nie bez zastanowienia”.

W kulminacyjnym momencie tego podniecenia zmarł nagle w dziwny sposób prezydent Francji, Félix Faure. Ludzie zdawali sobie sprawę z czegoś niejasnego, a prawda była w istocie zbyt żenująca, aby ją wyjawić. Dumny ze swej erotycznej dziarskości prezydent Faure zmarł demonstrując ją w pokoju na parterze Pałacu Elizejskiego. Sprawę zatuszowano, ale atmosfera, i tak już pełna agresji i podejrzeń, stała się przez to jeszcze cięższa.

Wybory nowego prezydenta odbyły się w samym środku historycznej walki o kompetencję sądu; nad konserwatystą Méline'em zwycięstwo odniósł przewodniczący Senatu Emile Loubet, skromny republikanin chłopskiego pochodzenia. Nacjonaliści gardzili nim, bo w czasie skandalu panamskiego sprawował funkcję premiera. Jego wybór nazywali „obelgą dla Francji”, „wyzwaniem dla armii”, „zwycięstwem zdradzieckich Żydów”. Motłoch, wynajęty przez opozycję, który miał wygwizdywać prezydenta przez całą drogę z dworca St-Lazare do Pałacu Elizejskiego, wrzeszczał tak głośno, że nie słyhać było nawet orkiestry grającej *Marsyliankę*. „Republika nie rozpadnie się w moich rękach — powiedział spokojnie Loubet. — Wiedzą o tym i to doprowadza ich do szału”.

Prawica w stanie nieopanowanego podniecenia pragnęła doprowadzić republikę do upadku. „W ciągu tygodnia wypędzimy Loubeta z prezydentury”, chełpił się Jules Lemaître. Zamach stanu miał mieć miejsce w czasie uroczystego pogrzebu Faure'a. Trzeba przekonać armię, aby zbawiła kraj. „Ligowcy” sądzili, że zdołają to osiągnąć krzykiem, gestem, przez wykorzystanie okazji, ale nie troszczyli się wcale o poważną organizację. Zamierzali przejąć wojskową eskortę orszaku, kiedy będzie wracała z cmentarza do koszar przy Place de la Nation, i poprowadzić ją, aby zajęła Pałac Elizejski. Déroulède, do którego dołączył Guérin, wyprowadził na ulicę zgraję dwustu patriotów, chwycił za uzdę konia generała Roget, komendanta eskorty, wołając: „Do Pałacu Elizejskiego, generale! Proszę za nami, generale, za nami! Na Plac Bastylli! Do Hôtel de Ville! Do Pałacu Elizejskiego! Przyjaciele czekają na nas. Błagam, generale, niech pan ocali Francję, ustanowi republikę ludu, wyrzuci *parlementaires!*” Generał nie tracąc głowy posuwał się dalej, tłum, nie orientujący się, o co chodzi, lecz

pełen zapachu, wołał: „Ocalić Francję! *Vive l'Armée!*” a wojsko pomaszeroowało dalej do koszar zagarniając z sobą Déroulède'a i jego zwolenników. Déroulède rozpiął płaszcz pokazując swą opaskę posła, symbol parlamentarnej nietykalności, lecz mimo to został odwieziony na policję i oskarżony o bunt, a jego proces stał się jeszcze jednym terenem wojowniczych namiętności. Fiasko bynajmniej nie pozbawiło prawicy nadziei. W następnym miesiącu Liga Antysemityczna otrzymała 56 000 franków od księcia Orleanu i 100 000 od Boni de Castellane'a.

Nim zdołano odetchnąć, Sąd Kasacyjny ogłosił werdykt, oczekiwany przez całą Francję. Czterdziestu sześciu sędziów w szkarłatach i gronostajach wypowiedziało się za rewizję. Wysłano na Diabelską Wyspę krążownik, aby przywiózł Dreyfusa na ponowny proces. Zola wrócił z Anglii z artykułem, nad którym „l'Aurore”, znana już czcionką, wydrukowała tytuł JUSTICE! Stwierdził, że zniknęły już wszystkie frakcje i partie, a Francja podzieliła się na dwa obozy: siły reakcji i przeszłości przeciw siłom sprawiedliwości i przyszłości. Taki logiczny szyk bojowy miał dopełnić zadania 1789 roku. Z niezmałym optymizmem, właściwym owym czasom, dreyfusiści powitali decyzję sądu jak zapowiedź sprawiedliwości dla nadchodzącego stulecia. Zdjęte zostało wielkie brzemię wstydu, zastąpiła je duma z Francji. „Który inny kraj — pisał korespondent „Le Temps” z Hagi, gdzie odbywała się konferencja pokojowa — miał przywilej przyspieszyć bicie serca świata, jak to było naszym udziałem w ostatnich trzech latach?” Rewizja oznaczała nie tylko triumf sprawiedliwości, lecz także triumf „wolności wszystkich ludzi”. Nie tylko Francuzi odczuwali tę uniwersalność. William James, podróżujący po Europie, kiedy dostrzegł, że coś świta w sprawie Dreyfusa, pisał: „Może to jeden z tych moralnych kryzysów, które stają się punktem przełomowym i otwierają nową drogę, pozostawiając za sobą tradycje, hasła i nowe twarze”.

Nacjonalistów ogarnął paroksyzm gniewu. Caran d'Ache narysował karykaturę przedstawiającą Dreyfusa z głupim uśmiechem i Reinacha z batem, rozkazującego: „Chodź tu, Marianno”. Na pierwszej stronie narysował Zolę wynurzającego się z miski klozetowej z lalką przedstawiającą Dreyfusa na ręce i z podpisem „Prawda wychodzi ze swego źródła”.

Wściekłość z powodu decyzji sądu wyładowała się następnego dnia na osobie prezydenta Loubeta podczas wyścigów w Auteuil. Była to niedziela i odbywała się najwytworniejsza impreza sezonu, *le Grand Steeple*. Gdy powóz prezydenta podjechał do honorowej trybuny, grupy elegancko

ubranych dżentelmenów z białymi goździkami rojalistów lub bławatkami antysemitów w butonierkach zaczęły krzyczeć, rytmicznie wywijając laskami: „*Dé-mis-sion! Pa-na-ma! Dé-mis-sion! Pa-na-ma!*” Wśród wycia i grózb Loubet zajął swoje miejsce. Nagle wysoki mężczyzna, w białym krawacie i z białym goździkiem, rozpoznany później jako baron Fernand de Christiani, oderwał się od grupy, podbiegł w górę przeskakując po dwa schody i ciężką laską uderzył prezydenta w głowę. Panie krzyknęły przeraźliwie, po czym wszyscy ucichli w osłupieniu. Dopiero, gdy towarzysze napastnika pospieszyli, by wyrwać go z rąk straży, zerwała się wielka wrzawa. Jednych aresztowano, a tymczasem inni rzucili się na policję wrzeszcząc i waląc laskami. Scena przedstawiała *un charivari infernal* (piekielną wrzawę). Generał Zurlinden, komendant Paryża, zatelefonował po posiłki — trzy oddziały kawalerii. Loubet, choć wstrząśnięty, przeproszał za awanturę ambasadorową włoską, hrabinę Tomielli. „To było zaszczytne miejsce”, odpowiedziała.

Atak na cylinder Loubeta równał się atakowi na republikę, toteż zaskoczył i oburzył wszystkich. Z całej Francji nadchodziły telegramy od zarządów i rad miejskich, wyrażające lojalność większą, niż można się było spodziewać na podstawie doświadczeń kilku ostatnich lat. Loubet oświadczył, że zamierza udać się następnej niedzieli na wyścigi w Longchamps jako zaproszony gość. Uprzedzone o tym ligi i gazety obu stron wzywały do demonstracji i gromadziły swoje bataliony. Rząd podjął niezwykle środki ostrożności. Wzdłuż drogi z Pałacu Elizejskiego do Longchamps ustawiono trzydzieści szwadronów kawalerii i brygadę piechoty w mundurach polowych, a na terenach wyścigowych posterunki uzbrojonych w karabiny dragonów z Garde Républicaine stały co dziesięć jardów wokół toru wyścigowego i przy każdym okienku przyjmującym zakłady. Policja na koniach pilnowała murawy. Ponad 100 000 ludzi wyległo na trasę, wielu z czerwoną różą lewicy w klapie. Robotnicy, czując zagrożenie ze strony prawicy, znów wyszli na ulicę, nie tyle może w obronie burżuazyjnego państwa, lecz raczej żeby przeciwstawić się przedstawicielom klasy rządzącej. Obecność ponad sześciu tysięcy strażników prawa zapobiegła większemu wybuchowi, lecz przez cały dzień dochodziło do starć demonstrantów, wybuchały odosobnione zamieszki i bijatyki, rozbrzmiewały krzyki i odpowiedzi na nie, aresztowano setki ludzi, ranni zostali nie tylko demonstranci, ale także reporterzy i policjanci. Wieczorem, kiedy tłumy ciągnęły z powrotem do Paryża, zamieszanie przeniosło się do kawiarni;

krzyczano *Vive la République!*, a z drugiej strony *Vive l'Armée!* Rzucano butelkami, karafkami i tackami, stoły i krzesła zamieniły się w broń, policja szarżowała; rósł gniew, animozje nacjonalistyczne, przybywało rozbitych głów. Nawet poza Paryżem, w pensjonacie „Brest”, gdzie mieszkali oficerowie i profesorzy, „ci młodzi ludzie jednak kochający Francję” nie mogli rozmawiać ani zrozumieć się wzajem bez pojedynku. Nadszedł już czas na *trêve de Dieu*, upominał „Le Temps”.

Nie zanosilo się na to jednak. Kiedy rząd znowu upadł w tydzień po Longchamps, władza stanęła przed takimi niepokojami i trudnościami, że przez osiem dni nikt nia zdołał utworzyć nowego rządu. W tej próżni człowiek, który wysunął się naprzód z zamiarem „zlikwidowania” sprawy Dreyfusa, mógł stawiać warunki, które w innych okolicznościach byłyby nie do przyjęcia. Był to René Waldeck-Rousseau, pięćdziesięcio-trzyletni wybitny prawnik paryski, znakomity mówca, nazywany „Peryklosem Republiki”. Bogaty i dobrze urodzony, katolik z Bretanii o wykwinnym sposobie bycia i wyglądzie Brytyjczyka, z przystrzyżonymi krótko włosami, miał zamiłowanie do polowania i wędkarstwa, malował z talentem akwarele i nienagannie się ubierał. Z powodu tej staranności w ubiorze Rochefort nazywał go *Waldeck le pommadé*. Podziwiany przez radykałów i aprobowany przez centrum, reprezentował *juste-milieu*.

Wraz ze zbliżającym się terminem ponownego procesu Dreyfusa sprawa dochodziła do punktu kulminacyjnego. Waldeck spodziewał się ostrych ataków, ale pragnąc mimo to utrzymać władzę postanowił celowo utworzyć rząd potępiany jednakowo przez obydwie strony, tak aby ataki wzajemnie się znosiły. Ministrem handlu mianował socjalistę Milleranda, a ministrem wojny wojskowego bohatera, markiza de Galliffet, „rzeźnika”, który zgniótł Komunę. Ten niezwykle wyczyn wywołał niebywałą wrzawę w prasie i Parlamencie. „Czyste szaleństwo... zupełne obłąkanie... potworne... podłe”, słyhać było z obu stron. Nominacja Milleranda nie tylko rozwścieczyła prawicę; przyjęcie przez niego stanowiska wywołało w jego własnej partii i w Międzynarodówce Socjalistycznej skandal i rozłam wielkich rozmiarów i o historycznym znaczeniu. Przyjęcie stanowiska w kapitalistycznym rządzie stanowiło zdradę porównywalną ze zdradą Judasza. Głęboko zasmucony Jaurès błagał Milleranda, żeby odrzucił propozycję, ale Waldeck sprytnie wybrał człowieka, który nie mógł się oprzeć takiej pokusie. Przed socjalistami stanął teraz problem, czy mają popierać rząd Waldecka, czy nie.

W razie upadku rządu groził chaos. Jaurès przekonał argument Luciena Herra: „Co za triumf dla socjalizmu, że nie można uratować republiki bez uciekania się do partii proletariatu!” Frakcja Guesde'a obstawała jednak przy walce klasowej. Socjaliści, twierdził Guesde, „wchodzą do Parlamentu, jakbyśmy byli we wrogim państwie, tylko po to aby walczyć z wrogą klasą”. Jaurès przestrzegał, że jeśli socjalizm będzie się upierał przy takim stanowisku, upadnie do poziomu „bezpłodnego i bezkompromisowego anarchizmu”; nie udało mu się jednak wszystkich przekonać. Nastąpił rozłam w Unii Socjalistycznej: dwudziestu pięciu socjalistów, członków Parlamentu, zgodziło się popierać rząd, siedemnastu odmówiło poparcia. Guesde wzbudził zachwyty swojej grupy emocjonującą propozycją, aby przywitać nowy rząd okrzykami *Vive la Commune!* Przy głosowaniu grupa miała jednak wstrzymać się od głosu, nie chcąc łączyć się z prawicą.

Następnego dnia posłowie ci stali przez dziesięć minut wykrzykując do nowych ministrów: *Vive la Commune! A bas les fusilleurs! A bas l'assassin!* Obiekt tej manifestacji, generał markiz de Galliffet, książę de Martigues, blisko siedemdziesięcioletni, z opaloną twarzą i błyszczącymi oczyma, patrzył na tę scenę drwiąco, na wpół z niesmakiem, na wpół z zadowoleniem. Walczył na Krymie, we Włoszech, Meksyku, Algierii i pod Sedanem, gdzie poprowadził swój pułk do ostatniej szarży kawalerii, odpowiadając dowodzącemu oficerowi: „Ile razy pan zechce, dopóki choć jeden z nas pozostanie przy życiu”. Pod wrażeniem wielkiego patriotyzmu i ducha walki Gambetty Galliffet stał się republikaninem, pozostał lojalny i otwarcie pogardzał Boulangerem. Na bardzo rumianej twarzy oczy zapadły mu głęboko po obu stronach nosa, przypominającego dziób drapieżnego ptaka, zachował jednak wciąż jeszcze silną i młodą postać oraz „wygląd, który zdecydował o jego losie: przypominał nieustraszonego herszta zbójców lub *grand seigneur*, obojętnego na wszystko”. Mimo utykania, pozostałego po dawnych ranach, i srebrnej blaszki na brzuchu grywał w tenisa w Ogrodach Tuileries, a jego przygody miłosne, relacjonowane rubasznie i z dowcipem, sprawiały wielką uciechę w Bixio. Opowiadał, jak Mme de Castiglione pokazała mu swój akt, namalowany przez Baudry'ego, a gdy zapytał, czy jest naprawdę taka piękna jak na obrazie, zdjęła z siebie wszystko i przybrała odpowiednią pozę na sofie. „Obraz był lepszy”, zakończył Galliffet. Nazywano go *sabreur de la parole* (szermierzem słowa), ponieważ opowiadał anegdoty tak, „jakby szarżował na czele szwadronu”. Ceniąc zdolność bojową armii i Picquarta, który służył pod jego

dowództwem, stał się rewizjonistą. Za ten grzech wykluczono go z Jockey Clubu. Kiedy został ministrem, zrezygnował z Cercle de l'Union nie tyle z powodu własnych poglądów, co z powodu jego członków „idiotów”, aresztowanych w Auteil. Powiedział: „Nie można należeć do klubu, którego członków musi się aresztować, tak się nie postępuje w towarzystwie”. Ekscentryczny i zjadliwy, dumny, że utrzymuje się tylko ze swojej pensji, choć swego czasu miał majątek, odznaczał się „odwagą, bezczelnością, inteligencją, pogardą śmierci i żądzą życia”.

Wszystkie te cechy były mu potrzebne, aby zostać ministrem wojny w kulminacyjnym punkcie sprawy Dreyfusa. Słuchając urągania ekstremistów Guesde'a w Izbie, powstał nagle i warknął: „*L'assassin, présent!*” Zapanowała ogólna wrzawa; nacjonałiści, radykałowie, centrowcy wykrzykiwali obelgi i potrząsali pięściami. Millerand, prawnik jak Waldeck, o siwych włosach *en brosse*, z lorgnon i starannym czarnym wąsem, skrupulatny i agresywny w sposobie bycia, załamywał się. Wąs mu drżał, wyglądał „jak wielki kot podczas ulewy”. Galliffet, jak zauważono, spisywał nazwiska, a później wyjaśnił: „Sądziłem, że lepiej będzie, jeśli zaproszę ich na obiad”. Waldeck stał na trybunie przez godzinę próbując mówić, ale słyszano go co najwyżej przez dziesięć minut. Walczył rozpaczliwie i udało mu się ustanowić rząd większością dwudziestu sześciu głosów.

Galliffet przyłączył się do rządu „bez iluzji”, jak pisał do księżny Radziwiłł, gdyż rząd ten obiecał uspokoić Francję, „jeśli to jeszcze jest możliwe. Prawicowe gazety błagają mnie, żebym powtórzył to, co Boulanger, a lewicowe chcą, żebym ścinał głowy wszystkim generałom, którzy się im nie podobają. Publiczność to idioci. Jeśli tknę winnego generała, zostanę oskarżony o masakrowanie armii, jeśli tego nie zrobię, zostanę oskarżony o zdradę. Co za dylemat. Żałuj mnie”. W istocie, choć uważał Loubeta za „zbyt burżuazyjnego”, cieszył się, że został ministrem, i w czasie najbliższego spotkania w Bixio był bardzo „wesoły i zabawny”. Opowiedział wesołą historyjkę o dość tęgiej, lecz przystojnej damie w wieku czterdziestu pięciu lat, która odwiedziła go w biurze i zaproponowała małą transakcję, a mianowicie zakup 20 000 koni przez armię. Z tego milion miał być dla niego. „Milion — powiedział jej — to niewiele, biorąc pod uwagę dwadzieścia pięć milionów, które dostałem od «Syndykatu», o czym każdy wie. Niech pani pójdzie do Waldecka. Zazdrości mi, bo dostał tylko siedemnaście milionów”.

Sześć tygodni później, 8 sierpnia 1899 roku, miał się rozpocząć ponowny proces Dreyfusa przed nowym sądem wojennym w mieście garnizonowym Rennes, w katolickim i arystokratycznym zakątku tradycyjnie antyrewołucyjnej Bretanii. Francja drżała z niecierpliwości. Oczy świata zwrócone były na Rennes. Napięcie wzrastało z upływem każdego tygodnia, przybliżającego tę chwilę. Wszystkie poważne pisma zagraniczne przysłały swoich najwybitniejszych korespondentów. Lord Russell of Killowen, sędzia najwyższy Anglii, przybył jako obserwator. Wszystkie wybitne postaci wmieszane w sprawę Dreyfusa, setki francuskich dziennikarzy i ważnych osobistości politycznych, literackich i z towarzystwa zapełniły miasto po brzegi. Z Paryża przywieziono Tajną Teczkę w żelaznej skrzynce na artyleryjskim jaszczu. Nikt nigdzie nie mówił o niczym innym tylko o przyszłym werdykcie. Uniewinnienie oznaczałoby dla Dreyfusa wreszcie oczyszczenie; dla nacjonalistów byłoby zgubne — niewyobrażalny cios, do którego nie można dopuścić. Jakby na rozkaz powrócili do poprzedniego szantażu: Dreyfus albo armia. „Należy dokonać wyboru” — pisał Barres w „Le Journal”; Rennes, mówił, jest Rubikonem. „Jeśli Dreyfus jest niewinny, wówczas siedmiu ministrów wojny jest winnych, a ostatni bardziej niż pierwszy”, stwierdzał Meyer w „Le Gaulois”. Generał Mercier przed odjazdem do Rennes, gdzie miał wystąpić jako świadek, wydał rozkaz dzienny: „Dreyfus będzie skazany jeszcze raz. Bo ktoś w tej sprawie na pewno jest winny, a tym winnym jest albo on, albo ja. Ponieważ to na pewno nie ja, a więc Dreyfus... Dreyfus jest zdrajcą i ja to udowodnię”.

O szóstej rano 8 sierpnia sąd zebrał się na sali *lycee*, jedynej w Rennes mogącej pomieścić sześćset osób publiczności. Mercier siedział w pierwszym rzędzie, jego żółta pomarszczona twarz była, jak zwykle, bez wyrazu; obok siedział poprzedni przewodniczący, Casimir-Perier, a w pobliżu przy oknie wdowa po pułkowniku Henrym w długim szarym żałobnym welonie. Dalsze rzędy zapełniali dygnitarze, oficerowie w mundurach, panie w lekkich letnich sukniach i ponad czterystu dziennikarzy. Pułkownik Jouaust, oficer przewodniczący siedmiu sędziom wojskowym, zawołał głosem ochryłym z napięcia: „Wprowadzić oskarżonego!”

Ustały natychmiast wszystkie rozmowy, zamknęły się wszystkie usta, zdawało się, że ludzie wstrzymują oddech, a wszystkie głowy na sali jednym ruchem zwróciły się ku małym drzwiom po prawej stronie. Wszyscy utkwili wzrok w tych drzwiach z lękiem i wzdraganiem, jakby się bali, że ujrzą

ducha. Bo oskarżony był duchem, który na blisko pięć lat zniknął z oczu obecnych, którego oprócz rodziny, adwokatów i pierwotnych oskarżycieli nikt w ogóle nie widział. Przez pięć lat obecny w ich myślach nie jako żywy człowiek, lecz jako idea; teraz przejdzie przez salę i zobaczą Łazarza. Minęła jedna minuta, potem druga, a ludzie czekali w ciszy, w śmiertelnej ciszy, w „takiej ciszy, jaka jeszcze nigdy nie ogarnęła tłumu”.

Otworzyły się drzwi, ujrzano dwóch strażników, pomiędzy nimi wysunęła się naprzód chuda, wyniszczona, wysuszona postać, dziwny strzęp ludzki, ni to młody, ni stary, ze skurczoną twarzą, wysuszoną skórą i ciałem jak gdyby wydrążonym w środku; trzymał się jednak prosto, jakby starał się nie zachwiać przez te ostatnie kilka jardów między drzwiami a miejscem dla świadków. Tylko pince-nez, znane z portretów, nic nie ucierpiało. Odruch „przerażenia i litości” wstrząsnął patrzącymi. Picquart, którego życie odmienił bezpowrotnie, skierował na niego tak silne spojrzenie, że poczuli je ludzie znajdujący się między nimi. Inni obecni, którym jego osoba zmieniła lub złamała karierę — Clemenceau, Cavaignac — widzieli go po raz pierwszy.

Przez cztery i pół roku Dreyfus prawie wcale nie mówił i nie słyszał mówionego słowa. Osłabiła go choroba, gorączka, tropikalne słońce i lata spędzone w łańcuchach, kiedy wzmagala się brutalność strażników, będąca odbiciem wrogich mu nastrojów. Mówił z trudem i bardzo powoli uświadamiał sobie, co do niego mówiono. Wstępując na trzy stopnie prowadzące na trybunę zachwiał się, lecz natychmiast się wyprostował, zasalutował z nieprzeniknioną twarzą, podniósł dłoń w rękawiczce, aby złożyć przysięgę i zdjął kapelusz odsłaniając przedwcześnie posiwiałe włosy. Nadal pozostawał posągiem. Nie wiedział nic o całej sprawie, o walce prasy, o pojedynkach, petycjach i zamieszkach, o ulicznych tłumach, ligach, procesach, skargach o zniesławienie, apelacjach, zamachach stanu; nie wiedział o Scheurer-Kestnerze, Reinachu, aresztowaniu Picquarta, procesie Zoli, sądzie wojennym Esterhazego, samobójstwie pułkownika Henry'ego, ataku na osobę prezydenta Francji. W czasie procesu zrobił na wielu osobach niekorzystne wrażenie. Absolutnie zdecydowany nie okazać niczego, co mogłoby wywołać litość, zniechęcił wielu z tych, którzy przyszli przygotowani na współczucie. G. A. Henty, który, jak większość Anglików, wierzył, że oskarżenie zmontowano, odjechał z pewnymi wątpliwościami. „Ten człowiek mówił i wyglądał jak szpieg... i jeśli nie jest szpiegiem, niech

mnie diabli wezmą, jeśli nie powinien być”. Henty wyrażał przekonanie ostatnich romantyków; myśleli oni, że takie abstrakcyjne pojęcia, jak Sprawiedliwość, są jednoznaczne i że ludzie zachowujący się dziwnie są szpiegami.

W końcu o wyniku nie zdecydowało wrażenie, jakie wywarł Dreyfus, podobnie jak nie on wywołał całą sprawę: zaważył tutaj dylemat sformułowany już dawno przez generała Mercier i właśnie generał spośród setek świadków górował w procesie. Z chłodną stanowczością, z wyniosłą pewnością siebie przyjął pełną odpowiedzialność za swój poprzedni rozkaz, zakazujący obronie dostępu do Tajnej Teczki; określił to jako decyzję „moralną”. Stojąc na miejscu dla świadków, odmawiał odpowiedzi na pytania, które mu się nie podobały, kiedy nie zeznawał, wtrącał się nie zagadnięty. Polecił opuszczenie sali przez publiczność, gdy miała być badana Tajna Teczka, a sąd zastosował się do jego życzenia. Zapytywany o zatajenie dowodów przez armię, odpowiadał z cynizmem, według Reinacha, „niemal godnym podziwu... jakby zbrodnia mogła być źródłem swego rodzaju piękna”. Mercier „ma halucynacje — pisał Galliffet. — Myśli, że Francja wcieliła się w jego osobę... ale mimo wszystko to człowiek honoru”.

Tygodniami ciągnęły się badania i zeznania szeregu świadków, osobiście z pasją zaangażowanych w sprawę, spory prawników, dyskusje dziennikarzy i obserwatorów, podniecenie w mieście, a tymczasem napięcie, z jakim oczekiwano werdyktu, stawało się prawie nie do zniesienia. W Paryżu pogłoski o ponownym zamachu stanu, planowanym na dzień składania zeznań przez Merciera, spowodowały nalot policji na mieszkania setek podejrzanych i aresztowanie, w łóżku, sześćdziesięciu pięciu, w tym Derouleda'a. Nie schwytano jednak Guerina, który się wydostał, zabarykadował w domu przy Rue Chabrol z czternastu towarzyszami i zapasem amunicji; przetrwał tam przez sześć tygodni oblężenie przeprowadzone przez policję bez rozgłosu. „Nie ruszam się z biura od siódmej rano do siódmej wieczór, aby być przygotowanym na wszystko”, pisał Galliffet.

14 sierpnia nazbyt elokwentny i agresywny maitre Labori, który „wyglądał jak Herkules i bronił jak bokser”, został postrzelony poza sądem (ale nie zabity) przez młodego człowieka z rudymi włosami, który uciekł krzycząc: „Zabiłem teraz Dreyfusa! Zabiłem teraz Dreyfusa!” Nazwisko stało się znów abstrakcją. Akt ten podniósł temperaturę do granic szaleństwa.

Ponieważ napastnik uciekł z teczką Laboriego i nie został schwytany, dreyfusiści uważali to za jeszcze jeden spisek i jeszcze jeden dowód, że nacjoniści nie cofną się przed niczym. Nie szczędzili swym przeciwnikom epitetów w rodzaju „mordercy”, „sztab generalny kryminalistów” i przysięgali, że „za każdego z naszych zabijemy jednego z nich — Merciera, Cavaignaca, Boisdeffre'a, Barrèsa”. Księżna Radziwiłłowa pisała do Galliffeta: „Mój Boże, jakżeż kończy się to stulecie!”

Zakończenie procesu nastąpiło 9 września; cały świat zdrętwiał ze zdumienia słysząc nieprawdopodobny werdykt. Pięcioma głosami przeciw dwóm Dreyfus został ponownie skazany z „okolicznościami łagodzącymi”, które pozwalały na wyrok pięcioletni zamiast przewidzianego dożywocia. Ponieważ zdrada nie mogła mieć, oczywiście, żadnych okoliczności łagodzących, klauzula rozdrażniła obydwie strony. Została wymyślona przez oskarżycieli, którzy zdawali sobie sprawę, że łatwiej będzie uzyskać werdykt „winien”, gdy sędziowie nie będą mieli na sumieniu perspektywy wysłania Dreyfusa z powrotem na Diabelską Wyspę.

Werdykt przyjęty został jak jakaś potworna klęska. Ludzie zdrętwieli. Królowa Wiktoria zatelegrafowała do lorda Russella: „Królowa dowiedziała się ze zdumieniem o okropnym werdykcie i ma nadzieję, że nieszczęsny męczennik będzie apelował do najwyższych sędziów”. „Niegodziwy, cyniczny, ohydny, barbarzyński”, pisał korespondent „Timesa”, nie zwracając uwagi na składnię. Clemenceau pytał jak zagniewany Izajasz: „Cóż pozostało z historycznej tradycji, która uczyniła z nas kiedyś szermierzy sprawiedliwości dla całej kuli ziemskiej? Przez cały świat przejdzie okrzyk: Gdzie jest Francja? Czym się stała Francja?” Z powodu zbliżającej się Międzynarodowej Wystawy 1900 zwracano teraz większą uwagę na opinię światową. W Evian nad Jeziorem Genewskim, gdzie wiele osób z *gratin* spędzało letnie wakacje, Proust zastał hrabinę de Noailles we łzach; wołała: „Jak oni mogli to zrobić? Co pomyślą o nas teraz cudzoziemcy?” W obozie nacjonalistów ta sama myśl wywoływała wielką radość. „To pierwsze nasze zwycięstwo nad cudzoziemcem od 1870 roku”, cieszył się „Le Gaulois”.

Wszędzie silne emocje dochodziły do głosu, cały świat się przejmował. W Odessie podniecenie było „po prostu niezwykle”, Berlin nie posiadał się z oburzenia, „odraza i przerażenie” ogarnęły odległe Melbourne. W Chicago odbywały się wiece protestacyjne, ze wszystkich stron wysuwano propozycje

zbojkotowania Wystawy. W Liverpoolu rozchwymano w ciągu kilku minut egzemplarze „Timesa”, a potem sprzedawano je po wyższej cenie. Kompozytor Grieg napisał z Norwegii, że odmawia przyjęcia zaproszenia na dyrygowanie swoimi utworami w Théâtre Châtelet z powodu swego „oburzenia na lekceważenie sprawiedliwości, jakie wykazał wasz kraj”. Największe oburzenie panowało w Anglii, gdzie fala uczuć antyfrancuskich szczególnie wezbrała wskutek Faszody. W Hyde Parku głośno było od wieców protestacyjnych, w gazetach pisano o „obeldze dla cywilizacji”, firmy przemysłowe i stowarzyszenia kulturalne wzywały do bojkotu Wystawy, aby w ten sposób wywrzeć nacisk na rząd Francji, podróżnych amawiano do odwoływania planowanych wyjazdów, pewien właściciel hotelu w Krainie Jezior wyrzucił francuską parę spędzającą tam miodowy miesiąc, a autor jednego z listów do redakcji stwierdzał, że nawet kwestia Transwalu „blednie i traci znaczenie wobec poważniejszej kwestii prawdy i sprawiedliwości”. „Times” jednak przypominał czytelnikom, że wielu Francuzów „ryzykowało nawet więcej niż życie”, aby zapobiec porażce sprawiedliwości, i na pewno nie zaprzestaną walki o naprawienie zła wyrządzonego w Rennes.

Walka rzeczywiście ciągnęła się dalej, ale zainteresowanie opinii publicznej już wygasło. Sprawa Dreyfusa wytworzyła jedną z tych sytuacji, dla której nie ma dobrego rozwiązania. Waldeck-Rousseau zaofiarował Dreyfusowi ulaskawienie; mimo ostrych sprzeciwów Clemenceau zostało ono przyjęte ze względów humanitarnych — bo Dreyfus nie mógł już więcej wytrzymać — i z zastrzeżeniem, że nie zakończą się starania o oczyszczenie jego nazwiska. Galliffet wydał rozkaz dzienny do armii: „Sprawa jest zamknięta... Zapomnijcie o przeszłości, tak abyście mogli myśleć tylko o przyszłości”. Waldeck wprowadził ustawę o amnestii, anulującą wszystkie sprawy w toku związane ze sprawą Dreyfusa, czym rozgniewał obydwie strony: prawicę, bo Déroulède został wyłączony; dreyfusistów z powodu Picquarta, Reinacha i innych, wobec których popełniono niesprawiedliwość lub którzy byli oskarżeni, a teraz nie mogli się oczyścić. Waldeck pozostał nieugięty: „Amnestia nie osądza, nie oskarża, nie uniewinnia, amnestia uchyla”. Zagorzała debata trwała jednak przez rok, zanim ustawę uchwalono. Animozje nie wygasły. Stanowiska zajęte w czasie sprawy Dreyfusa skryształizowały się i umocniły. Lemaitre, który przyłączył się nie tyle z przekonania, ile dla sensacji, stał się zacietrzewionym rojalistą, Anatol France przesunął się daleko na lewo.

Walka moralna zamieniła się w polityczną; z osoby Dreyfusa przeszła na dreyfusowską rewolucję. Pozostała tą samą walką, ale w innych warunkach. Nie chodziło już o sprawiedliwość i rewizję, lecz o wysiłek rządu za Waldecka i jego następcy Combes'a, aby ukrócić klerykalizm i zrepublikanizować oświatę i armię. Szczególnie zacięty bój toczył się o wprowadzoną przez Waldecka ustawę o stowarzyszeniach, skierowaną przeciw zakonom religijnym, ostry spór wybuchł również wokół afery generała André i tzw. fiches, kiedy odkryto, że nadgorliwy minister wojny w roku 1904 korzystał z meldunków oficerów masonów o katolickich kolegach, kierując się nimi przy awansach. Uporczywe, nie ustające wysiłki Mathieu Dreyfusa, Remacha i Jaurésa doprowadziły w końcu, mimo wszelkich przeszkód, do ostatecznej rewizji i obalenia przez Sąd Kasacyjny werdyktu z Rennes. 13 lipca 1906 roku, w przededniu święta narodowego, prawie dwanaście lat po aresztowaniu Dreyfusa i siedem lat po procesie w Rennes, przeszła w Parlamencie ustawa o ponownym przyjęciu Dreyfusa i Picquarta do armii; głosowało za nią 442 posłów, przeciw niej 32, wśród nich w dalszym ciągu de Mun. Dreyfus, udekorowany Legią Honorową, awansował do stopnia majora, a Picquart generała, rang, do jakich by doszli w normalnym biegu wypadków. W 1902 roku Drumont przepadł w wyborach do Parlamentu; pismo „La Libre Parole” podupadło i w 1907 zostało wystawione na sprzedaż, ale nie znaleźli się żadni nabywcy. Zola zmarł w roku 1902, a na jego pogrzebie Anatol France wygłosił mowę oddającą sprawiedliwość człowiekowi, który „przez chwilę... był sumieniem ludzkości”. W 1908 roku popioły Zoli przeniesiono do Panteonu. Podczas ceremonii pewien człowiek o nazwisku Gregori strzelił do Dreyfusa raniąc go w ramię; później sąd przysięgłych go uniewinnił. W 1906 Clemenceau został premierem i mianował Picquarta ministrem wojny. Picquart na miejscu Merciera „to interesujący widok — powiedział Galliffet. — Są rzeczy, które pocieszają człowieka, jeśli nie może zdecydować się umrzeć”.

Rennes stanowiło punkt kulminacyjny. Po Rennes nie skończyła się walka o sprawiedliwość ani walka prawicy przeciw republice, ale skończyła się sprawa Dreyfusa. W czasie jej trwania, jak w czasie rewolucji, politycy francuscy przedstawili się ze swej najbardziej wojowniczej strony. W tym okresie wszystko nabierało przesadnych rozmiarów. Ludzie stawiali na jedną kartę swoje zdolności i przekonania. Nie ukrywali niczego. W przededniu nowego stulecia sprawa Dreyfusa wykazała, jakie brutalne siły i barbarzyństwo czekają, aby je powitać.

V. NIEUSTANNY WARKOT BĘBNÓW

Haga 1899 i 1907

29 września 1898 świat powitał z uczuciem radości, nadziei, podejrzenia — a przede wszystkim ze zdumieniem — wiadomość, że młody car rosyjski, Mikołaj II, zwrócił się do wszystkich narodów z wezwaniem, aby zebrały się na konferencji w sprawie ograniczenia zbrojeń. „Ta błyskawica z Północy”, jak ją nazwał „Le Temps”, zaskoczyła wszystkie stolice. Oszołomienie i zdumienie połączone z dużą dozą nieufności wywołał fakt, że wezwanie to nadeszło od potężnego i wciąż rozrastającego się mocarstwa, którego obawiały się inne narody i które mimo dwustu lat europejskiej ogłady nadal uważane było za na wpół barbarzyńskie. Nacisk rosyjskiej ekspansji dawał się odczuć od Alaski po Indie, od Turcji po Polskę. „Car z gałązką oliwną — mówiono w Wiedniu — to coś nowego w historii”. Zaproszenie to jednak uderzyło w najczulszą strunę.

Wszędzie panowała obawa przed rozrastającym się przemysłem zbrojeniowym. Krupp, kolos z Essen, był największym indywidualnym przedsiębiorstwem w Europie. Skoda, Schneider-Creusot, Vickers-Maxim, rozdęte w wyniku wielu fuzji kartele o chrapliwych, drapiących w gardle nazwach, miały swoje interesy we wszystkich obozach, sprzedawały swoje produkty klientom na wszystkich kontynentach, a w wypadku sporu sprzedawały je obydwu stronom, korzystając tym samym z każdego starcia. Co rok któraś z tych firm produkowała nową, skuteczniejszą broń śmiertcionośną; gdy zaczęła się nią posługiwać armia jednego mocarstwa, rywalizujące z nim państwo musiało także odpowiednio się uzbroić. Co rok koszty wzrastały i gromadziły się coraz większe stosy broni, aż wydawało się, że muszą one wybuchnąć w ostatecznej morderczej eksplozji.

Manifest cara wzywał do zatrzymania tego procesu. Adresowany do wszystkich rządów reprezentowanych w Petersburgu, stwierdzał, że wprawdzie pragnienie pokoju występuje szczególnie wyraźnie w ostatnich dwudziestu latach, to jednak „intelektualne i fizyczne siły narodów, zarówno praca jak i kapitał, zużywają się nieproduktywnie, konstruując potworne

machiny zniszczenia”. Będąc na dziś ostatnim słowem nauki, nazajutrz stają się przestarzałe i trzeba je zastępować nowymi. System „zbrojeń *à l'outrance* zmienia zbrojny pokój w ciężkie brzemie, przygniatające wszystkie narody, a gdy taki stan będzie się przedłużać, doprowadzi nieuchronnie do kataklizmu, któremu miał zapobiec”. Powstrzymanie tej olbrzymiej rywalizacji jest obecnie najpilniejszym zadaniem.

Wezwanie z tego źródła przekraczało najśmielsze marzenia przyjaciół pokoju. „Będzie rozbrzmiewać po całej ziemi, jak najpiękniejsza muzyka”, pisała jedna z wiedeńskich gazet. W prasie całego kraju pojawiły się takie zwroty, jak „nowa epoka cywilizacji”, „świt nowej ery”, „omen dla nowego stulecia”. W Belgii nazwano manifest „prawdziwym wyzwoleniem”, aktem „olbrzymiej wagi”, którego autor przejdzie do historii jako „Mikołaj Pacyfistyczny”. W Nowym Jorku uważano, że jest to może początek „najdonioślejszego i najbardziej korzystnego w skutkach ruchu w historii współczesnej — zaiste w całej historii”. Rzym wysławiał, jeden z najważniejszych dokumentów, przynoszący zaszczyt stuleciu”, a Berlin witał „nowego ewangelistę nad brzegami Newy”, którego cel jest szlachetny i piękny w teorii, choć nieosiągalny w praktyce. Londyn wyraził humanitarną, lecz utopijną aprobatę — jedynie Kipling wystąpił ze strasliwym ostrzeżeniem. Narastał wtedy konflikt między Wielką Brytanią a Rosją przy północno-zachodniej granicy Indii i Kipling odpowiedział na manifest cara alegorycznym poematem *Niedźwiedź, który chodzi jak człowiek (The Bear that Walks like a Man)*, o człowieku okaleczonym i oślepionym, bo gdy niedźwiedź, na którego polował, stanął przed nim, jakby błagając, myśliwy, „poruszony litością i zdumieniem”, wstrzymał się od strzału tylko po to, by niedźwiedź rozpruł mu twarz „stalową łapą”.

*Gdy staje drżąc jak człowiek i gestem prosi o litość,
Gdy skrywa złość i chytryść swych małych, świńskich oczu,
A łapy, jak do modlitwy, w błagalnym ruchu składa,
To właśnie groźna chwila — chwila Rozejmu Niedźwiedzia!...*

Roilo się od podejrzeń co do motywów Rosji i od cynicznych domysłów. Stawiano sobie przede wszystkim pytanie, czy Rosja konsultowała się

uprzednio ze swoim sojusznikiem, Francją? Skoro rozbrojenie zakładało uznanie *status quo* i skoro Francja głośno krzyczała, że nie pogodziła się z utratą Alzacji i Lotaryngii, postępowanie jej sojusznika stanowiło, jak pisał „Times”, „najbardziej zadziwiającą zagadkę”. „*Et Alsace-Lorraine?*” sumował sprawę w jednym wierszu „l'Intransigeant”. Wielu ludzi wiedziało jednak, że w okresie, kiedy „nieznośne pretensje i bezgraniczne ambicje” anglosaskiego imperializmu działają wszystkim na nerwy i kiedy utrzymywanie pokoju staje się w coraz większym stopniu „cudem równowagi”, propozycja konferencji przyszła w samą porę.

Każda grupa widziała odbitą w manifeście cara, jak w magicznym zwierciadle, twarz swojego osobistego przeciwnika. Dla Niemiec było jasne, że jeśli Anglia nie zgodzi się na rozbrojenie marynarki, gest cara równać się będzie „uderzeniu mieczem w wodę”; w kilka dni później kajzer wypowiedział zdanie swojej maksymy: „Nasza przyszłość leży na oceanie”. Morskie ambicje Niemiec stanowiły największy problem Brytyjczyków. Socjaliści we wszystkich krajach, znając okrucieństwa carskiego ucisku, zdawali sobie sprawę, że jakiegokolwiek były motywy Rosji, nie kierowała się ona na pewno miłością do ludzkości. Niemiecki socjalista Wilhelm Liebknecht określił wezwanie cara jako „oszustwo”. Wielu orędowników pokoju uważało manifest za odzew na wojnę hiszpańsko-amerykańską, która wydawała się preludium do katastrofy światowej. Po zajęciu przez Amerykanów Filipin wśród Europejczyków coraz częściej pojawiało się przekonanie, że należy poskromić amerykańską ekspansję. Sami Amerykanie chętnie godzili się z myślą, że car działał pod wrażeniem ich zwycięstwa nad Hiszpanią. Przemawiając w imieniu antyimperialistów Godkin stwierdził ze smutkiem, że „wspaniałe wezwanie” nadeszło w okresie, kiedy Stany Zjednoczone bardziej niż kiedykolwiek w historii ogarnięte zostały „duchem militarystyki i ideą podboju dokonanego przemocą”.

Motyw Rosji nadal pozostawał zagadką. Wielu skłaniało się do przypuszczenia, że Mikołaj działał nie tyle ze względów humanitarnych, ile z bardzo ludzkiego pragnienia ubiegnięcia kajzera, krążyła bowiem pogłoska, że kajzer planuje podobną proklamację *urbi et orbi* podczas zbliżającej się wizyty w Jerozolimie.

Wkrótce samobójstwo pułkownika Henry'ego w sprawie Dreyfusa pochłonęło całą uwagę publiczną, a w dziesięć dni później wstrząsnęło

światem zamordowanie cesarzowej Elżbiety przez anarchistę. Ameryka zaabsorbowana była witaniami w ojczyźnie pułków wracających z Kuby, a Brytyjczycy marszem Kitchenera na Chartum. We wrześniu perspektywa wojny między Anglią a Francją zaciemniała horyzont; Faszoda, jak z radością zauważył niemiecki ambasador, zaćmiła pamięć Alsace-Lorraine. Wezwanie do pokoju przestało już wzbudzać sensację.

Nie zapomnieli o nim jednak wierni orędownicy ruchu pokoju w Europie i w Ameryce, których zelektryzowało wezwanie cara. Do najbardziej znanych należała baronowa Bertha von Suttner, autorka antywojennej powieści *Precz z orężem (Die Waffen nieder)*, którą Tołstoj porównał pod względem znaczenia dla sprawy z *Chatą wuja Toma*. Kiedy mąż baronowej przyszedł do domu powiewając gazetą, ogarnęła ją taka radość jak Emmę Goldman na wiadomość o Homestead. Wkrótce zaczęły napływać w wielkiej ilości listy z gratulacjami od współtowarzyszy z Międzynarodowego Biura Pokoju, z Unii Międzyparlamentarnej, ze Stowarzyszenia Pokoju i Arbitrażu. „Cokolwiek z tego wyniknie — pisał Björnstjerne Björnson — od tej chwili powietrze pulsuje myślami o pokoju”. Największą żarliwość wykazywała baronowa, z domu hrabianka Kinsky, urodzona w 1843 roku w podupadającej arystokratycznej rodzinie austriackiej. Zbyt rozsądna i energiczna, aby poddać się dystyngowanemu uwiądowi, mając trzydzieści lat objęła posadę guwemantki-towarzyszki córek w rodzinie von Suttnerów i wznieciła płomienną, odwzajemnioną namiętność syna i dziedzica, o osiem lat młodszego od niej. Nie miała jednak posagu, rozstali się więc z germańską udręką. „Kłęczał przede mną i z pokorą całował kraj mojej sukni: «Niezrównana, królewsko wielkoduszna kobieto, twoja miłość nauczyła mnie szczęścia, które uświęci moje życie. Żegnaj!»” Właśnie wtedy znalazła się droga wyjścia dzięki ogłoszeniu w gazecie, zamieszczonemu przez „bardzo bogatego, kulturalnego starszego pana, mieszkającego w Paryżu”, który szukał dojrzałej, wykształconej pani na sekretarkę i gospodynię; hrabianka znalazła dla siebie zajęcie u wynalazcy dynamitu, Alfreda Nobla.

Dziwak, idealista, nie pozbawiony ironii, i pesymista, nieśmiały, melancholijny, niemal odludek, choć przecież nie stary przy swoich czterdziestu trzech latach, Nobel zarobił miliony na produkcji środków wybuchowych. Implikacje tego faktu niepokoiły go głęboko. Potrzeba mu było, jak się zdaje, nie tyle sekretarki, co kogoś, kto by go słuchał. „Chciałbym — powiedział do swej nowej pracowniczki — móc

wyprodukować substancję lub maszynę o tak straszliwej sile niszczycielskiej, żeby wojny stały się przez to niemożliwe”. Mimo sympatii od pierwszej chwili i „dużego zadowolenia intelektualnego” z jego towarzystwa, a także mimo delikatnej wzmianki o czymś więcej, damę ogarnęła tęsknota, odeszła po tygodniu, pofrunęła z powrotem w ramiona swego wielbiciela i uciekła z nim. Po dwunastu latach małżeństwa i kariery literackiej odkryła — jak objawienie — Międzynarodowe Stowarzyszenie Pokoju i Arbitrażu w Londynie. Stowarzyszenie to stwierdzało w swojej deklaracji, że teraz, pod koniec dziewiętnastego wieku, nadszedł czas, aby wszyscy ludzie porozumieli się i uzgodnili ze sobą pokojowe załatwianie sporów bez wojny. Berta von Suttner natychmiast zapaliła się do sprawy i przystąpiła do organizowania oddziałów stowarzyszenia w Wiedniu i w Berlinie. W 1891 roku jej wysiłki, propagowane przez „Neue Freie Presse”, dały pomyślne rezultaty w Wiedniu, a manifest wydany w tej sprawie wyraził ideały orędowników pokoju na całym świecie. Wierzyli oni, że nowa wojna jest niemożliwa z moralnego punktu widzenia, ponieważ „ludzie wyzbyli się częściowo swego dawnego barbarzyństwa i lekceważenia życia”, a z materialnego punktu widzenia, ponieważ broń stała się zbyt destruktywna. Wierzyli, że masy, choć wciąż jeszcze nieme, tęsknią za pokojem. Wszystkie rządy twierdzą wprawdzie z uporem, że nie wolno dopuścić do wojny, lecz równocześnie zwiększają zbrojenia, żeby się na nią przygotować; ta „potworna sprzeczność” musi się skończyć.

Unia Międzyparlamentarna, utworzona w Paryżu w 1888 i skupiająca dla sprawy pokoju członków różnych parlamentów krajowych, odbywała teraz swoje kongresy co rok w innej stolicy. W Stanach Zjednoczonych Światowa Unia Pokoju podawała jako swoje główne cele stopniowe rozbrojenie i Stały Sąd Arbitrażowy. Ruch arbitrażowy, wywodzący się z genewskiego rozstrzygnięcia tzw. sporu w sprawie Alabamy między Stanami Zjednoczonymi a Wielką Brytanią, występował szczególnie silnie w tych dwóch krajach. Miał on na celu zastąpienie wojny rozstrzygnięciem sądowym. Zwolennicy tego ruchu uważali, że jeśli będzie można wprowadzić wykonalną procedurę, najpierw w formie traktatu międzynarodowego, i jeśli równocześnie wykaże się, że wojna będzie tak destrukcyjna, że aż „niemożliwa”, ludzie w końcu zgodzą się na sąd raczej niż na walkę. Pogląd ten opierał się na założeniu, że człowiek jest istotą rozumną i że wojny wynikają ze sporów dających się załatwić innymi środkami. Panowała wówczas wiara tak w moralny, jak w materialny postęp i nikomu nie

przychodziło na myśl, że wojna przypomina raczej starcie sił takich, jak siły wiatru.

Nobel był gorącym zwolennikiem arbitrażu, ale nie rozbrojenia, bo uważał je za postulat chwilowo bezsensowny. Nakłaniał do ustanowienia trybunału i do uzgodnienia przez narody jednorocznego okresu rozejmu dla załatwienia każdego sporu. Zjawił się osobiście, choć *incognito*, na kongresie pokojowym w Bemie w 1892 roku i powiedział Bercie von Suttner, że jeśli potrafi go natchnąć, przekonać, zrobi coś wielkiego dla sprawy. Iskra przyjaźni między tym dwojgiem nie wygasła przez lata dzięki korespondencji i sporadycznym wizytom; teraz napisał do niej, że nadchodzi, jak się zdaje, nowa era przemocy, „słysząc już w oddali jej głuchy warkot”. W dwa miesiące później napisał znów: „Chciałbym przeznaczyć mój majątek na fundowanie nagrody przyznawanej co pięć lat” osobie, która przyczyniła się najsukuteczniej do utrzymania pokoju w Europie. Sądził, że nagroda skończy się po sześciokrotnym jej przyznaniu, „bo jeśli nie uda się zreformować społeczeństwa w przeciągu trzydziestu lat, popadniemy nieuchronnie w barbarzyństwo”. Nobel rozmyślał nad tym planem i zrealizował go w testamencie, sporządzonym w 1895 roku, w którym udzielił ludzkości nieco dłuższego terminu; zmarł w następnym roku.

Sprawa arbitrażu omal nie zatriumfowała w styczniu 1897, kiedy Wielka Brytania i Stany Zjednoczone podpisały traktat, wynegocjowany przez sekretarza stanu Olneya i brytyjskiego ambasadora sir Juliana Pauncefote'a, w sprawie uregulowania wszystkich sporów z wyjątkiem terytorialnych, nie wygasła bowiem jeszcze pamięć o Wenezueli. Senat, urażony zamachem na swoją władzę w sprawach zagranicznych, większością trzech głosów odmówił ratyfikacji tego traktatu. Porażka ta wydała się klęską, jak powiedział Olney, „nie tylko w skali krajowej, lecz w światowej”. Zachwiała powszechną wiarę w moralny postęp człowieka.

Z wiary tej, podsycanej przez ostatnie dziesięć czy piętnaście lat przez oznaki wszechstronnego postępu społecznego, zrodził się ruch pokoju. Cudowny rozwój nauki doprowadził ludzkość do stadium dobrobytu materialnego i teraz mogłaby znaleźć potwierdzenie wiara dziewiętnastego stulecia, że im człowiekowi będzie lepiej, tym mniej będzie agresywny. Społeczeństwo miało bieżącą wodę, oświetlone ulice, urządzenia sanitarne, konserwowane i mrożone środki żywności, maszyny do szycia, do prania, do pisania, do strzyżenia trawników, gramofon, telegram i telefon, a ostatnio,

począwszy od lat dziewięćdziesiątych, nadzwyczajną możliwość poruszania się w bezkonnym pojeździe z własnym napędem. Wydawało się nieprawdopodobne, aby tyle materialnych korzyści nie wywołało duchowej zmiany, aby nowy wiek nie rozpoczął nowej ery także w ludzkim zachowaniu; krótko mówiąc, wydawało się, że człowiek ucywilizował się na tyle, aby nie chcieć wojny. Rozwój nauki wywołał przekonanie, że wszystkie zjawiska podlegają prawom i pewnikom, a jeśli można zrozumieć i kontrolować fizyczny świat człowieka, dlaczegoż nie można by kontrolować również jego stosunków społecznych? „Przeznaczeniem stosunków społecznych jest, że staną się inne „, pisała z przekonaniem baronowa von Suttner. Zgadzała się z tym i młodsza generacja. „W 1898 roku byliśmy szczerze przekonani, że skończyła się era wojen — pisał francuski intelektualista, Julien Benda, który miał wtedy trzydzieści jeden lat. — Przez piętnaście lat, od 1890 do 1905, ludzie mojego pokolenia naprawdę wierzyli w pokój światowy”.

Wiara ta pobudzała ruch pokojowy, ale pobudzał go też strach, strach przed nieokiełznaną siłą wieku maszyn. Wielki przepływ energii mechanicznej, zaskakujące nowe techniki i narzędzia, nowe wynalazki, następujące jeden po drugim, fantastyczne możliwości energii elektrycznej wywoływały niepokojące uczucie, że człowiek zgromadził w swoich rękach więcej sił, niż może opanować; sił, które mogą się wymknąć spod kontroli i zniszczyć go, jeśli nie nałoży im się tamy. W roku 1820 świat dysponował 778 tonami metrycznymi energii mechanicznej, wyrażonej w węglu jako ekwiwalencie paliwa mineralnego i siły wodnej, a w roku 1898 ilość tej energii wzrosła do 15 000 000 ton metrycznych. Zwiększyła się proporcjonalnie produktywność człowieka. Kraje stawały się coraz większe i silniejsze. Dzięki rozwojowi medycyny i higieny znacznie spadła śmiertelność, wskutek czego od 1870 roku ludność Europy wzrosła o 100 000 000, to jest o tyle, ile wynosiła cała liczba jej ludności w roku 1650. W tym samym okresie Wielka Brytania zdobyła 4 700 000 mil kwadratowych terytorium, Francja 3 600 000, Niemcy 1 000 000, a Belgia 900 000, czyli siedemdziesiąt siedem razy więcej, niż wynosił jej własny obszar. W Stanach Zjednoczonych w tym czasie ludność wzrosła więcej niż dwukrotnie, a produkcja przemysłowa na głowę czterokrotnie. Zyski Carnegie Steel zwiększyły się z 6 000 000 dolarów w 1896 roku do 40 000 000 dolarów w 1900. Nowy napęd o pierwszorzędym znaczeniu, motor spalinowy, pojawił się po maszynie parowej i powołał do życia przemysł naftowy. Turbina

parowa i motor Diesla zwiększyły moce napędowe. Energia hydroelektryczna pulsowała w tysiącach dynamomaszyn. Statki parowe zwiększyły swój tonaż, szybkość i pojemność. Stal, kluczowy produkt stulecia, rozpowszechniła się gwałtownie dzięki wynalazkowi gruszki Bessemera, znajdując zastosowanie w nowych produktach i technikach. Względny wskaźnik wynalazczości osiągnął w latach dziewięćdziesiątych najwyższy punkt w historii. Rozwinęła się produkcja aluminium i innych stopów metali lekkich. Przemysł chemiczny wytworzył nowe materiały i procesy. We wszystkich krajach przemysłowych zaczęto wprowadzać produkcję masową, z zastosowaniem wymieniających części, zwaną „systemem amerykańskim”. Dynamit jako materiał wybuchowy umożliwił prace górnicze na wielką skalę w kamieniołomach i szybach kopalnianych oraz gigantyczne konstrukcje, jak tunel kolejowy Simplon i Kanał Panamski. Produkcja dynamitu zwiększyła się z 11 ton w roku 1867, kiedy Nobel po raz pierwszy wypuścił go na rynek, do 65 500 ton w 1897. Wielki biznes, konieczny dla finansowania ciężkiego przemysłu, utworzył kartele i trusty dysponujące dużymi zasobami finansowymi.

Wynalazek dynamitu miał jednak największe znaczenie dla zbrojeń. Przyrost ludności pozwolił na tworzenie dużych stałych armii. Za przykładem Niemiec wszystkie mocarstwa kontynentalne wprowadziły po 1871 roku pobór do wojska. Uzbrojenie wyekwipowanie wielkich armii wymagało wysiłków masowego przemysłu; spółki zbrojeniowe gromadziły pod swoją kontrolą surowce, kopalnie, huty i transport. Rynki i zyski stały się prawie nieograniczone i reagowały na bodźce z gwałtowną siłą. W ciągu dziesięciolecia, od połowy lat osiemdziesiątych do połowy dziewięćdziesiątych, wojna lądowa została zrewolucjonizowana przez wprowadzenie karabinu małego kalibru z magazynkiem, ulepszonych karabinów maszynowych Maxima i prochu bezdymnego. To wszystko razem zwiększyło pięciokrotnie lub więcej zasięg, szybkość i dokładność siły ognia, zmieniając tym samym charakter walki. Piechota, która pod Waterloo wystrzeliwała trzy serie na minutę, mogła teraz wystrzelić szesnaście serii na minutę. Mały kaliber przedłużał tor pocisku i zwiększał celność. Wprowadzenie automatycznego odrzutu do armat polowych zwiększyło także tempo ognia artyleryjskiego. Przede wszystkim zaś proch bezdymny, opatentowany przez Nobla między rokiem 1887 a 1891, rozjaśnił i rozszerzył pole bitwy. Oczyścił pole widzenia, pozwolił na ukrycie armat, przyspieszył ładowanie, zwiększył zasięg i celność artylerii z tysiąca do pięciu lub sześciu

tysięcy jardów. Walka mogła się teraz rozciągać na dużych przestrzeniach i armia mogła znaleźć się w zasięgu ognia, zanim ujrzała nieprzyjaciela. Choć nie zdawano sobie z tego w pełni sprawy, powstały warunki dla przewagi artylerii nad karabinem. Podobnie torpedy i miny rozszerzyły zasięg wojny morskiej, a prowadzone eksperymenty zapowiadały pojawienie się straszliwych łodzi podwodnych.

Energia przepływająca przez tętnice świata wzbudzała dumę niektórych ludzi, inni bali się tego i podobnie jak Ibsen, mieli wrażenie, że „płyniemy z trupem w ładowni” Pragnienie, aby narody zebrały się i podjęły jakiś wspólny wysiłek nałożenia hamulca, stawało się coraz potężniejsze, aż zabrzmiało tak silnie, że lord Salisbury jako premier zwrócił na nie uwagę w 1897 roku. W przemówieniu wygłoszonym w tym roku w londyńskim Guildhall stwierdził, że — jeśli się temu nie zapobiegnie — gromadzenie broni i coroczne ulepszanie „narzędzi śmierci” doprowadzi do „prób wzajemnej zagłady, co może być zgubne dla cywilizacji chrześcijańskiej”. Nie wspominając o rozbrojeniu powiedział, że jedyna nadzieja zapobieżenia katastrofie leży w doprowadzeniu do porozumienia między mocarstwami, aby rozstrzygały swoje spory w przyjacielskim duchu i aby w końcu „zespoliły się w jakiś międzynarodowy organ”. Lord Salisbury, który nigdy nie należał do optymistów, nie posunął się tak daleko, aby zakładać, że wykluczy to wojnę na zawsze; ograniczył swoje nadzieje do „długiego okresu pomyślnego handlu i nieprzerwanego pokoju”.

Car nie był ani większym pacyfistą, ani większym idealistą niż lord Salisbury. W 1898 roku miał trzydzieści lat; ograniczony umysłowo, raczej tępy i bez wyobraźni, kierował się jedną tylko myślą: żeby rządzić bez umniejszania autokratycznej władzy odziedziczonej po przodkach. Swoje małostkowe poglądy zawdzięczał, jak twierdził Pobiedonoscew, naczelnemu prokuratorowi Świętego Synodu, „wpływowi licznych pokojówek otaczających jego matkę”. Wszystkie jego wysiłki zmierzały do jednego celu — uchronienia się przed konstytucją — toteż nie zostawało mu wiele politycznej energii i zainteresowania dla innych spraw. Odwrotnie niż krewki kajzer, który palił się do działania, ilekroć czytał jakąś depezę, car uważał sprawy światowe za wyczerpujące umysłowo. „Rzeczywiście, wiele dziwnych rzeczy dzieje się na świecie — pisał do swej matki w okresie podniecenia sprawą Faszody i wizyty kajzera w Jerozolimie. — Czyta się o nich i wzrusza ramionami”.

Propozycja konferencji pokojowej nie była jego własnym pomysłem. Powzięli ją, z pewnych względów praktycznych, ministrowie trzech kluczowych resortów — wojny, finansów i spraw zagranicznych — a genezę jej stanowił prosty fakt, że Rosja, opóźniona w wyścigu zbrojeń, nie mogła sobie pozwolić na dogonienie innych. Generał Aleksiej Kuropatkin, minister wojny, dowiedział się, że Austria, główny rywal Rosji, zamierza wprowadzić ulepszone, szybkostrzelne działo połowę, wypuszczające sześć serii na minutę, jakie posiadały już Niemcy i Francja. Rosjanie, których działo połowę wypuszczało jedną serię na minutę, nie mieli nadziei, że uda im się pokryć koszty zmiany uzbrojenia całej artylerii, ponieważ z wielkim wysiłkiem finansowym zmieniali uzbrojenie swojej piechoty. Jeśli dałoby się namówić Austriaków na uzgodnienie dziesięcioletniego moratorium na wprowadzenie nowych armat, obydwa kraje oszczędziłyby sobie tego wydatku — a dlaczegoż by nie? Bo czy obydwie strony się dozbroją, czy też obydwie zgodzą się nie dozbrajać, „w przypadku wojny między nimi ostateczny wynik byłby ten sam”.

Kuropatkin przedstawił swoją prostą, lecz wspaniałą ideę carowi, który nie miał co do niej żadnych zastrzeżeń, a następnie ministrowi spraw zagranicznych, hrabiemu Murawjowowi, ten zaś dla ostrożności skonsultował ją z ministrem finansów, hrabią Wittem. Witte, zdolny, energiczny i jak na carskiego ministra wyjątkowo pełen rozsądku, próbował wbrew siłom autokracji, inercji i erozji dopasować Rosję do współczesnego przemysłowego świata. Żałował każdego rubla wydanego na zbrojenia, traktował wojnę jako przeszkodę i uważał, że wyścig zbrojeń może stać się „przykrzejszy niż sama wojna”. Podkreślił jednak, że chińska filozofia Kuropatkina, polegająca na ugodzeniu się z góry z wrogiem, wymaga zaufania Austriakom, co jest niemożliwe, a ponadto byłoby szkodliwe, gdyż „odsłoniłoby tylko światu naszą słabość finansową”. Zaproponował zamiast tego międzynarodowe raczej niż bilateralne moratorium na nowe bronie. Rozwodził się przed Murawjowem na temat nieobliczalnych szkód, jakie wzrastający militarizm wyrządza światu, i nad tym, jakim dobrodziejstwem dla ludzkości byłoby ograniczenie zbrojeń. Te „raczej banalne myśli”, jak pisał później, były nowe dla Murawjowa i zrobiły na nim głębokie wrażenie. W przeciągu kilku dni zwołał naradę ministrów, aby rozważyć apel do mocarstw o zorganizowanie konferencji. Uzyskano zgodę cara. On i jego doradcy mieli przeświadczenie, że jeśli można by było zwolnić straszliwe tempo światowego postępu i zrobić coś, „co powstrzymałoby ludzi od

nowych wynalazków”, Rosja by na tym skorzystała.

Właśnie wtedy wydane zostało w Rosji frapujące sześciotomowe dzieło *Przyszłość wojny*. Witte znał autora, Iwana Blocha, i jego idee, choć trudno powiedzieć, czy miał na niego wpływ. Bloch, wychrzczony Żyd, był samoukiem; nie zadowolił się zrobieniem majątku przy kontraktacjach kolejowych, lecz pojechał za granicę, aby zdobyć na zagranicznych uniwersytetach wyższe wykształcenie w dziedzinie ekonomii i nauk politycznych. Po powrocie z Europy Zachodniej został w Warszawie potentatem w bankowości i kolejnictwie, przez co wszedł w kontakt z Wittem; ogłosił szereg uczonych prac dotyczących problemów przemysłowych i sanitarnych, nim przystąpił do poważniejszego dzieła, które zapewniło mu kącik w nieśmiertelności. Studia i doświadczenie w interesach wywoływały u niego coraz większą obawę, że wojna ograniczona, jak w przeszłości, nie jest już więcej możliwa. Skoro w drodze poboru można powołać pod broń cały naród, przyszłe wojny pochłoną — jak uważał — całą energię i wszystkie zasoby walczących państw, które nie mogą osiągnąć decydującego zwycięstwa na polu bitwy, będą walczyły dopóty, dopóki nie doprowadzą się wzajemnie do całkowitego wyniszczenia. Według Blocha wzajemna zależność w zakresie finansów, handlu zagranicznego, surowców i we wszystkich stosunkach handlowych doprowadzi do tego, że nie będzie można oddzielić zwycięzcy od zwyciężonego. Siła niszcząca współczesnych broni spowoduje masakrę znacznie większą niż dotychczas. Jednodniowa bitwa należy już do przeszłości. W czasie jednej wojny całe armie będą siedziały w okopach tygodniami i miesiącami, bitwy zamienią się w oblężenia, wciągnięta zostanie ludność cywilna. Żadne współczesne państwo nie będzie mogło osiągnąć zwycięstwa bez zniszczenia swoich zasobów i rozpadu społeczeństwa. Wojna stała się „niemożliwa, chyba że za cenę samobójstwa”

Takie wnioski zaprowadziły Blocha do ruchu pacyfistycznego (lub może kolejność była odwrotna). Chcąc przekonać społeczeństwo o niebezpieczeństwie, posłużył się argumentem bardziej przerażającym niż wojna — groźbą rewolucji społecznej. Jeśli stan obecny będzie się przedłużał, narody, jak twierdził, staną wobec groźby wyczerpania wyścigiem zbrojeń lub katastrofy wojny, a w obu przypadkach nastąpi „wstrząs w społecznym ładzie”. Trwonienie zasobów narodowych na bezpłodne produkty wywołuje wzrastający antymilitaryzm mas. Toteż

przygotowując wojnę rządy „przygotowują faktycznie triumf rewolucji społecznej”. Bloch sądził, że jeśliby udało się je o tym przekonać, byłyby bardziej skłonne znaleźć inne niż wojna środki dla rozwiązywania swoich sporów. W swoich sześciu tomach zgromadził masę faktów na temat ognia, blokady, frachtów i zdolności przewozowej, przeciętnej liczby ofiar i wszystkich czynników wojskowych i ekonomicznych po to, żeby wykazać słabość współczesnego państwa. Bloch, podobnie jak Marks, wyprowadzał z danego splotu okoliczności dogmat o nieuchronnym historycznym następstwie. Uważał, że wydatki na zbrojenia muszą „wyczerpać” naród, tak jak Marks uważał, że kapitalizm stopniowo zuboża proletariat. Ani Bloch, ani żaden z pacyfistycznych propagandzistów nie brali pod uwagę stopnia, w jakim przemysł zbrojeniowy i związane z nim przemysły stwarzają możliwości zatrudnienia.

Strach przed rewolucją był w Rosji argumentem skutecznym, toteż Bloch uzyskał audiencję u cara, a jego rozumowanie powtórzone zostało w manifestie napisanym przez Murawjowa. Minister spraw zagranicznych najwidoczniej zdawał sobie sprawę, jak bardzo jest przekonywające. Przekazując manifest ambasadorowi brytyjskiemu prosił, aby szczególnie podkreślił w swoim raporcie, że inicjatywa pokojowa Rosji wykaże „niezadowolonym i burzącym się klasom”, że potężne rządy solidaryzują się z ich pragnieniem, żeby bogactwa narodowe wykorzystywane były produktywnie, a nie w „zgubnym współzawodnictwie”. Ambasador odpowiedział uprzejmie, że „trudno pozostać nieczułym na szlachetne uczucia, które zainspirowały ten nadzwyczajny dokument”.

„To największy nonsens i bzdura, o jakiej słyszałem — pisał książkę Walii mniej uprzejmie do lady Warwick. Gdy coś go oburzyło, przybierał podobny ton jak jego matka. — To jest po prostu niemożliwe. Francja nigdy się na to nie zgodzi. Ani my”. Zdecydował, że to „jakaś nowa sztuczka tego szczwanego lisa” i „wyrafinowanego intryganta” Murawjowa, który „wbił ją carowi do głowy”. Taki pogląd reprezentowały na ogół rządy. Odnosząc się do propozycji z chłodną niechęcią, przyjęto zaproszenie — bo nikt nie chciał być tym, który je odrzuca — ale nie spodziewano się, że coś z tego wyniknie, oprócz kłopotów. Austriacki minister spraw zagranicznych powiedział, że utrudni to w przyszłości rządowi przedkładanie parlamentom nowych militarnych żądań.

Murawjow, nieco przygaszony, lecz stanowczy, wysłał w styczniu 1899

roku drugi list okólny z ośmiopunktowym porządkiem dziennym. W pierwszym punkcie proponował układ w sprawie niezwiększania sił zbrojnych i budżetów wojskowych przez ustalony okres, w ostatnim układ w sprawie zasady arbitrażu i opracowania procedury. Punkty 2, 3 i 4 dotyczyły zakazu lub ograniczenia nowych typów broni oraz przewidywanych sposobów prowadzenia wojny, takich jak łodzie podwodne, gazy duszące i „wypuszczanie pocisków z balonów”, na co nie istniało jeszcze specjalne określenie. Punkty 5, 6 i 7 dotyczyły praw i zwyczajów w wojnie lądowej oraz rozszerzenia postanowień genewskich z 1864 roku na wojnę morską. Orędownicy pokoju mieli za złe punkty 2-7, bo chcieli wykluczyć wojnę, a nie złagodzić ją. Podejrzewali, że wstawiono te punkty, aby pobudzić zainteresowanie i skłonić do udziału rządu i ich przedstawicieli wojskowych, co było zgodne z prawdą.

W kancelariach wrzało, dyplomatyczne torby pęczniały od depesz, ambasadorowie odwiedzali cudzoziemskich ministrów i w przepisowym menuecie konwersacyjnym usiłowali zbadać intencje rządu, przy którym byli akredytowani. Według jednego niemieckiego raportu lord Salisbury odnosił się „bardzo sceptycznie”, a cesarz Franciszek Józef zajmował „nieprzychylnie” stanowisko i uważał wszelkie ograniczenia rozwoju militarnego za „nie do przyjęcia”. W Rzymie markiz Viscontd-Venosta nie chciał zostać delegatem na konferencję, „która najprawdopodobniej nie osiągnie pożytecznych wyników”. Waszyngton zamierzał przysłać delegatów, lecz nie uczynić nic w kierunku ograniczenia zbrojeń. Belgia oczekiwała konferencji z „żalem i niepokojem” obawiając się, że każda zmiana reguł wojny umocni siły armii inwazyjnej lub ograniczy prawa do słusznej obrony przeciw inwazji. Reakcja Berlina wyraziła się zwiększeniem dotychczasowej armii o trzy nowe korpusy. Reakcje poszczególnych stolic niewiele różniły się od siebie: ograniczenie zbrojeń uważano za niepraktyczne, ograniczenie nowych środków za niepożądane, arbitraż w sprawach dotyczących „narodowego honoru i żywotnych interesów” za nie do przyjęcia, choć może wykonalny w sprawach mniejszej wagi. Sposób prowadzenia wojny mógł jednak stanowić przedmiot dyskusji.

W obawie, że gadanina podekscytowanych orędowników pokoju o rozbrojeniu spowodowała niezrozumienie jego propozycji, Murawjow odwiedził stolice Europy, aby wyjaśnić w bezpośrednich rozmowach, że Rosja pragnie jedynie ustalenia pułapu *status quo*. Wydawało się to takie

rozsądne. Mocarstwa mogą się nawet zgodzić, proponował, na powoływanie pod broń określonego procentu swojej ludności, co umożliwiłoby im znaczne zmniejszenie swoich armii „przy zachowaniu dotychczasowych szans”. „Idiota”, zanotował kajzer na marginesie owego memorandum.

Propozycja cara poruszyła najbardziej Wilhelma II, który identyfikował funkcje militarne z państwem i z sobą samym jako uosobieniem państwa. Białe płaszcze i błyszczący hełm, w jakich lubił pozować, barwy i połysk mundurów, galop kawalerii, panoplia pułkowych barw, różnorodny sprzęt artylerii, parafernalia korpusu oficerskiego i armii, a ostatnio wspaniała wizja potęgi na morzu, wszystko to stanowiło ścianki tego samego klejnotu — siły zbrojnej. Inne zagadnienia — Reichstag, partie polityczne, budżety, wybory — uważał za bardziej lub mniej nieznośne rzeczy uboczne, z wyjątkiem dyplomacji, którą właściwie rozumieli jedynie monarchowie, a którą stale partaczono na niższych szczeblach.

Kajzer wstąpił na tron w roku 1888 mając dwadzieścia dziewięć lat, po smutnym, krótkim, dziewięćdziesięciodniowym panowaniu swego ojca, kiedy to na chwilę zabłyśły w Niemczech liberalne rządy, aby zaraz zgasnąć. Pierwsza jego proklamacja po objęciu panowania nie była skierowana, jak ojca, „Do Mojego Ludu”, lecz „Do Mojej Armii”. Głosiła ona: „Ja i Armia należymy wzajem do siebie. Urodziliśmy się dla siebie”. Jakie powinowactwo miał na myśli, wyjaśnia rada udzielona kompanii młodych rekrutów: „Jeżeli wasz cesarz wam rozkaże, musicie strzelać do swego ojca i matki”. Jego poczucie osobistej odpowiedzialności za sprawy Niemiec wyrażało się w częstym używaniu w mowie zaimków „ja” i „my”. „Jest tylko jeden pan w Reichu i jestem nim ja, nie będę tolerował żadnego innego”. Albo w kilka lat później: „Nie ma żadnej równowagi sił w Europie, tylko ja — ja i moich dwadzieścia korpusów wojska”. Skłonny był jednak ustąpić trochę miejsca dla Wszechmogącego, który występował jako „dawny sprzymierzeniec mojej dynastii”. Ludzie potrząsali głowami słysząc takie uwagi i zastanawiali się, jak księżę Walii, „jak inaczej by wszystko wyglądało”, gdyby żył ojciec kajzera. Choć przemówienia jego siostrzeńca, wyjaśniał księżę, brzmią mniej absurdalnie w niemieckim języku niż przetłumaczone na angielski.

Kaiserin zauważyła, że jej mąż jest niezwykle zmartwiony nagłym wtargnięciem cara w domenę, którą uważał za własną; cara „Nicky'ego” zwykł był traktować protekcyjnie i udzielać mu rad w potocznych listach

po angielsku, podpisywanych „Willy”. Niezależnie od tego, czy planował podobne oświadczenie z Jerozolimy, poczuł się rzeczywiście dotknięty, ponieważ, jak powiedział jego przyjaciel hrabia Eulenburg, „po prostu nie może znieść, żeby ktoś inny wysunął się na przód sceny”.

Rozumiejąc na pierwszy rzut oka, że w propozycji chodzi o „ogólne rozbrojenie”, kajzer dostrzegł natychmiast jej skutki w kategoriach osobistych i wysłał szybko telegram do Nicky'ego. Robił mu wymówki pisząc, aby sobie wyobraził „monarchę, dowodzącego osobiście armią, jak rozwiązuje swoje pułki, uświęcone kilkunastoletnią historią... i oddaje swoje miasta w ręce anarchistów i demokracji”. Był jednak pewien, że car zyska uznanie za swoją humanitarną propozycję, „najbardziej interesującą i zadziwiającą w tym stuleciu! Od tej chwili cały świat będzie otaczał cię czciami, nawet gdyby praktyczna strona zawiodła ze względu na trudności w szczegółach realizacji”. Marginesy dalszej korespondencji upstrzył licznymi „Aha” i „!” oraz uwagami, od wnikliwych po wulgarne; pierwsza świadczyła o pewnej spostrzegawczości: „Dał świetną broń w ręce demokratów i opozycji”. W jednym miejscu porównał propozycję do orędzia Spartan proszących, aby Ateńczycy zgodzili się nie odbudowywać swoich murów, w innym miejscu nagryzmołił raczej trafne pytanie: „Czym zapłaci Krupp swoim robotnikom?”

Niemcy nie miały powodu, aby dążyć do pokoju, jak Rosja, bo nie znajdowały się w ciężkiej sytuacji. Ich przemysł nie był zacofany. Murawjow posłużył się jak najgorszym argumentem, wyjaśniając hrabiemu Eulenburgowi w Berlinie intencję rosyjskiej propozycji, a mianowicie że coroczne powiększanie zbrojeń doprowadzi narody do stanu *non possumus*. Słownik niemiecki nie znał wyrażenia *non possumus*. Niemcy rozpierała energia i kraj pęczniał od dobrobytu. Po zjednoczeniu w 1871 roku, osiągniętym przy pomocy miecza po dekadzie wojen, nadszedł w szybkim tempie dobrobyt, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych po wojnie domowej. Energia znalazła upust w rozwoju gospodarczym. Niemcy w latach dziewięćdziesiątych znajdowały się w pierwszej połowie dwudziestopięcioletniego okresu, w którym ich dochód narodowy podwoił się, ludność wzrosła o 50 procent, długość linii kolejowych o 50 procent, powstały nowe miasta, zdobyto kolonie, ukształtował się wielki przemysł, gromadziły się zyski z jego przedsiębiorstw, a z tym wszystkim łączył się wzrost zatrudnienia. Królestwo parowców Alberta Ballina zwiększyło w tym

czasie siedmiokrotnie swój tonaż, a kapitał dziesięciokrotnie. Emil Rathenau rozwinął przemysł elektryczny, który w ciągu dziesięciu lat zwiększył czterokrotnie liczbę swoich robotników. I. G. Farben wprowadziło barwniki anilinowe; w Zagłębiu Ruhry August Thyssen rządził królestwem węgla i stali. Nowy proces wytapiania umożliwił wykorzystanie fosforycznej rudy żelaza z Lotaryngii, wskutek czego produkcja węgla i stali w Niemczech wzrosła czterokrotnie od roku 1871 i obecnie przewyższała produkcję Wielkiej Brytanii. Dochód narodowy Niemiec podwoił się w tym okresie, choć utrzymywał się wciąż na poziomie niższym od brytyjskiego i licząc na głowę wynosił tylko dwie trzecie tego ostatniego. Niemieckie domy bankowe otwierały swe oddziały na całym świecie, a niemieccy kupcy sprzedawali niemieckie towary od Meksyku po Bagdad.

Niemieckie uniwersytety i szkoły techniczne należały do najbardziej podziwianych, metody niemieckie uważano za najdokładniejsze, a niemieckich filozofów za najpoważniejszych. Niemiecka nauka chełpiła się nazwiskami Kocha, Ehrlicha i Roentgena, choć jego odkrycie promieni X w 1895 roku było w takim samym stopniu produktem jego epoki, co jego kraju, gdyż w latach 1897-99 J. J. Thomson odkrył w Anglii elektron, a małżeństwo Curie we Francji emitowanie energii przez radioaktywność. Niemieccy profesorowie wykładali o niemieckich ideałach i o niemieckiej kulturze, m. in. Kuno Francke w Harvardzie przedstawiał Niemcy jako pulsujące „płomiennym ożywieniem i natężoną aktywnością na każdym polu narodowych aspiracji”. Z trudem powstrzymywał swoje uwielbienie dla tak wzniosłego widowiska: „Zdrowie, siła, porządek biją w oczy na każdej mili kwadratowej niemieckiej ziemi”. Każdy turysta musi pozostawać pod wrażeniem „tych kwitnących, dobrze utrzymanych farm i posiadłości ziemskich, tych prosperujących wsi, tych troskliwie uzupełnianych lasów... tych rozrastających się miast, rojących się od dobrze odżywionej i dobrze wychowanej ludności... z wyniosłymi ratuszami i majestatycznymi sądami, z wznoszącymi się wszędzie teatrami i muzeami, ze znakomitą komunikacją, z wzorowymi urządzeniami dla zdrowego wypoczynku i zabawy, z poważnymi uniwersytetami i politechnikami”. Dobrze wychowana ludność charakteryzowała się „porządnym prowadzeniem zebrań politycznych, spokojną stanowczością i efektywnym organizowaniem klas pracujących w ich walce o poprawę warunków socjalnych”, a także „pełną szacunku i uwagi postawą wobec wszelkich form sztuki”. Królowała nad tym „wspaniała armia, odznaczająca się znakomitą dyscypliną i wysokim poziomem

zawodowego kierownictwa”, a wszystko to razem dawało dowód „cudownie zorganizowanego kolektywnego dążenia do wyższych form egzystencji narodowej”. Jak widać, taki nastrój nie sprzyjał uleganiu propozycjom samoograniczeń.

Historycy niemieccy, wyjaśniając ten cudowny rozkwit narodu, wykazywali, że to miecz doprowadził do wielkości Niemiec. W swojej *Historii Niemiec w dziewiętnastym wieku*, obejmującej w pięciu tomach i kilku tysiącach stron piętnastoletni okres po roku 1880, Treitschke głosił supremację państwa, którego politycznym narzędziem jest wojna i które ma nienaruszalne prawo do prowadzenia wojny w imię honoru lub interesów narodowych. Armia niemiecka stanowiła widome wcielenie doktryny Treitschkego. Z każdym rokiem wzrastał jej autorytet i prestiż, jej oficerowie odznaczali się niesłychaną arogancją, stali ponad prawem i wzbudzali u ludności niemal zabobonne uwielbienie. Każda osoba oskarżona o znieważenie oficera mogła być sądzona za występki pośredniego *lèse majesté*. Niemieckie damy schodziły z chodnika, żeby przepuścić oficera.

W 1891 roku założona została Liga Pangermańska — Alldeutscher Verband — której celem było zjednoczenie wszystkich ludzi rasy germańskiej, niezależnie od miejsca zamieszkania, w jednym germańskim państwie. Jego rdzeniem miały być Wielkie Niemcy, obejmujące Belgię, Luksemburg, Szwajcarię, Austro-Węgry, Polskę, Rumunię i Serbię; po osiągnięciu pierwszego stadium państwo to miało rozszerzyć swe panowanie na cały świat. Liga rozprowadzała plakaty do umieszczenia na wystawach sklepowych z napisem:

Dem Deutschen gehört die Welt („Świat należy do Niemców”). Określając cele Ligi jej założyciel Ernst Hasse oświadczył po prostu: „Potrzeba nam terytorium, nawet jeśli należy do cudzoziemców, tak abyśmy mogli ukształtować przyszłość odpowiednio do naszych potrzeb”. Jego ziomkowie czuli się zdolni do wykonania tego zadania.

Każda walka między narodami, jak wojna chińsko-japońska w 1895 roku lub wojna hiszpańsko-amerykańska, wzbudzała u Niemców silne pragnienie wmieszania się do niej. Admirał von Diederichs, dowodzący Niemiecką Eskadrą Pacyfiku w Zatoce Manili, szykował się do szybkiego zagrabienia Filipin i wycofał się dopiero, gdy admirał Dewey ryknął z zaczerwienioną twarzą: „Jeśli wasz admirał chce walki, może mieć ją natychmiast! „ — co

poparte zostało cichymi, lecz widocznymi ruchami eskadry brytyjskiej. „Dla niemieckiego umysłu monstrualna jest myśl — komentował sekretarz stanu Hay — że gdzieś toczy się wojna, a oni nie mogą z niej skorzystać”. Dewey, ze zrozumiałych względów, uważał, że są „źle wychowani”. „Są zbyt pewni siebie i ambitni — powiedział — przeholują któregoś dnia”.

Na czele niemieckiego państwa stał rząd z natury zmienny. Ministrowie nie byli zależni od Parlamentu, sprawowali swe funkcje z woli panującego, który o członkach Reichstagu mówił „baranie głowy”. Stanowiska rządowe należały wyłącznie do arystokracji, a warunek kariery politycznej stanowiło bezwarunkowe akceptowanie zasad partii konserwatywnej, wobec czego dla nowych talentów drzwi były zamknięte. „Nawet najłagodniejszy liberał — żalił się wydawca „Berliner Tageblatt” — nie ma żadnej szansy na osiągnięcie nieco wybitniejszego stanowiska”.

Po odprawieniu Bismarcka przez kajzera w 1890 roku żaden człowiek odznaczający się żywą inteligencją twórczą nie zajmował ważniejszej pozycji. Książę Chlodwig zu Hohenlohe-Schillingsfürst, ojcowski, o delikatnym obejściu Bawarczyk, mianowany został kanclerzem dlatego, że przynosił taką ulgę po Bismarcku. Mówiono, że jego dewizą było: „Zawsze nosić porządny czarny surdut i trzymać język za zębami”. Minister spraw zagranicznych, hrabia Bernhard von Bülow, elegancki dżentelmen, niezwykle uprzejmy i zarozumiały, odznaczał się układnymi manierami w rozmowie i korespondencji; miało się wrażenie, że stale pociera ręce, jak handlarz dywanów. Robił zwykle notatki na mankietach koszuli z obawy, aby nie zapomnieć najdrobniejszego życzenia Jego Królewskiej Mości. Pragnąc naśladować swobodne zachowanie Balfoura w Parlamencie ćwiczył to przed lustrem w łazience, trzymając się za kłapy surduta, pod okiem pewnego attache z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. „Patrz — szeptał w Reichstagu świadomy rzeczy obserwator, kiedy Bülow wstawał, aby przemawiać — teraz zaczyna się scena z kłapami”.

W cieniu za Bülowem polityką zagraniczną kierował niewidzialny Holstein jako szara eminencja na wzór dworów bizantyjskich. Uważał całą dyplomację za spisek, wszystkie zabiegi rządów zagranicznych za ukryty podstęp i w sprawach zagranicznych opierał się na założeniu, że wszyscy żywią niechęć do Niemiec. W interesie wielkiego mocarstwa, wyjaśnił Bulowowi, nie leży konieczne utrzymanie pokoju, „lecz raczej ujarzmienie swoich wrogów i rywali”. Dlatego „musimy podejrzewać”, że celem Rosji

było „raczej osiągnięcie potęgi niż pokoju”. Bulów się zgodził. Jego instrukcje dla przedstawicieli dyplomatycznych za granicą mówiły o pułapkach i spiskach i traktowały program Murawjowa, jakby to był kosz pełen węzów. Byłoby pożądane, pisał do swego ambasadora w Londynie, „aby ta idea pokoju i rozbrojenia... została przekreślona wskutek zastrzeżeń Anglii bez naszego pojawienia się na widowni”, i wyraził nadzieję, że ambasador pokieruje odpowiednio wymianą poglądów z panem Balfourem.

Balfour, pełniący obowiązki ministra spraw zagranicznych w gabinecie lorda Salisbury, nie nadawał się bynajmniej na ofiarę manipulacji Bülowa. Rząd brytyjski, choć zapatrywał się sceptycznie na wyniki konferencji międzynarodowej, nie czuł się przez nią zagrożony, jak Niemcy, i nie chciał przyjmować na siebie całego odium za jej zaprzepaszczenie. Ponadto nie można było w Anglii zlekceważyć powszechnego entuzjazmu. W ciągu czterech miesięcy po manifeście cara Ministerstwo Spraw Zagranicznych otrzymało od różnych grup obywateli ponad 750 rezolucji witających z zadowoleniem ideę konferencji międzynarodowej i wyrażających „głęboką nadzieję”, jak to sformułowano w jednej z nich, że rząd Jej Królewskiej Mości będzie się starał zapewnić jej sukces, „tak aby coś realnego z tego wynikło”. Rezolucje wpływały nie tylko od istniejących stowarzyszeń pokojowych i kongregacji religijnych, ale także z wieców w miastach i hrabstwach, od okręgowych zarządów wiejskich, od rad okręgowych, podpisane przez burmistrza, opatrzone pieczęcią urzędową, wysyłane przez namiestnika królewskiego. Niektóre nie wpływały od organów oficjalnych, lecz po prostu od „ludności Bedford”, od „mieszkańców Rotherhead” lub od „zebrania publicznego w Bath”. Wiele rezolucji wysyłały lokalne komitety Partii Liberalnej. Rzucił się natomiast w oczy brak rezolucji od grup konserwatywnych i kongregacji Kościoła anglikańskiego. Reprezentowane były wszystkie sekty nonkonformistyczne: baptyści, metodyści, kongregacjoniści, nonkonformiści walijscy, ewangelicy irlandzcy. Stowarzyszenie kwaków zebrało petycje podpisane łącznie przez 16 000 osób. Wśród sygnatariuszy znajdowało się Brytyjskie Krajowe Kobiety Towarzystwo Wstrzeźliwości, Izba Handlowa w Manchesterze, Zachodnioszkockie Stowarzyszenie Pokoju i Arbitrażu, Liga Filantropijna, Oksfordzkie Liberalne Stowarzyszenie Kobiet, Główna Rada Dysydentów Protestanckich, burmistrz Leicester, Lord Mayor Sheffield, urzędnik magistracki z Poole.

Oprawione tomy rezolucji, poznaczone niewyraźnym „S”, wskazywały, że lord Salisbury pilnie śledzi opinię publiczną. Delegacja Międzynarodowej Krucjaty Pokoju, z hrabią Aberdeen i biskupem Londynu na czele, odwiedziła Balfoura, który przywitał gości pięknym przemówieniem, wyrażając „optymistyczny pogląd na ograniczenie, nie powiem na zniesienie, ale na ograniczenie wojny w przyszłości i zaznaczył, że oczekuje zbliżającej się konferencji jako „wielkiego, przełomowego wydarzenia w drodze ludzkości do postępu”, bez względu na to, dodał, czy przyniesie jakieś praktyczne wyniki. Nie wyglądało to zupełnie tak, jak spodziewał się Bulów.

Postacią charakterystyczną dla ruchu pokoju był William T. Stead, założyciel i wydawca „Review of Reviews”, najbardziej porywczy i najbardziej płodny dziennikarz okresu obfitującego w ten gatunek. Stead potrafił wylewać strumienie entuzjazmu w słusznych sprawach. Cechowała go niewyczerpana energia, bezgraniczny optymizm i gigantyczny egotyzm. Uważając się za papieża dziennikarstwa, zarejestrował swój adres telegraficzny jako „Watykan, Londyn”. W latach osiemdziesiątych wydawał liberalny dziennik „Pall Mall Gazette”; pojawiały się tam ostre wystąpienia, co zyskiwało pismu czytelników w kołach politycznych. „Jest pan zbyt zacięty, zbyt jednostronnie zacięty”, orzekł książę Walii, który regularnie czytał to pismo. Stead zapuszczał się w zuchwałe krucjaty, począwszy od ochrony prostytutek aż po „rozsądny imperializm”. Prowadził kampanie przeciw okrucieństwom popełnionym w Bułgarii, przeciw życiu skazańców na Syberii, przeciw dezercji generała Gordona pod Chartumem, przeciw niewolnictwu w Kongo, przeciw robotniczym ofiarom „Krwawej Niedzieli” na Trafalgar Square albo też kampanię za adopcją niemowląt, za wiejskimi bibliotekami, za esperantem, za międzynarodowym porozumieniem uczonych i za mieszkaniem dla ubogich. Największy rozgłos zyskał opublikowany pod tytułem *Dziewiczy haracz współczesnego Babilonu (The Maiden Tribute of Modern Babylon)* opis nabycia przez niego samego trzynastoletniej dziewczynki za cenę 5 funtów; miało to udratyzować sprawę stręczenia do nierządu młodzieńskich dziewic. Artykuł wywołał sensację światową i spowodował nie tylko proces i uwięzienie Steada pod zarzutem uprowadzenia, lecz także wprowadzenie poprawki podwyższającej granice pełnoletności z trzynastu do szesnastu lat.

W 1889 roku Stead odwiedził Rosję, gdzie przeprowadził wywiad z Aleksandrem II, i stał się orędownikiem anglo-rosyjskiego przymierza, a tym

samym wszystkim, co rosyjskie. Za przykładem swego przyjaciela admirała Fishera prowadził kampanię o powiększenie floty; pracował razem z generałem Boothem nad książką *W mrocznej Anglii (In Darkest England)*; poparł Cecila Rhodesa w sprawie Federacji Imperium i unii anglojęzycznego świata. Po wizycie w Chicago postanowił uzdrowić to miasto: odsłonił wszystko, co w nim złego, i nakreślił plan jego odnowy w książce pod tytułem *Gdyby Chrystus przybył do Chicago (If Christ Came to Chicago)*; w celu zrealizowania tego projektu zorganizował Federację Obywatelską, w której skład wchodził przywódcy robotników i Mrs. Potter Palmer. W czasie pobytu tam rozmawiał z gubernatorem Altgeldem i poprosił do siebie na trybunę mówcy jednego z ułaskawionych anarchistów, Fieldena.

Wszystkie sprawy, w jakich występował, łączyło przekonanie o obowiązku naprawienia społeczeństwa i rozszerzenia brytyjskich wpływów. Chętnie używał powiedzenia „Anglik Pana Boga” i wyobrażał sobie tę postać jako kogoś naprawiającego zło; uważał za słuszne wszystko, co umacniało jej potęgę. Zdarzało mu się czasem, że w tej samej sprawie stawał raz po jednej, raz po drugiej stronie, jak na przykład w przypadku ograniczenia zbrojeń i wielkiej floty. Posądzano go dlatego o nieszczerłość, choć w rzeczywistości był szczery, ale chwiejny.

W 1890 roku założył własne pismo, miesięcznik „Review of Reviews”; miał on być czytany wszędzie na świecie, gdzie mówią po angielsku, „jak ludzie zwykli czytać swoją Biblię... by poznać wolę Boga i swoje obowiązki wobec bliźniego”. Przekonawszy się, że miesięcznik nie jest najodpowiedniejszym organem politycznym, marzył o milionerze, który pomógłby mu założyć własny dziennik; pewnego razu w Paryżu powiedział do swego przyjaciela: „Wszedłem do Notre Dame, aby porozmawiać o tym z Panem Bogiem”.

Niektórzy go nie cierpieli, przyjaźnił się natomiast z wielkimi tego świata, między innymi — oprócz Rhodesa i Fishera — z Jamesem Bryce'em, kardynałem Manningiem, lordem Esherem, lordem Milnerem, Mrs. Annie Besant i lady Warwick, która zorganizowała dla niego lunch *tête-à-tête* z księciem Walii. Przeprowadzał wywiady z panującymi, z ministrami, arcybiskupami, pomagał wszystkim „uciskanym rasom, źle traktowanym zwierzętom, źle płatnym maszynistkom, nie zrozumianym kobietom, prześladowanym proboszczom, oczernianym działaczom, niedoszłym samobójcom, zagorzałym sekciarzom różnego rodzaju i bezdzietnym

rodzicom”. Słowa płynęły mu z ust jak rzeka, a jako prelegent „skakał po powierzchni globu jak na kiju pogo”. Nie tylko pisał, wydawał, podróżował, przeprowadzał wywiady i wykładał, ale w ciągu dwudziestu dwu lat pracy w „Review of Reviews” napisał także lub podyktował 80 000 listów, średnio dziesięć dziennie. Uwierzył w spirytualizm i uważał się za wcielenie Karola II, który za jego pośrednictwem naprawiał błędy swojego poprzedniego życia na ziemi.

Stead, mężczyzna niskiego wzrostu, o rumianej cerze, błyszczących niebieskich oczach, z rudawą brodą, zamiast czarnego ubrania nosił z przekory zgrzebne tweedy i miękki filcowy kapelusz. Wykazywał wiele dobrej woli, ale za mało rozsądku. Lord Milner powiedział o nim, że gdyby posiadał tę cechę w stopniu proporcjonalnym do innych zalet umysłu i charakteru, byłby „po prostu niezrównany”. Pewien amerykański dziennikarz dostrzegł w osobie Steada wszystkie cechy Anglika jego generacji, nieco wyolbrzymione, i określił go jako „doskonały okaz człowieka dziewiętnastego wieku”. Milner uważał go za skrzyżowanie Don Kichota z P. T. Barnumem, co zresztą mogło oznaczać to samo.

Stead oczywiście popierał gorąco arbitraż wierząc, że doprowadzi on do powołania międzynarodowego trybunału sprawiedliwości, a w końcu do Stanów Zjednoczonych Europy. Uprzedzając cara, zaproponował w 1894 roku, aby mocarstwa zobowiązały się na forum międzynarodowym, że nie będą powiększały swoich budżetów woj skowych do końca stulecia. Kiedy propozycja rosyjska rozeszła się po świecie, Stead dojrzał w niej największą okazję w swojej karierze. Postanowił natychmiast zapoczątkować wielką kampanię, aby wszędzie przekonać ludzi o szczerości cara i wywołać zbiorowy zew poparcia dla konferencji. Objazd miał się zakończyć wywiadem z carem; nie odstraszyła go od tego opinia księcia Walii, przekazana za pośrednictwem lady Warwick, że młody władca, siostrzeniec jego żony, jest „słaby jak mucha... nie ma charakteru i absolutnie na nic się panu nie przyda”. Stead planował przeprowadzenie po drodze wywiadu z papieżem, kajzerem, prezydentem Francji oraz królem Belgów Leopoldem, którego zamierzał przekonać, aby został rzecznikiem ligi małych mocarstw. Chcąc się zabezpieczyć przed ewentualną ingerencją oficjalną, udał się do Balfoura w Ministerstwie Spraw Zagranicznych; ten, zrazu „nonszalancki i ironiczny” wobec dytyrambów Steada, szybko usztywnił swoje stanowisko. Nie może zrozumieć, mówił, dlaczego Stead tak małą wagę przykładą do

„coraz szybszego rozwoju Rosji i jej potęgi”. Nie ma to znaczenia za ich życia, „ale co się stanie z naszymi dziećmi?... Co to będzie za świat, kiedy Rosja podporządkuje sobie południowo-wschodnią Europę?” Nie zamierzał jednak stawiać żadnych przeszkód na drodze Steada.

W miesiąc po manifeście cara Stead znajdował się już w drodze. W Paryżu nie udało mu się spotkać z prezydentem Félixem Faure'em, widział się jednak z Clemenceau, który powiedział, że „nic nie wyjdzie z tej konferencji”, i nie chciał zmienić swego zdania. Kajzer, król Leopold i papież Leon XIII także uchylili się od rozmowy, ale Mikołaj II, spełniając obietnicę daną Steadowi przez swego ojca dziesięć lat wcześniej, udzielił mu niejednej, lecz trzech audiencji. Łaskawość władcy olśniła Steada; nie obeznany z dworskimi zwyczajami, uznał ją za wyraz charakteru człowieka, nie uświadamiając sobie, że należy to do rzemiosła monarchy. W każdym razie postanowił dać światu bohatera. Car, powiedział swoim czytelnikom, jest czarujący, sympatyczny, bystry, rozsądny, posiada duże poczucie humoru, odznacza się serdeczną szczerością, podziwu godną skromnością, imponującą powagą, dużą stanowczością, znakomitą pamięcią, „wyjątkową spostrzegawczością i szeroką znajomością olbrzymiego wachlarza faktów”; wszystkie te zalety służyć miały sprawie pokoju. Peany Steada na temat intencji Rosji tak dalece odbiegały od jej rzeczywistych celów, że rosyjscy ministrowie skarżyli się rządowi brytyjskiemu nadmieniając o swym „wielkim zażenowaniu” Artykuły Steada stały się jednak manną dla ruchu pokoju. Po powrocie do Londynu zaczął wydawać nowy tygodnik „War Against War” (Wojna wojnie), zorganizował międzynarodową Krucjatę Pokoju i robił co mógł, aby spotęgować powszechne żądanie konferencji, która nie może, nie powinna zawieść.

Opinia publiczna była zróżnicowana. Liberałowie — i to nie wszyscy — podzielali entuzjizm Steada, ale konserwatyści nie. We wszystkich narodach tkwiło wiele tego, co William Ernest Henley opiewał jako „ducha walki krzyczącego w krwi”. To właśnie spowodowało, że Romain Rolland, który miał stać się z czasem słynnym pacyfistą, w roku 1898 wołał radośnie: „Dajcie mi walczyć! „Materializm tego okresu, coraz większy dostatek, siła pieniądza zastępująca siłę mięśni wywoływały u wielu ludzi uczucie niesmaku, a nawet pragnienie wysiłku, jak wówczas kiedy młody Theodore Roosevelt ruszył w Góry Skaliste. Ludzie odczuwali potrzebę czegoś szlachetniejszego i dostrzegali takie błyski w perspektywie

niebezpieczeństwa i fizycznej walki, w ofierze, nawet w śmierci na polu bitwy. Dziennikarz Henry Nevinson czuł marsowy zapał, kiedy jako oficer musztrował ochotników, i zraził swoich przyjaciół socjalistów oświadczając: „Nie chciałbym żyć w świecie, w którym nie byłoby wojny”. Później wydawało mu się, że zapał ten wynikał częściowo z nieznamomości wojny, a częściowo powstał pod wpływem Kiplinga i Henleya.

Henley był do pewnego stopnia Steadem konserwatystów, choć brak mu było żywiołowej energii tamtego i jego społecznego sumienia. Żaden teutoński hołd dla rasy panów nie dorównywał pochwale Anglii wyrażonej przez Henleya w poemacie *England, My England*, gdzie pisze, że jej „zbrojna ręka” kieruje losami ludzkiego mrowia, że niezrównany jest jej „ród potężnych ludzi”, że jej okręty są „radością srogiego, sędziwego morza”, że jest ona

Wybraną Pana córką

Ślubem z mieczem połączoną.

Słysząc boskie słowa groźby

W pieśni na twych trąbach granej

Anglio!

Z niebios na twych trąbach granej!

Taki obłądny patriotyzm stanowił wyraz nastroju powszechnego, nie narodowego. W podobnym nastroju Amerykanie słuchali tyrady Alberta Beveridge'a: „Jesteśmy rasą zdobywców... musimy być posłuszni naszemu dziedzictwu”.

Takie uczucia wywołała, jako jeden z pośrednich skutków, podróż Karola Darwina na pokładzie „Beagle” — najbardziej doniosła podróż od czasów Kolumba. Odkrycia Darwina, przedstawione w dziele *O powstawaniu gatunków*, w zastosowaniu do społeczeństwa ludzkiego dały podstawę filozoficzną teorii, że wojna jest w naturze nieunikniona, a równocześnie uszlachetniająca. W konflikcie, jakim jest wojna, rasa silniejsza i wyższa

utrzymuje się przy życiu, wskutek czego rozwój cywilizacji następuje szybciej. Niemieccy myśliciele, historycy, politycy i uczeni wojskowi pracowali nad tą teorią z pilnością kretów i z uporem buldogów, aż podnieśli ją do rangi dogmatu. Houston Stewart Chamberlain, zięć Wagnera, uzasadnił ją argumentami rasowymi w swoim, wydanym w języku niemieckim, dziele *Podwaliny dziewiętnastego wieku*, w którym wykazywał, że Aryjczycy, przewyższający fizycznie i duchowo innych ludzi, mają prawo zostać panami ziemi. Treitschke wyjaśniał, że wojna oczyszcza i jednoczy wielki naród, a tym samym jest źródłem patriotyzmu. Dodając mu siły, staje się źródłem siły. Pokój to stan stagnacji i dekadencji, nadzieja na wieczny pokój jest nie tylko „niemożliwa, ale także niemoralna”. Jako uszlachetniająca, wojna stała się tym samym konieczna, jak mówili generałowie von der Goltz i Bemhardi. Prawem i obowiązkiem rasy szlachetniejszej, silniejszej i wyższej jest rozszerzenie swego panowania na niższe narody, co według Niemców oznaczało cały świat. Dla innych narodów oznaczało to panowanie nad koloniami. Darwinizm stał się Brzemieniem Białego Człowieka. Imperializm zyskał imperatyw moralny.

Pośrednie konsekwencje teorii Darwina osiągnęły apoteozę w poglądach kapitana Mahana. „Uczciwe starcie” między narodami jest „bez wątpienia przesłanką postępu”, pisał w jednym z serii artykułów z 1897-99, w których usiłował pouczyć Amerykanów o ich przeznaczeniu. Artykuł ten miał tytuł *Moralne aspekty wojny*. W innym, *Perspektywy dwudziestego wieku*, pisał, że nie ma nic „bardziej złowieszczonego dla przyszłości rasy ludzkiej” niż aktualna wrzaskliwa tendencja, „która nie chce uznać w zawodzie wojennym — w wojnie” źródła „bohaterskiego ideału”. W prywatnym liście pisał: „Nie mogłoby się zdarzyć większe nieszczęście niż porzucenie przez narody cywilizowane przygotowań do wojny i przejście do arbitrażu”. Jego teza brzmiała, że potęga, siła, a w końcu wojna są czynnikami decydującymi w wielkich sprawach narodowego losu i że iluzją byłoby poleganie na czymś innym, jak na przykład na arbitrażu. Gdyby arbitraż zastąpił armie i floty, cywilizacja europejska „mogłaby tego nie przeżyć, utraciwszy wolę walki”. Mimo tego Mahan wierzył, że w dwudziestym wieku udoskonali się sumienie ludzkie. Nie mógłby z takim przekonaniem głosić mocarstwowości, gdyby równocześnie nie wierzył w postęp. Z jego fotografii z żoną i dwoma dorosłymi córkami przebija moralna prawość. Cztery pary szczerych oczu patrzą prosto w obiektyw. Cztery proste nosy, czworo stanowczych ust, bluzki pań zapięte prostą szpilką wysoko pod szyją, kapelusze przyklepione

sztywno na wysoko upiętych włosach, wszystko to wyraża „o pewnych prawdach upewnienie”; gatunek ludzi, który miał wkrótce wygasnąć tak jak Ribblesdale.

Wielu zwolenników walki głosiło jej konieczność, ukrywając ją pod różnymi pozorami: u Henriego Bergsona występowała jako *élan vital*, u Shawa jako siła życiowa, u Nietzschego jako dziwny magiczny galimatias, fascynujący całą ówczesną Europę. Nietzsche uznał, że zanik religii jest podstawą siły narodów, i rzucił swoje wyzwanie w dwóch słowach: „Bóg umarł”. Zamiast Boga wolałby Nadczłowieka, ale zwykli ludzie woleli patriotyzm. W miarę jak nauka wypierała wiarę w Boga, miłość ojczyzny zajmowała wolne miejsca w sercach. Nacjonalizm wchłaniał siłę, jaką dawniej posiadała religia. Tak jak niegdyś ludzie walczyli o religię, teraz prawdopodobnie zrobiliby nie mniej dla tego, co zajęło jej miejsce. Odczuwało się w powietrzu narastający konflikt. Yeats, mieszkający w 1895 roku w Paryżu, obudził się pewnego ranka mając jeszcze w oczach senną wizję apokalipsy:

...obce włócznie

Jawią się nagle zbudzonym ze snu oczom,

A padających jeźdźców szczęk i krzyk

Ginących obcych wojsk uderza uszy.

Tego samego roku, zupełnie niezależnie, A. E. Housman słyszał w ustronnym mieszkaniu odległy warkot bębnow:

Pośród pogodnego lata,

Kołysany szmerem wód,

Słyszę z dala warkot bębnow,

Nieustanny jak we śnie.

Tu i tam, coraz to głośniej,

*Poprzez każdy ziemski trakt,
Drodzy bliskim, żer dla armat,
Idą żołnierze na śmierć...*

*Trąbki zew dochodzi z dala,
Odpowiada gwizdka głos,
Ochoczo kroczą szeregi:
Jam z niewiasty, wstanę znów.*

Na miejsce konferencji wybrano Hagę, stolicę małego, neutralnego kraju; datę otwarcia ustalono na 18 maja 1899. Wstępne przygotowania pobudziły pewne zadawnione animozje i aktualne spory. Właśnie zakończyły się wojny między Chinami i Japonią, Turcją i Grecją, Hiszpanią i Stanami Zjednoczonymi; Wielka Brytania i Transwal stały na krawędzi wojny, która lada chwila groziła wybuchem. Holendrzy, jako gospodarze i gorący poplecznicy Burów, omal nie zdławili konferencji w zaraniu, żądając zaproszenia Transwalu i Oranii. Turcja miała zastrzeżenia co do uczestnictwa Bułgarii, a Włochy groziły wycofaniem się, jeśliby uczestnictwo Watykanu miało oznaczać uznanie go za doczesne mocarstwo. Przypisując temu „złowrogie znaczenie”, Niemcy zaczęły zaraz podejrzewać Włochy, że zamierzają wystąpić z Trójprzymierza, i same zagroziły wycofaniem się z konferencji, jeśli uczyni to inne poważne mocarstwo. Po pokonaniu tych trudności narody przystąpiły do mianowania delegatów.

Wybór stanowił odbicie dwoistości porządku dziennego konferencji, mającej się zajmować z jednej strony zapewnieniem pokoju w drodze arbitrażu, z drugiej — prowadzeniem wojny. Wprawdzie car w swoim manifeście nie wspominał o arbitrażu, ale Murawjow włączył to zagadnienie do swojego porządku dziennego i od tej chwili w powszechnym przekonaniu stało się ono głównym celem. Bostońska Krucjata Pokoju odbywała w marcu i kwietniu cotygodniowe wiece żądając, aby Stany Zjednoczone postawiły sobie za cel „stały trybunał w dwudziestym wieku”. Ponieważ w Kongresie panował wtedy kryzys w związku z głosowaniem w sprawie traktatu pokojowego z Hiszpanią, domagano się od McKinleya, żeby mianował

delegatem rektora Eliota z Harvardu w nadziei, że w ten sposób ułagodzi się antyimperialistyczne opinie. McKinley przypuszczał jednak, że Eliot nie okaże się dość posłuszny, wobec czego wolał dokonać bezpieczniejszego wyboru w osobie Andrew White'a, byłego rektora Uniwersytetu Cornell, wówczas ambasadora w Berlinie. White, który ze stanowiska profesora historii awansował na stanowisko urzędowej eminencji, był człowiekiem pracowitym i szlachetnym i wierzył we wszystkie słuszne sprawy. W Hadze nawiązał wkrótce przyjacielskie stosunki z diukiem Tetuan, delegatem dawnego wroga, Hiszpanii, z którym dzielił „umiłowanie architektury katedralnej i muzyki organowej”. Obok White'a mianowany został delegatem kapitan Mahan, uważano bowiem, że będzie on z pewnością należycie strzegł amerykańskich interesów i ustosunkuje się trzeźwo do przebiegu obrad, gdyż przy najśmielszej wyobraźni nie można go było posądzić o sympatyzowanie z celami konferencji. Jego nazwisko na liście delegatów pogłębiło podejrzenia Niemiec co do spotkania w Hadze. „Nasz największy i najniebezpieczniejszy wróg”, stwierdził posepnie kajzer.

Amerykańskie instrukcje dla delegatów zaczynały się od odrzucenia pierwotnego celu konferencji. Ograniczenie zbrojeń „nie może być z pożytkiem dyskutowane”, bo amerykańskie uzbrojenie nie dorównuje poziomowi potęg europejskich i im należy pozostawić inicjatywę w tej sprawie. Jeśli chodzi o ograniczenia we wprowadzeniu nowych broni, „wątpliwe jest, czy międzynarodowe porozumienie w tej sprawie okazałoby się skuteczne”. Delegaci mieli popierać starania o uczynienie wojny bardziej humanitarną i sami zaproponować własny projekt trybunału arbitrażowego. Mieli również instrukcję, aby zaprowadzić immunitet prywatnej własności, zabezpieczający przed pojmaniem na morzu; ta pozornie niewinna sugestia kryła w sobie niezgłębioną masę kłopotów.

Francja mianowała swoim delegatem premiera i zwolennika arbitrażu, Léona Bourgeois; przez cały czas swojej kadencji urzędowej w latach 1895-96 starał się on nieustannie przeprowadzić ustawę o progresywnym podatku dochodowym wbrew gwałtownej opozycji Senatowi. Do jej uchwalenia zabrakło niewielkiej ilości głosów. Ponieważ sprawa Dreyfusa groziła w każdej chwili kryzysem rządowym, który mógł wynieść Bourgeois ponownie na stanowisko urzędowe, konferencja w Hadze okazała się doskonałą okazją, aby usunąć go ze sceny. „Uprzejmy, elegancki i elokwentny”, zdaniem pewnego kolegi, jeśli nie przyjaciela, Bourgeois „pielęgnował wspianiała,

czarną jak heban brodę i wyrażał aksamitnym głosem banalne myśli”.

Francja, znajdująca się już wskutek sprawy Dreyfusa w superpatriotycznym nastroju, obrażona, że Rosja nie porozumiała się z nią uprzednio, zdecydowana nie zgodzić się na ustalenie *status quo*, powitała konferencję z nie większym zadowoleniem niż inne kraje. „Wyrzec się wojny to w pewnym sensie wyrzec się własnego kraju”, tymi słowami pewien francuski oficer skomentował manifest cara.” Pani Adams, przyjaciółka Gambetty i kapłanka *revanche*, na zaproszenie do wysłuchania wykładu Berthy von Suttner, odpowiedziała: „Ja? Na wykład o pokoju? Oczywiście nie. Ja jestem za wojną”. Francja wysłała jednak do Hagi jako drugiego delegata wiernego apostoła pokoju, barona d'Estournelles de Constanta. Będąc zawodowym dyplomatą do czterdziestego trzeciego roku życia, niepokoił się coraz bardziej ogólną tendencją panującą w sprawach międzynarodowych, aż pewnego dnia w 1895, wstrząśnięty lekkomyślną groźbą wojny w mało ważnym sporze, zrezygnował z dyplomacji, aby zająć się polityką i w Parlamencie bronić sprawy pokoju. Ten przystojny mężczyzna o wytwornych manierach, występujący w charakterze oficjalnego delegata, wyrażał na obradach konferencji poglądy zapalonych zwolenników ruchu pokoju.

Rosjanie, jako inicjatorzy, postarali się, by przewodniczącym konferencji został ich londyński ambasador, baron de Staal, elegancki starszy pan z siwymi bokobrodami, w meloniku z prostokątnym denkiem. Według opinii księcia Walii miał to być „jeden z najlepszych ludzi na świecie... który nigdy nie mówił niczego niezgodnego z prawdą”, co mogło się przydać, ale nie wystarczało do wykonania zadania. Faktycznie przewodził rosyjskiej delegacji Fiodor de Martens, emerytowany profesor prawa międzynarodowego na uniwersytecie w Petersburgu, który nikomu nie pozwalał zapomnieć, że cieszy się opinią najwybitniejszego w Europie prawnika w swojej dziedzinie. Witte powiedział o nim, że to „człowiek o wielkim wykształceniu, lecz dosyć ciasnym umyśle”. Delegatem wojskowym był późniejszy szef sztabu, pułkownik Żyliński.

Hrabia Münster, niemiecki ambasador w Paryżu, u którego w koszu na śmiecie zaczęła się sprawa Dreyfusa, nie cieszył się zbytnio, że ma zostać szefem delegacji swego kraju. „Młócenie powietrza jest zawsze nudnym zajęciem”, pisał do przyjaciela. Ograniczenie zbrojeń jest *ausgeschlossen* (wykluczone), ulubione niemieckie słowo. Żeby pozwolić Rosji zachować

twarz, konferencja nie może się zakończyć fiaskiem, jej praca musi zostać okryta „płaszczem pokoju”. Münster, wytworny, siwowłosy mężczyzna, którego Andrew White uważał za „wspaniały okaz”, zajmował swego czasu stanowisko w Anglii, ożenił się z Angielką i największą przyjemność sprawiało mu, gdy ktoś brał go za angielskiego dżentelmena. Oprócz delegata wojskowego i delegata marynarki miał jeszcze dwóch współpracowników, profesora Zorna z uniwersytetu w Królewcu i profesora barona von Stengla z uniwersytetu w Monachium; najważniejszą kwalifikacją Stengla była opublikowana dopiero co broszura pod tytułem *Wieczny pokój*, w której ośmieszał przyszłą konferencję i wychwalał zalety wojny. Choć nie wyraził tam niczego, co by się zasadniczo różniło od nastawienia w innych krajach, powiedział to jednak na niemiecki sposób, brutalnie i głośno. Mianując go szybko delegatem, kajzer dał wyraźnie do zrozumienia, o co mu chodzi. Stead, przebywający wówczas w Berlinie, protestował, Bülow wyjaśniał, a niemieckie pisma humorystyczne przedstawiały karykatury Stengla jako byka wpuszczonego na grządkę tulipanów.

Jakieś czarodziejskie siły doprowadziły do realizacji konferencji mimo ogólnego lekceważenia; Wielka Brytania dała wyraz swemu uznaniu wyznaczając liczną delegację. Jej szef, sir Julian Pauncefote, ambasador w Waszyngtonie, negocjator pierwszego na świecie traktatu arbitrażowego, był wybitnym orędownikiem tej idei w życiu publicznym. Ten spokojny, ciężko zbudowany, zrównoważony dygnitarz, przypominający polarnego niedźwiedzia, dokonywał cudów dyplomacji, działając na zasadzie: „Nigdy nie ustępuj, nigdy nie obrażaj”. „Nigdy nie wahałem się otworzyć przed nim swojego serca — powiedział sekretarz stanu Hay — był bowiem uosobieniem honoru i szczerości”. Towarzyszył mu dopiero co spensjonowany przewodniczący Izby Gmin, sir Arthur Peel; obecność tej imponującej postaci na trybunie uciszała nawet najniesforniejszych posłów. „Gdy Peel tracił panowanie nad sobą, przypominało to burzę na morzu — powiedział jeden z nich. — Mógł znieść nudziarza, ale nienawidził ludzi podłych, bez względu na to, czy byli dobrze, czy źle ubrani”.

Na przedstawicieli wojska i marynarki lord Salisbury wybrał spośród najwyższych rangą dwóch wybitnych ludzi. Generał major sir John Ardagh, po uzyskaniu dyplomów z hebrajskiego i matematyki w Trinity College w Dublinie, przeszedł z zawodu duchownego do wojskowego. Był potem obserwatorem w wojnach francusko-pruskiej i rosyjsko-tureckiej, następnie

pełnił czynną służbę w Egipcie i Sudanie, a wreszcie został szefem wywiadu wojskowego.

Jego kolega z marynarki, najbardziej jak na owe czasy nieposkromiony indywidualista, posiadał energię i zapał, które w każdym okresie musiałyby zostać uznane za niezwykle. Admirał sir John Fisher oddał się całkowicie, z żywiołową namiętnością, sprawie odrodzenia brytyjskiej potęgi morskiej poprzez modernizację marynarki. Miał jeszcze jedną namiętność — taniec, który uprawiał przy każdej sposobności, od tańca ludowego po walc, z innymi oficerami w braku pań. W każdej swojej walce przeciwstawiał się oznaczającemu letarg argumentowi „zawsze tak było”; działał podobnie jak miotła, wymiatająca zawzięcie wszystko, co przestarzałe, z ludzi i z okrętów. Wyprzedził o dwadzieścia lat swoją epokę żądając ropy zamiast węgla, wprowadził ćwiczenia artyleryjskie, ćwiczenia z mechaniki i techniki — zamiast ćwiczeń kordami i ćwiczeń z takielunkiem i żaglami; wprowadził niszczyciele, utorował drogę postępowi w artylerii, opancerzeniu i projektowaniu okrętów wojennych. W czasie bombardowania Aleksandrii, kiedy potrzebny był pociąg pancerny do transportu lądującego wojska, wymyślił taki pociąg. Był komendantem Szkoły Torpedowej, dyrektorem Zaopatrzenia Floty, dyrektorem Stoczni, Trzecim Lordem Morskim, zarządcą marynarki i w owym okresie naczelnym dowódcą Bazy Atlantyckiej.

Fisher, urodzony na Malajach, miał dziwną, płaską, gładko ogoloną twarz, co skłaniało jego nielicznych wrogów do niedwuznacznych napomykań o orientalnych przodkach. Gdy krążył pewnym, rytmicznym krokiem pantery po swym okręcie flagowym, trzęsła się cała nadbudówka, a wraz z nią trzęśli się wszyscy marynarze. Na podawaną sobie z ust do ust wieść: „Uwaga, idzie Jack!”, wszyscy stawali skrupulatnie na baczność, podczas gdy ten „pierwszy po Bogu” przechodził i znikał. Ludzi o utartych poglądach zalew jego pomysłów paraliżował lub irytował. Mówiąc o nowych planach czy projektach wpatrywał się błyszczącymi oczyma w rozmówcę i akcentował każde zdanie uderzeniem pięści w dłoń. W listach to akcentowanie przybierało postać dwu, trzech lub czterech podkreśleń pod słowem; kończył, nie „w pośpiechu”, lecz „w szalonym pośpiechu!” albo ostrzeżeniem: „Proszę to spalić!” Lubił cytować maksymę Napoleona: *J'ordonne ou je me tais* („Rozkazuję lub milczę”), ale nie potrafił nigdy zrealizować jej drugiej połowy.

Na ewentualność wojny z Francją o Faszodę powziął natychmiast plan,

aby dokonać ataku na Diabelską Wyspę, porwać Dreyfusa, wysadzić go na francuskim wybrzeżu celem sprawienia kłopotu armii i posiania niezgody. Jako dewizę dla jednego ze swych niszczycieli wybrał słowa: *Ut veniant omnes* („Niech wszyscy przyjdą”). Twierdzono, że w walce stosował następujące zasady: „Nie darowuj życia; Nie bierz jeńców; Zatapiaj wszystko. Nie ma czasu na litość; *Frappez vite et frappez fort, L'Audace, l'audace, toujours l'audace* (Uderzaj szybko, uderzaj mocno, Odwaga, odwaga, jeszcze raz odwaga”); chodziło tu jednak raczej o efekt moralny niż o poważną taktykę. Lord Salisbury wyznaczając go na delegata marynarki do Hagi nadmienił, że Jacky Fisher będzie niewątpliwie walczył na konferencji pokojowej. „Rzeczywiście walczyłem — pisał później Fisher — ale nie o pokój”.

Wybór Hagi na miejsce konferencji okazał się znakomitym pomysłem. Urok letniego pałacu dynastii orańskiej, Huis ten Bosch („Dom w Lesie”), gdzie odbywała się konferencja, przyjemna przejażdżka z wybrzeża w Scheveningen, gdzie mieszkała większość delegatów, gościnnieść holenderskiego rządu i pełne uśmiechów powitanie przez holenderską ludność, letnia pogoda i tonące w kwiatach okolice, wszystko to musiało wpłynąć ożywczo na najbardziej nawet cynicznych delegatów. Czarno-białe krowy pasły się spokojnie po obu stronach drogi, kanały odbijały promienne niebo, wiatraki kręciły się powoli, żaglówki posuwały się po ukrytych w wysokiej trawie kanałach jakby po łące. Spokojne zazwyczaj miasto — „miły anachronizm”: domy z cegieł i brukowane kocimi łbami ulice — krzątało się przy powitaniach, Flagi wszystkich narodów zdobiły stateczne hotele, okna i progi domów lśniły czystością, budynki publiczne odświeżono i na nowo umeblowano. Haga, niezwykle ożywiona przez swoich gości, robiła wrażenie śpiącej królowej zbudzonej z siedemnastowiecznych snów.

Huis ten Bosch, zamek królewski z czerwonej cegły z białymi framugami okiennymi, położony był w parku na peryferiach miasta. Okna wychodziły na trawniki, rozaria, fontanny i marmurowe nimfy. W lasach, od których miejsce to wzięło swoją nazwę, delegaci mogli rozmawiać między posiedzeniami spacerując po wspaniałych brzoźowych alejach, gdzie śpiewały ptaki i słońce połyskiwało przez liście.

Sesje plenarne odbywały się w centralnej sali, wysokiej na trzy piętra, obwieszanej złotym adamaszkiem z freskami przedstawiającymi sukcesy dawnych książęcych „stadtholderów” na tronie i na koniu. Malowane

kupidyny, nagie Wenery i śmierć w postaci wykrzywionego grymasem szkieletu spoglądały z sufitu w dół na świeżo wstawione rzędy pulpitów pokrytych zielonym sukniem, z miejscami dla 108 delegatów z 26 krajów. Przeważały czarne marynarki, urozmaicone tu i ówdzie mundurami wojskowymi, czerwonymi fezami Turków i niebieską jedwabną szatą chińskiego delegata. Prawdziwa praca konferencji odbywała się w podkomisjach, zbierających się w licznych małych salonach, bogato ozdobionych porcelaną z Delft i Meissen, chińskimi tapetami i jasnymi perskimi dywanami. Holenderscy gospodarze podawali codziennie obfity lunch ze znakomitym winem i cygarami w Białym Pokoju Jadalnym, pod kryształowymi żyrandolami, gdzie delegaci mogli się spotykać i rozmawiać nieoficjalnie. Widoczny wszędzie dobry gust i dostojność, dobór likierów, piękne otoczenie, wieczorne bale i przyjęcia, wszystko to łagodziło powoli nastrój lekceważenia, w jakim zaczęła się konferencja.

Andrew White stwierdził po przyjeździe, że żadne grono nie zebrało się nigdy „w nastroju tak beznadziejnego sceptycyzmu co do jakichkolwiek dobrych wyników”. Wielki profesor Mommsen z Niemiec, najbardziej podziwiany ówczesnie historyk, przepowiadał, że konferencję będzie się wspominać jako „błąd drukarski w historii świata”. Nawet niektórzy przyjaciele baronowej von Suttner nie żywili wielkich nadziei. Księżę Scipio Borghese, którego zaprosiła, aby uczestniczył jako obserwator, odpowiedział, że nie widzi nic bardziej uroczego niż spędzenie czasu z *un groupe du high-life pacifique*, ale niestety w maju musi być na weselu swojej siostry w centrum Węgier. W czasie inauguracyjnego przemówienia de Staala przewodniczący upuścił swój drewniany młotek, co przyjęto natychmiast, niemal skwapliwie, jako zły omen. „Pożalowania godna” rosyjska nieznajomość procedury parlamentarnej wykazywana przez de Staala i jego bez troski sposób podejmowania decyzji i przyjmowania wniosków, wydawały się White'owi zapowiedzią „beznadziejnego chaosu”.

Konferencja podzieliła się na trzy komisje: zbrojeń, reguł wojny i arbitrażu, a te z kolei dzieliły się na podkomisje. Przewodniczącym pierwszej komisji był Auguste Beemaert, dawny premier i szef delegacji belgijskiej, którego król Leopold II nazwał swego czasu „największym cynikiem w królestwie”. Doświadczony polityk, w początkach swojej kariery został prawą ręką króla w ogromnym przedsięwzięciu kongijskim, był mu również posłuszny w wysiłkach zmierzających do umocnienia granicy belgijskiej

przeciw inwazji. Z biegiem lat zmienił jednak poglądy, został pacyfistą i regularnym uczestnikiem kongresów pokoju. Beernaert, jako przewodniczący belgijskiego Parlamentu, miał wciąż jeszcze pewien wpływ polityczny. Profesor de Martens z Rosji był przewodniczącym drugiej komisji, a Léon Bourgeois trzeciej.

Delegaci mieli niemiłą świadomość, że świat przygląda im się przez ramię w postaci dużej *groupe du high-life pacifique*, która zjechała do Hagi w charakterze obserwatorów. Nie spodziewając się niczego prócz niepowodzenia, konferencja postanowiła odbywać posiedzenia z pełnym wykluczeniem prasy. Manewr ten okazał się całkowicie bezskuteczny, gdyż prasie przewodził W. T. Stead we własnej osobie, jako korespondent „Manchester Guardian”. Dzięki natarczywym wywiadam i niezliczonym koneksjom osobistym mógł on publikować kronikę z konferencji na specjalnej stronie, udostępnionej mu przez „Dagblad”, najpoważniejszą gazetę haską. Delegaci pochłaniali ją, wszyscy inni korespondenci byli od niej uzależnieni, a orędownicy pokoju podawali jej wiadomości za granicę, do swych macierzystych organizacji. Pod naciskiem sytuacji konferencja udostępniła swoje zebrania prasie.

Obserwatorom przewodziła baronowa von Suttner, występująca jako korespondentka wiedeńskiej „Neue Freie Presse”. Przekonana, że 18 maja jest „datą epokową w historii świata”, z powagą rozdawała herbatę, rozmawiała z delegatkami i konferowała w sprawie strategii z d'Estoumelles'em, Beernaertem i innymi przyjaciółmi. Iwan Bloch przyjechał z Rosji i przywiózł do rozprawienia załadowane w kufry egzemplarze swojej książki. Wygłaszał odczyty z przezroczami dla publiczności i wydawał przyjęcia dla delegatów; po znakomitej kolacji oglądało się ryciny z dziedziny doskonalenia broni palnej. Z Bostonu przybył sekretarz Amerykańskiego Stowarzyszenia Pokoju, kwakier, dr Benjamin Trueblood, a z Paryża Charles Richet, wydawca „La Revue Scientifique”, dyrektor Francuskiego Stowarzyszenia Pokoju. Królowa Rumunii przysłała poemat, podpisany pseudonimem literackim Carmen Sylva. Pani Selenka z Monachium przywiozła petycję pacyfistyczną podpisaną przez kobiety z osiemnastu krajów; przedłożona też została petycja belgijska ze 100 000 podpisów i holenderska z 200 000. Tłumy ludzi zasypywały Andrew White'a „planami, projektami, różnego rodzaju pomysłami, kaprysami i fantazjami”, a także mnóstwem broszur, książek, listów, kazań, telegramów, petycji,

rezolucji, modlitw i błogosławieństw. Zdawał sobie jednak sprawę, że niezależnie od wszystkich dziwactw istnieje uczucie „poważniejsze i powszechniejsze, niż mogłem sobie wyobrazić”.

Hrabia Münster natomiast był oburzony. „Konferencja ściągnęła tutaj polityczną hałastrę z całego świata — pisał do Bülowa — dziennikarzy najgorszego gatunku, takich jak Stead, przechrzczonych Żydów, jak Bloch, babskie fanatyczki pokoju, jak Mme de Suttner... Cały ten motłoch, popierany czynnie przez młodych Turków, Ormian i socjalistów, działa jawnie pod egidą Rosji” Uważał, że Stead jest „z pewnością agentem na rosyjskim żołdzie”, a całe obrady to rosyjski spisek w celu zniweczenia militarnej przewagi Niemiec. Jednak nawet w jego ojczyźnie ten „motłoch” znalazł oddźwięk, a mianowicie komitet po słów do Reichstagu, profesorów i pisarzy domagał się poparcia dla dążeń konferencji. Komitet ten, choć przeciwny wszelkim posunięciom, które mogłyby „nawet w minimalnym stopniu osłabić pozycję Niemiec wśród innych narodów”, miał jednak nadzieję na pewne wyniki, które uwolnią Europę od ciężaru podatków na zbrojenia i zapobiegną wybuchowi wojen.

Delegaci rozumiejąc, że są ośrodkiem nadziei całego świata, zaczęli powoli odczuwać niejasne pragnienie, aby tych nadziei nie zawieść. Po pierwszych dwóch tygodniach pracy, donosił Pauncefote, „wbrew sobie zaczęli przejawiać pewne zainteresowanie”. Niektórzy, jak van Kamebeek, delegat Holandii, chcieli osiągnąć cel choćby dla zaspokojenia *amour-propre*, jeśli nie z innego powodu. Innym, pozostającym pod wrażeniem spotkania w jednym miejscu przedstawicieli tylu narodów, nasunęła się myśl o „federacji narodów Europy... Jest to marzenie, które zaczyna pojawiać się w Hadze, Europa musi wybierać albo dążenie do jego osiągnięcia — albo anarchię”.

Zrodziły się pewne nadzieje na arbitraż, ale żadne na ograniczenie zbrojeń, czy to w odniesieniu do obecnych sił, czy do budżetów lub nowych broni. Mimo rozpaczliwych wysiłków Rosjan, przy gorącym poparciu małych państw i wielu cywilnych delegatów, każda propozycja ograniczenia lub moratorium była zwalczana przez wojskowych delegatów wielkich mocarstw jako „nierealna”. Sprawa doszła do punktu kulminacyjnego, kiedy pułkownik Żyliński z Rosji domagał się pięcioletniego moratorium w przemówieniu wzywającym narody do pozbycia się jarzma, które dławi Europę. Poparł go z elokwencją generał den Beer Portugael z Holandii,

posługując się metaforą, że rządy, „związane razem, jak alpejscy wspinacze, liną swych wojskowych organizacji”, zbliżają się chwiejnym krokiem ku krawędzi przepaści, o ile z „najwyższym wysiłkiem nie potrafią się zatrzymać”. Delegat wojskowy Niemiec, pułkownik Gross von Schwartzkopf, zerwał się na nogi i przeciął ten potok wymowy jakby uderzeniem szabli. Naród niemiecki, powiedział, „nie jest przygnieciony ciężarem wydatków na zbrojenia... Nie pędzi ku wyczerpaniu i ruinie”. Przeciwnie, podnosi się dobrobyt ludności i stopa życiowa. Dając się ponieść tematowi pułkownik Schwartzkopf nie zawahał się przyjąć w imieniu Niemiec obowiązku sprzeciwienia się moratorium, oszczędzając innym wielkim mocarstwom tego niewdzięcznego zadania. Kiedy stało się jasne, że Niemcy nie zgodzą się na moratorium, a zatem że nie ma najmniejszej szansy na jego zaakceptowanie, wszystkie narody z zadowoleniem głosowały, aby przedłożyć sprawę podkomisji celem dalszego rozważenia. W ten sposób, pisał John Fisher, wyjaśniając rządowi, jak głosował, uczucia Rosjan zostaną uszanowane, a ludzie nie odniosą wrażenia, że Anglia zablokowała dyskusję nad propozycją.

Fisher wykazywał w komisji w Hadze zaskakującą ostrożność; nieoficjalnie zachowywał się jak zwykle. „Uszlachetnienie wojny! — wybuchnął. — Można by równie dobrze mówić o uszlachetnieniu piekła!” Jego odpowiedź skierowana do „głupiego osła”, który mówił o „rozkoszach cywilizowanej wojny, o moczeniu jeńcom nóg w gorącej wodzie i karmieniu ich kleikiem”, uznana została za nie nadającą się do publikacji. Steadowi wpisał do jego książki autografów: „Przewaga brytyjskiej marynarki jest najlepszą gwarancją pokoju dla świata”. Mieszkał w hotelu Kurhaus w Scheveningen i jak wynikało z jego opisów, czuł się tam doskonale: „Stale panuje wielki ruch. Orkiestra gra w czasie śniadania, w czasie lunchu i obiadu!!! Wciąż nadchodzą olbrzymie skrzynie i portier biega tam i z powrotem jak dzikie zwierzę. Kolej, telegraf i urzędy pocztowe w hotelu!” Delegaci marynarki odnosili się do Fishera z pełnym uwielbieniem szacunkiem, a jego awans w czasie konferencji na naczelnego dowódcę bazy śródziemnomorskiej „zrobił wielkie wrażenie na wszystkich cudzoziemcach”, łącznie nawet z baronową von Suttner, która bardzo żałowała, że nie przyszedł na bal wydany przez de Staala, ponieważ był jednym z „najweselszych tancerzy”. Nazwano go „Tańczącym Admirałem”, a że miał wiele osobistego wdzięku i nie zadzierał nosa, „był najpopularniejszym człowiekiem w Hadze”, jak donosił Stead. Kontakty z

niemieckimi delegatami przekonali Fishera, że Niemcy, a nie Francja, będą przeciwnikiem Wielkiej Brytanii. Dowiedział się od niemieckiego delegata marynarki, że wszystkie brytyjskie okręty staną się bezużyteczne w czasie wojny, gdyż Niemcy zamierzają zatopić je przy pomocy mnóstwa torpedowców.

Anglia nastawiona była przychylnie do ograniczenia zbrojeń morskich, bo powstrzymałoby to niemiecki program morski i utrzymało status quo. Jej poparcie zależało jednak od znalezienia jakiejś formuły inspekcji czy kontroli, co, jak donosił Fisher, było „całkowicie niewykonalne”. Nie miał pochlebnego zdania o propozycji rosyjskiej, aby polegać na dobrej wierze rządów. Rosja powinna była powiedzieć po prostu, że jej prawdziwym celem jest zapewnienie pokoju na trzy lata, zauważył bezlitośnie delegat Francji. Niemcy znów nie chcieli nic słyszeć o żadnym ograniczeniu, a Japonia, jak stwierdzało jedno z brytyjskich sprawozdań, „będzie słuchała wtedy, gdy osiągnie poziom wielkich mocarstw morskich, to znaczy nigdy”.

Niedwuznaczna stała się propozycja Stanów Zjednoczonych, do czego doprowadził kapitan Mahan swoim nieugiętym realizmem, wykazywanym nie tyle na posiedzeniach publicznych, co prywatnie. Jego rząd, powiedział Brytyjczykom, nie będzie pod żadnym pozorem nawet dyskutował o ograniczeniu marynarki; przeciwnie, konieczność walki o chińskie rynki będzie wymagała „bardzo znacznego” zwiększenia amerykańskiej eskadry na Pacyfiku, co naruszy interesy co najmniej pięciu mocarstw. Na każdej komisji i w dyskusji Mahan zaznaczał swoją obecność jak głos sumienia, mówiąc „Nie”, było to jednak sumienie działające nie na rzecz pokoju, lecz na rzecz nie skrępowanego realizowania siły militarnej. Odznaczał się „największą ze wszystkich powagą”, napisał pewien obserwator.

Doprowadziło go to do przeciwstawienia się tradycyjnemu stanowisku jego rządu, aprobującemu immunitet prywatnej własności na morzu. Mahan uważał, że co było dobre dla Stanów Zjednoczonych jako słabego, neutralnego państwa, nie jest dobre dla nich jako wielkiego mocarstwa. Prawo łupu jest istotą potęgi morskiej, zwłaszcza brytyjskiej, z którą, jak sądził, Ameryka ma teraz wspólne interesy. Oczekiwał raczej uprawnień dla państwa prowadzącego wojnę niż powrotu do uprawnień państwa neutralnego.

Kiedy White, zgodnie z instrukcją, próbował postawić tę sprawę na

porządku dziennym, zamiast Mahana sprzeciwił się Fisher. Proszę wziąć pod uwagę sprawę neutralnego węgla, powiedział. „Mówicie, że nie wolno mi zagarnąć tych węglowców. Ja mówię, że nic, co wy powiecie, ani jakakolwiek siła na ziemi nie powstrzymają mnie od zagarnięcia ich lub posłania na dno, jeśli nie będę mógł w inny sposób zapobiec, aby ten węgiel dostał się do rąk nieprzyjaciela”. Z przeciwnych powodów Niemcy poparły oczywiście amerykańską propozycję immunitetu. Aprobując coś po raz pierwszy hrabia Münster skorzystał z okazji, aby „jak najmocniej poprzeć tę zasadę”, a Bülow z zadowoleniem zaakceptował posunięcie będące tak widomie „w interesie ludzkości w ogóle”. Obydwu przyhamował niemiecki delegat marynarki, kapitan Siegel, którego rozumowanie wskazywało na umysł szachisty wykształconego przez jezuitów. Zwracał swemu rządowi uwagę, że celem marynarki jest opieka nad handlem morskim swego kraju. Jeśli immunitet własności prywatnej zostałby zaakceptowany, marynarka straciłaby rację bytu. Ludność domagałaby się zmniejszenia liczby okrętów wojennych i odmawiałaby w Reichstagu poparcia na kredyty dla marynarki. Krótco mówiąc, kapitan Siegel dał do zrozumienia, że jeśli marynarka niemiecka ma mieć jakiś *raison d'être*, własność musi podlegać zagarnięciu, nawet w interesie nieprzyjaciela Tego rodzaju dyskusje pobudzały i absorbowwały uczestników. Prowadzenie wojny było o wiele bardziej interesujące niż zapobieganie jej. Kiedy zaczęto dyskutować nad ograniczeniem nowych broni lub zakazem broni jeszcze nie wprowadzonych, delegaci wojska i marynarki, równie czujni jak kapitan Siegel, bronili z zapalem swobody swojej inicjatywy. Rosyjska propozycja, aby mocarstwa uzgodniły, że „nie będą radykalnie zmieniać swojej artylerii ani zwiększać kalibru przez jakiś określony czas”, upadła ze względu na problem inspekcji i kontroli. Sir John Ardagh podkreślił, że nic nie mogłoby powstrzymać takiego czy innego państwa od produkcji nowego modelu karabinów i magazynowania ich w arsenałach, aż będą potrzebne. Wywołało to ostrą odpowiedź rosyjskiego delegata Rafałowicza, że „opinia publiczna i instytucje parlamentarne” powinny być wystarczającą rękojmią. Oświadczenie z takiego źródła nie zrobiło wrażenia. Mahan zgłosił takie same zastrzeżenia co do propozycji ograniczenia kalibru armat okrętowych, grubości płyt pancernych i szybkości pocisków. Każda forma międzynarodowej kontroli byłaby naruszeniem suwerenności; wszyscy delegaci natychmiast się z tym zgodzili.

W dyskusji nad rozszerzeniem zasad Genewskiej Konwencji Czerwonego

Krzyża z 1868 roku na wojnę morską poruszono kwestię ratowania marynarzy z wody po bitwie. To właśnie dało Fisherowi okazję do wybuchu na temat karmienia jeńców kleikiem. Po zakończeniu debaty jej przewodniczący mógł donieść: „Dzięki energicznemu stanowisku i uporczywym wysiłkom sir Johna Fishera wszystkie postanowienia pierwotnego tekstu artykułów, które mogłyby w jakikolwiek sposób skępować lub utrudnić swobodne działanie stron walczących, zostały dokładnie wyeliminowane”.

Niebezpieczny obrót przybrała kwestia uprawnień ludności cywilnej do obrony przeciw zbrojnej inwazji. Ardagh zaproponował poprawkę zmieniającą „swobodę” zwalczania najeźdźcy na „obowiązek” zwalczania, z dodaniem „wszystkimi uzasadnionymi środkami najenergiczniej szego patriotycznego oporu”, co wywołało entuzjazm małych mocarstw. Pułkownik Schwartzkopf „sprzeciwił się temu ostro”, popierany tym razem przez Rosję. „Jeśli trzeba było jakiegoś argumentu, aby wykazać potrzebę tego rodzaju artykułu”, donosił Ardagh, to świadczył o tym „zacięty opór” Niemców i Rosjan, który doprowadził do obalenia poprawki. Komisja przeszła następnie z większym powodzeniem do kwestii traktowania szpiegów i jeńców wojennych, zakazu trucizn, zdrady i podstępów, bombardowania otwartych miast, zasad dotyczących białych flag, poddania się, zawieszenia broni i okupacji wrogiego terytorium.

W komisji zajmującej się ograniczeniem nowych broni nastawienie negatywne stało się nieco żenujące. Toteż wszyscy z największym zadowoleniem podjęli sprawę kul dum-dum, czyli rozpryskujących się, co stanowiło okazję do zakazania czegoś, a równocześnie dało upust powszechnym wówczas uczuciom antybrytyjskim. Kul tych, wprowadzonych przez Brytyjczyków celem powstrzymania pędu fanatycznych szczepów, bronił energicznie sir John Ardagh przeciw gwałtownym atakom wszystkich z wyjątkiem amerykańskiego delegata wojskowego, kapitana Croziera, którego kraj zamierzał użyć ich na Filipinach. W wojnie przeciw dzikim, wyjaśniał Ardagh skupionemu audytorium, „ludzie przeszyci kilkakrotnie na wylot naszymi najnowszymi pociskami małego kalibru, które robią małą gładką dziurkę”, mogą pędzić dalej i podchodzić całkiem blisko. Trzeba znaleźć środki, żeby ich powstrzymać. „Cywilizowany żołnierz, gdy zostaje postrzelony, zdaje sobie sprawę, że został ranny, i wie, że im szybciej go opatrzą, tym szybciej się wyleczy. Kładzie się więc na nosze i pozwala

wynieść z pola do ambulansu, gdzie lekarz lub pracownik Czerwonego Krzyża opatruje jego ranę czy bandażuje zgodnie z zasadami gry ustalonymi w Konwencji Genewskiej. Ale fanatyczny barbarzyńca, trafiony w podobny sposób, biegnie dalej z włócznią lub mieczem w ręce i zanim mu się wyjaśni, że jego zachowanie stoi w jaskrawej sprzeczności z porozumieniem o właściwym postępowaniu człowieka zranionego — może ściąć wam głowę”. Mimo swobodnego stylu Ardagh potrafił podkreślić, że wojna jest przykrą sprawą, i grzeczniej niż Fisher wyśmiał pogląd, że może zostać ucywilizowana. Delegaci, nie przekonani, przegłosowali dwudziestoma dwoma głosami przeciw dwóm zakaz używania kul dum-dum wbrew nieugiętemu sprzeciwowi Wielkiej Brytanii, popieranej przez Stany Zjednoczone.

Jednomyślność, dotychczas nieosiągalna, zapanowała wreszcie w jednej dziedzinie: wyrzucania pocisków lub środków wybuchowych z balonów. Było to coś prawie zupełnie nowego i wszyscy chętnie zgodzili się na zakaz, zwłaszcza Rosjanie, którzy nie mogli znieść perspektywy nadania wojnie nowych wymiarów. Pułkownik Żyliński powiedział żałośnie: „Według opinii rządu rosyjskiego różne środki niszczenia nieprzyjaciela będące obecnie w użyciu są wystarczające”. W sprawie wojny powietrznej za zgodą większości delegatów uchwalono zaniechać jej na zawsze. Komisja pogratulowała sobie. Później nagle, na następnym posiedzeniu, kapitan Crozier, po konsultacji z kapitanem Mahanem, nabrał poważnych wątpliwości i zgłosił zastrzeżenie. Powiedział, że zamierzają wykluczyć na zawsze broń, co do której nie mają żadnego doświadczenia. Nowe wynalazki i wydarzenia mogą wkrótce spowodować, że statki powietrzne dadzą się kierować, że przy pomocy siły motoru będzie można je wysłać nad pole bitwy, tak by wzięły w niej udział w krytycznym momencie, prawdopodobnie z decydującym wynikiem, przez co na dłuższą metę zaoszczędzone zostanie życie ludzkie i skrócony konflikt. Czy byłoby humanitarne powstrzymanie takich skutków? Zamiast stałego zakazu kapitan Crozier zaproponował zakaz na pięć lat; przy końcu tego okresu będzie się miało lepsze pojęcie o możliwościach statków powietrznych. Delegaci, tym razem przekonani, wyrazili zgodę.

Wnioskowi o zakaz używania gazów trujących brakło do jednomyślności jednego głosu — kapitana Mahana. Uparcie odmawiał on wycofania swego sprzeciwu, na tej zasadzie, że Stany Zjednoczone są przeciwko ograniczaniu „wynalazczego geniuszu swych obywateli w produkowaniu nowych broni

wojennych”. Jeszcze nic nie zrobiono, aby je wynaleźć, a gdyby tak było, to według opinii Mahana, gaz byłby mniej niehumanitarny i okrutny niż atak podwodny, którego konferencja nie zakazała. Mimo jego samotnego sprzeciwu delegaci uchwalili zakaz gazów trujących.

Na świecie daleko od Hagi nacjoniści chińscy, zwani „Sprawiedliwymi Pięściami” lub Bokserami, atakowali cudzoziemców w Pekinie. Buro wie i Brytyjczycy znaleźli się na krawędzi wojny w Afryce Południowej, Amerykanie wszczęli wojnę z Filipińczykami, we Włoszech wybuchły rozruchy proletariatu, w Hiszpanii policja strzelała i zabijała demonstrantów, w Belgii wybuchł kryzys parlamentarny w sprawie prawa wyborczego dla wszystkich mężczyzn, powszechnie mówiono o zamachu na francuskiego prezydenta podczas wyścigów. „Jak znudzona byłaby Europa, gdyby nie Francja”, zastanawiał się pełen patriotyzmu korespondent „Le Temps”. Bourgeois wrócił szybko do kraju, aby spróbować coś pomóc w kryzysie, lecz postanowił w końcu nie podejmować ciężaru rządów; jak z ironią zauważył Jaurès, „anioł arbitrażu leci z powrotem do Hagi, aby powrócić, kiedy minie niebezpieczeństwo”.

Wśród uroków Huis ten Bosch perspektywa wyników w dużym stopniu negatywnych, przyjmowana początkowo z beztrząsą, teraz wzbudzała pewien niepokój; obawiano się reakcji opinii publicznej, zwłaszcza socjalistów, „strasznego sumienia” społeczeństwa. Jeśli konferencję zakończy wspólnie, lecz pozbawiona jakiegokolwiek znaczenia uroczystość, socjaliści z triumfem uznają niepowodzenia za dalszy dowód nieudolności rządów, a siebie za prawdziwych reprezentantów ludzkości przeciw jej panom. Delegaci powtarzali jedno drugiemu słowa barona d'Estournelles, który opowiadał, że kiedy wyjeżdżał z Paryża, Jaures powiedział mu: „Dalej, róbcie w Hadze wszystko, co możecie, lecz będziecie pracować na próżno. Niczego nie możecie tam dokonać, wasze projekty zawiodą, a my będziemy triumfować”. Socjaliści, jak mówił jeden z delegatów, przez całe lato kręcili się wokół Hagi jak kot wokół klatki z ptakami. W Amsterdamie zorganizowali masowy wiec przy udziale trzech tysięcy ludzi, który potępił rzekome wysiłki rządów i stwierdził, że pokój można osiągnąć tylko przez zorganizowanie mas przeciw kapitalistom.

„Dlaczego nikt nie pisze na drzwiach konferencji *mane, tekel, fares*”? pytał anonimowy korespondent „Le Temps”, który w ostrych barwach odmalował tamto lato. Obserwując dzieci holenderskich rybaków bawiące się

na ulicach i uśmiechnięte kokieteryjnie dziewczyny na przechadzce, pisał: „Jeśli to wielkie zgromadzenie nie osiągnie swego celu, bezsensowna rywalizacja państw może pewnego dnia skosić tych młodych ludzi i rozrzucić ich ciała na milionach pól bitewnych”.

Nadzieją konferencji pozostała teraz komisja arbitrażowa. W komisji tej zasiadali wszyscy szefowie delegacji wielkich mocarstw, Pauncefote, White, Bourgeois, Münster, de Staal, na jej prace zwracano najwięcej uwagi, jej członkowie, pod naporem opinii publicznej, pracowali naprawdę, dyskusje były ożywione, budziły się namiętności. Brytyjczycy, Rosjanie i Amerykanie, wszyscy przyjechali z projektami stałego trybunału. Jako podstawę dyskusji przyjęto projekt Pauncefote'a, który nie wprowadzał obowiązku powierzania sporów trybunałowi. Hrabia Münster, z dwoma profesorami u boku, oświadczył od razu, że Niemcy są w ogóle przeciwne arbitrażowi, jakkolwiek by on był. Powiedział do White'a, że cała ta idea to tylko „hum-bug” i że jest „krzywdząca” dla Niemiec, bo jego kraj, jak tłumaczył bez zażenowania, „jest przygotowany do wojny jak żaden inny” i mógłby się zmobilizować w przeciągu dziesięciu dni, szybciej niż Francja czy Rosja, czy jakiegokolwiek inne mocarstwo. Oddanie pod arbitraż sporu, który i tak w końcu mógłby doprowadzić do wojny, dałoby tylko rywalizującym mocarstwom czas na dogonienie Niemiec i przekreślenie przewagi, jaką zapewnia im szybka mobilizacja. Na marginesie sprawozdania Münstera kajzer napisał uwagę: „To właśnie jest celem całej tej zabawy”.

Kajzer wciąż szalał na najmniejszą wzmiankę o arbitrażu, uważając to za naruszenie jego osobistej suwerenności i za spisek w celu pozbawienia Niemiec przewagi osiągniętej dzięki ich niezrównanej organizacji militarnej. Pauncefote, White i Bourgeois postanowili koniecznie coś osiągnąć, wobec czego komisja starała się wytrwale wydusić jakąś formę trybunału. Cywilni delegaci pracowali wbrew zawziętemu oporowi swoich rządów i wojskowych kolegów, których szalenie denerwowała najmniejsza wzmianka o zasadzie przymusu. Nikt nie chciał zrezygnować nawet z całej suwerenności ani z godziny przewagi militarnej; chwilami wszystko wyglądało beznadziejnie. Pewnego dnia, gdy wiatr wiał od morza, baronowa von Suttner napisała w swoim dzienniku: „Zimne, zimne są wszystkie serca — zimne jak powiew przenikający przez trzaskające okna. Jestem zziębnięta do kości”.

Mimo wszystko, wobec nadrzędnej konieczności przedstawienia jakichś

wyników do wiadomości publicznej, po trochu, ostrożnie, trybunał, wprawdzie słaby, zaczął się konkretyzować. Jakikolwiek próby nadania mu mocy w sprawach dotyczących „honoru lub żywotnych interesów” groziły, że koncepcja trybunału całkowicie upadnie. Delegat austriacki nie miał zastrzeżeń co do trybunału, który mógłby decydować w sporach o sprawy niniejszej wagi, „jak na przykład interpretacja postanowień dotyczących komisji pocztowej lub sanitarnej”, lecz zdecydowanie odrzucał wszystko inne. Grupa delegatów bałkańskich — Rumunii, Bułgarii, Serbii i Grecji — doprowadziła do kryzysu grożąc wystąpieniem, jeśli zachowane zostanie postanowienie o „komisjach śledczych”. Z najwyższą trudnością, punkt po punkcie, ustalone zostały kompetencje i procedura trybunału — nie osiągnięto jednak jednomyślności.

Niemcy nie chciały zgodzić się na nic. Inne kraje, które równie niechętnie odnosiły się do tej idei, nie przyznając się do tego, mogły być pewne, że Münster swoim codziennym sprzeciwem dokona za nich dzieła. White pisał z rozpaczą, że trybunał bez udziału Niemiec wyda się światu „fiaskiem, a może nawet farsą”. Prowadził codziennie poważne dyskusje z niemieckimi delegatami, argumentując, że wskutek ich oporu car stanie się bożyszczem prostych ludzi, a kajzer przedmiotem nienawiści. Nie mają prawa stawiać swojego „szlachetnego i utalentowanego” monarchy w takiej sytuacji. Powtórzył słowa Jauresa skierowane do d'Estournelles'a i widząc, że zrobiło to pewne wrażenie, napisał o tym w liście do Bülowa; odszukał także Steada i powiedział mu, żeby to zużytkował „na wszelkie sposoby”. Stead zastosował się do polecenia z takim zapałem, że profesor Zom poskarżył się na „terroryzm prasy spod znaku Steada i p. Suttner” i ostrzegł swój rząd, że całkowite wstrzymanie się od współpracy naraziłoby Niemców na niebezpieczeństwo potępienia ich jako „jedynych mącicieli pokoju”. Ambasador niemiecki ostrzegał z Petersburga Bülowa, że jeśli konferencja nie doprowadzi do niczego, car poczuje się osobiście znieważony, a cały świat przypisze „nam odpowiedzialność i odium za niepowodzenie”.

Naciski zaczęły działać. Gdy Münster się wahał, nadeszła depesza z Berlina stwierdzająca, że kajzer wypowiedział się „zdecydowanie i ostatecznie” przeciw arbitrażowi. Zrozpaczony White namówił Münstera, aby wysłał do Berlina Zoma, a sam posłał Fredericka Hollsa, sekretarza delegacji amerykańskiej, celem osobistego przedstawienia sprawy kajzerowi i jego ministrom. Wyznaczone na piątek posiedzenie komisji arbitrażowej

zostało odroczone aż do ich powrotu, w poniedziałek. Przyszedłszy do hotelu, White zastał gościa, najmilszego „ze wszystkich ludzi na świecie”, Thomasa B. Reeda, którego „wielkość, serdeczność, mądrość” i czarujący sposób prowadzenia rozmowy pomogły mu spędzić pełen napięcia weekend.

W Berlinie kajzer uchylił się od rozmów, ale przeczytał sprawozdanie Btilowa, który z żalem donosił, że „bardzo popularna” idea arbitrażu zyskała poparcie Anglików, Włochów, Amerykanów, a nawet Rosjan, tak że Niemcy jedyni pozostali w opozycji. Kajzer zasmarował cały margines uwagami pełnymi oburzenia. „Zgodziłem się na cały ten nonsens tylko po to, aby car nie stracił twarzy wobec Europy — pisał. — W praktyce będę jednak polegał na Bogu i moim ostrym mieczu.

I sram na wszystkie ich decyzje”.

Zostało to, jak widać, uznane za łaskawą zgodę Jego Cesarskiej Mości, bo w dwa dni później dotarła do Hagi wiadomość, że Niemcy podpiszą porozumienie arbitrażowe. Nareszcie miało coś wyniknąć z konferencji; zniknęło straszliwe widmo bezowocności i triumfu socjalistów. Delegaci pracowali z całych sił, aby zredagować konwencję złożoną z sześćdziesięciu jeden artykułów, starając się równocześnie z „niemal makabryczną gorliwością” usunąć jakikolwiek ślad przymusowości. Decydujące głosowanie miało się odbyć w ostatnim tygodniu konferencji, tymczasem udaremnili to — nie kto inny — lecz Amerykanie. Delegatów ogarnęło zdumienie. White, niezmiernie zakłopotany, oznajmił, że jego delegacja nie może podpisać artykułu 27, włączonego na wniosek Francuzów, który nakłada na sygnatariuszy „obowiązek” przypominania stronom w sporze o istnieniu trybunału.

Przykre położenie White'a było spowodowane przez kapitana Mahana, który z kolei pośrednio reagował na działalność Steada. Pod wpływem niezwykle entuzjastycznych sprawozdań Steada „Manchester Guardian” powitał projekt Konwencji Arbitrażowej jako ważne narzędzie pacyfistyczne — gdyby obowiązywała ona w 1898 roku, mocarstwa europejskie doprowadziłyby do arbitrażu między Hiszpanią i Stanami Zjednoczonymi, co zapobiegłoby wojnie między nimi. Mahan przeraził się czytając ten artykuł. To „uczciwe starcie” mogło być nie dojść do skutku. Widział już w przyszłości sieć powikłań rozciągająca się u stóp nieostrożnej Ameryki. Zebrawszy swoich kolegów delegatów Mahan przekonywał, że artykuł 27

zobowiązywałyby Stany Zjednoczone do ingerencji w sprawy europejskie i *vice versa* i gdyby został podpisany, spowodowałyby ze strony Senatu odmowę ratyfikacji trybunału. Zahipnotyzowani i przekonani jego nieubłaganą logiką, White oraz pozostali członkowie delegacji ulegli, mimo że narazili przez to na niebezpieczeństwo całe swoje z trudem osiągnięte dzieło. Jeśli Amerykanie odmówią podpisania części porozumienia, inne narody mogą się wycofać i rozleci się mozolnie sklecona struktura. White próbował bezzwłocznie namówić Francuzów do usunięcia artykułu 27 lub przynajmniej do skreślenia słowa „obowiązek”. Bourgeois i d'Estournelles nie chcieli zmienić nawet przecinka. Groziło całkowite fiasko. Uroczystości zamknięcia przewidziane były na następny dzień, 29 lipca. Manewrując rozpaczliwie, White starał się osiągnąć kompromis. W ostatniej chwili Amerykanie zgodzili się podpisać, z zastrzeżeniem, że odmawiają jakiegokolwiek zobowiązania do „wtrącania się, mieszania i wikłania” w politykę europejską. I tak ledwo dyszący arbitraż wyciągnięty został kleszczami na świat.

Cały wynik konferencji haskiej stanowiły trzy konwencje: arbitrażowa, praw i zwyczajów wojny lądowej, w sprawie rozszerzenia postanowień genewskich na wojnę morską; trzy deklaracje: w sprawie pocisków z balonów, gazów trujących i pocisków rozpadających się; trzy „dezyderaty” do zrealizowania w przyszłości i jedna rezolucja. Ta ostatnia wyrażała pogląd konferencji” że ograniczenie wydatków wojskowych i nowych rodzajów broni jest „wysoce pożądane dla moralnego i materialnego dobra ludzkości” i powinno stać się przedmiotem „dalszych rozważań” przez państwa. Była to pobożna pieśń pogrzebowa dla wszystkiego, co pozostało z pierwotnego zamierzenia Rosji; delegaci nie chcieli jednak całkowicie pogrzebać idei haskiej. Choć przybyli z cynicznym nastawieniem i choć rezultat ich pracy okazał się kaleki, większość z nich czuła jednak, że uczestniczyli w czymś ważnym, i pragnęła, aby nie poszły na marne położone przez nich podwaliny. Uczuciu temu dali wyraz w „dezyderacie”, aby kiedyś w przyszłości odbyła się druga konferencja — choć myśl ta nie wszystkim się podobała. Hrabia Münster odjechał zrzędząc, że nie ma ochoty patrzeć, jak międzynarodowe konferencje pienią się niby „złe chwasty”.

W trzy miesiące po konferencji pokojowej Wielka Brytania przystąpiła do wojny w Afryce Południowej. Sprawa Dreyfusa odwróciła uwagę od konferencji, jak ze smutkiem stwierdził jeden z byłych delegatów, a teraz

wojna burska zdawała się jej przeczyć. Nie zamierzonym epitafrum konferencji stała się wypowiedź Andrew White'a, który mimo woli złożył w niej hołd uciążliwemu koledze, kapitanowi Mahanowi: „Kiedy przemawia, millennium się oddala”.

Nim zebrała się druga konferencja w 1907 roku, znów w Hadze, wydarzyła się wojna, rewolucja, powstały nowe przymierza, nowe rządy, nowi przywódcy i rozpoczęło się nowe stulecie. Dwudziesty wiek był już wtedy niewątpliwie nowoczesny, to znaczy z największą energią i mniejszą pewnością siebie zaabsorbowany pogonią za dobrami materialnymi; zapomniano o dekadencji, ale pojawiły się wątpliwości. Energia mechaniczna i dobra materialne mnożyły się i rozpowszechniały, lecz równocześnie zadawano sobie pytanie, czy rzeczywiście stanowią dobrodziejstwo. Postęp, ten wielki pewnik dziewiętnastego wieku, nie wydawał się już taki niezawodny.

Na przełomie stulecia ludzie odczuwali lęk, jakby karta ludzkiego losu obrócona została ręką Boga. 84 W Berlinie o północy chwilę tę zasygnalizowały salwy armatnie; ktoś ze współczesnych zapisał, że słuchał tego dźwięku „z pewnego rodzaju dreszczem: wiedziało się, co zabierał z sobą wiek dziewiętnasty, nikt nie wiedział, co przyniesie dwudziesty”.

Przede wszystkim przyniósł przemoc. Narodzinom nowego stulecia towarzyszyły awantury, na razie na peryferiach: na Filipinach, w Afryce Południowej, rebelia Bokserów. Francja w 1900 roku doszła do stanu takiego niepokoju i rozgoryczenia, że według „Puncha” pierwszym jej aktem nazajutrz po zamknięciu Wystawy Światowej miało być wypowiedzenie wojny Anglii, „bo powstrzymywali się tak długo, że będą natychmiast musieli zrobić coś desperackiego”. W roku 1900 kajzer wzywał wojska niemieckie udające się na ekspedycję kamą do Pekinu, aby w bezwzględności starali się dorównać Hunom. W czasie rebelii Bokserów przekonał się o kłopotach wynikających z nadmiernej gorliwości przedsiębiorstw zbrojeniowych. Dowiedziawszy się, że niemiecka kanonierka została ugodzona siedemnaście razy w walce z chińskimi fortami, wyposażonymi w najnowsze działo Kruppa, wysłał do Fritza Kruppa gniewny telegram: „Teraz, kiedy wysyłam moich żołnierzy do walki przeciw żółtym bestiom, nie pora wykorzystywać dla pieniędzy tak poważnej sytuacji”.

Rządziły pieniądze i kolosy. W roku 1900 Morgan wykupił udziały

Carnegie'ego i stworzył wraz z Rockefellerem i setką innych firm olbrzymią korporację U. S.

Steel, pierwszą na świecie spółkę o portfelu akcyjnym wynoszącym miliard dolarów. Król belgijski Leopold, Morgan Europy, budowniczy za wielki na swój kraj, stworzył z Konga intratne imperium, podczas gdy Brytyjczycy i Amerykanie, zajęci zabijaniem Burów i Filipińczyków, ubolewali głośno nad jego metodami. Trzystu ludzi, jak mówiono, „dobrze się wzajem znających, kierowało gospodarczymi sprawami kontynentu”.

W 1900 roku czterdziestoczteroletni Oscar Wilde, ruina człowieka, zmarł w Paryżu, a w Weimarze w wieku pięćdziesięciu pięciu lat zmarł obłąkany Nietzsche. „Wtedy w 1900 roku — pisał W. B. Yeats — wszyscy zeszli z koturnów, od tego czasu nikt nie oszalał, nikt nie popełnił samobójstwa, nikt nie przystąpił do Kościoła katolickiego, a jeśli ktoś przystąpił, zapomniałem o tym. Wiktorianizm poniósł porażkę”. Niektórzy się cieszyli, niektórzy żalowali tej porażki, ale sprawa była oczywista. Jakby dla podkreślenia tego faktu, sama królowa — choć wydawało się to nieprawdopodobne — zeszła ze świata.

W roku 1900 wydawało się, że potęga i energia ponoszą cały świat. Skłoniło to Henry'ego Adamsa do sformułowania „prawa przyspieszenia” w historii. Miał wrażenie, że ilekroć przejeżdża przez Champs Elysées, musi spodziewać się wypadku, a ilekroć stoi obok osoby urzędowej, musi spodziewać się bomby. „Jak długo utrzyma się takie tempo postępu, bomby będą co dziesięć lat podwajając swą liczbę i siłę... Siła wyskakuje z każdego atomu. Człowiek nie może jej już powstrzymać. Siły chwytają go za ręce i rzucają nim, jakby trzymał się naelektryzowanego drutu lub pędzącego samochodu”.

Adams trafnie dobrał porównanie, bo samochód stał się jednym z dwóch najpotężniejszych w stuleciu czynników przyszłych zmian społecznych; drugim była podświadomość. Nie znając jeszcze jej potencjału, sformułował jej teorię w książce Teoria snów wiedeński lekarz, dr Zygmunta Freud. Choć książka nie zyskała wielu czytelników i dopiero po ośmiu latach wysprzedane zostało jej liczące sześćset egzemplarzy wydanie, pojawienie się tego dzieła sygnalizowało rzeczywisty koniec ery wiktoriańskiej.

Wystawa Światowa z roku 1900, zajmująca 277 akrów w sercu Paryża, przedstawiła od kwietnia do listopada pięćdziesięciu milionom

zwiedzających siły i umiejętności nowego stulecia. Choć na tej wystawie Francuzom nie udało się dorównać wieży Eiffla z ostatniej wystawy, wybudowali jednak z tym samym *élan* nowy cud inżynierii i piękności, most Aleksandra III, którego wdzięczny łuk jednym rzutem obejmował Sekwanę. Uważano, że „nie ma równego na świecie”, a dwa nowe stałe budynki wystawy na prawym brzegu, Grand i Petit Palais, zostały jednomyślnie uznane za „stosowne i okazałe”. Nie zdobyła takiego uznania Porte Monumentale, czyli główna brama przy Place de la Concorde, zbudowana, jak to się zdawało jednemu obserwatorowi, z dykty, gipsu, rozbitego szkła, kitu, starych koronkowych firanek i kleju. Na jej szczycie zamiast tradycyjnej Bogini Postępu czy Oświaty paryżanka z gipsu w wieczorowej sukni witała świat rozpostartymi ramionami. Choć niektórym brama wydawała się wesoła i elegancka, większość widziała w niej pożałowania godny wyraz nowej wulgarności nowego stulecia. W nocy kolorowe światła elektryczne migotały na wysokich zelektryfikowanych fontannach, zdążono otworzyć nowe metro, na dodatkowym terenie Expo w Vincennes wybudowano tor do jazdy próbnej i do wyścigów automobilowych. Publiczności najbardziej ze wszystkich cudów podobał się *trottoir roulant*, okrążający teren podwójny ruchomy chodnik, którego jedna część poruszała się dwa razy szybciej niż druga. W budynkach prowizorycznych architektki, uganiający się za sensacją, osiągnęli coś, co jedni uważali za pasjonująco oryginalne, a inni za „rozpuszczenie sztuki”. Ekspozycje w Pałacach Maszynierii, Elektryczności, Inżynierii Lądowej i Transportu, Kopalnictwa i Metalurgii, Przemysłu Chemicznego i Tekstylnego przedstawiały wszystkie niezwykłe osiągnięcia ostatniej dekady.

Z pawilonów narodowych największą popularnością cieszył się rosyjski — egzotyczny bizantyjski pałac z modelem Kolei Transsyberyjskiej; zwiedzający mogli siedzieć we wspaniałym wagonie kolejowym i podziwiać przesuwającą się panoramę krajobrazową. Pawilon Wiedeński, w fantazyjnym stylu secesji, miał balkony z wypukłymi ozdobami w postaci winnej latorośli, a ceramika i meble gięły się w krętych liniach nowego stylu. Stany Zjednoczone przedstawiły najwięcej eksponatów, ale najbardziej imponująca była wystawa niemiecka, prezentująca w znakomity sposób rzeczy najwyższej jakości. Potwierdzała zdecydowaną chęć przewyższenia wszystkich innych wystawców. Niemieckie dynama były największe, iglica pawilonu najwyższa, reflektor najjaśniejszy, restauracja najkosztowniejsza. Podobno sam kajzer zamówił najpiękniejszą porcelanę i srebro, najcieńsze szkło, najbardziej luksusową obsługę, tak że czuło się, jak powiedział jeden

ze zwiedzających, prawdziwy styl „Wilhelma II”.

Z poszczególnych eksponatów rzucało się w oczy największe na całej wystawie działo Schneider-Creusota o dalekim zasięgu oraz kolekcja groźnych szybkostrzelnych karabinów maszynowych Vickers-Maxima. Patrząc na nie zwiedzający zamyślali się poważnie. Jednego zwłaszcza korespondenta angielskiego eksponaty te skłoniły do filozoficznych rozważań na temat prawdziwego znaczenia wystawy dla zapoczątkowania nowej ery. Wydawało mu się, że wielkie działo Schneidera zagraża całemu światu zgromadzonemu w Paryżu i że oznacza przesunięcie wojny ze sfery sportu w sferę nauki, w której produkowanie broni absorbuje pomysłowość ludzkości. Jeśli w ogóle kiedyś nadejdzie chwila ciszy, pisał, odżyje może sztuka pokoju, „ale tymczasem paryska wystawa nauczyła nas, że sukces współczesnego świata jest czysto mechaniczny”.

Sukcesy następowały jeden po drugim. W roku 1900 Max Planck przerwał klasyczne łańcuchy fizyki Newtona formułując kwantową teorię energii. W Szwajcarii w 1905 roku Albert Einstein, profesor uniwersytetu w Zurychu, ogłosił zdumiewającą pracę o nowej teorii względności. W 1901 telegraf bez drutu połączył wybrzeża Atlantyku, a Daimler zastąpił wóz bezkonny pojazdem będącym już wyraźnie samochodem. W 1903 zmotoryzowana, dająca się sterować machina latająca latała w Kitty Hawk. Ale żadna epoka nie jest jednorodna. Niektórzy, jak Henry Adams, w powstających codziennie cudach nauki i techniki wciąż nie dopatrywali się groźby, lecz spodziewali się po nich postępu w dziedzinie sprawiedliwości społecznej. „Wydawało się, że zaledwie za kilkadziesiąt lat — myślał Stefan Zweig, młody intelektualista z Wiednia — zostaną ostatecznie przezwyciężone ostatnie ślady zła i przemocy”.

W 1900 roku niemiecka Ustawa Morska przyspieszyła porzucenie przez Anglię zasady izolacji. Ustawa ta przewidywała powiększenie floty o dziewiętnaście nowych okrętów wojennych i dwadzieścia trzy krążowniki w ciągu najbliższych dwudziestu lat, co stanowiło wyraźne wyzwanie dla brytyjskiej supremacji na morzu, stanowiącej podstawę egzystencji Wielkiej Brytanii. Przekonało to Wielką Brytanię, że potrzeba jej przyjaciół. W 1901 roku traktat podpisany przez Haya i Pauncefote'a położył podwaliny dobrych stosunków ze Stanami Zjednoczonymi. W 1902 izolacja samowystarczalnego mocarstwa, kiedyś tak wspinała i niewzruszona, zakończyła się na zawsze uroczystym przymierzem z Japonią. W 1903 nowy król Anglii, Edward VII,

przygotował grunt do pojednania z Francją, składając tam ceremonialną wizytę, z której wywiązał się z taktem i z godnością. W 1904 nowa polityka zakończyła się angielsko-francuską *Entente*: w ten sposób porzucono dawne spory i nawiązano nową Przyjaźń, określając zasady równowagi w Europie.

Anglia zabrała się równocześnie do umocnienia swoich sił fizycznych, aby sprostać nowym wyzwaniom całego świata. Ponieważ okazało się, że jej armia w akcji nie dotrzymuje kroku współczesności, Balfour, będący wówczas premierem, powołał Komitet Obrony Królestwa, mający opracować strategię oraz zreorganizować i zmodernizować siły zbrojne. Jednym z trzech członków komisji mianował sir Johna Fishera; chciał też mianować kapitana Mahana profesorem historii współczesnej w Cambridge, po lordzie Actonie, lecz król Edward sprzeciwił się twierdząc, że jest dosyć angielskich historyków. Mimo całej wyrafinowanej pozy Balfoura jego uznanie dla dwóch pozbawionych sentymentów weteranów Hagi objawiło, że ma on podobne nastawienie. W 1904 roku mianował Fishera Pierwszym Lordem Admiralicji. Nowy zwierzchnik marynarki miał w głowie doniosłe plany.

W tym samym roku Rosja wszczęła wojnę z Japonią i wkrótce ugrzęzła w serii przegranych kampanii, wśród których szczególnie zaznaczyło się poddanie Portu Artura w styczniu 1905 i upokarzająca, choć nie ostateczna klęska w bitwie pod Mukdenem w marcu tegoż roku. W trzy tygodnie później zadzwieczał w Maroku dzwon alarmowy dla Europy.

Ku wielkiemu oburzeniu Niemiec Ententa angielsko-francuska uznała francuską sferę wpływów w Maroku. Teraz, kiedy Rosja nie mogła przyjść z pomocą Francji, Bulów i Holstein postanowili dokonać próby sił, która według ich przypuszczeń miała odsłonić słabość Ententy. 31 marca 1905 kajzer w sposób zdumiewający, choć nieco nerwowy, dokonał napadu na Tanger, co przyjęte zostało przez wszystkie narody jako otwarte wyzwanie. Pociągnięcie udało się aż nazbyt dobrze — Europa zadrżała z wrażenia. Krok ten po telegramie do Krugera przekonał ostatecznie sąsiadów Niemiec, że ich zamiary są jak najbardziej wojownicze i że istnieje potrzeba działań bardziej konkretnych niż sama tylko Ententa. „Zwińcie mapę Europy”, powiedział Pitt z rozpaczą dziewięćdziesiąt dziewięć lat temu, gdy Napoleon zwyciężył pod Austerlitz. Anglia rozwinęła ją teraz z innym nastawieniem. Nawiązała militarne pertraktacje z Francją, podbudowując je zbrojeniami i przewidując po raz pierwszy od czasu Waterloo wysłanie korpusu ekspedycyjnego na kontynent z pomocą dla określonego sprzymierzeńca przeciw określonemu

wrogowi.

W maju 1905 roku Rosyjska Flota Bałtycka zetknęła się z wrogiem, z fatalnym dla siebie skutkiem, w Cieśninie pod Cuszimą; było to pierwsze w świecie czołowe starcie współczesnych wielkich okrętów na pełnym morzu. Flota rosyjska została zniszczona, ale jej klęska nie zakończyła wojny i choć tylko nieliczni zdawali sobie z tego sprawę, potwierdziła tezę Blocha, że nie zwycięstwa na polu bitwy odgrywają teraz decydującą rolę, lecz całe zasoby narodów. Zwycięstwo Japonii zdumiało Stary Świat i zaalarmowało Nowy. W trzy miesiące po Cuszimie, w lipcu 1905 roku, prezydent Stanów Zjednoczonych zaproponował pośredniczenie między Rosją i Japonią, nie tyle aby ratować Rosję, co raczej by wstrzymać Japończyków, którzy, jak mu się zdawało, posunęli się za daleko. Strony przyjęły propozycję i udały się w sierpniu do Portsmouth, New Hampshire, na negocjacje w sprawie traktatu pokojowego pod egidą prezydenta Stanów Zjednoczonych. Był to charakterystyczny moment w historii Zachodu. McKinley, Cleveland czy Harrison nie mogliby sobie nawet wyobrazić odegrania takiej roli, ale teraz działały nowe siły i nowy człowiek znajdował się u steru.

„Theodore! ze wszystkimi twymi wadami...” — taki jedno wierszo wy artykuł wstępny w nowojorskim „Sun” wyraził preferencje tego pisma w ubiegłorocznych wyborach prezydenckich. Jego kandydat, obecnie urzędujący prezydent, kierował z zapalem krajem znajdującym się u szczytu koniunktury i dobrobytu. Wojna hiszpańsko-amerykańska ożywiła przemysł, wskutek czego skończył się kryzys, bezrobocie i gwałtowne zamieszki robotnicze lat dziewięćdziesiątych, a rozgoryczenie klasowe z okresu kampanii McKinley-Bryan z 1896 roku straciło ostrze przy pełnym żłobie. Postępowcy, stanowiący nową lewicę, byli ekspansjonistami, przekonanymi, że Ameryka powinna dążyć „naprzód i w górę”. Prezydent Roosevelt, maszerując na czele, zlikwidował strajk węglowy, „wziął Panamę, zaczął budowę kanału, rzucił wyzwanie trustom, angażujących się w krucjaty dziennikarzy nazwał złośliwie „rozrabiaczami” (*muckrakers*), wystraszył kajzera z Wenezueli, a kiedy jakiś rzekomy obywatel amerykański został porwany przez bandytów w Maroku, wysłał z odsieczą amerykańską flotę z głośnym żądaniem (wyrażonym przez Johna Haya): „Chcemy Peraicardisa żywego albo Raisuliego martwego! „

„Prezydent jest w najlepszym humorze — powiedział jego przyjaciel Jules Jusserand, francuski ambasador — jest zawsze w najlepszym humorze”.

Tryskał energią umysłową jak gejzer, a wady miał takie jak każdy. Naczelny prokurator Philander Knox podziwiał sposób, w jaki prezydent ignorował jego rady, a raz powiedział: „Ach, panie prezydencie, dlaczego by psuć taką piękną akcją jakimkolwiek śladem legalności”⁹⁴. Rektor Eliot nadal się nim nie zachwycił, ale gdy Roosevelt przyjechał w 1905 roku do Cambridge na zebranie z okazji dwudziestopięciolecia uzyskania dyplomu, czuł się zobowiązany zaprosić go na pobyt do swego domu. Po przyjeździe Roosevelt, spocony, chciał się umyć, zdjął marynarkę, zwinął ją i cisnął tak gwałtownie przez sypialnię, że strąciła na ziemię poduszkę, wyjął z kieszeni duży pistolet i rzucił go na toaletę. Po umyciu „zbiegł pędem ze schodów, jakby życie od tego zależało”, a zapytany przez Eliota: „Czy zje pan ze mną śniadanie?” odpowiedział: „O, nie, przyrzekłem biskupowi Lawrence'owi, że śniadanie zjem z nim. I na miłość boską! — uderzył prawą ręką w bok — zapomniałem mojego rewolweru!” Prezydent Stanów Zjednoczonych wziął z powrotem rewolwer i popędził spotkać się z biskupem, a rektor Harvardu, przerażony pogwałceniem obowiązującego w Massachusetts zakazu noszenia pistoletów, wyszeptał: „Bardzo samowolny, bardzo samowolny charakter”.

Rewolwer reprezentował może nie tyle samowolny charakter, co panujące w tym okresie przekonanie, że życie jest walką. Nikt nie odczuwał tego żywiej niż Roosevelt. Gardził wyrażoną przez Tołstoja „głupią teorią, że ludzie nie powinni nigdy prowadzić wojen”, ponieważ uważał, że „kraj, który traci zdolność bronięcia się w prowadzonej wojnie, wykaże w końcu, że stracił wszystko”. Oburzało go, że dla orędowników pokoju postęp cywilizacji równa się „osłabieniu bojowego ducha”⁹⁶; w jego pojęciu takie osłabienie narażało narody bardziej cywilizowane na zniszczenie przez mniej cywilizowane. Mylił pragnienie pokoju z fizycznym tchórzostwem i dziwnie się na ten temat rozwodził: „Brzydzą się ludźmi jak (Edward Everett) Hale i pismami jak «Evening Post» i «Nation» ; tkwi w nich absolutny fizyczny strach przed niebezpieczeństwem i trudami i dlatego skorzy są do historycznego potępiania wojny i boją się jej” Rozglądając się wkoło ubolewał nad tym, co mu się wydawało „ogólnym osłabieniem charakteru, samolubstwem, zamiłowaniem do przepychu, obniżeniem kryteriów”, a zwłaszcza „postawą taką, jak postawa antyimperialistów”. „To mój człowiek!”, mawiał zazwyczaj kajzer, gdy wspomiano o Rooseveltcie.”

Żaden inny prezydent nie dbał tak bardzo o opinię publiczną. W 1902 roku baron d'Estournelles przyjechał prosić go, aby zrobił coś, co by tchnęło

życie w Trybunał Arbitrażowy. Roosevelt go wysłuchał. „Jest pan groźbą i nadzieją dla świata, zależnie od tego, czy poprze pan agresję, czy arbitraż — powiedział d'Estoumelles. — Świat jest przekonany, że skłania się pan ku przemocy. Niech pan dowiedzie, że jest odwrotnie”. „Jak?” zapytał prezydent. „Przez pobudzenie do życia trybunału haskiego”. Roosevelt szybko polecił sekretarzowi stanu Hayowi, aby znalazł coś do przedłożenia pod arbitraż, i Hay usłużnie odgrzebał dawną kłótnię między Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem o dobra kościelne, pierwszy spór dla zainauguowania działalności trybunału. Hay, który w czasie konferencji haskiej był sekretarzem stanu i sympatyzował z arbitrażem, pragnął podbudować prestiż trybunału i postarał się też o skierowanie do niego sporu o długi Wenezueli. W obawie, że prezydent może przyjąć propozycję Niemiec i wystąpić jako indywidualny mediator w tej sprawie, spacerował tam i z powrotem po pokoju, wołając: „Wszystko już załatwiłem, wszystko już załatwiłem! Żeby tylko Teddy trzymał język za zębami do jutra w południe!” Cel ten został szczęśliwie osiągnięty i trybunał otrzymał jeszcze jedną ważną sprawę.

Powoli przybywało traktatów arbitrażowych między poszczególnymi krajami. Anglia i Francja uzgodniły taki traktat, przystępując do Ententy w 1904 roku, drugi zawarły Norwegia i Szwecja. Kiedy w 1905 roku Norwegia bez jednego strzału stała się niezależnym państwem, zdarzenie to powitano jako dowód, że człowiek robi postępy. Przekazano także Trybunałowi Arbitrażowemu dwa inne międzynarodowe spory z tego okresu, sprawę Banku Dogger, między Rosją a Anglią, i sprawę długów Wenezueli; okazało się, że istnienie Trybunału jest bezcennym sposobem zachowania twarzy i zadowolenia opinii publicznej. Idea haska zaczęła nabierać ciała.

W lecie 1904 roku Unia Międzyparlamentarna, zgromadzona w St Louis Fair, uchwaliła rezolucję, w której prosiła prezydenta Stanów Zjednoczonych o zwołanie drugiej konferencji pokojowej dla podjęcia tematów odroczonej w Hadze i dla posunięcia dalej arbitrażu, tak by z czasem doprowadzić do powołania stałego trybunału prawa międzynarodowego. W Białym Domu Roosevelt odebrał rezolucję osobiście, przyjął również baronową von Suttner, która przeprowadziła z nim prywatną rozmowę na „temat tak drogi memu sercu”. Stwierdziła, że jest życzliwy, szczerzy i „pod wielkim wrażeniem powagi dyskutowanej sprawy”. Według jej dziennika miał powiedzieć do niej: „Powszechny pokój nadchodzi, na pewno nadchodzi — krok po kroku”. Ta najbardziej nieprawdopodobna wypowiedź dowodzi, w

jakim stopniu ludzie prawdziwie wierzący skłonni są słyszeć to, co chcą usłyszeć.

Roosevelt zdawał sobie sprawę, jaki splendor przynosi taka światowa rola, i uważał, że nie mniej niż car nadaje się do zwołania konferencji pokojowej. Toteż 21 października 1904 roku Hay polecił wysłannikom, aby zaproponowali ponowne zebranie się narodów w Hadze. Fakt, że drugą konferencję, podobnie jak pierwszą, zwołuje się w czasie trwania wojny, nie musiał, jego zdaniem, być uważany za zły omen.

Zainteresowane kraje zgodziły się pod warunkiem, że konferencja zbierze się po zakończeniu wojny rosyjsko-japońskiej. Ledwo jednak zakończyła się ta wojna, wybuchł kryzys marokański. Prezydent Roosevelt odegrał znów decydującą rolę i udało mu się przekonać kajzera, tym razem prywatnie, aby zgodził się na międzynarodową konferencję w sprawie Maroka. Odbyła się ona w styczniu 1906 roku w Algeciras przy uczestnictwie Stanów Zjednoczonych; okazała się porażką Niemiec i wywołała u nich jeszcze większą wojowniczość niż dotychczas. Napięcia międzynarodowe nie zelżały.

Na trzy miesiące przed Algeciras, w październiku 1905 roku, położono stępkę pod pancernik H. M. S. „Dreadnought”, pierwszy okręt tej klasy. Wyposażony w działa i opancerzenie sporządzone przez różne firmy zaopatrzeniowe, niesłychanie szybko i w największej tajemnicy przygotowany został do rozgrywek, a w rok i dzień później osiągnął największą wojskową przewagę — zaskoczenie. Pancernik, zaprojektowany przez Fishera, był większy, szybszy, uzbrojony w cięższe działa niż jakikolwiek inny okręt wojenny na świecie. Miał 18 000 ton wyporności, dziesięć dwunastocalowych dział, a jego napęd stanowiły nowe turbiny parowe; w porównaniu z nim wszystkie istniejące floty, wraz z niemiecką, stały się przestarzałe; ponadto wykazał on, że Wielka Brytania jest pewna siebie i zdolna do odbudowania swojej floty. Teraz Niemcy musiały nie tylko dorównać temu statkowi, ale także pogłębić swoje porty i poszerzyć Kanał Kiloński.

Dla Fishera, jak i dla Clemenceau, istniał teraz jeden tylko przeciwnik. W roku 1904 Fisher zaskoczył króla Edwarda, mówiąc na wpół żartem, że niemiecka flota powinna zostać „skopenhagowana”, to znaczy zmieciona niespodziewanym bombardowaniem; król, przerażony, odpowiedział: „Mój

Boże, Fisher, pan chyba zwariował”. Tego samego roku w Kilonii kajzer zdenerwował Bülowa, przypisując publicznie powstanie marynarki niemieckiej swojemu dziecinnemu podziwowi dla floty Wielkiej Brytanii, którą odwiedził w towarzystwie „miłych ciotek i życzliwych admirałów”. Uzasadnianie takimi sentymentalnymi przyczynami narodowego osiągnięcia, za które ludzie musieli płacić miliony, nie zachęci Reichstagu, zrzędził Bulów, do uchwalenia kredytów. „Ach, ten diabelny Reichstag!”, odpowiedział kajzer.

Tymczasem zaproszenia do Hagi zostały wysłane ponownie, nie przez Roosevelta, ale przez cara, który uważał, że musi odzyskać twarz. Dosyć już interwencji parweniuszowskiej Ameryki. We wrześniu 1905 roku, zaraz po zakończeniu prowadzonej przez cara wojny, dotarło do Waszyngtonu napomnienie, że on sam chce mieć prawo zwołania konferencji. Roosevelt uprzejmie zrezygnował. Traktat w Portsmouth, który za kilka miesięcy miał mu przynieść Pokojową Nagrodę Nobla, to było już — w jego pojęciu — dosyć dobrego. „Nie chcę osobiście występować jako zawodowy orędownik pokoju... z gatunku Godkina czy Schurza”, pisał do swego sekretarza stanu, Elihu Roota. Jego rezygnacja nie spodobała się orędownikom pokoju. Rosja, powiedział jeden z nich, „nie kroczy w straży przedniej cywilizacji”. Stało się to aż nazbyt wyraźne z chwilą wybuchu rewolucji 1905 roku. Zmuszony krytyczną sytuacją do wprowadzenia konstytucji i parlamentu, car wyparł się tego, skoro tylko odzyskał władzę, i ku oburzeniu zagranicznej opinii liberalnej rozwiązał Dumę.

Czas nie zdawał się sprzyjać konferencji pokojowej; jedną zachęcającą okolicznością była jednak zmiana rządu w Anglii, dzięki której do władzy doszła Partia Liberalna, tradycyjnie pokojowa. Nowym premierem został sir Henry Campbell-Bannerman, nazywany C.-B., rzetelny Szkot, purytanin z bogatej rodziny kupieckiej, który stracił popularność na dworze i w towarzystwie, bo potępił brytyjskie obozy koncentracyjne w czasie wojny burskiej jako „barbarzyńskie metody”. Niemniej król Edward, kiedy musiał go poznać, przekonał się, że jest on — jak obiecywał wspólny przyjaciel — naprawdę „tak prostolinijny, spokojny, mądry i pełen humoru” i nie można go nie lubić. C.-B. odznaczał się dowcipem, taktem i obyciem, które król wysoko cenił, i obydwaj dżentelmeni, mający wiele wspólnych zamiłowań, poczuli do siebie sympatię. Obydwaj jeździli corocznie na kurację do Marienbadu, obydwaj kochali Francję i obdarzali szczególną przyjaźnią

markiza de Galliffet. C.-B., choć liberał, był ku zdumieniu króla zupełnie „rozsądny w polityce zagranicznej”. Mówił po francusku najbieglej ze wszystkich Anglików, lubił robić zakupy w Paryżu, jeść francuskie potrawy i czytać francuską literaturę. Anatol France należał do jego ulubionych autorów.

Ten staromodny liberał, z natury rzeczy sprzyjający rozbrojeniu, przemawiając po raz pierwszy publicznie jako premier nieco pochopnie wzywał swoją partię, aby działała w tym kierunku na zbliżającej się konferencji, choć car tym razem, odwrotnie niż w roku 1898, wyraźnie pominął ten temat. Jednak C.-B. podjął go odważnie, jak również zobowiązanie działania na rzecz stałego sądu arbitrażowego. „Czyż ten wielki kraj mógłby wziąć na siebie szlachetniejszą rolę — pytał — niż stanąć na czele Ligi Pokoju? „Różniło się to nieco od poglądów nieugiętej grupy w jego własnym gabinecie w osobach Asquitha, Haldane'a i Greya, którzy, jako liberalni imperialiści, nie byli równie pokojowo nastawieni. Z nieoczekiwanym u siedemdziesięciolatka uporem C.-B. przeciwstawił się ich usiłowaniom, by zepchnąć go do Izby Lordów i uzyskać dla Asquitha przywództwo w Izbie Gmin. Nienawidził ich wszystkich i cieszył się ze swego triumfu.

Wkrótce rząd stanął przed dylematem, który stale towarzyszy władzy. Po latach potępiania torysów jako podżegaczy wojennych liberałowie stali się teraz nagle odpowiedzialni za bezpieczeństwo kraju. Choć w czasie wyborów zobowiązali się zredukować wydatki na wojsko i marynarkę, to kiedy wybory powszechne utwierdziły ich już we władzy, wcale nie mieli ochoty uchylać się od modernizacji armii, rozpoczętej przez torysów. C.-B., mówiąc o członkach Komitetu Obrony Imperium, Fisherze, lordzie Esher i sir George'u Clarku, przypuszczalnie w tej kolejności, używał określeń: niecny, despotyczny i dyktatorski; otrzymał ich jednak w spadku, podobnie jak program budowy pancerników. Haldane jako minister wojny podjął się obciąć o 3 000 000 funtów wydatki na armię, a równocześnie, dzięki gruntownym reformom, osiągnął lepszą zdolność do walki, tak jak to uczynił Fisher w marynarce. Utworzył Sztab Generalny i ochotniczą armię rezerwową, tzw. *Territorials*. W szkołach prywatnych i na uniwersytetach powstały zespoły szkolenia oficerów rezerwy, zaopatrzone przez rząd w broń, amunicję i instruktorów. Młodzi ludzie przyjęli to z entuzjazmem. Dźwięki trąbki i piszczałki wywierały nieodparty urok, choć głównie na

oficerów. Napływ szeregowców do armii rezerwowej osłabł po pierwszych dwóch latach.

W 1906 roku H. M. S. „Dreadnought” został doprowadzony do gotowości bojowej — osobliwy triumf dla liberałów — a Fisher domagał się zbudowania w roku 1907 trzech dalszych pancerników. Groził, że w razie odmowy zrezygnuje i zabierze z sobą trzech innych członków Rady Admiralicji. Dylemat liberałów okazał się przykry, ale nie nierozwiązywalny. Podkreślając, że marynarka ma cele obronne (co, biorąc pod uwagę charakter blokady, było sprawą dyskusyjną), rząd mógł dać Fisherowi jego pancerniki i równocześnie rozgrzeszyć swoje liberalne sumienie.

Raz jeszcze — mimo wielkiej niechęci — narody znalazły się wobec konieczności wyjazdu do Hagi. Odkładały ten przykry dzień przez cały rok 1906 i pół 1907, prowadząc bezładne dyskusje nad porządkiem dziennym. Rosyjski program, rozesłany w kwietniu 1906 roku, proponował jako tematy dyskusji arbitraż i reguły wojny, pomijając w dalszym ciągu rozbrojenie. Rosja po wydobyciu się z klęsk za granicą i rewolucji w kraju zainteresowana była uzupełnieniem, a nie redukcją zbrojeń, i konferencję zwołała jedynie po to, aby odebrać inicjatywę Stanom Zjednoczonym. W pojęciu Izwolskiego, aktualnego rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, rozbrojenie było „manią Żydów, socjalistów i histerycznych kobiet”. Jednak od czasu objęcia władzy w Anglii przez liberałów nie dało się pominąć kwestii rozbrojenia. Postawienie jej na porządku dziennym po pogrzebaniu w 1899 roku przypominałoby podpieranie nieboszczyka, pominięcie jej stanowiłoby przyznanie się do bezradności i narażenie na potępienie publiczne. Na zebraniu Unii Międzyparlamentarnej w kwietniu 1906 roku w Londynie C.-B. wzywał delegatów, aby u siebie w kraju skłonili swoje rządy „w imię ludzkości” do udania się do Hagi z poważnym zamiarem ograniczenia budżetów na wojsko i marynarkę. Trudno nazwać to zebranie szczęśliwym, bo w dniu otwarcia, kiedy delegaci tłoczyli się, gratulując zadowolonym członkom najmłodszego parlamentu, nadeszła wieść, że car rozwiązał Dumę. C.-B., który miał wygłosić przemówienie powitalne, był tak wstrząśnięty, że rzucił wyzwanie decyzji cara słowami: „W tej czy w innej postaci Duma odżyje. Możemy całkiem szczerze powiedzieć: „Duma umarła, niech żyje Duma!” Ta jego spontaniczna wypowiedź wywołała oficjalny protest Rosji.

W sprawie rozbrojenia kaiser zawiadomił, że jeśli poda się ten temat pod

dyskusję w jakiegokolwiek postaci, jego delegaci opuszczą konferencję, jednak spodziewa się, „że nie będzie to miało miejsca” w żadnym razie. W kraju bojowa partia pangermańska i następca tronu już go potępiali, że ustąpił w Algeciras, zamiast się bić, i niemieccy dyplomaci napomykali wobec innych ambasadorów, że mógłby nawet zostać usunięty, gdyby w wyniku konferencji zmuszono Niemcy do jakiegokolwiek ograniczenia zbrojeń. W czasie jednej z regularnych wizyt króla Edwarda, wymaganych ze względu na pokrewieństwo monarchów, lecz kończących się zazwyczaj katastrofalnie, wuj i siostrzeniec dyskutowali o przyszłej konferencji po raz pierwszy dosyć uprzejmie, może dlatego że w tej sprawie ich poglądy nie bardzo się różniły. Król „zupełnie nie pochwalał” konferencji, pisał kajzer do Roosevelta, „i z własnej inicjatywy powiedział mi, że uważa ją za «humbug»”. Według jego relacji król Edward uznał, że jest nie tylko bezużyteczna, bo w razie potrzeby nikt nie będzie się czuł związany jej postanowieniami, ale nawet niebezpieczna, bo może wywołać więcej tarć niż porozumień.

Dla Roosevelta było jasne, że współczesne Niemcy, „czujne, agresywne, militarne i uprzemysłowione... gardzą konferencją haską i całą ideą Hagi”. Obawiał się w tym okresie, aby brytyjski rząd liberalny „nie popadł w jakąś sentymentalną skrajność na konferencji haskiej”. Powiedział nowemu brytyjskiemu attache wojskowemu, hrabiemu Gleichenowi, kuzynowi króla, że jak ma nadzieję, Haldane i Grey nie dadzą się „ponieść sentymentalnym ideom”. Lękał się, że mogą być „pociągnięci przez swoją partię w tym kierunku... lecz niech im pan na to nie pozwoli”. Mówił Gleichenowi szczegółowo o swoim ówczesnym pomysle, aby ograniczyć raczej wielkość okrętów wojennych niż budżet marynarki. Nie wiedząc, że proponowana przez niego najwyższa granica 15 000 ton jest już przekroczona przez olbrzymi kadłub stojący wtedy w stoczni w Portsmouth, Roosevelt przedstawiał swoje życzenie, aby flota brytyjska pozostała w tej samej co dotychczas proporcji do flot europejskich i do floty japońskiej. Przekazując tę wiadomość królowi Gleichen dodał, że lunch w domu Roosevelta w Oyster Bay był „niezwykle ubogi”, obsługiwało tylko dwóch służących Murzynów i nikt nie czekał na niego na stacji — w sumie przyjęcie więcej niż skromne.

Gdy pojawił się pancernik „Dreadnought”, marynarka Stanów Zjednoczonych nie mogła pozostać w tyle i na życzenie Roosevelta w styczniu 1907 roku Kongres wyraził zgodę na budowę dwóch okrętów nowej klasy. Flota, pisał prezydent do rektora Eliota, jest „o wiele potężniejszym

czynnikiem pokoju niż wszystkie stowarzyszenia pokojowe”, a Kanał Panamski jest o wiele ważniejszy niż Haga. Jeśli chodzi o konferencję, dodał, „największe kłopoty sprawią ekscentryczni wizjonerzy, zwariowani na punkcie dokonania tego, co niemożliwe”.

Należał do nich między innymi Andrew Carnegie, którego spółka, gdy sprzedał ją Morganowi w 1900 roku za 250 000 000 dolarów w obligacjach, wytwarzała jedną czwartą stali produkowanej w Stanach Zjednoczonych i tyle, co cała Anglia. Nie tak nieśmiały jak Nobel, Carnegie poświęcał teraz, za życia, całe swoje zyski dla dobra ludzkości. Oprócz fundowania bibliotek, co powinno uczynić ludzi mądrzejszymi, miał nadzieję uczynić ich również bardziej pacyfistycznymi i namówiony przez Andrew White'a, zgodził się ofiarować budynek dla Trybunału Arbitrażowego w Hadze.

Teraz podejmował gorliwie wysiłki na rzecz sprawy pokoju, kursując między Białym Domem a Whitehallem, ale Roosevelt stracił zainteresowanie, kiedy Brytyjczycy odmówili rozważenia proponowanego przez niego ograniczenia wielkości okrętów wojennych. Uniknął jednak wyraźnego zaangażowania się dzięki temu, że mówił wybitnym korespondentom to, co chcieli usłyszeć. Korespondował z monarchami Niemiec i Anglii, do których zwracał się swobodnie, przez „Mój drogi cesarzu Wilhelmie” i „Mój drogi królu Edwardzie”.

Teraz prawie nikt z osób urzędowych, z wyjątkiem C.-B. i sekretarza stanu Roota, nie życzył sobie, aby rozbrojenie znalazło się na porządku dziennym. Root sądził, że powinno być dyskutowane, nawet gdyby to do niczego nie doprowadziło, ponieważ, jak twierdził, wyniki można osiągnąć tylko po kilku nieudanych próbach; „niepowodzenia są konieczną drogą do sukcesu”.

C.-B. również uważał, że świat musi nadal próbować. Choć samotny, po niedawnej śmierci żony, która była jego najbliższym przyjacielem, i na rok przed własną śmiercią, nadal nie szczędził wysiłków. W marcu 1907 postąpił niezwykle jak na premiera, publikując artykuł na temat aktualnego problemu politycznego. Pojawił się on w pierwszym numerze nowego liberalnego tygodnika „Nation” (w Londynie) pod tytułem *Konferencja haska i ograniczenie zbrojeń*. Choć od czasu pierwszej konferencji zwiększyło się uzbrojenie i ilość machin wojennych, wzmoógł się również ruch pokoju, który jest obecnie „nieporównanie silniejszy i bardziej stały”. Uważał, że trzeba

stworzyć możliwość, aby rozbrojenie osiągnęło takie same postępy jak arbitraż, który zyskał obecnie „autorytet moralny, o jakim nie można było marzyć w roku 1898”. Wielka Brytania, podkreślił, ograniczyła już wydatki na armię i flotę (co było prawdą, jeśli wyłączyło się z rachunku program nowych pancerników) i chętnie pójdzie dalej, jeśli inne narody zrobią to samo. Istotnie, zamrożenie *status quo* nie podważyłoby przewagi marynarki brytyjskiej, lecz premier obstawał przy tezie, że marynarka brytyjska nie zagraża żadnemu państwu ani grupie państw. Takie rozumowanie wymagało trudnego sterowania między rafami sumienia a mieliznami realizmu politycznego i nie podobało się nikomu. Niemcy uznali je za dowód spisku Wielkiej Brytanii z Francją i Rosją, mającego na celu przeforsowanie sprawy w Hadze, zanim Niemcy zdążą dorównać angielskim pancernikom. Bulów oświadczył publicznie w Reichstagu, że Niemcy nie będą dyskutowały rozbrojenia na konferencji. Króla Edwarda zirytowało zaangażowanie się premiera w sprawy rozbrojenia, tak samo jak jego poparcie dla przyznania kobietom prawa wyborczego. „Przypuszczam, że w następnym tygodniu poprze ustawę o budowie tunelu pod Kanałem!”, powiedział z rozgoryczeniem, lecz C.-B. powstrzymał się od tego okropnego kroku.

Sir Edward Grey jako minister spraw zagranicznych oświadczył, że gotów jest w każdej chwili omawiać w Hadze ograniczenia budżetowe. Haldane przekonywał poważnie amerykańskiego dyplomatę Henry'ego o potrzebie ograniczenia zbrojeń i w 1906 roku pojechał do Niemiec, żeby zbadać grunt co do ewentualnej umowy. Ale za wszystkimi tymi słowami kryła się twarda rzeczywistość, a mianowicie że rząd brytyjski, ani żaden inny, nie ma zamiaru ograniczać swojej swobody dowolnego zbrojenia się. Jediną osobą, która wspomniała o fabrykantach broni, był król Włoch; przypuszczał, że rozbrojenie wywoła u nich „wybuch sprzeciwu”, i był także pewien, że kajzer nigdy się nie zgodzi na „przycięcie skrzydeł Kruppów”. Gdy profesor de Martens w imieniu Rosji objeżdżał stolicę, żeby zebrać ich opinie, jak zrobił to poprzednio Murawjow, obecnie już nieżyjący, amerykański ambasador w Berlinie ujął sprawę stanowczo i lapidarnie: „De Martens nie wierzy i nikt nie wierzy... że istnieje najmniejsze prawdopodobieństwo podjęcia na nadchodzącej konferencji haskiej jakichkolwiek kroków w kierunku praktycznego ograniczenia zbrojeń”.

Takimi poglądami podzielili się dyplomaci między sobą prywatnie, lecz nie można tak surowo traktować sprawy pokoju wobec opinii publicznej, w

każdym razie nie w Anglii i Stanach Zjednoczonych. Nie wchodziła tu w grę wielka, niema, nieznana masa. Kto wiedział, jakie żywiono tam poglądy? Ukształtowana już opinia mas da się ponieść podmuchom wydarzeń, i to raczej hałaśliwych wydarzeń wojny niż pokoju. Jednak opinia publiczna, której wyraz dawali ludzie myślący — zwłaszcza reprezentanci ruchu pokoju — byłaby oburzona pominięciem rozbrojenia w porządku dziennym konferencji w Hadze. Zbierające się corocznie kongresy pokoju — w Glasgow w 1901 roku, w Monako w 1902, w Rouen i Hawrze w 1903, w Bostonie w 1904, w Lucernie w 1905, w Mediolanie w 1906 — uchwałyły rezolucje domagające się, aby rządy podjęły poważne wysiłki dla osiągnięcia porozumienia w sprawie zbrojeń. Baronowa von Suttner, nagrodzona w roku 1905 Pokojową Nagrodą Nobla, oraz jej koledzy ze stowarzyszeń pacyfistycznych i z corocznych konferencji w Lake Mohonk w Ameryce agitowali z całą energią. W 1907 roku Jane Addams wydała książkę *Nowsze ideały pokoju (Newer Ideals of Peace)*, która wywołała niezadowolenie Roosevelta, lecz dodała cenny głos do chóru.

Carnegie, podejmując głoszoną przez C.-B. ideę Ligi Pokoju, czy Ligi Narodów, jak ją na przemian nazywał, zdecydował, że kajzer jest człowiekiem, który powinien ją założyć, ponieważ „jest człowiekiem odpowiedzialnym za wojnę na świecie”. Będąc uprzednio kilkakrotnie zapraszany do kajzera, który lubił milionerów, ruszył teraz, żeby go przekonać o ciężącym na nim obowiązku. W wysłanym wcześniej liście tłumaczył, jak to kajzer może zyskać w historii miano Rozjemcy („Peacemaker”), i dodał w liście przewodnim do amerykańskiego ambasadora: „On i nasz prezydent mogliby stworzyć zespół, gdyby tylko wprzęgli się razem w sprawę pokoju”. W czerwcu 1907 roku, po przyjeździe do Kilonii, jadł dwukrotnie obiad z kajzerem i został zaproszony na trzecią audiencję z wynikami dziwnie przypominającymi rozmowy Steada z carem i baronowej von Suttner z Rooseveltem. Carnegie stwierdził, że monarcha jest „cudownym człowiekiem, inteligentnym, zabawnym, z miłym uśmiechem. Sądzę, że można mu ufać, a wypowiada się za pokojem... Bardzo ujmujący — bardzo, nie mogę go nie lubić”. Znalazłszy się poza zasięgiem jego słodkiego uśmiechu, Carnegie przypomniał sobie swoją misję i napisał, znów namawiając kajzera do wielkiego gestu w Hadze, który by przekonał świat, że jest on naprawdę „apostołem pokoju”.

Tego rodzaju słowa i gesty stanowiły zwykle słabą stronę orędowników

pokoju i jeśli miały w ogóle jakiś wpływ na ludzi, to jedynie zwodniczy. Równocześnie przywódcy polityczni mówili ludziom tylko to, co brzmiało szlachetnie i dobrotliwie, zachowując twardą rzeczywistość dla siebie wzajem. Tylko jeden człowiek starał się pouczyć ludzi, aby uczciwie spojrzeli na wojnę. Mahan, obecnie admirał, pisał w dalszym ciągu artykuły o konieczności swobodnego posługiwania się siłami bojowymi, a przed konferencją szczególnie podkreślał niebezpieczeństwo ponownego żądania immunitetu dla prywatnej własności na morzu. Wydawało mu się, że funkcje militarne wymagają ochrony przed opiniami nie rozumiejących spraw laików. „Powszechne w większości krajów uprzedzenie”, pisał do Roosevelta, zmartwiony po podróży za granicę, jest tak wielkie, że sprawom wojny grozi „niebezpieczeństwo błędnej oceny i «ponaglenia»”.

Właśnie to uprzedzenie spowodowało, że tak brytyjski, jak i amerykański rząd poparły włączenie rozbrojenia do porządku dziennego. Ani Grey, ani Roosevelt nie wierzyli, żeby dyskusja mogła doprowadzić do jakichkolwiek praktycznych wyników, a w rozmowach z zagranicznymi ambasadorami obaj wyjaśniali, że muszą na to nalegać „przez wzgląd na opinię publiczną”. Niemcy, Austria i Rosja postanowiły wyłączyć ten temat z obawy, że dyskusja może postawić je w niepożądanym położeniu. Po wielu miesiącach skomplikowanych negocjacji dyplomatycznych zapowiedziano ostatecznie konferencję z pominięciem problemu rozbrojenia; wszystkie uzgodnienia obwarowano tyloma zastrzeżeniami, że groziło zerwanie konferencji zaraz po jej rozpoczęciu. Wielka Brytania, Stany Zjednoczone i Hiszpania zastrzegły sobie prawo wprowadzenia do dyskusji sprawy rozbrojenia, Niemcy, Austria i Rosja zastrzegły sobie prawo powstrzymania się od głosu lub wycofania się, gdy zostanie ona wymieniona, a inne narody zastrzegły sobie także różne prawa.

Z takim obciążeniem kraje zebrały się 15 czerwca 1907 roku. Pierwsza dekada nowego stulecia, której trzy czwarte już minęło, odznaczała się trzema charakterystycznymi cechami: ożywieniem gospodarki, wybuchem siły twórczej w sztuce i „warkotem bębnow — nieustannym jak we śnie”. Choć do niektórych dźwięków ten nie dochodził, wielu go słyszało, ale nie u wszystkich wywoływał strach. W marynarce niemieckiej wszedł w zwyczaj przy picciu toast „Za ten dzień”. W uzdrowisku w pobliżu Bayreuth niemieccy studenci i młodzi oficerowie marynarki zaprzyjaźnili się z angielskim turystą i „w najbardziej przyjazny i uprzejmy sposób dyskutowali” z nim „o

przyszłej walce między naszymi krajami”. Twierdzili, że każde imperium ma swój kres. Musi nadejść schyłek Anglii, tak jak nadszedł schyłek Hiszpanii, Holandii i Francji. Kto ma zająć tron, jeśli nie ten silny, mądry, szlachetny i utalentowany naród, którego rozwój wycisnął najsilniejsze piętno na dziewiętnastym wieku i który teraz oczekuje, „nastawiony na heroiczne zadanie”. Nie tylko w Niemczech panowało takie nastawienie. Skłonności do agresji świeżo demonstrowane przez Japonię i Stany Zjednoczone przekonywały Europę, że i te narody zdążają do starcia. **California Exclusion Act** wywołał w Japonii taką furję, że obydwie te kraje zaczęły w to wierzyć. „Powszechne jest dążenie do wojny — pisał sekretarz stanu Root — nie teraz, ale za kilka lat”.

Wielu ludzi z klasy rządzącej zapatrywało się na tę perspektywę raczej rzeczowo niż tragicznie. Lord Lansdowne, sprzeciwiając się w Izbie Lordów ustawie o emeryturach, powiedział, że kosztowałaby tyle, co wielka wojna, a wydatek na wojnę południowoafrykańską był lepszą inwestycją. „Wojna, choć straszne są jej skutki, przyczynia się jednak do podniesienia ducha kraju”, podczas gdy posunięcie stanowiące przedmiot debaty tylko by go osłabiło. Perspektywa wojny przerażała wprawdzie rzeczników klasy pracującej, lecz nie przerażała ich przemoc jako taka. Georges Sorel w swoich **Refleksjach na temat przemocy (Réflexion sur la violence)** w roku 1908 twierdził, że przemoc proletariatu stosowana w interesie walki klasowej jest „czymś wspaniałym i bohaterskim”, czynnikiem cywilizującym, który może ocalić świat przed barbarzyństwem.

Druga konferencja była liczniejsza, trwała dłużej i dała obfitsze wyniki niż pierwsza, lecz pod innymi względami niewiele się od pierwszej różniła. Ciągnęła się jeszcze przez październik — cztery miesiące zamiast dwu — i wypracowała trzynaście konwencji, podczas gdy poprzednia tylko trzy. Ponieważ Stany Zjednoczone nalegały na uczestnictwo państw Ameryki Łacińskiej, ku wielkiemu niezadowoleniu mocarstw europejskich, obecne były 44 kraje i 256 delegatów w porównaniu z 26 i 108 na pierwszej konferencji. Wielka liczba osób spowodowała, że zebrania musiały się odbywać w Ridderzaal, siedzibie Parlamentu holenderskiego w samym centrum Hagi, a nie w Huis ten Bosch, położonym w pięknym parku. Wielu delegatów znalazło się tu po raz drugi; brakło wielu wybitnych uczestników z roku 1899. Bourgeois z Francji i Beernaert z Belgii stali znów na czele swoich delegacji, ale Münster, Pauncefote i de Staal już nie żyli; nie wrócił

Andrew White; Mahan i Fisher, choć nieobecni ciałem, obecni byli duchem. Nowym przewodniczącym był znów Rosjanin, Aleksander Nielidow, dyplomata starszy wiekiem, jak jego poprzednik. Jego głos i sposób bycia zdradzał brak sympatii dla konferencji; z powodu złego stanu zdrowia zostawiał on przeważnie kierownictwo delegacji napuszonemu profesorowi de Martens: ten z kolei cierpiał na podagrę i często nie opuszczał swego pokoju. Delegacja rosyjska robiła wrażenie wewnątrznie skłóconej, jej członkowie mieszkali w różnych hotelach.

Baron d'Estoumelles, który w dwa lata później miał dzielić Pokojową Nagrodę z Beemaertem, ponownie reprezentował Francję, a profesor Zorn, wycieńczony i pożółkły, Niemcy. Do nowo przybyłych należał hrabia Tomielli, reprezentujący Włochy (to jego żona siedziała obok prezydenta Loubet owego strasznego dnia w Auteuil), a także powszechnie znany markiz de Soveral, reprezentujący Portugalię. Ten zażyły przyjaciel króla Edwarda, nazywany w londyńskim towarzystwie „Błękitną Małą”, podobno „zalecał się do wszystkich najpiękniejszych kobiet i wszyscy najmiłsi mężczyźni byli jego przyjaciółmi”. Całą gromadę nowych przybyszów stanowili „nieskazitelni dandysi” z Ameryki Łacińskiej.

Brak energicznego Pauncefote'a wyraźnie dawał się odczuć. Po jego śmierci w roku 1902 Roosevelt odesłał jego ciało krążownikiem do Anglii, mówiąc: „Zrobiłem to nie dlatego, że był ambasadorem, lecz dlatego że był to diabelnie dobry chłop”. Miejsce jego zajął sędzia, sir Edward Fry, nie odegrał jednak takiej samej roli. Fry, osiemdziesięciodwuletni kwakier, drobnej postaci, był prostoduszny, jednak nie na tyle, aby oddać kierownictwo brytyjskiej delegacji w ręce towarzysza, doświadczonego dyplomaty, sir Ernesta Satowa, byłego posła w Pekinie, mówiącego biegle po francusku, w przeciwieństwie do Frya.

Na konferencji prym wiedli główni delegaci Stanów Zjednoczonych i Niemiec: siedemdziesięcioletni Joseph Hodges Choate, z siwymi bokobrodami, wyglądający jak uosobienie dziewiętnastego wieku, i baron Marschall von Bieberstein, uprzejmy, nowoczesny, który choć tylko o dziesięć lat młodszy, należał już wyraźnie do nowego stulecia. Choate, prawnik z zawodu, jowialny i bystry, doskonały gawędziarz, był ambasadorem w Anglii od roku 1899 do 1905; jego wspaniała obrona prawa własności przed Sądem Najwyższym w 1895 roku wstrzymała wprowadzenie podatku dochodowego na dalsze osiemnaście lat. Posiadał w Stockbridge

dom letniskowy, projektowany przez Stanforda White'a. Jego siwe włosy, błyszczące pod lśniącym jedwabnym kapeluszem, stały się punktem orientacyjnym konferencji.

Baron Marschall, ambasador w Konstantynopolu, wielki, przystojny mężczyzna z dwoma bliźniami *alt-Heidelberg* na policzku od pojedynku, przybierał „maskę wyższości intelektualnej, zdając się gardzić całym ensemble ludzkiego szaleństwa”. Grał w szachy i na fortepianie, hodował róże i palił nieustannie małe papierosy, strącając od czasu do czasu popiół z jedwabnej klapy marynarki gestem, który zdawał się mówić, że do spraw ludzkich przywiązuje równie małą wagę. Pogardzał opinią publiczną i twierdził, że zależy ona od tego, jak urobią ją gazety. Rząd, który nie umie kontrolować prasy, nie jest nic wart. Jego zdaniem najlepszy sposób kontrolowania gazety to „zatrzasnąć jej drzwi przed nosem”. O swoich kolegach delegatach wyrażał równie stanowcze opinie: o de Martensie mówił, że jest „szarlatanem... grzeszącym niekiedy brakiem taktu”; o Barbarosie z Brazylii, że jest „najbardziej nudny”, o Fryu, że jest „pocziwym starcem bez jakiegokolwiek znajomości współczesnego życia”, a o Torniellim, że jest „łagodny i spokojny”; Suzuki z Japonii był, jego zdaniem, „niepospolitym” człowiekiem, bo studiował w Niemczech, mówił po niemiecku i „odczuwał najwyższy szacunek dla Jego Cesarskiej Mości”. Rosyjski delegat wojskowy, pułkownik Michelson, który w swoim przemówieniu twierdził, że wojna jest okropna i że należy zrobić wszystko, aby jej zapobiec w drodze mediacji, wygłaszał karygodne poglądy; byłoby zrozumiałe, gdyby pochodziły od baronowej von Suttner, ale w ustach pułkownika to „skandal”. Choate'a uważał za „najwybitniejszą osobowość” ze wszystkich delegatów, o „niezwykłej inteligencji, głębokiej wiedzy prawniczej i wielkich zdolnościach politycznych”.

Sam baron Marschall wywołał poruszenie na konferencji, kiedy w czasie dyskusji nad propozycją ograniczenia zakładania min ostrzegł przed szaleństwem, jakim jest ustanawianie reguł prowadzenia wojny, które mogą stać się bezużyteczne wobec „reguły faktów”. Implikacje, jakie dały się z tego wyciągnąć, wywołały komentarze w całej prasie, łącznie z listem do „Timesa” od Poety Laureata. Alfred Austin, zbyt oburzony, aby reagować wierszem, napisał, że słowa Marschalla są wyraźnym ostrzeżeniem przed przyszłą agresją Niemiec, co powinni wziąć pod uwagę wszyscy jej sąsiedzi: Holandia, Belgia, Francja i Austria. Wielka Brytania, „w porę ostrzeżona”,

powinna zarządzić pobór wojskowy; Laureat zakończył wersem zapożyczonym od swego poprzednika, lorda Tennysona: „Do szeregu! Do szeregu! Strzelcy, do szeregu!”

Tak jak poprzednio zjechali się do Hagi ze wszystkich stron orędownicy pokoju, a wśród nich Bertha von Suttner i Stead, który ponownie mianował się niezależnym *rapporteur*. Ponownie publikował kronikę obrad, poczynając znanych osobistości, dyskusji i prywatnych przetargów, tym razem w formie czterostronicowego dziennika „*Courier de la Conference*”. Bloch już nie żył, ale jego miejsce zajął Andrew Carnegie i położył kamień węgielny pod nowy Pałac Pokoju; na jego wybudowanie ofiarował 1 250 000 dolarów. Uzgodniono, że wszystkie uczestniczące narody przeznaczą swoje najlepsze wyroby dla tego budynku, mającego wyrazić „uniwersalną dobrą wolę i nadzieję”. Podobnie jak poprzednio, socjaliści, a tym razem także anarchiści, odbywali w czasie konferencji międzynarodowe kongresy w Amsterdamie, chcąc w ten sposób ściągnąć uwagę świata na swoje sprawy. Holenderski pastor i pacyfista, Domela Nieuwenhuis, który potrafił połączyć anarchizm z religijnością, i to bez żadnego zakłamania, potępiał Carnegie'ego pospołu z delegatami jako handlarza śmierci, gdyż wybudował on Świątynię Pokoju, przyjmując równocześnie zamówienia na broń „nawet od Japończyków” — oskarżenie zasadniczo słuszne, choć wówczas nieaktualne. „Niechaj wszyscy robotnicy, bez względu na narodowość, zastrajkują w razie wypowiedzenia wojny, a nie będzie wojny!”, wykrzykiwał Nieuwenhuis.

Praca konferencji, podobnie jak poprzednim razem, odbywała się w komisjach: arbitrażowej, reguł wojny lądowej, reguł wojny morskiej — z dodatkową czwartą komisją prawa morskiego. Tak jak uprzednio, przewodniczącym pierwszej komisji został Bourgeois, drugiej Beemaert; Tomielli przewodniczył trzeciej komisji, a de Martens czwartej. Podczas inauguracji powitalne przemówienie Nielidowa nie wywołało entuzjazmu. W pierwszych dniach panował ponury nastrój, chaos organizacyjny, a akustyka na sesjach plenarnych nie dopisywała do tego stopnia, że w jednym przypadku delegaci dyskutowali gorąco, czy mówca zwracał się do nich po angielsku, czy po francusku.

Realizując swoje postanowienie, aby poddać rozbrojenie pod dyskusję choćby dla przekonania ludzi o jego niewykonalności, a także o ich dobrej woli, Brytyjczycy poruszyli tę kwestię na obradach. Żaden kraj nie opuścił sali, bo wcześniejsze wyjaśnienia sir Edwarda Greya, choć mgliste, pozwoliły

się domyślać, że ten temat nie będzie w niegodny sposób kontynuowany, i nie był. Sir Edward Fry przedstawił sprawę wzruszająco i z powagą, opisując przerażające nagromadzenie narzędzi śmierci, i zaproponował rezolucję wzywającą do „dalszych poważnych rozważań”, posługując się takim samym zwrotem o odroczeniu, jaki został użyty w roku 1899. Nielidow przyznał, że jeśli problem ograniczenia zbrojeń nie był dojrzały do decyzji w roku 1899, to nie jest i w roku 1907, i delegaci przyjęli rezolucję Frya bez głosowania. Cała sprawa została załatwiona w przeciągu dwudziestu minut. Stead wściekał się z powodu „nędznej i skandalicznej porażki”, a nawet Root uznał, że poparcie Greya było jedynie gestem mającym „zadowolić angielską opinię publiczną”.

Choć po „przemówieniu pogrzebowym” Frya, jak je nazwał Marschall, zapanowało powszechne znudzenie i nawet dziennikarze stracili zainteresowanie, konferencja zabrała się do poważnej pracy nad regułami i techniką wojny. Delegatów pochłonęło projektowanie i dyskusowanie problemów ich rzemiosła — praw i obowiązków państw neutralnych, odbierania siłą międzynarodowych długów, zasad rozpoczynania działań wojennych — wszystkich tych spraw, które zakładają, że wojna jest normalnym wydarzeniem w ludzkim życiu. Pracowali rzeczywiście intensywniej niż na pierwszej konferencji, jakby wojna była nie tylko normalnym wydarzeniem w życiu, lecz wydarzeniem już bliskim. Posiedzenia komisji odbywały się dwa razy dziennie, czytana długie dokumenty, badano opinie ekspertów, przygotowywano projekty i przeprowadzano nieustannie poufne rozmowy, aby dojść do kompromisów. „Nigdy od czasu mojego egzaminu adwokackiego nie pracowałem tak ciężko jak w ciągu ostatnich sześciu tygodni”, informował Marschall Bülowa.

Rozważano ponownie zagadnienie wyrzucania pocisków i środków wybuchowych z balonów; unikając nadal krańcowego samoograniczenia, delegaci przedłużyli zakaz na okres dalszych pięciu lat. W sprawie terytorium neutralnego, na co Belgia była szczególnie czuła, uzgodniono, że jest ono nienaruszalne, i opracowano konwencję ustalającą w dwudziestu pięciu artykułach zasady postępowania w przypadku pogwałcenia neutralności. W związku ze zdradzieckim rozpoczęciem przez Japonię działań wojennych przeciw Rosji niespodziewanym atakiem w roku 1904 odbyło się na ten temat wiele nowych, interesujących dyskusji.

Zakończyły się one konwencją, której sygnatariusze zobowiązali się nie

rozpocząć działań wojennych bez uprzedniego wyraźnego ostrzeżenia w formie wypowiedzenia wojny lub ultimatum połączonego z warunkowym wypowiedzeniem wojny. Przyjęto również drugą konwencję, złożoną z pięćdziesięciu sześciu artykułów, określającą ponownie reguły i zwyczaje wojny lądowej. Na skutek afery wenezuelskiej z 1902 roku uzgodniono konwencję zobowiązującą do niestosowania siły dla ściągnięcia międzynarodowych długów, chyba że dłużnik nie zgodziłby się na arbitraż. Stanowiło to wyraźny postęp w prawie międzynarodowym.

Najbardziej zacięta walka toczyła się w sprawie wojny morskiej, przy czym główny przedmiot sporu stanowiło prawo do zajęcia towarów transportowanych morzem. Wielka Brytania zdecydowana była zachować prawo do swobodnego zajęcia towarów bez żadnych ograniczeń, co było podstawową bronią w blokadzie. Niemcy były równie zdecydowane ograniczyć to prawo wprowadzając międzynarodowy trybunał w sprawie zdobyczy wojennej i inne formy ingerencji. Niemcy zdecydowane były bronić używania łodzi podwodnych i podwodnych min kontaktowych jako środka przeciw blokadzie, Wielka Brytania zdecydowana była je ograniczyć. W przedmiocie nietykalności prywatnej własności przynajmniej Grey wykorzystał nauki Mahana, choć nie wykorzystała ich delegacja amerykańska. Poinstruował swoich delegatów, że Wielka Brytania nie może się zgodzić na zasadę, która „w razie doprowadzenia do logicznej konkluzji uniemożliwiłaby blokadę handlową”. W swój pokrętny sposób dodał jeszcze jedno uzasadnienie, które z pewnością nie przyszłoby do głowy Mahanowi. Wielka Brytania nie może zgodzić się na nic, pisał, co mogłoby „tak ograniczyć ryzyko finansowe przyszłej wojny, że usunęłoby niektóre okoliczności, jakie obecnie powstrzymują ludzi od rozważania takiej możliwości”. W tłumaczeniu na prostszy język znaczyło to, że Wielka Brytania nie może zgodzić się na nic, co by tak ograniczyło szkody spowodowane wojną, że ludzkość nie miałaby wobec niej zbyt wielu oporów. Ze względu na brytyjskich liberałów trzeba było koniecznie znaleźć moralne uzasadnienie dla poparcia naturalnej polityki własnych interesów; praktykę tę sir Edward Grey doprowadził do największej doskonałości i wyrażał ją w najbardziej niejasny sposób.

Zawarto ostatecznie osiem konwencji w sprawie wojny morskiej, ustanawiających zasady, prawa i ograniczenia dla każdego możliwego środka niszczenia nieprzyjaciela. Trzynastu artykułów wymagał zakaz używania

podwodnych min kontaktowych, chyba że były nieskuteczne w godzinę po założeniu; w dalszych trzynastu artykułach uregulowano bombardowanie z morza obiektów na lądzie; w pięćdziesięciu siedmiu ujęte zostały zasady międzynarodowego trybunału w sprawie zdobyczy wojennych. Inne konwencje dotyczyły prawa pojmania, kontrabandy, praw i obowiązków państw neutralnych na morzu; zostały jednak zredagowane w sposób na tyle niedoskonały, że wszystkie te problemy rozpatrywano następnego roku na konferencji mocarstw morskich w Londynie.

Siłą napędową w sprawie arbitrażu byli teraz, po śmierci Pauncefote'a, głównie Amerykanie z sekretarzem stanu Rootem, prawnikiem z zawodu, działającym energicznie w cieniu Choate'a. Root dążył do przeistoczenia trybunału założonego w 1899 roku z dobrowolnego sądu dla stron, które zgodziły się na arbitraż, w Stały Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości ze stałymi sędziami, decydującymi w kwestiach prawa międzynarodowego „sądowymi metodami z poczuciem sędziowskiej odpowiedzialności”. Prezydent Roosevelt popierał te dążenia bez wielkiego przekonania, wyznając Rootowi w połowie konferencji: „Nie śledziłem przebiegu spraw w Hadze”. Wypowiedział się wyraźniej wobec swego przyjaciela Specka von Sternberga, niemieckiego ambasadora, będąc jak zazwyczaj, z niewiadomego powodu, swobodniejszym wobec Niemców. Powiedział Speckowi, że nie może zainteresować się należycie obradami w Hadze, bo czuje „całkowitą odrazę” do głupstw, o jakich skrzeczą zawodowi orędownicy pokoju.

Amerykańska propozycja Stałego Trybunału spotkała się z silnym sprzeciwem, przy czym jedną z przeszkód stanowiło naleganie Brazylii, że muszą w nim być reprezentowane wszystkie czterdzieści cztery kraje. Myśl, że mają za nich decydować „podupadłe państwa orientalne, jak Turcja czy Persja... lub prawnik — mieszaniec z Środkowej czy Południowej Afryki”, jak to wyraził jeden komentator, oburzała największe mocarstwa europejskie. Jednak sedno stanowił raz jeszcze przymusowy arbitraż. Od tego, donosił Marschall Berlinowi, zależy ostateczna odpowiedź, „czy to konferencja pokojowa, czy konferencja wojenna miała miejsce w 1907 roku?” Prawdopodobnie zdawał sobie sprawę z odpowiedzi, gdyż jego kraj odrzucał zasadę przymusu. Nie popełnił jednak błędu swoich poprzedników, którzy zawzięcie się izolowali. Zamiast tego, jak powiedział Choate, popierał zasadę arbitrażu, sprzeciwiając się równocześnie każdemu jej praktycznemu stosowaniu. Konferencja próbowała opracować listę błahych zagadnień, które

za zgodą wszystkich mogłyby zostać objęte przymusem, lecz lista ta nie została przyjęta, gdyż osiem krajów głosowało przeciw. Przyjęto w końcu Konwencję o Pokojowym Załatwieniu Sporów Międzynarodowych, złożoną z dziewięćdziesięciu sześciu artykułów, z których żaden nie wprowadził zasady przymusu. W konsekwencji nie można było stworzyć Trybunału Sprawiedliwości.

Pozostał jeszcze jeden punkt sporny: trzecia konferencja. Zwolennicy idei haskiej chcieli, aby zasada wzajemnej zależności znalazła wyraz w ustanowieniu stałej organizacji i periodycznych zebrań. Skończył się okres, kiedy kraje stanowiły oddzielne suwerenne całości, i dlatego zwolennicy idei haskiej chcieli przed rozejściem się uchwalić zobowiązanie do ponownego spotkania. Przeciwnicy, głównie wielkie mocarstwa europejskie, nie życzyli sobie dalszych ograniczeń swobody działania i ataków na swoją suwerenność w formie nalegań na przymusowe pokojowe załatwianie sporów. Sprzeciwiali się zwołaniu trzeciej konferencji, zwłaszcza dlatego że upierali się przy tym Amerykanie. Sekretarz stanu Root, wierny swemu przykazaniu, że niepowodzenia są konieczne do osiągnięcia sukcesu, i przekonany, że każda konferencja dokonała czegoś, co umożliwiało następną, polecił Choate'owi, aby doprowadził do rezolucji o zwołaniu trzeciej konferencji. Zobowiązując kraje teraz, miał również zamiar odebrać Rosji inicjatywę i kierownictwo. Choate walczył uparcie przeciw oporowi innych delegatów, którzy pozostali nieugięci, dopóki nie zagroził Nielidowowi, że jeśli nie osiągną porozumienia, złoży wniosek w sprawie rezolucji publicznie, na sesji plenarnej. Opozycja ustąpiła. Delegaci przyjęli rezolucję zalecającą, aby następną konferencja odbyła się „w takim samym odstępie czasu, jaki upłynął od poprzedniej konferencji”, mianowicie za osiem lat.

Root napisał do Roosevelta, że osiągnięcie tego stanowiło w każdym razie postęp „w kierunku uzgodnienia praktyki z deklarowanym przez kraje pragnieniem pokoju”. Pragnienie było rzeczywiste. Dwa razy ściągnęło kraje do Hagi. Dwa razy tkwiące w człowieku pragnienie poddania się ograniczeniom borykało się z przeciwnymi tendencjami. Wciąż widniał z daleka jako cel nowy międzynarodowy ład, w którym narody zgodzą się zrezygnować ze swobody walki w zamian za bezpieczeństwo prawa. Kroki podjęte w tym kierunku w Hadze, jak powiedział później Choate, były z konieczności „stopniowe, ostrożne i delikatne”.

Spodziewał się dalszych postępów na następnej konferencji w 1915 roku.

VI. „NERONIZM UNOSI SIĘ W POWIETRZU”

Niemcy 1890-1914

Na przełomie stulecia pojawił się odważny muzyk, nowatorski w formie, nowoczesny i zuchwały w pomysłach, znakomity wykonawca, nie pozbawiony wulgarności, barometr rodzimej atmosfery — Richard Strauss. Każde jego nowe dzieło, na premierze dyrygowane zazwyczaj przez kompozytora, ściągało tłumy do sal koncertowych; publiczność pragnęła podniecenia, a krytycy muzyczni pragnęli skrzyżować szpady w gorącej atmosferze swego zawodu. W latach 1889-99, między dwudziestym piątym a trzydziestym piątym rokiem życia, Strauss skomponował sześć dzieł: *Don Juana*, *Śmierć i wyzwolenie*, *Figle Sowizdrzała*, *Tako rzecze Zaratustra*, *Don Kichota* i *Życie bohatera*, które nadały muzyce nowy kształt — lub, jak mówili krytycy, „bezkształt”. Kompozycje te, nazwane poematami muzycznymi, były raczej kondensacją opery bez słów. Na premierze *Don Juana* publiczność wywoływała kompozytora pięć razy, chcąc go skłonić do powtórzenia całego dzieła. Na premierze *Życia bohatera* część przedstawiająca walkę doprowadziła jednych słuchaczy do takiej wściekłości, że opuścili salę, podczas gdy inni „słuchali z drżeniem, a niektórzy wstawali nagle i gestykulowali gwałtownie zupełnie podświadomie”. Choć jednym Strauss wydawał się poszukiwaczem sensacji, który psuje czystą sztukę muzyczną, innym zaś prorokiem nowego okresu w muzyce, a nawet „wynalazcą nowej sztuki”, jedno było jasne: zachował dla Niemiec prymat w muzyce, osiągnięty za Wagnera. Był „Ryszardem II”.

Uczyliło go to w pewnym sensie najważniejszym człowiekiem w życiu kulturalnym Niemiec, bo muzyka stanowiła jedyną dziedzinę, w której cudzoziemcy chętnie uznawali ich wyższość, uważaną przez samych Niemców za oczywistą. W ich własnych oczach kultura niemiecka była dziedzictwem Grecji i Rzymu, a oni sami najlepiej wykształconym i najbardziej kulturalnym z narodów współczesnych, czego jednak, o dziwo, nie doceniali w pełni cudzoziemcy. Oprócz niemieckich profesorów i filozofów obdarzali hołdami tylko Wagnera i ściągali tylko do Bayreuth,

siedziby Wagnerowskiego Festspielhaus. Paryż pozostał nadal europejskim centrum sztuki, rozrywek i mody, Londyn ośrodkiem towarzystwa, Rzym starożytności, a Włochy wabiły podróżnych poszukujących słońca i piękna. Nowe kierunki i prądy literatury: naturalizm, symbolizm, krytycyzm społeczny; wybitne postacie: Tołstoj, Ibsen i Zola; wielkie powieści od Dostojewskiego do Hardy'ego — wszystko to zrodziło się poza Niemcami. Anglia po swej wielkiej erze wiktoriańskiej w latach dziewięćdziesiątych tryskała znów nowymi talentami, jak Stevenson, Wilde i Shaw, Conrad, Wells, Kipling i Yeats. Rosja zaś wydała w osobie Czechowa niezrównanego znawcę człowieka. Malarstwo rozkwitało we Francji. Niemcy miały w malarstwie jedynie Maxa Liebermanna, secesjonistę; secesja jednak nie zaprowadziła go dalej niż do rektoratu w Pruskiej Akademii Sztuk Pięknych. Do wybitnych osobistości w literaturze niemieckiej należeli dramaturg Gerhart Hauptmann, duchowy syn Ibsena, oraz poeta Stefan George, uczeń Baudelaire'a i Mallarmego.

W muzyce Niemcy wydały jednak światowych mistrzów, a ukoronowaniem tego korowodu stał się Wagner; jego dogmat stopienia razem sztuk urósł do znaczenia kultu, do którego z zapałem przyłączyli się cudzoziemcy. Stowarzyszenia wagnerowskie od Petersburga po Chicago dostarczały funduszy, aby zapewnić dramatom muzycznym Mistrza odpowiednią siedzibę, i „Idea Bayreuth” wywołała ferment intelektualny poza granicami Niemiec. Niemcy uwierzyli, że ich zwierzchnictwo w muzyce będzie trwało wiecznie, bez poważnej rywalizacji w jakimkolwiek innym kraju. Choć wielu z nich, jak kajzer, nie znosiło nowoczesności Straussa, jego prymat wydawał im się szczęśliwym dowodem, że wyższość muzyczna Niemiec nadal się utrzymuje.

Nie tylko największe, ale wszystkie duże miasta niemieckie miały swoją operę, salę koncertową, akademię muzyczną, zespół orkiestrowy i jakiś muzyczny *Verein* (związek). Rzadko który Niemiec nie należał do zespołu chóralnego lub instrumentalnego i nie spędzał wieczorów ćwicząc kantaty Bacha przy licznych kuflach piwa. Frankfurt nad Menem, miasto liczące w latach dziewięćdziesiątych niecałe 200 000 mieszkańców, mniej więcej wielkości Hagi, Nottingham czy Minneapolis, chlubiło się dwoma wyższymi szkołami muzycznymi ze znakomitym gronem nauczycielskim i uczniami z różnych krajów, nową operą „jedną z ładniejszych w Europie”, dającą sześć przedstawień w tygodniu, orkiestrą Towarzystwa Muzycznego, liczącą 120

muzyków, która dawała koncerty symfoniczne i kameralne, dwoma dużymi stowarzyszeniami chóralnymi, również często występującymi; ponadto wielu zamiejscowych artystów przyjeżdżało tam z recitalami. Podobną działalność artystyczną rozwijały Berlin, Monachium, Kolonia, Drezno, Lipsk, Stuttgart i inne miasta, a oprócz tego często odbywały się szeroko rozpowszechnione festiwale muzyczne na cześć jakiegoś kompozytora lub z innej okazji, trwające niekiedy cały tydzień.

Od czasu śmierci Wagnera w Bayreuth panowała podczas sezonu przygnębiająca atmosfera obowiązkowej rewerencji. Nad siedzeniem dorożki wiozącej gościa do Festspielhaus wisiała kartka z napisem „Historyczne!”, co oznaczało, że Mistrz siedział na tym miejscu. Przedstawienia zaczynały się dęciem w trąby, jakby nakazującym publiczności przygotować się do nabożeństwa. W przerwie spożywano kiełbaski i piwo, po czym następowały znów trąby; po drugim akcie ponownie kiełbaski, piwo i trąby i to samo po trzecim akcie. Wierni chłonęli dzieła Mistrza, „jakby przyjmowali komunię świętą”, pisał młody Sibelius, który przyjechał w roku 1899 żądny wielkiego przeżycia i jak najspieszniej wyjechał. W 1899 roku, gdy przybył dwudziestoletni Thomas Beecham, stwierdził, że w kulcie powstała rysa. Malkontenci głosili, że Festiwal podupada, krytykował i panowanie wdowy, Frau Cosimy, i domagali się usunięcia syna Siegfrieda ze stanowiska dyrektora. Mówili, że jest słabym kierownikiem, bez polotu, że śpiewacy są nędzni, a przedstawienia tandetne; tymczasem grupa lojalnych przyjaciół „Wahnfried”, domu Wagnera, odpowiadała oskarżeniami o zazdrość i intryganctwo.

Obecnie nowym bohaterem został Strauss, co sam potwierdził w swoim muzycznym autoportrecie Życie bohatera. Wychowany i przyzwyczajony do komfortu, w nienagannym stroju dyplomaty, szczupły, wzrostu sześć stóp trzy cale, z szerokimi ramionami i wypięłgnowanymi rękami, o delikatnej, gładkiej twarzy i ustach dziecka pod płowymi wąsami, z czapą kręconych płowych włosów, rzadziejących już na wysokim czole, Strauss nie wyglądał prometejsko jak Beethoven ani poetycznie jak Schumann, ale wyglądał po prostu na tego, kim był: na dobrze sytuowanego, wziętego artystę. Miał dwanaście lat, kiedy zaczęto wykonywać jego dzieła: najznakomitsze orkiestry angażowały go jako dyrygenta. Był opanowany, świadom swojej wyższości i spokojnie raczej niż obraźliwie arogancki, co wynikało z jego bawarskiego, a nie pruskiego pochodzenia.

Ostatni król Bawarii, Ludwik II, który uwielbiał Wagnera i umarł w obłąkaniu, w roku 1866 trzymał stronę Austrii przeciw Prusom, a kultura Monachium orientowała się bardziej w kierunku Wiednia niż Berlina. Monachium pielęgnowało sztukę i uważało się za współczesne Ateny, w przeciwieństwie do Sparty-Prus, których junkrzy, podobnie jak ich starożytne prototypy, pogardzali kulturą, a także wygodą. Bawarczycy, południowcy Niemiec — i przeważnie katolicy — korzystali z przyjemności życia, zarówno fizycznych, jak estetycznych. W Monachium Stefan George był najwyższym kapłanem *l'art pour l'art* i począwszy od 1893 roku wydawał dla swoich pełnych uwielbienia uczniów przegląd literacki „Blätter für die Kunst”, szukający niemieckich odpowiedzi na problemy sztuki, duszy i stylu. W Monachium znalazł sobie także miejsce humor; wychodziło tam pismo satyryczne „Simplicissimus”, założone w 1896 roku, i pismo humorystyczne „Fliegende Blätter”. „Uberbrettl”, rodzaj satyrycznego kabaretu w kawiarni, rozkwitał w Monachium i wyśmiewał Berlin.

Jako rodowity monachijczyk, Strauss należał do kultury niechętniej Prusom, lecz jako Niemiec, mający w roku 1871 siedem lat, rósł równolegle z nowym nacjonalizmem Cesarstwa Niemieckiego. Urodzony w roku 1864, o pięć lat młodszy od kajzera, Dreyfusa i Theodore'a Roosevelta, pochodził z rodziny łączącej zamiłowanie do piwa i do muzyki, co, w tym właśnie porządku, stanowiło główne zajęcie w jego rodzinnym mieście. Dziadek był bogatym właścicielem browaru; jego muzyczna córka poślubiła Franza Straussa, grającego na pierwszym rogu w Monachijskiej Orkiestrze Dworskiej, profesora Królewskiej Akademii Muzycznej. Mówiono, że tylko jego jednego bał się Wagner. Choć grał „ckliwie” muzykę Wagnera, nie znosił jej, a w jednym przypadku tak stanowczo sprzeciwił się wymaganiom, jakie ta muzyka stawiała jego instrumentowi, że Mistrz, zupełnie wyjątkowo, aż zaniemówił.

Przed próbą *Śpiewaków norymberskich* Wagner błagał dyrygenta, Hansa Richtera, aby sam zagrał solo na rogu, ze strachu, że Strauss uzna je za niewykonalne. Choć Franz Strauss nigdy nie pogodził się z dysonansami w muzyce swego syna i z jego odejściem od formy klasycznej, to jednak Richard Strauss najwspanialej ze wszystkich instrumentów wykorzystywał róg, jakby w hołdzie dla człowieka, który się chwalił, że jest najlepszym w świecie graczem na rogu, a zapytany, jak to może udowodnić, odpowiedział: „Nie udowadniam tego, przyznaję to”.

Rodzice Straussa rozpoczęli jego wychowanie muzyczne, kiedy miał cztery lata, od fortepianu. Mając sześć lat zaczął komponować; umiał czytać i pisać nuty, zanim poznał alfabet. W latach szkolnych studiował skrzypce, fortepian, harmonię i kontrapunkt u dyrygenta Orkiestry Dworskiej. Z „nadmierną witalnością”, która miała pozostać jego najbardziej charakterystyczną cechą, tworzył równocześnie szereg pieśni, utworów na instrumenty solo oraz sonat. Gdy miał dwanaście lat, jego *Marsz świąteczny* (op. 1) został wykonany przez szkołę, a później opublikowany. Po raz pierwszy wykonano na publicznym koncercie jego kompozycję — trzy pieśni — gdy miał szesnaście lat; gdy miał siedemnaście zagrano jego kwartet smyczkowy a-moll (op. 2); w tym samym roku Monachijska Akademia Muzyki zagrała symfonię d-moll ku wielkiemu entuzjazmowi publiczności. Jako osiemnastolatek napisał suitę na instrumenty dęte, która zyskała uznanie Hansa von Bülowa, kierownika książęcej orkiestry w Meiningen, znakomitego ówczesnego dyrygenta, co wyraził on zamawiając następny utwór. Orkiestra w Meiningen, wyszkolona przez Bülowa, była ozdobą niemieckich orkiestr, jej członkowie uczyli się części partytury na pamięć i grali stojąc jak soliści. Strauss napisał serenadę na trzynaście instrumentów dętych; Bülow zaprosił go, aby sam dyrygował na poranku, bez próby. Dwudziestojednoletni kompozytor poprowadził orkiestrę „w stanie lekkiego zamroczenia”, nigdy przedtem bowiem nie dyrygował publicznie. Został protegowanym Bülowa, wystąpił z nim jako pianista solo w koncercie Mozarta i w wieku dwudziestu jeden lat został mianowany kierownikiem muzycznym orkiestry w Meiningen, gdzie studiował dyrygenturę u samego Mistrza. W kompozycji najchętniej wzorował się na Mozarcie, toteż wczesne kwartety i utwory orkiestrowe Straussa, powstałe, nim osiągnął dwadzieścia jeden lat, są pełnymi wdziękiem dziełami w stylu klasycznym.

Świat muzyczny lat osiemdziesiątych tonął w sporach między stronnikami klasycyzmu i romantyzmu. Nowych dzieł słuchano nie tyle dla nich samych, co dlatego że podtrzymywały stare tradycje, albo że zaprezentowały nowe. Kompozytorzy, krytycy i publiczność kręcili się w nieustannym tańcu wojennym wokół rywalizujących totemów, Brahmsa i Wagnera. Zwolennicy Brahmsa, który zmarł w 1897 roku, uważali go za ostatniego wielkiego klasyka, Wagnera za antychrysta, a Liszta za drugorzędnego szatana. Określenie *Lisztisch* stanowiło wyraz najgłębszej pogardy. Z drugiej strony zwolennicy Wagnera lekceważyli Brahmsa, jako nudnego tradycjonalistę, a swego Mistrza wielbili jak proroka, Mesjasza i

Napoleona muzyki. Strauss, jako syn swego ojca i zwolennik Mozarta, miał nastawienie anty-Wagnerowskie, lecz nawrócił się pod wpływem Bülowa. Nawet uwiedzenie przez Wagnera żony Bülowa nie zaćmiło jego podziwu dla oper uwodziciela. Strauss znajdował się również pod wpływem wypowiedzi Alexandra Rittera, pierwszego skrzypka w orkiestrze w Meiningen, który cieszył się szczególnym prestiżem, jako mąż siostrzenicy Wagnera; przekonał on Straussa, że *Zukunftsmusik* (muzyka przyszłości) należy do następców Berlioza, Liszta i Wagnera. „Musimy studiować Brahmsa tak długo — twierdził — aż odkryjemy, że nic w nim nie ma”.

Strauss odczuł wpływ Rittera „jak podmuch burzy”. Łączył się on z przeżyciem podróży do Włoch; tamtejsze słońce i ciepło podziało na niego jak na Ibsena i innych z Północy i natchnęło do napisania *Z Italii (Aus Italien)*, pierwszego dzieła o nowej formie. Określone zostało jako „fantazja symfoniczna” i składało się z czterech części o opisowych tytułach: *W Kampanii, Wśród ruin Rzymu, Na wybrzeżu Sorrento, Sceny z życia ludu w Neapolu*. Druga część miała podtytuł „Fantastyczne obrazy minionej świetności; uczucia melancholii i zachwyty w pełnej słońca chwili obecnej” i oznaczona była *allegro molto eon brio*, dziwny sposób wyrażenia melancholii, ale *molto eon brio* miało pozostać cechą charakterystyczną Straussa.

Z Italii zaczynało się tam, gdzie skończyli Liszt i Berlioz. Oni również eksperymentowali w muzyce narracyjnej i opisowej, ale według tradycyjnych wzorów, z tematem i rozwinięciem. Takie wymagania sprawiały, że muzyka programowa rozciągała się niekiedy w dziwny sposób, jak u kompozytora niemieckiego J. J. Raffa, w którego *Symfonii leśnej*, zdaniem jednego z krytyków, cienie wieczoru w finale zapadały trzy razy. Strauss uniknął tego problemu, odrzucając tradycyjne wzory. Opisywał bez rozwijania, mając słuchacza szeregiem oślepiających migawek, ale bez konkluzji. Wywołało to przy pierwszym wykonaniu *Z Italii*, dyrygowanym przez kompozytora w Monachium, syki i kocią muzykę, „ogólne zdziwienie i gniew”.

Nie dając się zawrócić z obranej drogi, Strauss napisał następnie dzieło orkiestrowe na temat Makbeta, tak jak to Berlioz uczynił na temat Króla Leara, a Liszt Hamleta. Tematu nie stanowiły wydarzenia dramatu, lecz konflikt w duszy Makbeta, wyrażony bogatą polifonią, z wielką płodnością myśli muzycznej, co miało zdobyć mu rozgłos. Tymczasem po rezygnacji Bülowa objął jego miejsce jako dyrygent orkiestry w Meiningen, a w 1889

przeniósł się do Weimaru i został dyrygentem na stanowisku, które przed trzydziestu laty zajmował Liszt. Przeplatając dzieła klasyczne i „szalenie współczesne” oraz nie docenione jeszcze poematy dźwiękowe Liszta, układał śmiało i interesujące programy, które ściągały szeroką publiczność. W dyskusji z przyjacielem, który twierdził, że woli Schumanna i Brahmsa, Strauss odpowiedział: „Ach, oni to tylko naśladowcy i nie utrzymają się. Oprócz Wagnera istnieje tylko jeden wielki mistrz — Liszt”.

11 listopada 1889 roku dyrygował w Weimarze na premierze swego własnego utworu, *Don Juana*. Jak stwierdzał Nicholas Lenau, autor poematu, na którym to dzieło się opierało, bohaterem jego nie był „krewki mężczyzna, wiecznie uganiający się za kobietami”, lecz mężczyzna „tęskniący za kobietą, która będzie dla niego wcieleniem kobiecości i pozwoli mu rozkoszować się w swojej osobie wszystkimi kobietami na ziemi, skoro każda z osobna nie jest dla niego dostępna. Ponieważ nie znajduje jej, choć przechodzi od jednej do drugiej, ogarnia go w końcu odraza i ta odraza jest Diabłem, który go zabiera”.

Podjmując ten temat Strauss oddał się w pełni zadaniu powierzenia muzyce niemuzycznych funkcji: opisanie charakterów, uczuć, wydarzeń, filozofii, co jest zasadniczo funkcją literatury. Zmuszał muzykę instrumentalną, aby sama, bez śpiewaków i słów, dokonała tego, co opera, lub, jak nazywał to Wagner, „dramat muzyczny”. Nikt nie był lepiej przygotowany do wypełnienia takiego zadania. Korzystając ze zdobytych dzięki dyrygowaniu wiadomości o możliwościach każdego instrumentu, ze swego wybujałego talentu i nadmiaru idei, a także z mistrzowskiego opanowania techniki kompozycji, Strauss, na podobieństwo trenera w cyrku, potrafił nakazać muzyce, jak tresowanej foce, aby dokonywała olśniewających cudów przeciw swej naturze. Don Juan okazał się czarującym siedemnastominutowym utworem muzycznym, porywającym namiętnością, z urywkami melodii miłosnej, z cudowną, melancholijną pieśnią oboju; po szalonym uniesieniu w momencie szczytowym kończył się dziwną, pełną rozczarowania dysonansową nutą trąby. Nierozwinięte tematy tego dzieła wywoływały jednak niepokój, a jego forma epizodyczna poświęcała sekwencję muzyczną dla narracyjnej. Niemniej Büllow uznał je za „niesłychany sukces”. Eduard Hanslick, gruba ryba wśród krytyków muzycznych, który pisał w „Neue Presse” i innych gazetach wiedeńskich, a nie znosił wszystkiego, co nie było Brahmem lub Schumannem, odniósł się

do Don Juana z niechęcią, określając dzieło jako „brzydkie”, zaznaczając jedynie strzępy melodii, bez rozwinięcia myśli muzycznej.

Hanslick był w ogóle uosobieniem złośliwości w krytyce muzycznej, nadużywał słowa „brzydki”, powtarzając je tysiące razy o Wagnerze, aż Wagner zapewnił mu nieśmiertelność w postaci antypatycznego Beckmessaera ze *Śpiewaków norymberskich*. Hanslick prześladował następcę Wagnera w muzyce symfonicznej, Brucknera, z taką zajadłością, że kiedy ten został przyjęty przez cesarza Franciszka Józefa na audyencji i cesarz zapytał go, czy może coś dla niego uczynić, Bruckner wyszeptał tylko: „Powstrzymać Hanslicka” Teraz wyłonił się Strauss jako następny z nowego rodu, któremu trzeba ukreślić głowę, toteż ilekroć pojawiała się kolejne jego dzieło, Hanslick i jego szkoła ćwiczyli się w nowych, mocniejszych obelgach.

Ale Strauss już sobie utorował drogę. Bulów nazwał go „Ryszardem II”; następnego roku skomponował bardziej ambitny utwór *Śmierć i wyzwolenie*, w którym umierający w gorączce przeżywa na nowo swoje życie, od dziecięcej naiwności poprzez walki i rozczarowania wieku dojrzałego aż po agonię śmierci. Na końcu słychać „dźwięk niebiańskich sfer, otwierających się, aby powitać go tym, czego z tęsknotą szukał na ziemi”. W utworze tym, opartym na pomysle raczej niż na tekście literackim (choć mentor Straussa, Alexander Ritter, napisał *ex post* poemat do tej muzyki), kompozytor uniknął zbyt konkretnej, wznosił się na wyżyny melodyjności, co podkreślała jeszcze świetna orkiestracja. W wieku dwudziestu pięciu lat Strauss zdystansował Liszta i znalazł się już na drodze do znakomitych osiągnięć.

W dalszym ciągu popierał i prezentował dzieła swoich współczesnych, dyrygował nimi, a równocześnie komponował swoją pierwszą operę, *Guntram*, którą publiczność, nasycona już dziełami oryginalnymi, odrzuciła jako naśladownictwo Wagnera. Bezstronny w ocenie muzyki, Strauss dyrygował *Jasie i Malgosią* z takim samym entuzjazmem jak *Tristanem i Izoldą*. Gdy Humperdinck, wówczas nieznanemu nauczyciel akademii we Frankfurcie, przesłał mu partyturę, Strauss zachwycił się i napisał do kompozytora: „Mój drogi przyjacielu, jesteś wielkim mistrzem, obdarzyłeś naszych kochanych Niemców dziełem, na jakie bardzo zasługują”. Przez wystawienie opery w Weimarze uczynił Humperdincka sławnym w przeciągu jednego wieczoru i bogatym wkrótce potem.

W roku 1894 Strauss przeniósł się do Monachium jako dyrygent Opery

Dworskiej, a po śmierci Bülowa dyrygował na koncertach Filharmonii Berlińskiej w sezonie zimowym 1894-95. Tego samego roku wystąpił gościnnie w Bayreuth. „Taki młody, taki nowoczesny, a mimo tego tak dobrze dyryguje *Tannhäuserem*”, wzdychała Cosima Wagner. Lato poświęcił Strauss swoim własnym kompozycjom, bo jak mówił, pracuje najlepiej, kiedy słońce świeci. W czasie sezonu koncertowego dyrygował gościnnie w różnych miastach niemieckich i odbył tournée po Europie z Orkiestrą Filharmonii Berlińskiej. W latach 1895-99 dyrygował w Madrycie i Barcelonie, w Mediolanie, Paryżu, Zurychu, Budapeszcie, Brukseli i Liège, w Amsterdamie, Londynie i Moskwie. Posiadał niewyczerpaną energię, raz dyrygował na trzydziestu jeden koncertach w ciągu trzydziestu jeden dni. Na podium nie popisywał się przesadną gestykulacją ani minami, posługiwał się energicznym, zdecydowanym, prostym uderzeniem i kilku silnymi kanciastymi ruchami, a crescendo sygnalizował szybkim uginaniem stawów kolanowych. „Dyryguje kolanami”, powiedział Grieg. Tyranizował muzyków swymi wymaganiami, lecz nie szczędził pochwał za dobrze wykonane solo, nawet najkrótsze, i po zakończeniu utworu schodził z podium, aby uścisnąć dłoń muzykowi. Nie był już takim, jakim widział go młody Sibelius, studiujący muzykę w Berlinie, „nieśmiałym młodzieńcem z wielką czupryną”, który wstał ze swego miejsca na widowni dziękując za oklaski na jednym z wczesnych przedstawień *Don Juana*. Włosy na czole już mu się przerzedziły, wątpliwe też, czy w ogóle kiedykolwiek był nieśmiały. Obecnie, po skończeniu trzydziestu lat i po śmierci Bülowa, stał się najślawniejszym dyrygentem w Niemczech i najbardziej interesującym kompozytorem.

Między rokiem 1895 i 1898 wydał trzy dalsze dzieła: wprowadził w nich do poematu symfonicznego śmielszą sztukę opisową i posłużył się odważnie oryginalniejszym tematem, niż to dotychczas miało miejsce w muzyce. Cuda polifonicznych zawłości stały się bardziej oszałamiające, nie rozwiązane dysonanse bardziej niepokojące, a muzyka w niektórych miejscach robiła wrażenie świadomie prowokacyjnej.

Nigdy jeszcze nie słyszano niczego tak mądrego, tak zabawnego, tak błyskotliwego i zaskakującego jak *Figle Sowizdrzała*. Żywy, migotliwy motyw rogu unosi średniowiecznego bohatera ludowego, niemieckiego Peer Gynta, w jego malowniczą wędrówkę, a wszelkiego rodzaju instrumentalne środki malują jego przygody, gdy pędzi galopem przez targ, rozrzucając

garnki i rondle, gdy przebiera się za księdza i umizga się, gdy dochodzi do smutnego końca w sądzie i długi warkot bębna oznajmia o karze śmierci. Zuchwały świergot głosu klarnetów to jego ostatnie wyzwanie na szubienicy, a potem cichy tryl unosi jego ostatnie tchnienie, gdy jego nogi zwisają w powietrzu. Tym razem uwagi programowe Straussa zawierały dokładniejsze określenia: „To było okropne straszidło”, zaznaczył przy jednym pasażu, albo „Hop! na konia pośród przekupek”, albo *Jiebegluhend*” („płonąc z miłości”). Motyw Sowizdrzała, który rozpoznawało się, gdy pojawiał się i znikał w różnej postaci, oczarował publiczność. Była to muzyka pełna czarodziejskich sztuczek, jak występ niezwykle dowcipnego i zwinnego magika. Zachwycała, jeśli nie wzruszała. Stanowiła wyraz musującej wyobraźni i niezrównanego talentu — naturalnie nie dla Hanslicka, który posługując się ulubionym określeniem urażonej prawowiemości nazwał dzieło „wytworem dekadencji”.

Za temat następnego swego dzieła obrał Strauss to, co stanowiło rdzeń jego epoki. Około roku 1896 świat odkrył Friedricha Nietzschego. Ten drugi Niemiec, który żył w samotności, rozczarowaniu i narkotycznym otępieniu, spowodowanym stałą walką z bezsennością, stworzył cykl dzieł wokół centralnej idei Nadczłowieka, co rozbrzmiało później echem w życiu jego kraju. Ulegając dość wcześnie jego wpływowi, Strauss postanowił skomponować poemat muzyczny na podstawie dzieła *Also sprach Zarathustra*.

Nęcąca koncepcja Nietzschego: „sprawowanie rządów przez najlepszych”; koncepcja nowej arystokracji, która poprowadziłaby ludzkość na wyższy poziom, aż człowiek dojdzie do szczytu swoich możliwości i stanie się Übermenschem, zawładnęła wyobraźnią Europy. Myśl ta pobudziła zarówno tęskną nadzieję na postęp ludzkości, jak i rodzące się rozczarowanie demokracją. Nietzsche odrzucił demokratyczną ideę równych praw dla wszystkich ludzi, gdyż nie pozwalała ona naturalnym przywódcom na pełne realizowanie swoich możliwości. Podczas gdy lord Salisbury obawiał się, że demokracja doprowadzi do politycznego upodlenia, a Charles Eliot Norton widział w niej drogę do upodlenia kulturalnego, Nietzsche uważał demokrację za kulę u nogi, hamującą dążenia człowieka do najwyższych osiągnięć. Uważał dominujący wpływ masowych przekonań, gustów i przesądów moralnych za „niewolniczą moralność”. Przywódcy ludzkości winni żyć według „moralności panów”, ponad pospolitymi pojęciami dobra i

zła. Celem ewolucji ludzkiej jest Übermensch, nadczłowiek, „artysta-geniusz”, który byłby tym dla pospolitego człowieka, czym pospolity człowiek jest dla małpy. Nietzsche wędrował przez fantastyczne obrazy *Tako rzecze Zaratustra* i jego ciąg dalszy, *Poza dobrem i złem, Wolę mocy* aż po końcowe *Ecce Homo*. Myśli jego toczyły się i kotłowały, piękne i niebezpieczne jak burzowe chmury. Głosił przyzwolenie dla podszeptów siły jako dobrych *per se*, bez względu na konflikt z powszechną moralnością. Prawo i religia, które sprzeciwiają się takim podszeptom, udaremniają postęp człowieka. Chrześcijaństwo jest papką dla słabych, potulnych i biednych. Nadczłowiekowi niepotrzebny jest Bóg, on sam jest dla siebie prawem, zadaniem jego jest samospełnienie, nie samozaprzeczenie, zrzucił pęta tradycji i historii jako nieznośne jarzmo przeszłości. Nietzsche nie formułował swego credo w logicznym języku stwierdzeń, lecz w swego rodzaju poezji prozą, podobnej do Psalmów, krętej i niejasnej, pełnej górskich szczytów i wschodów słońca, śpiewu ptaków, tańczących dziewcząt, przemówień do Woli, Radości i Wieczności, z tysiącem barwnych metafor i symboli, które unosiły duszę Zaratustry w dążeniu ku celom ludzkości.

W latach osiemdziesiątych nikt nie zwracał uwagi na jego publikacje. Gardząc Niemcami, bo nie doceniali jego dzieła, Nietzsche wędrował po Francji, Włoszech i Szwajcarii, aż, jak powiedział Georg Brandes, nabrał „zdecydowanego wstrętu do swoich rodaków”. Odkrył go cudzoziemiec, Duńczyk i Żyd Brandes; jego artykuły, przetłumaczone i opublikowane w roku 1890 w „Deutsche Rundschau”, zaznajomiły Niemców z Nietzschem i dały początek jego rozgłosowi. W owym czasie Nietzsche był już obłąkany; Max Nordau, autor *Degeneracji*, dowiedziawszy się o tym uznał go za znakomitą ilustrację tego przypadku i poświęcił mu kilka stron najostrzejszej krytyki. Książka Nordaua została przetłumaczona i czytano ją w całej Europie i Stanach Zjednoczonych, a więc tym samym przyczyniła się do rozgłosu Nietzschego. Sławiono go jako jasnowidza, potępiano jako anarchistę, studiowano i dyskutowano o nim w czasopiśmie angielskich, a także niemieckich. Cytowano jego aforyzmy jako tytuły wierszy i nagłówki rozdziałów, stał się tematem rozpraw doktorskich, wzorem dla szeregu naśladowców, ośrodkiem całej literatury pochlebstw i ataków. Szczególnie mile widziano go we Francji, gdyż piętnował Niemców, uważając ich za wulgarnych i materialistycznych filistrów, co nie przeszkodziło jednak kultowi jego osoby w kraju ojczystym. W Niemczech wzbierały soki

żywotne, toteż teoria Nietzschego o prawach silniejszego wobec słabszego znalazła tam żywy oddźwięk. W jego pismach myśli takie osłonięte były rozległą nadbudową poetyckich skojarzeń i eksploracji, lecz akceptowane w stanie surowym jako konkretne przykazania stały się dla jego współziomków zarówno doktryną, jak i usprawiedliwieniem. W 1897 wyrażenie „kult Nietzschego” zostało powszechnie uznane. Człowiek wsparty o poduszkę w sypialni w Weimarze, zapatrzony smutnymi, nieobecny oczyma w obcy mu świat, oczarował swoją epokę.

Żyjący „artyści-geniusze” nie mogli się oprzeć *Zaratuście*. W Paryżu, kiedy przyjaciel przeczytał wyjątki Rodinowi, rzeźbiarzowi chłopskiego pochodzenia, jednemu z największych w owym okresie inicjatorów przemian w sztuce, ten tak się zainteresował, że wracał co wieczór, aż cała książka została przeczytana na głos. Na końcu po długim milczeniu powiedział: „Co za temat do wyrażenia w brązie”. Strauss, podobnie urzeczony, widział tu temat dla muzyki, a rzeczywiście sam Nietzsche napisał, że całość *Zaratustry* „mogłaby być uważana za muzykę”. Strauss nie miał zamiaru komponować muzyki do tekstu Nietzschego, lecz skromnie chciał „przekazać przez muzykę ideę rozwoju rasy ludzkiej od jej początków poprzez różne fazy ewolucji, tak religijnej, jak naukowej, aż po ideę *Übermenscha* Nietzschego”. Całość miała być jego „hołdem dla geniuszu Nietzschego”.

Na wiadomość, że najbardziej nowoczesny kompozytor niemiecki pracuje nad poematem muzycznym zainspirowanym przez najbardziej nowoczesnego niemieckiego filozofa, wielbiciele denerwowali się, a przeciwnicy ostrzyli pióra. Cały utwór, skomponowany w przeciągu siedmiu miesięcy roku 1896 i rozpisany na trzydzieści jeden instrumentów drewnianych i dętych, kotły, bęben basowy, cymbały, triangel, kuranty, dwie harfy i organy, oprócz zwykłych smyczków, trwał trzydzieści minut, prawie dwa razy tyle co *Sowizdrzał*, i został wykonany pod batutą kompozytora w trzy miesiące po ukończeniu. Na początku rozległy się trąby i urastały do ogromnego orkiestralnego peanu, granego przez cały zespół; pean ten przedstawiał nie tyle wschód słońca, jak twierdził program, co raczej stworzenie świata i swoją wspaniałością aż zapierał dech w piersi. Koniec oznajmiało dwanaście uderzeń niskiego dzwonu, zanikających stopniowo aż po drżące *pianissimo* smyczków i instrumentów dętych, a samo zakończenie stanowiła słynna „enigma”, wiolinowy akord B-dur skonstruowany ciemnym, tajemniczym basowym C. Między początkiem a końcem mieniła

się znów Straussowska magia efektów polifonicznych i pomysłów muzycznych, których starczyłoby na dwanaście utworów: „Naukę” wyrażała fuga złożona z dwunastu dźwięków gamy chromatycznej, a temat „Tańca dziewcząt na łące”, wprowadzony wysokimi dźwiękami fletu w niezdecydowanym rytmie walca, uchwycił całą radość i świeżość zieleniącego się świata. Był jednak bardziej wiedeński niż bachowski i trochę spopolitowany przez dzwony i triangle. W trzy dni po premierze *Zaratustra* został wykonany w Berlinie, a w przeciągu roku w największych miastach niemieckich oraz w Paryżu, Chicago i Nowym Jorku, znów wywołując ze strony krytyków albo nadmierną surowość, albo nadmierne pochwały. Hanslick uważał dzieło za „wymęczone i odpychające”, Amerykanin James Huneker za „niebezpiecznie wzniosłe”, a znakomity muzykolog Richard Batka „za kamień milowy w historii muzyki współczesnej”, Straussa zaś za „kompozytora wybitnie współczesnego”.

W Niemczech sukces przyszedł niemal zbyt łatwo dzięki nadmiarowi wykonań, cotygodniowym festiwalom, ciągłym operom, koncertom, występom chórów i muzyki kameralnej; orkiestry gotowe były schwycić kompozycję, ledwie została ukończona. „W Niemczech jest za dużo muzyki”, pisał Romain Rolland kursywą. Wyjaśniał to jako obserwator głęboko zainteresowany tak Niemcami, jak i muzyką; „Nie jest to paradoks. Nie ma większego nieszczęścia dla sztuki jak jej nadmiar”. Niemcy, uważał Rolland (nie bez francuskiego uprzedzenia), „dopuszcili się zalewu muzyki i toną w nim”, co odbiło się także na Straussie. Wcześniej zdobył rozgłos, a później prymat w swojej dziedzinie, co przy doskonałym opanowaniu rzemiosła wywołało u niego chęć zadziwienia, toteż w następnej kompozycji, *Don Kichocie*, opuścił wodze swym skłonnościom do realizmu.

Niemcy wyżywali się w realizmie. W Bayreuth Brunhildzie towarzyszył zawsze żywy koń, który pod wpływem końskiej tremy, czy też galopującej muzyki Walkirii, zachowywał się niewłaściwie na środku sceny, wprawiając w zachwyt publiczność niemiecką, ale nie zagranicznych gości. Malarz Philip Ernst, ojciec Maxa Ernsta, malując swój ogród pominął drzewo, które psuło mu kompozycję, a później, dręczony wyrzutami sumienia z powodu naruszenia realizmu, ściał drzewo. Gdy Strauss w *Don Kichocie* użył maszyny dmuchającej, aby wprawić w ruch skrzydła wiatraków, trudno było się dziwić ludziom, że uważali tak daleko posuniętą dosłowność za pozbawioną artyzmu przesadę. Krytycy wyszydzaali przytłumione

instrumenty dęte naśladowujące beczenie owiec, choć nie można zaprzeczyć, że przekazały niezmiernie zręcznie nie tylko dźwięk beczenia, ale wrażenie, nieomal widok, stłoczonej masy zwierząt poruszających się i przepychających.

Obelgi krytyków dodawały jeszcze rozgłosu Straussowi i ściągały większe tłumy na jego koncerty. Angielski krytyk Ernest Newman przyznał, że w wieku trzydziestu czterech lat Strauss był „muzykiem, o którym na świecie najwięcej mówiono”. Choć kajzer nie uznawał jego muzyki, stolica Niemiec nie mogła się bez niego obejść. W sześć miesięcy po premierze *Don Kichota* zaproponowano mu dyrygenturę w Berlińskiej Operze Królewskiej, a on przyjął to stanowisko.

Berlin to były Prusy, naturalny wróg Monachium i Bawarii. Niemiec z północy uważał Niemca z południa za wygodnickiego, pobłażającego sobie, za sentymentalistę z pożałowania godnymi tendencjami demokratycznymi, nawet liberalnymi. Niemiec z południa ze swej strony uważał Niemca z północy za aroganckiego tyrana o złych manierach i bezczelnym spojrzeniu, który jest zaprzątnięty interesami i agresywny, a w polityce reakcyjny.

Berlin, trzecie co do wielkości miasto Europy, miał architekturę nową i nazbyt piękną, w stylu zwanym w Ameryce stylem złoczonego wieku. Tamtejsze budynki publiczne, ulice i place, zbudowane lub odbudowane po roku 1870, aby zapewnić odpowiednie pomieszczenie dla nowej świetności, były ciężkie, pretensjonalne i przeładowane złoceniami. Aleja Unter den Linden, długości mili z podwójnym szpalerem drzew, została zaplanowana z wyraźnym zamiarem, aby stać się największym i najpiękniejszym bulwarem Europy. Kończyła się naturalnie Łukiem Triumfalnym przy Bramie Brandenburskiej. Brama prowadziła z kolei do sławnej Sieges Allee w Tiergartenie z szeregami błyszczących marmurowych Hohenzollernów w hełmach w triumfalnych pozach. Kiedy postawiono te posągi według dyspozycji kajzera, Max Liebermann, którego pracownia wychodziła na Tiergarten, narzekał: „Wszystko, co mogę zrobić, to nosić ciemne okulary, ale jest to wyrok dożywotni” Imponujący budynek Reichstagu miał maksymalne rozmiary, mające nadrobić jego minimum władzy. Wzdłuż Leipzigerstrasse i Friedrichstrasse duże magazyny i biura dyrekcji banków oraz przedsiębiorstw handlowych pęczniały od różnorodnych transakcji,

mnożących się z dnia na dzień. Miasto było nieskazitelnie czyste, a ludność tak porządna, że rachunek pewnej berlińskiej gospodyni obejmował trzy fenigi za przysycie guzika do spodni i dwadzieścia za usunięcie plamy z atramentu. Policja była sprawna, choć jeden z angielskich turystów uznał ją za „niezwykle surową, a nawet brutalną”. Kuszenie do występku rzucało się agresywnie w oczy, kuchnia była nieinteresująca, panie nieszykowne. Pruska oszczędność tłumiła elegancję. Kobiety berlińskie z klasy średniej nosiły odzież szytą w domu: bluzki w kratę, brudnobrazowe spódnice, workowate płaszcze, jak pledy podróżne, buciki ze ściętym szpicem i nijakie kapelusze, które można było nosić do wszystkiego i które nie nadawały się do niczego. Miały krępe postacie, szorstką cerę, a włosy ściągały do tyłu i upinały w spleciony węzeł.

Sztywne i nudne życie towarzyskie toczyło się w ściśle odgraniczonych środowiskach. Kupcy, przemysłowcy, ludzie wolnych zawodów, literaci i artyści, o ile nie zostali nobilitowani przez dodanie *von*, nie byli *hoffähig*, to znaczy nie przyjmowano ich na dworze, a arystokracja nie kontaktowała się z nimi towarzysko. Nie kontaktowali się również między sobą. Każdy Niemiec należał do jakiegoś *Kreis*, czyli kółka swojej grupy; nie zachodziły one na siebie nawet w najmniejszym stopniu. Żona jakiegoś *Herr Geheimrat* czy *Herr Doktor* nie rozmawiała z żoną kupca, ta znów z żoną rzemieślnika. Zebrania, przyjęcia czy małżeństwa wychodzące poza dany *Kreis* groziły zamętem, czego Niemcy najbardziej się obawiali. Może dla zrekompensowania monotonii towarzyskiej niektórzy Niemcy, jak twierdzi pogłoska, jedli siedem posiłków dziennie.

Ponieważ zjednoczenie Niemiec nastąpiło pod przywództwem Prus, kasta rządząca wywodziła się z obszarników junkrów, czyli pruskiej szlachty — licznej, biednej i zacofanej. Katolicka arystokracja Wirtembergii i Bawarii patrzyła na nich z góry, jako na pospolitych, pozbawionych gustu i nie nadających się do przewodzenia społeczeństwu, a junkrzy nadrabiali pewnością siebie swoje braki w wykształceniu. Opanowali armię, która w Niemczech opanowała państwo, i w ślad za Bismarckiem, ich najwspanialszym przedstawicielem, zajmowali większość stanowisk rządowych, ale nie uczestniczyli w stołecznym życiu świata interesu, intensywnym i zaborczym. Choć sami jako klasa nie nastawieni na zyski, sprzyjali i pomagali takiemu nastawieniu, a rząd ich był najjawniej w Europie komercyjny. Kajzer, który uwielbiał pieniądze, włączał do swego grona

bogatszą i bardziej kosmopolityczną arystokrację niepruską. Życie dworskie charakteryzowały szczegółowe reguły zachowania i wielkie uroczyste obiady przy akompaniamencie bardzo głośnej muzyki. Żydów, którzy nie zmienili religii, nie przyjmowano, ze sporadycznymi wyjątkami dla Żydów na dworze kajzera, jak jego przyjaciel Albert Ballin. Żydzi stanowili wprawdzie tylko około jeden procent ludności, lecz antysemityzm był w modzie, sprzyjały temu szybkie postępy Żydów w nauce i sztuce, w interesach i wolnych zawodach, osiągnięte po zatwierdzeniu dla całego cesarstwa ich prawnej emancypacji w 1871 roku. Mimo tej emancypacji Żydów praktykujących nie dopuszczano do stanowisk politycznych, wojskowych i akademickich ani do arystokracji *von*, co, na szczęście dla Niemiec, nie zmniejszyło ich patriotyzmu. Bleichroder, bankier, który udzielił Bismarckowi kredytu potrzebnego na wojnę francusko-pruską, Ballin, który rozwinął handel morski, Emil Rathenau, założyciel Allgemeine Elektrizitäts-Gesellschaft, które zelektryfikowało Niemcy; Fritz Haber, odkrywca metody uzyskiwania stężonego azotu z powietrza, co uniezależniało Niemcy od importu azotu na środki wybuchowe — wszyscy oni byli żydowskiego pochodzenia. Niektórym z nich Niemcy zawdzięczały w pokaźnym stopniu swój pomyślny rozwój. Niemieckiej klasie rządzącej pomagały w podobny sposób niezwykle pracowite klasy średnia i niższa, które z przejęciem przykładały się do pracy, rzadko korzystając z urlopów. Poziom ich wykształcenia był na ogół wyższy niż w innych krajach. Prusy wprowadziły w latach dwudziestych przymus szkolny w pełnym wymiarze godzin dla dzieci od siedmiu do czternastu lat, a w latach dziewięćdziesiątych miały w proporcji do liczby ludności dwa i pół raza tyle studentów, co Anglia. Monarcha panujący nad tym prosperującym narodem był — jak naród — ruchliwy i dynamiczny, lecz raczej niespokojny niż dokładny. Mieszał się do wszystkiego i zwracał uwagę na wszystko, co dawało niekiedy pożyteczne skutki. W 1901 roku, gdy w Niemczech występował cyrk Barnuma i Bailey'a, kajzer, słysząc o niezwykle szybkim załadowywaniu pociągów przez cyrkowców, wysłał oficerów, żeby zaobserwowali, jaką tamci stosują metodę. Oficerowie przekonali się, że ludzie z cyrku, zamiast ładować ciężkie urządzenia osobno na każdy wagon towarowy z boku, kładli przez całą długość pociągu łączące go żelazne szyny, po których można było toczyć wyposażenie, ładowane z jednego końca. Tym sposobem trzy pociągi, po dwadzieścia trzy wagony każdy, zostały załadowane w przeciągu godziny. Technikę cyrkową wykorzystano wkrótce do zaspokojenia nienasyconej żądzy szybkości w niemieckim

systemie mobilizacyjnym. Obserwatorzy wysłani przez kajzera zauważyli również, że znacznie korzystniejsze są wielkie cyrkowe wagony kuchenne niż stojące kuchnie polowe, i zastosowali je w armii, tak że posiłki można było gotować w ruchu.

Kajzer zawsze bardzo się starał nosić na każdą okazję odpowiedni mundur. Kiedy Moskiewski Teatr Sztuki występował w Berlinie, przyszedł na przedstawienie w rosyjskim mundurze. Lubił organizować wojskowe pokazy i festiwale, zwłaszcza coroczne wiosenne i jesienne parady berlińskiego garnizonu na olbrzymim terenie Tempelhof, gdzie mogły manewrować formacje złożone z 50 000 żołnierzy, co równa się kilku dywizjom. Uważał się za nie mniejszy autorytet w dziedzinie sztuki, na którą miał zdecydowane, choć niezbyt postępowe poglądy. Gdy Gerhart Hauptmann, autor ponurego dramatu z życia klasy pracującej *Tkacze*, miał dostać w 1896 roku Nagrodę Schillera, kajzer przyznał ją innemu pisarzowi, Ernstowi von Wildenbruch, swojemu ulubieńcowi, autorowi historycznych dramatów w stylu *Wilhelma Telia*. Po ustanowieniu stypendiów Rhodesa kajzer wyznaczył jako kandydatów z Niemiec „wulgarnych bogatych ludzi — jak twierdził jeden z członków oksfordzkiego Balliol College — którzy wcale nie mają dobrych wyników”. Jeden zastrzelił sarnę w parku Magdalen College i musiał zostać odwołany na rozkaz zakłopotanego monarchy. Kajzer lubił wyobrażać sobie, że jest „kochającym sztukę księciem... wokół którego mogą się zbierać artyści”, co wyraził w swoim przemówieniu na otwarcie Sieges Allee w 1901 roku, i za którego panowania sztuki mogą jak w okresie klasycznym rozkwitać „w bezpośrednim kontakcie zleceniodawcy z artystą”. W tym przypadku jako zleceniodawca dał rzeźbiarzom posągów „jasne i zrozumiałe zadania” oraz uregulował i określił ich pracę, ale potem zostawił im swobodę w realizacji jego idei. Teraz mógł być dumny z wyników „nie splamionych tak zwanymi modernistycznymi tendencjami”.

Sztuka, oznajmił, powinna przedstawiać Ideał. „Dla nas Niemców wielkie ideały, stracone dla innych narodów, stały się trwałą własnością”, którą „tylko naród niemiecki” może zachować. Mówił o wychowawczym działaniu sztuki na klasy niższe, które po dniu ciężkiej pracy mogą się wznieść ponad siebie przez kontemplację piękna i Ideału. Ostrzegął jednak surowo, że „kiedy sztuka schodzi do rynsztoka, jak to często dzieje się obecnie, i woli przedstawiać nędzę w sposób jeszcze przykrzejszy, niż wygląda w rzeczywistości”, wtedy „grzeszy przeciw narodowi niemieckiemu”. Jako

władca kraju, czuje się głęboko dotknięty, gdy mistrzowie sztuki „nie sprzeciwiają się dość energicznie takim tendencjom”.

Również teatr, wyjaśnił w 1898, powinien się przyczyniać do kultury duszy, podnosić moralność i „wpajać szacunek dla najszczytniejszych tradycji naszej niemieckiej Ojczyzny”. Pragnąc, aby Teatr Królewski, o którym stale mówił „mój teatr”, mógł spełniać tę funkcję, zorganizował dla klasy pracującej serię przedstawień swoich ulubionych dramatów historycznych po zniżonych cenach. Z wielką pedanterią starał się o dokładność wszystkich szczegółów dekoracji i kostiumów; gdy wystawiano balet-pantomimę o Sardanapalusie, przetrząsnął wszystkie muzea świata, żeby zdobyć informacje o asyryjskich rydwanach.

Lubił uczestniczyć w próbach Królewskiej Opery i Królewskiego Teatru, a nawet kierować nimi. Przyjeżdżał w swym cesarskim czarno-żółtym samochodzie i sadowił się na widowni przy dużym urzędowym stole, na którym leżał stos papieru i szereg ołówków. Obok stał adiutant w mundurze i podnosił w górę rękę, ilekroć kajzer dał mu znak; przerywano wtedy przedstawienie, a kajzer tłumaczył gestykulując, jakie chciał wprowadzić ulepszenia, po czym aktorzy próbowali na nowo. Mówił o aktorach *meine Schauspieler* i raz, gdy jeden z nich, Max Pohl, nagle zachorował, powiedział do kogoś: „Pomyśl, mój Pohl miał wczoraj atak”. Ów, sądząc, że ma na myśli swego psa, wyraził współczucie: „Ach, biedne zwierzę”.

W dziedzinie muzyki kajzer miał naturalnie gust konserwatywny. Lubił Bacha, największego ze wszystkich, i Handla. Z oper słuchał najchętniej niemieckich i mawiał: „Gluck to mój człowiek, Wagner jest zbyt hałaśliwy”. Na przedstawieniach zostawał do końca i często zarządzał koncerty w pałacu; sam układał ich program i uczestniczył w próbach, spodziewając się jednak, że zostały już uprzednio wypróbowane i że wszystko pójdzie gładko. Raz w czasie pobytu w Norwegii wezwał Griega na audiencję w Poselstwie Niemieckim i zgromadziwszy orkiestrę, złożoną z czterdziestu muzyków, ustawił przed nią dwa krzesła, dla siebie i dla kompozytora, którego poproszono, aby dyrygował suitą *Peer Gynt*. W czasie koncertu kajzer wciąż poprawiał tempo i ekspresję kompozytora i kołysał się „orientalnymi ruchami” do taktu tańca Anitry, który „zupełnie go zelektryzował”. Następnego dnia pełna orkiestra powtórzyła cały koncert na pokładzie cesarskiego jachtu „Hohenzollern”.

We wczesnym okresie panowania kajzera podziw dla niego przeszedł w narodowy kult. Po długim panowaniu Wilhelma I, jego dziadka, i przykrym trzymiesięcznym panowaniu człowieka umierającego, objęcie tronu przez młodego, energicznego monarchę, który widomie rozkoszował się swoją rolą i podtrzymywał królewski splendor, powitane zostało przez naród z zadowoleniem. Jego błyszczący wzrok, marsowa postawa, bohaterskie pozy, podkreślane olśniewającym strojem i podniecającą muzyką, wywoływały wielkie wrażenie na jego poddanych. Młodzi ludzie chodzili do dworskiego fryzjera, aby podkręcał im wąsy w szpic specjalnymi rurkami do fryzowania, oficerowie i biurokraci starali się rzucić płomienne spojrzenia, pracodawcy zwracali się do swych pracowników w najbardziej dynamicznym stylu kajzera, jak to robił Diederich, tytułowa postać w powieści Henryka Manna *Poddany*, będącej ostrą satyrą na wilhelmińskie Niemcy; „Teraz ja ująłem ster w ręce. Kierunek obrany przeze mnie jest właściwy, poprowadzę was ku wspaniałym czasom. Tych, co chcą mi w tym pomóc, przygarnę z całą serdecznością, tych natomiast, co mi się przeciwstawiają w mojej pracy, zmiażdżę... Jeden człowiek tylko jest tu panem, a tym człowiekiem jestem ja! Odpowiadam jedynie przed Bogiem i przed własnym sumieniem. Możecie zawsze liczyć na moją ojcowską życzliwość. Ale wszelkie tendencje wywrotowe rozbijają się o moją niezłomną wolę”. Oniemiali robotnicy patrzyli na niego ze zdumieniem, a zebrana rodzina ze zgrozą i szacunkiem.

Pierwsza połowa panowania kajzera, które rozpoczęło się w roku 1888, zbiegła się z pierwszym przypływem kultu Nietzschego. Nieustanna aktywność monarchy we wszelkiego rodzaju zabiegach nadawała mu pozory człowieka wszechstronnego, jak gdyby właśnie w Niemczech, jako ukoronowanie stulecia ich największego rozwoju, pojawił się Übermensch, i to nie gdzie indziej, lecz na czele państwa. Naturalnym następstwem tego stał się kult bohatera. W powieści Diederich widzi kajzera po raz pierwszy jadącego z „kamienną powagą” na twarzy na czele konnego szwadronu aby stawić czoło demonstracji robotników przy Bramie Brandenburskiej. W porzywie lojalności robotnicy, którzy krzyczeli przedtem: „Chleba! Pracy!”, teraz wymachują rękami i wołają: „Idźcie za nim! Idźcie za Cesarzem!” Diederich, biegnący obok, potyka się i siada nagle w kałuży z nogami w powietrzu, pochlapany błotem. „Wówczas cesarz roześmiał się. Człowiek ten był monarchistą, wiernym poddanym! Cesarz zwrócił się do swego orszaku, klepnął się po udach i śmiał się serdecznie”. Diederich „siedząc w kałuży spoglądał za nim; ciągle jeszcze z szeroko otwartymi ustami”.

W osobie Diedericha, który zawsze znęca się nad kimś stojącym niżej od siebie, a podlizuje się komuś stojącemu wyżej, Mann sportretował bezlitośnie jedną z cech swoich rodaków: służalczość, będącą odwrotną stroną tyranii. Bankier Edgar Speyer, powróciwszy w 1886 roku do swego rodzinnego Frankfurtu nad Menem po spędzeniu dwudziestu siedmiu lat w Anglii, stwierdził, że trzy zwycięskie wojny i ustanowienie cesarstwa wywołały w Niemczech zmianę atmosfery, jakiej nie mógł znieść. Niemiecki nacjonalizm zajął miejsce niemieckiego liberalizmu. Wydawało mu się, że wielki dobrobyt i samozadowolenie podziały na naród jak narkotyk, tak że zrezygnował ze swej wolności pod wpływem rozpasanego militarizmu, a serwilizm wobec armii i kajzera stał się wprost „niewiarygodny”. Profesorowie uniwersytetu, będący za jego młodych lat czołowymi przedstawicielami liberalizmu, „teraz kłaniają się w pas władzy w najbardziej niewolniczy sposób”. Speyer, przygnębiony, zrezygnowany, po pięciu latach wrócił do Anglii.

To, co Speyer zaobserwował, Mommsen próbował wytłumaczyć: „Bismarck złamał kręgosłup narodu — pisał w 1886. — Szkoda, jaką wyrządziła era Bismarcka, jest nieskończenie większa niż korzyści, jakie przyniosła... Ujarzmienie niemieckiej osobowości, niemieckiego umysłu było nieszczęściem, którego nie da się naprawić”. Mommsen nie powiedział jednak, że Bismarckowi udało się to tylko dlatego, że odpowiadało niemieckiej naturze.

W latach dziewięćdziesiątych Strauss, wierzący głęboko w *Übermenscha*, podzielał ogólny podziw dla kajzera. Nastawienie to zmieniło się pod wpływem osobistych doświadczeń w charakterze dyrygenta Berlińskiej Opery Królewskiej. Po przedstawieniu melodyjnego dzieła Webera *Wolny strzelec*, którym dyrygował, został wezwany przed oblicze cesarza. „A więc jest pan jeszcze jednym z tych nowoczesnych kompozytorów”, stwierdził kajzer. Strauss skłonił się. Wspominając o jednym ze współczesnych kompozytorów, Schillingsie, którego dzieła słyszał, kajzer powiedział: „To było wstrętne, nie ma w tym ani krzty melodii”. Strauss skłonił się i napomknął, że jest melodia, lecz często ukryta w polifonii. Kajzer zmarszczył brwi i orzekł: „Jest pan jednym z najgorszych”. Tym razem Strauss tylko się skłonił. „Cała nowoczesna muzyka jest bez wartości — powtórzył król-krytyk — nie ma w niej ani krzty melodii”. Strauss skłonił się. „Wolę

Wolnego Strzelca”, stwierdził zdecydowanie kajzer. Strauss ustąpił. „Wasza cesarska mość, ja także wolę *Wolnego Strzelca*”, odpowiedział.

Skoro kajzer nie był tym bohaterem, którego sobie wyobraził, Strauss w krótkim czasie znalazł innego — samego siebie. Wydało mu się to najnaturalniejszym tematem dla następnego wielkiego dzieła, zatytułowanego bezwstydnie *Życie bohatera*. Od czasu *Z Italii* tematu jego utworów nie stanowiły nigdy nastroje czy obrazy, zrujnowane katedry lub sceny pastoralne, lecz zawsze Człowiek, Człowiek w walce i poszukiwaniach, usiłujący znaleźć sens istnienia, walczący przeciw swym wrogom i własnym namiętnościom, zaangażowany w trzy wielkie przygody: walkę, miłość i śmierć.

Makbet, Don Juan, bezimienny bohater *Śmierci i wyzwolenia*, Sowizdrzał, Zaratustra, Don Kichot, wszyscy byli podróżnikami w krainie duszy. Dołączył teraz do nich portret artysty.

W dwóch pierwszych z trzech wielkich przygód Strauss miał doświadczenie wprawdzie nie epickie, ale dostateczne. Prowadził boje z krytykami, po których pozostały mu rany, a w 1894 roku poślubił Pauline de Ahna. Poznał ją, gdy miał dwadzieścia trzy lata. Była to córka emerytowanego generała i amatora barytona, śpiewającego na miejscowych recitalach wyjątki z Wagnera. Córka poszła w jego ślady, studiowała śpiew na akademii w Monachium, lecz robiła niewielkie postępy, dopóki nie zakochał się w niej Strauss; połączył on tak skutecznie naukę i zaloty, że po dwóch latach wprowadził ją do Opery Weimarskiej w głównych rolach sopranowych. Śpiewała Elzę w *Lohengrinie*, Paminę w *Czarodziejskim flecie*, Beethovenowskiego Fidelia i bohaterkę opery Straussa *Guntram*. Raz, próbując rolę Elisabeth w *Tannhauserze*, posprzeczała się z nim o tempo i wykrzykując „straszliwe obelgi”, cisnęła mu na głowę partyturę i uciekła do swej garderoby. Strauss poszedł za nią; muzycy z orkiestry słuchali ze zgrozą głosu rozzłoszczonej kobiety, dochodzącego przez zamknięte drzwi, po czym nastąpiła długa cisza. Zastanawiając się, które z nich zabiło przeciwnika, dyrygent czy primadonna, delegacja trzęsących się muzyków zapukała do drzwi; gdy otwarł je Strauss, rzecznik delegacji wyjąkał, że on i jego koledzy, oburzeni zachowaniem sopranu, uznali za właściwe wobec czcigodnego Herr Kapellmeister odmówić w przyszłości grania w operze, w której ona będzie miała jakąś rolę. „To mnie martwi — odpowiedział Strauss z uśmiechem — bo właśnie zaręczyłem się z panną de Ahna”.

Podobne sceny powtarzały się w czasie trwania małżeństwa. Żona krzyczała, mąż się uśmiechał i wyraźnie cieszył się, że jest besztany. Na przyjęciach Frau Strauss nie pozwalała mu tańczyć z innymi paniami. W domu jako gospodyni odznaczała się wielką pedanterią, każąc swemu mężowi wycierać nogi na trzech różnych wycieraczkach, zanim wszedł do własnego mieszkania. Każdego gościa bez względu na wiek i stanowisko witał rozkaz: „Proszę wytrzeć nogi”. Podłogi były czyste jak blaty stołu, a służących, którzy nie zostawili zawartości szaf na bieliznę w idealnie równych szeregach, prześladowały nieuchronnie gniewne wrzaski. Frau Strauss poddając się karom z takim samym entuzjazmem, z jakim je zadawała, zaangażowała masażystkę ostrej szkoły; podczas jej codziennych wizyt Strauss musiał wychodzić na spacer, aby nie słyszeć krzyków torturowanej żony. Urodziła mu w roku 1897 jedno dziecko, syna Franza, który natychmiast dał wyraz rodzinnej tradycji *molto eon brio* „krzycząc wniebogłosy” jak opowiadali z dumą dziadkowie niemowlęcia. Frau Strauss, śpiewając przy akompaniamencie małżonka jego pieśni, kończące się zwykle długo kodą fortepianową, wymachiwała wielką jedwabną chusteczką i na końcu rzucała ją szerokim gestem, aby wzrok publiczności spoczął na niej, a nie na pianistce. Gościom tłumaczyła dokładnie, dlaczego jej małżeństwo jest okropnym *mésalliance*, a Strauss przysłuchiwał się temu z uśmiechem. Powinna była wyjść za tego młodego huzara, teraz jest związana z mężczyzną, którego muzyki nie można nawet porównać do Masseneta. W czasie jednego z pobytów w Londynie, gdzie Strauss dyrygował *Życiem bohatera*, kiedy po obiedzie u Speyerów zaproponowano toast na jego cześć, żona przerwała z podnieceniem: „Nie, nie! — wskazując na siebie — nie, nie! Dla Strauss de Ahna”. Strauss tylko się roześmiał, a jednemu z obecnych wydawało się, że cieszy go to wymaganie pierwszeństwa ze strony żony.

Żona przyzwyczała go do porządku. Stół, przy którym pracował, był wzorem porządku, szkice i notatniki ułożone w teczkach, zarejestrowane tak starannie jak akta w firmie prawniczej. Miał doskonale czytelne pismo, a jego partytury stanowiły „cuda kaligrafii” z bardzo nielicznymi poprawkami lub skreśleniami. Pieśni rzucał na papier w różnych wolnych chwilach, niekiedy w czasie przerw na koncercie lub operze, gdy dyrygował, lecz dłuższe utwory komponował wyłącznie w swojej letniej siedzibie, najpierw w Marquardstein w Górnej Bawarii, później w swym drugim domu, w pobliżu Garmish. Tu w swoim gabinecie pracował regularnie od śniadania do lunchu, a często, jak powiedział w jednym z wywiadów, także po południu i wieczorem, do

pierwszej lub drugiej nad ranem. Lubił pisać swoje niezwykle zawiłe partytury, często tak skomplikowane przez nadmierny podział grup i przeplatające się melodie, że temat nie dochodził do uszu słuchacza. Muzykę taką, dającą się rozpoznać wzrokiem przez osobę wprawną w czytaniu partytur, która mogła podziwiać matematyczną pomysłowość układu, Niemcy nazywali *Augenmusik* (muzyką wzrokową). Gdy gratulowano Straussowi jego talentu, powiedział, że to nic w porównaniu z pewnym młodym człowiekiem z Wiednia, Arnoldem Schönbergiem, któremu do partytur potrzeba było sześćdziesięciu pięciu pięciolinii i musiano dla niego specjalnie drukować papier nutowy. Strauss sam pisał z taką łatwością, że powiedział kiedyś do swojego gościa: „Mów spokojnie dalej, mogę pisać tę partyturę i rozmawiać równocześnie”. Poemat symfoniczny zabierał mu zazwyczaj trzy do czterech miesięcy, a pisanie partytury kończył przeważnie w Berlinie między próbami a dyrygowaniem.

W letnim domu goście znajdowali urządzenia świadczące o talencie organizacyjnym Frau Strauss, nie mniejszym niż nieboszczyka marszałka polnego von Moltke. Na bramie umieszczona była tuba, a pod nią informacja, aby zadzwonić, a potem przyłożyć ucho do tuby. Głos pytał przez tubę o nazwisko gościa, a jeśli uznał, że można go przyjąć, informował, że brama została teraz otwarta. Inna tabliczka pouczała, jak otworzyć bramę, i nakazywała zamknąć ją za sobą.

Frau Strauss nie pozwalała na marnowanie czasu. Gdy stwierdzała czasami, że mąż wałęsa się bez celu po domu, rozkazywała: „*Richard, jetzt gehst komponieren!*” (teraz idź komponować), a on spełniał polecenie. Gdy pracował zbyt ciężko, mówiła: „Ryszardzie, odłóż ten ołówek”, a Ryszard posłusznie go odkładał. W Wiedniu na premierze komedii muzycznej Straussa, *Feuersnot*, którą sam dyrygował, Frau Strauss siedziała w łóżku austriackiego dyrygenta i kompozytora Gustawa Mahlera i złościła się przez cały czas. Frau Mahler wspominała później: „Nikommu nie może się podobać ta szmira; kłamiemy udając, bo wiemy równie dobrze jak ona, że nie ma w tym ani jednej oryginalnej nuty. Wszystko jest skradzione z Wagnera i tuzina innych, lepszych niż jej mąż”. Mahlerowie, zakłopotani, siedzieli w milczeniu, nie śmiejąc przytakiwać, bo „ta jędza była zdolna przekręcić słowa w naszych ustach i nagle krzyżeć, że myśmy wypowiedzieli te wszystkie uwagi”. Po entuzjastycznych oklaskach i kilkakrotnym wywoływaniu przed kurtynę, Strauss, rozpromieniony, wszedł do łóżka i

zapytał: „No, Pauksel, co sądzisz o moim sukcesie?” „ Ty złodzieju! — wrzasnęła. — Masz czelność mi się pokazywać? Nie idę z tobą. Jesteś do niczego”. Wepchnięto ją szybko do biura Mahlera, gdzie wymyślała dalej za zamkniętymi drzwiami, aż Strauss wypadł z pokoju, za nim podążyła małżonka, oznajmiając strasznym głosem, że wraca do hotelu i śpi „sama tej nocy”. „Czy mogę chociaż iść z tobą?”, błagał pokornie Strauss. „Dobrze — dziesięć kroków za mną!”, i odeszła z godnością, a za nią, w pełnej szacunku odległości, kroczył bohater wieczoru. Potem spotkał się z Mahlerami na późnej kolacji; wyglądał na przygnębionego i wyczerpanego, całą resztę wieczoru spędził z ołówkiem w ręce, obliczając, jakie może osiągnąć honoraria przy największym, a jakie przy najmniejszym powodzeniu. Robienie pieniędzy interesowało go nie mniej niż inne aspekty wykonywanego zawodu.

Strauss skomponował *Życie bohatera* w lecie 1898 roku i pisał o nim, że jest to „dość duży poemat muzyczny... z mnóstwem rogów, zawsze heroicznego wyrazu”. Odegranie ukończonego już dzieła trwało czterdzieści minut, dłużej niż któregokolwiek z jego wcześniejszych dzieł. Już przedtem artyści często kreślili swoje portrety, lecz Strauss, odzwierciedlając nastrój panujący w kraju, po raz pierwszy nazwał się w autoportrecie Bohaterem. 3 marca 1899 roku na premierze dyrygował osobiście, co, biorąc pod uwagę prowokacyjny tytuł, charakter muzyki i uwagi w programie, świadczyło o niezmiernej bucie. *Życie* dzieliło się na sześć części, zajmujących się „Bohaterem”, jego „Przeciwnikami”, jego „Małżonką”, jego „Walką”, jego „Dziełami Pokoju” i wreszcie jego „Zejściem ze Świata i Spełnieniem Życia”. Pod względem formy była to rozbudowana sonata na rozległej skali z wyraźnym przedstawieniem tematu, rozwinięciem i powtórzeniem. Najpierw rogi zapowiadają Bohatera we wspaniałym motywie nasilającym się aż po *fortissimo*, po czym instrumenty wprowadzają Przeciwników ruchliwą, chichoczącą muzyką, która wyraźnie mówi „krytycy”, jak beczenie instrumentów dętych w *Don Kichocie* mówiło „owce”. Część Małżonki grana jest przez skrzypce solo w serii kadencji na przemian uwodzicielskich i swarliwych, z wyraźnymi, żeby nie powiedzieć, boleśnie szczerymi oznaczeniami ekspresji na partyturze, między innymi: „*Heuchlerisch schmachtend*” („z obłudną wylewnością”) oraz „frywolnie”, „wyniośle”, „czule”, a na końcu, w namiętym i wzruszającym duecie miłosnym, „tkliwie i z miłością”. Tymczasem trzy trąby odeszły ze sceny i nagle z odległości grają wezwanie do bronii. Spieszące gwałtownie smyczki, warkoczące kotły,

fanfary instrumentów dętych i grzmot basowych bębnow dają obraz szalejącej bitwy w pogmatwanym crescendo hałasu, który, podobnie jak w prawdziwej wojnie, brzmi tak, jakby wszyscy generałowie zrobili jakieś głupstwo. W uszach słuchaczy w roku 1899 brzmiało to „odrażająco”. Pośród wrzawy wraca triumfalnie motyw Bohatera. Jego „Dzieła Pokoju” są melodiami z wcześniejszych utworów kompozytora, co wskazuje nieomylnie na autobiograficzność utworu. Końcowa apoteoza Bohatera dokonuje się przy uroczystej, przytłumionej muzyce, którą Strauss w późniejszych uwagach do programu określił jako „obrządki pogrzebowe z opuszczeniem flag i wieńców laurowych na grobie Bohatera”.

W kilka tygodni później w Kolonii Romain Rolland, pobudzony tuż po burzliwych starciach na premierze jego *Wilków*, dał się ponieść wzruszeniu słuchając drugiego wykonania utworu. Choć niektórzy słuchacze syczeli, a niektórzy członkowie orkiestry nawet śmiali się z tej muzyki, „ja zaciskałem zęby, drżałem, a serce moje pozdrawiało młodego, zmartwychwstałego Siegfrieda”. W „straszliwej wrzawie i zgiełku” muzyki walki Rolland słyszał „szturmowanie miast, straszliwą szarżę kawalerii, która wprawia ziemię w drżenie i wywołuje bicie serca”. Uważał to „za najwspanialej w muzyce odmalowaną bitwę”. Były tam otchłanie, w których na chwilę znikająca myśl muzyczna, lecz wynurzała się znowu, o miernym niekiedy uczuciu melodycznym, lecz wielka w swej „harmonicznej rytmicznej inwencji oraz orkiestralnej świetności”. Rollandowi wydawało się, że Strauss wyraża energię „heroiczną, władczą, pełną zapału i potężną aż do stopnia wzniosłości”. Uległ on również wpływowi idei Nietzschego i uważał, że właśnie dlatego Strauss „jest szlachetny i w chwili obecnej jedyny. Czuje się w nim siłę, która panuje nad ludźmi”. Mimo całego podziwu Rolland, jako Francuz, nie mógł się powstrzymać od wyciągania wniosków politycznych. Twierdził, że teraz, kiedy Strauss, podobnie jak Niemcy, „udowodnił zwycięstwem swoją siłę, duma jego nie zna granic”. W nim, jako w człowieku „z energią witalną, chorobliwie podnieconym, nie zrównoważonym, lecz kontrolującym się wysiłkiem siły woli”, Francuz widział odbicie Niemiec. Mimo to Rolland został przyjacielem Straussa i jego wielbicielem.

Po raz pierwszy zetknął się z kompozytorem przed ośmiu laty w Bayreuth, a następnie w styczniu 1899 roku, gdy Strauss dyrygował w Paryżu orkiestrą wykonującą jego poemat muzyczny *Zaratustra*. Był to wyzwolony

Dionizos Nietzschego. „Aha! — pisał wówczas Rolland — Niemcy jako Wszechmocne nie utrzymają długo równowagi. Nietzsche, Strauss, kajzer — ich mózg cierpi na zawroty głowy. Neronizm unosi się w powietrzu! „ss Rollandowi wydawało się, że w motywie Wstrętu, powtarzającym się w poematach muzycznych, oraz w kończących je śmierciach rozpoznaje niemiecką „chorobę, ukrytą pod siłą i militarną tężyzną”. Usłyszał ją znów w *Życiu bohatera*.

Kiedy przy tej okazji odwiedził Straussa w jego mieszkaniu w Charlottenburgu, eleganckim przedmieściu Berlina, dostrzegł u niego więcej cech bawarskich niż nietzscheizmu, „pewną zabawną bufonadę, z odcieniem paradoksu i satyry, jak u Dyla Sowizdrzała”. Jak Dylowi, sprawiało mu wielką przyjemność skandalizowanie filistrów. Występowała u niego energia na przemian z atakami „lenistwa, słabości i ironicznej obojętności”. Choć serdeczny i poprawny w stosunku do Rollanda, potrafił być wobec innych nieuprzejmy, ledwie słuchał, co do niego mówiono, i burczał od czasu do czasu: „*Was? Ach, so, so*”. Zachowywał się niewłaściwie przy stole, siedział z nogą założoną na nogę, przy jedzeniu trzymał talerz pod brodą i opychał się słodyczami. W salonie kładł się na sofie, uderzając pięściami w poduszki i „bezczelnie obojętny wobec otaczających go ludzi”, usypiał z otwartymi oczyma.

Trudno było zdecydować, czy jest Dylem, czy Nadcześnikiem. W artykule dla „Revue de Paris” Rolland przedstawił go jako „typ artysty nowych Niemiec, odzwierciedlenie heroicznej dudumy bliskiej derilium, nietzscheańskiego egoizmu, głoszącego kult siły i pogardę dla słabości”. Musiał jednak przyznać, że portret ten jest przesadzony. Rollanda nękały takie same wątpliwości jak siostrzenicę Matthew Arnolda na karykaturze Maxa Beerbohma; musiała ona zapytać: „Dlaczego, wujku Matthew, ach, dlaczego nie chcesz nigdy być zupełnie poważny?” Strauss także nie chciał żyć zgodnie ze swym portretem i gotów był to przyznać. „Ma pan rację — pisał do Rollanda. — Nie jestem bohaterem, brak mi niezbędnej siły, nie jestem stworzony do walki... nie chcę się wysilać. W tej chwili chcę tylko pisać pogodną i radosną muzykę. Żadnych więcej bohaterów”. Rzeczywiście, w atmosferze nietzscheańskiego etosu trzeba było zrobić coś takiego, jak *Życie bohatera*; odzwierciedlało ono bardziej nastrój panujący w kraju niż własny nastrój kompozytora.

Strauss był jak struna szarpana przez *Zeitgeist* (ducha czasu). Żył

wprawdzie, jak ówczesna burżuazja, zawsze w bardzo wygodnych warunkach, wyczuwał jednak rewolucyjny pomruk świata pracy i wyraził go w dwóch ze swych najlepszych pieśni tak przekonująco, że jedna z nich, **Robotnik (Der Arbeitsmann)**, została hymnem Partii Socjalistycznej.” Drugą, **Pieśń kamieniarza (Das Lied des Steinklopfers)**, sam lubił najbardziej ze swoich pieśni. Śpiewane przez wybitnego niemieckiego barytona koncertowego, Ludwiga Wtillnera, z kompozytorem przy fortepianie, wyrażały taką dramatyczną siłę, że — jak pisał pewien krytyk — „słuchając tych groźnych, buntowniczych dźwięków miało się wrażenie, że słucha się *Marsylianki* jutra”.

O innej jego pieśni na głos męski, **Pieśni nocnej (Nächtlicher Gesang)**, mówiono, że może „wywołać dreszcz grozy w biały dzień”.

W **Życiu bohatera** wierni wielbiciele dostrzegli jednak u kompozytora ślad głęboko tkwiącej skazy. Ernest Newman twierdził, że po Wagnerze Strauss najbardziej ze wszystkich wzbogacił muzykę w nowe idee i „wniósł do muzyki większą energię, większe napięcie uczuć i większy ciężar myśli niż jakikolwiek inny kompozytor współczesny”. Wydawało się jednak, że nie umie powstrzymać niegodnego pragnienia „epatowania ludzkości”. Z taką łatwością posługiwał się techniką i tak opanował pomysły, że mógł robić, co chciał, a jego inwencja nie miała granic; nie umiał jednak utrzymać jej w ryzach. Newman byłby chętnie wyszedł z sali podczas „chichotania, warczenia i mruczenia” Przeciwników w **Życiu bohatera**, które uważał za „wybryk” muzyczny, podobnie jak owce w **Don Kichocie**. Wyczuwał brak gustu, rys wulgarności u człowieka gotowego zepsuć „dwie z najlepszych w dziewiętnastym wieku partytur” takimi „monstrualnościami”. Takie reakcje pobudzały jedynie Straussa do dalszych wybryków, mających wyrazić jego pogardę dla tego, co uważano za „wieczne” reguły piękna w muzyce. Nie pomagało mu też, że domagał się, aby krytycy płacili za swoje miejsca, co wywołało „krzyki rozpacz” na całym kontynencie.

Młodych krytyków mniej niepokoiły rozdźwięki i dysonanse Straussa niż jego wybryki. Amerykanin Lawrence Gilman uważał, że dysonanse muzyki Walki, jak i te, które przedstawiają obłąd Don Kichota, są „wymowne i znaczące” w przeciwieństwie do innych, osiąganym, jak mówił Whistler, „prostym sposobem siadania na klawiaturze”. Poza wybrykami Straussa jego dzieło zawierało dosyć muzycznych cudowności, aby postawić go ponad szyderstwem i drwiną; to niemuzyczny aspekt jego utworów — zwłaszcza

dydaktyczny realizm jego uwag w programach — czynił z niego obiekt wściekłości krytyków. Podobnie jak Philip Ernst, który nie namalował drzewa na swoim obrazie i dlatego zdecydował, że trzeba je ściąć, tak i Strauss upierał się, że wymaluje drzewo i umieści na nim tabliczkę z napisem „To jest drzewo”. Dlatego właśnie atakowali go krytycy, na przykład Newman powiedział o motywie puzonu w *Zaratuście*, zatytułowanym „Wstręt”, który następował po „Rozkoszach i namiętnościach”, że „nie bardziej przypomina on wstręt niż ból zęba”. Nie pomagały wyjaśnienia przyjaciół Straussa, że chce on, aby jego muzyki słuchano jako muzyki, i że dodaje uwagi programowe tylko pod silną presją kolegów i wydawców. Artysta pewny swojej wartości nie zrobiłby takiego ustępstwa, a on komponując myślał o literackich nagłówkach i pisał je na partyturze.

We Francji Claude Debussy również tworzył muzykę opisową, nie tak dosłowną i narracyjną jak Strauss, lecz bardziej ulotną i migocącą, na sposób impresjonistów w malarstwie i symbolistów w poezji. Symboliści uznawali za swoje credo sugerowanie przedmiotu, nie nazywanie go. Tam gdzie Strauss stwierdzał, Debussy sugerował. „Jeśli ludzie koniecznie chcą zrozumieć, co się dzieje w poemacie symfonicznym, możemy równie dobrze przestać je pisać”, powiedział.” Dosłowne znaczenie było równie obojętne dla Sibeliusa. Zapytany przez przyjaciela po wysłuchaniu nagrania swojej Czwartej symfonii, co ona naprawdę znaczy, odpowiedział po chwili: „Przegrzaj płytę jeszcze raz”.

Debussy podziwiał jednak Straussa, o dwa lata młodszego od siebie, i przyznawał, że *Śmierć i wyzwolenie* „odbywa się przed naszymi oczyma”. Po wysłuchaniu *Sowizdrzała* w 1903 roku stwierdził, że prawa muzyczne są w tym dziele nieomal tak zlekceważone jak podczas „godziny muzyki w domu obłąkanych... nie wiesz, czy ryknąć śmiechem, czy jęczeć z bólu, i dziwisz się bardzo, że znajdujesz cokolwiek na swoim zwykłym miejscu”. Mimo to uważał utwór za dzieło „geniuszu” i podziwem napawała go „zdumiewająca pewność w orkiestrowaniu” oraz „szalony rytm, który unosi nas z sobą od początku do końca i zmusza do udziału w figlach bohatera”. W *Życiu bohatera*, które słyszał również w 1903 roku, największe wrażenie zrobiła na nim „energia cyklonu”. Słuchacz nie panuje już nad swoimi uczuciami: „Powtarzam raz jeszcze, że nie można mu się oprzeć i trzeba się poddać jego władaniu”. Strauss po zapoznaniu się z preludium orkiestrowym Debussy'ego, *Popołudnie fauna*, opartym na poemacie Mallarmégo, oraz

Nocturnes na orkiestrę, które pojawiły się w latach dziewięćdziesiątych, odwzajemnił komplement. „Debussy jest wybitnym i zupełnie niezrównanym geniuszem — powiedział — w swojej ograniczonej dziedzinie”.

Strauss zawsze dziwił się trochę, gdy ktoś inny napisał dzieło wysokiej klasy. „Nie miałem pojęcia, że ktoś poza mną potrafi napisać tak dobrą muzykę jak ta”, powiedział „czarująco i znamienne” do Beechama po wysłuchaniu dzieła Deliusa. Nigdy nie słuchał Pucciniego, nie odróżniał *Manon* od *Toski* ani *Butterfly* od *Cyganerii*, choć dzieła Pucciniego powstały dokładnie w tym samym czasie co jego. W Niemczech nie ceniono wysoko opery włoskiej. Wspaniałomyślnie wykonywał jednak dzieła innych współczesnych. Ponieważ nie mógł prezentować muzyki współczesnej w Berlińskiej Operze Królewskiej, dopóki decydował gust kajzera, założył własną orkiestrę, Tonkünstler, aby popierać „postępowe zasady” w muzyce. Orkiestra Tonkünstler, subwencionowana przez prywatnych mecenasów, grała wszystkie poematy muzyczne Liszta w porządku chronologicznym, jak również dzieła samego Straussa, i wprowadziła na berlińskie estrady Czajkowskiego, Brucknera, Hugona Wolfa, Elgara oraz, jeśli nie samego Debussy'ego, to przynajmniej jego poprzedników, Charpentiera i d'Indy'ego. Pewnego razu w Londynie podczas zwiedzania National Gallery towarzystwo, w którym byli Edgar Speyer i Edward Elgar, zatrzymało się przed obrazem Tintoretta Św. *Jerzy i smok* i Speyer powiedział: „Oto mamy tu rewolucjonistę, który pod sam koniec świetnego okresu weneckiego zaczął przygotowywać grunt pod następny okres. Czy możemy powiedzieć, że Tintoretto był tym dla malarstwa, czym nasz przyjaciel Richard Strauss jest dziś dla muzyki?” Strauss, pod wielkim wrażeniem tej uwagi, wrócił do obrazu, gdy ponownie przechodzili przez salę, przypatrzył mu się jeszcze raz i wykrzyknął: „Speyer ma rację. Jestem Tintorettem muzyki!”

Z tej wysokości mógł sobie pozwolić na zachętę dla mniej sławnych kolegów i nie skąpił jej. Wysłuchawszy w 1902 roku w Dusseldorfie *Snu Gerontiusa* Elgara, opartego na poemacie kardynała Newmana, Strauss zaproponował toasty „za pomyślność i powodzenie pierwszego angielskiego postępowca, Mistrza Edwarda Elgara, i młodej postępowej szkoły angielskich kompozytorów”. Taki hołd ze strony Straussa zdumiał świat muzyczny i wywołał wrzawę krytyków, której prowokowanie bawiło Straussa. Wprawdzie określenia użyte w komplementach nie spodobały się Anglikom, zrobiło to jednak na nich wrażenie i schlebiali im. W nie

mniejszym stopniu doceniał Strauss ultranowoczesnego Schönberga, a jego eksperymenty atonalne zrobiły na nim takie wrażenie, że postarał się, aby młody kompozytor otrzymał stypendium Liszta i nominację na profesora kompozycji w Akademii Sterna w Berlinie. Na premierze *Trzeciej symfonii* Mahlera w Kolonii w 1902 roku Strauss zdecydował o jej powodzeniu, podchodząc do estrady i klaszcząc ostentacyjnie. Począwszy od 1900 roku, jako przewodniczący Allgemeiner Deutscher Musikverein, założonego przez Liszta, zapraszał zagranicznych kompozytorów, żeby dyrygowali swymi nowymi dziełami na festiwalach stowarzyszenia. Sibelius, którego zaprosił w 1900 roku, aby wykonał swego *Łabędzia z Tuonela*, stwierdził, że jest on „niezwykle miły”. Gdy sam Strauss wstąpił na podium podczas tych koncertów, orkiestra powitała go trzykrotną fanfarą, a publiczność powstaniem z miejsc.

W Anglii i w Stanach Zjednoczonych cieszył się wielką sławą, a jego występy uważano za ewenement. W 1903 roku odbył się w Londynie Festiwal Straussa, trwający trzy dni, gdzie grano wszystkie jego dzieła, od *Z Italii* po *Życie bohatera*. Strauss lubił Anglików „bardzo”, jak raz powiedział Rollandowi. Przede wszystkim dzięki nim można wygodnie podróżować w takich krajach jak Egipt i mieć pewność, że „znajdzie się zawsze czyste i komfortowe pokoje”. Według Straussa dowodziło to, że są narodem wyższym, i zgodnie z receptą Nietzschego, oni, a nie Burowie, powinni cieszyć się sympatią Niemiec podczas wojny południowoafrykańskiej. „Burowie są narodem barbarzyńskim, zacofanym, żyjącym wciąż jeszcze w siedemnastym wieku, Anglicy są bardzo cywilizowani i bardzo silni. Najlepiej, kiedy triumfują silni”.

W Londynie mógł korzystać z gościnności Edgara Speyera, szefa syndykatu, do którego należał Queen's Hall, i kierownika tamtejszej orkiestry. Speyer wraz z żoną, będącą przed ślubem zawodową skrzypaczką, uczynił ze swego domu przy Grosvenor Square ośrodek muzycznego i artystycznego towarzystwa. Mógł tu spotkać Henry'ego Jamesa lub Debussy'ego, słuchać, jak Mme Grieg śpiewa pieśni swego męża, i spożywać z zadowoleniem wystawny obiad w towarzystwie Johna Sargenta, dla którego malowanie było zawodem, ale muzyka i jedzenie sprawą miłości. Zauważywszy raz orkiestrę cygańską, która wędrowała po Londynie grając hiszpańską muzykę, Strauss zaproponował, żeby ukryć ją w ogrodzie, skąd przygrywałaby w czasie jednego z przyjęć u Speyerów; Sargent przeżył

wówczas męki Tantalą, rozdarty między obiadem a nieprzepartą chęcią podejścia do okna, żeby znaleźć źródło muzyki.

W Ameryce kompozycje Straussa były znane i grane, od kiedy Theodore Thomas, dyrygent Orkiestry Symfonicznej Chicago, wykonał w 1884 roku jego symfonię f-moll, a Niemiec z pochodzenia, Emil Paur z Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej, odegrał w 1888 *Z Italii*. Thomas i Paur, którzy później przenieśli się do Filharmonii Nowojorskiej, nadal grali dzieła Straussa, w miarę jak się pojawiały, a w 1904 roku przygotowano amerykańską premierę najnowszego dzieła, *Sinfonia domestica*, jako najważniejszy punkt programu Festiwalu Straussa, który miał się odbyć w Nowym Jorku. Zaproszono kompozytora, aby dyrygował nowym utworem oraz późniejszymi koncertami swoich dzieł w Chicago. Thomas, od dwudziestu lat jego gorący wielbiciel, uważał go w tym punkcie kariery za „największego żyjącego muzyka, jednego z największych pionierów muzyki wszystkich czasów”

W owym okresie, gdy nowo nagromadzone bogactwa przelewały się z kufrów amerykańskich potentatów biznesu, w Stanach Zjednoczonych pojawiła się nowa publiczność popierająca muzykę i inne sztuki. Był to okres hojnych wydatków i szerokich idei. Jeśli proboszczowi Trinity Church w Nowym Jorku potrzebna była nowa ambona, prosił starszego wspólnika poważnej firmy architektów, McKim, Mead i White, aby zaprojektował mu coś „dużego, szerokiego, obszernego i prostego, lecz bogato zdobionego w odpowiednich miejscach”. Gdy ten sam McKim wybudował Bostońską Bibliotekę Publiczną, umieszczona tam została tablica pamiątkowa, sławiąca „wspaniałą amplitudę” jego geniuszu. Modna była wspaniała amplituda. Louis Tiffany zaprojektował dla siebie dom ze wspaniałą klatką schodową, prowadzącą w górę między ścianami, w które wbudowane były całe chaty Murzynów sudańskich; u szczytu schodów znajdowała się sala tak wielka, że w nikłym świetle nie widać było sufitu. W środku sali czarny komin wzbijał się w nieskończoność. Cztery olbrzymie kominki płonęły, każdy innym kolorem płomieni, tajemnicze światło sączyło się z wiszących lamp Tiffany'ego, a niewidzialny organista grał preludium z *Parsifala*.

Wielkie amerykańskie orkiestry, subwencionowane przez królów miedzi, baronów kolejowych i im podobnych, stanowiły dodatkowe, poważne źródło honorariów koncertowych i tantiem.

Strauss cieszył się bardzo na podróż, a amerykańska publiczność koncertowa oczekiwała z zapartym tchem „najznakomitszego z żyjących kompozytorów”, który, jak informował „Harper's Weekly”, komponował „fantazje o przytłaczającej sile wyrazu” i „osiągał granice wzniosłości”.

Sinfonia domestica, jak się okazało przy pierwszym wykonaniu, osiągała granice śmieszności. Wprawdzie na życzenie kompozytora została odegrana bez adnotacji programowych, tak żeby można było jej słuchać jak „czystej muzyki”, Strauss jednak powiedział już w pewnym wywiadzie, że „przedstawia jeden dzień mojego życia rodzinnego” w potrójnej postaci, wyobrażającej „tate, mamę i dziecko”. Na premierze przedstawione zostało to tylko jako *Introdukcja* i *Scherzo, Adagio, Podwójna fuga* i *Finale*, ale kompozytor jak zwykle chętnie podzielił się oficjalną interpretacją dla następnych wykonań, mówiąc o dziecku w kąpielu, o szczęściu rodziców, kłótniach ciotek i wujków o podobieństwo rodzinne — „cały ojciec!”, „cała matka!” — i o innych błahostkach tego rodzaju. Choć delikatna melodia kołysanki i duetu miłosnego była jedną z najlepszych u Straussa, dominowało jednak wrażenie wrzasków, uderzeń, chrypliwego chaosu, jak w zwariowanym cyrku. Jeśli tak wygląda niemieckie życie domowe, zrozumiała staje się historia Niemiec. Dzieło to, dłuższe nawet niż *Życie bohatera*, zdumiało i zraziło większość słuchaczy. Pewien znany, lecz niewymieniony z nazwiska dyrygent powiedział do Beechama kilka miesięcy później, gdy utwór grano w Londynie: „Gdyby wszystkie święte słonie Indii popędzono równocześnie do Gangesu, nie zrobiłyby nawet w połowie tyle hałasu, co jedno małe bawarskie dziecko w kąpielu”. Woda bulgocąca w wannie i dzwonięcie budzika nie odpowiadały temu, co Wagner rozumiał jako „tworzywo muzyki”. Wydawało się, że wulgarność nowego stulecia przemawia przez dzieło jego najznakomitszego kompozytora. Strauss nic nie rozumiał. „Nie wiem, dlaczego nie miałbym komponować symfonii o sobie — powiedział do Rollanda. — Uważam, że jestem równie interesujący jak Napoleon czy Aleksander”.

Charakterystyczne było, że wybrał zdobywców świata. Przekonanie Niemiec o ich wyższości w muzyce zaczęło już irytować inne narody. „Niemieccy muzycy stawiają zawsze na piedestał nowego niemieckiego twórcę, aby mogli go uwielbiać — pisał Grieg do Deliusa w 1903 roku. — Wagner nie żyje, ale muszą mieć coś, co by zadowoliło ich patriotyzm i wolą nawet ersatz niż nic”. W 1905 roku odbył się w Strasburgu, stolicy Alzacji,

dawniej francuskiej, obecnie niemieckiej, festiwal muzyczny mający zbliżyć oba te narody poprzez sztukę. W ciągu trzydniowego programu wykonano jednak tylko dwa dzieła francuskie. Pierwszy dzień koncertów zaczął się od Webera i zakończył Wagnerem, drugi dzień poświęcony był Brahmsowi, Mahlerowi i Straussowi, a ostatni dzień w całości Beethovenowi. Wybranie z Wagnera ostatniej sceny ze *Śpiewaków norymberskich*, w której Hans Sachs potępia nieszczerłość i frywolność cudzoziemców, świadczyło, zdaniem jednego ze słuchaczy, o pewnym „braku taktu”.

Skwapliwość, z jaką krytycy zagraniczni podchwycili widome oznaki zaniku natchnienia u Straussa, dowodziła, że Niemcy doprowadzały cały świat do coraz większej irytacji. Wszyscy rzucili się na *Sinfonia domestica*. Newman zdumiewał się, że „genialny kompozytor może tak nisko upaść”, a Gilman ujawnił, w jakim stopniu Niemcy działają na nerwy innym narodom. Cytując Matthew Arnolda dla wykazania, że teutonizm dąży uporczywie do tego, co „brzydkie i niegodziwe”, napisał, że „tylko Teuton z teutońskim brakiem taktu” mógł wymyślić *Domestica*.

Zeitgeist nie wzywał taty, mamy i dziecka. Niepokój, nurtujący pod nadmiarem materializmu, budził w artystach pragnienie wywołania wstrząsu; pragnienie zderzenia i pocięcia grubej warstwy burżuazyjnego komfortu. Strauss, jak zawsze właściwie nastrojony, zareagował odpowiednio. *Sinfonia domestica* zaszokowała swoją banalnością, lecz teraz odczuwał potrzebę przerażania, toteż przeszedł prosto od bawarskiego życia rodzinnego do motywu perwersyjnej namiętności — Salome w wersji Oscara Wilde'a.

Salome, dramat tak pretensjonalny i makabryczny, jaki tylko Wilde mógł napisać, i to bardzo się starając, był pogonią za sensacją dla samej tylko sensacji, próbą wywołania tego, co Baudelaire nazywał „fosforescencją próchną”. Próby oryginalnej sztuki, napisanej po francusku w 1891, zaczęły się rok później w Londynie, z Sarą Bernhardt w roli tytułowej, ale lord Chamberlain nie pozwolił jej wystawić, uważając, że św. Jan Chrzciciel jest tam przedstawiony w sposób bluźnierczy. Po wydrukowaniu (egzemplarze dla przyjaciół autora zostały oprawione w „tyryjską purpurę i stare srebro”) „Times” skrytykował sztukę, nazywając ją „adaptacją pełną krwi i okrucieństwa, chorobliwą, dziwaczną, odpychającą i wstrętną”. W 1894 roku sztuka ukazała się w języku angielskim w tłumaczeniu lorda Alfreda

Douglasa, z makabrycznymi ilustracjami najprzedziwniejszego ze wszystkich dekadentów, Aubreya Beardsleya. Trzy z jego rysunków, uznane przez wydawców za nieprzyzwoite, musiały zostać wycofane. W roku 1896, gdy Wilde przebywał w więzieniu w Reading, *Salome* wystawił w Paryżu aktor-reżyser Lugné-Poë w swoim Théâtre de l'Oeuvre, bez udziału Sary Bemhardt; rolę Heroda zagrał on sam. Ta kwintesencja dekadencji była już nie na czasie i nie miała powodzenia. W Niemczech jednak *Salome* znalazła odpowiedni grunt, bo odpowiadała żądzy okropności. Po raz pierwszy wystawiono ją we Wrocławiu w 1901 roku, ale prawdziwy sukces osiągnęła w roku 1902, wystawiona przez Maxa Reinhardta w jego Kleines Theater w Berlinie, gdzie widział ją Strauss.

Salome Wilde'a, raczej poemat niż sztuka, etiuda w purpurze, orgia słów, robiła wrażenie na papierze, lecz na scenie wprawiała w zakłopotanie. Przedstawiała *Salome* zwracającą się z pełnym erotyzmu, namiętym błaganiem do oczu, włosów, rąk i nóg, ciała i miłości Iokanaana, króla Heroda pożądanego swojej pasierbicy, jej zmysłowy taniec, który miał podniecić króla tak, aby spełnił jej upiorne pragnienie; olbrzymie ramię czarnego Kata, wynurzające się z zapadni z brodatą, zakrwawioną głową Proroka, który nią wzgardził, jej nekrofilskie upojenie głową na tacy i wreszcie pocałunek złożony przez nią na ustach umarłego, kulminacyjny rozkaz Heroda, wywołany przerażeniem i wyrzutami sumienia, „Zabijcie tę kobietę!”, a wreszcie jej śmierć przez zgniecenie pod tarczami żołnierzy. Wszystko to przedstawione na żywo zachwycało berlińską publiczność. Księżycowa fantazja Wilde'a znalazła w Niemczech właściwy grunt i cieszyła się fenomenalnym powodzeniem, dochodząc do dwustu przedstawień.

Podskórna skłonność do perwersji, którą zauważył już Rolland, uwydatniła się w Niemczech w pierwszej dekadzie nowego stulecia. Rosła proporcjonalnie do wzrostu bogactwa Niemiec, ich siły i buty, jakby presja wielkiego przemysłowego sukcesu i potęgi militarnej wywoływała wewnętrzną reakcję w postaci potrzeby zaprzeczenia, odsłaniania psychoz i namiętności wijących się wewnątrz tego władczego, zamożnego, dobrze ułożonego, porządnego narodu. Wyglądało tak, jakby Bismarck z konieczności spłodził Kraft-Ebinga. Rzeczywiście *Psychopathia sexualis* Kraft-Ebinga, opublikowana w 1886 roku, stanowiła źródło niesamowitości, z którego czerpać mógł niemiecki dramat, będący wówczas najżywotniejszą

postać narodowej literatury.

Do niemieckich rozrywek należał teatr wraz z muzyką i operą; począwszy od lat dziewięćdziesiątych pojawia się tam wiele sztuk problemowych, wywodzących się od Ibsena, występuje nowy styl gry aktorskiej i eksperymenty techniki teatralnej. W 1889 roku rozpoczęła w Berlinie działalność Freie Bühne (Scena Niezależna), głosząca doktrynę realizmu i naturalizmu, a wzorowana na paryskim Théâtre Libre; pierwszym przedstawieniem były *Upiory* Ibsena, następnym pierwsza sztuka Hauptmanna, *Przed świtem*. Teatry rodziły się i rozmnażały. Zdzierano z człowieka maskę i odsłaniano z entuzjazmem, jak tego chciał Zola, „bestię w człowieku”. Oprócz Ibsena, okrutnej *Panny Julii* Strindberga, *Ciemnej potęgi* Tołstoja, *Teresy Raquin* Zoli wystawiano symbolistyczne i neoromantyczne dramaty Maeterlincka, d'Annunzia i von Hofmannsthal, sztuki społeczne ucznia Ibsena, Shawa, wytworne satyry wiedeńczyka Arthura Schnitzlera i masę tragedii niemieckich. Studenckie stowarzyszenia teatralne przywróciły do życia *Edypa króla* i Eurypidesa. Nowoczesna Trupa Objazdowa pokazywała nowe dramaty na prowincji, a teatr ludowy, Freie Volksbühne, sprzymierzył się z socjalizmem. W Monachium w 1895 roku Ernst von Wolzogen, librecista komedii muzycznej Straussa *Feuersnot*, założył Intimes Theater. Chcąc osiągnąć taką samą intymną atmosferę dla sztuk eksperymentalnych, Reinhardt założył w 1902 roku Kleines Theater, gdzie oprócz Salome wystawił Gorkiego *Na dnie*, przerażające spojrzenie na męty społeczeństwa.

Podstawę niemieckiego teatru stanowiła tragedia. Komédie towarzyskie z happy endem nie należały w Niemczech do ulubionego gatunku. Niemiecki śmiech ograniczał się do bufonady, przykrej lub grubiańskiej. Ich tragedie nie działały tak uzdrawiająco jak Ibsenowskie ani nie emanowały takim ciepłem jak sztuki Czechowa, lecz koncentrowały się na okrucieństwie ludzkości wobec człowieka, na jego skłonnościach do samozagłady i śmierci. Prawie wszystkie dramaty niemieckie lat dziewięćdziesiątych i zaraz po roku 1900 kończyły się gwałtowną śmiercią: morderstwem, samobójstwem lub jakąś bardziej ezoteryczną jej postacią. Bohaterka sztuki Hauptmanna, mała Hannele, umiera na skutek zaniedbania i złego traktowania w przytułku, w jego sztuce *Zatopiony dzwon* żona Heinricha sama topi się w jeziorze, a on wypija kielich z trucizną, w *Róży Bernd* postać tytułowa, uwiedziona i opuszczona, dusi swoje nowo narodzone dziecko, w Henschel bohater wiesza

się po sprzeniewierzeniu się swej zmarłej żonie przez małżeństwo z dziewczką, która pozwala jego dziecku umrzeć z braku opieki, w sztuce *Michał Kramer* wrażliwy i uczuciowy syn doprowadzony zostaje do samobójstwa przez apodyktycznego ojca — temat rozpowszechniony w Niemczech, gdzie wielu było takich ojców. W sztuce *Magda* Sudermanna jedynie śmiertelny atak ojca zapobiega zastrzeleniu przez niego siebie i córki, która oczywiście spodziewa się nieślubnego dziecka, jak to niezmiennie zdarza się niemieckim bohaterkom. Wiele następnych bohaterek taki los doprowadził do hysterii; obłąkania, zbrodni, więzienia, dzieciobójstwa i samobójstwa. W *Końcu Sodomy* (*Sodoms Ende*) Sudermanna, gdzie szablon jest nieco odmienny, choć koniec taki sam, rozwiązał młody artysta, zdeprawowany przez żonę bankiera, doprowadza swoją przyrodną siostrę do samobójstwa, a sam umiera wskutek krwotoku. W *Przebudzeniu się wiosny* (*Frühlings Erwachen*) Wedekinda, pierwszej próbie dramatopisarza, lepszej niż jego późniejsze dzieła, odkrycie seksu przez młodzież w zderzeniu z lubieżnością dorosłych wywołuje całkowitą katastrofę: czternastoletnia bohaterka w ciąży umiera, najwyraźniej na skutek źle zrobionego zabiegu; chłopiec zostaje wypędzony ze szkoły i wysłany przez rodziców do domu poprawczego; jego przyjaciel, nie mogąc znieść życia, popełnia samobójstwo i w końcowej scenie o mętnej symbolice zjawia się na cmentarzu ze swoją głową pod pachą. W ciągu akcji trzeci chłopiec, w scenie wyraźnego autoerotyzmu, zwraca się z namiętnym wyznaniem miłosnym do obrazu nagiej Wenus, który następnie wrzuca do toalety. Sztuka, wystawiona po raz pierwszy w 1891 roku, miała niebywałe powodzenie, a w postaci książkowej osiągnęła dwadzieścia sześć wydań.

Wedekind, urodzony w tym samym roku co Strauss, pisarz o szatańskim talencie, był aktorem, dziennikarzem, agentem reklamowym cyrku, śpiewał przerażające ballady w „Uberbret”, a kiedy pracował w „Simplicissimusie”, odbył karę więzienia za *lese-majeste*. „Mam wyobraźnię katastroficzną i uważam życie za okrutne i złowrogie”, to zdanie znakomicie go charakteryzuje, choć wypowiedział je o sobie Henry James. Przebudzenie się wiosny, jeśli uznać je za apel o wychowanie seksualne, zawierało przynajmniej jakieś posłanie społeczne i trochę litości, ale później Wedekind widział tylko to, co okrutne i złowrogie. W latach, kiedy Freud dochodził ostrożnie do odkrycia podświadomości, Wedekind ujrzał straszny jej obraz i zdarł całą powłokę, aby ukazać, że kryje się tam tylko zło. Począwszy od 1895 roku jego sztuki nurzały się w rozpasanym występku i perwersji,

mających jedynie dowodzić, że ludzkość jest podła. *Duch ziemi (Erdgeist)* jego ciąg dalszy, *Puszka Pandory (Die Büchse der Pandora)*, dzieją się w świecie stręczycieli, oszustów, ladacznic, szantażystów, morderców i katów, otaczających bohaterkę Lulu, przedstawiającą wcielenie zmysłowości, tak heteroseksualnej, jak lesbijskiej. Jej przygody prowadzą ją poprzez burdele i spelunki, uwiedzenie, poronienie, sadyzm, nekrofilie i nimfomanię, tworząc, jak nazwał to jeden z ówczesnych krytyków, „potok seksu pieniący się na poszarpanych głazach obłąkania i zbrodni”. Był to seks nie w swej pierwotnej, twórczej postaci, lecz destruktywny, przynoszący nie życie, lecz śmierć. Pierwszy mąż Lulu umiera na udar, drugi, zgnębiony jej perfidią, podcina sobie gardło, trzeci zostaje zabity przez nią, kiedy odkrył jej zdradę ze swym synem. Po więzieniu, poniżeniu, jako prostytutka, kończy ona, zgodnie z logiką swego życia, zatłuczona na śmierć przez jakiegoś Kubę Rozpruwacza w ostatecznym śmiertelnościm wybuchu potężnego impulsu, który Shaw, zupełnie inny dramatopisarz, gloryfikował w tym samym okresie jako Siłę Życia.

Przemożny wpływ Nietzschego działał wszędzie. Shaw w *Człowieku i nadczłowieku* wydestylował z niego ideę filozoficzną, lecz Niemcy pojmowali Nietzschego dosłownie. Odrzucenie konwencjonalnej moralności, co Nietzsche uważał za odskocznie do wzniesienia się na wyższy poziom, przyjęli jako zalecenie nurzania się w rynsztoku. Sudermann cytował słowa Nietzschego: „Tylko w dzikiej puszczy występku można zdobyć nowe dziedziny wiedzy”. Ta sama puszcza jako dziedzina nie wiedzy, lecz sztuki zwabiła francuskich dekadentów i angielskich estetów do ruchu, który skończył się gwałtownie procesem Wilde'a. W Niemczech Wedekind pchnął ruch ten dalej z pewnego rodzaju zawiedzionym okrucieństwem. Była to forma buntu przeciw przytłaczającemu materialnemu powodzeniu kraju, poczucie, że coś złego kryje się za tymi obiadami z dwunastu dań, pod pompą parad wojskowych i przechwałkami o „krwi i żelazie”. Wedekind i jemu podobni należeli do *Schwarzseher*, widzieli czarno, widzieli czarno człowieka. Stanowili słaby nurt w porównaniu z panującym nastrojem pewnej siebie siły i wojowniczości, czuli jednak zapowiedź katastrofy, zbliżający się pożar miasta, czuli w powietrzu neronizm.

Czułki Straussa wychwytywały wszystko, co unosiło się w powietrzu, i zatrzymał się on, nieomylnie, na *Salome* — jako temacie opery, nie poematu

muzycznego. Posługując się większą niż kiedykolwiek ilością instrumentów, opracował szalenie trudną partyturę, pełną przesadnych dysonansów, przy czym orkiestra niekiedy dzieliła się, grając w dwu zdecydowanie sprzecznych z sobą tonacjach, jakby pragnęła wyrazić przeraźliwość tematu przez przerażenie uszu. Instrumenty musiały się natężyć, żeby sprostać nowym zadaniom, wiolonczele musiały sięgać tonacji skrzypiec, puzony miały zawodzić jak flety, figuracje kotłów miały osiągnąć niespotykaną dotąd złożoność. Dzieło olśniewało swą strukturą muzyczną. Strauss umiał pisać na głosy z nie mniejszą wirtuozerią niż na orkiestrę i role śpiewaków stawały się coraz bardziej wymowne, w miarę jak dramat pograżał się w nieprawidłowościach. Końcowa pieśń Salome do ściętej głowy przejmowała słuchaczy swym ponurym pięknem, podkreślając słowa Wilde'a: „Ach! Dlaczego nie wejrzałeś na mnie, Iokanaanie! Gdybyś mnie ujrzał, byłbyś mnie pokochał. Jestem spragniona twej piękności, łaknę twego ciała i ani powodzie, ani wysokie fale nie zdołają ugasić mej namiętności... Ach! Złożyłam pocałunek na twych ustach, Iokanaanie, dotknęłam twoich ust”.

Gdy Berlin i Wiedeń, podobnie jak Londyn, odmówiły wystawienia sztuki, uznając ją za bluźnierstwo, wielki wielbiciel Straussa, Ernst von Schuch, dyrygent Drezdeńskiej Opery Królewskiej, wystawił ją tam 9 grudnia 1905 roku. Przedstawienie w jednym akcie, trwające godzinę i czterdzieści minut bez przerwy, nie oszczędziło w niczym wrażliwości widzów. Głowa Iokanaana, wykonana realistycznie, śmiertelnie blada i odpowiednio zakrwawiona, ukazywała się widowni w całej okazałości; Salome obrzędowo zrzucała po jednej swoje siedem zasłon pod pożądanym spojrzeniem Heroda. Śmierć pod tarczami żołnierzy stanowiła karzącą katharsis. Widownia zareagowała z nieokiełznanym entuzjazmem, wywołując trzydzieści osiem razy aktorów i kompozytora. Na następnych przedstawieniach w innych miastach niemieckich *Salome* miała olbrzymie powodzenie i przyniosła Straussowi duże dochody, czemu nie przeszkodziły zakazy i kłopoty z cenzurą. W Wiedniu zakaz został utrzymany z powodu zastrzeżeń arcybiskupa, lecz w Berlinie, mimo zaciętego sprzeciwu Kaiserin, osiągnięto kompromis tego rodzaju, jaki Kościół stosuje wobec *Pieśni Salomona*. Zezwolono na przedstawienie pod warunkiem, że z chwilą śmierci Salome ukaże się na niebie Gwiazda Betlejemska jako znak pośmiertnego triumfu Chrzciciela nad nienaturalną namiętnością.

Kajzer Wilhelm martwił się jednak nadal. Mimo skłonności do

rubasznych kawałów, uprawianych wobec dworzan ku ich wielkiemu zakłopotaniu, miał poglądy moralne bardziej wiktoriańskie niż edwardiańskie, a jego żona stanowiła wzór niemieckiej burżuazyjnej godności. Kaiserin Augusta, nazywana Donna, była prostą, sympatyczną kobietą; obdarzyła swego męża sześcioma synami i córką, nie interesowała się niczym poza swoją rodziną i nosiła duże kapelusze z piórami na wszelkie okazje, nawet na jachcie. Pochodziły one z wyboru męża, gdyż dawał on jej nieodmiennie co rok j ako prezent urodzinowy dwanaście wybranych przez siebie kapeluszy, które musiała nosić. Jedyny ślad, jaki pozostawiła w historii, to jej naleganie na wspólne łóżko, w którym często prowadziła ze swym mężem dyskusje na tematy rodzinne, nie dając mu spać, wskutek czego wstawał następnego dnia tak rozdrażniony, że kanclerz Bülow zaproponował osobne sypialnie, dla dobra państwa, lecz propozycja ta spełzła na niczym wobec jej głębokiego przekonania, że dobry niemiecki mąż i żona powinni spać razem. Kaiserin urażona już uprzednim dziełem Straussa *Feuersnot*, sprośną opowieścią o dziewczynie, która musiała poświęcić dziewictwo, aby przywrócić ogień miastu, spowodowała jej wycofanie, przeciw czemu intendent Opery Królewskiej zaprotestował rezygnując ze stanowiska. Sam kajzer usunął herb cesarski z Deutsches Theater w połowie lat dziewięćdziesiątych, gdy wystawiono tam *Tkaczy* Hauptmanna, przyjętych demonstracyjną owacją socjalistów. Od tego czasu minęła dekada i wycofanie z powodów moralnych opery najznakomitszego niemieckiego kompozytora naraziłoby kajzera na ostre dowcipy „Kladderadatsch” i innych pism nie okazujących szacunku. Godząc się na kompromis kajzer powiedział: „Przykro mi, że Strauss skomponował tę *Salome*. Bardzo mu to zaszkodzi”, na co Strauss stwierdził, że umożliwiło mu to wybudowanie nowej willi w Garmish. Za granicą, gdzie panowały bardziej pruderyjne gusty, *Salome* stała się „okiem cyklonu w świecie muzycznym”. W Nowym Jorku 22 stycznia 1907 roku pełna napięcia publiczność w Metropolitan Opera oczekiwała podniesienia kurtyny ze złym przeczuciem, które się wkrótce w pełni potwierdziło. Gdy krytykom udało się oderwać uwagę od obrazu „stanu psychopatycznego, nie dającego się opisać w jego okrucieństwie i nienormalności”, uznali, że muzyka jest cudowna, lecz wypaczona w sposób „wywołujący obrzydzenie i działający na nerwy”. Temat opery, nie reprezentatywny dla zagadnień ludzkich, co powinno cechować materiał muzyczny, uważany był na zmianę za „potworny”, „szkodliwy”, „odrażający i nie do zniesienia”, „cuchnący, trujący i krańcowo obsesyjny”. Jego

„erotyczna patologia” nie nadawała się do „rozmowy szanujących się ludzi”, już sam „Taniec” powinien skłonić zachodnią kobietę do odwrócenia oczu. Unosząc się „słuszną pasją” prasa uznała, że popularność w Niemczech nie decyduje o niczym w Ameryce. Metropolitan, ustępując przed nawałnicą, wstrzymała przedstawienia.

Londyn dopiero po trzech latach spróbował wystawić operę. Z początku odmówiono zezwolenia, lecz przeszkodę tę udało się przezwyciężyć dzięki pomocy pani Asquith, która zaprosiła na wieś Beechama, dyrygenta Covent Garden, aby uzyskał poparcie premiera. Grając dla niego na fortepianie marsza z *Tannhäusera*, jedyny utwór muzyczny, który Asquith znał, i zapewniając go, że jeśli się to lubi, nie znaczy, że się jest filistrem, a także wyjaśniając, że Strauss jest „najsławniejszym i według powszechnej opinii największym z żyjących kompozytorów”, Beecham uzyskał jego poparcie. W porozumieniu z lordem Chamberlainem wprowadzono zmiany do tekstu, przerabiając wszystkie wyrażenia Salome o jej fizycznym pożądaniu na wezwanie o przewodnictwo duchowe; ponadto dla ostrożności, żeby uniknąć bluźnierstwa, zdecydowano, że Salome ma śpiewać swą końcową pieśń do pustej tacy.

W *Salome* Strauss znalazł swoją złotą żyłę, lecz gdzie szukać drugiego Wilde'a? Pojawił się jeden taki, i to z obiecującym tematem, który dawał nadzieję na prześcignięcie *Salome*. Hugo von Hofmannsthal, młody poeta, cudowne dziecko Wiednia, w 1900 roku w wieku dwudziestu sześciu lat był już sławny, gdy spotkał Straussa o dziesięć lat od siebie starszego. Wnuk włoskiej damy i nawróconego Żyda, nobilitowanego tytułem barona, stanowił uosobienie wiedeńskiego kosmo politycznego stylu. Jako szesnastoletni uczeń gimnazjum przeczytał swoją pierwszą sztukę wierszem Arthurowi Schnitzlerowi i ten odniósł wrażenie, że po raz pierwszy w życiu spotkał urodzonego geniusza. Dwa lata później, w 1902 roku, pod pseudonimem „Loris” oczarował literacką awangardę Wiednia, Jung Wien, dwoma sztukami wierszem, *Wczoraj (Gestem)* i *Śmierć Tycjana (Der Tod des Tizian)*; przemawiająca w tym ostatnim dziele znajomość świata i wyrafinowane znudzenie skłoniły Hermana Bahra, przywódcę młodych literatów, do przypuszczeń, że autorem musi być utytułowany pięćdziesięcioletni dyplomata. Przekonał się z niedowierzaniem, że jest to osiemnastoletni chłopiec, „dziwny młodzieniec... zapalający się przy

najmniejszym bodźcu, lecz tylko intelektualnie, bo serce jego pozostaje zimne”. Pobłażliwy dla siebie, światowiec mimo młodego wieku, „przy tym okropnie smutny w tej przedwczesnej światowości”, Hofmannsthal stanowił połączenie edwardiańskiego Wertera z wiedeńskim Dorianem Grayem. Mistrz języka, jak Wilde, grał na niemczyźnie jak na harfie; w 1893 roku następnym dramacie, *Glupiec i śmierć (Der Tor und der Tod)*, potwierdził, że jest on poetą, który potrafi nadać swemu rodzinnemu językowi harmonię podobną do włoskiej. Kiedy słów używa się dla nich samych, osiąga się melodyjność, ale myśl może okazać się niejasna. W 1905 roku Hofmannsthal zakończył esej o Wildzie doskonałym, choć nieświadomym jego naśladownictwem: „Ten, kto zna potęgę tańca życia, nie boi się śmierci. Wie bowiem, że miłość zabija”. Współczesnym wydawał się „wcieleniem absolutnej poetyckiej doskonałości”. Przez jakiś czas, jako akolita kółka, które padało na kolana przed Stefanem Georgem z Monachium, von Hofmannsthal zagłębiał się w problemy symboli i paradoksów „prawdy masek”. Jako wiedeńczyk, nie mógł wyzbyć się pesymizmu przepajającego stolicę najstarszego w Europie imperium.

W Wiedniu, *Kaiserstadt*, siedzibie kongresu, który zlepił Europę po Napoleonie, panował zmierzch. Stolica Austro-Węgier, odwiecznej mieszaniny ras, ludów podporządkowanych wbrew swojej woli, niespokojnych narodowości, miała w życiu politycznym zbyt dużo problemów, za trudnych, by się z nimi uporać, i dlatego zwróciła się ku innym sprawom: kultury i koneserstwa, flirtów, jeśli nie miłości, subtelności obyczajów nade wszystko, a z powagą zajmowała się tylko muzyką. Wszystko działo się w tempie zwolnionym, w nastroju swobodnym, panowała atmosfera hedonizmu i nonszalanckiego fatalizmu. Był to kraj marzycieli, „Kapua myśli”. Cesarz skończył w 1905 roku siedemdziesiąt pięć lat i w czasie swego pięćdziesięciosiedmioletniego panowania zespolił swoje kłopotliwe posiadłości. Smutna cesarzowa-wędrowniczka zginęła od noża anarchisty. Dwór przestrzegał, aby należeli do niego wyłącznie prawdziwi arystokraci, mający szesnaście herbów na jednej tarczy. Było to miejsce, gdzie w widomy sposób coś dobiegało końca; wszyscy o tym wiedzieli, lecz nikt o tym nie mówił.

Wiedeń spoglądał na Berlin z góry, jak na parweniusza bez ogłady, co wyrażała popularna piosenka:

Es gibt nur eine Kaiserstadt.

Es gibt nur ein Wien; Es gibt nur ein Raubemest Und das heisst Berlin.

(Jest tylko jedno miasto cesarskie, jest jeden tylko Wiedeń; jest tylko jedno gniazdo zbójnickie, a imię jego Berlin.)

W mieście Beethovena królowała muzyka i opera, a człowiek z ulicy dyskutował o zaletach współzawodniczących z sobą orkiestr z Prateru. Szanowano sztukę i artystów. W polityce, w rządzeniu, moralności Wiedeń wykazywał „uprzejmą tolerancję dla wszelkiego partactwa... w sprawach artystycznych nie wybaczano niczego, chodziło tutaj o honor miasta”. Na straży tego honoru stała burżuazja i kulturalni Żydzi, nowi mecenas sztuki. Franciszek Józef nie przeczytał nigdy żadnej książki i żywił antypatię do muzyki. Szlachta nie tylko trzymała się z daleka od artystycznego i intelektualnego życia, lecz bała się go i pogardzała nim. Odznaczała się jednak najdoskonalszą w Europie ogładą towarzyską. Theodore Roosevelt zapytany, jaki typ człowieka uznał za najsympatyczniejszy w czasie swoich podróży po Europie, odpowiedział: „austriackiego dżentelmena”.

W sprawach wewnętrznych najsilniejszym uczuciem politycznym był antysemityzm, jawny, lecz wynikający raczej z rutyny niż z zapału. Karl Luger, przystojny, jasnobrody burmistrz Wiednia, szef partii chrześcijańsko-socjalistycznej, przewodził antysemitom, choć bardziej oficjalnie niż osobiście. Mawiał zazwyczaj: „Ja sam decyduję, kto jest Żydem”. Nazywany *der schöne Karl*, był w mieście bardzo popularny, a jego pogrzeb w 1910 roku stał się wielką uroczystością. Mimo swego handicapu Żydzi, stanowiący dziesięć procent ludności Wiednia, działali ożywczo na jego kulturę. Odgrywali wybitną rolę w prasie, teatrze, muzyce, literaturze, finansach, medycynie i prawie. Spośród nich wywodził się dyrygent Wiedeńskiej Opery Dworskiej i najznakomitszy krajowy kompozytor, Gustaw Mahler, jak również Arthur Schnitzler, najwierniejsze zwierciadło Wiednia.

Schnitzler, lekarz, podobnie jak Czechow, odznaczał się taką samą melancholią, ukrytą pod ironicznym i drwiącym tonem. Z wyjątkiem bohatera tytułowego tragedii Profesor Bernhardt, który był Żydem asymilowanym, ale niewystarczająco, w swych dziełach przedstawiał Schnitzler flirciarzy, poszukiwaczy sensu miłości, sztuki i życia, lecz zawsze, jak przystało w Wiedniu, z pewnym dystansem. Jego bohaterowie byli czarujący, dobroduszeni, mądrzy i wyrafinowani, odzwierciedlali duszę

miasta, jego dowcip, niestałość, grzeczność, brak skrupułów — a także jego znużenie. Bohater *Drogi do wolności (Der Weg ins Freie)* w sześć miesięcy po powrocie z „melancholijnej i dość nudnej” podróży na Sycylię ze swoją metresą przed ostatecznym zerwaniem przypomina sobie, że od tego czasu nie wykonał żadnej prawdziwej pracy, nie zapisał nawet „żałosnego *adagio*, jakie słyszał w szumie fal rozbijających się na plaży w wietrzny poranek w Palermo”. Prześladowuje go uczucie, że „istnienie jest bezcelowe i podobne do snu”. Dyskutując o gorącej debacie w Landtagu odpowiada na zadane mu pytanie: „Gorąca? Ach tak, my w Austrii nazywamy to gorącym. Ludzie byli na zewnątrz agresywni, a wewnątrz obojętni”.

Hofmannsthal po swym pierwszym spotkaniu ze Straussem posłał mu sztukę wierszem, przeznaczoną na balet; napisał ją po odkryciu „dionizyjskiej piękności” w niemym geście tańca. Nie na tyle oddany czystej sztuce, aby nie doceniać związku ze Straussem, miał nadzieję, że Strauss napisze muzykę do jego libretta. Strauss był jednak wówczas zbyt zajęty *Feuersnot* i innymi projektami. Idąc dalej dionizyjskim tropem, Hofmannsthal zaczął robić notatki na tematy greckie, na temat stosunku sił nadprzyrodzonych do zwierzęcości, „falicznej bujności”, „patologii i psychologii kryminalnej” tragedii, które wówczas odżyły na scenach. Nie znalazł tam marmurowej nieskazitelności klasycznej Grecji, jaką znał wiek dziewiętnasty lecz nitscheańską wizję Grecji demonicznej, z której grzechów, nienawiści, zakazanych i krwią splamionych namiętności zrodziła się tragedia grecka, najwcześniejszy obraz nieuchronnego pędu człowieka ku ruinie. Główną tragedią, którą udratyzowali Ajschylos, Sofokles i Eurypides, był łańcuch przestępstw w rodzinie Atrydów, począwszy od ofiarowania Ifigenii po zamordowanie Agamemnona i zemstę Elektry i Orestesa w ostatecznym akcie matkobójstwa. Hofmannsthal poszedł w ślady greckich tragików, lecz jego *Elektra* okazała się bliższa Poego niż Eurypidesa, przypominała gotycki koszmar, a nie dramat ludzkiego losu.

Didaskalia opisują dziedziniec pałacowy o zachodzie, gdzie „płaty czerwonego światła, przeświecające przez drzewo figowe, padają na ziemię i mury jak plamy krwi”. Postaci sztuki przewyższają Salome w przesadnym wyrażaniu swych katuszy i pożądaniami, w upiornym pragnieniu podwójnego zabójstwa Klitajmestry i Ajgista, w przypominaniu ziejących ran Agamemnona, w seksualnym obrazie nienawiści, zjawiającej się w postaci

nowożeńca z zapadłymi oczyma, tchnącego jadowitym oddechem”, którego Elektra bierze do swego łóżka, aby nauczył ją wszystkiego, „co dzieje się między mężem a żoną”. Oszalałe z wzajemnej nienawiści matka i córka krążą wokół siebie jak wściekłe psy. Elektra jest szaloną jędzą, która karmi swoim ciałem sępy zemsty, czołga się w piasku grobu Agamemnona o zachodzie, w porze, kiedy „wyje za swoim ojcem” i węszy razem z psami pogrzebane ciało. Klitajmestra jest niemal w stanie rozkładu, „z ziemistą obrzmiałą twarzą” i ciężkimi powiekami, które tylko ze „strasznym wysiłkiem” może utrzymać otwarte. Odziana w purpurę, okryta klejnotami i talizmanami, opiera się na lasce z kości słoniowej, a tren jej nosi „żółta postać o twarzy Egipcjanina i ciele węża”. Chora z przerażenia, złych snów i dawnej żądz, opętana jest potrzebą rozlewu krwi i pędzi na ofiarę stada zwierząt w nadziei, że przelanie właściwej krwi uwolni ją od ohydnych, przerażających koszmarów. To nie słowa, nie ból nią wstrząsa, to coś, co jest niczym, a jednak jest tak przerażające, że dusza jej „pragnie się powiesić i każdy nerw wzywa śmierci”.

Czy można zniszczyć za życia, tak jak gnijący trup?

Czy można się rozlecieć nie będąc nawet chorą?

Rozlecieć się na jawie, jak suknia zżarta przez mole?

Postać jej jest jak gdyby alegorią Europy, a sztuka kulminacją Schwarzscher, apokaliptyczną wizją klęski. Gdy Klitajmestra traci nadzieję pozbycia się swoich koszmarów i pyta Elektry, kto musi spłynąć krwią i umrzeć, żeby mogła wreszcie spać, Elektra krzyczy w uniesieniu: „Co musi spłynąć krwią?... Twoje gardło!... a ciemności ii pochodnie niechaj cię owina swoją czarną i szkarłatną siecią”.

Max Reinhardt wystawił sztukę w Berlinie w 1903, rok po *Salome*. Hofmannsthal zdawał sobie sprawę z jej możliwości. W owym czasie posłużyć jako libretto do opery Straussa znaczyło „osiągnąć szczyt współczesnej sławy”, toteż wielokrotnie proponował Straussowi Elektrę jako następny temat. Strauss, choć sztuka go pociągała, wahał się ze względu na jej podobieństwo do *Salome* i rozglądał się za innym tematem mówiącym o naturze ludzkiej doprowadzonej do najgorszej ostateczności. „Coś w rodzaju

Cezara Borgii prawdziwie obłąkanego lub Savonaroli, to byłoby właśnie to, czego pragnę”, pisał do Hofmannstahla w marcu 1906 roku. Po wizycie w Hadze, gdzie wrażenie zrobił na nim *Saul i Dawid* Rembrandta, proponował jako temat „szalejącego Saula”. W dziesięć dni później zaproponował na gle: „A może dla odmiany jakiś temat z Rewolucji Francuskiej?” Hofmannsthal, mając już napisany dramat, wracał wciąż do *Elektry* i choć wpływ Wilde'a był tam widoczny, upierał się, że sztuka jest w istocie zupełnie inna. Zapalony do współpracy, potrafił przekonywać i Strauss wreszcie uległ. Równocześnie, stojąc jedną nogą w obozie panującego, napisał pięć niezwykle barwnych marszów wojskowych dla kajzera, za co otrzymał Order Korony Trzeciej Klasy.

W okresie pracy Straussa nad *Elektrą* wybuchł poważny skandal, odsłaniający zepsucie w wysokich sferach. Afera Eulenburga dotyczyła homoseksualistów w najbliższym otoczeniu kajzera; ponure światło rzuciły na Niemcy nie tyle ich obyczaje, co ujawnione pokłady złej woli, intryg i prywatnej wendety. Trzy lata wcześniej Fritz Krupp, głowa firmy, oskarżony przez gazetę socjalistyczną „Vorwärts” o stosunki homoseksualne z kelnerami i lokajami, popełnił samobójstwo. Tym razem afera dotyczyła głównie księcia Philippa Eulenburga, byłego ambasadora w Wiedniu, od 1894 do 1902 roku. Ten uprzejmy i kulturalny arystokrata, najstarszy i najbliższy przyjaciel kajzera, śpiewał mu piękne pieśni przy fortepianie i dawał inteligentne rady. Jako jedyny dworzanin, który wywierał na ogół korzystny wpływ na monarchę, był naturalnie przedmiotem zazdrości Bülowa i Holsteina, podejrzewających, że kajzer zamierza mianować go kanclerzem. Skandal zainicjował Maximilian Harden, groźny i nieustraszony wydawca tygodnika „Die Zukunft”, o którym mówiono, że na jego szpaltach pojawia się wszystko, co w Niemczech dobre, i wszystko, co zgniłe. Poruszenie tej sprawy wiązało się z dyplomatyczną klęską Niemiec na konferencji w Algeciras, co stało się przyczyną wzajemnego obwiniania się ministrów i zakończyło usunięciem Holsteina. O spowodowanie tego posądzał on Eulenburga, choć w rzeczywistości do usunięcia go doprowadził Bulów swymi tajemnymi knowaniami. Pałający żądzą zemsty Holstein, który od lat przechowywał tajne akta policyjne o prywatnym życiu swoich kolegów, połączył teraz siły z Hardenem, aby zniszczyć Eulenburga, którego wpływ na kajzera był, zdaniem Hardena, pacyfikujący, a zatem zły. Mając do dyspozycji akta Holsteina, Harden rozpoczął kampanię insynuacji, wymieniając z nazwiska trzech starszych hrabiów, adiutantów kajzera, jako

homoseksualistów, i stopniowo doszedł do przyjaźni Eulenburga z hrabią Kunonem Moltkem, przezwanym Tutu, „najsztelniejszym z generałów”, dowódcą brygady kawalerii i komendantem miasta Berlina. Kajzer natychmiast wyrzekł się swoich przyjaciół i zmusił Moltkego, aby zaskarżył Hardena o oszczerstwo; Harden tego właśnie sobie życzył, pragnąc zniszczyć Eulenburga. W czterech procesach, trwających dwa lata, od października 1907 roku do lipca 1909, oszołomiona publiczność zapoznała się z dowodami perwersji, szantażu i rozgrywek personalnych. Świadkowie, a wśród nich złodzieje, rajfurzy i kretyni, opowiadali o „obrzydliwych orgiach” w pułku gwardii przybocznej i potwierdzali swymi zeznaniami niemoralne praktyki Eulenburga i Moltkego przed dwudziestu laty. Znany specjalista patologii rozwodził się nad szczegółami medycznymi, a była, mściwa żona Moltkego wezwana została jako świadek; dodano też oskarżenia o przekupstwo i krzywoprzysięstwo. Sam kanclerz Bülow został oskarżony o perwersję przez na wpół zwariowanego bojownika o prawa dla homoseksualistów i zmuszony do wniesienia skargi. Werdykt na korzyść Hardena w pierwszej instancji został obalony w drugiej i ponownie przywrócony po rewizji; Eulenburga, chorego teraz, zhańbionego i aresztowanego, przywieziono do sądu na łóżku szpitalnym. Publiczność miała niemiłe uczucie, że manipulowano sprawiedliwością, czytelnicy „Die Zukunft” odnosili wrażenie, że wszędzie pełno jest perwersji, a prestiż kajzera i dworu znacznie się obniżył. W tym samym czasie w Wiedniu arcyksiążę Ludwik Wiktor, zwany Luzi-Wuzi, wplątany został w skandal z masażystą.

W Anglii trzy procesy Oscara Wilde'a wybuchły i stłumione zostały w ciągu dwu miesięcy; establishment obrócił się do niego tyłem i zniszczył go. W Niemczech oskarżony był sam establishment. W tym okresie, w październiku 1908 roku, straszliwe głupstwo palnął kajzer Wilhelm w wywiadzie na temat spraw zagranicznych dla „Daily Telegraph”; wyrażone tam przez niego poglądy, bardziej niż zwykle nieostrożne, które Bülow przez niedbalstwo przepuścił, wywołały za granicą wściekłość i rozbawienie, a w kraju wątpliwości co do jego stanu umysłowego. Niektórzy domagali się nawet abdykacji. Bülow, manewrując w swoim pojęciu zręcznie, usprawiedliwiał się w Reichstagu w imieniu monarchy, czego ten nigdy mu nie darował.

Dotknięty i oburzony kajzer wycofał się do posiadłości swego przyjaciela, księcia Furstenberga. Tam w czasie wieczornej zabawy hrabia

Hulsen-Haeseler, szef gabinetu wojskowego, pojawił się w różowej spódniczce baletowej i wieńcu z róż „i tańczył przepięknie”, co wszystkich bardzo bawiło. Kończąc upadł i zmarł na atak serca. Nim przyjechali lekarze, zastygł w *rigor mortis* i tylko z wielkim trudem udało się zdjąć z ciała generała strój baletowy i przyodziać go w godny mundur wojskowy. Nie był to szczęśliwy rok dla kajzera, choć w sześć miesięcy później miał przynajmniej tę satysfakcję, że wymusił rezygnację Bülowa.

Uszcherbek, jaki poniósł wizerunek kasty rządzącej, jej członkowie starali się nadrobić nadymając się bardziej niż kiedykolwiek. W miarę jak spadał prestiż kajzera, najbardziej bojowi Niemcy zwracali się ku następcy tronu; temu puszczącemu się stworzeniu pochlebcy mówili, że podobny jest do Fryderyka Wielkiego, którego z powierzchowności rzeczywiście przypominał. Panujący monarcha i jego najstarszy syn, Wilhelm II i „mały Willi”, prowadzili ze sobą nieustanną walkę i uważali, że muszą się nawzajem prześcignąć w emfazie. Kajzer wygłaszał w owym okresie wypowiedzi w rodzaju: „Stoję w błyszczącej zbroi”. Naród, świadomy swej siły, mógł wchłonąć emfazę bez granic. Niemcy wiedzieli, że są najsilniejszą potęgą militarną na świecie, najdoskonalszymi kupcami, najruchliwszymi bankierami; że penetrują wszystkie kontynenty, finansują Turków, przerzucają linię kolejową z Berlina do Bagdadu, zdobywają rynki Ameryki Południowej, współzawodniczą z potęgą morską Wielkiej Brytanii oraz w dziedzinie intelektu określanej słowem *Wissenschaft* organizują systematycznie wszystkie gałęzie ludzkiej wiedzy. Należało im się władanie nad światem i byli do tego zdolni. Trzeba zorganizować panowanie najlepszych. W tym okresie, jak pisał Brandes w 1909 roku, Nietzsche dzierżył „nie kwestionowaną władzę” nad umysłami swoich rodaków. Brak im było natomiast uznania przez świat ich wyższości, a gorąco tego pragnęli. Jak długo odmawiano im tego uznania, rosło rozczarowanie, a razem z nim pragnienie wymuszenia go mieczem. Zaczęto powszechnie mówić o wojnie. Kłopotliwi studenci kajzera na stypendium Rhodesa, kiedy się upili, grozili kolegom z Oxfordu „inwazją i srogą karą z rąk niemieckiej armii” W 1912 roku generał Bernhardt, ówczesny najpoważniejszy teoretyk militarny, w książce pod tytułem *Niemcy i następna wojna (Deutschland und der nächste Krieg)*, autorytatywnie i z przekonaniem, obwieszczał, że bliska jest realizacja tej konieczności dziejowej.

Inne Niemcy, Niemcy intelektu i uczucia, liberalne Niemcy, które

przegrały w roku 1848 i nigdy już nie próbowały się podnieść, usunęły się z areny; gardziły militarystką, dąsały się pod osłoną wyższych wartości duchowych i to im wystarczało. Takie Niemcy reprezentowała kasta profesorów, kleru, lekarzy i prawników, którzy uważali się za *Geistaristokratie* (arystokrację ducha), wyżej stojącą od wulgarnych bogaczy, od wulgarnej szlachty i od wulgarnych mas. Nie zajmowali się problemami socjalnymi, nie angażowali się w politykę, zadowalał ich pozbawiony elementu walki, domowy liberalizm, który wyrażał się w abstrakcyjnej opozycji wobec reżimu, w pogardzaniu kajzerem i w antymilitarystycznych karykaturach „Simplicissimusa”. Ich typowym przedstawicielem był profesor filozofii Georg Simmel, którego wykłady w sali wychodzącej na Unter den Linden odbywały się o tej samej godzinie co zmiana warty. Na pierwszy dźwięk orkiestry wojskowej profesor Simmel przestawał nagle mówić i stawał bez ruchu „w pozycji wyrażającej wyniosłe obrzydzenie i stoickie cierpienie, dopóki nie minął barbarzyński hałas”. Dopiero wtedy wracał do swego wykładu.

Jedne i drugie Niemcy spotkały się w 1910 roku podczas uroczystości z okazji stulecia Uniwersytetu w Berlinie, kiedy w środowisko akademickie wtargnął monarcha ze swoim wąsem, w złotym pancerzu, w hełmie ze złotym orłem gwardii Gardę du Corps, a za nim świta we wspaniałych mundurach, przy przeraźliwym dęciu puzonów. Zebrani stwierdzili, że kajzer „wyglądał nawet gorzej niż jego karykatury”, i pocieszali się myślą, że przez następne sto lat podobne najście nie zamąci spokoju ich uczelni.

Strauss skończył partyturę *Elektry* we wrześniu 1908 roku. Wydawcy zabierali od niego stronę po stronie. Przewidując następny *succès de scandale*, zapłacili za nią 27 000 dolarów, blisko dwa razy tyle co za *Salome*, za którą otrzymał 15 000 dolarów; dzięki temu dochód Straussa za kompozycję osiągnął w 1908 roku 60 000 dolarów. Pogoń Niemców za sensacją weszła już w zwyczaj i cztery miasta ubiegały się o zaszczyt premiery. Strauss, zobowiązany wobec Schucha, udzielił tego przywileju Dreznu, które dla uczczenia takiej okazji zaplanowało festiwal Straussa z *Salome*, *Feuersnot*, *Sinfonia domestica* oraz dwoma przedstawieniami *Elektry* — razem kolejnych pięć wieczorów Straussa.

Próby nowej opery odbywały się w atmosferze wrzawy; wszystko było

większe, głośniejsze, gwałtowniejsze niż w życiu. Partytura wymagała największej jak dotychczas orkiestry: sześćdziesiąt dwa smyczki, w tym osiem basów, czterdzieści pięć instrumentów dętych, w tym sześć trąb basowych i tuba kontrabasowa, sześć do ośmiu kotłów oraz bęben basowy. Razem około stu dwudziestu instrumentów. Operę wystawiono w jednej odsłonie, trwającej dwie godziny bez przerwy, z Elektrą cały czas na scenie. Rola jej była dłuższa niż Brunhildy w całym Pierścieniu razem wziętym, a jej wokalne interwały uważano za „nie do wyśpiewania”. Rolę Klitajmestry odtwarzała pani Schumann-Heink, która stwierdziła: „Jest to rola tak straszna, że omal mnie nie zabiła”, i nigdy już jej nie śpiewała. W miejscach kiedy śpiewała głośniej niż orkiestra przy fortissimo, Strauss słuchając z fotela wrzeszczał, przekrzykując zgiełk i łomot: „Głośniej, no, głośniej! Wciąż słyszę głos Heink”.

Pragnął, aby w tym legendarnym dramacie, dziejącym się w 1500 roku p. n. e., wszystko było „ścisle i realistyczne”, i domagał się prawdziwych owiec i byków na ofiarę Klitajmestry. „**Gott in Himmel!** Strauss, jest pan szalony? — ryczał z przerażeniem reżyser. — Proszę sobie wyobrazić, co to za koszty! A niebezpieczeństwo! Co zrobią, gdy się zacznie pana gwałtowna muzyka? Rzuca się naprzód, wpadną na orkiestrę, zabiją muzyków, zniszczą nawet wartościowe instrumenty.” Strauss był nieugięty. Wezwano Schucha, żeby i on zaproteutował. Dopiero po zawziętej dyskusji Strauss dał się przekonać, żeby zrezygnować z byków, i zadowolił się owcami. Równie realistyczny w swojej muzyce, sprawił, że niepotrzebny stał się tekst Hofmannsthal'a. W perkusji dawał się słyszeć brzęk bransoletek Klitajmestry; kiedy Chrysothemis mówi o burzliwej nocy, burza szaleje w orkiestrze; gdy zwierzęta prowadzone są na ofiarę, słuchacze na dźwięk ich kopyt chcą się usunąć z drogi; gdy mowa o śliskiej kałuży krwi, orkiestra przedstawia jej obraz. Kompozytor opanował środki techniczne w stopniu prawie nadludzkim i łamał prawa muzyczne jeszcze śmieiej niż zwykle. Sam mówił o tym: „Dotarłem do ostatecznych granic harmonii i psychicznej polifonii oraz zdolności percepcyjnych terazniejszych uszu”.

W wieczór premierowy, 25 stycznia 1909 roku, zebrała się międzynarodowa publiczność, a wśród niej dyrektorzy oper ze wszystkich krajów kontynentu i jak stwierdził reporter, być może pod wielkim wrażeniem, „dwustu znakomitych krytyków”. „Jest tu cała Europa”, powiedział z dumą portier hotelowy do Hermanna Bahra, który przyjechał z

Wiednia.

Kurtyna podniosła się, bez uwertury czy preludium, gdy orkiestra zagrzmiała temat Agamemnona, jak uderzenia młota losu w lwią bramę w Mykenach. Dotychczas żadna opera nie zaczynała się tak ogłuszająco. Gdy po dwu godzinach demonicznego napięcia zapadła kurtyna, publiczność siedziała przez kilka sekund w osłupiałym milczeniu, aż wreszcie „Straussianer” oprzytomnieli i zaczęli klaskać. Grupa przeciwników gwizdała, ale większość publiczności była zbyt przerażona, aby robić cokolwiek; wreszcie klaka wzięła górę, wymusiła kilkakrotne wywołanie przed kurtynę, a w końcu wiwat dla kompozytora. Jak zwykle brutalność libretta i gwałt zadawany formie muzycznej wywołały polemiki. Niektórym muzyka *Elektry* nie wydawała się już muzyką. „Właściwie wielu poważnych ludzi uważa Straussa za nienormalnego”, pisał jakiś ogłuszony słuchacz. Ale po obejrzeniu następnego i dalszych przedstawień w Berlinie, Monachium i Frankfurcie w ciągu czterech tygodni po premierze niezaprzeczalne okazało się mistrzostwo Straussa w przekazywaniu lęku i zbliżającej się grozy, która prowadzi do końcowego morderstwa.

Słuchając muzyki Hermann Bahr czuł, że wyraża ona coś złowieszczego o współczesności, dumę zrodzoną z nieograniczonej potęgi, opór przeciw łaadowi, „chęć powrotu do chaosu”, a w postaci Chrysothemis tęsknotę za jakimś prostym, spokojnym uczuciem. Choć głęboko wstrząśnięty, uważał, że był to „cudowny wieczór”, i wracał do Wiednia w podnieceniu i w lepszym nastroju. To właśnie zalecał Nietzsche.

W rok później, w lutym 1910, kiedy sztuka dotarła do Londynu, poprzedziła ją fama, a wojna w świecie muzycznym rozpoczęła się, nim usłyszano jedną nutę.

Sam Strauss przyjechał, aby dyrygować na dwóch przedstawieniach, za co miał otrzymać honorarium po 200 funtów za występ. Krytyk z „Daily Mail” zwrócił uwagę na jego zrównoważone gesty. „Wysoki, błydy mężczyzna z gładkim czołem”, rzucający od czasu do czasu błyski swych stalowych oczu na śpiewaków i muzyków, dyrygował nie poruszając głową i z łokciami jakby przykutymi do ciała. „Wyglądał jak matematyk piszący starannie wzór na tablicy z największą znajomością rzeczy”. Po przedstawieniu „Times” pisał, że opera „w swej jawnej ohydzie nie ma sobie równej w całej literaturze operowej”, podczas gdy „Daily Telegraph”

informował, że „Covent Garden nigdy dotychczas nie był świadkiem takiego nieokiełznanego entuzjazmu”. Wobec powszechnego zainteresowania spowodowanego zaostrożającym się sporem Beecham musiał przedłużyć sezon. Z jego punktu widzenia było to, poza śmiercią króla Edwarda VII w kilka miesięcy później, „najgoręcej dyskutowane wydarzenie roku”. Prawdę powiedziawszy, dzieła tego nie można było wówczas słuchać poza Niemcami bez skojarzeń politycznych. George Bernard Shaw, uważając, że ataki na Elektrę spowodowane są histerią antygermańską, przeszedł do drugiej ostateczności. W artykule opublikowanym w „Nation” napisał, że jeśli kiedyś mógł powiedzieć, że „zarzuty przeciw wariatom i bankowcom, którzy próbują wpędzić nas w wojnę z Niemcami, można streścić w jednym tylko słowie «Beethoven», dzisiaj powiedziałbym z równym przekonaniem «Strauss»”. Nazwał Elektrę „najwyższym osiągnięciem sztuki”, a jej wystawienie „historyczną chwilą w historii sztuki Anglii, jaka może się już nie powtórzyć za naszego życia”.

Strauss zdawał sobie sprawę, że w stylu *Salome* i Elektry posunął się najdalej, jak tylko mógł. Nagle, jak po *Życiu bohatera*, mając dość wzniosłości, postanowił ofiarować publiczności dla odmiany operę komiczną w stylu Mozartowskiego *Wesela Figara*, żeby udowodnić, że Strauss potrafi zrobić wszystko. Hofmannsthal zgodził się na napisanie libretta i z początkiem 1909 roku pracował już nad „zupełnie oryginalnym scenariuszem”, osadzonym w siedemnastowiecznym Wiedniu, „pełnym krotocwilnych sytuacji i postaci”, jakby stworzonym dla melodii lirycznych i humoru. Strauss po otrzymaniu pierwszej sceny wpadł w zachwyt i odpisał: „Ułoży się pod muzykę jak oliwa i topione masło”. Współpracując z sobą korespondencyjnie przez rok 1909 i pierwszą połowę 1910 librecista i kompozytor stworzyli nową operę, nazwaną *Kawaler Srebrnej Róży*.

Główną, młodzieńczą rolę miała śpiewać kobieta przebrana za mężczyznę. Tzw. *Hosenrolle* (rola w spodniach) dla kobiet była dosyć rozpowszechniona, stosował ją Mozart dla Cherubina, lecz rola Oktawiana w ujęciu Hofmannsthala — Straussa miała inny charakter i nie była pozbawiona pikanterii. Kiedy preludium operowe Straussa opisuje z właściwym mu realizmem rozkosz aktu seksualnego i kurtyna podnosi się ukazując marszałkową i jej młodego kochanka jeszcze w łóżku, odkrycie, że obydwie są kobietami, mogło wywierać na publiczności dziwne wrażenie, z czego

autorzy na pewno zdawali sobie sprawę. Pomysł pochodził od Hofmannsthala. Strauss twierdził później, że wynikało to z konieczności, bo żaden mężczyzna dość młody, aby śpiewać Oktawiana, nie miałby doświadczenia, jakie musi posiadać doskonały aktor. „Ponadto — dodał z większą szczerością — kuszące było pisanie na trzy soprany”. Sprostą temu znakomicie, zwłaszcza w ostatnim akcie, gdy wszystkie trzy śpiewają razem. W *Elektrze* role męskie nie miały wielkiego znaczenia, w *Kawalerze Srebrnej Róży* główna rola męska to prostacki rozpustnik, raz nieprzyjemny, raz śmieszny. Baron Ochs reprezentuje niemieckie wyobrażenie komizmu. W czasie komponowania Strauss pisał do Hofmannsthala, że brak mu „naprawdę komicznej sytuacji — wszystko jest tylko zabawne, ale nie komiczne”. Chciał, żeby publiczność się śmiała: „Śmiech! nie tylko uśmiech czy grymas”.

Nie obyło się naturalnie bez zwierząt, jak pies, mała i papuga. Gdy Strauss prosił Hofmannsthala o scenę miłosną między Zofią a Oktawianem, do której mógłby napisać duet „o wiele bardziej namiętny... teraz scena ta jest zbyt blada, delikatna i nieśmiała”, Hofmannsthal odpisał obrażony, że te dwie młode istoty „nie mają w sobie nic z Walkirii czy też Tristana i Izoldy” i że absolutnie nie chce dopuścić, aby „wpadły w podobne do Wagnerowskich erotyczne wrzaski”. Nie było to zbyt taktowne i ujawniło niezgodność temperamentów kompozytora i librecisty. Ślad Tristana dał się jednak znaleźć, nie mówiąc już o zapożyczeniach z Mozarta, a nawet Johanna Straussa. Główny motyw stanowił wiedeński walc, co jest lekkim anachronizmem, bo nie był on jeszcze znany w osiemnastym wieku.

W kwietniu 1910 roku pełna partytura drugiego aktu znajdowała się już w drukami, nim Strauss otrzymał libretto do aktu trzeciego. Sytuacje wymyślone dla wprowadzenia barona w zakłopotanie okazały się adaptowane przez von Hofmannsthala z *Wesołych kumoszek z Windsoru*, z tą różnicą, że w przeciwieństwie do Falstaffa Ochs pozostał niesympatyczny. Opera została skończona pod koniec lata i 26 stycznia 1911 roku, w dwa lata po *Elektrze*, odbyła się w Dreźnie premiera *Kawalera Srebrnej Róży*. Od tego czasu rzadko schodził ze scen operowych. Kompozytor i librecista obdarzyli go całym blaskiem supercywilizowanego Wiednia. Błyszczał jak srebrna róża będąca jego symbolem. W partyturze Strauss zawarł cały swój talent, pomysłowość i śmiałość — a także swoją dwoistość. Największy dar muzycznej ekspresji pozwolił mu przekazać krzątanię osiemnastowiecznego

levé, pełne rozkoszy odkrycie młodocianej miłości, komiczny strach przed pojedynkiem, słodki smutek rezygnacji mar szalkowej, a przy tym wtrącić grube dowcipy i rubaszny humor. Dał światu srebrną różę, piękną, błyszczącą, a zarazem spatynowaną.

W 1911 roku Strauss znajdował się w świecie muzycznym na najwyższym miejscu, najslawniejszy z żyjących kompozytorów, „jeden z tych — pisał biograf muzyków, Richard Specht — bez których nie można już sobie wyobrazić naszego duchowego życia”. Choć on i Kofmannsthal zabrali się do pracy nad nową operą, Ariadna na Naksos, Strauss osiągnął już swój szczyt i teraz palma zwycięstwa powoli mu się wymykała.

W 1908 roku w Paryżu Balety Rosyjskie Sergiusza Diagilewa rozbłysnęły nad zachodnim światem jak wspaniały tropikalny ptak. Ich występy stały się triumfem szalonego, pulsującego, egzotycznego przepychu — jeszcze jedną „błyskawicą z Północy”. W miejsce nudnej rutyny klasycznego baletu dawały znakomitą, świeżą muzykę współczesnych rosyjskich kompozytorów, nowe libretta, nasyconą wyobraźnią choreografię i świetną współczesną scenografię; wszystko to zebrane jak klejnoty w oprawie, aby uwydatnić blask wspaniałego męskiego tańca. Tancerz stał się gwiazdą, nie tylko *porteur* do podnoszenia baleriny, jak wiatr wnosił na scenę witalność i werwę. Wszystkich przewyższał jeden, Wacław Niżyński. Gdy pojawiał się na scenie, skacząc zdumiewająco w powietrze, jakby się tam przez chwilę zatrzymywał, jego perfekcja wprawiała ludzi w podniecenie, zdawali sobie sprawę, że widzą największego w historii tancerza *ballon*. Był aniołem, geniuszem, Apollinem ruchu. Zdobywał serca wszystkich. Cały zespół zdobył Paryż szturmem. Entuzjaści przepowiadali upadek opery. Hrabina de Noailles pisała: „Było tak, jakby coś nowego zostało dodane do stworzenia świata w siódmym dniu”.

Wszędzie w sztuce pojawiały się nowe prądy. W roku 1905 i 1906 w Salonie Jesiennym *Fauves* („Dziki Bestie”) z Matisse'em na czele prezentowali w rozpasanych kolorach i wykrzywionych liniach swoje credo malowania w odejściu od natury. W latach 1907-8 Picasso i Braque, odkrywając istotę rzeczywistości w formach geometrycznych, stworzyli kubizm. Styl ten stosował Léger wysławiając maszynę, a następnie wielu innych artystów. W Niemczech nowa myśl zrodziła się w szkole

ekspresjonistów, którzy dążyli do wstrząsu emocjonalnego za pomocą przejawienia lub spaczenia natury. Dwaj Amerykanie złamali stare szablony: Frank Lloyd Wright w kraju i Isadora Duncan, która wędrując po Europie w latach 1904-8 wprowadziła do tańca emocje. Rodin miał na myśli swoje rzemiosło, lecz wyraził nowy cel wszystkich sztuk, mówiąc: „Rzeźba klasyczna poszukiwała logiki ludzkiego ciała, ja szukam jego psychologii”. Szukał jej także Marcel Proust; zamknął się w roku 1906 w swoim wyłożonym korkiem pokoju i zasiadł do pracy nad *W poszukiwaniu straconego czasu*. Tomasz Mann podjął poszukiwania w *Śmierci w Wenecji*. Lytton Strachey przygotowywał nowy rodzaj biografii. Moskiewski Teatr Sztuki demonstrował nowy rodzaj gry aktorskiej. Renesans Irlandii reprezentował Yeats i J. M. Synge, który wykazał w sztukach *Riders to the Sea* i *The Playboy of the Western World*, że jest jedynym od czasu Shakespeare'a pisarzem umiejącym stworzyć równie świetną tragedię i komedię. Wszyscy wszędzie szukali wtedy nowych form i nowych dziedzin. Kiedy w lipcu 1909 roku Blériot przeleciał nad kanałem La Manche, potwierdzając i kontynuując osiągnięcia braci Wright, przypuszczano, że oznacza to zatarcie granic, i każdy w Europie odczuwał w jego tryumfie „wznoszenie się uczuć nie mniej cudowne niż wzbijanie się samolotu”.

W Baletach Rosyjskich przejawiały się wszystkie emocje i całe bogactwo owego okresu. Fakt, że pochodziły z carskiej Rosji, uważanej za barbarzyńską, a zarazem podupadającą, zastanawiał tak samo jak wezwanie do rozbrojenia wychodzące od cara. Wielkie zainteresowanie wszystkim, co rosyjskie, wywołane przymierzem francusko-rosyjskim i wystawą z 1900 roku, skłoniło przedsiębiorczego Diagilewa do urzędzenia w Paryżu w 1906 roku wystawy sztuki rosyjskiej. Pod patronatem wielkiego księcia Włodzimierza, ambasadora Rosji Izwolskiego i pani Greffulhe obrazy i rzeźby, ikony, kapłańskie brokаты, cudowne klejnoty Fabergego, wypożyczone z kolekcji cesarskich i prywatnych, a także z muzeów, wypełniły dwanaście sal. Następnego roku Diagilew sprowadził rosyjską muzykę i zorganizował serię wspaniałych koncertów. Rimski-Korsakow dyrygował tam swymi utworami, Rachmaninow grał swój koncert fortepianowy, Józef Hofmann grał koncert Skriabina, a wspaniały bas, Szalapin, śpiewał wyjątki z Księcia Igora Borodina i Borysa Godunowa Musorgskiego. Zachęcony entuzjastycznym przyjęciem, z jakim spotkały się te koncerty, Diagilew zaplanował sezon rosyjskiego baletu i opery, który miał przynieść jeszcze większy sukces. Carski Balet Rosyjski wypożyczył

swoich najświetniejszych artystów, Annę Pawiową, Niżyńskiego, Adolfa Bolma i Tamarę Karsawinę oraz Michaiła Fokina jako choreografa. Do scenerii i kostiumów udało się Diagilewowi pozyskać obdarzonego wspaniałym samorodnym talentem Lwa Baksta, którego uzupełniali znakomici malarze: Sudejkin, Roerich, Aleksander Benois i inni. Sensację pierwszego sezonu stanowiła Kleopatra; na jej muzykę składały się utwory co najmniej pięciu kompozytorów rosyjskich. Rosyjskie tematy mieszały się z egipskimi i perskimi; nawet prawdziwa czarodziejka Nilu nie mogłaby dorównać porywającej piękności i figurze Idy Rubinstein, niesionej na palankinie, w wirującej bachanalii welonów i płatków różanych, które miały ukryć fakt, że jako tancerka nie była jeszcze należycie wyszkolona. Paryż uznał, że jest niemal „zbyt piękna, jak mocne perfumy”.

Przez następne sześć lat balet wracał co roku z nowymi, pełnymi inwencjami dziełami, które rewolucjonizowały choreografię i scenografię. Muzyce dodała godności orkiestra w pełnym składzie z Pierre'em Monteux jako dyrygentem. Dalsze opery — Musorgskiego *Chowańszczyzna*, Rimskiego *Sadko* i *Iwan Groźny* — weszły w skład repertuaru obok *Księcia Igora* i *Borysa Godunowa*. Pawłowa odeszła później z zespołu, ale w roku 1909 w *Les Sylphides* była w tańcu tym, „czym Racine był w poezji”, a Karsawina „znakomicie łączyła tradycję klasyczną z rewolucyjnym artyzmem”. Dwa utwory Chopina, *Nokturn* i *Grande valse brillante*, zostały dla tego baletu rozpisane na orkiestrę przez ucznia Rimskiego-Korsakowa, dwudziestosześcioletniego wówczas Igora Strawieńskiego, któremu Diagilew zlecił to zadanie po wysłuchaniu w 1908 roku w Petersburgu pierwszego jego orkiestralnego dzieła. W przeciwstawieniu do klasycznej delikatności *Sylphides* Fokin wystawił dzikie połowieckie tańce z *Księcia Igora*, z brzmiącymi w muzyce tematami tatarsko-mongolskimi, z hordą rozszalałych azjatyckich tancerzy na tle sceny w kolorystyce szarym i matowoczerwonym, przedstawiającej niskie namioty z okrągłymi dachami i wysokie słupy dymu, ciągnące się ku horyzontowi bezkresnego stepu.

Dzięki zmysłowości widowiska i upajającym kolorom Baksta balet, przez długi czas nie wywołujący wzruszenia, przemawiał teraz do uczuć. Scenę zaludniły hurysy sułtana z Nocy arabskich, bachantki z greckiej wazy, rosyjscy bojarzy w wysokich butach, arlekiny i kolombiny z komedii *dell'arte*, stworzenia leśne, kasztanowe, zielone i złote, „piękne jak połyskliwe nakrapiane pytony”, albo ubrani współcześnie gracze w tenisa.

Bakst stał się natchnieniem Paula Poiret i mody kobiecej na przeciąg pięciu lat. Rudowłosy Bakst, uperfumowany, elegancko ubrany, projektując z współpracownikami *Szecherezadę* Rimskiego-Korsakowa, wskoczył na krzesło i tłumaczył swym nosowym głosem z wymownymi gestami, w jaki sposób straż przyboczna Sułtana powinna pociąć wszystkich na kawałki, „wszystkich z żonami i ich murzyńskimi kochankami!” Do *Szecherezady* zaprojektował dekoracje mające przywołać na myśl „prerażające wyczyny żądzy i okrucieństwa”, co Fokin z entuzjazmem zinterpretował w tańcu murzyńskich niewolników, których eunuchowie wypuszczają ze złotych klatek za namową żon Sułtana i którzy rzucają się na chętne temu kobiety haremu w orgiastycznym tańcu „spazmów i żądzy”. Balet upodobał sobie tematy seksualne. Dla Thamar, królowej kaukaskiej, Kleopatry *a la russe*, Bakst zaprojektował średniowieczny zamek nad rzeką, w której wody spadali ku swej zgubie porzuceni kochankowie. Delikatna jak kwiat Karsawina w różnych wcieleniach kusicielki przedstawiała występ „z wielką dozą prawdopodobieństwa”, jak mówili krytycy.

Gdy zmarł Rimski w 1908 roku, Strawiński skomponował *Chant Funebre* na koncert ku jego pamięci w Petersburgu. Diagilew, pod bardzo wielkim wrażeniem, poprosił go, aby napisał muzykę do baletu opartego na rosyjskiej baśni o księciu Iwanie i Ognistym Ptaku. Akcja, dziejąca się w lesie, ze złym czarownikiem i dwunastu zaczarowanymi księżniczkami, natchnęła kompozytora do napisania pełnej fantazji partytury, z pomieszanymi rytmami, wdzięczną melodią i z niesamowitym elektryzującym tańcem demonów. Balet ten został wystawiony w czerwcu 1910 roku z Bolmem w roli Księcia i Karsawiną w roli Ognistego Ptaka jako pierwsze własne dzieło Strawińskiego odegrane poza Rosją. Debussy pospieszył za kulisy, żeby go uściskać. Publiczności sprawiało wielką radość, że może zachwycać się muzyką współczesną, która jednak nie jest przykra. Diagilew odbierał gratulacje ze wszystkich stron. Zamówił natychmiast drugi balet na następny sezon. Kiedy Strawiński zagrał mu napisany już utwór na fortepian i orkiestrę o przygodach Pietruszki, „nieśmiertelnej, nieszczęśliwej kukielki, bohatera każdego jarmarku w każdym kraju”, Diagilew był oczarowany.

Wspólnie opracowali sceny baletu, ukazujące karnawał na placu, tłumy i stragany, magika i jego sztuczki, Cyganów i tresowanego niedźwiedzia, przedstawienie kukielek, które ozywają, nieszczęśliwą miłość Pietruszki do

Tancerki i jego śmierć z rąk rywala, Maura.

Muzyka *Pietruszki*, pełna siły i witalności, z ducha rosyjskiego ludu, zawiera wiele motywów, echa katarynki, humor, satyrę i wzruszający smutek. Podobnie jak Strauss, Strawiński nie uznawał rozwijania tematów, lecz raczej zgodnie z tradycją odziedziczoną po rosyjskiej „piątce” niż z tradycją niemiecką. Wbrew tradycyjnej istocie muzyki, polegającej na rozwijaniu i powtarzaniu, Strawiński w sposób zwięzły i prosty dążył, jak mówił, „do jasnej wypowiedzi w najprostszej postaci. Niepotrzebne mi «opracowanie» w muzyce dramatycznej. Istotną sprawą jest odczuwanie i przekazywanie własnego odczucia”.

Osiągnął to w *Pietruszce*, a Paryż potwierdził odkrycie, które wyraził już uścisk Debussy'ego: pojawienie się wielkiego, oryginalnego kompozytora. Niżyński jako kukielka zdobył serca publiczności. Wrzucony przez swego pana do czarnego pudełka, biegał tu i tam, machając w powietrzu sztywnymi rękami, wzruszający w miłości, zapamiętały w zazdrości; jego występ stał się triumfem, co było szczególnie na czasie przed londyńskim sezonem.

Anglia powitała Balety Rosyjskie z takim samym zapalem jak Francja. Wspaniałego lata 1911, w roku koronacji, „życie było pasjonujące”. Upały były rekordy, uroczystości dochodziły do punktu kulminacyjnego, aeroplany lądowały na wiejskich trawnikach, każdego ożywiał dreszcz lotu, ale Balety Rosyjskie były „ukoronowaniem wszystkiego”. Przywracały tańcowi jego „pierwotną szlachetność”, pisała Ellen Terry. Rewelację stanowiło harmonijne współgranie różnego rodzaju sztuk. Ludzie z towarzystwa, intelektualiści, wszyscy mający jakiegokolwiek pretensje do dobrego gustu pędzili tłumnie do Covent Garden, „wieczór w wieczór, zachwyceni”. Niżyński czarował każdego, kto go widział: jako niezgrabna kukielka, jako murzyński niewolnik w srebrnych spodniach w *Szecherezadzie*, jako Pierrot w oświetlonym świecami ogrodzie goniący tancerki w strojach motyli przy dźwiękach muzyki Schumanna, jako Błękitny Bóg wynurzający się z lotosu na chińskim stawie do muzyki Reynalda Hahna, przyjaciela Prousta, jako duch róży w kostiumie z płatków kwiatu wylatujący z okna sławnym skokiem, po którym ludzie powtarzali sobie, że powietrze jest jego żywiołem. Choć nie mówił po angielsku i tylko niewiele po francusku, stał się ulubieńcem salonów, niemy, lecz uśmiechnięty. Triumf pobudził Diagilewa, jak Straussa, do szukania nowych sensacji i w sezonie 1912 udało mu się zaszokować Paryż. Wystawił dwa balety francuskich kompozytorów. *Dafnis*

i Chloe Maurice'a Ravela, napisany specjalnie w tym celu, Strawiński uznał za „jeden z najznakomitszych utworów francuskiego kompozytora”. Balet *Popołudnie fauna*, do znanej już muzyki Debussy'ego, doprowadził do skandalu z niemuzycznych powodów. Fauna tańczył Niżyński w obcisłych trykotach, pomalowanych w cętki jak futro zwierzęcia, z małym ogonem, w peruce ze skręconego mocno złotego sznurka i dwoma małymi zakrzywionymi rogami. W balecie trwającym dwanaście minut gonił nimfy w greckich szatach i kiedy ostatnia uciekła mu gubiąc swój woal, upadł na tę szatę sugerując ruchem akt seksualny. Choreografię tym razem ułożył sam Niżyński. Kurtyna spadła wśród hukania, gwizdania i obelg pomieszanych z okrzykami „*épatant!*” i „Bis, bis! „ Zespół uprzejmie odtańczył balet po raz drugi, znów wśród „nieopisanego zamieszania”. Następnego ranka Gaston Calmette, wydawca „Figara”, opublikował na pierwszej stronie podpisany artykuł wstępny pod tytułem *Un Faux Pas*, potępiający „niesłychany pokaz bestialskiego erotyzmu i bezwstydnego gest”, i domagał się jego usunięcia w następnych przedstawieniach. „Le Gaulois” podzielał tę opinię, lecz reagując nieco spokojniej uznał, że ostatni gest był *de trop*, a „Le Temps”, jak zwykle pełen godności, wyraził „zrozumiałe niezadowolenie” Francuzów z powodu tego „pożałowania godnego przedsięwzięcia”. Szybko rozeszła się wiadomość, że na prośbę Calmette'a prefekt policji wydał zakaz dalszych przedstawień. W klubach, salonach, kawiarniach i kuluarach Izby nie mówiono o niczym innym: Paryż natychmiast podzielił się znów na dwa obozy. Ambasador rosyjski, pobudliwy Monsieur Izwolski, pragnął się dowiedzieć, czy „Figaro” atakuje francusko-rosyjskie przymierze. Następnego dnia „Le Matin” ogłosił list Rodina, który bronił Niżyńskiego za przywrócenie tańcowi „swobody instynktu i ludzkiego wzruszenia”. Spór przeniósł się na Rodina; jego zwolennicy wydali manifest, w którym teraz Jules Lemaitre i Maurice Barrés znaleźli się po tej samej stronie co Anatol France i Octave Mirbeau wraz z eks-prezydentem Loubetem, byłymi premierami Clemenceau, Léonem Bourgeois i Briandem, ambasadorem Izwolskim i baronem d'Estoumelles. Forain, niezmienny, opublikował w „Figaro” anty-Rodinowską karykaturę. Na drugim przedstawieniu, na które każdy bilet sprzedany został z dodatkowym zyskiem, zrezygnowano z gorszącego gestu i Faun patrzył tylko na welon żalonym spojrzeniem.

W Wiedniu, gdzie z powodu toczącej się wojny bałkańskiej panowały nastroje antysłowiańskie, z trudem udało się uniknąć fiaska. Na próbach orkiestra Wiedeńskiej Opery Królewskiej, która potrafiła grać zupełnie

swobodnie wszystko, co przed nią położono, grała muzykę rosyjską z ostentacyjną dezaprobatą i celowymi pomyłkami. Monteux był bezsilny, a kiedy rozwścieczony Diagilew komentował na głos zachowanie tych „świń”, muzycy zastrajkowali i zeszli z estrady. Jedynie dzięki skłonieniu Diagilewa do przeprosin zażegnano kryzys następnego dnia. W Berlinie kajzer przyszedł na przedstawienie *Kleopatry* i *Ognistego ptaka*. Kleopatra podobała mu się bardziej, wobec czego wezwał Diagilewa i powiedział, że przyśle swoich egiptologów, aby to zobaczyli; sądził, jak widać, że fantastyczne dekoracje Baksta są autentyczne i że rosyjskie *potpourri* jest odkryciem prawdziwej muzyki egipskiej z czasów Ptolomeusza.

Strauss także przyszedł na przedstawienie i potem gratulował Strawińskiemu, dodając charakterystyczną radę. Nawiązał do przytłumionego, tajemniczego początku Ognistego ptaka i powiedział: „Robi pan błąd zaczynając swój utwór pianissimo; publiczność nie będzie słuchała. Na wstępie powinien pan zaskoczyć ich nagłym grzmotem. Potem będą pana słuchali i może pan robić, co pan chce”.

Teraz z kolei trzeba było oczywiście zjednać Straussa dla Baletów Rosyjskich, z drugiej strony prestiż baletu zainteresował już von Hofmannsthal, który rozpoczął negocjacje. Po uzgodnieniu z Diagilewem warunków finansowych zaproponował Straussowi balet o Orestesie i Eryniach, w którym Niżyński miał przedstawić „straszny czyn i straszne cierpienia” bohatera, a Erynie miały wtargnąć „groźnie i triumfalnie” w tańcu zagłady na zakończenie. Nie była to zupełnie nowa myśl, ale Hofmannsthal pisał kusząco, że mógłby to być temat dla „cudownej, posępnej, wzniosłej muzyki... Proszę to przemyśleć i nie odmawiać”. Załączył notatkę o warunkach, jakie Diagilew „pozwala sobie panu przedłożyć”. Kiedy Strauss z miejsca odrzucił pomysł, Hofmannsthal zaproponował libretto do baletu opartego na wątku Józefa i żony Putyfara, który już napisał wspólnie z hrabią Harrym Kesslerem, niemieckim literatem i patronem sztuki; zajmował się on amatorsko polityką, należał bowiem do tych Niemców o liberalnych poglądach, dla których nie było miejsca w życiu oficjalnym. Chcąc wyrzucić presję na Straussa, Hofmannsthal napisał, że jeśli odmówi, Diagilew — któremu podoba się libretto — zaangażuje rosyjskiego lub francuskiego kompozytora. To poskutkowało. „Józef jest znakomity — odpowiedział Strauss. — Chwyciło. Zabrałem się już do szkicowania tego”.

Wkrótce zaczęły się kłopoty. Libretto autorstwa dwóch prerafinowanych

pisarzy było metafizyczną wersją opowieści o Chrzcicielu i Salome, z Józefem jako poszukiwaczem Boga, „którego tajemnicą jest tajemnica rozwoju i przeobrażenia, którego świętość jest świętością tworzenia i poczęcia, którego doskonałość jest doskonałością rzeczy, jakich jeszcze nie było”. Staje on wobec kobiety zmysłowej, zgubionej, bo „dostrzegła boskość, której nie może zwyciężyć”. Takie myśli nie dawały się wyrazić muzyką” a tym bardziej tańcem. Strauss męczył się i narzekał. „Cnotliwy Józef nie jest zupełnie w moim stylu, a jeśli coś mnie nudzi, trudno mi do tego pisać muzykę”. Skarżył się, że Józef w balecie nie robi nic innego, tylko opiera się awansom królowej: „Ten poszukiwacz Boga to będzie piekielny wysiłek”. Hofmannsthal wyjaśniał cierpliwie, że opór Józefa jest „walką wzmoczonego męskiego intelektualizmu” przeciw dążeniu kobiety do ściągnięcia go w dół; mimo tego wyjaśnienia temat nadal nudził Straussa. Pierwsze motywy, które przegrał Hofmannsthalowi w grudniu 1912 roku, wywołały u librecisty „niepokój” i świadomość, że „między nami jest coś nie w porządku, co trzeba będzie w końcu wyświecić”. Na razie błagał Straussa, by nie czuł się skrępowany wymaganiami tańca, lecz żeby pisał jak „nie skrępowany, czysty Strauss”, wyrażając swą własną osobowość „z wszelką możliwą swobodą polifonii i modernizmu w sposób do woli śmiały i oryginalny”. Mimo wszystko Józef pozostał nadal cnotliwy, a Strauss bez natchnienia. Diagilew przygotował tymczasem na sezon 1913 inną premierę.

Było to *Święto wiosny* Strawińskiego, oparte na elementarnym temacie odradzania się przyrody na wiosnę. Balet przedstawiał uroczystość pogańskiego obrządku, w którym dziewica jako ofiara tańcząc do upadłego oddaje życie, aby na nowo ożywić ziemię. W przeciwieństwie do wymęczonego, wyrafinowanego *Józefa*, scenariusz Strawińskiego stanowił tylko ramy dla muzyki i tańca. Nie zaczynał on hukiem, jak mu radził Strauss, lecz powolnym drzeniem instrumentów drewnianych, jak gdyby chciał przywieść na myśl fizyczną tajemnicę pączkowania. Kiedy uniosła się kurtyna ukazując scenę, na której odbywają się ludowe zabawy i tańce, muzyka zaczęła wibrować i szaleć w pierwotnym rytmie, przy śpiewie trąb, ogłuszających dźwiękach perkusji, w jazzowym tempie i z bezlitosnymi bębnami, nigdy przedtem nie wykorzystanymi z taką siłą i żywiołowością. Napięcie i uniesienie rosły aż po szczytowy wybuch zapowiadający nową erę. Dzieło to wyrażało w muzyce wszystko, co charakteryzuje wiek dwudziesty, i stanowiło szczytowe osiągnięcie ówczesnej muzyki, która miała później dominować przez kilka pokoleń. Było dla dwudziestego wieku

tym, czym *Eroica* Beethovena była dla wieku dziewiętnastego, i podobnie jak *Eroica* pozostało nie prześcignione.

Premiera 28 maja 1913 roku, pod batutą Monteux, wywołała niemal bunt w teatrze. Porzucenie wszelkiej zrozumiałej harmonii, melodyki i struktury robiło wrażenie muzycznej anarchii. Ludziom zdawało się, że słyszą bluźnierczą próbę zniszczenia muzyki jako sztuki, reagowali wyciem, kocią muzyką i szyderczym śmiechem. Jeden młody człowiek wpadł w takie podniecenie, że zaczął wybijać pięściami rytm na głowie siedzącego na widowni Amerykanina, który sam był tak poruszony, że przez jakiś czas nie czuł uderzeń. Pięknie ubrana pani w łoży podniosła się i uderzyła w twarz mężczyzną gwizdającego w sąsiedniej łoży. Saint-Saëns wstał oburzony i opuścił salę, Ravel krzychał: „Geniusz!” W tym hałasie tancerze nie słyszeli muzyki; Niżyński, który sam opracował choreografię baletu, stał za kulisami i wybijał pięściami rytm, wołając w rozpacz: „Raz, dwa, tri!” Monteux rzucał rozpaczliwe spojrzenia na Diagilewa, który dawał mu znaki, żeby grał dalej, i krzychał do publiczności, aby pozwoliła słuchać dzieła. „Najpierw słuchajcie, potem gwizdźcie!” , wołał z wściekłością Gabriel Astruc, francuski reżyser. Po zakończeniu publiczność wyszła, aby kontynuować spory w kawiarniach, a krytycy przenieśli je na łamy prasy; ponieważ jednak prawie wcale nie było słychać muzyki, opinie opierały się głównie na emocjach. Dopiero po roku, w kwietniu 1914, gdy muzykę zagrano ponownie na koncercie w Paryżu, uznano ją za taką, jaką była w istocie. Wykonanie *Święta wiosny* dopełniło dekadę innowacji w sztuce i ustaliło wszystkie najważniejsze tendencje następnego półwiecza.

Tego lata Strauss ukończył *Józefa*. Na spotkaniu z Diagilewem i Bakstem w Wenecji Hofmannsthal zaproponował przedstawienie „najbogatsze, jakie tylko można sobie wyobrazić”. Akcja ma się dziać nie w Egipcie, lecz w Wenecji Tintoretta i Veronesa, bo, jak tłumaczył hrabia Kessler, „zbyt pedantyczna dokładność może tylko zahamować swobodę wyobraźni”.

O Strausie, zajęтым już komponowaniem kilku nowych dzieł, pisano wtedy dużo. Kiedy w lipcu skończył *Niemiecki motet* na chór i orkiestrę, uznano, że jest to godne depezy kablowej do „New York Timesa”. Na otwarcie nowej sali koncertowej w Wiedniu skomponował *Preludium świąteczne*, rozpisane na największą do tej pory orkiestrę: stu pięćdziesięciu muzyków, w tym osiem rogów, osiem bębnow, sześć dodatkowych trąb i organy. Odpowiadało to manifestacji dumy narodowej z okazji setnej

rocznicy klęski Napoleona pod Lipskiem i równoczesnej dwudziestej piątej rocznicy panowania kajzera.

Na setną rocznicę wydana została książka pod tytułem *Niemcy uzbrojone* z przedmową następcy tronu, który pisał: „Jest świętym obowiązkiem Niemiec, bardziej niż jakiegokolwiek innego narodu, utrzymywać armię i flotą zawsze w stanie najwyższej gotowości. Tylko wówczas, wsparci na naszym sprawnym mieczu, będziemy mogli zachować miejsce pod słońcem, jakie nam się należy, lecz nie jest nam chętnie przyznawane”. Choć niełatwo będzie zagasać „gigantyczny pożar” narodów, gdy się raz zacznie nie powstrzyma to dłoni Niemców od sięgnięcia po miecz, „ponieważ miecz pozostanie czynnikiem decydującym aż do końca świata”. Karl Helfferich, dyrektor Deutsche Bank, opublikował bardziej rzeczową pracę pod tytułem *Postęp gospodarczy Niemiec i bogactwo narodowe, 1888-1913*, która podawała liczby świadczące o „gwałtownym, triumfalnym podnoszeniu się koniunktury” w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat. Helfferich wykazał, że ludność zwiększyła się więcej niż o jedną trzecią, że przewaga liczby urodzin nad liczbą zgonów była w Niemczech większa niż w jakimkolwiek innym kraju z wyjątkiem Rosji, że ekonomiczne możliwości i popyt na pracę rosły szybciej niż ludność, że zwiększyła się produktywność niemieckich robotników oraz procent ludności korzystnie zatrudnionej, że idzie w górę statystyka produkcji, transportu, konsumpcją akumulacji kapitału, inwestycji, bankowych depozytów oszczędnościowych i wszystkich innych czynników życia ekonomicznego. Książka Helffericha roiła się od takich zwrotów, jak „olbrzymi rozwój”, „wielki postęp”, „kolosalna ekspansja”, „gigantyczny wzrost”.

Tego lata pewien Anglik podróżujący po Alzacji-Lotaryngii zapytał w Metz kelnera, jakiej jest narodowości. „*Muss-Preussen*” (przymusowo pruskiej), odpowiedział ten człowiek; towarzysz podróży Anglika słyszał potem przez całą pozostałą drogę, jak mruczy on co chwila: „*Muss-Preussen* — niedługo wszyscy zostaniemy *Muss-Preussen*”.

Strach przed pradawnym grzechem pychy, tym samym, który skłonił Kiplinga do napisania *Hymnu skruchy* w roku brytyjskiego jubileuszy ogarnął teraz jednego z nielicznych myślących Niemców. Walther Rathenau, spadkobierca Allgemeine Elektrizitäts-Gesellschaft, literat o introspektywnym nastawieniu, opublikował w „Die Zukunft” długi poemat, *Świąteczna pieśń*, wyrażający protest przeciw organizowanemu

entuzjazzmowi, jaki starano się wywołać na stuletnią rocznicę. On także miał apokaliptyczną wizję i jako motto do swego poematu zacytował Ezechiela: „Ty zaś, synu człowieczy, powiedz: Tak mówi Jahwe, Pan ziemi izraelskiej: Koniec, koniec nadchodzi dla czterech krańców ziemi. Teraz przychodzi kres na ciebie”. Rathenau zakończył w tym miejscu cytat, lecz czytelnicy, którzy odszukaliby tekst Ezechiela, znaleźliby wyrok na Tyr: „Dzięki swojej przezorności i sprytowi zdobyłeś sobie majątek, a nagromadziłeś złota i srebra w swoich skarbcach... I serce twoje stało się wyniosłe z powodu twego majątku... powiedziałaś: Ja jestem Bogiem... dlatego sprowadzam na ciebie cudzoziemców — najsroższy spośród narodów. Oni dobędą mieczy przeciwko urokowi twojej mądrości i zbezczeszczą twój blask, i zepchną cię do dołu, i umrzesz śmiercią nagłą w sercu mórz”.

Nie słuchano głosów takich, jak Rathenaua, który nie miał dość odwagi, aby podpisać się swoim znanym nazwiskiem, lecz posłużył się pseudonimem. Niemcy wykazywali takie uczucia szowinistyczne, że gdy Max Reinhardt dla uczczenia stuletniej rocznicy wystawił *Festspiel* Hauptmanna, został zaatakowany przez nacjonalistów i na życzenie następcy tronu musiał zdjąć przedstawienie, ponieważ podkreślało ono bardziej wyzwolenie niż miecz, który tego dokonał. Nastroje te doszły do szczytu w małym alzackim miasteczku Zabem, gdzie wzajemna niechęć niemieckiego garnizonu i mieszkańców sprowokowała niemieckich oficerów do zaatakowania i zaarrestowania cywilów. Incydent ten stał się *cause celebre* i zwiększył wrogość zagranicy do Niemców. Kiedy pułkownik Reuter, komendant Zabern, postawiony przed sądem wojskowym, został uniewinniony, to, że armia jest ponad prawem, stało się w Niemczech poważną kwestią polityczną. Jeśli oficerowie armii mają być ponad prawem, powiedział w Reichstagu członek partii centrum, „wówczas *finis Germaniae*”. Większość zgotowała mu oklaski, lecz pułkownik Reuter otrzymał Order Czerwonego Orła Trzeciej Klasy i telegram gratulacyjny od następcy tronu ze słowami: „Tak trzymać!”.

Zaplanowana na maj 1914 roku premiera wspólnego dzieła Richarda Straussa i Rosyjskich Baletów pod batutą kompozytora oczekiwana była jako wielkie wydarzenie. Lawrence Gilman, który w styczniu próbował podsumować dotychczasową karierę Straussa, stwierdził u niego tę samą zdumiewającą dwoistość, która tak często niepokoiła historyków niemieckich. Jego najlepsze dzieła, pisał Gilman, jak początek *Zaratustry*,

finał *Don Kichota*, miłosny wątek w Życiu bohatera, wzajemne rozpoznanie się Orestesa i Elektry, były muzyką „wspaniałej, kosmicznej wzniosłości”, a *Elektra*, jego arcydzieło, zostanie kiedyś uznana za „jedno z najdoskonalszych dzieł muzycznych”. Mimo to wykazywał niekiedy „niewiarygodny wprost stopień złego gustu, był tak krzykliwie pospolity, że chciałoby się zgrzytać zębami”, i drażnił swym „zdumiewającym, pełnym samozadowolenia zwyczajem” pisania muzyki bez zasadniczej myśli czy koherencji, bez sensu i logiki. Zawsze aktywny, wciąż czegoś poszukiwał i znajdował niekiedy skarby, a kiedy indziej śmieci. Gilman, który nie słyszał jeszcze Święta wiosny, dochodził do wniosku, że Strauss jest „niezrównany w muzyce jako inspirator... najbardziej dynamiczny, najbardziej brawurowy, najbardziej nedorzeczny ze wszystkich kompozytorów... najbardziej imponujący twórca muzyczny od czasu Wagnera”.

Strauss przyjechał do Paryża na próby w kwietniu. Niżyński, dla którego napisana została rola, nie miał jej grać, Diagilew bowiem wyrzucił go z zespołu w ataku zazdrości z powodu jego małżeństwa. Zastąpił go nowy, młody, siedemnastoletni tancerz z Carskiego Baletu, Leonid Masin, szczupły, z dużymi brązowymi oczyma. Królową była Ida Rubinstein, a hiszpański malarz José Maria Sert uzupełnił projekty Baksta. Dekoracja przedstawiała salę w stylu pseudoklasycznym z fontannami, złotymi kolumnami, marmurowymi posadzkami; stały tam kryształowe wazy pełne owoców. Żonę Putyfara w szkarłatnych brokatach otaczali niewolnicy, odziani w różowe i złote szaty, oraz straż przyboczna, złożona z olbrzymich Mulatów w czarnych piórach ze złotymi batami w rękach. Świat zwierzęcy reprezentowała para rosyjskich chartów. Różni egzotyczni tancerze na próżno starają się rozproszyć „niemal namiętne znużenie życiem” królowej, aż wreszcie na scenę wniesiony zostaje śpiący pastuszek Józef, owinięty w żółty jedwab; po przebudzeniu tańczy on taniec, w którym przedstawia swoje poszukiwania boskości, wywołując u królowej natychmiast w miejsce namiętne znużenia namiętne pożądanie. Mimo jej wysiłków Józef nie daje się uwieść. Królowa go oskarża, straż przygotowuje dla niego tortury i śmierć, lecz Archanioł wybawia Józefa, unosząc go przy dźwiękach niebiańskiej muzyki, podczas gdy żona Putyfara dusi się swoim sznurem pereł.

Choć powszechnie wyśmiewano libretto, a o muzyce mówiono, że to drugorzędny Strauss, przedstawienie było tak wystawne i zmysłowe, że

podobało się wszystkim, a wieczór zakończył się szczęśliwie galową kolacją u Larue'ego, wydaną przez kompozytora dla przyjaciół, którzy przyjechali na premierę z Niemiec, Austrii i Włoch. Na koniec uczyty kelner podał wczesne truskawki i znakomite wino, po czym wręczył każdemu z gości rachunek za przypadającą na niego część.

Z końcem maja zespół udał się do Londynu na dwumiesięczny sezon „niezwykłego tryumfu”. Stwierdzono, że Szalapin jest „doskonały” jako Iwan Groźny; ostatnią operę Rimskiego, *Złoty kogucik*, i nową operę Strawińskiego, *Słowik*, przyjęto oklaskami, a ultranowoczesny *Józef*, zaplanowany na 23 czerwca, znów pod batutą kompozytora, oczekiwany był z niecierpliwością. Na próbach z Karsawiną, która zastąpiła Idę Rubinstein, Strauss pokazywał, jak powinna odtńczyć swój taniec uwodzenia. Zaczął z najdalszego końca jej garderoby i śpiewając „biegł, tupiąc ciężko, przez pokój do sofy mającej przedstawiać łożę Józefa”.

W wieczór przedstawienia teatr Drury Lane zapełniła do ostatniego miejsca znakomita, okryta klejnotami publiczność, „nastrojona na koncertowy diapazon w oczekiwaniu niezwykłego wydarzenia”. Pewien młody człowiek w tym tłumie, potrącany gołymi ramionami wśród wesołego śmiechu, miał wrażenie, że wszyscy tu znają, jak na „ogromnym, lecz ekskluzywnym przyjęciu”. Obecność premiera z panią Asquith, rosyjskiego zespołu i znanego kompozytora nadawała wieczorowi charakter „uroczystości o prawie że międzynarodowym znaczeniu”. Gdy w sali rozległy się oklaski, młody człowiek wychylając się ze swego miejsca na balkonie mógł zobaczyć, jak wysoki, „znużony życiem” niemiecki kompozytor staje na swym miejscu przed orkiestrą, „rumiany i niewzruszony”.

Choć muzyka nie zdobyła nowych laurów, Strauss osobiście był zadowolony z wizyty. Dyrygował orkiestrą Queen's Hall w programie złożonym z utworów własnych i Mozarta, a koncert ten został uznany za najwspanialszy w sezonie. 24 czerwca, ubrany w „najpiękniejszą togę doktorską”, togę doktora muzyki z purpurowego jedwabiu i kremowego brokatu, otrzymał w Oxfordzie doktorat honorowy.

W miesiąc później, 25 lipca, Balety Rosyjskie zamknęły swój sezon połączonym przedstawieniem *Józefa* Straussa i *Pietruszki* Strawińskiego. Tego samego wieczoru o tej samej godzinie w Belgradzie austriacki

ambasador odrzucił odpowiedź Serbii na ultimatum Austrii, oznajmił o zerwaniu stosunków i odjechał do kraju.

VII. PRZEJĘCIE WŁADZY

Anglia 1902-11

Lord Salisbury zmarł w roku 1903, toteż nie mógł już zobaczyć, jak funkcjonuje demokracja w pierwszych wyborach powszechnych w nowym stuleciu, gdyby jednak tego doczekał, nie byłby wcale zdziwiony. Nabierała znaczenia nowa warstwa społeczna — jeszcze nie po to, aby zająć miejsce patrycjuszy, lecz aby swoim naciskiem i poprzez swoich przedstawicieli odsunąć ich na bok. Nadchodził wiek ludu.

Objawił się w okrzyku „Warkocz”, tyleż złośliwym, co bezsensownym, który rozbrzmiewał w okręgach wyborczych podczas wyborów powszechnych 1906 roku. „Chińska niewola” nadawała się doskonale do wykorzystania w agitacji i liberałowie posługiwali się nią celowo, tak jak torysi w 1900 roku wykorzystywali patriotyczne slogany podczas „wyborów khaki”. Niewolnikami byli w tym przypadku zakontraktowani robotnicy chińscy, sprowadzeni za zgodą unionistycznego rządu, aby wydobywać złoto w Afryce południowej. Ze słupów ogłoszeniowych krzyczały wizerunki Chińczyków w łańcuchach, Chińczyków kopanych, Chińczyków chłostanych. Wynajęci ludzie paradowali po ulicach przebrani za chińskich niewolników. Karykatury przedstawiały duchy brytyjskich żołnierzy zabitych w wojnie burskiej, którzy wskazywali na ogrodzone obozy Chińczyków i pytali: „Czy po to zginęliśmy?”

Publiczności robotniczej mówiono, że jeśli torysi wygrają, sprowadzą do Anglii chińskich robotników; pod obrazkami przedstawiającymi kulisa z warkoczem w słomianym kapeluszu znajdował się napis: „Torysowski robotnik brytyjski”. Według Grahama Wallasa, sympatyka liberałów, obrazki te, wyświetlane na ekranie w czasie politycznych zebrań, wywoływały „natychmiastowy ryk oburzenia, skierowany przeciw Balfourowi”. Ludzie nie potrafiliby powiedzieć, czy ryczą z oburzenia wywołanego względami humanitarnymi, czy ze strachu przed konkurencją taniej siły roboczej. Wallas sądził, że pod tymi uczuciami dawał się wyczuć strach przed obcym, czego symbolem był obcy warkocz. Ohydne żółte twarze wzbudzały „natychmiast

nienawiść do rasy mongoidalnej, a nienawiść tę przenoszono na Partię Konserwatywną”. W ryku zgromadzonych doszukiwał się elementu irracjonalnego dochodzącego do głosu w sprawach publicznych.

Nowi ludzie zwracali się do nowych wyborców; sam fakt istnienia nowych wyborców spowodował pojawienie się tych nowych ludzi, podobnie jak sensacyjnej, tzw. „żółtej” prasy. Naród stał się bardziej wykształcony i tym samym bardziej podatny na wpływy. „Daily Mail” za pół pensa miał ponad półmilionowy nakład, ponad dziesięć razy więcej niż „Times”. Samochody umożliwiały kandydatom dotarcie do szerszej publiczności, stale rosnącej dzięki rozwojowi miast. Siła elementu irracjonalnego nie zawsze działała fałszywie, mogła działać także słusznie, opierając się na fałszywych przesłankach. Jej wpływ nie ograniczał się tylko do tych, których Matthew Arnold nazywał pospółstwem, lecz wywoływał większe skutki, sięgając do szerszego kręgu ludzi.

Kiedy w 1902 roku Arthur Balfour zastąpił bez wstrząsów lorda Salisbury na stanowisku premiera po zakończeniu wojny burskiej, fale przemian lizwały mu już stopy. Interesy szły dobrze, lecz konkurencja zagraniczna naruszała już prymat Wielkiej Brytanii w handlu zagranicznym, wchodziła na rynki Brytyjczyków, stawała na czele nowych gałęzi przemysłu. W kraju życie wyższych sfer nadal upływało wśród przyjemności, lecz bezrobocie, głód i niedostatek, niesprawiedliwość i nierówność, określane wspólnym mianem problemu społecznego, naciskały na warownie przywileju falą niezadowolenia, nie dającą się już zignorować ani powstrzymać. Nowa epoka wymagała od rządu większej działalności, więcej wyobraźni, więcej konkretnych celów, niż to miało miejsce dotychczas. Liberałowie, oczekujący teraz na swoją szansę po dziesięciu latach odsunięcia od władzy, uważali, że mogą zaspokoić te potrzeby.

Nie stanowili oni obecnie zwartej grupy, jak zresztą i przedtem. Ich główna filozofia, jak w ogóle filozofia liberalizmu, sprzyjała zmianom i reformom, lecz rozszczepiała się na tysiące różnych idei i miała różne podłoże społeczne. Skład osobowy Partii Liberalnej był bardzo zróżnicowany, należeli do niej zarówno wigowie arystokracji, jak lord Rosebery, szlachta wiejska, jak sir Edward Grey, bogaci ludzie interesu, jak Campbell-Bannerman, intelektualiści, nie posiadający majątków ziemskich, jak Asquith i Morley, i jedyny obcy parweniusz z celtyckich peryferii, Lloyd George. Niektórzy zaliczali się do przeciwników imperializmu, tzw. „Małych

Anglików”, i uważali imperium, jak to wyraził John Bright, „za gigantyczny system zapewniania arystokracji komfortu za granicą”; inni byli tak zapalonymi imperialistami jak torysi. Niektórzy należeli do Kościoła anglikańskiego, inni do nonkonformistów, jedni byli zwolennikami autonomii Irlandii, drudzy zdecydowanie się jej przeciwstawiali, jedni byli zapalonymi radykałami, walczącymi o redystrybucję majątków i władzy politycznej, drudzy magnatami przemysłowymi, pochłoniętymi robieniem majątku. Ci, którzy należeli do liberałów raczej z przekonania niż ze względu na tradycje rodzinne i oportunistyczny polityczny, czuli, że między nimi a torysami istnieje „przepaść większa niż kiedykolwiek w przeszłości”, przepaść, według określenia Herberta Samuela, między „kwietystą a reformatorem”. Samuel, pełen reformatorskiego zapału, uważał, że zasady liberalizmu „nie są niczym innym, jak tylko stosowaniem religijnego ducha w sprawach publicznych”. Niektórzy liberałowie byli szczerzy, niektórzy byli oportunistami albo demagogami, a inni wreszcie, jak Lloyd George, reprezentowali każdy z tych trzech rodzajów po trosze. Nie znajdowali się u steru, byli żądni władzy, gotowi sprostać wymogom nowej epoki.

W szeregach ich przeciwników, nękanym mnóstwem wewnętrznych sporów, wznowionych ze szczególną gwałtownością od czasu wojny burskiej, panował rozłam.

Cała zazdrość i nienawiść nonkonformizmu do establishmentu wybuchła burzą ogarniającą wszystkie zakątki kraju w związku z ustawą o szkolnictwie z 1902 roku. Ustawa, przedstawiona i w dużym stopniu przygotowana przez Balfoura, zobowiązywała państwo dodatkowo do udostępnienia wszystkim wykształcenia średniego, oprócz podstawowego, i do utrzymania wszystkich szkół na jednakowym poziomie. Podobnie jak ustawa o przymusie szkolnym z 1870 roku, wynikała z przesłanek ekonomicznych, ze świadomości, że jeśli kraj nie podniesie poziomu wykształcenia, będzie nadal pozostawał w tyle w walce konkurencyjnej o rynki. Sama ustawa była może najbardziej postępową w całej dekadzie, lecz metody jej wprowadzenia okazały się niesprawiedliwe. Faworyzując, a faktycznie udzielając finansowego poparcia szkołom religii panującej — to jest Kościoła anglikańskiego — przy równoczesnym zniesieniu szkół komunalnych pod nadzorem lokalnym, doprowadziła do wściekłości nonkonformistów, będących tradycyjnie liberałami. Sprawa ta spowodowała połączenie skrzydła imperialistycznego i radykalnego Partii Liberalnej, podzielonej swego czasu w kwestii wojny

burskiej i autonomii dla Irlandii. Debata w Izbie Gmin toczyła się z taką gwałtownością jak wojna między odłamami Kościoła (High Church i Low Church), duchowni metodyści pisali pełne oburzenia listy do gazet, ustawę nazwano „największą zdradą od czasów Ukrzyżowania”, w miasteczkach gromadzono się na zebraniach protestacyjnych i tworzyły się ligi występujące przeciw płaceniu podatków szkolnych z takim samym zapałem, z jakim okrągłogłowi za Cromwella odmawiali królowi Karolowi pieniędzy na okręty. Lloyd George, orędujący już za oderwaniem Walii, dodawał ligom odwagi z teatralną swadą. Ludzie rzucali się znów do walki religijnej, jakby poszukiwali podniety, jakby wojna burska wzbudziła na nią apetyt, choć fizycznie podniety tej doświadczyło mniej niż dwa procent ludności.

Żądanie „Prawo wyborcze dla kobiet” zapowiadało dalsze kłopoty; te, które tak wołały, nazywały same siebie uczciwie „wojującymi”. Zorganizowały się w roku 1903 pod przywództwem pani Pankhurst w opozycji do grupy sufrażystek kierowanej przez panią Fawcett, wierzącej w możliwość uzyskania praw wyborczych drogą perswazji. Ich pierwsze próby walki, ograniczające się do nękania pytaniami i rozwijania sztandarów na zebraniach politycznych, wprawdzie jeszcze nie poważne, były jednak dodatkowym świadectwem „nowych silnych prądów w społeczeństwie”, jak pisała lady Frances Balfour.

W tym samym czasie właściciele kopalń Randu domagali się zezwolenia na sprowadzenie chińskiej siły roboczej, gdyż robotników afrykańskich, znajdujących po wojnie dość pracy na zaspokojenie swoich niewielkich potrzeb, nie dało się ściągnąć do kopalni. Przymusowa praca kontraktowa nasuwała przykre skojarzenia, przed którymi rząd się wzdragał, lecz właściciele kopalń nalegali, wyjaśniając, że w przeciwnym razie, o ile nie będą mogli ich ponownie uruchomić, inwestycje pozostaną zamrożone, akcje Randu spadną, a — jak to uczciwie stwierdzał „Economist” — od tego zależała wartość funta. „Jeśli ludzie w Anglii, i gdzie indziej, posiadający akcje kopalni w Transwalu wartości 200 000 000 funtów, chcą odzyskać swoje pieniądze z procentem, muszą podejść do sprawy siły roboczej w odpowiednim duchu”.

Rząd zgodził się niechętnie. Sprowadzono Chińczyków i umieszczono ich w obozach; liberałowie, którzy sami wprowadzili przymusową pracę kontraktową w Gujanie, teraz głośno się oburzali. Obozy chińskie nie były gorsze niż ponure, piekielne slumsy angielskie, gdzie jeden kurek

wodociągowy i jeden ustęp służyły często dwudziestu pięciu rodzinom, gdzie wynajmowano łóżko trzem osobom, a miejsce pod łóżkiem dwom. Lecz instynkt humanitarny wzrasta gwałtownie proporcjonalnie do odległości, która zaciera przyczyny sytuacji; łatwiej jest stworzyć Ziemię Obiecaną w Afryce niż we własnym kraju. Ponadto sprawa chińskiej siły roboczej pachniała pieniędzmi, a zapach ten od początku unosił się wokół wojny burskiej. Dewaluował treść moralną, którą imperialiści chętnie wiązali ze sprawą imperium.

Na domiar złego Joseph Chamberlain spowodował już poważne kłopoty reformą celną. Rozpoczynając kampanię za protekcjonizmem, zwrócił przeciw swojej partii Brytyjczyków, wyznających zasadę leseferyzmu jako podstawową, obudził w narodzie dawne wspomnienia o znienawidzonej ustawie zbożowej i strach przed podwyżką cen artykułów żywnościowych; dał tym samym liberałom do obrony jeszcze jedną sprawę, wyrażającą się hasłem „Żywność bez ograniczeń”, i wywołał w swojej partii rozłam między starymi a nowymi konserwatystami, między ziemią a kapitałem. Fabrykanci i przedsiębiorcy, przedstawiciele tego, co H. G. Wells nazwał „skomercjalizowanym imperializmem, z całym jego naporem i energią”, sprzyjali protekcjonizmowi. W rozumieniu samego Chamberlaina, imperialiści i przedsiębiorcy, protekcjonizm stanowił środek do połączenia kraju macierzystego i wszystkich podległych mu obszarów w jednym wielkim imperialnym systemie celnym, który pobudzi handel w imperium i zwiększy dochody umożliwiając ustawodawstwo socjalne oraz, co również było ważne, uczyni go bohaterem w tej sprawie. Chamberlain był w brytyjskim gabinecie tym, czym Niemcy były wśród narodów: dynamiczny, ambitny, świadomy swej siły i zdolności, nadający się, według własnej opinii, na najwyższe stanowisko i urażony, że zajmuje je kto inny. Reforma taryfy celnej miała mu zapewnić stanowisko, którego nie dostał. Sprawa ta doprowadziła do rozbicia gabinetu. Sam Chamberlain zrezygnował, aby móc prowadzić kampanię na wsi. Zrezygnowało również pięciu zwolenników wolnego handlu, łącznie z diukiem Devonshire i ministrem finansów. Nowy poseł, Winston Churchill, przeszedł do liberałów, powiewając sztandarem wolnego handlu, wśród okrzyków torysów: „Zdrajca!” Gorące dyskusje nad cłami preferencyjnymi, subwencjami, dumpingiem i innymi tajnikami skarbowymi ciągnęły się bez końca. Ludzie stawali po jednej lub drugiej stronie, niewiele z tego rozumiejąc. Powstawały ligi Żywności bez Ograniczeń obok lig Przeciw Podatkom na Szkolnictwo, naród brytyjski

stawał się w szybkim tempie tak samo kłótlivy jak francuski.

Balfour, wciąż uprzejmy, niezbyt aktywny, nie wyznający żadnych dogmatów politycznych, nie chciał jako premier zająć zdecydowanego stanowiska po części dlatego, że nie widział przekonujących argumentów po żadnej stronie, a po części dlatego że jego zdaniem strategia sterowania między krańcowościami była najlepszym sposobem utrzymania partii w jedności, a rządu przy władzy. Nie uważał, że trzeba trzymać się ściśle doktryny wolnego handlu, dostrzegał też, że przemysł brytyjski może wyciągnąć korzyści z pewnej postaci ceł selektywnych, nie miał jednak ochoty na przyjęcie programu Chamberlaina w całości. Mocno wierzył jedynie w to, że dalsze kierowanie sprawami Anglii przez konserwatystów jest ważniejsze niż wolny handel czy protekcjonizm, i zdecydowany był je utrzymać. W atmosferze koleżeńskich kłótni, rezygnacji ministrów, opuszczania partii, wymykał się spod wszelkich nacisków i chłodno zapewniał Izbę, że źle spełniałby swój obowiązek, gdyby „miał udawać zdecydowane przekonanie tam, gdzie zdecydowane przekonanie nie istnieje”. Nasycił swoje wystąpienia takimi filozoficznymi wątpliwościami, a swoje wątpliwości takim autorytetem, że prawie zahipnotyzował obydwie strony. Wezwany przez własną partię, by wyjaśnił swój stosunek do zwolenników wolnego handlu i do zwolenników protekcjonizmu, „uraczył Izbę świetnym popisem drwiącego i pogardliwego oratorstwa”. Wykorzystując całą swą parlamentarną zręczność, przez dwa lata na każdym posiedzeniu Izby wyprowadzał rząd z opresji, jakby sprawiały mu przyjemność trudności tego zadania. Te wybiegi nie zadowalały jednak jego stronników. Chcieli, żeby przywódca ich partii naprawdę przewodził, a on zamiast tego „zajmował neutralne stanowisko”, jak powiedział Harry Cust.

Balfour postawił sobie jednak cel jak najbardziej poważny. Chciał zostać przy władzy możliwie jak najdłużej, aby umocnić Ententę i pracę Komisji Obrony Imperium, zwłaszcza po kryzysie tangerskim w 1905 roku. Poleciał wyposażyć artylerię w nowe szybkostrzelne, osiemnastofuntowe działa i postanowił, jak później wyjaśnił, „pozostać przy władzy, dopóki nie będziemy tak zaangażowani w ten wydatek, że żaden rząd liberalny nie będzie się mógł z tego wycofać” Chamberlain nadal prowadził swoją kampanię. Taniec na linie Balfoura stawał się coraz trudniejszy wraz ze wzrostem zniecierpliwienia w jego własnej partii i coraz silniejszym dążeniem opozycji do władzy.

Cień na wszystko rzucał problem społeczny. Różne badania i sprawozdania, jakie pojawiły się równocześnie po 1900 roku, unaoczyły wyraźnie fakt i konsekwencje krańcowej nierówności w posiadaniu dóbr materialnych. W takich dziełach, jak *Ubóstwo: studium życia w mieście (Poverty: A Study of Town Life)* B. Seebohna Rowntree, 1901, w ostatnim tomie *Życia i pracy ludu Londynu (Life and Labour of the People of London)* Charlesa Bootha, 1903, w *Bogactwach i ubóstwie (Riches and Poverty)* L. Chiozzy Moneya, 1905, w raportach Królewskiej Komisji Pracy, w opracowaniach Towarzystwa Fabiańskiego na temat nędzarzy, ludzi chorych i obłąkanych piętrzyły się dowody, że najbogatszy kraj świata wspiera się na fundamencie jednej trzeciej ludności żyjącej „w chronicznej nędzy, nie mogącej zaspokoić prymitywnych potrzeb zwierzęcego bytu”. Chiozza Money wykazał, że różnice ekonomiczne osiągały największą rozpiętość w Anglii. We Francji, przy przybliżonej liczbie ludności, było dwa razy tyle, co w Anglii, małych majątków, o wartości między 500 a 10 000 funtów, lecz w Zjednoczonym Królestwie było trzy razy tyle, co we Francji, dużych majątków o wartości ponad 50 000 funtów i cztery razy tyle o wartości ponad 250 000 funtów.

Badacze przedstawili fakty: sen, dieta, warunki sanitarne i mieszkaniowe, nawet powietrze, nie odpowiadały ludzkim potrzebom. Profesor Huxley wyliczył, że ideałem jest przestrzeń powietrzna 800 stóp sześciennych na osobę. Nawet przytulki zapewniały 300. W slumsach ludzie mieszkali we trójkę w pokojach sypialnych o kubaturze 700 stóp sześciennych albo z dziećmi w osiem lub dziewięć osób o kubaturze 1200 stóp sześciennych. Razem z nimi żyło robactwo, kawałek papieru na podłodze służył za toaletę, ryba w niedzielę dostarczała tygodniową rację protein dla ośmioosobowej rodziny, po dwie i pół uncji na porcję. Dzieci były karłowate i blade, miały próchnicę zębów i jeśli chodziły do szkoły, siedziały tępo w ławkach lub zasypiały. Ignorancja i apatia, podobnie jak złe zdrowie, były owocem ubóstwa, a slumsy — siedliskiem nędzy. W małych miasteczkach panowało często nie mniejsze zatłoczenie. W pewnym domku w Oxfordshire ośmioosobowa rodzina spała w dwóch łóżkach pod dwoma cienkimi kocami, w chacie w Yorkshire mąż, żona i pięć córek dzielili dwa łóżka i podłogę na poddaszu, w Somerset matka z trojgiem dzieci spała w jednym pokoju, a pięcioro dzieci obojga płci w wieku do dziewiętnastu lat w drugim.

Warunki pracy niewykwalifikowanych i niezorganizowanych robotników

były takie same jak warunki życia w slumsach. W Zakładach Chemicznych Shawfielda w Glasgow w 1897, tj. w roku Brylantowego Jubileuszu, robotnicy otrzymywali 3 lub 4 pensy za godzinę przy siedmiu dwunastogodzinnych dniach roboczych na tydzień, wśród trujących wyziewów, bez południowej przerwy. Jedli lunch stojąc przy paleniskach, a jeśli nie przyszli w niedzielę, pobierano od nich jako grzywnę zarobki za następny dzień. Właściciel zakładów, lord Overtoun, filantrop, który dawał na cele dobroczynne 10 000 funtów rocznie, należał do kierownictwa Towarzystwa Świątowania Niedzieli i Towarzystwa Niedzielnego Wypoczynku. W innych gałęziach przemysłu robotnicy mogli zostać aresztowani za wzięcie wolnego dnia bez pozwolenia. Jeśli o to prosili, mogli otrzymać odmowę; jeśli mimo to nie przyszli do pracy, mogli zostać zawleczeni na dzień do więzienia, co zresztą często miało miejsce. W lepszej sytuacji znajdowali się robotnicy wykwalifikowani, zorganizowani w angielskich związkach zawodowych, pierwszych w Europie. Stanowili oni jedną piątą wszystkich dorosłych robotników mężczyzn, tj. proporcjonalnie więcej niż w jakimkolwiek innym kraju, mieli własny system ubezpieczeń i emerytur, opierający się na dużych funduszach, i płacili niższe ceny w swoich spółdzielniach. Byli jednak mimo to w defensywie wobec kapitału i czające się stale za nimi ciemne widmo bezrobocia pozbawiało ich odporności.

Po roku 1900 gospodarka angielska podniosła się z depresji lat dziewięćdziesiątych, ożywiła się, rozwijała i rozszerzała. Nie brakowało zajęcia dla spedytorów i stoczniovców, bankierów i właścicieli fabryk, kopalnie węgla eksploatowano do granic możliwości i choć w przemyśle chemicznym, elektrycznym oraz w innych nowych gałęziach Brytyjczycy nie wykazywali takiej przedsiębiorczości jak niektórzy zagraniczni konkurenci, większość dziedzin gospodarki mimo wzlotów i upadków dobrze się rozwijała. A jednak rozziw w podziale dochodów nie zmniejszał się, lecz powiększał. Podczas gdy bogacze mieli mnóstwo wolnego czasu i żyli w największym zbytku, spadała siła nabywcza płac i ludność się degenerowała. Dla rekrutów brytyjskiej armii zmniejszono minimalny wzrost z pięciu stóp i trzech cali w roku 1883 do pięciu stóp w 1900.

Coś szwankowało w systemie. Wielkie techniczne i materialne osiągnięcia ostatnich czasów zmieniły układ społeczny. W Stanach Zjednoczonych proces ten postępował szybciej, co skłoniło Thorsteina

Veblena do przeprowadzenia wywiadów w przedsiębiorstwach, a *muckrakers* do badań slumsów, stoczni i akt koncernu Standard Oil. W Anglii reformatorzy, pisarze, wojujący dziennikarze, fabianie; socjaliści, radykalni liberałowie z niecierpliwością poszukiwali lekarstwa. H. G. Wells ostrzegał głośno i dobitnie, że postęp materialny bez planowania doprowadzi w przyszłości do sytuacji, jaką odmalował w roku 1899 w książce *Gdy budzi się śpiący (When the Sleeper Wakes)*, kiedy to budynki będą wyższe, miasta większe, kapitał nierzemniejsi, robotnicy bardziej uciskani i zdesperowani, do przyszłości, w której „wszystko będzie większe, szybsze, bardziej zatłoczone” — krótko mówiąc, będzie to „wyolbrzymienie obecnych tendencji”. Krakał nieustannie jak wrona nad nieszczęściami cywilizacji, domagał się w *Przewidywaniach (Anticipations)*, 1900, i we *Współczesnej utopii (A Modern Utopia)*, 1905, nowej republiki opartej na planowaniu społecznym, wyjaśniając z zapałem, jakie możliwości poprawy dała w ręce człowieka nauka.

To, co dotychczas zadowalało liberałów — pokój, redukcje wydatków, reformy — teraz przestało już wystarczać. Skończył się optymistyczny dziewiętnastowieczny liberalizm. „Pełen oburzenia pesymizm” natchnął Charlesa Mastermana do napisania w 1902 roku *Z otchłani (From the Abyss)*, a w 1905 *Pod groźbą zmian (In Peril of Change)*. Masterman, młody dziennikarz, liberał, redaktor literacki „Daily News”, gorliwy anglikanin, ożeniony z panną Lyttelton, której wuj był członkiem gabinetu Balfoura, należał do nowego typu liberałów, zdumionych i zaniepokojonych trendami nie odpowiadającymi zapowiedziom dziewiętnastego wieku. Podobny sposób myślenia cechował osamotnionego ekonomistę J. A. Hobsona, autora *Problemu społecznego (The Social Problem)*, 1901. Dostrzegł on, że na wspaniałe nadzieje liberalizmu padł cień doktryny o doborze naturalnym, a siły postępu wchłonął rozwój materialny. Skoro ekonomii politycznej nie udało się rozwiązać problemu społecznego, uważał, że potrzebna jest nowa nauka „celem dostarczenia zadowalającej podstawy dla sztuki postępu społecznego”. Za sedno sprawy uznał Hobson bezrobocie. Uważał je za marnotrawstwo ludzkich zasobów; wliczał w to również marnotrawstwo polegające na beczynności bogaczy, z których 250 000 mężczyzn w wieku od dwudziestu do sześćdziesięciu pięciu lat według spisu z 1891 roku nie miało zajęcia ani zawodu. Niedostateczną konsumpcję, skutek bezrobocia, uważał za główne źródło kłopotów; imperializm nie był, jego zdaniem, dźwiganym ze szlachetnością brzemieniem białego człowieka,

lecz dążeniem do znalezienia kompensacyjnych rynków w braku krajowych. Poglądy Hobsona wyrażone w *Psychologii dżyngoizmu (The Psychology of Jingoism)*, 1901, i w *Imperializmie (Imperialism)*, 1902, wywierały pewien wpływ, lecz zrażały zarówno imperialistów, jak i fabian, którzy wierzyli w imperializm. Żaden z większych uniwersytetów nie zaproponował mu nigdy katedry, aby mógł wprowadzić tę nową naukę społeczną, co uważał za swój cel. Nie umożliwiła mu tego również Londyńska Szkoła Ekonomiczna, założona przez fabian w 1894.

Towarzystwo Fabiańskie chciało socjalizmu — socjalizmu bez Marksa czy rewolucji, czegoś takiego jak Makbet bez morderstw — socjalizmu intelektualnego, szacownego, stopniowego, faktycznego, praktycznego angielskiego socjalizmu „gazu i wody”, zasilanego rozumem, ciężką pracą, ogromną drobiazgowością Webbów i niezrównanym rozsądkiem Shawa. Towarzystwo to, założone w latach osiemdziesiątych, które przedstawiło swoje plany i tezy w *Traktatach Fabiańskich*, było intelektualnym lobby, dążącym do doprowadzenia istniejących instytucji ku finalnym celom socjalizmu. Według zastosowanego przez Beatrice Webb podziału ludzi na A (arystokraci, artyści i anarchiści) i B (dobroczynicy — *benevolents*, burżuje i biurokraci) fabianie należeli do grupy B. Nie szukali oparcia w klasie pracującej, lecz woleli działać, jak powiedział William Morris, przez „stopniowe wpajanie ludziom kulturalnym swoich dążeń” i stopniowe nakłanianie rządu do swoich celów. Osiągali znakomite rezultaty wśród podobnych do siebie ludzi, lecz pozostali scholastyczną grupą siedmuset lub ośmuset osób, oderwaną od ludu, na rzecz którego się trudzili. W Anglii ludzie z warstw wykształconych nie mogli docierać i nie docierali do związków zawodowych. Fabianie nie uznawali marksistowskiego dogmatu o konieczności walki klasowej, lecz uważali, że robotnicy i pracodawcy muszą osiągać swoje cele w systemie kapitalistycznym, bo uzyskiwana przez pracodawców nadwyżka kapitału zapewnia im zatrudnienie. W swych prelekcjach „obalających” Marksa Shaw, wysoki, szczupły, rudowłosy, przemawiał zdecydowanie, wyzywająco i odważnie, hipnotyzował słuchaczy swymi dosadnymi, ostrymi zdaniem, wygłaszanymi niesłabnącym głosem przez półtorej godziny. W sztuce *Major Barbara*, której premiera odbyła się w grudniu 1905 roku z Balfourem na widowni, Shaw mówił przez usta magnata zbrojeniowego Underschafta o „zbrodni i nędzy”: „To, co wy nazywacie zbrodnią, jest niczym; jakiś mord, jakaś kradzież... Czyż to ma jakieś znaczenie? To są nieszczęśliwe wypadki i choroby życia. Nie wiem,

czy w całym Londynie znajdzie się pięćdziesięciu prawdziwych, zawodowych zbrodniarzy. Natomiast są miliony nędzarzy, spodzonych, brudnych, głodnych i obdartych. Oni zatruwają nas moralnie i fizycznie; oni zabijają szczęście społeczeństwa; oni zmuszają nas do wyrzekania się naszych własnych swobód i do posługiwania się nieludzkim okrucieństwem z obawy, aby nie powstał przeciw nam i nie pociągnęli nas za sobą w otchłań, w której żyją. Tylko głupcy boją się zbrodni, natomiast wszyscy boimy się nędzy”.

Webbowie prowadzili walkę z przestępczością za pomocą obszernych opracowań i typowymi angielskimi metodami wykorzystywania do tego celu stosunków towarzyskich i perswazji. Dążąc zdecydowanie do naprawy społeczeństwa, byli w zasadzie autorytarni, zniecierpliwieni procesem demokratyzacji. Sprzyjali protekcjonizmowi, Josephowi Chamberlainowi (za którego Beatrice miała kiedyś zamiar wyjść za mąż) i wszystkiemu, co umacniało państwo, co przynosiło fundusze na poszerzenie sieci kanalizacyjnej, kuchnie dla biedaków i na ubezpieczenie od bezrobocia. Nie uznawali liberałów, którzy nie rozumieli ani imperialistycznych, ani socjalistycznych wymogów nowej epoki, nie wierzyli też zbyt w Partię Pracy, partię ludzi niewykształconych, która nie potrafi przeprowadzić swojej woli. Potrzebna była, ich zdaniem, silna partia, nie posługująca się zbędną frazeologią, lecz wykazująca praktyczne zrozumienie potrzeb narodowych, która wzięłaby przyszłość w swoje ręce jak guwernantka, ubrała ją w czystą odzież, umyła twarz, wytarła nos, kazała prosto siedzieć przy stole i jeść odpowiednie potrawy. Mogła to być tylko Partia Konserwatywna, udoskonalona przez Chamberlaina, korzystająca z rad państwa Webb, używająca Anglii niezłomnego błogosławieństwa w postaci towarzyskiego socjalizmu.

Prawowierny socjalizm reprezentowała Socialist Democratic Federation (Federacja Socjaldemokratyczna) pod przywództwem H. M. Hyndmana, zamożnego wychowanka Eton i Trinity College w Cambridge, gdzie studiował w tym samym roku co księżę Walii. Równie oddana marksizmowi, co oderwana od klasy pracującej, SDF głosiła wszystkie najsłabsze doktryny rewolucyjne socjalizmu kontynentalnego, lecz z powodu braku zwolenników pozostawała głosem bez ciała. „Nie mógłbym wytrwać — mówił Hyndman — gdybym nie oczekiwał rewolucji w najbliższy poniedziałek o dziesiątej rano”. Przypuszczalnie rewolucja miała spaść z

nieba, bo w programie Hyndmana robotnicy nie figurowali jako inicjatorzy. „Klasa niewolników nie może zostać wyzwolona przez nich samych — głosił. — Przywództwo, inicjatywa, nauczanie, organizacja muszą pochodzić od tych, którzy urodzili się w innych warunkach i od najwcześniejszych lat są wyćwiczeni w posługiwaniu się swoimi zdolnościami” Uskarżał się na specyficzną brytyjską metodę pozwalającą klasie rządzącej wchłaniać wybijających się przywódców proletariatu, którzy aż nazbyt chętnie sprzedają się panującej mniejszości (to jest liberałom) po „uzyskaniu wykształcenia od zamożnych socjalistów, poświęcających się dla ich dobra”. Ten ton wyjaśnia poniekąd, dlaczego przyjaciele Hyndmana twierdzili, że ten krykiecista został socjalistą na złość świata, ponieważ nie włączono go do jedenastki Cambridge. Hyndman oraz Robert Blatchford, wydawca „Clarion”, i inni poważni ludzie mówili wciąż i uparcie na zebraniach, w artykułach, w czasopiśmie i przemówieniach o rewolucji mającej wybuchnąć w poniedziałek rano, choć sami nie mogliby jej przeżyć i choć brytyjscy robotnicy wcale jej nie pragnęli.

W 1901 roku nastąpił decydujący moment w chwiejnej równowadze władzy politycznej. Orzeczenie w sprawie Taff Vale wydane przez Izbę Lordów, działającą jako sąd apelacyjny, uznało, że związki zawodowe są odpowiedzialne za szkody wyrządzone przez strajki, a tym samym zagroziło ich funduszom przeznaczonym na emerytury i zapomogi. Ten właśnie akt klasy rządzącej przekonał brytyjską klasę robotniczą o konieczności posiadania politycznego przedstawicielstwa. Dotychczas proletariatu angielski uważał za skuteczniejsze prowadzenie walki z pracodawcami w drodze bezpośredniej akcji związków zawodowych niż w drodze akcji politycznej w Parlamencie.

Angielski świat pracy, pod względem politycznym wierny liberałom, nie dawał się wciągnąć do partii socjalistycznej i nie uznawał walki klasowej. „Angielska klasa robotnicza — powiedział Clemenceau — jest klasą burżuazyjną”. Towarzysze z kontynentu uważali kongresy angielskich związków zawodowych za nudne i jałowe, bo członkowie ich nie interesowali się dyskusją o idei, lecz jedynie bezpośrednimi korzyściami. Francuzi, jak powiedział jeden z gości, traktują takie korzyści jako zasoby gromadzone dla przyszłej rewolucji społecznej; dla brytyjskiego robotnika są one celem samym w sobie, a „podstawowe zasady i wieczne prawdy drażnią go”. Nie interesuje się on, jak mówił Morley, nowym

systemem społecznym, „lecz uzyskaniem sprawiedliwszego traktowania w obecnym systemie”.

W 1982 roku wieczne prawdy znalazły wyraziciela o duszy proroka, w osobie organizatora szkockich górników. Był nim Keir Hardie, wówczas trzydziestosze-ścioletni, przystojny mężczyzna, niskiego wzrostu, z żarliwymi brązowymi oczyma i włosami szesany do tyłu z wypukłego czoła. Urodzony w jednoizbowej chacie na terenach węglowych Lanarkshire i chowany w tej jednej izbie z dwojgiem dorosłych i dziewięciorgiem dzieci, gdzie matka jakimś sposobem nauczyła go czytać, w wieku sześciu lat rozpoczął pracę u piekarza jako chłopiec na posyłki. Raz, w dniu tygodniowej wypłaty, kiedy ojciec był bezrobotny, matka leżała po urodzeniu jeszcze jednego dziecka i w domu nie było nic dojedzenia, ten mały jedyny żywiciel rodziny szedł dwie mile w deszczu do swego miejsca zatrudnienia, aby drugi dzień z rzędu spóźnić się o piętnaście minut. „Pan kazał ci pójść na górę”, powiedziała dziewczyna za ladą. Gdy wszedł do pokoju, gdzie pracodawca z rodziną siedzieli przy stole jadalnym pijąc dymiącą kawę i zajadając gorące rogaliki, powiedziano mu, że jest zwolniony, a jego zapłata zatrzymana jako kara za spóźnienie. Wychodzącemu z pustymi rękoma dziewczyna z litości dała rogalik.

Hardie wierzył w walkę klas aż do końca. Liberałowie w jego pojęciu nie różnili się od torysów, lecz reprezentowali po prostu drugie oblicze klasy wyzyskiwaczy. Kiedy w 1888 roku po raz pierwszy stanął do wyborów jako niezależny kandydat robotniczy ze środkowego Lanark, kandydat liberałów, sir George Trevelyan, tłumaczył mu, jak to źle, że będą się nawzajem zwalczać ku pożytkowi torysów, i proponował, że jeśli się wycofa, liberałowie zapewnią mu miejsce w Parlamencie i pokryją wydatki przy następnych wyborach powszechnych oraz będą mu wypłacać jako posłowi pensję 300 funtów rocznie. Hardie, który nigdy nie zarobił nawet zbliżonej do tego sumy, odmówił. Wprawdzie wtedy przegrał, bo otrzymał tylko 617 głosów na ogólną liczbę 7 000, lecz w cztery lata później został wybrany jako niezależny poseł z południowo-zachodniego Ham. Gdy zajął swoje miejsce w Izbie, w tweedowym ubraniu i sukiennej czapce, w przeciwieństwie do innych ze swej klasy, którzy wchodząc w świat wkładali uroczyste czarne ubranie, robiło to wrażenie, jakby w Westminsterze podniesiono czerwony sztandar. Nigdy nie dał się skusić przez kapitalistów. Raz w czasie debaty na temat bezrobotnych siedział słuchając z coraz większym wzburzeniem, gdyż

nie padło ani słowo współczucia dla głodujących — aż w końcu wybuchnął: „Wy, dobrze odżywione bestie!” Kiedy indziej, po przemówieniu posła potępiającego bezrobotnych jako leniwych włóczęgów, Hardie zauważył, że tyle samo włóczęgów można zobaczyć „każdego dnia na Rotten Row w cylindrach i kamaszach”. Przemawiając na zgromadzeniach, gdzie stał jak wyciosany z granitu posąg wyzwolonego robotnika, wyprostowany, z głową odrzuconą do tyłu, wyglądał, jakby wyrażał „równość, wolność i triumfalną pewność siebie”, jakie chciał wpoić klasie pracującej. Bez pensji i bez jakichkolwiek funduszy politycznych utrzymywał siebie, żonę i troje dzieci ze swych dziennikarskich zarobków, które nigdy nie przekroczyły 210 funtów rocznie.

W 1889 roku podyktowany rozpaczą strajk dokerów, domagających się 6 pensów za godzinę, zapoczątkował organizowanie się niewykwalifikowanych robotników w związki obejmujące cały przemysł. Akcję tę kontynuowano w latach dziewięćdziesiątych, przy czym organizatorzy kierowali się poczuciem „nabożnej konieczności”, a robotników trudno było przekonać, że arbitraż lepiej im się opłaca niż „dzikie strajki, w których szukały ujścia ich tłumione emocje”.

Strajk dokerów w sercu Londynu uświadomił kapitałowi realia walki proletariatu i wciągnął do polityki młodych ludzi, jak Herbert Samuel. Wstrząśnięty sytuacją strajkujących, okropnymi warunkami w warsztatach i w nędznych mieszkaniach w Whitechapel, gdzie agitował za kandydaturą swego brata do London County Council (Rady Hrabstwa Londynu), zdecydował, że „od tej chwili” Izba Gmin jest jego celem, a jego „dążeniem uczestnictwo w ustawodawstwie socjalnym”. W czasie strajku wybił się również John Burns, zagorzały związkowiec z Amalgamated Engineers, związku maszynistów kolejowych, nazywany „Człowiekiem z Czerwonym Sztandarem”, bo miał zwyczaj nosić go z sobą, ilekroć przemawiał na zebraniach. Choć dokerzy nie należeli do jego związku, przejął kierownictwo strajku, żeby pomóc jego przywódcom, Tomowi Mannowi i Benowi Tillettowi. Utrzymywał on doskonałe stosunki z policją, organizował wyżywienie i doprowadził do porozumienia zdobywając *dockers' tanner*, „dokerskie pół szylinga”, ku zmartwieniu Kropotkina, który uważał, że przegapiono krytyczny moment. „Jeśli Burns, mając za sobą 80 000 ludzi, nie robi rewolucji — pisał — to dlatego, że boi się, żeby mu nie obcięto głowy”. Burns jednak, choć przez pewien okres krzyczał głośno o socjalizmie, za

bardzo był Anglikiem, żeby zostać rewolucjonistą, i w przeciwieństwie do Hardie'ego nigdy nie odrzucał kompromisu z kapitalizmem. Wolał walczyć w sprawie robotniczej posługując się wszelkimi sojuszami w danej sytuacji i kiedy został wybrany do LCC, współpracował z liberałami. Jego nienawiść do Keira Hardie, pisała Beatrice Webb, „przybiera maniakalne rozmiary”.

Na Kongresie Związków Zawodowych w 1893 roku Hardie, mimo opozycji Burnsa, zdobył takie poparcie, że mógł założyć Independent Labour Party (Niezależną Partię Pracy) i został mianowany jej przewodniczącym. Partia ta stawiała sobie marksistowski cel przejęcia na własność publiczną „wszystkich środków produkcji, dystrybucji i wymiany” oraz, żeby nie było żadnych wątpliwości, „przejęcia kierownictwa nad rewolucją, do której doprowadzają nas warunki ekonomiczne”. Zabrakło naturalnie pomocy finansowej ze strony związków zawodowych. Dwa lata później, w wyborach powszechnych z roku 1895, po których władzę objął rząd lorda Salisbury, ani jeden z dwudziestu ośmiu kandydatów ILP nie został wybrany. Był to „najkosztowniejszy pogrzeb od czasu Napoleona”, komentował Burns nie bez satysfakcji, którą podzielała również pani Webb. Twierdziła ona, że „samobójstwem” ze strony klasy robotniczej było samodzielne działanie i upieranie się przy walce wyborczej trzech partii. Mimo to redaktor J. L. Garvin, konserwatysta, obawiał się, że ILP może okazać się „coraz potężniejszym i coraz bardziej niepokojącym czynnikiem w angielskiej polityce”.

W tym samym czasie zwiększyła się ilość zrzeczeń pracodawców, tworzonych w celu opierania się żądaniom robotników; zawierały one porozumienia dotyczące zatrudnienia robotników nienależących do związków. Chcąc zapewnić „rezerwę” na wypadek strajku, organizowały Rejestry Wolnych Robotników, będące po prostu listami łamistrajków pod inną nazwą. W 1897 roku udało im się pokonać stary i potężny związek Amalgamated Engineers w jego trzydziestotygodniowym strajku o ośmiogodzinny dzień pracy. Przechodząc do ofensywy w formie lokautów, zdołali, wbrew oporowi innych związków pracowniczych, przywrócić z powrotem pracę akordową i odmówić zapłaty za pracę w nadgodzinach. Rząd od czasu do czasu użyczał im pomocy wojska. Zrzeczenia, nie pozostawiając nic przypadkowi, utworzyły w 1898 roku Parlamentarną Radę Pracodawców, aby zdusić w zarodku jakiegokolwiek prawodawstwo niekorzystne dla ich interesów.

W roku 1900, zbliżając się z ociąganiem do areny politycznej, niektóre związki zawodowe, reprezentujące około jednej czwartej wszystkich zrzeszonych pracowników, połączyły się z ILP i z grupą Hyndmana, tworząc Komitet Reprezentacji Pracy celem wyboru kandydatów politycznych. Towarzystwo Fabiańskie przyłączyło się także, choć bez zapału i tylko chwilowo. Komitet wybrał na sekretarza Ramsaya MacDonalda, trzydziestoczteroletniego Szkota, który po skromnych początkach wybił się jako jeden z założycieli ILP i dał się poznać jako bystry polityk. Grupa Hyndmana, stwierdziwszy, że intelektualiści mimo wszystko nie zostaną dopuszczeni do kierowania polityką, wycofała się, fabianie, uważając, że wysiłki są „nie po naszej linii”, nigdy nie odegrali żadnej roli. Związki górników węglowych, włóknarzy i inne dawniejsze pozostały wrogie. Z wyznaczonych przez Komitet czternastu kandydatów do wyborów powszechnych w 1900 wybrani zostali tylko dwaj, Hardie i John Burns.

Wtedy właśnie spadł na robotników „ogłuszający cios” — orzeczenie Taff Vale. Na podstawie tej decyzji inni pracodawcy zaczęli skarżyć o odszkodowania i związki przegrywały sprawę po sprawie; ponieważ obciążało to ich własne fundusze, od dawna uznawane prawo do strajku i uzyskane z trudem zdobycze zbiorowych układów straciły nagle moc. Związki, zniechęcone i rozczarowane do starej zasady bezpośredniej akcji, skierowały się ku polityce, decydując się obalić orzeczenie Taff Vale jedynym dostępnym sposobem: poprzez Parlament. Liczba członków związków w Komitecie Reprezentacji Pracy zwiększyła się więcej niż dwukrotnie i Komitet wygrał trzykrotnie wybory uzupełniające w 1902 i 1903 roku, w tym raz pomiędzy trzema partiami w Durham. W Parlamencie, nazywanym „najlepszym klubem Londynu”, zajęli miejsca Will Crooks, były bednarz i radny miejski, urodzony w przytułku, Arthur Henderson ze związku hutników i David Shackleton, tkacz.

W społeczeństwie powiały rzeczywiście nowe wiatry. Dotychczas jednak nie poruszyły poważnie klasy reprezentowanej przez torysów i nie zwały jej błęgiego nastroju. Według filozofii torysowskiej nadwyżka siły roboczej stanowiła podporę systemu zysków, przyrodzone prawo ekonomiczne, którego prawodawstwo nie powinno zakłócać. Życie klas wyższych płynęło nadal tak wygodnie i przyjemnie, że trudno było odczuwać nagłą potrzebę zreformowania tego, co „Times” niewzruszenie nazywał „niedoskonałościami społecznego ładu”. Kiedy Keir Hardie w 1901 roku

złożył propozycję socjalistycznej rezolucji, pierwszej, jaka kiedykolwiek przedstawiona została Izbie Gmin, i mówił przez dwadzieścia minut, jak uspołecznienie ziemi i kapitału mogłoby zapobiec groźbie spowodowanej systemem zysków, odpowiedzialnym za wojnę burską, za powstanie Bokserów i za londyńskie slumsy, „pan Balfour, który wrócił właśnie z obiadu, uśmiechnął się mile do przewodniczącego, zapewne przekonany, że obecny stan rzeczy utrzyma się za jego życia”.

W 1905 roku, wobec zbliżających się wyborów powszechnych, ustępstwa stały się konieczne. Chcąc pozyskać głosy robotnicze, konserwatyści powołali Królewską Komisję Sporów Pracowniczych, mającą zbadać sprawę przywrócenia zasady nieodpowiedzialności. W efekcie projekt ustawy o sporach pracowniczych, który obaliłby Taff Vale, przeszedł przez komisję i przez dwa czytania w Izbie, lecz nie został uchwalony. Komisja zajęła się bezrobociem, wprowadziła niezbyt odważnie, jednak na tyle, aby spowodować ustawę o bezrobotnych, która ustanawiała biura pracy, mające rejestrować bezrobotnych, pomagać im znaleźć pracę i w niektórych wypadkach wypłacać odszkodowanie. Ustawa odnosiła się jednak tylko do Londynu i chodziło w niej jedynie o zaspokojenie najpilniejszych bolączek. Torysi nie mieli do zaoferowania programu naprawdę uzdrawiającego, bo go wcale nie pragnęli.

Liberałowie, jako partia mniejszościowa, potrzebowali poparcia robotników, aby wygrać, i to z taką przewagą, która pozwoliłaby im uwolnić się od irlandzkiej zmory. Dla nich pojawienie się w terenie niezależnych kandydatów robotniczych mogło oznaczać katastrofę. Stojąc wobec niebezpieczeństwa rywalizacji trzech partii i utraty głosów, liberałowie pragnęli teraz nie tylko poparcia, ale i sojuszu. Klasa pracująca, reprezentowana przez Ramsaya MacDonalda, gotowa była ich wysłuchać. W 1903 roku on i Herbert Gladstone, poseł odpowiedzialny za dyscyplinę w Partii Liberalnej, zawarli tajny pakt, w którym liberałowie zgodzili się nie współzawodniczyć o trzydzieści pięć miejsc w zamian za zobowiązanie do wspólnego głosowania ze strony wybranych na te miejsca posłów robotniczych. Keir Hardie, którego nie spytano o zdanie, uważałby, że takie porozumienie jest zdradą, i to w ogóle niepotrzebną. Jego zdaniem, liberałowie przekonują się w końcu, że są bezsilni bez głosów klasy pracującej; w tym momencie albo zwrócą się do pracujących, albo „pójdą drogą torysów”.

Wybory powszechne odbyły się w połowie stycznia 1906 roku i jak to było wówczas w zwyczaju — trwały dwa tygodnie. Znowu powróciły roztrząsane przed trzema laty sprawy niewoli Chińczyków, protekcjonizmu czy wolnego handlu, podatku szkolnego, Taff Yale. Chińscy robotnicy na wzgórzach Walii? — brzmiał retoryczny okrzyk Lloyda George'a. „Niech Pan Bóg broni!” Głos demagoga i siła irracjonalizmu pogłębiały jedynie ogólne uczucie, że torysi za długo byli u władzy i tym razem słuszność była po stronie demagogii i irracjonalizmu. Ludzie chcieli zmiany i otrzymali ją.

Liberałowie wygrali, zadając przeciwnikom ogromną porażkę. Wrócili do Parlamentu z większą niż kiedykolwiek przewagą (513-157). Nie wszystko należało do nich. Świat pracy zdobył 53 mandaty, z których 29 pochodziło z Komitetu Reprezentacji Pracy; zorganizowali się oni w Izbie po raz pierwszy jako uznana partia z własnym posłem odpowiedzialnym za dyscyplinę. Pozostałych 24 posłów, zwanych Lib-Lab, reprezentowało związki zawodowe, akceptowało whipa liberałów i aż do 1909 roku nie związało się z Partią Pracy. Wszystkich 53 głosowało z liberałami, podobnie jak 83 Irlandczyków; przez co zwycięska partia uzyskała absolutną, prawie przygniatającą większość 356 głosów. Nawet bez Irlandczyków i przedstawicieli pracy ich własna większość 220 posłów uniezależniała liberałów od wiązania się z jakąkolwiek inną grupą. Po raz pierwszy osiągnęli to, czego zawsze życzył sobie Gladstone, tę, jak ją nazwał jeden z torysów, „ohydłą anomalie”, liberalną większość, niezależną od irlandzkich głosów.

Jeszcze bardziej zaskakiwały osiągnięcia świata pracy i implikacje tego nie uszły uwagi. Przyjaciel sir Almerica Fitzroya, który stracił swój mandat w Lancashire, przypisywał klęskę sukcesowi Partii Pracy; uważał, że nie cła czy inne sprawy miały poważniejszy wpływ na wyniki, lecz raczej „przekonanie, jakie po raz pierwszy zrodziło się w klasie pracującej, że jej społeczny ratunek leży w jej własnych rękach”.

Uznając pojawienie się nowego czynnika na arenie politycznej, mianowano Johna Burnsa przewodniczącym Wydziału Samorządu Lokalnego; w ten sposób po raz pierwszy człowiek pracy został członkiem gabinetu. „Gratuluję panu, sir Henry — odpowiedział, kiedy Campbell-Bannerman, nowy premier, zaproponował mu tę funkcję — będzie to najbardziej popularna ze wszystkich pana nominacji”. I rzeczywiście tak się stało. Po tygodniu rozkoszowania się miejscem w klasie rządzącej Burns

powiedział do Beatrice Webb: „Jestem zupełnie innym człowiekiem niż przed tygodniem”. Jego radość z funkcji w gabinecie była tak jawna, że sir Edward Grey przypomniał sobie zdanie przyrodnika Gilberta White: „W czerwcu żółw staje się tak podniecony, że chodzi na paluszkach”

Dla torysów wynik stanowił porażkę wyborczą najbardziej druzgocącą za ludzkiej pamięci. W tej klęsce nawet Balfour stracił swój mandat, podobnie jak jego starszy brat, Gerald, dwóch członków jego gabinetu, Alfred Lyttelton i St. John Brodrick, jego kuzyn lord Hugh Cecil i, „najsmutniejsze ze wszystkiego”, jak żalił się „Punch”, Henry Chaplin, Squire of England, po trzydziestu dziewięciu latach posłowania. Później wszyscy uzyskali mandaty w uzupełniających wyborach, ale na razie nowi „Demo” królowali triumfalnie, ciesząc się przewagą.

Przed wyborami, w czasie gorących dni agitacji w Manchesterze, Balfour ze swą niezwykłą zdolnością wyłączania się, poświęcił czas, by szukać odpowiedzi na dawniejsze pytanie, nie tak palące, jak to, czy zostanie ponownie premierem. W 1903 roku Theodor Herzl w imieniu syjonistów prosił Josepha Chamberlaina o poparcie dla uzyskania przywileju kolonizacyjnego na półwyspie Synaj. Nie mogąc przekonać władz brytyjskich w Egipcie, Chamberlain, uważający Żydów za przedsiębiorcze narzędzie kolonializmu, zaproponował im Ugandę we wschodniej Afryce zamiast Palestyny. W bolesnym okresie rosyjskich pogromów, kiedy wschodnioeuropejscy Żydzi rozpaczliwie szukali ucieczki z Europy, Kongres Syjonistyczny nie przyjął tej propozycji i Balfour chciał wiedzieć, dlaczego. Niepokojony od dłuższego czasu myślą, że „chrześcijańska religia i cywilizacja ma wobec judaizmu olbrzymi dług”, pamiętał wciąż o sprawie Ugandy i w gorączce kampanii wyborczej zapytał o to swego politycznego agenta, niejakiego Dreyfusa. Dreyfus zaproponował, że sprowadzi swego przyjaciela, pełnego entuzjazmu syjonistę, dra Chaima Weizmanna, urodzonego w Rosji, bladego, wówczas trzydziestodwuletniego mężczyznę, nauczyciela chemii na uniwersytecie w Manchesterze. Balfour przeznaczył dla gościa piętnaście minut w swojej kwaterze wyborczej w Manchesterze, ale potem słuchał go przez ponad godzinę. Weizmann denerwował się perspektywą wyjaśniania znanemu mężowi stanu w swej łamanej angielszczyźnie w ciągu piętnastu minut całej historii i nadziei, podziałów i prądów krzyżujących się wśród jego narodu. „Zacząłem rozwodzić się

szeroko nad znaczeniem ruchu syjonistycznego... że tylko głębokie przekonanie religijne wyrażone we współczesnych kategoriach politycznych może podtrzymać ruch, a to przekonanie musi się opierać na Palestynie, i tylko na Palestynie. Rezygnacja z Palestyny byłaby zawsze — no, w pewnym sensie bałwochwalstwem... Biły na mnie siódme poty, starałem się znaleźć swobodniejszy sposób wypowiedzi... Nagle powiedziałem: «Panie Balfour, przypuśćmy, że proponowałbym panu Paryż zamiast Londynu, wzięłby go pan?» Wyprostował się, spojrzał na mnie i odpowiedział: «Ale, doktorze Weizmann, my mamy Londyn». «To prawda — powiedziałem. — Ale my mieliśmy Jerozolimę, kiedy Londyn był jeszcze bagniskiem». Oparł się o krzesło i nadal patrzył na mnie... Nie widziałem go później aż do 1914”. Balfour pod koniec życia powiedział o późniejszej deklaracji, która miała nosić jego imię, że „ogólnie biorąc była to rzecz, którą wspominał jako najbardziej wartościową z tego, co zrobił”.

Przed południem po swej klęsce wyborczej Balfour odwiedził przyjaciela, który po raz pierwszy w życiu zobaczył go „naprawdę zgnębitego”. Poszedł jednak spać z książką, nazajutrz przyszedł na lunch „zupełnie wypoczęty i wesoły”, grał w golfa przez całe popołudnie, a także następnego dnia, robił wrażenie zupełnie zadowolonego i nie wykazywał żadnej ciekawości co do dalszych wyników wyborów, „nie zaglądając nawet do gazety”. Przypisywał klęskę umocnieniu się świata pracy i powszechnej potrzebie zmiany. Konkretnie sprawy, jak zauważył, odegrały niewielką rolę, bo publiczność nie chciała wysłuchiwać argumentów.

Przy beztróskiej grze w golfa Balfour nie przestawał jednak rozmyślać. „Wybory 1906 roku inaugurują nową erę”, pisał następnego dnia do królewskiego sekretarza, Francisa Knollysa, i nagłe wynurzenie się Partii Pracy wyraźnie to podkreślało. Nowy pretendent zgłaszał teraz roszczenia do władzy. W listach do kilku przyjaciół tego i następnego dnia Balfour zwierzał się: jest to coś więcej niż „zwykła zmiana partii... To, co się tu stało, nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek rzeczą, o którą sprzeczailiśmy się w ciągu ostatnich trzech lat”. Campbell-Bannerman „to tylko korek tańczący na fali, której nie potrafi opanować”, nie można zrozumieć całego znaczenia tego dramatu, jeśli się go nie widzi w kategoriach „tego samego ruchu, który wywołał masakry w Petersburgu, zamieszki w Wiedniu i pochody socjalistów w Berlinie”. Podążając myślami w przyszłość ku implikacjom

nowego obrotu spraw, Balfour pisał w momencie przytłaczającego zwycięstwa liberałów: „Skończy się to, jak sądzę, załamaniem Partii Liberalnej”. Bardziej ożywiony niż przygnębiony nowymi warunkami walki, zapewniał Knollysa, że nie ma zamiaru wycofywać się z polityki, bo jest „tak głęboko zainteresowany tym, co się teraz dzieje”.

Wyraźniej niż inni odczuwał początki przechodzenia władzy; nie chodziło tu tylko o polityczne przejście partii rządzącej do opozycji, lecz o głębszą zmianę, o przejście władzy do nowej klasy, która wprowadzie jej jeszcze nie posiadała, ale przez swój nacisk na posiadających powodowała wrzenie w społeczeństwie.

Na razie nie miał mandatu. „Nie mam oczywiście zamiaru wędrować po kraju wyjaśniając, że jestem uczciwy i pracowity, jak pierwszy lepszy lokaj bez posady”, mówił. Gdy znaleziono mu mandat w londyńskim City, wrócił do Parlamentu jako przywódca opozycji.

Także inni oprócz Balfoura dostrzegli w zwycięstwie liberalizmu zapowiedź jego rozpadu. Dla socjalistów był to marksistowski imperatyw. Robert Blatchford przepowiadał, że Partia Liberalna będzie się starała prowadzić „niezdecydowaną politykę w nadziei, że nie zrazi sobie umiarkowanych zwolenników”. Gdyby pokusiła się o naprawę uzdrawiające prawodawstwo społeczne, straciłaby poparcie swoich kapitalistycznych popleczników, którzy zdezerterowaliby do torysów. Jeśli nie uczyniłaby nic w dziedzinie reform społecznych, straciłaby poparcie radykałów, którzy ją wybrali. W obydwu wypadkach byłby to ostatni jej rząd. „Najpewniej pomoże naszej sprawie nieunikniona dezintegracja Partii Liberalnej”.

Parlament z 1906 roku przekonał torysów o postępach socjalizmu, zagrażających wyraźnie istnieniu przywilejów. Dotychczas obszarnicy i klasa właścicieli ziemskich wierzyli, że mogą przemawiać w imieniu ludu, że ich interes narodowy jest wspólny, że w tym rozumieniu tworzą z nim jedną całość. Wierzyli w dobroczynne działanie demokracji torysowskiej, dopóki nie kolidowała ona z istniejącym ładem. Dla nich pospółstwo stanowiły klasa wiejska i służba, które znali. George Wyndham, minister do spraw Irlandii w gabinecie Balfoura, lojalny, oddany torys, który zachował swój mandat w 1906 roku, przekonany był, że zwyciężył, bo ludzie pracujący kochają go. Pisał do swej matki: „Zwyciężyłem, bo znalazłem drogę do ich serc.

Mówiłem jedynie o braterstwie nas wszystkich w Imperium, o

sprawiedliwych warunkach dla cudzoziemców i o pełnym chwale Imperium dla naszych dzieci oraz kilka prostych słów o chrześcijaństwie w naszych szkołach... Otwarłem swoje serce przed ich sercami i po prostu kochamy się nawzajem. Wygrałem broniąc toryzmu, Imperium i reformy podatkowej. Głosowali za mną Irlandczycy, głosowali za mną rybacy, głosowali za mną żołnierze, głosowali za mną rzemieślnicy. Po prostu dlatego, że się lubimy, kochamy tradycje przeszłości i chwałę przyszłości”.

Przedstawiony przez Wyndhama uroczy osiemnastowieczny obraz, wyjąwszy może jego okręg wyborczy, był w roku 1906 równie martwy dla Anglii i dla reszty świata, jak książę regent. Klasa rolnicza zanikała, przeciekając do miast, a w jej miejsce pojawił się proletariat przemysłowy, którego z patrycjuszami nie łączyła ani miłość, ani wspólny interes. Wyndham i jemu podobni nie wiedzieli nic o górnikach, robotnikach fabrycznych czy o ludziach zamieszkujących długie jednostajne szeregi domów miejskich. „Wyobraźcie sobie — powiedział Winston Churchill, urodzony w Blenheim Pałace, kiedy prowadząc z przyjacielem agitację wyborczą, wszedł na szczególnie ponurą ulicę — życie na jednej z takich ulic, gdzie nie widzi się nic ładnego, nigdy nie je się nic smacznego, nigdy nie mówi się nic mądrego!” Taki właśnie los przypadł w udziale nowym wyborcom.

Spośród 377 posłów liberalnych 154, tj. 40 procent, było przedsiębiorcami, 85 adwokatami i prawnikami, 69 „dżentelmenami”, 25 pisarzami i dziennikarzami, 22 wyższymi urzędnikami, a resztę 22 posłów stanowili profesorowie uniwersyteccy, nauczyciele, lekarze i orędownicy różnych spraw. Pośród pokonanych torysów najliczniejszą kategorię, 30 procent, wciąż jeszcze stanowili dżentelmeni, przedsiębiorców było 25 procent, wyższych urzędników 20 procent. 310 posłów, to jest prawie połowa Izby, zasiadało w Parlamencie po raz pierwszy. Jakiś zacny lord po sesji w nowo wybranym składzie zauważył z ulgą, że tylko niewielu było „odmiennie ubranych” lecz wieloletni korespondent „Puncha”, sir Henry Lucy, stwierdził, że ton, charakter i maniery towarzyskie Izby zostały „zrewolucjonizowane”. Irlandczycy stanowili nieokrzesaną grupę, znaną z gburowatości; zachowywali się tak celowo, nie dając się zastraszyć tradycjami Parlamentu. Nienawidzili Anglików, a liberałom, mającym większość, nie byli potrzebni, wobec czego nie stanowili wartości przetargowej i mogli uzewnętrznić swoje rozczarowanie krzykiem i

przeszkadzaniem przy uchwalaniu wszystkich aktów ustawodawczych nie będących ustawą o autonomii Irlandii. Wielkie zwycięstwo liberałów wcale nie pomogło Irlandczykom w prowadzonej od dawna, stale udaremniaanej walce o obalenie angielskiego panowania i o własne rządy, lecz przeciwnie, zdusiło ją.

Gdy wrócił Balfour, wroga większość okazała jawnie swoją niechęć do niego jako przywódcy i symbolu pokonanej partii. Zdaniem Austena Chamberlaina, nowi członkowie byli „nieuprzejmi i niegrzeczni dla niego... drwili z niego i stale mu przerywali”. Niewzruszony i jowialny jak zawsze, w dalszym ciągu panował nad dyskusją i w przeciągu roku udało mu się ponownie odzyskać przewagę i zdobyć uznanie przeciwników, którzy „zdawali sobie sprawę, że dodaje on godności Izbie”. Choć wielu z nowego rządu należało do jego osobistych przyjaciół, nie zaliczał się do nich człowiek siedzący na jego dawnym miejscu, z drugiej strony stołu przewodniczącego Izby. Campbell-Bannerman był nieczuły, jak powiedział jeden z kolegów, na „legendarny czar” Balfoura; „nie dostrzegał go po prostu”. Na początku sesji próbował przerwać działanie tego czaru. Balfour, który miał przedstawić stanowisko swojej partii wobec uchwały przeciwnej reformie celnej, dokonał uniku tak zawilego jak dawniej, czym zirytował premiera. „Dość tych błazeństw!”, wybuchnął C.-B. Jego poprzednik, „jak dawni Burbonowie, niczego się nie nauczył. Wraca z tym samym beztroskim wdziękiem, w ten sam lekceważący i lekkomyślny sposób traktuje poważną sprawę, lecz nie ma pojęcia o nastroju nowej Izby Gmin, jeśli sądzi, że te metody tu zatriumfują. Dość już tych błazeństw!” To śmiałe odezwanie, cytowane powszechnie, nie rozwiało aury panującej wokół Balfoura.

Prawdziwy nastrój nowej Izby reprezentował człowiek innego rodzaju niż patrycjusz Balfour czy staroświecki liberał C.-B. Dwoma postaciami dominującymi w nowym rządzie, które miały później jedna po drugiej sprawować funkcję premiera, byli ludzie, którym rządzenie nie przypadło w dziedzictwie, lecz stanowiło ich karierę zawodową, a mianowicie H. H. Asquith, syn nonkonformistycznego handlarza wełny z Yorkshire, i David Lloyd George, syn walijskiego nauczyciela. Różnili się całkowicie pochodzeniem i temperamentem, lecz obaj doszli do Parlamentu poprzez praktykę prawniczą.

Lloyd George, najbardziej dynamiczny z nowych ministrów, mianowany został ministrem handlu, co nie było jedną z najważniejszych funkcji w

gabinecie, lecz zapewniało mu miejsce w ławie ministerialnej. W jego osobie A. G. Gardiner, wydawca „Daily News” i szczególnie spostrzegawczy badacz cech politycznych, dojrzał „zapowiedź nowej ery — człowieka z ludu zasiadającego we władzach”. Lloyd George nie znajdował się wprawdzie jeszcze u szczytu władzy, lecz wyraźnie do tego dążył i cel jego tak się rzucał w oczy, jak cel lisa w kurniku. Miał czterdzieści dwa lata, jedenaście lat młodszy od Asquitha i jedenaście lat więcej niż Churchill. Wybrano go do Parlamentu w 1890 roku w jednym z walijskich okręgów jako orędownika walijskiego nacjonalizmu; był on nonkonformistą oddanym sprawie oddzielenia Kościoła i radykałem oddanym sprawie reform społecznych. Jako młody człowiek za swoją biblię polityczną uważał Nędzników i książkę tę w tanim broszurowym wydaniu zabierał ze sobą we wszystkie podróże. Występując przeciw wojnie burskiej pod groźbą zawodowego bojkotu i fizycznych ataków wykazał zarówno moralną, jak i fizyczną odwagę. Miał zdecydowane zasady polityczne, ale żadnych skrupułów. Szczupły, przystojny, nieustraszony, bezwzględny, o miódopłynnej wymowie, błyszczących niebieskich oczach i brązowym wąsie, odznaczał się wielką witalnością; stale uganiał za kobietami i zdobywał je, unikając zręcznie grożących od czasu do czasu konsekwencji prawnych. Jako mówca dorównywał talentem Sarze Bemhardt: czarował słuchaczy swym celtyckim akcentem i siłą uczuć. W wystąpieniach publicznych nie cofał się przed najbardziej teatralną retoryką ani przed podniecaniem tłumów; w czasie urzędowania jednak był ostrożny, bystry, świadom, że, jak zwykle mawiał: „Anglia opiera się na handlu”, i że żadna partia nie może istnieć odwołując się jedynie do świata pracy. Największy jego talent polegał na intuicyjnym, wnikliwym i bezbłędnym wyczuwaniu wymogów chwili, połączonym z przeświadczeniem, że to on powinien wymogom tym sprostać. „Rzucał się na okazję jak jastrząb”, a kiedy ją pochwycił, przywódcy partyjni nie mieli wyboru i musieli się nim posłużyć, choć był wśród nich kukułką, jak Chamberlain wśród torysów, i z czasem on miał ich wykorzystać.

Lloyda George'a wyprzedzał Asquith jako minister skarbu, a spoza niego wysuwał się szybko naprzód Winston Churchill, który w nagrodę za porzucenie torysów otrzymał stanowisko podsekretarza w Ministerstwie do Spraw Kolonii. Asquith działał jak specjalistyczny automat umysłowy, raczej na podstawie treningu i oceny, co jest korzystne, niż na podstawie jakiegoś istotnego przekonania. Odznaczał się nieubłaganą logiką, nie do odparcia w dyskusji. „Proszę sprowadzić naszego adwokata”, rozkazał C.-B., gdy

Balfour z całą delikatnością rozdzierał liberałów na strzępy — i rzeczywiście wysłano po Asquitha. Zdobył stypendium do Oxfordu, gdzie odznaczył się jako prymus i — jak pisał Gardiner — okazał się najdoskonalszym produktem systemu Balliol, takim, który unika nadmiernej gorliwości i „nie ufa wielkim ideom, nawet jeśli o nich myśli”. Rozumiał wszystko, ale brakowało mu inwencji. Zdecydowany, lecz beznamiętny, mógłby być sędzią, a był doskonałym ministrem. Skoro tylko wszedł do gabinetu Gladstone'a w 1892 roku, po wczesnej; udanej karierze adwokackiej, został uznany za człowieka z przyszłością, choć był tak nieobyty w towarzystwie, że podawał ramię własnej żonie, gdy trzeba było jakąś damę poprowadzić do obiadu. To niedociągnięcie zostało skorygowane po jej śmierci, kiedy Margaret Tennant, umiejąca dostrzec wybijających się ludzi, postanowiła go poślubić. Asquith gładko wszedł do elity; „nie ma w nim żadnego egoizmu, żadnej zazdrości, żadnej próżności”, powiedziała jedna z przyjaciółek. Górował swoim intelektem, lecz nie wywoływał podniecenia ani reakcji. Ludzie nie zdołali nigdy stworzyć sobie jego obrazu ani przypiąć mu żadnej etykiety i pozostał w historii człowiekiem bez twarzy.

Wielcy obszarnicy nie wchodzili w skład rządu, ale należało do niego kilku parów, między innymi stary markiz Ripon, który następnie zrezygnował, lord Tweedmouth, któremu „pomieszało się w głowie” i też w końcu zrezygnował, oraz lord Crewe, zięć Rosebery'ego, który „zgorszył” ówczesnego księcia Walii (później króla Jerzego V) swoim zwyczajem występowania w Izbie Lordów w marynarce zamiast w żakiecie. Jedynym reprezentantem wielkiej arystokracji był torysowski renegat Winston Churchill. Nie tylko wolny handel przyciągnął go do liberałów. Przechodząc do innej partii w 1904 roku wiedział, że torysi utracą władzę. Żądny stanowiska, nie chciał czekać, a zresztą nie mógł sobie na to pozwolić. Mimo że miał dziadka diuka, musiał zarabiać na życie. Dziennikarstwo i pisanie dawałyby zarobki, ale nie dawałyby szans, jakich pragnął. W Ameryce człowiek o jego energii wybrałby biznes, lecz dla Anglika z jego dziedzictwem rząd był jedyną karierą, w której mógł zrealizować zdolności.

Zdając sobie sprawę z wagi problemu społecznego, uważał, że liberałowie powinni mu wyjść naprzeciw, i chciał odegrać w tym dużą rolę. Niezależnie od ambicji kierowało nim głębokie przywiązanie i miłość do starej niani z dzieciństwa, pani Everest. Poprzez jej sytuację odczuwał osobiście los starej bezrobotnej kobiety, „z których tak wiele nie ma nikogo,

kto by się nimi opiekował, i niczego, z czego by mogły się utrzymywać pod koniec życia”. W 1904 roku dostrzegł sposobność, pochwycił ją, dokonał odpowiedniego wyboru i wygrał. Od tej pory we wszystkich swych przemówieniach głosił, że liberalizm jest „sprawą milionów ludzi opuszczonych” i że klasa pracująca powinna przyłączyć się do tej partii, a nie do destruktywnego socjalizmu. Kiedy już znalazł się na stanowisku, doszedł do wniosku, że liberałowie nie utrzymają się, jeśli nie uda im się odebrać wybijającej się Partii Pracy głosów związków zawodowych. Zabrał się do tego tworząc z Lloydem George'em zespół dla zaprojektowania i wprowadzenia w życie ustawy o płacy i czasie pracy, o emeryturach i ubezpieczeniu społecznym. W październiku 1906 roku w mowie wygłoszonej w Glasgow przedstawił program opierający się faktycznie na fabiańskiej idei państwa z rozbudowaną opieką społeczną i odbiegający daleko od zamiarów rządu, którego był mało ważnym członkiem. „Chcemy wykreślić linię, poniżej której nie pozwolimy ludziom żyć i pracować”, oznajmił śmiało i posuwając się dalej proponował, aby państwo występowało jako „rezerwowy pracodawca” robotników, aby ustalić minimum życiowe i aby państwo przejęło na własność koleje. Beatrice Webb była bardzo zadowolona: „Winston opanował system Webbów”, zanotowała w swoim dzienniku, można go było zatem uznać za „wybitnie zdolnego”.

Równocześnie w szeregach torysów pojawił się oportunistą najczystszej wody, na miarę nowych czasów. Był nim trzydziestotrzyletni F. E. Smith, występujący w Parlamencie po raz pierwszy; później miał on zostać Lordem Kanclerzem pod nazwiskiem lorda Birkenheada. Jego dziewicza mowa w 1906 roku stanowiła najbardziej sensacyjny debiut parlamentarny w tym okresie. Adwokat, jak Asquith, zawdzięczał wszystko samemu sobie; on także zdobył stypendium do Oxfordu, gdzie jako chluba Zjednoczonego Królestwa nauczył się wszystkich chwytów, sztuczek i pchnięć stosowanych w debatach. Ten poszukiwacz przygód, nie posiadający koneksji w środowisku bogatego ziemiaństwa, postanowił wywalczyć sobie drogę w górę posługując się swą inteligencją, odwagą i zwykłym tupetem. Gdy wstał, by przemówić po raz pierwszy w Izbie Gmin wśród zniechęconych niedobitków torysowskich, posłowie ujrzeni „młodego, starannie ubranego człowieka szczupłej postaci, gładko ogolonego, o wąskiej, pociągłej twarzy, szyderym spojrzeniu, z prostymi wypomadowanymi włosami”. Stojąc z rękami w kieszeniach, z pogardliwym wyrazem twarzy zaczął słodkim, pewnym siebie głosem przemówienie pełne „jaskrawej buty i inwektyw”.

Wygłosił je w tak wytrawny sposób i w tak zgryźliwym tonie, że słuchacze chyba nie zauważyli braku treści. Składało się z szeregu drwin, sarkazmów i osobistych aluzji, rzuconych jak petardy w kierunku liberałów.

Torysi wyprostowali się w fotelach, zdziwieni i zachwyceni. Kiedy mówca zacytował wzmiankę Lloyda George'a z okresu kampanii wyborczej o niewolnikach chińskich na wzgórzach Walii w wersji nieco zniekształconej, a Lloyd George przerwał z ławy rządowej słowami: „Nie powiedziałem tego”, Smith nie spieszył się. „Przewidując chwilowy zanik pamięci — powiedział ze słodyczą — wziąłem z sobą «Manchester Guardian» z 16 stycznia”, i przeczytawszy cytowaną uwagę dodał z niesłychaną beczelnością: „Wierzę raczej reporterowi niż wielce czcigodnemu dżentelmenowi”.

W całym tym przedstawieniu zatriumfował starannie wykalkulowany zamysł. Smith zdawał sobie sprawę, że w danej chwili trzeba przejść do ataku, aby dodać ducha pokonanej stronie. Od tego czasu coraz bardziej rósł w siłę. Posuwał się szybko naprzód, ale nie mając kilu, jaki stanowić mogła przemyślana filozofia rządu, płynął szybko, lecz bez kierunku. Znany był ze swego rozumu, jak Lansdowne ze swych manier; uderzyło mu to do głowy, powiedziała Margot Asquith. Nie interesowały go idee ani zasady, a jedynie gra sił materialnych; głęboko wierzył, że potrafi nimi manipulować. Opowiadano sobie później anegdotę, że w czasie studiów w Oxfordzie on i John Simon rzucali losy, żeby zdecydować, kto przyłączy się do której partii, bo jedna partia nie mogłaby pomieścić ich obu. Sam fakt, że historyjkę tę, prawdopodobnie nieprawdziwą, opowiadano sobie i uważano za trafną, już o czymś świadczy. Po jednym z przemówień Churchilla, skierowanym do posłów świata pracy, Smith powiedział publicznie: „Lepiej niechaj socjaliści nie wiwatuja na cześć pana Churchilla, bo na pewno ukradnie ich ubranie, kiedy pójda się kąpać — o ile pójda się kąpać, w co wątpię”. Była to niewybaczalna drwina, oznaczająca, że nowego typu człowiek piął się teraz w górę. Mimo odpowiedzi Churchilla: „Pan Smith jest jak zwykle wulgarny”, zostali najlepszymi przyjaciółmi.

Zmiana rządu spowodowała nawrót dawnego konfliktu. W okresie przewagi liberałów w Izbie Gmin konserwatyści, gdy czuli się naprawdę zagrożeni, mogli uciec się do prawa weta Izby Lordów, jak to zrobili w 1893 roku, żeby zablokować projekt ustawy Gladstone'a o autonomii dla Irlandii.

Między zwolennikami status quo, między polityką reform i polityką mocnej ręki musiało dojść do ponownego starcia, co przewidział lord Salisbury. Istotę tego konfliktu wyraził słowami: „Musimy tak kierować naszym ustawodawstwem, żeby dać pewną satysfakcję zarówno klasom, jak masom. Jest to szczególnie trudne, jeśli chodzi o klasy, bo każde ustawodawstwo jest dla nich raczej niepożądane przez to, że dąży do zakłócenia stanu rzeczy, z którego byli zadowoleni”. Jeśli to zakłócenie stałoby się zbyt groźne, wkroczyłaby Izba Lordów, nie dlatego że zasiadali w niej lordowie, lecz jako rezerwa obrońców status quo. Powtarzające się korzystanie z weta dla zablokowania woli Izby Gmin przyspieszyłoby kryzys rządu. „Jak długo tu jestem — powiedział lord Salisbury — nic się nie wydarzy, rozumiem na wylot moich lordów. Ale kiedy odejdę, popełnione zostaną błędy. Izba Lordów wejdzie w konflikt z Izłą Gmin”.

Balfour zrobił pierwszy krok, jeszcze zanim zebrał się Parlament. W przemówieniu wygłoszonym w Nottingham tego wieczoru, kiedy poniósł klęskę wyborczą, powiedział, że obowiązkiem wszystkich konserwatystów jest zagwarantować, aby ich partia „nadal kierowała losami tego wielkiego imperium, niezależnie od tego, czy będzie przy władzy, czy też w opozycji” Asquith dostrzegł w tym później dążenie do przywrócenia władzy konserwatystów poprzez Izbę Lordów. Choć nie wiadomo, czy Balfour rzeczywiście tak myślał, nastąpiło to jednak wkrótce. W kwietniu 1906 roku liberalny rząd wprowadzał nowy, własny projekt ustawy o szkolnictwie, chcąc anulować wzbudzające zastrzeżenia przepisy ustawy z roku 1902. Projekt ten uchylał państwowe dotacje dla szkół wyznaniowych.

Grupa anglikańskiego High Church zareagowała na to tak zawzięcie, jak nonkonformiści w 1902 roku. Spór w tej sprawie uznano natychmiast za początek walki między dwoma Izbami Parlamentu. „Może ministrowie zdają sobie sprawę — pisał lord Esher — że całe ich ustawodawstwo zostanie udaremnione przez Izbę Lordów, i im wcześniej będą musieli stawić czoło i walczyć, tym lepiej”.

Balfour, idąc w ślad za rozumowaniem swego wuja, obawiał się, że lordowie dadzą się sprowokować do popełnienia błędów. Natychmiast podzielił się z lordem Lansdowne, konserwatywnym przywódcą Izby Wyższej, swoim przypuszczeniem, że strategia rządu będzie polegała na kierowaniu do Izby Lordów projektów ustaw z bardziej radykalnymi przepisami, niż trzeba, w przekonaniu, że lordowie będą wprowadzać

poprawki lub odrzucać je tak długo, aż dadzą argumenty do zarzutów przeciw sobie. Liberałowie zwrócić się wówczas do kraju o mandat na ograniczenie weta. Nigdy dotychczas, ostrzegając, lordowie nie byli powołani do odegrania roli „tak ważnej, tak delikatnej i tak niebezpiecznej zarazem”.

Atmosfera w czasie debaty Izby Lordów nad projektem ustawy o szkolnictwie nie wykazywała żadnych oznak ostrożności, a nastrój jej członków nie poprawił się, gdy otrzymali z Izby Gmin projekt ustawy o wielogłosowym prawie wyborczym, mający położyć kres dawnemu zwyczajowi, według którego właściciele posiadający ziemię w kilku okręgach wyborczych mieli kilka głosów. „Coś się wydarzy — powiedział Lloyd George, nieomal widocznie zacierając ręce. — Wkrótce odbędzie się na tym boisku wielki mecz futbolowy, zapewniam was”. W grudniu Izba Lordów spełniła jego oczekiwania i złe przeczucia lorda Salisbury, odrzucając zarówno ustawę o szkolnictwie, jak i o wielogłosowym prawie wyborczym. Lordowie nie zakwestionowali jednak, rzecz charakterystyczna, równie — o ile nie bardziej — niestrawnej ustawy o sporach pracowniczych, choć sprawiłoby to wielką przyjemność liberałom. Ta ustawa, obalająca orzeczenie Taff Vale, została przedstawiona w Izbie Gmin i uchwalona dzięki presji świata pracy i radykalnych posłów, wbrew rzeczywistemu życzeniu rządu i mimo zastrzeżeń kilku ministrów. „Nie mogliśmy oprzeć się masom stojącym za nią”, przyznał liberał Haldane, minister wojny. Lordowie, pod rozważnym kierownictwem Lansdowne'a, przyjęli ustawę, ponieważ nie chcieli zrazić sobie klasy pracującej i umocnić jej sojuszu z liberałami.

Wykorzystując, na ile się dało, odrzucenie dwu innych projektów ustaw, Asquith stwierdził, że sytuacja jest „nie do zniesienia”, i ostrzegł, że trzeba będzie znaleźć drogę, „aby zapanowała wola narodu, wyrażona przez ich wybranych przedstawicieli”.

Wyzwanie nie pozostawiało wątpliwości i Izba Lordów zaczęła to sobie uświadamiać. 544 dziedzicznych parów Anglii, w tym dwudziestu dwu diuków, oraz biskupów i lordów prawników, którzy zasiadali z nimi, obradowało w wysokiej sali, wykładanej boazerią z ciemnego dębu, długiej na dziewięćdziesiąt stóp, z dwoma rzędami czerwonych skórzanych ław. Witraże w oknach przedstawiały portrety monarchów od czasu zdobycia Anglii. Sufit i ściany pokrywały wypukłe, bogato rzeźbione gotyckie gzymsy i godła heraldyczne. Pomiedzy oknami posągi baronów z Magna Charta,

mimowolnych założycieli systemu parlamentarnego, spoglądały z góry, z pewnym przygnębieniem, na swoje dzieło. Na jednym końcu sali, pod złotym baldachimem, znajdował się podwójny tron, dla króla i królowej, a po jego obu stronach wysokie kandelabry, stojące jak gwardziści na baczność. Poniżej tronu przewodniczył Lord Kanclerz, siedząc na tzw. *woolsack* (wór z wełny), kwadratowej, wyściełanej ławie. Na poprzecznych ławach z boku zasiadali książęta z rodziny królewskiej i parowie nie należący do partii. Z fresków u góry ścian, przedstawiających sceny z historii Anglii, towarzyszyły zgromadzonym cienie dawnych monarchów i sędziów. Światło było przyćmione, panował ogólny nastrój dystygowanej ospałości.

Teraz, wobec perspektywy ataku, zaczęły wypełniać się ławy, gdzie zazwyczaj siedziało tylko czterdziestu czy pięćdziesięciu parów, z rzadka rozrzuconych. Lansdowne zachęcał swoich zwolenników do mówienia, uważał, gdy mówili, i podtrzymywał ich wysiłki z charakterystycznym dla niego, wielkopańskim wdziękiem. Lord Curzon ukoronował debatę przemówieniem „o tyle lepszym niż przemówienie zwykłego para, że trudno uwierzyć, aby kiedykolwiek nie miał racji”. Nowy Lord Kanclerz liberałów, lord Loreburn działał ożywczo i wyświadczał Izbie Lordów tę uprzejmość, że przewodnicząc nigdy nie spał. Przedtem nazywał się sir Robert Reid, z przydomkiem „Walczący Bob”; był Szkotem, sławnym graczem w krykieta w drużynie Oxfordu, radykałem, przeciwstawiającym się ostro liberałom imperialistom, „płomiennym mówcą” w Izbie Gmin; pouczał obecnie opozycję „tonem, który doprowadzał grzeszników nieomal do płaczu”, i wysuwał „najbardziej sporne propozycje z najbardziej urzekającymi pozorami prawdopodobieństwa”. Lord Curzon, posługując się frazą Gibbona i z galanterią Lorda Tollollera kłaniającego się w *Iolanthe* Lordowi Mountarat, określił lorda Lorebuma jako „uosobienie uprzejmości, wcielenie siły perswazji i ukoronowanie godności.

W ławach poprzecznych dąsał się ostatni premier liberałów, lord Rosebery, który zrezygnował z przywództwa i jako imperialista i przeciwnik Ustawy o Autonomii, kiedy C.-B. został przywódcą partii, ogłosił stanowczo i wyraźnie, raz na zawsze, że nie może występować pod tą banderą. Rosebery, znany już od czasu Eton ze swych zdolności, dowcipu i wdzięku, po wygraniu Derby i wżenieniu się w majątek Rothschildów zbyt przywykł do powodzenia, aby się przystosowywać, i pozostał, jak wyraził się Morley, „nieznanym koniem w obszernym boksie”. Kiedy się dąsał, patrzył na

przyjaciół „rybim wzrokiem” i miażdżył ich gryzącą ironią; kiedy czarował, otaczał go powszechny podziw. Jego niestałość spowodowała, że ludzie tracili do niego zaufanie i przypominali sobie historyjkę A. G. Gardinera o wieśniaku, który zapytany, czy Wordsworth bardzo lubił dzieci, odpowiedział: „Niby tak, ale one nie bardzo go lubiły”.

W latach kryzysu spowodowanego Ustawą o Autonomii Rosebery przeprowadził ruchowi dążącemu do reformy Izby Lordów przez pewną modyfikację zasady dziedziczości i trzykrotnie wysuwał zmierzające ku temu propozycje w nadziei, że reforma taka zapobiegnie atakom na prawo weta. Ruch reformatorski ożył teraz na nowo, pobudzany i kierowany przez lorda Curzona. Nawet Churchill, który chętnie wtrącał się do wszystkiego, poparł sprawę swymi propozycjami w artykule opublikowanym w „Nation” pod tytułem *Dogodny sposób na parów*. Proponował system, w którym parowie byłiby mianowani na każdą sesję tak, aby reprezentowali tę samą większość, jaka w danym czasie panowała w Izbie Gmin, nie przekraczając jednak 250. Wykluczyliby to „elementy lekkomyślne, ospałe, nie poinstruowane czy podejrzane”. Większość proponowanych reform przewidywała system, w którym parowie wybieraliby spośród siebie najwłaściwszych ze względu na zdolności lub zasługi. Wielu jednak wolało prostą zasadę, taką samą, jaka skłoniła kiedyś lorda Melbourne do powiedzenia, że lubi Order Podwiązki, „bo nie wiąże się z żadną zasługą”. Balfour okazywał zrozumienie. Doradzał Lansdowne'owi, aby „unikać fatalnego przyznania, że dawna zasada dziedziczości nie jest wystarczającą kwalifikacją do zasiadania w Izbie Wyższej. Jeśli nie jest kwalifikacją wystarczającą, nie jest w ogóle żadną kwalifikacją... Moim zdaniem na pewno łatwiej jest obronić urodzenie jako coś, co ludzie nazywają czystym absurdem, niż urodzenie plus zasługi”. Rząd nie robił nic, aby zachęcić do reformy Izby Lordów, bo wcale takiej reformy nie pragnął; potrzebna mu była jakaś sprawa sporna i pretekst do ograniczenia weta.

Stojąc wobec takich pasjonujących możliwości, Lloyd George niecierpliwił się, że jego wyborców interesuje wyłącznie kwestia walijskiego nacjonalizmu, i nie omieszkiał im tego nietaktownie wypomnieć: „Muszę to powiedzieć moim rodakom. Jeśli zobaczą, że rząd ustawia swoją artylerię do ataku na Izbę Lordów, ci Walijczycy, którzy, nim twierdza zostanie zdobyta, będą męczyć rząd, aby zajął się czymś innym, powinni zostać zamknięci w karczerze”. Dziwny był ten wojskowy język, a przemówienie wywołało taki

gniew, że nieroztropny jego autor musiał pospieszyć do Walii i oświadczyć z ręką na sercu: „Czyż zamierzam sprzedać kraj, który tak kocham? Bóg jeden wie, jak droga mi jest moja Walia!”

W czerwcu 1907 roku Campbell-Bannerman powiedział w Izbie Gmin, że nadszedł już czas, aby zakwestionować roszczenia parów, podtrzymywane jak gdyby przez p. Balfoura: „Gdy on dmie w róg, podnosi się szybko most zwodzony Izby Lordów”. Lloyd George pokusił się o równie obrazową metaforę. Izba Lordów, powiedział, nie jest psem łańcuchowym konstytucji, ale „pudlem p. Balfoura”. C.-B. zaproponował podjęcie uchwały stwierdzającej, że celem zrealizowania „woli ludu należy ograniczyć ustawowo prawo drugiej Izby do zmiany lub odrzucenia ustaw uchwalonych przez pierwszą Izbę”, tak aby w czasie trwania każdego Parlamentu obowiązywała ostateczna decyzja Izby Gmin. Partia Pracy zgłosiła natychmiast poprawkę, proponując całkowite zniesienie Izby Lordów. Rząd przedkładając projekt uchwały, a nie ustawy, miał wyraźnie na celu propagandę raczej niż akcję; po przyjęciu uchwały — bez poprawki Partii Pracy — nic więcej nie zrobiono.

W lecie tego roku odbyła się druga konferencja haska. W kwietniu następnego roku C.-B. w przewidywaniu rychłej śmierci zrezygnował z urzędu i rzeczywiście zmarł w ciągu miesiąca. Asquith, który objął po nim stanowisko premiera, zmienił gabinet bardziej na swoje podobieństwo. Czterech z bardzo zdolnej grupy podsekretarzy zostało ministrami, wśród nich Walter Runciman, syn bogatego armatora, Herbert Samuel, pochodzący z żydowskiej rodziny bankierskiej i jak Asquith, prymus w Balliol, oraz Reginald McKenna, syn londyńskiego urzędnika, który uzyskał wyższy stopień naukowy z matematyki w Cambridge. Gdy został on mianowany ministrem marynarki wojennej na miejsce lorda Tweedmouth, Morley przypomniał sobie, że kiedy w roku 1892 zaproponował Gladstone'owi pewne nazwisko na tę funkcję, Gladstone, machnąwszy ręką, powiedział z powagą: „Ach, uważam, że do marynarki potrzebny nam ktoś, kogo można nazwać dżentelmenem!” A lord Esher, przeglądając skład nowego gabinetu, westchnął ze smutkiem: „Jesteśmy tu teraz przytłoczeni przez średniozamożne mieszczaństwo”.

Najważniejszą zmianę w gabinecie stanowił awans Lloyda George'a na ministra skarbu w miejsce Asquitha, podczas gdy opróżniony przez niego urząd ministra handlu zajął Winston Churchill, czwarty z awansowanych

podsekretarzy. Churchill omal nie skończył swojej kariery, bo musiał walczyć o mandat w wyborach dodatkowych w Manchesterze, panował bowiem wówczas taki zwyczaj, że poseł, który został ministrem, musiał uzyskać potwierdzenie swoich wyborców. W zaciętym współzawodnictwie, nękany przez sufrażystki, Churchill przegrał, ku głośnej radości torysowskiej prasy. Jego klęska wykazała, że zaczyna się odwrót od wyjątkowego zwycięstwa liberałów w 1906 roku, i dowiodła, że liberałom są pilnie potrzebne głosy świata pracy. W Dundee, gdzie szybko zaoferowano mu inny mandat, podkreślał, że tylko z poparciem robotników liberałowie będą mogli przeprowadzić swoje ustawodawstwo przez Izbę Lordów przeciw nasilającej się reakcji torysów. „Z waszym poparciem zdruzgoczymy ich... Ale musimy mieć to poparcie”.

Okazało się, że żadna z ustaw socjalnych przeprowadzonych przez energiczną parę, Lloyd George'a i Churchilla, nie została zablokowana przez Izbę Lordów. Przeszła ustawa o kopalniach węgla, ustalająca ośmiogodzinny dzień roboczy dla górników; ustawa o komisjach rozjemczych ustalająca minimalne wynagrodzenie akordowe przy uciążliwej produkcji; ustawa o odszkodowaniu dla robotników, ustalająca odpowiedzialność pracodawcy za wypadki przy pracy, oraz ustawa o emeryturach; przystąpiono do opracowywania projektu ustawy o państwowym ubezpieczeniu od bezrobocia i ubezpieczeniu chorobowym, która miała być ukoronowaniem ustawodawstwa społecznego liberałów. Żadna z tych ustaw nie została zablokowana przez Izbę Lordów z tego samego powodu, co przedtem ustawa o sporach pracowniczych. Zbliżający się konflikt z Izbą Gmin nie dał się jednak odwrócić.

Wszystkie sprzeciwy, opory i emocje ześrodkowały się, jak bawełna strzelnicza, w nowym projekcie ustawodawczym, ustawie o licencji wyszynku. Ten ukochany cel dwudziestu pięciu lat reformatorskich wysiłków liberałów abstynentów, przeważnie nonkonformistów, którzy chcieli ograniczyć pijaństwo klas niższych, był długim wyborczym rżądem wobec nonkonformistycznych wyborców. Miał zmniejszyć liczbę oberży o trzydzieści tysięcy w ciągu czternastu lat przez utrzymywanie liczby koncesji w ustalonej proporcji do liczby ludności. Ponieważ oberże należały do spółek browarniczych i gorzelniczych, projektowi ustawy przeciwstawili się kapitaliści, nie mówiąc już o pijącej publiczności. Właściciele nieruchomości sprzymierzyli się z gorzelnikami: ustawa nabrała aspektu tak ponurego, jak

Ustawa o Autonomii, tak groźnego, jak socjalizm. Balfour oświadczył, że jest to bezpośredni atak na prawo własności, a konserwatyści zareagowali w podobny sposób jak klasa pracująca na chińskie niewolnictwo. Zwołano specjalne zebranie konserwatywnych parów w Lansdowne House przy Berkley Square. Wezwano wiejskich parów, tzw. szlachtę z lasów (*backwoodsmen*), z którymi zazwyczaj nie konsultowano się w żadnych sprawach z wyjątkiem spraw ich okręgów. Niektórzy z nich nigdy nie przemawiali w Izbie, niektórzy nigdy tam nawet nie byli i biorąc Lansdowne House za Izbę Lordów sądzili, że ustawa będzie tam teraz uchwalana. „Niektórzy z nas... spotkali się bezpośrednio po powrocie z polowania i mogli porównać uwagi o ubiegłym sezonie i podyskutować o prawdopodobnych zwycięzcach na wiosennych zawodach z przeszkodami”. Wszyscy zgodzili się, że ustawę należy odrzucić, i „zrobili przerwę na dobry lunch w Carlton Club”.

W tej sprawie mieli kraj za sobą, co wykazały uzupełniające wybory w Peckham, gdzie walka przebiegała pod znakiem licencji. Konserwatyści uzyskali tam przewagę dwóch tysięcy, jaką poprzednio mieli liberałowie. Ci ostatni nie interesowali się chwilowo popularnością, lecz samą zasadą. Arbitralne rozprawienie się z ustawą przez zebranie w Lansdowne House doprowadziło ich do wściekłości. W listopadzie 1908 roku, kiedy ustawa została formalnie odrzucona przez Izbę Lordów, Churchill, „nie posiadając się z wściekłości”, wyjawiał w prywatnej rozmowie, że zostało już postanowione, co liberałowie uczynią w odpowiedzi. „Przedstawimy w czerwcu taki budżet — powiedział — który ich przerazi; rozpoczęli walkę klasową, niech więc lepiej uważają”. W rzeczywistości ustawa o licencji wyszynku nie miała nic wspólnego z walką klasową i nie sama tylko walka klasowa, lecz coraz silniejszy nacisk nowej ery stanowił przyczynę niemiłej porażki liberałów.

W roku 1909, roku wielkiej batalii budżetowej, liberałowie zetknęli się z realiami świata, w którym trudno już było tworzyć nową Ziemię Obiecaną. Program liberałów nie zyskał poparcia klasy pracującej. Przeciwnie, świat pracy i liberałowie zaczęli się od siebie oddalać. Świat pracy pod wrażeniem rozmiarów własnej potęgi, jaką wykazały wybory roku 1906, stawał się bardziej agresywny; skoro tylko związki odzyskały swobodę działania dzięki ustawie o sporach pracowniczych, natychmiast znów zaczęły się strajki.

Liberałowie ze środowiska pracodawców reagowali jak pracodawcy. Nie działał już teraz żaden pakt i w trójpartyjnych wyborach uzupełniających w roku 1907 wygrała Partia Pracy. Zwycięstwo Victora Graysona, fanatycznego socjalisty, w zachodnim okręgu Yorkshire (West Riding) stwarzało przerażające perspektywy. Były student teologii, posiadający dar wymowy i skłonności do picia, głosił ideę socjalizmu, mającego wyzwolić ubogich, z żarliwością, która jak pożar ogarniała miasta fabryczne. Z powodu dzikich wybryków w Parlamencie został dwukrotnie zawieszony i ściągnął na siebie uwagę całej Europy. Podobno kajzer proponował, że wtargnie do Anglii z jednym lub dwoma korpusami wojska, nie jako wróg — jak twierdził — lecz jako wnuk Wiktorii, żeby oswobodzić Anglię „od socjalistycznej szajki, która rządzi krajem”. Przy współpracy króla Edwarda rozwiąże Parlament i przywróci autokratyczną monarchię jako lenno Niemiec.

Anglicy coraz wyraźniej zdawali sobie sprawę z groźby, jaką stanowią Niemcy. „Niebezpieczeństwo polega teraz na tym — pisał w 1908 roku lord Esher do przyjaciela — że w Europie mamy rywala groźniejszego od wszystkich dotychczasowych pod względem liczebności, intelektu i wykształcenia”. Konieczność spojrzenia niebezpieczeństwu w oczy stanowiła jeszcze jeden cios dla liberalnego credo. Tradycyjny pacyfizm liberalizmu został pogwałcony, gdyż Asquith i jego koledzy imperialiści w gabinecie, kierujący polityką zagraniczną, zgodzili się dać sir Johnowi Fisherowi cztery nowe pancerniki, tzw. *Dreadnoughts*. Konserwatyści, niezadowoleni, wykrzykiwali slogan „Chcemy ośmiu i nie będziemy czekać”. Ochotnicza armia rezerwowa Haldane'a również wywoływała oburzenie pacyfistów z jego partii, którzy uważali, że będzie zbyt kosztowna i pochłonie pieniądze przeznaczone na reformy społeczne. Mimo ich zastrzeżeń została jednak uchwalona, przy silnym poparciu króla. „Na pewno żyjemy w ciężkich czasach — żalił się król Edward — wierzę jednak, że pokój da się utrzymać, ale dlatego tylko, że Europa boi się wszcząć kroki wojenne”.

Temat inwazji zajmował myśli wszystkich, zarówno w sferach urzędowych, jak i w narodzie. Komitet Obrony Imperium powołał w 1908 roku Wywiad do Spraw Inwazji (Invasion Inquiry) i wezwał byłego premiera, aby wyraził swoje poglądy na zebrany przez ten wywiad materiał. Balfour wygłosił godzinne, „jasne” i logicznie uzasadnione exposé, „doskonałe pod względem formy i stylu”, które zdaniem Eshera, członka Komitetu,

„wprawiło w takie osłupienie” Asquitha, Greya, Haldane'a i Lloyda George'a, że żaden z nich nie potrafił zadać mu ani jednego pytania. „Panowało powszechne przekonanie, że nigdy dotychczas sprawy tej nie przedstawiono w równie znakomity sposób”.

Wniosek Komitetu, że nie ma obawy, by zorganizowana być mogła skuteczna inwazja, nie dostał się do publicznej wiadomości. Temat ten jednak szalenie wszystkich fascynował. Erskine Childers poruszył go w pasjonującej powieści *Zagadka piasków (The Riddle of the Sands)* w 1903 roku; z większą emfazą, choć z mniejszym artyzmem pisał o tym również William le Queux w powieści pod tytułem *Inwazja roku 1910 (The Invasion of 1910)*, która w 1906 roku wychodziła w odcinkach w „Daily Mail” ; reklamowali ją w Londynie ludzie ubrani w niebieskie pruskie mundury i pikielhauby. W 1909 roku odbyła się w Wyndham Theatre premiera sztuki Guya du Mauriera *Ojczyzna Anglika (An Englishman's Home)*, która przedstawiała w udratyzowany sposób inwazję wojsk „cesarza z Północy” ; sztuka ta szła przez półtora roku przy wypełnionej po brzegi widowni. Myśl o inwazji ogarnęła ludzi niemal jak psychoza. Henry James, mieszkający w Rye, na południowym wybrzeżu Anglii, czuł się „narażony”, jak w zdenerwowaniu pisał do swego przyjaciela w roku 1909: „Kiedy (nie użył słowa „jeżeli”) cesarz niemiecki doprowadzi do wojny w tym kraju, moje kominy, widoczne z morza z pewnej odległości, mogą stać się pierwszym jego celem”.

Perspektywa wojny przeczyła wszystkim ideom klasycznego liberalizmu, rząd musiał się jednak do tej sytuacji dostosować. Tymczasem szalała w kraju wojna płci. Ruch sufrażystek, który Charles Masterman uważał za „ujście dla tłumionej energii”, wyzwolił dziwną falę nienawiści mężczyzn i kobiet, wzajemny „płomień antagonizmu”, jak to nazwał H. G. Wells, podobny do innych niezwykle gwałtownych sporów gnębiących Anglię w pierwszej dekadzie dwudziestego stulecia. Wells uważał, że główny bodziec sufrażystek — tego mrowia „wściekle rozdrażnionych istot ludzkich” — stanowiła „mściwość”, wybuch oporu przeciw długotrwałemu, butnemu zagarnięciu władzy przez mężczyznę. Ich otwarta wojna zaczęła się zaraz po utworzeniu rządu przez liberałów; spowodowało ją wielokrotne odraczenie i odmawianie przez rząd wprowadzenia ustawy o nadaniu kobietom prawa wyborczego. Nie mogąc nic uzyskać środkami prawnymi, kobiety uciekły się do taktyki, będącej w zasadzie „propagandą czynu” i, jak jej pierwowzór, mającej charakter anarchistyczny. Sufrażystki pojawiały się na wszystkich

zebraniach politycznych, mimo środków ostrożności stosowanych przez portierów, i zagłuszały mówców dzwonieniem i krzykliwym domaganiem się głosu. Oblegały gmach Parlamentu i biura Whitehall, atakowały ministrów na progu domów — w jednym przypadku przewróciły ministra szkolnictwa, p. Birrella, i kopały go w łydki — rozbijały młotkami okna w domach towarowych, podpalały skrzynki pocztowe, docierały do sal obrad Parlamentu i przerywały debaty, przywiązując się do kraty galerii dla pań i krzycząc nieustannie: „Prawo głosu dla kobiet!”

W 1909 roku, za rządów liberalnych, doszło po raz pierwszy do przymusowego karmienia uwięzionych sufrażystek. Była to szczególnie wstrętna praktyka; cierpiały przy tym jak zwierzęta nie tylko ofiary, które wywołały ten zabieg strajkami głodowymi, ale i pracownicy, którzy go musieli wykonywać. Karmiono przy pomocy gumowych rur, wpychanych do żołądka przez usta, a niekiedy przez nos. Więźniarkę przywiązywano do krzesła, przytrzymywali ją strażnicy lub ktoś z obsługi kobiecej, a pompy żołądkowe właczały tymczasem siłą płynne pożywienie. Na wolności sufrażystki chodziły po ulicach niosąc tablice z napisami „Wstrzymać przymusowe karmienie!”, a jedna rzuciła się do nóg królowi w czasie dworskiego przyjęcia, wołając: „Wasza Królewska Mość, proszę, niech pan zechce wstrzymać torturowanie kobiet!” W więzieniach sufrażystki upierały się przy strajkach głodowych, które doprowadzały do takich praktyk. Irracjonalizm zwyciężał.

Po roku 1909 feministki, zbywane wciąż obietnicami Asquitha, że przeprowadzi ustawę o nadaniu kobietom prawa wyborczego, dawanyymi dla zapewnienia spokoju i nigdy nie dotrzymywanymi, przecinały obrazy w National Gallery, podpalały pawilony do krykieta, trybuny na wyścigach, uczęszczane hotele, a nawet kościoły. Przerywały nabożeństwa u Sw. Pawła i w Westminsterze, wpychały królowi petycje na dworze, wywoływały „przykre i przygnębiające” walki z policją, wymuszając swoje aresztowanie lub uwięzienie. Z szaleńczym hartem wytrzymywały głód i ból, narażały się na upokorzenia i brutalność; a w końcu, gdy Emily Davison rzuciła się pod kopyta koni w czasie Derby w 1913 roku — nawet na śmierć. Choć do ostateczności doszło dopiero w latach 1910-14, już w 1909 roku panował taki duch i rozpowszechniały się takie praktyki.

Mężczyźni, skądinąd przyzwoici obywatele, reagowali brzydko, jak pijak w sobotę wieczór bijący swoją żonę. Gdy zebranie w Albert Hall w grudniu

1908 roku zostało przerwane podczas przemówienia Lloyda George'a przez bojowniczkę, które krzycząc: „Czyny, nie słowa”, zdarły z siebie płaszcze i odsłoniły więzienne suknie, woźni, jak podawał „Manchester Guardian”, „oszaleli z wściekłości, rzucili się na kobiety wypędzając je z wielką brutalnością, walili nimi o krzesła, zrzucali ze schodów, ciągnęli za włosy”. W innych podobnych przypadkach umyślnie bito je w piersi. Możliwe, że furię taką wywoływało odrzucenie przez kobietę jej żeńskich powabów i zastąpienie ich atakiem jako środkiem do osiągnięcia celu, co odzierało ją z seksu. Wchodziły tu w grę sprawy zasadnicze. „Te megieiry, te bezpłciowe jędze, te dwunożne bestie”, grzmiał pewien nonkonformi styczny pastor, wyrażając więcej niż wszystkie artykuły wstępne. Niesamowita fizyczna wściekłość, jaką zrodziła walka kobiet o prawo głosu, była najbardziej niepokojącym zjawiskiem ery liberalizmu.

Około 1909 roku wzrastający pesymizm ogarnął liberałów i ich sprzymierzeńców. „Tysiąc smutnych i kłopotliwych zagadek” zastąpiło w jakiś dziwny sposób proste prawdy polityczne, pisał Masterman, wówczas członek rządu na stanowisku podsekretarza w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. W 1909 roku wydał książkę *Sytuacja Anglii (The Condition of England)*, pełną głębokiego zniechęcenia. Uważał świat za podzielony pionowo „między narody uzbrojone po zęby” i poziomo między bogatych i biednych. „Przyszłość postępu jest wciąż wątpliwa i niepewna. Ludzkość przypomina w najlepszym przypadku załogę rozbitego statku, która schroniła się na wąskim skalistym cyplu, uderzanym przez fale i wiatr; trudno powiedzieć, ilu, jeśli w ogóle, pozostanie przy życiu, gdy po długiej nocy nastąpi poranek”.

Masterman widział wokół zadowolone z siebie społeczeństwo, spoczywające w złudzeniu bezpieczeństwa, ale „ze wszystkich złudzeń początku dwudziestego wieku może najbardziej charakterystyczne jest złudzenie bezpieczeństwa”. Miast bezpieczeństwa dostrzegał „olbrzymią, nową siłę wynalazków technicznych, wrzenie ludu, społeczne niezadowolenie... ogromne narzędzia zniszczenia w rękach cywilizacji pozbawionej dostatecznej samokontroli”, w której „postęp materialny prześcignął postęp moralny”.

Inny członek rządu liberalnego, James Bryce, minister do spraw Irlandii, a od 1907 roku ambasador w Waszyngtonie, zniechęcił się do głównej idei swego życia: procesu demokratyzacji. W serii wykładów wygłoszonych w

1909 roku w Yale pod tytułem *Przeszkody dla cnót obywatelskich* przyznawał, że praktyka demokracji nie dorównuje teorii. Liczba umiejących czytać i głosujących zwiększyła się dwudziestokrotnie w ostatnich siedemdziesięciu latach, lecz „procent tych, którzy zastanawiają się, nim głosują, był za mały w stosunku do powszechności wykształcenia i rozszerzenia prawa wyborczego”. „Normalny, przeciętny człowiek” nie okazywał w sprawach publicznych wrodzonej mądrości, jaką według mniemania demokracji miał posiadać. Bardziej interesowały go zakłady na wyścigach niż głosowanie. Powróciło dawne zło — nienawiść klasowa, korupcja, zepsucie — i przybyło zło nowe. Choć świat bez wątpienia znajdował się w lepszych niż dawniej warunkach materialnych, wiara dziewiętnastego wieku w najwyższą mądrość rządu ludem przez lud spotkała się z „rozczarowaniem”. Wykłady w Yale stanowiły bolesne wyznanie człowieka, który przedstawiał się kiedyś jako „niemal zawodowy optymista”.

Filozofowie liberalizmu, rozglądając się wkoło, doszli do równie przykrego odkrycia, że nie sprawdza się zasada leseferyzmu, istota liberalistycznych poglądów. Wywołała ona różnego rodzaju zło, jak niewolnicza praca, bezrobocie i nędza, a liberalizm, nieprzygotowany do pełnej interwencji państwowej, o jakiej marzyli fabianie, nie umiał sobie z tym poradzić. Rząd liberalny, który doszedł do władzy w nowym stuleciu największą w historii partii większością głosów, nie potrafił wcielić w życie w ciągu trzech lat swoich wielkich obietnic z roku 1906. W roku 1910 liczba strajkujących była najwyższa od roku 1893. „Powoli zaczęliśmy tracić tę odrobinę zaufania” świata pracy, przyznał Haldane, i „to stawało się coraz bardziej widoczne”. J. A.

Hobson i L. T. Hobhouse, zajmujący się filozofią ekonomiczną i moralną planowania społecznego, doszli do wniosku, że ani człowiek, ani społeczeństwo nie działają prawidłowo. W pracy *Kryzys liberalizmu (The Crisis of Liberalism)*, opublikowanej w roku 1909, Hobson pisał, że jeśli liberalizm brytyjski nie potrafi odegrać bardziej Pozytywnej roli, „wówczas będzie skazany na ten sam rodzaj impotencji, jaka już ogarnęła liberalizm w większości krajów europejskich”.

Hobhouse i kilku innych badaczy martwiło się tym, że człowiek nie chce zachowywać się rozsądnie, choć leży to jak najbardziej w jego własnym interesie. Niepokój wywoływał niski poziom reakcji politycznej ludności,

poczytność prasy sensacyjnej i nowe zjawisko masowego zainteresowania sportami widowiskowymi. Idea Henriego Bergsona, że człowieka pobudza siła, którą nazwał *élan vital*, dała początek nowej nauce, psychologii społecznej, mającej zbadać rolę emocji i instynktu jako podstawy ludzkiego postępowania. Spośród angielskich studiów na temat oddziaływania psychiki jednostek na sprawy publiczne stosunkowo wielki wpływ wywarło dzieło Hobhouse'a *Demokracja i reakcja (Democracy and Reaction)*, opublikowane w roku 1904. Hobhouse, wykładowca z Oxfordu, tak głęboko zainteresowany ruchem robotniczym, że opuścił uniwersytet dla redakcji „Manchester Guardian”, stwierdził, że człowiek „nie ma czasu myśleć i nie zada sobie tego trudu nawet, jeśli będzie miał czas”. Jego opinie odzwierciedlają wiernie „brukowe pismo i wykrzykującego gazeciarza... Bezcelowe jest zwracanie się do tej nowej publiczności z ulicy i tramwaju w kategoriach rozsądku”.

Taki właśnie był tłum krzyczący: „Warkocz”; zjawisko stadnej reakcji uznano nagle za fakt. Kolumbem, który dokonał tego odkrycia, był chirurg Wilfred Trotter; nadał on temu zjawisku nazwę i status przedmiotu badań naukowych i zakończył swą pierwszą wyprawę w domenę socjologii najbardziej pesymistycznym zdaniem, jakie kiedykolwiek napisano. „Spokojny człowiek”, jak opisywał go jeden z przyjaciół, o rozległych zainteresowaniach filozoficznych, literackich i naukowych, Trotter, który w roku 1908 miał trzydzieści sześć lat, uznany został trzydzieści lat później za „największego brytyjskiego chirurga w tym stuleciu”. Miał „głowę i twarz uczonego, a jego surowość rozpraszał uśmiech pełen wielkiego wdzięku i szczerości”. W swoich dwóch esejach o instynkcie stadnym, opublikowanych w roku 1908 i 1909 w „Sociological Review”, stwierdził, że społeczne zachowanie człowieka wywodzi się z tego samego ciemnego i groźnego źródła podświadomości, którego odkrycie wyznaczyło koniec epoki wiktoriańskiej. Uważał podświadomość za siłę pozbawioną „wszelkiej indywidualności, woli i samokontroli”. Jest „irracjonalna, naśladowcza, tchórzliwa, okrutna... i sugestywna”. Ze względu na swe wrodzone pragnienie aprobaty ze strony grupy człowiek jest na łasce tej irracjonalnej siły i podlega reakcji stadnej. W przeciwieństwie do Kropotkina, który w dziele *Pomoc wzajemna* przyjął założenie, że instynkt stadny jest dobrotliwy, Trotter uważał ten czynnik za niebezpieczny, ponieważ jego działanie jest nieświadome i irracjonalne. „Nie trzeba wiele wyobraźni — pisał na końcu — aby się zorientować, jak wielkie jest prawdopodobieństwo, że człowiek

okaże się w końcu jeszcze jednym kiepskim tworem natury”.

Instynktem stadnym zajmowali się w 1908 roku dwaj inni badacze, William McDougal w *Psychologii społecznej (Social Psychology)* i Graham Wallas w dziele *Natura ludzka w polityce (Human Nature in Politics)*. Życie i myśli Wallasa absorbowało Wielkie Społeczeństwo; taki tytuł nosi jego książka opublikowana w 1914 roku. Wraz z Shawem i Webbami należał jako czwarty do fabiańskiej junty aż do roku 1904, kiedy wycofał się, protestując w ten sposób przeciw popieraniu przez nią reformy celnej. Wallas, członek Rady Hrabstwa Londynu, przewodniczący Londyńskiej Rady Szkolnej, założyciel Londyńskiej Szkoły Ekonomicznej i profesor nauk politycznych był — jak to sam określił — „pracującym myślicielem”. Wells opisywał go jako „człowieka nieco niechlujnego, trochę pedantycznego, o szlachetnym umyśle”, z wąsami i pince-nez; jego wykłady, choć rozwlekłe i drobiazgowo, byty „wnikliwie i pobudzające”. Inny student, G. D. H. Cole, uważał go za najbardziej inspirującego wykładowcę, jakiego kiedykolwiek słyszał. W swym dziele *Natura ludzka w polityce* Wallas rozpatrywał dowody wykazujące, że człowiek nie działa zgodnie z racjonalnymi przesłankami. Miał nadzieję, że nowe metody psychologii i socjologii wskażą drogę ku najbardziej światłemu zachowaniu w interesie ludzkości.

Wallas nie chciał się zgodzić z implikacjami darwinizmu, który niejako wybaczał i akceptował wrodzoną agresywność natury ludzkiej, i nie chciał skazywać ludzkości na bezwzględną walkę jako warunek postępu. Przewidywał jednak, że jeśli element irracjonalny nie zostanie opanowany, narody przystąpią do szeregu wojen międzyimperialnych, aż zostanie tylko Anglia i Chiny, i w końcu, po „morskim Armageddonie na Pacyfiku istnieć będzie tylko jedno imperium”, a mieszkańcy globu w liczbie o połowę mniej szej będą musieli zaczynać wszystko od nowa. Proces ten jakoby już się zaczynał, gdyż „Niemcy i my maszerujemy ku okropnościom wojny światowej” tylko dlatego, że uczyniwszy realne istoty z Narodu i Imperium, solidaryzujemy się jedynie z nimi”.

Budżet Lloyda George'a na rok 1909 został przedłożony celowo, jak zapalnik, aby wywołać jeden z wielkich sporów, które, zdaniem pewnego uczestnika, spowodowały, że okres rządu liberałów stał się „tak bezprecedensowo swarliwy i nieprzyjemny”. Wobec spadku prestiżu

liberałów ich przywódcy mieli świadomość, że bez jakiejś popularnej sprawy mogą przegrać najbliższe wybory. Ludzie zaczęli już obliczać, jak pisał Gardiner, „kiedy nastąpią wybory i ile stracą liberałowie”.

Lloyd George jako minister skarbu miał zapewnić na rok 1909 dodatkowe wpływy 16 000 000 funtów — z czego jedna trzecia miała pokryć koszty ośmiu pancerników typu *Dreadnought*, na które rząd się zgodził, a dwie trzecie przeznaczone były na koszty wprowadzenia w życie ustawy o emeryturach. Zdecydował się uzyskać tę sumę przez program opodatkowania bogatych, który — choć rozsądny i nie zagrażający własności — został zredagowany jak najbardziej prowokacyjnie, aby doprowadzić Lordów do odrzucenia go i wywołać spór: parowie contra naród. Budżet podwyższał podatek dochodowy w skali progresywnej od 9 pensów do 1 szylinga 2 pency od funta ze specjalnym podatkiem dodatkowym od dochodów powyżej 5 000 funtów. Już kiedy w pierwszym budżecie liberałów podniesiony został podatek dochodowy do 11 pensów od funta, córka diuka Rutlanda wspominała: „Myśleliśmy wszyscy, że papa umrze. Tak zszarzał, jakby nie miał już przyjść do siebie”. Nowy budżet podwyższył podatek spadkowy do maksimum 10 procent od majątków wartości 200 000 funtów i powyżej, wprowadził podatek od samochodów i benzyny, który w owym czasie uderzał tylko w bogatych, a także podatek od tytoniu i alkoholu, przy czym ten ostatni okazał się politycznym błędem.

Reakcji nie spowodował jednak żaden z tych środków, natomiast podatek w wysokości jednej piątej od „niezasłużonego dochodu” z ziemi w przypadku jej sprzedaży lub dziedziczenia oraz roczny podatek pół pensa od funta od ziemi nieuprawnej i uprawnień kopalnianych wywołał szalone oburzenie całej klasy obszarnej, jak to było zamierzone. Postanowienia o ziemi wymagały rejestracji i wyceny posiadłości, co właściciel ziemski uważał za pogwałcenie przez państwo własności prywatnej, podobnie jak wejście bailiffa za próg domu. Lloyd George starał się to wyjaśnić za pomocą publicznych drwin i apeli do pospólstwa tak krzykliwych jak oplakiwanie ran Cezara przez Marka Antoniusza. Personifikując wroga jako „tych diuków”, powiedział do czterotysięcznej robotniczej publiczności w Limehouse na londyńskim East Endzie: „Pełne utrzymanie diuka kosztuje tyle, co dwa pancerniki... jest tak samo przerażające i trwa dłużej”. Gdy rząd potrzebował pieniędzy na zapłatę za pancerniki, ciągnął dalej, „obeszliśmy z kapeluszem w rękę robotników. Wszyscy wrzucili swoje miedziaki”. Ale kiedy „posłowie

i ja pukamy do drzwi Belgravii” i „prosimy wielkich obszarników, żeby dali coś, co uchroniłoby od przytułku starzejących się górników, mówią: «Tylko pół pensa, tylko miedziaka», i wypuszczają na nas swoje psy; można co dzień usłyszeć ich szczekanie... Bardzo to źle, że stary robotnik musi wędrować do grobu zakrwawiony, z otartymi stopami, przez ciernie i kolce nędzy. Wytyczyliśmy dla niego nową ścieżkę, łatwiejszą i przyjemniejszą, przez falujące łąny zboża”.

Jako minister królewski tylko Lloyd George mógł się popisać takimi wystąpieniami bez rumienienia się. Premier, jeśli nawet był zakłopotany, nie okazał tego, co zaniepokoiło króla Edwarda; nie ukrywał, że „nie może zrozumieć, dlaczego Asquith milcząco zezwala” na przemówienie, które „kilka lat temu nie byłoby tolerowane przez żadnego premiera”.

W sprawie budżetu wybuchła burza, tak właśnie jak jego autorzy sobie życzyli. Przywódcy konserwatywni protestowali z głośnym krzykiem. Lord Lansdowne nazwał Lloyda George'a „drapieżną mewą”, Chaplin potępił budżet jako pierwszy krok w socjalistycznej walce przeciw własności, Stowarzyszenie Prawnicze oświadczyło, że podatek od ziemi jest niesprawiedliwy i niewykonalny, zebranie finansistów z City pod przewodnictwem lorda Rothschilda zaprotestowało przeciw wycenianiu posiadłości przez „nieodpowiedzialne trybunały”, takie jak te, przez które , jeden ze Stuartów zapłacił głową, drugi tronem”. Diuk Norfolk oznajmił, że będzie musiał sprzedać Holbeina, którego pożyczył National Gallery, hrabia Onslow wystawił na sprzedaż część swojego majątku w Surrey, a Kipling w historycznym poemacie *The City of Brass* odmalował Anglię jako kraj nękany przez siewców nienawiści d uginający się pod ciężarem danin; muszą je płacić „wszyscy, którzy się mozolili czy wysilali i gromadzili”, w końcu kraj ten, nie mając obrońcy, „opuści poczet narodów i poddając się padnie jak długi!” Lord Rosebery, występując również w roli Kasandry, powiedział, że nie jest to „budżet, ale rewolucja”. Ukrywa się pod tym „głębokie, wyrafinowane, podstępne niebezpieczeństwo socjalizmu”, a socjalizm oznacza „koniec wszystkiego... wiary, rodziny; własności, monarchii, Imperium”. Jego przemówienie wygłoszone na zebraniu przedsiębiorców w Glasgow czytano nazajutrz „z największą radością na wszystkich przyjęciach w rezydencjach wiejskich w Anglii, Szkocji i Walii”.

Nowy poseł labourzystowski, Philip Snowden, który sam miał później zostać ministrem skarbu, powiedział, że musi się uczynić bogatych

biedniejszymi, aby móc wzbogacić biednych, i że budżet jest początkiem demokratycznych rządów. Balfour zareplikował, że „nie można zlikwidować ubóstwa przez zlikwidowanie bogactw” i „nie wolno łączyć demokracji z rabunkiem”. Diuk Rutland, bliski apopleksji, zaproponował, żeby zakneblować usta wszystkim posłom Partii Pracy. Widząc przybierające na sile roznamiętnienie, król musiał przyznać, że „głupie i małoduszne przemówienia i wypowiedzi” właścicieli ziemskich i kapitalistów wyrządzają olbrzymie szkody.

Wszyscy, nawet prości ludzie, zdawali sobie sprawę, że chodzi o weto, a nie o budżet. Kiedy tego lata koń Minoru wygrał Derby, ktoś z tłumu wiwatujących zawołał: „Teraz, królu, kiedy wygrał pan Derby, niech pan idzie do domu i rozwiąże ten cholerny Parlament!” Churchill przemawiając we wrześnie w Leicester wyraził zadowolenie z walki, bo pozwoli ona może „obalić” weto, jeśli Izba Lordów odrzuci ustawę budżetową. Balfour sprowadził sprawę do postanowień o oszacowaniu ziemi, które, jako „przymusowa rejestracja”, znalazły się, jego zdaniem, nielegalnie w ustawie budżetowej: „Jak śmie pan określać to jako ustawę budżetową?” W rzeczywistości, jak podkreślił to kiedyś lord Salisbury przy okazji wcześniejszego budżetu, nie istniała żadna konstytucyjna przeszkoda dla odrzucenia przez Izbę Lordów ustawy budżetowej — istniała jedynie przeszkoda praktyczna: nie mogli odrzucić razem z nią aktualnego rządu. Odrzucenie budżetu i pozostawienie rządu u władzy stworzyłoby sytuację bez wyjścia. Gdyby do tego doprowadzono, rząd mógłby doradzić królowi, aby mianował tylu nowych parów, ilu trzeba by było dla uzyskania większości liberałów w Izbie Lordów, nawet pięciuset w razie potrzeby — potop, który zalałby parostwo dziedziczne. Wśród konserwatystów panowały jednak nastroje przeciwne kompromisowi. Działać śmiało, powiedział lord Milner, i „Do diabła z konsekwencjami!” Przy współdziałaniu i za poradą Balfoura taką właśnie powzięto decyzję.

„Cały świat polityczny trzęsie się z podniecenia”, pisała w swym dzienniku Beatrice Webb, czy Izba Lordów odrzuci budżet, czy nie. Debata w Izbie Lordów rozpoczęła się 22 listopada i trwała dziesięć dni. Żony parów i goście, w tym król Portugalii, szczelnie wypełnili galerie, przyjechali ze wsi starzy parowie, którzy „nie mogli nawet trafić do budynku Parlamentu”; zasiadło ogółem czterystu parów, największa ilość od czasu odrzucenia Ustawy o Autonomii. Członkowie arystokracji, począwszy od sędziwego

byłego ministra sprawiedliwości, lorda Halsbury, aż po młodego lorda Willoughby de Broke'a, rzecznika grupy wiejskiej, wszyscy oświadczyli, że ich obowiązkiem wobec kraju jest odrzucenie projektu ustawy. Lord Ribblesdale, liberał, nie ukrywał swojej niechęci do Lloyd'a George'a, tego „pół kłowna, pół rozbójnika”, ale nie widział w budżecie nic prawdziwie socjalistycznego i nie uważał, aby kraj ucierpiał poważnie wskutek „szlochów ludzi zamożnych”. Jeśli doszłoby do głosowania, zamierzał głosować z rządem.

Lord Rosebery, przy całej swojej odrazie, radził raczej przyjąć budżet, niż ryzykować „samo istnienie drugiej Izby”. Punkt kulminacyjny stanowiło przemówienie lorda Curzona, o którym pewien głęboko wzruszony par powiedział, że w Izbie Lordów od czterdziestu lat nie słyszano tak dobrego przemówienia. Curzon twierdził, że rząd zamierza wprowadzić postanowienia, jakie mu odpowiadają, i zakładając, że dadzą się one ukryć pod płaszczykiem ustawy budżetowej, zmusić Izbę Lordów do uchwalenia ich — „żądanie rewolucyjne i nie do przyjęcia”, równające się właściwie jednoizbowym rządóm. Mimo konsekwencji, radził odrzucić projekt w nadziei, że doprowadzi to do zreformowania Izby Lordów, która działałaby jako „istotny organ konstytucyjny”, a nie „jako widmo jedynie, które uczyniono równie bezsilnym, co śmiesznym”.

Głosowanie zostało wyznaczone na 1 grudnia 1909 roku; lordowie jeden po drugim wchodzili uroczyście do przeznaczzonego na ten cel westybulu. Uchwałę o odrzuceniu powzięto 350 głosami przeciw 75. Następnego dnia wśród wielkiego entuzjazmu w Izbie Gmin premier oświadczył, że nastąpiło pogwałcenie konstytucji, że rząd zwróci się do kraju, i wezwał do rozwiązania Parlamentu. Balfour, zazwyczaj swobodnie wyciągnięty w ławie opozycji, teraz zaziębiony, zakaszał, poklepał się po piersiach, zażył pigułkę i wdychał jakiś środek orzeźwiający.

Przygotowując się do nowych wyborów rząd Asquitha opracował projekt Ustawy Parlamentarnej, mającej znieść prawo weta Izby Lordów; spodziewał się wprowadzić tę ustawę po powrocie do władzy. Przewidywała ona, że projekty ustaw, określone przez przewodniczącego jako projekty ustaw budżetowych, nie podlegają prawu weta, a inne projekty, jeśli przejdą na trzech kolejnych sesjach Izby Gmin, staną się ustawą niezależnie od zgody Izby Lordów. W Londynie opowiadano sobie o mianowaniu nowych parów: każdy, od poety do handlarza herbatą, „nawet Hilaire Belloc”, jak złośliwie

zauważył Wilfrid Blunt, wyobrażał sobie, że hrabiowska korona uwieńczy mu skronie. Asquith tymczasem rozpuszczał zupełnie bezpodstawne pogłoski o gwarancjach, jakie rzekomo otrzymał od króla.

W okresie kampanii wyborczej, w styczniu 1910 roku, stało się jasne, że Lloyd George przegrał mimo swych oratorskich wypadów przeciw diukom. Ludzie nie wpadali w podniecenie z powodu parów, Haldane przyznał, że 40 procent wyborców było niezdecydowanych, 20 procent „całkowicie obojętnych”, krótko mówiąc, powracała normalna sytuacja. Alfred Austin, spędzający wakacje we Francji, traktował wybory z niezwykłą powagą. Wiedząc, że w jego okręgu nic nie grozi konserwatystom, nie uważał za konieczne wrócić i oddać głos, ale wyniki podawano mu co dzień telegraficznie z Carlton Clubu. W kraju, pisała Beatrice Webb, „czekamy wszyscy z zapartym oddechem na wynik wielkiej walki”. Wynik okazał się niefortunny dla wszystkich. Liberałowie wprawdzie powrócili do władzy, lecz mieli tak nikłą większość, że ponownie popadli w zależność od Irlandczyków. Partia Pracy, sparaliżowana orzeczeniem Osborne'a, że korzystanie z funduszy związkowych dla celów politycznych jest nielegalne, straciła dziesięć mandatów. Konserwatyści zyskali 105 mandatów, co wystarczyłoby do zwycięstwa, gdyby nie to, że zaczęli od bardzo niskiego poziomu. Obydwie strony znalazły się w pułapce. Liberałowie potrzebowali głosów Irlandczyków, żeby przepchnąć budżet, a Irlandczykom budżet się nie podobał z powodu podatku od whisky. Chcąc uzyskać ich poparcie, Asquith musiał obiecać, że obali prawo weta Izby Lordów, aby utorować drogę Ustawie o Autonomii. Przez cztery lata sprawowania rządów liberałowie ani razu nie przedstawili projektu Ustawy o Autonomii, lecz teraz stało się to, jak powiedział przewodniczący Izby Gmin Lowther, „najważniejsze w całej sytuacji”. Irlandczycy, nie występujący już w roli pozbawionych nadziei petentów, wydawali się „groźni i potężni”, a związek między obydwojma sprawami stał się „bezpośredni, oczywisty i niewątpliwy”. Rząd, czy mu się to podobało, czy nie, musiał teraz doprowadzić walkę do samego końca — do mianowania parów lub przynajmniej do obietnicy króla, że ich mianuje. Od tej chwili rozgoryczenie rosło, aż osiągnęło takie natężenie, jak nigdy od czasu ustawy o reformie systemu wyborczego.

Asquith przedstawił oficjalnie projekt Ustawy Parlamentarnej w lutym 1910 roku, zapowiadając równocześnie, że jeśli Izba Lordów jej nie uchwali,

poprosi króla o podjęcie koniecznych kroków. Zawrzało wówczas od negocjacji i intryg, nacisków na króla, udzielanych mu rad, zakulisowych targów między wewnątrzpartyjnych, wizyt i konsultacji w rezydencjach wiejskich, konferencji z arcybiskupem Canterbury. Budżet; przyczyna tego wszystkiego, został uchwalony prawie niepostrzeżenie, jak to obiecywał Lansdowne na wypadek wygrania wyborów przez liberałów. Ale o budżecie teraz zapomniano, jako kwestia sporna zastąpiła go Ustawa Parlamentarna, wlokąc za sobą absurdalny cień pięciuset nominowanych parów. Sprawa ta, choć sama w sobie nieistotna, pochłaniała miesiącami wysiłki, namiętności i największe talenty polityczne królestwa — ministrów i opozycji. Nie chodziło tu o podstawowe zagadnienie praw człowieka i sprawiedliwości, jak w sprawie Dreyfusa. Liberałowie twierdzili, że Izba Lordów może udaremnić wolę Izby Gmin, lecz w rzeczywistości, jak przyznał Herbert Samuel, „prawdą jest, że przyjęła prawie całe nasze ustawodawstwo socjalne”, z wyjątkiem ustaw o szkolnictwie i o licencji wyszynku, z których pierwsza stanowiła połączenie kompromisów, nie zadowalające nikogo, a w drugiej nie chodziło o sprawę, dla której warto by obalić brytyjską konstytucję. Do gwałtownych ataków pchała liberałów żądza odwetu za nie zrealizowany program i za zaprzeczenie się Irlandczykom. Czuli się usprawiedliwieni, ponieważ ich zdaniem Izba Lordów była, jak wyraził się Masterman, instytucją, która „dopuszcza do zmian, do jakich czuje głęboką niechęć, tylko wtedy, gdy zmusi ją strach... Nie może zrobić wiele więcej, niż zmieniać, hamować lub niszczyć dzieło innych ludzi. Nie ma żadnej konstruktywnej propozycji do zaoferowania narodowi stojącemu wobec trudnych problemów”.

Konserwatyści, którzy postanowili zachować ostatnie pozycje przywilejów, stawiali równie gwałtowny opór. Utracić prawo weta lub utracić konserwatywną większość w Izbie Lordów znaczyło stracić ostatnią zapórę przeciw natarciu klas atakujących. Masterman, zdając sobie sprawę także z ich punktu widzenia, pisał, że osiągnięcie władzy przez pospólstwo to dla nich potop. „Uważają naszą cywilizację za skrawek ziemi wydarty puszczy, zachowywany jak gdyby cudem z dekady na dekadę”, a napór pospólstwa za najście na spokojny ogród tłumy, który „wyrywa kwiaty z korzeniami... rozrzuca papierki i rozbite butelki”. Opór lordów osłabiał jednak rozłam w ich szeregach. Balfour, jako przywódca partii, prowadził politykę mającą za wszelką cenę uchronić Izbę przed mianowaniem takiej liczby parów, która skreślałaby Izbę Lordów dając na stałe większość liberałom. W jego

pojęciu oznaczałoby to „rewolucję”. Za mniejsze zło uważał utratę prawa weta, to znaczy przyjęcie Ustawy Parlamentarnej. Przeciwni temu pogładowi parowie zaczęli organizować się w grupę i nazwali się sami, jak pewien sławny pułk, „Niezlomnymi” („Diehards”). Szermierzem tej grupy i jej symbolem był ten „stary kogut z rasy walczących” lord Halsbury, a aktywnym organizatorem lord Willoughby de Broke, dziewiętnasty baron swojej linii, jeden z osiemnastu członków Izby Lordów, których tytuł pochodził sprzed roku 1500. Zanim tytuł ten odziedziczył, zasiadał w Izbie Gmin; oprócz zmysłu do polityki posiadał „niewyczerpaną energię oraz wybitny talent do wygłaszania przekonujących i zabawnych przemówień”. Miał wtedy czterdzieści dwa lata, odznaczał się dowcipem i wdziękiem; ojciec jego na łożu śmierci wyraził życzenie, aby syn uczynił wszystko „dla zapobieżenia używania samochodów do czegokolwiek, co miało coś wspólnego z polowaniem”, a dziadek „głosował niestrudzenie przeciw Ustawie o Reformie i wielokrotnie bronił do upadłego istniejącego ładu, walcząc na ostatnim szancku, lub raczej w ostatnim lobby”. Willoughby de Broke uważał industrializm i demokrację za siły, które „podziały fatalnie na szeroki ogół”, używał w rozmowie przenośni z polowań i wyścigów i rzucał się wkoło jak wyżeł, żeby zebrać backwoodsmen. W skierowanym do nich piśmie okólnym lord Halsbury wzywał każdego para, „aby zajął stanowisko w sprawie swoich konstytucyjnych, dziedzicznych uprawnień i oparł się zdecydowanie jakimkolwiek zagrażającym im manipulacjom”.

W momencie najsilniejszych manewrów wokół osoby panującego król Edward zmarł nagle i niespodziewanie. Ekstremiści torysowscy twierdzili, że to złośliwość rządu spowodowała śmierć króla, i uznali liberałów za królobójców. Wszyscy mieli wrażenie, jakby zerwała się kotwica i jakby skończył się uznany porządek rzeczy. Ludziom zdawało się, że duża, swojska postać króla stała między Anglią a zmianami, między Anglią a zewnętrznymi niebezpieczeństwami. Wielką popularność zyskała piosenka śpiewana przez posługaczkę w *Pelissier's Follies* w 1909:

Nie będzie wojny,

Póki żyje król jak nasz dobry król Edward.

Nie będzie wojny,

*Bo on nie znosi takich rzeczy!
Matki nie muszą się martwić,
Póki mamy króla jak nasz dobry król Edward.
Pokój i Honor
To jego dewiza.
Niech więc Bóg strzeże króla!*

Kiedy zmarł, ludzie oczekiwali zmian na gorsze. „Zawsze miałem wrażenie — powiedział ktoś z jego współczesnych — że to on w jakiś sposób trzymał wszystko razem”.

Poeta Laureat w okolicznościowym wierszu wzywał Anglików, by zaprzestali „fatalnych sporów” i „kłótliwych wrzasków”, a ogłosili „zawieszenie broni”. Pragnąc uniknąć kryzysu rządowego w chwili, gdy nowy król wstępował na tron, partie zgodziły się podjąć próby porozumienia na konferencji konstytucyjnej, w której uczestniczyło czterech przywódców z każdej strony, w tym Asquith, Lloyd George, Balfour i Lansdowne. Na dwudziestu jeden posiedzeniach w ciągu lata i jesieni 1910 roku dyskutowali oni i targowali się, zastanawiali się nad ewentualnością powszechnego referendum i byli już bliscy ugody, do której jednak w ostatniej chwili nie doszło z powodu Ustawy o Autonomii. Konferencja wykazała przynajmniej, że sama Ustawa Parlamentarna nie stanowiła sprawy zasadniczej, lecz politycy nie chcieli lub nie mogli się wyplątać z walki. Próbował tego Lloyd George, zdecydowany realista.

Ponieważ założenia zupełnie się teraz pogmatwały, wystąpił do Balfoura, proponując koalicję, która uwolniwszy się od presji ekstremistów obydwu stron, mogłaby rozwiązać sprawę weta i sprawę irlandzką. Przyznał uprzejmie, że on sam, podobnie jak Balfour, wcale nie pragnie mianowania nowych parów, ponieważ „spoglądając w przyszłość zdaję sobie sprawę, że nasi nobiletowani kupcy będą nastawieni bardziej wrogo do reform społecznych niż wasza szlachta z lasów”. Jak się przypuszcza, Lloyd George podjął pierwsze próby rokowań z Balfourem bez wiedzy Asquitha, możliwe jest zatem, że zamierzał utracić premiera, co zrobił w końcu sześć lat później. Gdy Asquith został poinformowany o tej propozycji, nie przyłączył się do

niej ani jej nie zakazał, lecz pozostał na uboczu, wierny swojej zasadzie „czekać i patrzeć”.

Balfour odmówił jednak, wychodząc z założenia, że brytyjski system rządu opiera się na wzajemnej kontroli i równowadze dwóch partii i że koalicja jest usprawiedliwiona jedynie w krytycznej sytuacji kraju, takiej jak wojna. Nie wierzył on naprawdę, że liberałowie mogliby zmusić króla do dania im niezbędnego przyrzeczenia, a w każdym razie uważał, że Ustawa Parlamentarna „wyrządzi mniejszą rzeczywistą szkodę powszechną” niż mianowanie parów. Ponadto sądził, że jeśli dostateczna ilość konserwatywnych parów wstrzyma się od głosowania, ilość nowo mianowanych parów da się utrzymać w granicach pewnego minimum, nie wystarczającego do „rewolucji”, jaką byłaby stała większość liberałów.

Kiedy zawiodła tak konferencja, jak koalicja, zarządzono w grudniu 1910 wybory powszechne, drugie w ciągu tego roku. Przy niewzruszonej apatii ludności wyniki okazały się takie same jak przy poprzednich wyborach, z tą tylko różnicą, że liberałowie stracili dwa mandaty. Kraj, jak pisał Wilfrid Blunt, „zbyt mało interesuje się Izbą Lordów, aby robić z tego powodu rewolucję”.

Asquith, stosując przed wyborami rozsądne zastraszanie, zdołał uzyskać brzemienne w skutki obietnicę mianowania nowych parów od króla Jerzego, którego zdezorientowały sprzeczne rady i przebiegłe manewry doradców. Okropna perspektywa, że dziedzicznych parów Anglii zaleje „batalion parów mianowanych w nagłej potrzebie”, samych liberałów, nie podobała się nikomu, a jeszcze mniej pociągająca wydawała się perspektywa narażenia się na śmieszność wobec całego świata. Rząd kroczył jednak dalej, po części dlatego że nie mógł się już zatrzymać, a po części ponieważ wierzył, że kiedy nadejdzie chwila próby, lordowie będą woleli stracić prawo weta, niż pozwolić się zdublować przez klasę średnią. W pewnym stadium tej procedury — nie określonym dokładną datą — Asquith sporządził lub polecił sporządzić listę około 250 nazwisk do zbiorowej nobilitacji, które, choć znajdował się wśród nich sir Thomas Lipton, nie zasługiwały zupełnie na szyderczą uwagę Lloyda George'a o nobilitowanych kupcach. Wraz z Liptonem na liście znalazł się szwagier Asquitha H. J. Tennant oraz jego oddany wielbiciel i późniejszy biograf J. A. Spender, a także sir Edgar Speyer, Bertrand Russell, generał Baden-Powell, generał sir Ian Hamilton, jurysta sir Frederick Pollock, historycy: sir George Trevelyan i G. P. Gooch,

południowoafrykański milioner sir Abe Bailey, Gilbert Murray, J. M. Barrie, Thomas Hardy i Anthony Hope, autor *Więźnia z Zenda (The Prisoner of Zenda)*.

W lutym 1911 roku ponownie przedstawiono Ustawę Parlamentarną w Izbie Gmin przy akompaniamencie „ryku radości, który zawierał nie tylko nutę triumfu, ale i zdecydowania, determinacji”. „Jesteśmy śmiertelnie poważni — pisał Herbert Samuel — i będzie nam bardzo na rękę, jeśli Izba Lordów odrzuci ustawę”. Ustawa uchwalona w maju przez Izbę Gmin została w normalnym trybie przesłana do rozpatrzenia „gdzie indziej”.

W czerwcu wybuchł wielki strajk transportowy, który rozpoczął okres poważnej wojny w przemyśle. Stanowił on przejście od indywidualnych „sporów pracowniczych” do akcji według syndykalistycznego wzoru, gdzie uderzenie robotników nie kierowało się przeciw indywidualnemu pracodawcy, lecz przeciw całej gałęzi przemysłu. Robotników niewykwalifikowanych zniechęcały metody polityczne, gdyż nie przyniosły im podwyżki płac; buntowali się też przeciw kierownictwu partii, które znalazłszy się już w Westminsterze, utonęło całkowicie w rozgrywkach parlamentarnych, przy czym MacDonald wypierał stopniowo Keira Hardie. Masy robotnicze pragnęły konkretnych zdobyczy w postaci podwyżki płac i uznania swoich związków przez pracodawców. Domagały się bezpośredniej akcji i stawały się coraz bardziej agresywne. We wcześniejszym o kilka miesięcy strajku trzydziestu tysięcy górników węglowych w Rhondda Valley zaatakowane zostały posiadłości właścicieli kopalń. Ben Tillett i Tom Mann, przywódcy pierwszego wielkiego strajku dokerów w 1889 roku, głosili teraz doktrynę syndykalizmu, zaczerpniętą od Sorela i z francuskiej CGT; łączyła ona wiarę w rewolucję z trade-unionizmem i odrzucała akcję polityczną na rzecz strajku generalnego jako broni ostatecznej. Mannowi i Tillettowi udało się z trzydziestu sześciu związków marynarzy, palaczy, kucharzy i stewardów, dokerów i woźniców zorganizować jedną Krajową Federację Pracowników Transportu. Gdy armatorzy odmówili prowadzenia negocjacji z tą federacją, ogłoszono w czerwcu strajk. Trwał on siedemdziesiąt dwa dni i objął 77 000 ludzi. Kiedy z Londynu rozszerzył się na Liverpool, Hull, Cardiff, Bristol i Southampton, stanął cały ruch we wszystkich prawie portach, a w ślad za nim nastąpiły zamieszki, grabieże i podpalanie. „To rewolucja! — zawołał pewien podniecony pracodawca do urzędnika

Ministerstwa Handlu. — Ludzie mają nowych, nie znanych dotychczas przywódców, nie wiemy, jak z nimi postępować”.

W tym krytycznym momencie, 1 lipca, niemiecka kanonierka „Panther” przybyła do Agadiru w Maroku, przyspieszając międzynarodowy kryzys, który przez kilka tygodni balansował na krawędzi wojny. W sierpniu, w samym środku kryzysu, do strajku marynarzy i dokerów przyłączyły się cztery związki kolejowe, grożąc całkowitym zatrzymaniem transportu. Minister spraw wewnętrznych, Winston Churchill, dostarczył konwoje wojskowe celem podtrzymania ruchu najważniejszych pociągów i wysłał wojsko do ośrodków strajkowych. Nastąpiły nieuniknione starcia; w Liverpoolu żołnierze otworzyli ogień, zabijając dwóch strajkujących i raniąc dwustu. Tom Mann apelował do żołnierzy, aby nie strzelali do brytyjskich robotników, za co został aresztowany pod zarzutem podżegania wojska do buntu. Choć strajk zlikwidowano na szczególnych warunkach, wywołanych kryzysem zagranicznym, inne strajki, o równie wielkim natężeniu, wybuchały przez następne trzy lata. Po strzelaninie w Liverpoolu związkowcy głosowali coraz liczniej na własnych przedstawicieli, kładąc kres przymierzu z liberałami. Żarliwe wezwanie Churchilla do świata pracy z 1908 roku: „Ale musimy mieć to poparcie”, zabrzmiało teraz nieco ironicznie, jak odległy dźwięk rogu. Liberałowie, po odłączeniu się świata pracy, znaleźli się w politycznej pustce.

Na tym tle lato koronacji, najgorętsze w okresie całego pokolenia, rozkwitło pełnią złota jak rozwinięta róża. Co wieczór odbywały się uroczyste obiady, co popołudnie *garden parties*, co tydzień przyjęcia w rezydencjach wiejskich, uroczystości, pikniki, bale maskowe. Nawet upał wydawał się „wspaniały — takie lato, jakie rzadko zdarza się w Anglii”. W czasie Regat Henley panowała idealna pogoda, a słoneczne dni dopisywały przy wszystkich obrzędach sezonu, jak polo w Ranelagh, mecz krykietowy Eton-Harrow na terenach Lords wyścigi o Złoty Puchar w Ascot. Ani perspektywa wojny, ani strajk powszechny w transporcie, ani nawet mianowanie parów nie potrafiły zamącić świetnego nastroju uroczystości. Gazety używały terminologii kryzysowej, a oburzeni arystokraci nie narzekali „na nic oprócz rewolucji”, ale na balu maskowym u Claridge'a jeden z gości wystąpił niepoważnie w płaszczu i z koroną para, z naklejonym napisem „Nr 499”. Lady Curzon została królową piękności na turnieju

rycerskim zorganizowanym przez panią Cornwallis-West, matkę Churchilla, na który bilet wstępu kosztował 20 funtów. Balety Rosyjskie debiutowały w Londynie w Covent Garden, Pawłowa i Niżyński tańczyli na prywatnych przyjęciach; między innymi na jednym przyjęciu w ogrodzie, pod gołym niebem, w Strawberry Hill, będącym swego czasu siedzibą i gotycką fantazją Horace'a Walpole'a. Nowa właścicielka, lady Michelham, miała sznury pereł długości dziewiętnastu jardów i po tańcu w ogrodzie wydała obiad na sześćdziesiąt osób; podano wówczas *entrees* w formie latami morskich, oświetlonych wewnątrz i otoczonych ortolanami przedstawiającymi mewy, o które rozbijały się fale z białego sosu. Na przyjęciu w rezydencji w Blenheim diuk, jego kuzyn Winston, Neil Primrose, syn lorda Rosebery, i F. E. Smith grali w karty aż do świtu w namiocie oświetlonym świecami na przewróconych dnem do góry beczułkach. „O co będziemy grali, F. E.?” — zapytał Marlborough. — „O twój cholerny pałac, jeśli chcesz”, odpowiedział Smith, ale nie ma nigdzie wzmianki, jaką on sam zaryzykował stawkę.

A jednak nie było to już to, nie była to Anglia z roku jubileuszu. Strajki przypominały o rosnącym naporze klasy pracującej, tak jak Agadir przypominał o naporze Niemiec. Zniknęła pewność, jaka panowała w okresie, który Anglicy o wiele później wspominali używając określenia „złote suwereny, poczucie honoru, wielkie czerwone płaszczyzny na mapie”. Panowała wesołość „gorączkowa”, bal kostiumowy sezonu wydany został nie przez diuszese Devonshire (diuk zmarł w 1908 roku), lecz przez F. E. Smitha, a w Londynie zniknął z ulic ostatni omnibus konny; taksówki samochodowe, które nie istniały wcale na przełomie stulecia, teraz przewyższały liczbowo dorożki konne w stosunku 6 300 do 5 000.

Ludzie z klasy wyższej wciąż jeszcze byli bardzo zadowoleni z życia i ze swego towarzystwa. Na przyjęciu wydanym przez Mrs. Hwfa Williams, gdzie błyszczała dowcipem markiza de Soveral, rozmowa sprawiała wszystkim taką przyjemność, że goście zaproszeni na lunch zostali do pierwszej nad ranem. Może była to przyjemność, a może siedzieli tak długo ze znużenia, bo nie mieli nic innego do roboty. Śmiech, żarty, płatanie figli, niezaprzeczalny dobry humor, cechujące życie warstw uprzywilejowanych w tym okresie, stanowiły odwrotną stronę nudy. Nie kończące się rozmowy „przy lunchu, herbacie i obiedzie, na tańcach i zebraniach towarzyskich, trwających do późnej nocy”, były, jak twierdził Masterman, rozmowami „towarzystwa szukającego jakichś zainteresowań, najczęściej znużonego,

ale równocześnie głęboko przeświadczonego, że musi «trzymać się reguł gry», a takie właśnie są te reguły”. Byli „skupiskiem ludzi mądrych, miłych, na ogół przyjemnych... usiłujących z rozpaczliwą powagą zrobić coś z życia wolnego od wysiłku zarobkowania”. Pisząc w 1909 roku, nie nazywał tego nudą pokoju, lecz gdy pisał o „obecnym rzymskim pokoju, jaki nadszedł dla ludów Europy Zachodniej”, dawało się nieomal słyszeć żałosne westchnienie.

W pierwszym tygodniu lipca Izba Lordów zmieniła projekt Ustawy Parlamentarnej tak, aby anulować zniesienie prawa weta i wyłączyć Ustawę o Autonomii, która mogła stać się obowiązująca bez zgody tej Izby. 18 lipca Asquith poinformował Balfoura oficjalnym listem, że posiada obietnicę króla, iż ten mianuje parów, że zmiany są nie do przyjęcia i że jeśli Izba Lordów nie zatwierdzi ustaw w oryginalnym brzmieniu, poprosi monarchę o podjęcie właściwych kroków, co zamierza oświadczyć w Izbie Gmin. „Niezlomni” zabrali się z zawziętością do organizowania oporu, jak osadnicy budujący palisadę przeciw Indianom. „Niech sobie robią swoich parów — powiedział lord Curzon na zebraniu „Niezlomnych” — będziemy się bronić aż do ostatka, nim ustąpimy! „ *(We will die in the last ditch before we will give in!)* Ci, którzy z nimi nie sympatyzowali, nazywali ich od tego czasu „Ditchers”. Należał do nich nowy markiz Salisbury, jego szwagier hrabia Selborne, a w Izbie Gmin jego młodszy brat lord Hugh Cecil, Austen Chamberlain, George Wyndham i dwóch poszukiwaczy przygód: sir Edward Carson i F. E. Smith. W ciągu tego upalnego lipca lord Willoughby de Broke pracował gorączkowo, agitując wszystkich parów, organizując zebrania, werbując mówców. 12 lipca pięćdziesięciu trzech parów, w tym trzech diuków, podpisało list do lorda Lansdowne; stwierdzali w nim, że jeśli poprawki nie zostaną uwzględnione, będą głosowali za odrzuceniem Ustawy Parlamentarnej przy jej ostatecznym czytaniu, „nawet jeśli konsekwencją miałyby być mianowanie parów”.

Balfour i Lansdowne, których król błagał, aby nie zmuszali go do przykrej ostateczności, zwołali opozycyjny gabinet cieni, jego większość, choć nie wszyscy, gotowa była zastosować się do ich zalecenia i ustąpić, tzn. zatwierdzić Ustawę Parlamentarną bez sprzeciwu, gdyż bronienie się do ostatka dla zasady nie zapobiegłoby i tak zniesieniu prawa weta. Jeśli rząd nie bluffuje, to wynikiem może być tylko mianowanie parów i zarazem utrata

prawa weta. Ale „Ditchers” okazali się nieugięci. Lord Halsbury powiedział, że żądanie głosowania według partii jest jego „świętym obowiązkiem wobec Boga i kraju”. Przyjmując, że „Umiarkowani” („Hedgers”), jak nazywano teraz zwolenników Balfoura i Lansdowne'a, wstrzymają się od głosu, „Ditchers” będą musieli mieć dość głosów, aby uzyskać przewagę nad siedemdziesięcioma pięcioma parami liberalnymi. Willoughby de Broke sądził, że ma sześćdziesiąt, i spodziewał się osiemdziesięciu.

Zwołano raz jeszcze zebranie w Lansdowne House, aby doprowadzić do uzgodnienia polityki „Umiarkowanych” i „Ditchers”. Curzon dał się teraz przekonać do poglądów Balfoura, ale stary lord Halsbury twierdził z uporem, że „będzie głosował oddzielnie, nawet jeśli zostanie sam, a nie podda się”. Nalegano na Balfoura, żeby zwołał jeszcze jedno posiedzenie gabinetu cieni, ale jego zaczęła już denerwować i niecierpliwie „teatralna” postawa „Niezlomnych”, zwłaszcza tych z Izby Gmin, jak Smith i Chamberlain. Zdobył się tylko na napisanie listu otwartego do „Timesa”, skierowanego do „zakłopotanego para”, gdzie wskazywał na konieczność zatwierdzenia ustawy. „Ditchers” odpowiedzieli, że ustawa wprowadzi jednoizbowy system i że oni nie mogą zrzucić z siebie odpowiedzialności „za zamierzoną rewolucję tylko przez wstrzymanie się od głosu”. Punktem kulminacyjnym ich kampanii był wielki bankiet zorganizowany na cześć lorda Halsbury; zapotrzebowanie na bilety na ten bankiet okazało się większe niż pojemność sali. Wśród gladiatorskich przemówień i toastów lord Halsbury, wyglądający „bardzo źle, niespokojny i zmęczony”, wyraził mocne postanowienie swojej grupy, że będą walczyć do końca, za co nagrodzono go burzliwymi oklaskami. Lord Milner, o którym można powiedzieć, że jego okrzyk „Do diabła z konsekwencjami!”, zapoczątkował bieg wypadków, stanowił logiczne uzupełnienie tej grupy. Przemawiało wielu mówców, między innymi Austen Chamberlain oskarżał Asquitha, że „oszukiwał opozycję, wpędził w matnię monarchę i okłamał lud”.

W dniu 24 lipca, kiedy premier miał złożyć swoje oświadczenie w Izbie Gmin, poplecznicy „Ditchers” pod wodzą lorda Hugh'a Cecila i F. E. Smitha zorganizowali protest i wywołali „najgwałtowniejszą za ludzkiej pamięci awanturę w Izbie Gmin”. Cała złość i rozczarowanie klasy przegrywającej wyraziły się w wybuchu nienawiści i hysterii. Smith doprowadził do tej sytuacji, bo lubił atakować, a lord Hugh kierował się prawdziwą pasją. W jego osobie skoncentrowała się cała nienawiść Cecilów do wszelkich zmian,

brak mu było jednak trzeźwiącego sceptycyzmu, charakteryzującego jego kuzyna Arthura. Odznaczał się żarliwym fanatyzmem przekonań. Uważał za zgubne współczesne społeczeństwo materialistyczne, odejście od Kościoła i od ziemi, a także to, że demokracja odwróciła się od „naturalnych” przywódców. Wysoki i lekko pochylony, jak jego ojciec w młodych latach, o smutnej, pociągłej twarzy; podobnie jak ojciec wykręcał zazwyczaj swoje długie dłonie, a w ogóle wyglądał i zachowywał się jak Savonarola. Churchill, na którego weselu w 1908 roku był družbą, pisał o nim, że w osobie Cecila spotkał „po raz pierwszy prawdziwego torysa, postać z siedemnastego wieku”. W rozmowach prywatnych był „tak bystry, dowcipny i zaskakujący, że słuchanie go sprawiało prawdziwą przyjemność”, a w Izbie potrafił utrzymać posłów „zasłuchanych w absolutnej ciszy przez ponad godzinę” przemową na temat różnicy między zwolennikami doktryny Erastusa a wyznawcami High Church. Uznany przez Asquitha za „najlepszego mówcę w Izbie Gmin, a właściwie w ogóle”, stanowił tak pod względem talentu organizatorskiego, jak i poglądów angielski odpowiednik Alberta de Mun.

Pewnego razu, w czasie wizyty Gladstone'a w Hatfield, Hugh, wówczas kilkuletni, wpadł do jego sypialni i zaczął go okładać pięściami, wołając: „Jest pan złym człowiekiem”. „Jak mogę być złym człowiekiem, skoro jestem przyjacielem twego ojca?”, zapytał Gladstone, który nie darmo zwyciężał w niezliczonych debatach. Ale jego przeciwnik nie dał się wciągnąć w dyskusję; operował ostatecznościami. „Mój ojciec utnie panu głowę wielkim ciężkim mieczem”, odpowiedział.

Miecz został teraz wyciągnięty przeciw Asquithowi.

O trzeciej po południu premier, nieco zdenerwowany i zaczerwieniony, wszedł do Izby, szumiącej już z podniecenia; wszystkie miejsca były zajęte, a posłowie stali w przejściach, zbici w ciasne grupy, jak pszczoły. Na galeriach tłoczyli się widzowie. Liberałowie wstali, wymachiwali kartkami z porządkiem dziennym i wiwatowali przez trzy minuty, wywołując „dzikie okrzyki” opozycji, która z kolei wiwatowała, kiedy wszedł Balfour. Gdy Asquith wstał, żeby przemawiać, zanim zdążył wymówić jedno słyszalne zdanie, przerwały mu wołania „Zdrajca” i „Redmond”! — aluzja do irlandzkiego miecza, wiszącego nad jego głową — po czym rozległ się cichy jednostajny pomruk „*Divide!... 'vide!... 'vide!*, który zaczynał się, nasilał, zamierał i zaczynał się na nowo za każdym razem, kiedy Asquith otworzył usta.

Naprzeciw niego, w pierwszej ławie opozycji, poniżej przejścia, stał Hugh Cecil; oczy jego rzuciły płomień, niezgrabna postać kołysała się w takt krzyków, twarz mu zszarzała i wykrzywiła się pod wpływem „straszliwej namiętności” ; ogarnął go taki fanatyzm, że uważał za dopuszczalną każdą, nawet nieuczciwą taktykę, jeśliby tylko mogła przynieść korzyść sprawie.

Asquith patrzył na rozkrzyczanych wrogów z gniewem i zdumieniem, wzrok jego spoczął na Cecilu z zafascynowaniem, z jakim człowiek przygląda się tygrysowi krążącemu po klatce. Na galerii panie z podniecenia stawały na krzesłach. Sir Edward Grey z ponurym wyrazem twarzy przybliżył się do Asquitha, jakby chciał go osłonić. Balfour, siedzący naprzeciwko w swobodnej pozycji, obserwował swoich zwolenników wzrokiem pełnym zdumienia i odrazy. Asquith próbował kilkakrotnie odczytać swoje oświadczenie, lecz słowa jego zagłuszały okrzyki „*'vide! 'vide!*”, „Kto zabił króla?” i „Dyktator!” Kilka słów, które udało mu się wypowiedzieć w sposób słyszalny, wywołało jeszcze większą wściekłość i dalsze ryki oponentów. Mimo wszelkich wysiłków przewodniczącego Izby demonstranci nie ustępowali. Asquith wytrzymał to przez trzy kwadransy, aż wreszcie, „blady z gniewu”, zwinął swoje przemówienie i usiadł.

Kiedy Balfour podniósł się, aby przemawiać, liberałowie nie odwzajemnili się okrzykami, natomiast kiedy wstał F. E. Smith, uważany za podżegacza, rozpętało się istne piekło. Nie można sobie wyobrazić siły namiętności, jaka panowała tego popołudnia w Izbie, pisał korespondent „Timesa”. Przewodniczący był znów bezsilny i w końcu, po dwóch godzinach nieustannych wrzasków i odosobnionym okrzyku z ław Partii Pracy: „Niech żyje rewolucja społeczna”, po raz pierwszy w historii odroczył posiedzenie Izby z powodu „zakłócenia porządku”.

Wrzaski i wyzwiska towarzyszące „awanturze Cecila”, jak ją później nazwano, wprawiły wszystkich w zdumienie. Nigdy dotychczas żaden premier nie spotkał się z tak lekceważącym potraktowaniem. W prasie pojawiło się mnóstwo pełnych oburzenia komentarzy oraz listów za i przeciw. Wiele osób odniosło wrażenie, że awantura skierowana była nie tylko przeciw Asquithowi, lecz również przeciw przywództwu Balfoura. Blunt odnotował, że F. E. Smith, George Wyndham i Bendor (diuk Westminster) „szalenie się cieszyli z wywołanego zamieszania i uważają, że wymusili przyłączenie się Balfoura”.

Opublikowanie następnego dnia niesłychanej wprost deklaracji Asquitha stało się punktem zwrotnym; przywódcy konserwatywni musieli liczyć się z możliwością, że buntownicy doprowadzą faktycznie do „rewolucji”, której Balfour tak gorąco pragnął uniknąć, tj. do utworzenia stałej większości liberałów w Izbie Lordów. Jeżeli „Niezlomni” będą mogli zebrać więcej niż siedemdziesiąt pięć głosów, musi nastąpić mianowanie nowych parów — o ile rząd nie blefuje. Czy rzeczywiście blefuje? Wielu przypuszczało, że tak, nikt jednak nie miał pewności. Nikt też nie wiedział, ilu parów będzie głosowało za „Niezlomnymi”. W tej krytycznej sytuacji Lansdowne i „Umiarkowani” musieli uciec się do przykrej konieczności znalezienia pewnej ilości konserwatywnych parów, którzy wbrew swoim zasadom, a nawet narażając swój honor, głosowaliby wraz z rządem za znieprawioną ustawą. Był to jedyny sposób, żeby zapobiec prawdopodobnej większości „Niezlomnych”. Od ilu trzeba będzie żądać takiej ofiary i ilu zdobędzie się w ostatniej chwili na taką odwagę, stanowiło jeszcze jedną przykrą niewiadomą w tej sytuacji.

10 sierpnia, w dniu, kiedy trzeba było wychylić kielich cykuty, temperatura osiągnęła rekordową wysokość stu stopni Fahrenheita, a napięcie w Westminsterze jeszcze się wzmogło, gdyż, w przeciwieństwie do innych kryzysów politycznych, nikt nie był pewien wyniku. O czwartej po południu Izba Lordów zapęłniała się jak nigdy dotychczas: wszystkie miejsca zostały zajęte, na galeriach panował tłok, parowie stali w przejściach i w drzwiach. Ubrani byli w żakiety, krawaty *ascot*, kamasze i lekkie kamizelki, a po przerwie obiadowej wielu pojawiło się we frakach i białych krawatach. „Niezlomni” przypięli sobie gałązki białego wrzosu, przesłane przez diuszese Somerset, a wielu „Umiarkowanych” czerwone róże. Gdy Halsbury maszerował na swoje miejsce z miną rycerza wstępującego w szranki, jednemu z obserwatorów wydawało się, że niemal słyszy brzęk ostróg. Apelując gorąco do sumienia, zażądał odrzucenia ustawy. Lord Curzon przemówił w imieniu większości, a potem usiadł, „blady i gniewny”, podczas gdy lord Selborne skoczył do stołu przewodniczącego i „ostrym głosem, gestykulując dramatycznie,” powtórzył z zaciętością, że zamierza bronić się do ostatka. Przemówienie liberalnego przywódcy, lorda Crewe, wzbudziło na nowo niepewność; jego wzmianka o „zrozumiałej niechęci” króla i pełne żalu zakończenie: „Szczerze przyznaję, że cała ta sprawa jest mi wstrętą”,

umocniło przekonanie, że rząd blefuje. Wciąż odbywało się pełne niepokoju obliczanie. Z sześciu parów siedzących razem przy obiedzie w czasie przerwy, z których dwóch, lord Cadogan i lord Midleton; było poprzednio członkami gabinetu konserwatywnego, ani jeden nie zdecydował się, jak głosować. Gdy zebrano się na nowo i jeden z „ofiarnych” parów, lord Camperdown, oznajmił, że zamierza głosować z rządem, diuk Norfolk odpowiedział rozwścieczony, że jeśli ktokolwiek z konserwatystów będzie głosował za ustawą, on i jego grupa będą głosowali z „Niezlomnymi”. Lord Morley, sam posiadający godność para dopiero od trzech lat, odczuwał jednak „głębokie wzruszenie”, gdy musiał wyraźnie oświadczyć, że w razie obalenia ustawy, rząd ma zamiar spowodować „szybkie mianowanie wielu parów”. Na żądanie powtórzył to oświadczenie. Izba okryła się żałobą. Arcybiskup Canterbury nalegał, aby lordowie nie sprowokowali aktu, który uczyni „pośmiewisko” z ich Izby, a nawet z całego kraju. Lord Rosebery, którego wahania wprawiły wszystkich w zamieszanie, który jednak według przewidywań miał wstrzymać się od głosu, wyskoczył nagle z poprzecznej ławy bezpartyjnych i oznajmił w „tym ostatnim, najkrótszym i najboleśniejszym przemówieniu swego życia”, że będzie głosował z rządem. Powiedział, że skoro niezależnie od wyniku „zniknie Izba Lordów, jaką znaliśmy”, nigdy już tam nie wejdzie; postanowienia tego rzeczywiście dotrzymał.

O 10.40 wieczorem wśród „olbrzymiego podniecenia” zarządzono głosowanie według partii. Część parów wstrzymujących się od głosu stłoczyła się na stopniach tronu, gdzie nie musiało się głosować, a reszta wstrzymujących się opuściła Izbę pod wodzą lorda Lansdowne. Obserwatorom na galerii dwie grupy udające się dwoma szeregami do westybulów po obu stronach Izby wydawały się niemal ilościowo równe. Liczyli specjalni funkcjonariusze, tzw. *tellers*, z białymi pałeczkami, uderzając nimi lekko w ramię każdego para, gdy wracał z westybulu, gdzie głosował.

Szeregi wracały powoli, a przez otwarte drzwi dawało się słyszeć głośnie liczenie tellerów „jeden, dwa, trzy, cztery...” Procedura ta trwała przez kwadrans, dłużący się jak pełna godzina. Podczas przypadkowej pauzy w szeregu rządowym nieposkromiony lord Halsbury szepnął: „Widzicie! Wiedziałem, że ich zwyciężymy! „ Lord Morley czekał z niepokojem na pojawienie się batystowych mankietów biskupich, przekonany, że będą

głosowali z rządem. Procesja doszła do końca. Tellerzy podali swoje wyliczenia lordowi Herschell, naczelnemu whipowi, który wręczył wyniki na kartce papieru Lordowi Kanclerzowi. W głębokiej ciszy lord Loreburn podniósł się ze swego fotela, odrzucił w tył łoki swej peruki i wyraźnie ogłosił wynik: za ustawą 131, przeciw 114, przewaga 17. Nie mogąc powstrzymać wzburzenia, lady Halsbury syknęła głośno z galerii dla żon. Zwycięzcy nie zmanifestowali swego entuzjazmu, tylko jeden poseł pospieszył z wiadomością do Izby Gmin, gdzie powitano go okrzykami triumfu. Lordowie natychmiast wyszli i po pięciu minutach ich sala opustoszała. Trzydziestu siedmiu konserwatywnych parów, dwóch arcybiskupów i jeden biskup głosowało z rządem; tych spośród nich, którzy pojawili się tego wieczoru na burzliwym zebraniu w Carlton Clubie, powitały okrzyki „Wstyd!” i „Judasz!”

„Otwarte zostały śluzy rewolucji!”, wykrzykiwał następnego ranka „Daily Mail” lorda Northcliffe'a, ale wody wcale tamtędy nie popłynęły. Obalenie prawa weta otwarło drogę dla Ustawy o Autonomii i rząd przedstawił ją na następnej sesji. W danym przypadku zwycięstwo nad Izłą Lordów okazało się bez znaczenia. Opozycja przeciw Ustawie o Autonomii zmieniła jedynie front i przerodziła się w bunt w Ulsterze, powodując ponowny i jeszcze ostrzejszy kryzys, wobec którego bezskuteczna okazała się Ustawa Parlamentarna. Ostatecznie dla pozbycia się irlandzkiej zmyry z polityki angielskiej potrzebny był wstrząs silniejszy niż obalenie weta.

W kilka tygodni później sir Edward Grey powiedział do Winstona Churchilla: „Jakiż to był niezwykły rok: upał, strajki, a teraz sytuacja międzynarodowa”. „Jak to — odparł Winston — zapomniałeś o Ustawie Parlamentarnej”, a przyjaciel, który zanotował tę rozmowę, dodał od siebie: „Rzeczywiście zapomniał, jak i wszyscy inni”.

Nazajutrz po głosowaniu w Izbie Lordów fala upałów i strajk transportowy, mogący, jak przypuszczano, zmienić się w strajk powszechny i zagrozić „rzeczywistym niebezpieczeństwem rewolucji społecznej”, pochłoneły uwagę całego kraju. Pewien zmartwiony par nie mógł znaleźć „nigdzie żadnego śladu, że kryzys konstytucyjny wstrząsnął krajem”. Tego samego dnia Izba Gmin uchwaliła zasadę, może jeszcze bardziej brzemienną w skutki: ustawę o wynagrodzeniu posłów, w myśl której każdy poseł do Parlamentu miał otrzymywać, począwszy od tej debaty, pensję w wysokości 400 funtów rocznie. Ustawę tę zwalczali długo konserwatyści, z uporem

walczyła o nią Partia Pracy. Uważała ona, że brak zapłaty równa się pozbawieniu klasy pracującej prawa do posiadania w Parlamencie przedstawicieli pochodzących z jej szeregów. Wynagrodzenie stało się tym bardziej konieczne, kiedy orzeczenie Osborne'a zakazało wykorzystywania funduszy związkowych na pensje dla posłów. Dla przeciwników ustawa o wynagrodzeniu posłów oznaczała, że polityka przestała już być zajęciem dżentelmena i tym samym była w skutkach nawet „bardziej zgubna” niż Ustawa Parlamentarna. Austen Chamberlain żalił się, że wprowadzi ona nowy, „nieznośny typ zawodowego polityka”. Usunie „ostatnią zapórę przeciw wtargnięciu zwykłych awanturników”, stwierdzał „Times”, będący wówczas własnością tego największego awanturnika, lorda Northcliffe'a, i zachęci do „inwazji” na honorowe funkcje w służbie publicznej, „wykonywane teraz sprawnie przez ludzi mogących sobie pozwolić na bezinteresowność”. Patrycjusz, pozbawiony żądz pieniędzy i uczestniczący w rządzeniu z poczucia obywatelskiego obowiązku, uważał, że sprawa jest ważna, lecz nie na czasie; potrzeby społeczeństwa przerosły go, a właściwie nigdy nie był on bezinteresowny, broniąc przywilejów swej kasty. Wynagrodzenie posłów stanowiło dalszy krok w przejęciu władzy.

Logiczne następstwo tych wydarzeń stanowiła rezygnacja Balfoura z godności przywódcy Partii Konserwatywnej, którą piastował w Izbie Gmin przez dwadzieścia lat. Jego oświadczenie, złożone 8 listopada 1911 roku, po powrocie z wakacji w Bad Gastein, wywołało polityczną „sensację”. Wprawdzie z inspiracji buntowniczego odłamu partii, kierowanego przez F. E. Smitha i Austena Chamberlaina, skonkretyzowały się tendencje usunięcia Balfoura pod hasłem B. M. G. (*Balfour Must Go* — Balfour musi odejść), spodziewano się jednak, że będzie on walczył o władzę. Ale ostatnie stadia kryzysu w sprawie weta, zacierzowanie w bezsensownej walce, przedkładanie przez „Ditchers” gestów nad rozsądek, wzrastający wpływ awanturników, jak znienawidzony Smith, i wyzwanie dla jego przywództwa, jakim stała się niezręczna taktyka „awantury Cecila” w Parlamencie, wszystko to razem narosło i doprowadziło Balfoura do stanu gniewnej obojętności. Jego wyjazd do Bad Gastein bez czekania na wynik głosowania w Izbie Lordów można uznać za gest pogardy. W czasie pobytu wśród „wodospadów, sosen i przepaści” przemyślał wszystko i podjął decyzję. Miał sześćdziesiąt trzy lata, nadal bardzo interesował się filozofią i wcale nie uśmiechał mu się powrót do walki o władzę, najpierw w partii, a potem w kraju, przeciw prądom nowej ery. Należał do generacji, w której rządzenie

było funkcją patrycjusza, a obecnie, jak to zaznaczył w swojej mowie pożegnalnej, wymogi wobec administratorów i pracodawców stały się tak wielkie, że sprawy państwowe muszą przejść w ręce tych, którzy zostali przygotowani, „aby być politykami i tylko politykami, aby operować machiną polityczną jako zawodowi politycy”. Zaczynał się już pęd tłumu na spokojny ogród, według metafory Mastermana przedstawiającej podnoszenie się pospólstwa, a Balfour miał nastawienie zbyt filozoficzne, żeby z tym walczyć.

Następcą jego nie został żaden z dwóch głównych rywali, tj. ani Walter Long, reprezentujący ziemiaństwo, ani Austen Chamberlain, bo obaj wypierali się nawzajem, lecz Bonar Law, fabrykant stali z Glasgow, z pochodzenia Kanadyjczyk, który regularnie czytywał gazety, odżywiał się jarzynami, mlekiem i budyniem z ryżu, a korzystał z poparcia innego awanturnika, również Kanadyjczyka, Maxa Aitkena, mającego wkrótce zostać lordem Beaverbrook.

Odejście Balfoura wywołało lawinę komentarzy prasowych i politycznych plotek oraz szczere wyrazy pełnego uznania ze strony Asquitha dla „najwybitniejszego członka organu opiniotwórczego świata”. George Wyndham, surowy w sądach, ale za to bardziej szczery, uważał, że Balfour nie chce walczyć, gdyż cechuje go obojętność, wynikająca ze „zbyt naukowego podejścia do polityki”. „On wie — twierdził Wyndham — że już raz panowała era lodowa i że znowu nadejdzie”.

VIII. SMIERĆ JAURESA

Socjaliści 1890-1914

Socjalizm był ruchem międzynarodowym. Stwierdzała to nazwa organizacji tego ruchu: Drugie Międzynarodowe Stowarzyszenie Robotników. Potwierdzał to jego hymn, Międzynarodówka, obiecując ponadto, że „związek nasz bratni ogarnie ludzki ród”. Na kongresie założycielskim w 1889 roku przewodniczyli razem jeden Francuz i jeden Niemiec, Edouard Vaillant i Wilhelm Liebknecht. W pełni rozkwitu ruchu należały do niego partie socjalistyczne trzydziestu trzech państw i krajów, między innymi Niemiec, Francji, Anglii, Austrii, Węgier i Czech, Rosji, Finlandii, Holandii, Belgii, Hiszpanii, Włoch, Szwecji, Norwegii, Danii, Serbii, Bułgarii, Indii, Japonii, Australii i Stanów Zjednoczonych. Sztandar organizacji, cały czerwony, symbolizować miał krew Szarego Człowieka. Podstawowa teza socjalizmu głosiła, że solidarność klasowa robotników przekracza granice państwowe, dzieląc społeczeństwo poziomo. Ustanowiony jako święto dzień pierwszego maja miał wykazywać braterstwo proletariuszy. Hasło socjalistyczne brzmiało: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!”

Niezależnie od tego, czy górnicy, robotnicy fabryczni, robotnicy rolni, służący i inni członkowie klasy pracującej, w których interesie istniał socjalizm, czuli się internacjonalistami, ich przywódcy wierzyli w internacjonalizm, stosowali go w praktyce i liczyli nań. Na kongresie socjalistycznym w Amsterdamie, odbywającym się w roku 1904, w czasie wojny rosyjsko-japońskiej, rosyjski delegat Plechanow i japoński Katayama siedzieli obok siebie. Gdy obydwaj uścisnęli sobie ręce, wszystkich 450 delegatów powstało, oddając im hołd grzmiącymi oklaskami. W „nieomal pobożnej ciszy” wysłuchano przemówień Plechanowa i Katayamy, w których oświadczyli, że wojna została narzucona ich krajom przez kapitalizm i że wcale nie chodzi o walkę ludu japońskiego z ludem rosyjskim, i nagrodzono je oklaskami.

Socjalizm głosił walkę klas i w jej ostatecznym wyniku zniszczenie kapitalizmu. Za wroga uważał tak klasę rządzącą, jak burżuazję. Uczucie to

było odwzajemnione. Słowo „socjalista” kojarzyło się z rozlewem krwi i terrorem, podobnie jak swego czasu słowo „jakobin”. Druga Międzynarodówka, utworzona w Paryżu w 1889 roku, w setną rocznicę Rewolucji Francuskiej, wzbudzała w klasie rządzącej coraz większy lęk. „Strach sparaliżował” Wiedeń, gdy przywódca austriackich socjalistów, Viktor Adler, wezwał do jednodniowego strajku generalnego i do masowych demonstracji w całym cesarstwie celem wykazania siły zjednoczonych robotników. Po zapowiedzi Adlera, że pochód robotników odbędzie się w wysadzonej kasztanami alei Prateru, gdzie zwykle pojawiały się jedynie karety bogaczy, zadrżała klasa posiadająca i jej sprzymierzeńcy, spodziewając się, że motłoch będzie po drodze podpalał domy, rabował sklepy i dopuszczał się niesłychanych okrucieństw. Kupcy zaciągnęli żelazne żaluzje, rodzice zabronili dzieciom wychodzić z domu, na każdym rogu ulicy postawiono posterunki policji, wojsko stało w pogotowiu. Burżuazja wyobrażała sobie, że u jej stóp rozpościera się to, co Henry George w swojej książce *Postęp i ubóstwo (Progress and Poverty)* określił jako „żarłoczne, nieubłagane piekło, ziejące pod cywilizowanym społeczeństwem”. Doszło do jej świadomości, że coraz bardziej narasta groźba ze strony „Bractwa Nędzy dla Bractwa Bogaczy”.

W okresie powstania Drugiej Międzynarodówki nie zorganizowanych robotników obowiązywał powszechnie dwunastogodzinny dzień pracy i siedmiodniowy tydzień. Wypoczynek niedzielny i dziesięcio- lub dziewięciogodzinny dzień pracy stanowiły zdobyte z trudem przywileje wykwalifikowanych robotników zrzeszonych w związkach zawodowych, reprezentujących zaledwie jedną piątą siły roboczej. W 1899 roku Edwin Markham, pod wrażeniem pochylonej surowej postaci *Człowieka z metodyką* Milleta, wyraził strach i odpowiedzialność społeczeństwa w poemacie zatytułowanym tak, jak obraz:

*Poprzez tę straszną postać ludzkość oszukana,
Ograbiona, zelżona i wydziedziczona,
Wykrzykuje swój sprzeciw wobec Sędziów Świata,
Sprzeciw, a zarazem proroctwo....*

*Jak Przyszłość rozliczy się z tym człowiekiem?
Jak odpowie na jego surowe pytanie w godzinie,
Gdy zamieszki i bunty wstrząsać będą światem?
Co się wówczas stanie z państwami i królami —
Z tymi, którzy tak straszną nadali mu postać —
Kiedy ten niemy Postrach odpowie Panu Bogu
Po całych wiekach milczenia?*

W roku 1899, kiedy poezja wciąż jeszcze przemawiała do ludzi, poemat Markhama wywołał sensację. Przedrukowały go gazety w całej Ameryce, poświęcano mu artykuły wstępne, księża układali na ten temat kazania, dzieci uczyły się go w szkole, stowarzyszenia dyskusyjne dyskutowały o nim, a komentatorzy nazywali wiersz „wołaniem *Zeitgeist*” i — obok *Hymnu skruchy* Kiplinga — najbardziej „znaczącym poematem epoki”.

Ludzie, których sumienie budziło się pod wpływem wizji artysty i słów poety, w zetknięciu z rzeczywistością odczuwali strach i gniew. W 1891, gdy włókniarze z Fourmies, małego przemysłowego miasteczka w północnej Francji, zorganizowali demonstrację majową pod hasłem ośmiogodzinnego dnia pracy, policja zaatakowała ich pochód i w wyniku tego starcia zabiła dziesięć osób, w tym kilkoro dzieci. „Uważajcie! — ostrzegał w Parlamencie Clemenceau. — Umarli mają wielką siłę perswazji. Trzeba zwracać uwagę na umarłych... Mówię wam, że podstawowym faktem politycznym jest dziś nieunikniona rewolucja, jaka się już szykuje... Czwarty Stan podnosi się i sięga po władzę. Trzeba się zdecydować. Albo odpowiecie mu przemocą, albo powitacie go z otwartymi ramionami. Nadeszła chwila wyboru”. Otwarta walka nie miała wielu zwolenników. W Belgii, w 1893 roku, po dwóch uprzednich krwawych próbach, gdy socjalistycznym przywódcom i związkom udało się zorganizować strajk generalny o równe prawo głosu dla wszystkich mężczyzn, stanowiące zasadniczy warunek wstępny do zdobycia władzy, żołnierze zabili dwanaście osób, zanim strajk się skończył. W 1894, podczas strajku pulmanowskiego w Stanach Zjednoczonych, który wstrzymał kursowanie pociągów i poczty, sędzia William Hower Taft z Cincinnati, nienależący wcale do ludzi okrutnych,

pisał do swej żony: „Wojsko będzie musiało zabić kilka osób z tłumu, aby opanować zamieszki... Zabili tylko sześcioro... jak na razie. Nie wystarczy to, żeby zrobić wrażenie”. Taką postać przybierała w rzeczywistości walka klasowa.

Socjalizm stawiał sobie jako ostateczny cel obalenie własności prywatnej i nowy podział dóbr, mający zaspokoić potrzeby wszystkich. Taki sam cel przyświecał anarchistom; stały konflikt między obydwoma grupami polegał na tym, że socjaliści w przeciwieństwie do anarchistów wierzyli w możliwość osiągnięcia go za pomocą organizacji i politycznej akcji.

Obydwa ruchy uważały kolektywną własność za odpowiedź na okrutną zagadkę, jaką postawił wiek dziewiętnasty: że im bardziej zwiększał się postęp materialny, tym większa i głębsza wynikała z tego nędza. Z zagadki tej Marks wyciągnął wniosek stanowiący podstawową tezę jego systemu: że ta sprzeczność tkwiąca w kapitalizmie doprowadzi do jego upadku. Dowodził tego przeprowadzając analizę ekonomiczną historii. Wskutek rewolucji przemysłowej robotnik zmienił się z niezależnego producenta, posiadającego własne narzędzia, w robotnika fabrycznego, pozbawionego wszelkiej własności, który w zdobywaniu środków do życia zależny jest od kapitalisty, posiadającego środki produkcji. Przez akumulację zysku kapitalistów pochodzącego z nadwyżki produktu robotników wyzyskiwacze stawali się coraz bogatsi, a wyzyskiwani biedniejsi. Proces ten mógł się zakończyć jedynie gwałtownym zawaleniem się istniejącego ładu. Gdy sytuacja dojrzeje, klasa pracująca z wyrobioną świadomością klasową i przygotowana na taki obrót rzeczy dokona rewolucji, aby wprowadzić nowy ład.

Ta marksistowska doktryna *Verelendung* (pauperyzacji lub zwiększającej się nędzy) i *Zusammenbruch* (upadku) była dogmatem socjalizmu, takim jak „Bóg jest jeden” w innych religiach. Z tego powodu socjalizm i ruch robotniczy musiały stale wybierać między upadkiem i rewolucją z jednej strony a możliwością stopniowych reform istniejącego ładu z drugiej. Ten rozłam między przyszłym absolutnym zwycięstwem i obecnym możliwym istniał od samych narodzin ruchu, kiedy w 1889 roku założyciele podzielili się na dwa kongresy z powodu różnicy stanowiska w sprawie współpracy z burżuazyjnymi partiami politycznymi. Prawdziwi marksiści oskarżali francuskich posybilistów, że czekali na paryskich dworcach kolejowych, aby zaprowadzić delegatów z prowincji na niewłaściwy kongres. Przez następne dwadzieścia pięć lat rozłam ten odbijał się na każdym akcie i na każdym

sformułowaniu politycznym w ruchu klasy pracującej, oddzielając negocjowanie korzyści od bezkompromisowej walki klasowej, pragmatystów od teoretyków, związki zawodowe od partii parlamentarnych — wreszcie samych robotników, pragnących już teraz podwyżki płac, poprawy bezpieczeństwa i skrócenia czasu pracy, od przywódców, którzy w ich imieniu agitowali za polityczną władzę na później.

Marksistowskie założenie wszczepiło w socjalizm chroniczny dylemat, a także rozłam. Jako ruch na rzecz klasy pracującej, musiał on mieć poparcie tej klasy, a mógł je uzyskać jedynie przez wykazanie praktycznych wyników; tymczasem każdy praktyczny wynik opóźniał lub wstrzymywał zubożenie. Johannes Miquel, w młodości zapalony socjalista, spacerując pewnego razu z przyjacielem, który sięgnął do kieszeni, aby dać jałmużnę żebrakowi, wstrzymał go mówiąc. „Nie opóźniaj Rewolucji!” Taki skrajny wniosek wynikał logicznie z marksizmu. Każda reforma zakładała wspólną płaszczyznę między walczącymi klasami; rewolucja uważała, że jej nie ma. Jeśli nie ma wspólnej płaszczyzny, na cóż może przydać się cokolwiek z wyjątkiem rewolucji? Ortodoksyjni socjaliści okrażali tę wyrwę w doktrynie twierdząc, że należy nadal wymuszać reformy od klasy posiadającej, aby wzmocnić robotników przed ostateczną walką. Poszczególne partie krajowe ustalały zawsze minimalny program reform, jakie się da uzyskać w istniejącym systemie, i program maksymalny, obalenie kapitalizmu i zwycięstwo w walce klasowej. Z czasem umiarkowani, lub „oportuniści”, jak nazywali ich przeciwnicy, koncentrowali się coraz bardziej na programie minimalnym i koniecznym dla jego realizacji zdobyciu władzy politycznej, a tymczasem ortodoksyjni marksiści nie chcieli się zgodzić, aby jakiegokolwiek tymczasowe osiągnięcia przeszkadzały prawdzie, to jest „wzrastającej nędzy”.

W swoich programach partyjnych socjaliści nie wypowiadali się wyraźnie co do ostatecznej konieczności rewolucji. Prześlizgiwali się nad tym problemem, bo chcieli zjednać sobie wyborców, a także dlatego, że był on wciąż dyskusyjny. Socjalizm nie był doktryną nienaruszalną jak opoka, nie dopuszczającą modyfikacji, lecz zmieniał się w zależności od okresu, kraju, sytuacji i frakcji. Dla jednych była to „jedynie rewolucja”, dla innych znaczenie miał złoty wiek socjalizmu, jakkolwiek by został osiągnięty. Ortodoksyjni marksiści w każdym razie uważali upadek kapitalizmu za nieunikniony, a ustrój ten nie za system mogący ulec zmianie, lecz za wroga,

którego należy zniszczyć, za prawdziwego tyrana, uzbrojonego w oręż swojej klasy: sądy, armię, sędziów, prawodawstwo, policję, dekrety, lokauty.

Za długo już istniała własność, wywołując zło na świecie, zwracając ludzi przeciw sobie. Nadszedł czas przewrotu. Zniknie wszelkie zło społeczne wywołane przez kapitalizm — ubóstwo, ignorancja, przesady rasowe i wojna, będąca inną postacią kapitalistycznego wyzysku — zastąpi je harmonia społeczna. Robotnicy, wyzwoleni z fałszywego patriotyzmu, związani prawdziwym braterstwem, nie będą już walczyć ze sobą.

Każdy człowiek, wolny od narzuconej przez kapitalizm chciwości i od rozczarowań, będzie mógł „w pełni rozwijać swą osobowość”, bo kolektywny system zapewni mu odpowiednie środki i możliwości. Orędownikom socjalizmu wydawało się, że ten rydwan nowego ładu społecznego wiezie święty depozyt i że ich obowiązkiem moralnym jest stać się godnym tego ideału. Viktor Adler uważał, że pijaństwo hańbi i niszczy klasę robotniczą, wobec tego, aby dać osobisty przykład, został całkowitym abstynentem. Socjalizm stał się składnicą wielkich słów. Angelica Bałabanow, młoda rosyjska rewolucjonistka, studiująca w Brukseli, po wysłuchaniu socjalistycznych mówców w belgijskim Parlamencie, stwierdziła: „Parlament wydawał mi się wtedy świętym miejscem, gdzie Wiedza, Prawda i Sprawiedliwość... miały pokonać siły Tyranii i Ucisku dla dobra klasy robotniczej”.

Przyświecający socjalistom cel nadawał ich życiu znaczenie, zabarwienie emocjonalne i blask, co u wielu spośród nich zastępowało osobiste ambicje i zwykłą żądzę zysku. Początkowo bojownicy i organizatorzy partyjni pracowali bezpłatnie. Udział w ruchu nie łączył się z żadnymi korzyściami finansowymi, toteż nie mogło się tam pojawić przekupstwo, a ponieważ nie zapewniał on środków do życia ani zysków, przywódcy skłaniali się ku idealizmowi. Chodziło o sprawę, nie o karierę. Socjalizm dawał swoim zwolennikom coś, o co mieli walczyć, i wzbudzał w nich namiętność rozumianą wszędzie mimo barier językowych. Na pewnym kongresie socjalistycznym przywódca hiszpański, Pablo Iglesias, przemawiał z taką emfazą w swoim ojczystym języku, że słuchacze nagrodzili go gorącymi oklaskami, choć nie rozumieli ani słowa. Robotnikom, których coraz więcej głosowało za socjalizmem — miliony na przełomie stulecia — dawał on poczucie własnej tożsamości i godności. Robotnik nie czuje się już zapomnianym, anonimowym członkiem stada, lecz obywatelem mającym

miejsce w społeczeństwie i przynależnym do własnej organizacji. W przeciwieństwie do anarchizmu socjalizm dał mu partię, do której mógł należeć, a ponieważ nie musiał koniecznie parzyć się pokrzywą rewolucji, dał mu także możliwość osiągnięcia celu w dopuszczalny sposób, a nie drogą bezprawnego czynu.

Idea przyciągała ludzi takich, jak Włoch Amilcare Cipriani, jeden z inicjatorów kongresu z 1889 roku, typ wiecznego buntownika; walczył on w szeregach Czerwonych Koszul Garibaldiego i jako ochotnik w powstaniu Kreteńczyków przeciw Turcji, a w 1893 roku pojawił się w Brukseli, aby przyłączyć się do towarzyszy w strajku generalnym. „Wyglądał wspaniale w pelerynie i miękkim filcowym kapeluszu, z czarną brodą przyprószoną siwizną i płomiennymi oczyma”, nosił torbę, w której „było na pewno więcej materiałów wybuchowych niż przyborów toaletowych... gotów walczyć w każdym zakątku świata dla sprawy Rewolucji”

Socjalizm przyciągał z klasy wyższej ludzi o nieczystym sumieniu, jak Amerykanin Robert Hunter, ożeniony z córką bankiera i filantropa Ansona Phelps Stokesa. Wstrząsnęły nim, podobnie jak innymi z jego klasy, artykuły demaskatorów i skłoniły do szukania lekarstwa na niesprawiedliwość społeczną. Po raz pierwszy dostrzegł nędzę pracując społecznie w ubogich dzielnicach, odkrył socjalizm i w 1904 roku, mając dwadzieścia osiem lat, napisał małe klasyczne dzieło *Ubóstwo (Poverty)*. Z właściwym temu okresowi nietłumionym uczuciem opisywał dolinę we Włoszech, „taką pogodną i spokojną, z tysiącami tarasowatych ogrodów na uroczych stokach, pod czarującym niebem; z mężczyznami, kobietami i dziećmi, których twarze o wielkich oczach i zapadłych policzkach rozdzierają serce... Wielki Boże, czy dolina Tirano nie jest sama szkołą, jakiej potrzebuje socjalizm we Włoszech?... Twarze te nie opuszczają cię, kiedy jesz, i potrawy wywołują mdłości... Każdy, kto ma serce, stałby się socjalistą we Włoszech”

W każdym kraju socjalistami stawali się intelektualiści, którzy widzieli podobne doliny Tirano, i robotnicy, którzy się tam urodzili. Jednych i drugich łączyła wiara, że poprawa tego stanu rzeczy leży w ludzkiej możliwości. Na zawadzie stały wielkie przeszkody; siedlisko bogactwa było stare, silne i obwarowane. Lecz pretensje klasy robotniczej rosły i dotyczyły zarówno zwyczajnej nędzy, jak i niesprawiedliwości społecznej. Robotników oburzała nierówność przy głosowaniu, wynikająca z tytułu własności. Oburzał ich nierówny udział w obowiązkowej służbie wojskowej, od której

uprzywilejowani mogli być zwolnieni; stronnictwo prawa, które inaczej działało w stosunku do bogatych, inaczej wobec biednych; oburzały ich rozmiary różnego rodzaju przywilejów dziedzicznych, które klasa rządząca uważała za naturalne. Dzięki socjalizmowi potrzeby robotników stawały się świadome i określone. Kończyła się apatia mas, która tak rozczarowała Bakunina i skłoniła Lassalle'a do drwin z „przeklętego braku potrzeb u ubogich” Zaczynali zdawać sobie sprawę z tego, czego chcą, choć na ogół nie myśleli o rewolucji. Przyjęcie przez socjalizm tego celu nadawało ruchowi żarliwość i impet, jak na przykład w przypadku Juliusa Braunthala, który mając czternaście lat wstąpił do Austriackiej Partii Socjalistycznej „dla Rewolucji”. Rewolucja przemawiała jednak nie tyle do klasy robotniczej, co do intelektualistów, którzy nie wątpili, że potrafią pokierować społeczeństwem.

Jak pęknięcie w desce, którego nie da się skleić, tak nie dawała się usunąć w socjalizmie różnica między robotnikiem a intelektualistą. Zorganizowany socjalizm nazywał się Stowarzyszeniem Robotników, lecz w istocie nigdy nim nie był. Nie był to ruch klasy robotniczej, lecz ruch na rzecz klasy robotniczej i ta różnica miała nadal istotne znaczenie. Choć socjalizm przemawiał w imieniu robotnika i wyrażał jego potrzeby, cele jego i doktryna zostały ustanowione przez intelektualistów, z ich myśli, energii i przewodnictwa ruch ten przeważnie korzystał. Klasa robotnicza była klientem, a zarazem, dzięki swej masowej sile, instrumentem niezbędnym do obalenia kapitalizmu. W tym charakterze jawiła się jako Bohater; gloryfikowano ją. Ilustracje do angielskiej broszury, upamiętniającej kongres londyński z 1896 roku, przedstawiały robotników jako przystojnych, muskularnych mężczyzn w kitlach — jak z Burne-Jonesa — a obok nieugięte kobiety o długich nogach i falistych włosach. Nie należeli do tej samej rasy co postaci Zoli, ludzie brudni, szorstcy, głodni, gruźlicy i alkoholicy. W rzeczywistości ani jeden obraz, ani drugi niezupełnie odpowiadał prawdzie; nie wszyscy należeli do lumpenproletariatu ani też do rewolucjonistów z falistymi brodami i zaciśniętymi pięściami. Klasa robotnicza nie była bardziej jednolita niż każda inna klasa. Zgodnie z doktryną socjalistyczną miała to być zwarta całość o proletariackim umyśle, proletariackim głosie, proletariackiej woli i o proletariackich dążeniach. W praktyce jednak nie dało się to tak łatwo sprawić. Socjaliści idealizowali proletariat, a idealizować znaczy

przeceniać.

Wskutek sporów wewnętrznych kongres założycielski z 1889 roku nie ustanowił istotnych zasad doktryny, pod którą partie członkowskie musiałyby się podpisać. Uzgodniono jedynie cztery rezolucje, ustalające cztery cele jako właściwe dążenia socjalistyczne, oprócz programu maksymalnego: ośmiogodzinny dzień pracy, powszechne równe prawo wyborcze dla wszystkich mężczyzn, zastąpienie stałych armii milicją obywatelską, świętowanie Pierwszego Maja dla wykazania siły klasy robotniczej.

Podczas gdy pierwszy cel stanowił podstawowe żądanie klienteli, drugi miał zasadnicze znaczenie dla całego socjalistycznego programu i dążeń. Prawo wyborcze stanowiło środek, przy pomocy którego masy mogły zmienić ilość w siłę; jedyną dla nich możliwość zrównoważenia siły kapitału. Właśnie dlatego sprzeciwiała się temu klasa rządząca. W owym czasie równe prawo wyborcze dla wszystkich mężczyzn istniało jedynie we Francji i w Stanach Zjednoczonych, a w Niemczech tylko w wyborach krajowych, a nie w wyborach do rządów lokalnych. W większości innych krajów osoby nie posiadające majątku nie miały prawa głosu lub też większą ilością głosów dysponowały osoby płacące podatki, mające stopnie uniwersyteckie i ojcowie rodzin. Socjaliści domagali się zasady: jeden człowiek — jeden głos.

Ostatnia z czterech rezolucji, pierwszomajowa, została uchwalona jako odzew na orędzie Amerykańskiej Federacji Pracy, która zamierzała rozpocząć 1 maja 1890 roku kampanię o ośmiogodzinny dzień pracy. Uchwałę podjęto na wniosek francuskiego związkowca, lecz w rezultacie nie osiągnięto zgody, bo Niemcy nie chcieli zobowiązać się do gestu mogącego rozgniewać biurokrację i wywołać represje.

Niemniej jednak właśnie Niemcy przemawiali w Międzynarodówce z największym autorytetem. Partia niemiecka, jako najstarsza i najliczniejsza ze wszystkich partii socjalistycznych, cieszyła się szczególnym prestiżem, a okoliczność, że Marks był Niemcem, pozwoliła jej uważać się nie tylko za Watykan, ale za Piotrową opokę socjalizmu. W wyborach 1890 roku, po zniesieniu antysocjalistycznej ustawy, socjaliści zdobyli 1 400 000 głosów, blisko 20 procent wszystkich, i 35 miejsc w Reichstagu; zwycięstwo to oszołomiło socjalistów w innych krajach. W praktyce Niemiecka Partia Socjaldemokratyczna, wskutek powodzenia u wyborców i bliskich więzów ze związkami zawodowymi, przystosowała się do możliwości. W teorii

pozostawała nadal zdecydowanie marksistowska i na kongresie erfurckim w 1891 roku przyjęła ponownie marksistowski pogląd na historię za oficjalny.

Program, erfurcki potwierdzał, że klasa średnia, drobni przedsiębiorcy i rolnicy, jest uciskana i popada wraz z proletariatem w coraz większą nędzę; im bardziej masy rosą liczebnie, powiększając siłę roboczą, tym bardziej pogłębia się podział na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Ponieważ ostateczne rozwiązanie w formie uspołecznionej własności da się osiągnąć tylko przez zdobycie władzy politycznej, program partyjny musi dążyć do uzyskania wpływów, wykorzystując związki zawodowe dla dostarczenia głosów, ale przy zachowaniu kierownictwa w partii. Erfurckie zasady akcji politycznej wycisnęły swoje piętno na Drugiej Międzynarodówce, choć nie bez zacieklego sprzeciwu anarchistów i ich przyjaciół; różnice w tej sprawie między nimi a marksistami doprowadziły już poprzednio do zerwania Pierwszej Międzynarodówki. Anarchiści, choć nie zaproszeni na kongres zuryski w 1893 roku, przybyli tam jednak, ale August Bebel, niemiecki przewodniczący, mistrz marksistowskich ataków polemicznych, wytykał im, że nie mają „ani programu, ani zasad”. W Zurychu, „przywykłym do niemieckich metod”, nietrudno mu było wypędzić ich siłą. Protestując przeciw takim metodom, Amilcare Cipriani zrezygnował z funkcji delegata. Anarchiści wycofali się i zorganizowali własny mini-kontrkongres w kawiarni, a tymczasem większość uchwaliła jednogłośnie rezolucję uznającą „konieczność zorganizowania robotników dla politycznej akcji”. Od tego czasu tylko partie i grupy akceptujące tę zasadę mogły używać nazwy socjalistów i uczestniczyć w kongresach Międzynarodówki. Nie chcąc się oderwać od swojej podstawy kongres zuryski postanowił zrobić wyjątek dla związków zawodowych, które w przyszłości mogły być przyjmowane bez opowiadania się za zasadą polityczną. Według słów belgijskiego delegata Emile'a Vandervelde te trudne problemy zostały rozwiązane w atmosferze „całkowitego spokoju”. Natomiast młodemu brytyjskiemu delegatowi związków zawodowych, J. R. Clynesowi ze związku włókniarzy, który nigdy przedtem nie był za granicą, atmosfera nie wydawała się wcale spokojna. Zdumiewały go „orgie słowne” i gwałtowność delegatów romańskich i słowiańskich, a także wybuchy wrogości, podczas których jeden delegat błysnął nożem, a „wszyscy wrzeszczeli i szamotali się”. U socjalistów wrodzona ludzka wojowniczość znajdowała upust w walkach frakcyjnych, a ich gwałtowność Clynes przypisywał w sposób nietaktowny „rywalizacji narodowej i nienawiści wywodzącej się z poprzednich wojen”.

Pewnego razu Clynes poszedł popływać w Jeziorze Zuryskim i zobaczył „rudą brodę na powierzchni wody płynącą cicho w moim kierunku”; okazało się, że należała ona do Bernarda Shaw, będącego również delegatem na kongres z ramienia Towarzystwa Fabiańskiego.

Zlekceważywszy już Marksa i rewolucję, Shaw w swoich sprawozdaniach z kongresu nie szczędził wyrazów pogardy dla Wilhelma Liebknechta, mającego swoich zwolenników „retoryką barykad”. Przywódcy niemieccy stwierdził potem, byli opóźnieni o czterdzieści lat. Liczący sześćdziesiąt siedem lat Liebknecht, założyciel partii z 1875 roku, był teraz jej najstarszym politykiem. Pochodził z rodziny profesorów uniwersytetu, sięgającej aż osiemnastego wieku. Został uwięziony za udział w rewolucji burżuazyjnej 1848 roku, a potem przez trzynaście lat żył na wygnaniu w Anglii, gdzie studiował razem z Marksem. Gdy umarł w 1900, wzdłuż trasy jego pogrzebu, trwającego cztery godziny, zgromadziło się około stu tysięcy żałobników i widzów.

Wszyscy z wyjątkiem Shawa uważali niemiecką partię za nadzieję socjalizmu, niosącą pochodnie w kraju, z którego według przewidywań Marksa miała nadejść rewolucja. Na wszystkich robiła wrażenie wielkość i siła partii, jej cudowna organizacja, jej dwudziestu ośmiu sekretarzy i organizatorów, jej program szkoleniowy dla pracowników partyjnych, jej wzrastająca liczba członków. W wyborach z 1893 roku socjaldemokraci otrzymali aż 1 750 000 głosów, tj. blisko 25 procent więcej niż którakolwiek inna partia. Ponieważ łączenie się z jakąkolwiek partią burżuazyjną było sprzeczne z zasadami, socjaliści, choć liczni, pozostawali w Reichstagu stosunkowo bezsilną grupą w bezsilnym skądinąd organie. Fakt, że istnieli, stwarzał jednak pewien cichy nacisk i skłaniał rząd do ustępstw. Kajzer, który w pierwszym beztroskim uniesieniu z powodu zwolnienia Bismarcka zniósł w 1890 roku antysocjalistyczną ustawę, szybko się ocknął. W 1895 oświadczył, że socjaldemokraci są „bandą zdrajców” i „nie zasługują na miano Niemców”, a w 1897, że partia, „która nie przestaje atakować najwyższego władcy, musi zostać wykarczowana do ostatniego pieńka”. W 1895 roku Liebknecht został aresztowany pod zarzutem *lèse majesté* za przemówienie, o którym Shaw powiedział, że mogłoby zostać wygłoszone „jutro przez p. Arthura Balfoura do Ligi Konserwatywnej za aprobatą Anglii”. Nie stanowiło to jednak szczególnej represji, bo mogło się zdarzyć w Niemczech każdemu.

U socjalistów niemieckich cechy narodowe wykazywały tendencję do przewagi nad cechami klasowymi: byli oni bardziej posłuszni niż zuchwali. Partia, choć taka wielka, nie odważyła się zorganizować na niemieckiej ziemi kongresu Międzynarodówki Socjalistycznej aż do roku 1907. Jej przywódcy mimo płomiennych przemówień wykazywali roztropność w działaniu; demonstracje pierwszomajowe ograniczyli do popołudnia, aby nie przeszkadzały w pracy. Zaprzestanie pracy, powiedział Liebknecht, to strajk generalny, a „strajk generalny to generalny nonsens”. W Monachium demonstracje pierwszomajowe były zakazane do roku 1901, a później zezwolono na nie tylko pod warunkiem, że będą się odbywały poza granicami miasta i że po drodze nie będą się zbierały tłumy na ulicach. Kolumny socjalistów „z kieszeniami pełnymi rzodkiewek” maszerowały szybko przez miasto wraz z żonami i dziećmi w całkowitym milczeniu do piwiarni w ogródku na przedmieściu; pili tam piwo, żuli rzodkiewki i — jak zauważył pewien rosyjski emigrant — „nie wyglądało to wcale na pierwszomajowe świętowanie triumfu klasy robotniczej”.

Powodziło im się jednak lepiej niż robotnikom rosyjskim. Przy silnym ożywieniu niemieckiej ekspansji przemysłowej wzrost zatrudnienia następował szybciej niż wzrost ludności. W tych warunkach związkom udawało się uzyskiwać podwyżki płac. Ustawodawstwo socjalne, wprowadzone odgórnie przez Bismarcka, by związać robotników z państwem, było bardziej postępowe niż w jakimkolwiek innym kraju. W 1903 roku 18 000 000 osób korzystało z ubezpieczenia od wypadków, 13 000 000 z ubezpieczenia na starość, a 11 000 000 z ubezpieczenia od choroby; roczne wypłaty z tytułu ubezpieczeń społecznych odpowiadały ogółem 100 000 000 dolarów. Ustawy regulowały wysokość płac, godziny pracy, urlopy, załatwianie zażaleń, środki bezpieczeństwa pracy, a także ilość okien i toalet w fabrykach. Władcy Niemiec troszczyli się z właściwą sobie dokładnością o sprawność fizyczną narodu, pozostawiając jak najmniej przypadkowi i obejmując przepisami porządkowymi wszystko, co się dało. W 1897 roku profesor Delbrück poparł publicznie prawo do układów zbiorowych, uważając, że spokój klasy pracującej jest niezbędny dla narodowej jedności i obronności. Utrzymywanie spokoju klasy pracującej za pomocą rozsądnych ustępstw uważano za najlepszą metodę pogięcia socjaldemokratów, na których klasa posiadająca spoglądała z coraz większą wrogością i obawą.

Burżuazja uważała dyktatora partii, Augusta Bebla, za „kajzera

opozycji”. Ten szczupły mężczyzna, drobnej budowy, o siwych włosach i koziej bródce, urodził się w baraku w 1840 roku, tym samym, co Car Reed. Ojciec jego był kapralem w wojsku, matka służącą. Zaczął pracować jako cieśla, za czasów Lassalle'a przyłączył się do ruchu robotniczego. Pod zarzutem podżegania do zdrady skazany został na cztery lata więzienia — karę, która przyczyniała się do zwiększania liczby socjalistów. W więzieniu Bebel dużo czytał, przyjmował wizyty Liebknechta i napisał dogmatyczną książkę historyczną *Kobieta i socjalizm*. Mommsen twierdził, że gdyby obdzielić jego rozumem tuzin junkrów po wschodniej stronie Łaby, każdy z nich miałby go dosyć, aby zabłysnąć wśród siebie równych. W Reichstagu, gdzie „w bezlitosnym tonie” dyskutował z Bismarckiem, był rzecznikiem ubogich i nędzarzy, kochanym i podziwianym przez robotników, uważających go za towarzysza. Na kongresie partyjnym w 1903 roku oświadczył, że pozostanie „śmiertelnym wrogiem tego burżuazyjnego społeczeństwa i jego politycznego ładu” aż do jego obalenia. Była to tradycyjna retoryka. W rzeczywistości Bebel nie miał wielkich złudzeń co do masy swych zwolenników. „Proszę spojrzeć na tych chłopców — powiedział w 1892 roku do korespondenta londyńskiego „Timesa”, gdy obserwowali przemarsz batalionu pruskiej gwardii — 80 procent to berlińczycy i socjaldemokraci, lecz gdyby doszło do zamieszek, zastrzeliliby mnie na jedno słowo rozkazu z góry”.

Z wybitnych postaci Drugiej Międzynarodówki tylko on i Keir Hardie pochodzili z klasy robotniczej. Karl Kautsky, o czternaście lat młodszy od Bebla, myśliciel i pisarz partyjny oraz twórca Programu erfurckiego, którego komentarze do doktryny stanowiły temat nie kończących się dyskusji, był synem intelektualistów, malarza i powieściopisarki. Viktor Adler z Austrii był lekarzem, Emile Vandervelde synem bogatych rodziców, których opisywał jako „wzory burżuazyjnych cnót”, a Francuz Jaurès pochodził z drobnej burżuazji.

Adler, jako lekarz, zdawał sobie sprawę, jaką szkodę wyrządza człowiekowi niedożywienie, przepracowanie i nędza. Chciał poprowadzić robotników do nowego bytu w „zdrowiu, kulturze, wolności i godności”. Pochodzący z bogatej żydowskiej rodziny praskiej, studiował medycynę, aby leczyć biednych. Ubrany w łańchmany, jak murarz, badał warunki w wiedeńskich cegielniach, gdzie robotnicy mieszkali w barakach spółki, pilnowani jak więźniowie, pięć do sześciu rodzin w jednej sypialni, a płacono

im bonami, przyjmowanymi jedynie w sklepach spółki. Przed założeniem austriackiej partii w 1889 roku podróżował po Niemczech, Anglii i Szwajcarii, pragnąc zapoznać się z życiem tamtejszych robotników i ustawodawstwem socjalnym, które mogłoby zostać wprowadzone w Austrii. Niski, chudy, wątłej postaci, miał gęste włosy i wąsy, bladą twarz, jedno ramię pochylone i nosił okulary w złotej oprawie. Kochał muzykę, a także Ibsena i Shelleya. Uznając rewolucję za cel ostateczny, wierzył w potrzebę tymczasowych reform, aby przygotować robotników fizycznych i umysłowo do ich przeznaczenia. Walka o te reformy przeciw „despotyzmowi złagodzonemu przez nieudolność”, jak opisywał reżim Habsburgów, doprowadzała Adlera często do zniechęcenia i stopniowo przytępiła jego wiarę. W pierwszych latach dwudziestego wieku poznał go Trocki i uznał za sceptyka, który toleruje już wszystko i przystosowuje się do wszystkiego.

W Belgii, kraju o najgęstszym zaludnieniu w Europie, gdzie proces industrializacji postępował szybko i gwałtownie, życie klasy robotniczej było „piekłem”, jak wyraził się pewien obserwator. Fabryki tekstylne, stalownie; kopalnie, kamieniołomy, doki i stocznie zużywały robotników, jak młyn miele ziarno. 25 procent wszystkich robotników zarabiałoby mniej niż równowartość czterdziestu centów dziennie; następne 25 procent zarabiałoby od czterdziestu do sześćdziesięciu centów. W Brukseli badania wykazały, że 34 procent rodzin robotniczych mieszka w jednej izbie. Stopa analfabetyzmu w Belgii była najwyższa w Europie, gdyż pracę dzieci wykorzystywano do tego stopnia, że niewiele z nich miało możliwość chodzenia do szkoły. Ruch robotniczy, troszcząc się o „coś poważniejszego niż doktryna” założył w 1885 roku Belgijską Partię Robotniczą, nie podzieloną jak gdzie indziej, bo nie mógł sobie na to pozwolić. Ta najbardziej okrzepła, zdyscyplinowana i poważana ze wszystkich europejskich partii socjalistycznych miała wyraźnie proletariacki charakter, choć przewodził jej zapalony Vandervelde. Prawnik z wykształcenia, elokwentny, podziwiany mówca i płodny pisarz poruszający problemy robotnicze, był „uwielbiany” przez kobiety socjalistki, które uważały go za „uroczego i pociągającego fizycznie”. Partia wraz ze związkami zorganizowała system spółdzielni; robotnicy kupowali tam socjalistyczny chleb i socjalistyczne buciki, pili socjalistyczne piwo, załatwiali socjalistyczne urlopy i zyskiwali socjalistyczne wykształcenie na Université Nouvelle, gdzie wykładał francuski anarchista i geograf, Elisée Reclus. Szkoła belgijska, założona przez Vanderveldego i innych w 1894 roku, tym samym, w którym fabianie założyli Londyńską Szkołę

Ekonomiczną, stanowiła ukoronowanie świata socjalistycznego stworzonego w społeczeństwie kapitalistycznym.

Dzięki rozszerzonemu prawu wyborczemu, zdobytemu kosztem życia wielu robotników, Belgijska Partia Robotnicza wybrała w 1894 roku dwudziestu ośmiu posłów do najbardziej burżuazyjnego parlamentu Europy. Pojawienie się tego jednolitego bloku, „przygotowanego zdecydowanie i bezwzględnie chwycić za broń przeciw wszelkim instytucjom istniejącego reżimu”, wywołało w klasie rządzącej dreszcz strachu, wyznawcy natomiast wyobrazili sobie nagle, że Belgia może stać się pierwszym krajem, w którym socjalizm zostanie zrealizowany. Gdy w 1902 roku ogłoszony został strajk powszechny jako jeszcze jedna próba przeprowadzenia zasady wyborczej jeden człowiek — jeden głos, wielu członków ruchu obawiało się utracić zyskane już zdobycze, lecz bojownicy przeważyli. Klasa rządząca, nadal agresywna i silna, stłumiła strajk „morderczą strzelaniną” na ulicach Louvain. Ośmiu strajkujących zostało zabitych, a partia dopiero po wielu latach zdołała otrząsnąć się z klęski.

Podobnie jak Niemcy miały Marksa, Francja miała swoją Rewolucję i Komunę. Socjalizm francuski cechowała większa energia, ale też największa frakcyjność, i dlatego nie osiągnął on tej mocy i znaczenia co socjalizm niemiecki. Postawę marksistowską reprezentowała Francuska Partia Robotnicza, założona w 1897 roku przez Jules'a Guesde'a w porozumieniu z Marksem i Engelsem. Dwa lata później wystąpił z niej Paul Brousse i utworzył grupę posybilistów, opierającą się na zasadzie, że możliwa jest emancypacja robotników bez rewolucji. Edouard Vaillant, spadkobierca starego komunarda Blanquiego, stał na czele oddzielnej Socjalistycznej Partii Rewolucyjnej, od której oderwało się ekstremistyczne skrzydło, zwane allemanistami od nazwiska przywódcy Jeana Allemane. Guesde, samozwańczy strażnik marksistowskiego sumienia, występował niezmordowanie przeciw odstępcom i fałszywym bogom. Miał rzadkie czarne włosy, długie prawie do ramion, ascetyczną twarz Chrystusa i pince-nez na długim, profesorskim nosie; ten gorliwiec nie zaprzestał ani na chwilę totalnej walki przeciw systemowi kapitalistycznemu. „Torquemada w okularach” nazywali go współcześni, a Zola opisywał, jak rozmawia „posługując się całym wachlarzem namiętnej gestykulacji i nie przestając kaszleć”. Dla Guesde'a nic — z wyjątkiem rewolucji — nie miało żadnej wartości; zakazywał on każdej, choćby najmniejszej formy współpracy z

wrogimi klasami. Był imposybilistą. Należał do tej kategorii marksistów, którzy stają się posepni pod wpływem własnych przepowiedni katastroficznych. Ludzkość, zaabsorbowana materialistycznymi sprawami, degeneruje się. Socjalizm, jeśli nie nadejdzie dość szybko, może już nie zdążyć jej uratować. „Co my, socjaliści, zrobimy z tak upodloną ludzkością? — pytał w czasie sprawy Dreyfusa. — Przyjdziemy za późno, gdy nadejdzie pora budowania naszego domu, materiał ludzki będzie zbutwiały”.

W 1893 roku socjaliści we Francji, podobnie jak w Belgii, odnieśli poważne zwycięstwo wyborcze: ponad pół miliona głosów, co dało trzydziestu siedmiu deputowanych do Parlamentu. Górował pośród nich trzydziestoczteroletni, od niedawna dopiero znany Jean Jaurès, którego mistrzowskie przeprowadzenie strajku w Carmaux, w jego rodzinnym okręgu Tam, wzbudziło sympatię całej Francji. Górnikom z Carmaux, gdzie od lat ciągnęły się zaciekle spory pracownicze, udało się wybrać na burmistrza sekretarza ich związku, socjalistę, ale spółka nie dała mu wolnego czasu na wykonywanie obowiązków politycznych. Podjął się ich mimo to i w następstwie został zwolniony z pracy. Stanowiło to uderzenie w sam cel wyborów, obelgę dla prawa wyborczego, którą dobrze rozumieli wszyscy spadkobiercy Rewolucji. Gdy górnicy odpowiedzieli strajkiem protestacyjnym, Jaurès, były profesor filozofii, stał się z własnej inicjatywy ich doradcą, przywódcą i rzecznikiem. Jego przeciwnik, markiz de Solages, dziedzic Carmaux, właściciel kopalni żelaza, hut szkła, lasów, posiadacz tytułu i miejsca w Parlamencie, był uosobieniem kapitalizmu; Jaurès przez prawie całe życie prowadził z nim nieustający pojedynek poprzez strajki i wybory. Jaurès wszedł do Parlamentu jako kandydat Francuskiej Partii Robotniczej, wybrany w Carmaux.

Niski, silnie zbudowany, „krzepka kariatyda” o „wesołej i zabawnej twarzy”, Jaurès promieniował ciepłą witalnością południa. „Wszystko go interesowało, wszystko go podniecało”, powiedział Vandervelde. Miał głos o sile i skali organów, odznaczał się niepospolitą inteligencją, niewyczerpaną energią, niczym nie tłumionym entuzjazmem oraz umiejętnością panowania w dyskusji; wszystkie te zalety czyniły z niego urodzonego przywódcę. Przemawiając nie przestawał się poruszać, odrzucał w tył głowę lub pochylał gwałtownie do przodu swoje ciało, młóćąc krótkimi rękami. „Pod ciężarem myśli drżały mu ramiona i trzęsły się kolana. Całą siłę swej kultury i przekonań wkładał w słowa, aby poprowadzić wierzący w niego tłum ku

lepszego przyszłości". Wydawało się, że łączy w swojej osobie masywność ziemi i ruchliwość ognia. Jego wypowiedzi wzbudzały taki podziw, że nawet przeciwnicy polityczni przychodzili go słuchać, jakby słuchali Mouneta-Sully'ego deklamującego Racine'a. Gość na pewnym przyjęciu, który przysłuchiwał się jego wypowiedziom o astronomii, pisał: „Wydawało się, że rozstępują się ściany pokoju, unosiliśmy się w przestrzeni. Kobiety zapomniały się przypudrować, mężczyźni zapomnieli zapalić, a służący zapomnieli o swoim posiłku”. Remy de Gourmont powiedział: „Jaurès myśli swoją brodą”, ale człowiek, który napisał *Le Preuves* i był w młodości chlubą Ecole Normale, myślał jaśniej niż większość ludzi. Choć francuski ruch socjalistyczny nie miał oficjalnego szefa, bo stale się rozszczepiał, dzielił dalej, łączył i znów rozdzielał, Jaurès, zajmujący stopniowo miejsce Guesde'a, został w końcu akceptowany jako jego przywódca.

Autentyczny socjalizm Jaurès'a przejawiał się nie tyle w wierności doktrynie, ile w głębokim przekonaniu o samej istocie idei i sprawy. Wierzył, że człowiek jest dobry, że społeczeństwo można uczynić dobrym i że walka o to, aby tak się stało, powinna się toczyć codziennie środkami dostępnymi we współczesnej rzeczywistości. Włączał się w tę walkę wszędzie, gdzie wybuchała: podczas strzelaniny w Fournies, w Carmaux, w sprawie *lois scélérates*, w sprawie ustawy o podatku dochodowym, w sprawie Dreyfusa. Jego socjalizm nie wywodził się od Marksa; był on, jak stwierdził, po prostu „produktem historii, nieustannego cierpienia”. Jego łacińska praca doktorska miała za temat źródła niemieckiego socjalizmu poczynając od Lutera: *De primis socialismi germanici lineamentis apud Lutherum, Kant, Fichte et Hegel*. Wybrany do Parlamentu po raz pierwszy w 1885 roku przez republikańców, i w wieku dwudziestu sześciu lat najmłodszy deputowany, zniechęcił się do polityki i wrócił do zajęć akademickich jako profesor na uniwersytecie w Tuluzie, gdzie wkrótce na jego wykładach zaczęły się zbierać tłumy robotników i burżuazja z miasta, oprócz studentów i wykładowców. Walki robotników w Tuluzie i Tarn przyciągnęły go z powrotem do życia politycznego i w 1890 roku oznajmił, że jest socjalistą. Edouard Vaillant powiedział raz, że nie zna takiej rewolucji, za którą Jaurès by się nie opowiedział, lecz Jaurès wyobrażał sobie rewolucję raczej jako przejęcie państwa niż jego obalenie. Jego marksizm był płynny: był tyleż patriotą, co internacjonalistą, a wierzył w wolność indywidualną nie mniej silnie niż w kolektywizm. „My, socjaliści, jesteśmy także wolni duchem; nas także zewnętrzne ograniczenia wprowadzają w niepokój”, powiedział. Gdyby

przyszłe społeczeństwo socjalistyczne nie pozwoliło ludziom „spacerować, śpiewać i rozmyślać pod gołym niebem”, kiedy mają na to ochotę, byłoby nie do przyjęcia. Zaprzeczał marksistowskiemu pojęciu państwa burżuazyjnego, w którym klasa pracująca nie ma żadnego udziału. Nie uważał klasy pracującej za obcego czekającego przy drzwiach, aby przejąć państwo, lecz za część tego państwa już teraz, która musi teraz zwrócić na siebie uwagę i wykorzystać klasę średnią jako sprzymierzeńca w walce o zreformowanie społeczeństwa, zmierzające do zrealizowania socjalistycznego ideału.

Jego wiara miała siłę maszyny parowej. „Czy wiecie, jak rozpoznać artykuł Jaurès’a? — pytał Clemenceau. — To bardzo proste: wszystkie czasowniki są w czasie przyszłym”. Niemniej wykazywał pragmatyzm największy ze wszystkich socjalistów, nigdy nie był doktrynerem, zawsze człowiekiem czynu. Żył czynem, co oznaczało posuwanie się naprzód i cofanie, adaptację, dawanie i branie. Nie mógł uznawać żadnego formalnego dogmatu, który zamknąłby przed nim jakąś drogę działania. Zawsze był pomostem tak między ludźmi, jak między ideami. Był działającym idealistą.

Równocześnie z nim w 1893 wybrani zostali jako deputowani socjalistyczni Alexandre Millerand, trzeźwy prawnik, René Viviani, słynny bardziej ze swego poruszającego krasomówstwa niż z jego treści; Aristide Briand, najmłodszy z grupy, F. E. Smith, którego rozum, zdolności i ambicje miały się okazać silniejsze niż przekonania. Briand „nic nie wie i wszystko rozumie”, powiedział Clemenceau, dodając, że gdyby go kiedykolwiek oskarżono o kradzież wież Notre Dame, wybrałby Brianda na obrońcę. Deputowani socjalistyczni w Parlamencie z 1893-98 przedstawili krajowi swe idee, dążenia i natychmiastowe żądania. Udało im się uzgodnić pomiędzy sobą definicję minimalną, zwaną programem St-Mandé, sformułowanym przez Milleranda, która stwierdzała, że „socjalistą jest ten, kto wierzy w kolektywną własność”. Ustalała ona jako podstawowe cele socjalistyczne nacjonalizację środków produkcji i wymiany, jedno po drugim, w miarę dojrzewania; zdobycie władzy politycznej przez powszechne głosowanie; międzynarodową współpracę klasy pracującej. W Parlamencie posłowie socjalistyczni domagali się jako reform tymczasowych ośmiogodzinnego dnia pracy, podatku dochodowego i spadkowego, emerytur, reformy komunalnej, przepisów ochrony zdrowia i bezpieczeństwa w fabrykach, kopalniach i na kolejach. Debata parlamentarna z Jaurès’em w awangardzie, z Guesde’em, który przyprawiał burżuazję o dreszcze

rozwodząc się piskliwym głosem nad nieubłaganym marszem marksistowskiej historii ku upadkowi, z konserwatystami broniącymi się pod kierownictwem de Muna — gdy wszystkie przemówienia podawano w gazetach — rozwinęła się w wielki turniej idei, dzięki czemu socjalizm stał się od tej pory głównym prądem w życiu Francji.

Francuskie związki zawodowe, przepojone głęboką syndykalistyczną awersją do wszelkiej akcji politycznej, zrzeszyły się w 1895 roku w Confédération Générale du Travail (CGT) i trzymały się z dala od socjalizmu. Antagonizm doszedł do szczytu na londyńskim kongresie Drugiej Międzynarodówki w 1896 roku, „najburzliwszym i najbardziej chaotycznym” ze wszystkich, gdy anarchiści (m. in. Jean Grave, reprezentujący robotników stalowni z Amiens), posiadający mandaty francuskich związków, domagali się po raz ostatni przynależności do socjalistycznej rodziny. W tej sprawie doszło do tak ostrego rozłamu między francuskimi frakcjami, że kiedy naradzały się przed sesją plenarną, można było usłyszeć przez zamknięte drzwi „istne piekło dzikich wrzasków”. Po sześciu dniach zmagania, w czasie których ponownie doszło do walki między Marksem a Bakuninem, kongres w końcu wykluczył anarchistów raz na zawsze.” Jedna faza socjalizmu dobiegła końca. Większość nie wątpiła, że pojawią się nowe problemy dzielące prawe i lewe skrzydło socjalizmu i że utrwali się rozłam między celem Absolutnym a Możliwym.

Nim spełniły się te przewidywania, socjalizm przybrał nowe wymiary w Stanach Zjednoczonych, gdy zastosowanie nakazu sądowego w strajku pulmanowskim uczyniło socjalistę z Eugene'a Victora Debsa. Imiona te nadał mu ojciec, emigrant z Alzacji — po Eugene Suem i Wiktorze Hugo. Debs wychowany został na *Nędznikach*, biblii ojca i syna. W wieku czternastu lat zaczął pracować jako palacz na kolei, założył Bractwo Palaczy Parowozowych i wycofał się z niego w roku 1892, mając trzydzieści siedem lat, aby zorganizować wszystkich kolejarzy w związek przemysłowy, Amerykański Związek Kolejarzy. Kiedy Spółka Pullmana w 1893 i 1894 obniżyła płace o 25 do 33 i 1/3 procent nie obniżając równocześnie komornego w swoich domach i płacąc w dalszym ciągu dywidendy inwestorom, Debs ogłosił strajk solidarnościowy we wszystkich pociągach z wagonami pulmanowskimi. W akcji strajkowej, jaka się z tego wywiązała, największej z dotychczasowych w Stanach Zjednoczonych, wzięło udział ponad sto tysięcy ludzi. Właściciele, reprezentujący dwadzieścia cztery linie

kolejowe o łącznym kapitale 818 000 000 dolarów, walczyli przeciw pracownikom, mobilizując wszystkie siły kapitału i korzystając z poparcia sądów oraz wojska rządu federalnego. W okręgu Chicago zmobilizowano przeciw strajkującym trzy tysiące policjantów; pięć tysięcy zawodowych łamistrajków zaprzysiężono jako federalnych urzędników szeryfa i dano im broń; w końcu sprowadzono sześć tysięcy żołnierzy armii federalnej i stanowej, nie tyle dla ochrony własności i ludzi, ile dla złamania strajku i zgniecenia związku. Pułkownik regularnej armii powiedział po pijanemu w klubie w Chicago, że chciałby wszystkim w swoim pułku móc rozkazać, aby wzięli na cel i strzelali do „każdej brudnej białej wstążki”, godła strajkujących.

Choć związek zgodził się zapewnić obsługę pociągów pocztowych, doręczenie poczty stało się pretekstem do najsurowszego dotychczas nakazu sądowego. Nakaz sądowy stosowany przez państwo dla poparcia własności stanowił najokrutniejszą i najbardziej zniechęcającą broń kapitalizmu. Prokurator Generalny Olney, który przed wejściem do gabinetu był doradcą prawnym kolei i wciąż jeszcze dyrektorem kilku linii objętych strajkiem, przekonał prezydenta Clevelanda o konieczności takiego nakazu. Okręgowy prokurator Stanów Zjednoczonych w Chicago zredagował nakaz przy pomocy sędziów Grosscupa i Williama Wooda z Federalnego Sądu Rejonowego, którzy następnie zasiedli w trybunale, aby zatwierdzać własne dzieło. Gubernator Altgeld nie chciał zwrócić się o przysłanie wojska federalnego, wobec czego sędziowie stwierdzili, że wojsko jest niezbędne, aby w ten sposób uzasadnić nakaz. Była to wojna, oświadczył Debs, między „klasami produkującymi a krajową potęgą pieniądza”. Ponieważ nie chciał zastosować się do nakazu, został aresztowany wraz z kilku towarzyszami, uwięziony bez prawa wniesienia kaucji, a w 1895 roku skazany na sześć miesięcy więzienia.

Po jego aresztowaniu strajkujący, mniej lub bardziej wygłodzeni, dali za wygraną. Trzydziestu zostało zabitych, sześćdziesięciu rannych, ponad siedemset aresztowanych. Przyjmując pracowników z powrotem Pullman narzucił sprzeczne z regulaminem związkowym umowy, żądając, aby każdy robotnik zrezygnował z prawa należenia do związku.

W więzieniu Debs rozmyślał nad otrzymaną lekcją. Przeczytał *Postęp i ubóstwo*, *Patrząc wstecz* Bellamy'ego; *Eseje Fabiańskie*, *Miłą Anglię (Merrie England)* Blatchforda i komentarz Kautsky'ego do *Programu*

erfurckiego. Keir Hardie złożył mu wizytę. Nabrał przekonania, że kapitalizm nie pozostawia żadnej nadziei dla sprawy klasy robotniczej; w 1896, po pokonaniu Bryana i populistów przez siły Marka Hanny i McKinleya, utwierdził się w swoich przekonaniach. Kapitalizm, zbyt potężny, aby dał się zreformować, musi zostać obalony. Klasa rządząca odpłacała „Debsowi rewolucjoniście” równie silnymi uczuciami. Theodore Roosevelt, prowadząc kampanię dla McKinleya, powiedział w prywatnej rozmowie: „Uczucie ożywiające dziś dużą część naszej ludności da się zdusić tylko tak, jak została zduszona Komuna; trzeba wybrać dziesięciu lub dwunastu przywódców, postawić pod ścianą i rozstrzelać. Sądzę, że dojdzie do tego. Ci przywódcy knują rewolucję społeczną i obalenie Republiki Amerykańskiej”.

Debs ogłosił swoje nawrócenie na socjalizm w manifestie opublikowanym w „Railway Times” z 1 stycznia 1897, pisząc: „Nadszedł czas odnowy społeczeństwa — jesteśmy w przededniu światowych zmian”. Wspólnie z innymi przywódcami robotniczymi założył partię, nazwaną na wzór niemieckiej Amerykańską Socjaldemokracją, która stała się partią rodzimego amerykańskiego socjalizmu. W początkach, mając tylko cztery tysiące członków, partia ta utrzymywała się dzięki złotemu zegarkowi brata Debsa, Theodore'a: ilekroć potrzebne były fundusze na wydawanie gazety partyjnej, zastawiano ten zegarek. Gdy tylko Theodore Debs pojawiał się w drzwiach lombardu, stary Niemiec, właściciel, wołał przez ramię do dziewczyny przy kasie: „Daj czterdzieści dolarów temu socjalistycznemu panu”. Wówczas wciąż jeszcze do przyszłości należał okres amerykańskiego socjalizmu, kiedy to w pierwszych dwunastu latach nowego stulecia, w zmienionych warunkach, Debs cztery razy kandydował na prezydenta z ramienia swojej partii i prowadził kampanię w całym kraju, jeżdżąc Czerwonym Pociągiem Specjalnym, przeznaczonym tylko dla kolejarzy.

Na razie rywalizowała z nim Socjalistyczna Partia Pracy, składająca się przeważnie z ludzi urodzonych za granicą i istniejąca głównie na papierze i w umyśle swego fanatycznego dyktatora, Daniela De Leona. Urodzony w Curaçao w rodzinie holendersko-żydowskiej i wychowany w Niemczech, De Leon wierzył, że tylko on nadaje się na przywódcę w walce klasowej. Przybył do Stanów Zjednoczonych mając dwadzieścia dwa lata, uzyskał stopień naukowy z prawa w Columbii, a ponieważ wykładał tam historię latynoamerykańską, przeciwnicy związku nazywali go pogardliwie

„profesorem”. Nieustannie i z pasją propagował idee socjalistyczne w swoim tygodniku „The People”, kandydował bez widomych rezultatów do Zgromadzenia Stanu Nowy Jork, do Kongresu, a w 1891 roku na gubernatora. Chcąc wciągnąć do akcji zorganizowany świat pracy, założył Zrzeszenie Handlu i Pracy, głównie po to, aby wzbudzić gniew przywódcy związku zawodowego, Sama Gompersa. Gompers uważał działalność polityczną za diabelskie widły, a o De Leonie mówił, że nigdy jeszcze nie było w socjalizmie „bardziej złowrogiej siły”. W 1901 duża frakcja Socjalistycznej Partii Pracy, sprzeciwiająca się „dyktatorstwu” De Leona, odłączyła się pod wodzą Morrisa Hillquita i Victora Bergera, aby przystąpić do grupy Debsa, przemianowanej wówczas na Socjalistyczną Partię Ameryki.

Nieprzejednany przeciwnik socjalizmu, Gompers był prototypem zwykłego związkowca, w odróżnieniu od związkowca rewolucyjnego. Należał do wybitnych reprezentantów poglądu, że walka świata pracy musi być prowadzona w obrębie systemu kapitalistycznego, a nie przeciw niemu. Karłowaty i krępy, „niemal groteskowy”, z olbrzymią głową, o pospolitych, nieregularnych rysach, choć brzydki, robił silne wrażenie jako osobowość i panował nad każdym zebraniem, w którym brał udział. Gdy na zebraniu federacji zapuszczał się w jedną ze swych antysocjalistycznych tyrad, stary przeciwnik ze związku drukarzy, który chętnie mu dokuczał, wołał zwykle z sali: „Daj im szkołę, Sam, daj im szkołę!” Sam nigdy nie szczędził wysiłków. Odrzucił Stary Świat i żywił głęboką nieufność do socjalistycznych tradycji, choć je dobrze poznał. Jako młody człowiek pracujący w przemyśle tytoniowym — w którym płacono od sztuki, co pozwalało jednemu robotnikowi czytać na głos, podczas gdy inni wykonywali za niego normę — przeczytał swoim towarzyszom robotnikom Marksa, Engelsa i Lassalle'a. „Ucz się socjalizmu”, ale „nie przyłączaj się do niego”, radził mu mentor, szwedzki emigrant marksista. „Patrz uważnie na swoją kartę związkową, Sam — mawiał — jeśli idea się z nią nie zgadza, nie jest prawdziwa”.

Gompers, pełen wiary w nowe społeczeństwo amerykańskie nie godził się z pesymistycznymi założeniami Marksa. Wierzył niezłomnie, że świat pracy powinien się trzymać z daleka od polityki, używając swojej siły do bezpośrednich pertraktacji z pracodawcami. Regulację płac, czasu i warunków pracy powinno się osiągnąć przez działalność związków, a nie przez akty ustawodawcze. Założył federację w 1881 roku, mając trzydzieści

jeden lat; urzędował w jednym pokoju wielkości osiem stóp na dziesięć, z kuchennym stołem zamiast biurka, skrzynią zamiast krzesła i dostarczonymi przez zaprzyjaźnionego sklepikarza skrzynkami po pomidorach na akta. W 1897 roku federacja miała 265 000 członków, w 1900 pół miliona, w 1904 półtora miliona. Kiedy Bryan starając się o głosy związkowców w 1896 roku obiecywał, że jeśli zostanie wybrany, mianuje Gompersa swoim ministrem, Gompers wstał i oznajmił, że „w żadnym wypadku” nie przyjmie nigdy żadnej funkcji politycznej. Nie zezwolił Amerykańskiej Federacji Pracy na popieranie Bryana i populizmu, gdyż, jak mówił — „te sprawy klasy średniej” odciąga ją świat pracy od jego własnego interesu, którym są związki i nic innego.

Gdy zdobył już pozycję, zgolił swoje sumiaste wąsy, zaczął nosić pince-nez, anielez, cylinder i, podobnie jak John Burns, chętnie bratał się z wielkimi, pertraktując z Markiem Hanną lub Augustem Belmontem. Nigdy jednak nie zrobił majątku i umarł w biedzie. Choć odrzucał walkę klas, miał silną świadomość klasową. „Jestem człowiekiem pracującym. Każdym nerwem, każdą komórką, we wszystkich dążeniach jestem po tej stronie, która popiera interesy moich towarzyszy robotników”. Uważał, że zadaniem członków związku jest „organizować się bardziej powszechnie, ściślej się łączyć, zjednoczyć nasze siły, wykształcić i przygotować się do bronięcia naszych interesów, tak abyśmy mogli pójść do urn wyborczych jak wolni Amerykanie, zjednoczeni i zdecydowani wybawić nasz kraj z jego obecnego politycznego i przemysłowego nierzędu, odebrać go z rąk plutokratycznych niszczycieli i oddać w ręce prostych ludzi”. Był to w istocie praktyczny socjalizm. Taka też była jego reakcja w piętnaście lat później, gdy podróżując po Europie widział turystów przerażonych widokiem warunków w slumsach Amsterdamu. Wspominał, jak wstrząsnęło nimi, że jakaś istota ludzka może znosić tę „karygodną obelgę” ze strony cywilizacji. „Dlaczegoż by nie buntować się jakoś przeciw temu? „ Socjalizm był w istocie ruchem tych, którzy czuli się zmuszeni „buntować się jakoś przeciw temu”, a Gompers, jak mawiał Morris Hillquit, był socjalistą, choć sam o tym nie wiedział.

W 1899 roku socjaliści stanęli przed nowym problemem, gdy Waldeck-Rousseau, poszukujący szerokiej bazy dla rządu, który by „zlikwidował” sprawę Dreyfusa, zaoferował funkcję ministerialną Millerandowi, a ten ją przyjął. Nigdy dotychczas żaden socjalista nie przekroczył niewidzialnej bariery obozu burżuazyjnego i nie współpracował z żadną jego częścią.

Wprawdzie Jaurès skłaniał, popychał i przekonywał socjalistów lub ich frakcje, aby połączyli się z burżuazyjną grupą drejfusistów w walce o ocalenie Republiki, lecz wejście do burżuazyjnego rządu było zupełnie inną sprawą. Sprawa Milleranda poruszyła podstawowy problem kooperacji, który od tego czasu stawał się coraz bardziej palący, gdyż socjaliści z roku na rok odgrywali coraz większą rolę w życiu krajowym. Powstawał dylemat: czy skazywać się na ortodoksyjną i jałową czystość, czekając na ostateczne obalenie kapitalizmu, czy też współpracować z lewicowymi lub centrowymi partiami burżuazyjnymi, popierając je przeciw reakcji i przynaglając do reform. W problemie tym tkwiła dalsza implikacja: czy socjalistyczne cele nie dadzą się na dłuższą metę osiągnąć w drodze reform?

Podczas gdy *le cas* Millerand wywoływał zamieszanie wśród francuskich socjalistów, ten sam problem powstał w Niemczech, nie w praktyce, lecz jak przystało Niemcom, w teorii. Wyszedł z jak najbardziej nieskalanego źródła, wyraził go człowiek ze ścisłego grona, protegowany Marksa i Engelsa, przyjaciel i towarzysz Liebknechta, Bebla i Kautsky'ego, członek kongresu założycielskiego z 1889 roku. Było to tak szokujące, jakby któryś z apostołów sprzeciwił się Jezusowi. Człowiek, który pozwolił sobie na skorygowanie Marksa, nazywał się Eduard Bernstein, a jego nowa doktryna, jakby nie miała odwagi sama się nazwać, została określona po prostu jako rewizja. Bernstein, młody urzędnik bankowy, w 1878 roku, kiedy wydana została antysocjalistyczna ustawa Bismarcka, mając dziewiętnaście lat, wyemigrował do Szwajcarii. Tam redagował gazetę partyjną, „Sozialdemokrat”, tak dobrze, że zyskał aprobatę Marksa i uznanie Engelsa, który określił ją jako „najlepszą gazetę partyjną”. W 1888 roku rząd niemiecki wyraził pismu komplement, nalegając na Szwajcarów, aby wydalili wszystkich pracowników. Bernstein przeniósł się do Londynu, gdzie podobnie jak Mistrz, spędzał czas w czytelni British Museum i nie starał się wrócić do Niemiec po zniesieniu antysocjalistycznej ustawy w 1890 roku. Choć nadal oskarżony o akcje wywrotowe, mógł być apelować, lecz pisał książkę o angielskiej rewolucji według marksistowskiej interpretacji, a poza tym odpowiadała mu atmosfera Londynu. Stanowiło to niepokojący symptom. Działał w tym okresie jako korespondent nowej gazety partyjnej „Vorwärts” i „Neue Zeit” Kautsky'ego. Główną kwaterą niemieckich socjalistów w Londynie był dom Engelsa przy Regent's Park; emigranci

zbierali się tam na wieczorne dyskusje przy stole zastawionym hojnie dużymi kanapkami i piwem; w okresie Bożego Narodzenia nie brakowało też świątecznego ciasta. Po śmierci Engelsa w 1895 roku Bernstein i Bebel mianowani zostali wykonawcami jego literackiego testamentu.

W następnym roku, jakby wyzwolony przez śmierć Engelsa, Bernstein ogłosił pierwsze heretyckie artykuły. W roku 1896 miał czterdzieści sześć lat, skromną, pełną godności powierzchowność, rzadziejące włosy, nosił okulary bez oprawy; wyglądał, jakby miał być przez całe życie kasjerem bankowym, awansując może do funkcji kierownika działu. Jedyłą jego charakterystyczną cechą był długi, wydatny nos. Znał dobrze fabian — przyjaźnił się nawet blisko z Grahamem Wallasem — odnosił się jednak do nich z uprzedzeniem ze względu na ich gotowość do działania w obrębie kapitalistycznego ładu. Równocześnie robiło na nim wrażenie funkcjonowanie demokratycznego rządu w Anglii i nie mógł się oprzeć widomym wokół oznakom, że kapitalizm jakoś nie zbliża się do grożącego mu załamania. Mimo bijących w oczy różnic zamożności, mimo „rosnącej nędzy”, przepowiedzianej przez Marksa, system, paradoksalnie, pozostawał nadal nie-zaprzeczenie silny, nawet agresywny. Wydawało się, że świat został nieuczciwie wciągnięty w nieubłaganą spiralę dobrobytu, a jego skutki w postaci zwiększonego zatrudnienia przeciwdziałały „rosnącej nędzy”. W Londynie, na emigracji, Bernstein ulegał ujemnemu wpływowi samodzielnego myślenia i coraz silniej nurtowało w nim podejrzenie, że historia nie idzie drogą wyznaczoną jej przez Marksa. Wyłamał się spod niemieckiego dyktatu. Ustanowił go Hegel, Marks umocnił, lecz historia, z uśmiechem Mony Lizy, poszła swą własną drogą, wymykając się kategorycznemu imperatywowi.

Jak człowiek, który zaczyna wątpić w biblijną historię stworzenia świata, tak Bernstein cierpiał katusze z powodu utraty wiary. Stał się pobudliwy i nerwowy, w pewnym momencie starał się nawet o pracę w banku w Transwalu. Eleonora Marks pisała do Kautsky'ego, że Bernstein jest w złym nastroju i robi sobie wrogów. Lecz odwaga intelektualna zwyciężyła. W okresie między rokiem 1896 a 1898 wysłał do „Neue Zeit” serię artykułów na temat problemów socjalizmu, które natychmiast wywołały krzyki oburzenia i tyrady. Niemieckie środowisko socjalistyczne ogarnął szal dyskusji, które wzmogły się jeszcze, gdy Bernstein wyraził swoje idee w wystąpieniu wysłanym na kongres partii niemieckiej w Stuttgarcie w październiku 1898 roku, a następnie w książce *Założenia socjalizmu (Die*

Voraussetzungen des Sozialismus), opublikowanej w marcu 1899 roku.

Książka przytaczała fakty sprzeczne z założeniami Marksa: klasa średnia nie znika, ilość ludzi posiadających rośnie, nie maleje. Klasa pracująca w Niemczech nie popada w coraz większą nędzę, lecz powoli zyskuje korzyści. Kapitał nie skupia się w rękach coraz mniejszej liczby kapitalistów, lecz raczej rozprzestrzenia się na większą ilość posiadaczy poprzez akcje i udziały. Zwiększona produkcja nie jest w całości konsumowana przez kapitalistów, lecz rozszerza się w formie zwiększonej konsumpcji klasy średniej, a nawet proletariatu, jeśli rosną jego zarobki. W Niemczech zwiększa się konsumpcja cukru, mięsa i piwa. Im szerzej rozprzestrzeniają się pieniądze, tym mniej jest szans, aby jeden kryzys ekonomiczny spowodował ostateczne załamanie. Jeśli socjaliści czekają na to, ostrzegali Bernstein, mogą czekać w nieskończoność. Krótko mówiąc, groźna para bliźniąt, *Verelendung* i *Zusammenbruch*, to tylko cienie.

W miejsce dialektyki marksistowskiej Bernstein proponował ekonomię kapitalistyczną zdolną do nieograniczonej ekspansji d do takiego dostrojenia się, które by wykluczyło rzekomo nieuniknione załamanie. Skoro jednak załamanie i rewolucja nie są nieuniknione, wówczas celem socjalizmu może być etyczne, demokratyczne społeczeństwo, opierające się na wszystkich klasach, nie na samym tylko proletariacie. Jeśli porzuci się cele rewolucyjne, twierdził Bernstein, uniesiony falą optymizmu, klasa pracująca będzie mogła uzyskać poparcie burżuazji dla reform w ramach istniejącego ładu.

Rysowała się tu jasno implikacja „millerandyzmu”. Jeśli ostatecznie kapitalizm i socjalizm nie muszą się wzajemnie wykluczać, jeśli społeczeństwo ma istnieć dalej czerpiąc trochę z jednego, trochę z drugiego, wówczas nie ma już sensu, aby socjaliści wyłączali się z udziału w rządzeniu.

Rewizja oznaczała faktycznie porzucenie walki klas. Był to miecz wbity w serce socjalizmu. Bernstein nie ugiął się. Robotnicy, twierdził cynicznie, nie są, jak zakłada Marks, spoistą jednorodną klasą, świadomą, że stanowi „proletariat”; nie jest też prawdopodobne, że staną się taką klasą. Dzielą się na robotników miejskich i wiejskich, wykwalifikowanych i niewykwalifikowanych, fabrycznych i chałupniczych, o różnych interesach i różnym poziomie zdolności zarobkowej. Wielu jest wrogich lub obojętnych wobec socjalizmu i skłania się raczej do burżuazyjnych zwyczajów i moralności, nie dzielając socjalistycznej pogardy dla burżuazji.

Jeśli zatem lojalność klasowa nie jest najważniejsza dla robotnika, oznacza to, że jego interes, jak każdego obywatela, związany jest z interesem narodowym jego kraju. W tym tkwiły przerażające perspektywy rewizjonizmu. Bernstein odrzucił surowy werdykt *Manifestu komunistycznego*: „Robotnik nie ma Ojczyzny”. Kiedy każdy robotnik będzie miał prawo głosu, jak w Niemczech, mówił, nabędzie politycznych praw i będzie ponosił odpowiedzialność, zaczniesz myśleć w kategoriach interesu narodowego.

Rewizja spowodowała rozłam w socjalizmie. Bernstein, poruszając otwarcie sprawę, skupił wokół niej stronników, których od dawna trapiły wątpliwości. Przywódcy partyjni ruszyli do ataku na heretyka. Oskarżono go o „angielskość”. Kautsky odparł wszystkie argumenty w książce *Bernstein i program socjaldemokratyczny*, książka miała zniszczyć Bernsteina, ale nie doprowadziła do tego. Dyskusja rozszerzała się, docierała na każde zebranie, do każdej gazety, do komisji politycznej. Oskarżony o pomijanie ostatecznego celu socjalizmu, Bernstein udzielił szokującej odpowiedzi: „Wyznaję szczerze, że mało mnie interesuje to, co się powszechnie nazywa «ostatecznym celem socjalizmu». Ten cel, jakikolwiek by był, jest dla mnie niczym; ruch (dążący do postępu społecznego) wszystkim”. Postanowił wrócić do kraju, aby się bronić osobiście. Przyjaciele interweniowali w jego sprawie w rządzie i kanclerz von Bülow, licząc, że jego wpływ okaże się destruktywny dla socjalizmu, zezwolił na umorzenie wydanego przeciw niemu orzeczenia. Po powrocie w 1901 roku Bernstein został wybrany do Reichstagu w wyborach uzupełniających w 1902. Rozpoczął wydawanie rewizjonistycznego dziennika i stał się wyrocznią frakcji rewizjonistycznej, która powstała i rosła w łonie partii.

Rewizjonizm przyciągał ludzi dlatego, że proponował skończenie z socjalistyczną izolacją, otwierał możliwości dla uczestnictwa, a także dla ambicji. Pozwalał socjalistom czuć się częścią swojego kraju, jakkolwiek uczucie to niezgodne było z przykazaniem proroka. Potwierdzał także inny fakt: że niedostrzegalnie następuje już właściwie przesunięcie władzy między klasami, w sposób, którego Marks nie przewidział.

Viktor Adler dostrzegał w rewizjonizmie pewien błąd. Mówiono o Adlerze, że powinien, jak Montaigne, wybrać jako godło wagę i motto „*Que sais-je?*”, bo we wszystkim dobrym szukał zawsze czegoś złego, a czegoś dobrego w złym. W liście do Bernsteina napisał, że wyjawiał on głośno

wątpliwości, które od czasu do czasu odczuwa każdy socjalista, on sam jednak ostatecznie stanie po stronie rewolucji, gdyż rewizjonizm niesie ze sobą śmiertelne niebezpieczeństwo, że „socjaliści tracą z oczu socjalizm”.

W tym samym czasie w kręgu socjalistów we Francji spory wywołane przez *le cas* Millerand zaostrzyły się i wywoływały rozłam jeszcze większy niż w Niemczech. Jaurès, choć zmartwiony przyjęciem urzędu przez Milleranda, gdy zmuszono go do zajęcia stanowiska, oświadczył, że woli kolaborację niż brak jakiegokolwiek współpracy. W grudniu 1899 na kongresie partii w Paryżu zaprzeczył, jakoby współpraca miała prowadzić do korupcji ludzi, co zarzucali marksiści. Utrzymał, że skoro nie można przewidzieć, kiedy nastąpi upadek kapitalizmu, trzeba to przygotowywać drogą reform. „Nie możemy walczyć bezskutecznie z odległości — mówił — lecz z samego środka cytadeli”. Na sali odezwały się gwałtowne repliki przeciwników. Guesde, „wysoki, szczupły, suchy, z oczyma rzucającymi płomienie”, wygłaszał kazanie o czystości marksizmu, cytując Liebknechta, gdy pewien podniecony ministerialista, jak nazywano zwolenników Milleranda, krzyknął: „Precz z Liebknechtem!” Twarze zwolenników Guesde'a wyrażały takie wzburzenie — opowiadał później jeden z delegatów — jakby ktoś w kościele Notre Dame krzyknął: „Precz z Panem Bogiem!” Po trzech dniach głośnych kłótni postawiono pod głosowanie tezę: „Czy walka klasowa pozwala socjaliście wstępować do burżuazyjnego rządu, czy nie?” Głosowanie wypadło na NIE, lecz zarządzono natychmiast drugie głosowanie, które pozwoliło na ministerializm w wyjątkowych okolicznościach. Jaurès tak bardzo bronił jedności, że udało się zakończyć kongres sztukowaną formułą, która nie rozwiązała jednak podskórnych antagonizmów. Wyłoniły się następnie dwie partie: Guesde, Vaillant i zięć Marksa Paul Lafargue utworzyli Socjalistyczną Partię Francji, głoszącą zasadę „żadnego kompromisu z jakąkolwiek frakcją burżuazyjną” i obalenie kapitalizmu. Jaurès, Millerand, Briand i Viviani utworzyli Francuską Partię Socjalistyczną, opowiadającą się za programem reform do „natychmiastowej realizacji”.

Na całym świecie w centrali każdej partii socjalistycznej, na każdej sali zebrań, gdzie stał w kącie zakurzony czerwony sztandar, rewizja i *le cas* Millerand pogłębiały dawne rozłamy. Podczas gdy doktrynalni socjaliści trzymali się pierwotnych zasad, rewizjoniści dochodzili do wniosku, że socjalizm — jak w ogóle polityka — polega na sztuce wykorzystywania

możliwości. Druga Międzynarodówka, podzielona bardziej niż kiedykolwiek, zebrała się na swój piąty kongres we wrześniu 1900 roku w Paryżu, podczas Wystawy. Przywódcy socjalistyczni starali się zapobiec otwartemu rozłamowi w mieście pełnym wówczas turystów i skupiającym uwagę całego świata. Kautsky wymyślił rezolucję, która wprawdzie nie aprobowwała akcji Milleranda, ale jej nie potępiała. Delegaci nazwali ją „kauczukową rezolucją”, tak była elastyczna. Prawie przez cały czas kongresu dyskutowano na ten temat, atakowano rezolucję, wymowny De Leon nie zostawił na niej suchej nitki. W pewnym momencie delegatowi niemieckiemu Erhardowi Auerowi wymknął się wyraz żalu, że jest mało prawdopodobne, aby niemieckim socjalistom zdarzyła się okazja podobna do *le cas* Millerand. Uwaga ta, rzucająca światło na faktyczny stan rzeczy w jego kraju, wywołała falę oklasków, gwizdów i gwałtowne dyskusje na korytarzach. Ostatecznie rezolucja Kautsky'ego wybroniona zrećcznie przez Jauresa, dążącego jak zawsze do jedności, została uchwalona, wbrew nieprzejechanym. Teza Jauresa na kongresie jego partii brzmiała: „Jesteśmy wszyscy dobrymi rewolucjonistami, stawiajmy to jasno i jednoczmy się!” Fakty jednak niezupełnie odpowiadały życzeniom.

Wobec toczącej się właśnie wojny burskiej, wojny na Filipinach i powstania Bokserów delegaci bez trudności uzgodnili rezolucję zaproponowaną przez Różę Luksemburg, stwierdzającą, że kapitalizm załame się nie w wyniku warunków ekonomicznych, lecz wskutek imperialistycznej rywalizacji. Rezolucja ta, uchwalona jednogłośnie, zalecała partiom socjalistycznym, aby działały przeciw wojnie, organizując i przygotowując młodzież do kontynuowania walki klasowej, aby głosowały przeciw budżetom wojska i marynarki i aby zwoływały antymilitarystyczne zebrania protestacyjne. Równocześnie została też uchwalona druga rezolucja, potępiająca niedawną konferencję haską jako oszustwo.

Jedyne konkretne osiągnięcie kongresu stanowiła decyzja ustanowienia stałej organizacji w formie Biura z siedzibą w Brukseli; jego przewodniczącym mianowany został Vandervelde, sekretarzem również Belg, Camile Huysman. Biuro to miało wydawać tymczasowe uchwały, przygotowywać porządek dzienny na kongresy i w razie potrzeby odbywać zebrania nadzwyczajne, na które każdy kraj członkowski wysyłałby po dwu delegatów. Dysponując bardzo skromnym budżetem Biuro nie zyskało z upływem czasu większego prestiżu ani mocy wykonawczej i służąc głównie

jako skrzynka pocztowa unaoczniało, że wątle są podstawy internacjonalizmu.

Rewizja nadal złobiła głębokie bruzdy. Jaurès bronił wprawdzie kooperacji, jako wynikającej z realiów życia politycznego, lecz nie chciał uznać Bernsteinowskiej teorii rewizji. Na konferencji studentów socjalistów w 1900 roku powiedział na temat sporu między Bernsteinem a Kautskym: „Jestem na ogół po stronie Kautsky'ego”. Bernstein nie ma racji, twierdząc, że proletariat i klasy burżuazyjne nie dadzą się całkowicie rozgraniczyć. Między klasą, która posiada środki produkcji, a klasą, która ich nie posiada, „istnieje wyraźna linia demarkacyjna”, choć naturalnie zdarza się, że przejściowo wzajemnie na siebie zachodzą, i tu Jaurès, w którym odezwał się profesor, dał się z zadowoleniem ponieść filozoficznym roztrząsaniom. „Przechodzi się od bieli do czerni, od purpury do czerwieni, od nocy do dnia stopniowo poprzez te niedostrzegalne zmiany, które pozwoliły Heraklitowi powiedzieć, że w dniu jest zawsze coś z nocy, a w nocy coś z dnia... Istotnie, ekstremy charakteryzują się tym, że dochodzi się do nich przez pośrednie niuansy”... Jaurès rozwodził się dalej przed zasłuchaną publicznością, aż nagłym zwrotem nawiązał do sprawy. Choć klasy są „z gruntu antagonistyczne”, nie znaczy to, że nie może istnieć żaden kontakt ani współpraca, i zakończył apelem o jedność socjalistyczną „wśród głośnych oklasków, długich braw i okrzyków *Vive Jaurès!*”

Po ponownym wyborze w 1902 roku Jaurès, jako jeden z czterech wiceprzewodniczących Parlamentu, realizował kooperację na co dzień, stając się rzeczywistym przywódcą bloku partii lewicy, który popierał rząd w walce przeciw armii i zakonom religijnym. Życie pchało go ku rewizji. Uczestniczył w *garden parties* Ambasady Brytyjskiej i w bankiecie wydanym w Pałacu Elizejskim w 1903 roku na cześć króla i królowej Włoch. Tego samego roku na kongresie swojej partii w Bordeaux twierdził, że państwo nie jest, jak utrzymywał Guesde, niedostępnym blokiem, który albo stoi, albo może zostać obalony, lecz że można do niego wtargnąć za pomocą reform. Kiedy zostaną one wprowadzone, jedna po drugiej, okaże się pewnego dnia, że państwo robotników zastąpiło państwo burżuazyjne, i „będziemy mieli świadomość, że weszliśmy w strefę socjalizmu, jak żeglarze wkraczają w strefę drugiej półkuli, choć nie przeciągnięto na oceanie żadnej liny, aby ją zaznaczyć”. Przyznawał jednak, że problem pogodzenia kooperacji i walki klas jest „skomplikowany”. W tym samym roku stwierdzili

to również z przykrością Niemcy na swoim kongresie partyjnym w Dreźnie.

Sprawa doszła do punktu kulminacyjnego w wielkiej dyskusji na temat paradnych spodni do kolan. Socjaldemokraci odnieśli właśnie zwycięstwo wyborcze, w którym otrzymali ponad trzy miliony głosów, zdobywając osiemdziesiąt jeden miejsc w Reichstagu. Zdaniem Bernsteina utrzymywanie ścisłej marksistowskiej separacji było w tych warunkach bezsensowne. Nalegał na partię, aby wykorzystała przysługujące jej przywileje, a mianowicie żeby Przyjęła należną jej przedstawicielowi funkcję jednego z czterech wiceprzewodniczących Reichstagu. Ponieważ łączyła się z tym konieczność złożenia oficjalnej wizyty kajzerowi w stroju galowym, problem stał się tematem wielodniowej gorącej dyskusji. Wyobraźcie sobie socjalistów ubranych w krótkie spodnie, pończochy i pantofle z klamrami! — gderał Bebel. Uczynienie partii socjalistycznej *hoffähig* (nadającej się do przyjęcia na dworze) stanowiłoby zniewagę dla całej klasy pracującej. Bernstein podkreślał, że nie ma znaczenia, w co socjaliści są ubrani, lecz ważniejsze jest, co robią w Parlamencie; dyskutanci byli jednak zbyt zaabsorbowani okropną, choć podniecającą sprawą paradnych spodni, aby go słuchać.

Dyskusja w sprawie rewizji ciągnęła się przez trzy dni, uczestniczyło w niej pięćdziesięciu mówców. Grupa kierowana przez Różę Luksemburg domagała się wydalenia Bernsteina; jej drobne, wątłe ciało rozpierała rewolucyjna pasja. Urodzona w Polsce w 1870 roku, córka Żyda handlującego drewnem, pozbawiona była urody, zdołała ją jedynie wspaniałe czarne oczy. Utykała, miała zniekształcone ramię, wybitny intelekt i silny, czysty głos. Choć nie wyzbyła się nigdy polskiego akcentu, była świetnym mówcą: pewien inspektor policji, stojący na posterunku w czasie jednego z jej zebrań, tak się przejął jej wymową, że zapomniał o swym urzędowym statusie i głośno klaskał. Róża wysłała do niego kartkę następującej treści: „Szkoda, że człowiek tak wrażliwy jak pan jest w policji, lecz byłaby jeszcze większa szkoda, gdyby policja straciła kogoś tak ludzkiego. Proszę już więcej nie klaskać”.

Róża wraz z Karlem Liebknechtem, synem Wilhelma, reprezentowała rewolucyjne lewe skrzydło z ośrodkiem w Lipsku; jego organem było pismo „Leipzig Volkszeitung”, wydawane przez Franza Mehringa. Rozszerzenie zasięgu i wpływów partii powodowało, że jej teoretycy i rzecznicy siłą rzeczy stykali się z kołami burżuazyjnymi; Róża Luksemburg stała na czele tych,

którzy przeciwdziałali coraz większej instytucjonalizacji partii. Dla rewizji, lub, jak to nazywała, „parlamentarnego i związkowego kretynizmu” z jego „wygodną teorią pokojowego przejścia od jednego ładu społecznego do drugiego”, miała tylko gryzącą pogardę. Wierzyła w instynkt rewolucyjny i twórczą energię rewolucyjną nie zorganizowanych mas, które wybuchną spontanicznie, gdy historia będzie tego wymagała. Zadaniem partii, w jej pojęciu, było szkolenie, kierowanie i inspirowanie mas w oczekiwaniu na historyczny kryzys, a nie osłabianie rewolucyjnego impulsu poprzez reformy.

Naczelna Rada Partii rozsądzała spory między radykałami i rewizjonistami, utrzymując równowagę bez większych trudności. Jeden z przywódców, Georg Ledebour, twierdził, że partia składa się w 20 procentach z radykałów, w 30 procentach z rewizjonistów, a reszta „pójdzie wszędzie za Beblem”. Bebel doprowadził, jak zwykle, do kompromisu. Kongres drezdeński nie wydalil Bernsteina, ale obalił jego wniosek o kooperację i uchwalił rezolucję potwierdzającą politykę walki klasowej, „jaką triumfalnie prowadziliśmy dotychczas”, i „zdecydowanie” odrzucającą jakąkolwiek politykę czy taktykę „przystosowania się do istniejącego ładu”. W ten sposób największy socjalistyczny blok w Europie zachował wierność Marksowi na papierze, podczas gdy faktycznie rewizjonizm rozwijał się nadal.

Rewizjoniści dostrzegali implikacje wynikające z porzucenia prymatu walki klasowej. Nacjonalizm unosił się w powietrzu, a oni odczuwali jego ożywczą moc. Jako socjaliści chcieli uczestniczyć w życiu kraju, a nie odcinać się od niego w oczekiwaniu na obiecane załamanie, które nie nadchodziło. Bernstein w „Socialist Monthly” wykorzystał angielskie doświadczenia imperializmu i jego wpływ na zatrudnienie, aby wykazać, że los klasy pracującej jest „nieodłącznie związany” z sytuacją międzynarodową kraju, to jest z zagranicznymi rynkami. Interes robotników leży, stwierdzał bez osłonek, w „*Weltpolitik* bez wojny”.

Podczas gdy Niemcy dyskutowali w Dreźnie, rewizja wywołała historyczny rozłam wśród rosyjskich socjaldemokratów na ich kongresie w Londynie w tym samym roku, przy udziale sześćdziesięciu członków. Nie pojawił się na ich horyzoncie żaden *le cas Millerand* ani nawet paradne spodnie, a jednak podzielili się na bolszewików i mienszewików w sprawie przyszłej kooperacji. Bolszewicy obstawali przy rewolucji i dyktaturze proletariatu za jednym zamachem, bez żadnej tymczasowej ugody;

mienszewicy uważali, że tego się nie da osiągnąć, nim Rosja nie przejdzie przez stadium burżuazyjnego rządu parlamentarnego, w którym socjaliści będą musieli współpracować z partiami liberalnymi.

Partia rosyjska, jako członek Drugiej Międzynarodówki, reprezentowana była stale na międzynarodowych kongresach przez swego założyciela Gieorgija Plechanowa; przebywał on tak długo na wygnaniu, że zupełnie stracił kontakt z wydarzeniami w kraju. Inni Rosjanie żyjący na wygnaniu mieli niewielki kontakt z socjalistami w krajach, gdzie przebywali, albo nie mieli go wcale. Zaabsorbowani swoją własną zacieklą kłótnią frakcyjną, odbywali własne kongresy nie odgrywając większej roli w Międzynarodówce. Rywal Plechanowa, Lenin, przywódca frakcji bolszewików, podróżując do Londynu, Paryża, Genewy i Monachium, nie przestawał wyładowywać swego oburzenia na „oportunizm” i „socjalszowinizm”. Od czasu do czasu odwiedzał Biuro w Brukseli, ale, jak pisał Vandervelde, nikt nie zwracał większej uwagi na tego „małego człowieka z wąskimi oczyma, rudą brodą i jednostajnym głosem, który wciąż z lodowatą grzecznością wyjaśniał tradycyjne sformułowania marksizmu”.

W innych krajach życie stwarzało potrzebę rewizji, czy się to Marksowi podobało, czy nie. Rozwijał się przemysł, a tym samym zwiększała się ilość członków związków zawodowych i możliwość stosowania nacisku przez klasę pracującą. Zacięta walka kapitału i pracy trwała nadal z niezmiennym natężeniem, a równocześnie robotnicy za pośrednictwem partii socjalistycznej zwiększali swą reprezentację we wszystkich europejskich parlamentach. We Włoszech, gdzie związki chłopskie i spółdzielnie rolnicze były wyraźnie socjalistyczne, partia powiększyła swój stan posiadania z 26 000 głosów i 6 miejsc w Parlamencie w 1892 roku do 175 000 głosów i 32 miejsc w 1904. We Francji partia Jauresa, przeklinana przez Guesde'a i jego zwolenników, odgrywała poważną rolę w życiu kraju, a sam Jaurès stawał się faktycznym, jeśli nie nominalnym przywódcą większości w Parlamencie. W środowisku socjalistycznym wysunął się naprzód, by przeciwstawić się wielkiemu niemieckiemu monolitowi na najbliższym kongresie Międzynarodówki, odbytym w Amsterdamie, w sierpniu 1904 roku.

Kongres amsterdamski wrył się w pamięć wszystkich obecnych jako najbardziej znamienny i emocjonujący ze wszystkich zebrań Drugiej Międzynarodówki właśnie dzięki pojedynkowi Jauresa i Bebla.

Uczestniczyło w kongresie pięciuset delegatów, przy czym każdorazowo około dwustu z nich rozumiało język mówcy. Podium udrapowane czerwonym materiałem z wytłoczonym złotym monogramem z inicjałów I. S. C., w którym S oplecione wokół I przypominało uderzająco dobrze znany symbol kapitalizmu. Powyżej, na transparencie, wypisano w języku holenderskim dewizę, na którą jeszcze wszyscy mogli się zgodzić, ***Proletariers van alle Landen, Vereenigt U!*** („Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!”).

Nie brakowało różnych frakcji. Wielka Brytania miała cztery delegacje: ILP z Keirem Hardie na czele, Federacji Socjaldemokratycznej z Hyndmanem; Komitetu Reprezentacji Pracy z Shackletonem i grupy fabian. Z Francji przybyły trzy delegacje, ze Stanów Zjednoczonych dwie z nieodzownym De Leonem, manifestującym swą pogardę dla wszystkich. Miał za złe „towarzyski i piknikowy” aspekt kongresu, szeleszczenie papierami przez delegatów, rozmawianie i spacerowanie podczas przemówień, odwiedzanie przyjaciół cudzoziemców, wzajemne przedstawianie się, przychodzenie, odchodzenie i trzaskanie drzwiami. Jaurès nazwał „niekompetentnym szkodnikiem w ruchu socjalistycznym”, Bebla „złym duchem”, Adlera „niepoczytalnym”, Vanderveldego „komediantem”, Hyndmana „zbyt tępym”, aby rozumiał, o co chodzi, brytyjskich związkowców „niebezpiecznymi”, Shackletona „kapitalistycznym karierowiczem”, a Jeana Allemane „słodkoustym krzykaczem”. Jedyną partią, która nie zdradziła klasy robotniczej przez „rewizjonistyczne baj durzenie”, była jego własna partia, wyznająca zawsze zasadę „walki do ostatka”.

Kongres miał ustalić kwestię kooperacji, umieszczoną na porządku dziennym na życzenie Guesde'a. Bebel postawił sobie za cel narzucić Międzynarodówce rezolucję drezdeńską niemieckiej partii. Stanowiła ona, jak mówił, właściwą wskazówkę dla socjalistów w każdym czasie, w każdej okoliczności, ponieważ stwierdzała istnienie zasadniczego antagonizmu między państwem proletariackim a kapitalistycznym. Nie omieszkał podkreślić przy tej okazji rosnącej siły partii niemieckiej. Jaurès w odpowiedzi podkreślił, że gdyby socjaliści byli aż tak silni we Francji, „postaraliby się, aby coś się wydarzyło”. Pomiedzy pozorami niemieckiej sity i faktycznym jej wpływem, mówił, rozpoczynając wielką ofensywę, widać wielki rozdźwięk. Dlaczego? Ponieważ „wśród waszych robotników nie ma

rewolucyjnych tradycji. Nie zdobywali nigdy prawa głosu na barykadach. Otrzymali je z góry”. Wszyscy posłowie w Reichstagu są bezsilni, bo sam Reichstag jest bezsilny w każdej sprawie. Właśnie ta bezsilność niemieckich socjalistów umożliwia im bezkompromisowe stanowisko w sprawach doktryny. To, co najbardziej ciąży teraz Europie, to nie śmiała próba francuskich socjalistów, aby odgrywać rolę w życiu kraju, lecz „tragiczna bezsilność niemieckiej socjaldemokracji”. Bronił z pasją swojej głównej tezy: że socjaliści, nie rezygnując z zasad, muszą stać się „maszerującym skrzydłem” postępu demokratycznego, jeśli to konieczne, nawet wspólnie z partiami burżuazyjnymi.

„Niemcy są z pewnością państwem reakcyjnym, feudalnym, policyjnym, najgorzej rządzonym krajem w Europie” z wyjątkiem Turcji i Rosji, odparł Bebel, „ale nie trzeba nam nikogo z zewnątrz, aby nam uświadamiał, jak ponure jest nasze położenie”. Polityka Jauresa skorumpowałaby proletariat. Rezolucja drezdeńska jest jedyną właściwą wskazówką. Róża Luksemburg przenikliwym głosem potępiła Jauresa nazywając go *der grosse Verderber* (wielkim szkodnikiem). Gdy Jaurès wstał, aby odpowiedzieć, i zapytał, kto będzie tłumaczył, Róża zaproponowała: „Ja, jeśli sobie życzycie, obywatelu Jaurès”. Jaurès rozejrzał się wkoło z szerokim uśmiechem i powiedział: „Widzicie, obywatele, nawet w walce istnieje współpraca”.

Większość, nie chcąc rezygnować z zasady walki klasowej, głosowała za rezolucją drezdeńską, przeciw Jauresowi, łącząc, jak wyraził się Vandervelde, doktrynalną wrogość z osobistą sympatią. „Pamiętaliśmy sprawę Dreyfusa” i „wspaniałą żarliwość” Jauresa w walce przeciw zmasowanym siłom reakcji, lecz większość nie mogła się zdobyć na przecięcie pępowiny łączącej socjalizm z Marksem. W końcowym wysiłku, aby zasklepić rysę rewizji, kongres uchwalił ostatnią rezolucję, stwierdzającą, że „niezbędne” jest, aby od tej chwili istniała tylko jedna partia socjalistyczna w każdym kraju. Wszyscy, którzy chcą nazywać się socjalistami, muszą dążyć do jedności w interesie klasy robotniczej całego świata, wobec której będą odpowiedzialni za „zgubne konsekwencje dalszych podziałów”.

W Amsterdamie dał nieśmiało znać o sobie problem, którego dotychczas nie uważano za poważny powód do niepokoju. Delegaci, którym dźwięczało jeszcze w uszach echo wojny rosyjsko-japońskiej, dyskutowali o odpowiedzialności klasy pracującej wobec społeczeństwa w przypadku następnej wojny i o możliwości przeprowadzenia strajku powszechnego. Co

innego mówić o strajku powszechnym, co innego spowodować odpowiednią akcją związków. Dla związkowców niemieckich „polityczny strajk masowy”, jak go nazwali, był wyklęty. Jeśli Ojczyzna została by zaatakowana, mówił Bebel, on sam, choć stary, i wszyscy socjaldemokraci wzięliby karabin na ramię i poszli walczyć w obronie kraju. Jaurès, z bardzo poważnym wyrazem twarzy, powiedział do Vanderveldego wychodząc: „Zdaje mi się, przyjacielu, że ja sam zabiorę się do studiowania spraw wojskowych”.

Po powrocie, jako lojalny socjalista, posłuszny decyzji kongresu amsterdamskiego, podjął kroki, aby zbliżyć się do Guesde'a. W następnym roku zjednoczył obie partie jako Partię Socjalistyczną, Francuską Sekcję Międzynarodówki Robotniczej, zwaną powszechnie od jej francuskich inicjałów SFIO. Określała się ona „nie jako partia reform, lecz partia walki klasowej i rewolucji”, i w deklaracji słownej odrzucała kooperację. Choć oznaczało to klęskę jego stanowiska, Jaurès nie fetyszyzował słów. Pozwalał, aby doktryna szła za akcją; a pozostawienie Guesde'owi formułki przychodziło mu o tyle łatwiej, że sam był rzeczywistym przywódcą zjednoczenia. Kooperacja nie stanowiła dla niego celu, lecz sposób postępowania.

Dla niektórych kooperacja okazała się rzeczywiście szkodliwa w sensie politycznym. W 1906 roku, tym samym, w którym ILP weszła do Izby Gmin, a John Burns do gabinetu, francuscy socjaliści zdobyli 880 000 głosów i pięćdziesiąt cztery miejsca w Parlamencie. Briandowi, który aktywnie działał w sprawie wyłączenia szkół religijnych z systemu państwowego, zaproponowano stanowisko ministra oświaty. Przyjął je i wśród rozgoryczenia, jakie to wywołało, opuścił partię. W kilka miesięcy później Viviani objął po nim urząd ministra pracy. Wraz z Millerandem, który teraz nazywał siebie niezależnym socjalistą, piastowali od tego czasu kolejne urzędy; w przeciągu trzech lat premierem został Briand, a po dalszych pięciu latach Viviani. Doprowadzając kooperację do jej logicznej konsekwencji, stali się, jak powiedział ambasador Izwolski, „rozsądni wskutek wykonywania władzy”.

W 1905 wielki marksistowski ewenement — rewolucja — wybuchła nagle w niewłaściwy sposób i w niewłaściwym kraju. Rosja nie osiągnęła jeszcze stadium wysokiego uprzemysłowienia, co według Marksa miało być

warunkiem upadku systemu. Powstanie nie było dziełem świadomego siebie, zdyscyplinowanego proletariatu, lecz po prostu zrozpaczonych istot ludzkich. Nikt się nie zdziwił, że upadło, lecz najdziwniejszy jego aspekt polegał na tym, że nie pozostawiło prawie żadnego śladu na socjalizmie.

Salwa karabinowa oddana przez Kozaków do robotników maszerujących do Pałacu Zimowego z petycją do cara przeraziła ludzi na całym świecie. Kiedy wiadomość o „szalonej masakrze” dotarła na Kongres Związków Zawodowych w Liverpoolu, natychmiastową reakcją było zebranie funduszu 1 000 funtów dla rodzin zamordowanych. W październiku, gdy protest rosyjskich robotników przybrał postać strajku powszechnego, zmuszając wystraszony reżim do wprowadzenia konstytucji, fakt ten wywołał wielkie wrażenie, jako triumf klasy robotniczej. Robotnicy w Europie odbywali masowe zebrania, wiwatowali i powiewali czerwonymi sztandarami. „Niech żyje rosyjska rewolucja! Niech żyje socjalizm!”, krzyczeli włoscy chłopcy o tysiąc pięćset mil od Petersburga. Ale żadna iskra z rosyjskiego ognia nie rozpałała ogólnej pożogi. Nastąpiło długo oczekiwane spontaniczne powstanie, ale w żadnym kraju Zachodu klasa robotnicza nie była przygotowana do obalenia kapitalizmu. Jedynie socjaliści austriaccy szybko posłużyli się przykładem, aby doprowadzić do punktu kulminacyjnego kampanię o powszechne prawo głosu.

Chcąc wykorzystać strach, jaki wypadki w Rosji wywołały u władców, Viktor Adler ogłosił w Wiedniu strajk powszechny na 28 listopada. Przez miesiąc pracował nad przygotowaniem. W fabryce, w której robotnicy nie byli socjalistami, pewien członek partii daremnie namawiał ich do przyłączenia się; nikt nie chciał mówić o rewolucji, o proponowanym strajku czy „dotykać tematów politycznych dziesięciostopową żerdzią”. Demonstracja powiodła się jednak. W Wiedniu Mariahilferstrasse zaczerwieniła się od tysięcy maszerujących, stłoczonych tak ciasno, że trwało godzinę, nim przeszli pół mili do Ringstrasse, gdzie przyłączyły się jeszcze większe tłumy z innych dzielnic miasta. Tupot nóg, zaciśnięte pięści, czerwone sztandary wywołały ponownie straszliwą wizję pani Hennebau z *Germinalu*. Reżim austriacki, przestraszony demonstracjami, dał w końcu obietnice prawa wyborczego dla wszystkich mężczyzn, co weszło w życie w 1907 roku jako jedyny właściwie pozytywny wynik rosyjskiego powstania.

Także niemieccy socjaldemokraci zorganizowali demonstracje za reformą systemu wyborczego, opierającego się dotychczas na skali podatkowej.

Większość podatników z dołu skali, którzy razem płacili tyle, co mniejsza ilość ze środka skali, i tyle, co kilku bogatych z samej góry, mogła wybierać tylko jedną trzecią przedstawicieli do władz lokalnych. Socjaliści zawsze wykorzystywali w pełni swoją jedną trzecią przy wyborach do rad komunalnych, ale jeśli nawet mieli głosy, nie mogli zdobyć władzy. I podobnie, jak to przewidział Jaurès, nie mogli zwyciężyć na barykadach. Ich demonstracje nie zdołały wyrwać żadnych reform ze stalowych kleszczy pruskiej administracji.

Wskutek rosyjskiej rewolucji socjaliści stracili głosy. W wyborach niemieckich 1907 roku Partia Postępu, reprezentująca wyborców z klasy średniej, która uprzednio wołała popierać socjaldemokratów niż partie reakcyjne, głosowała teraz na konserwatywnego kandydata. Wyborcy ci ulegli też wpływowi silnej propagandy ze strony marynarki i Lig Pangermańskich, które chciały, aby wybory przyniosły przytłaczającą przewagę nacjonalizmowi i imperializmowi. W „wyborach hotentockich”, nazwanych tak z powodu wojny prowadzonej przez Niemcy w koloniach afrykańskich, socjaliści po raz pierwszy od 1890 roku stracili miejsca w Parlamencie.

Lwa Trockiego, zrozpaczonego represjami, które, jak się wówczas wydawało, „zdusiły beznadziejnie i na zawsze” rosyjską rewolucję, zdumiał zupełny brak zainteresowania ze strony europejskich socjalistów. W 1907 roku po spotkaniu z Kautskym, Trocki stwierdził, że ów drobny, delikatny mężczyzna o jasnoniebieskich oczach, śnieżnobiałych włosach i brodzie, który wyglądał jak „bardzo dobry dziadziuś”, choć miał dopiero pięćdziesiąt trzy lata, jest „ustosunkowany wrogo do przeniesienia metod rewolucyjnych na niemiecki grunt”. Na papierze rewolucja jaśniała wspaniałym blaskiem; w rzeczywistości, na ulicach, witano ją mniej chętnie. Nieudane rosyjskie doświadczenie wykazało, że klasa pracująca Zachodu na ogół nie chciała w niej uczestniczyć. Stało się to zachętą dla rewizjonizmu, a rewizjonizm oznaczał oddalenie się od klasy, przybliżenie do nacjonalizmu.

Wojna w przemyśle nie ustawała. Po 1905 roku świat pracy coraz uważniej przysłuchiwał się pouczeniom syndykalistów, zachęcających do bezpośredniej akcji. Najbardziej sprzyjające podłoże i najsilniejszy wpływ mieli oni we Francji, gdzie anarchiści długo i energicznie potępiali metody parlamentarne jako blagę, która odwraca ruch robotniczy od celów rewolucyjnych ku politycznym rozwiązaniom i popiera przywództwo

intelektualistów. W oczach syndykalistów politycy socjalistyczni uczestniczący w parlamentach krajowych stawali się w istocie częścią świata burżuazyjnego, stosując jego kod i tracąc kontakt z klasą robotniczą. Syndykaliści podkreślali, że walka klasowa ma charakter ekonomiczny, a nie polityczny, i powinna być prowadzona w formie strajku, nie dyskusji. Przy coraz większej infiltracji anarchistów ruch związków zawodowych przyjął na kongresie CGT w 1906 roku rewolucyjny syndykalizm i bezpośrednią akcję za swą oficjalną doktrynę. Bezpośrednia akcja przeciw pracodawcom polegała na strajku, przyhamowaniu pracy, bojkocie i sabotażu; akcja przeciw państwu obejmowała propagandę, demonstracje masowe, opór przeciw militarystyce i patriotyzmowi, inspirowanemu przez kapitalistów celem utrwalenia ich władzy. Wszelkie zdobycze robotników miały być traktowane jako ich umocnienie przed ostateczną walką i przed najwyższym końcowym aktem walki klasowej, strajkiem powszechnym — „rewolucją z założonymi rękami”, która paraliżując świat burżuazyjny wyzwoli klasę robotniczą i da jej władzę nad środkami produkcji.

We Włoszech, gdzie policja i wojsko od dłuższego czasu tłumili ruch robotniczy z wielką brutalnością i gdzie głęboka była przepaść wzajemnej nienawiści i strachu między klasami, przywódcy syndykalistyczni doprowadzili dwa razy do strajku, w roku 1904 i 1906, kosztem zaciętych walk i życia robotników. We Francji, za radykalnych rządów Clemenceau od 1906 do 1909 strajki jeden po drugim ponosiły klęskę, co świadczyło o wielkiej rozbieżności między słowami syndykalistów a faktyczną siłą robotników. Wciąż jeszcze dużo robotników pracowało tam w rolnictwie, a przemysł składał się w wielkiej części z małych przedsiębiorstw, nie objętych związkami. Do CGT należał niewielki procent robotników przemysłowych; odzwierciedlając dawny antagonizm między anarchistami i socjalistami, CGT częściej sprzeciwiała się partii, niż z nią współpracowała.

Pracodawcy nie przebiegali w środkach, aby nie dopuścić do organizowania przez CGT pracowników w dalszych przedsiębiorstwach, stosowali przeciw jej członkom wymówienia i lokauty, często przy współudziale wojska, co zdaniem Clemenceau było konieczne, aby nie dopuścić do usuwania siłą łamistrajków. Rząd wysłał wojsko dla stłumienia strajku górników na północy w 1906 roku, dokerów w Nantes i pracowników winnic na południu w 1907, robotników budowlanych w 1908; w sumie 20 osób zostało przy tym zabitych, a 667 rannych. Strajki pracowników

pocztowych i nauczycieli zostały stłumione groźbą zwolnienia z pracy na zawsze na tej zasadzie, że urzędnicy państwowi nie mają prawa organizować się ani strajkować przeciw rządowi. Przedstawiciele CGT, którzy ich organizowali, zostali aresztowani pod zarzutem podżegania do buntu. Wbrew zaciekłemu oporowi pracodawców ustanowiono w 1900 roku maksymalnie jedenastogodzinny dzień roboczy, a w 1906 prawo do odpoczynku niedzielnego i emerytury; za rządów Clemenceau pomimo fali strajków władza bezwzględnie popierała pracodawców, zgodnie z jego powiedzeniem pozbawionym sentymentalizmu: „Francja stoi własnością i jeszcze raz własnością” Ingerencja państwa wywołała gniew i rozczarowanie. Uciekanie się przez rząd radykalny do siły, powiedział Jaurès w 1909 roku, i „opór przeciw wszelkim reformom społecznym wywołały powszechne znużenie, tłumione narzekania, podskórny prąd niezadowolenia...” W tym samym roku w Anglii podobne niezadowolenie z rządu liberalnego wytworzyło taki sam klimat nerwowości.

W Stanach Zjednoczonych pracodawcy w kontrofensywie również zbierali siły, znajdując oparcie w nakazach rządu, które wykorzystały ustawę przeciwtrustową Shermana do zakazania pikiet, bojkotów i strajków, jako ograniczających działalność przedsiębiorstw. Syndykalizm wysłał przez Atlantyk swoje orędzie; jak ogień sygnałowy palony na wzgórzach w zamierzonych czasach, zapłonął on w Ameryce wraz z powstaniem w 1905 roku zrzeszenia zwanego Industrial Workers of the World (Robotnicy Przemysłowi Świata). IWW, utworzone przez Debsa i „Dużego Billa” Haywooda z Zachodniej Federacji Górników i, co dziwniejsza, w sojuszu z De Leonem, stanowiło połączenie syndykalizmu i socjalizmu, jakie byłoby zupełnie niemożliwe w Europie. Głosiło ono doktrynę bezpośredniej akcji, podczas gdy Debs, główna postać organizacji, walczył o prezydenturę Stanów Zjednoczonych jako kandydat socjalistyczny.

Amerykańscy socjaliści, podobnie jak rosyjscy, nie mieli przedstawicieli w Kongresie i nie odgrywali żadnej roli w rządzeniu, nawet na poziomie komunalnym, i dlatego uchronili się przed pokusami kooperacji. Debs uznawał teraz w pełni doktrynę walki klasowej aż do ostatka. Robotnicy muszą być rewolucjonistami, nie iść na kompromisy z istniejącym ładem. Celem ich jest nie tylko podwyżka płac, lecz obalenie systemu płac. W jego pojęciu syndykalizm przejmował rewolucyjnego ducha początków socjalizmu i obiecywał środki do osiągnięcia zamierzonego celu za pomocą

metod związkowych, na których wyrósł. W liście do trzydziestu przywódców związkowych z grudnia 1904 roku zachęcał ich, aby przyłączyli się do dyskusji nad „sposobami i środkami zjednoczenia ludu pracującego Ameryki w myśl właściwych rewolucyjnych zasad”. Na konwencji założycielskiej 27 czerwca 1905 roku w Chicago, w której uczestniczyli górnicy, drwale, kolejarze, pracownicy browarów i inne związki przemysłowe oraz frakcje socjalistyczne, IWW stwierdziło, że jest „kongresem klasy pracującej kontynentu”, że zjednoczy robotników wykwalifikowanych i niewykwalifikowanych w jeden wielki związek przemysłowy, aby obalić kapitalizm i zbudować społeczeństwo socjalistyczne. Wypowiadając się za podstawową bronią syndykalizmu, przyjęto hasło „Jeden wielki związek, jeden wielki strajk”. Zdaniem Haywooda — jednookiego olbrzyma, będącego równocześnie „klębką prymitywnych instynktów” — IWW zesłoby do rynsztoka, aby dotrzeć do „włóczęgów” i „wędrownych robotników” i doprowadzić ich, wraz z całym światem pracy, „do godziwego poziomu życia”. Gardząc układami zbiorowymi, umowami i środkami politycznymi, zrzeszenie miało działać poprzez propagandę, bojkot, sabotaż i strajk. Rząd, polityka, wybory to bujdy; krajem powinny kierować związki.

Odrzucenie przez IWW akcji politycznej wywołało serię rozłamów i secesji, rozpryskujących się jak wióry pod uderzeniem siekiery. Niektórzy koledzy socjaliści ostro atakowali Debsa za spowodowanie rozłamu w ruchu robotniczym. De Leon oderwał się w 1908 roku i ze swojej osłabionej placówki walczył nadal o dawną zasadę. Dla Debsa cel był wszystkim, a każda metoda prowadząca do niego — czy to polityczna, czy też bezpośrednia akcja — dopuszczalna. Syndykalistyczne założenia IWW nie przeszkodziły mu kandydować znów na prezydenta z ramienia partii socjalistycznej. Na zebraniach w całym kraju Haywood i inni zbierali pieniądze w bilonie, aby wynająć lokomotywę i wagon sypialny, którym Debs miał podróżować prowadząc kampanię wyborczą. Przejeżdżający maszyniści puszczali w ruch gwizdki, gdy mijał ich Czerwony Pociąg Specjalny z czerwonymi sztandarami powiewającymi z dachu i z tylnego pomostu. Debs miał dar przekonywania ludzi, że socjalizm jest osiągalny. Obywało się bez orkiestr dętych i głośników, wystarczał jego głos, uśmiech i wyciągnięte ramiona. On „rzeczywiście wierzy, że może istnieć coś takiego, jak braterstwo ludzi”, powiedział pewien organizator nie uznający sentymentów, który przyznał, że sprawia mu przykrość, gdy ktoś nazywa go towarzyszem. „Ale gdy Debs mówi «towarzyszu», to w porządku. On

naprawdę tak uważa”. Rodziny jechały wiele mil przez prerie w wozach z czerwonymi sztandarami wetkniętymi w miejsce bata, aby witać na stacjach Czerwony Pociąg Specjalny. Pochody z pochodniami w miastach, masowe zgromadzenia, dzieci z bukietami czerwonych róż, wszystko to tworzyło iluzję, w którą sam Debs zaczął wierzyć. Socjalistów jest „tu dużo jak koników polnych”, pisał do przyjaciela, a farmerzy „są rewolucyjni do szpiku kości, dojrzały i gotowi do akcji”. Bogacze doznają wstrząsu, gdy policzy się głosy. Ale wynik całego głosowania wzbudził rozczarowanie, ogółem 400 000, nie więcej niż w 1904 roku.

W 1910 roku, na fali ogólnego ruchu reform w Stanach Zjednoczonych, wybrany zastał z Milwaukee do Kongresu pierwszy socjalista, Victor Berger, a wraz z nim socjalistyczny prokurator miejski, socjalistyczny rewident księgowy, dwóch socjalistycznych sędziów i dwudziestu jeden socjalistycznych radnych miejskich na trzydziestu pięciu. W 1911 roku w Schenectady wybrano socjalistycznego burmistrza, a w 1912 roku partia miała burmistrzów w pięćdziesięciu sześciu miastach. Zwycięstwa te odniósł jednak rewizjonizm, a szczęśliwymi kandydatami byli intelektualiści — prawnicy, redaktorzy, pastory — nie robotnicy. Obydwa skrzydła ruchu robotniczego, IWW i AFoL (Amerykańska Federacja Pracy), nie chciały zajmować się polityką. W 1912 roku, gdy największe partie podjęły trójstronną rywalizację o prezydenturę, Debs znów kandydował. Znów wydawało się — jak pisał Victor Berger w socjalistycznym piśmie Milwaukee, „Leader” — że nadchodzi socjalistyczny ład i że „pędzimy ku niemu z coraz większą szybkością jak lokomotywa”. Objeżdżając nowojorską dzielnicę Lower East Side, Debs stał na ciężarówce, która „przedzierała się powoli przez huczący ocean ludzi, ciągnący się daleko jak okiem sięgnąć, w głąb ciemnych zaułków”. Głosów padło 900 000, dwa razy tyle co poprzednio, choć tylko 6 procent całości. Tego samego roku IWW odniosło swoje największe zwycięstwo w Lawrence, Massachusetts, gdzie zorganizowało strajk włóknarzy przeciw obniżce płac. Organizacja żywiła przez dwa miesiące całą ludność miasta, złożoną z robotników i ich rodzin, i uzyskała podwyżkę płac. Jednak gorzka i brutalna klęska strajku Patersona niebawem stała się początkiem końca amerykańskiego syndykalizmu.

W Niemczech syndykalistyczna doktryna strajku powszechnego nie miała wielkiego wzięcia. Związki, jak inne niemieckie instytucje, były zbyt

zdyscyplinowane, aby przemawiał do nich środek stanowiący zaprzeczenie wszelkiej dyscypliny i obowiązku. Klasa pracująca, wychwalana w 1905 roku przez Kunona Franckiego jako „dobrze się sprawująca”, podzielała przywiązanie do autorytetu i posłuszeństwa, które w Niemczech wydawało się nadmiernie rozwinięte, jak gdyby stanowiło osłonę powstrzymującą wybuch jakiejś dawniejszej teutońskiej dzikości, jakiegoś wewnętrznego Huna. Niemieccy socjaliści odnosili się z realizmem do strajku powszechnego. Bebel sprzeciwiał mu się ze względów politycznych, ponieważ — jak mówił — mógł zostać zorganizowany tylko w nadzwyczajnych warunkach przy akompaniamencie rewolucyjnego stanu ducha u robotników. Zdawał sobie dobrze sprawę, że brak tego jego rodakom. Gdy w 1906 roku na konferencji w Mannheim radykałowie partyjni zaproponowali *Massenstreik* w przypadku wojny, Bebel odrzucił ten wniosek jako nierealny. W przypadku wojny, powiedział, wojsko przejmie władzę, opór byłby szaleństwem, a w każdym razie szowinistyczna gorączka ogarnie masę. Bebel w każdym razie nigdy nie żywił iluzji ani do nich nie zachęcał.

W Mannheim toczyła się rozstrzygająca, choć cicha walka o władzę; jej wyniki zadecydowały o socjalizmie niemieckim, a przez to i o socjalizmie światowym. Kautsky zaproponował rezolucję mającą podporządkować związki partii w sprawach polityki. Zadaniem ich, według określenia Kautsky'ego, była poprawa losu robotników, aż do nastania ery socjalizmu. Ponieważ zadaniem partii było osiągnięcie długofalowego najwyższego celu, jej decyzje muszą górować.

W poprzedniej dekadzie liczba członków w niemieckich związkach wzrosła z 250 000 do 2 500 000 i proporcjonalnie wzrosły ich fundusze. W przeciwieństwie do Francji związki współdziałały ściśle z partią i stanowiły główne źródło jej głosów. Sam Gompers podróżując po Europie w 1909 roku zdumiewał się wysokością zasiłków płaconych przez związki podczas strajków i lokautów, podziwiał ich organizację i dyscyplinę, a także ich zdobycze w zakresie poprawy warunków i podwyżki płac. Wyrobnicy zarabiali trzy marki dziennie, robotnicy wykwalifikowani sześć marek, czyli około trzydziestu sześciu szylingów lub osiem do dziewięciu dolarów tygodniowo. Uregulowany był czas na posiłki, grzywny i kary wywieszano na tablicy z informacjami, rząd uznawał prawo zrzeszania się robotników, z wyjątkiem służby domowej i pracowników rolnych: zakazana była praca

dzieci do lat trzynastu, a między trzynastym a czternastym rokiem życia ograniczona do sześciu godzin dziennie. Gompersa, zadowolonego, że taki postęp przeczy marksistowskiej teorii „rosnącej nędzy”, status niemieckich robotników natchnął do optymistycznego peanu; wydawało mu się, że żyją oni w okresie „największej produkcji, największego bogactwa, najwyższej inteligencji powszechnej i najbardziej uzasadnionych nadziei swojej klasy, jaki miał dotychczas miejsce w historii świata”. Jeśli nawet Gompers przesadził trochę w swoim antymarksistowskim entuzjazmie, to w każdym razie widoczne było, że niemiecki robotnik zdobywa miejsce w istniejącym ładzie. Nie dodawało to związkom rewolucyjnego zapału. W obawie, że staną się zbyt zrosnięte z istniejącym ładem, Kautsky zaproponował rezolucję podporządkowującą związki politycznej kontroli partii.

W Mannheim większość zdecydowanie odrzuciła jego wniosek, nie chcąc obrazić związków. Kautsky mógł sobie formułować teorie, gdy dochodziło jednak do zagadnień praktycznych, Naczelna Rada Partii wykazywała jak największy realizm. Udaremnienie rezolucji oznaczało faktycznie zwycięstwo związków. Ponieważ wniosek Kautsky'ego opierał się na prawidłowej analizie, upadek jego rezolucji w kraju o poważnym wpływie socjalistów oznaczał także przedkładanie istniejącego ład nad ostateczny cel. To, co dawniej u Bernsteina uważano za herezję, „Nic mnie nie obchodzi ostateczny cel...”, stało się teraz kanonem. Po Mannheim partia przejawiała w swojej powszechnej działalności coraz więcej praktyczności i rewizjonizmu, nawet jeśli deklaracje na kongresach i uroczystościach powtarzały nadal marksistowskie formuły.

Wraz z rosnącą falą rewizjonizmu pojawił się nacjonalizm. Na posiedzeniu Reichstagu 25 kwietnia 1907 roku, na krótko przed otwarciem konferencji haskiej, poseł socjalistyczny Gustav Noske wyraził jasno te tendencje w przemówieniu, które wywołało sensację. „Burżuazyjną iluzją” jest przypuszczenie, oznajmił, że wszyscy socjaliści wierzą w konieczność rozbrojenia. Oczekują wprowadzić pokój w przyszłości, lecz obecnie międzynarodowe konflikty gospodarcze są zbyt silne, aby pozwolić na rozbrojenie. Równie silnie jak panowie z prawicy socjaliści będą się opierać wszelkim próbom przyparcia Niemiec do muru przez inny kraj. „Zawsze domagaliśmy się, aby naród był uzbrojony”, powiedział; wywołało to zdumienie zapierające oddech u jego kolegów, a u równie zdumionej prawicy zadowolenie i oklaski. Zaprzeczył mu oburzony Kautsky, który z dużą dozą

odwagi oświadczył, że w przypadku wojny niemieccy socjaldemokraci będą się uważać przede wszystkim za proletariuszy, a dopiero potem za Niemców; Noske mimo tego zyskał wielu zwolenników.

W Niemczech, podobnie jak w Anglii, wiele mówiono wówczas na temat przyszłego konfliktu między obydwoma krajami, do czego pobudzały jeszcze slogany ligi Morskiej, jak „Nadchodzi wojna!”, „Anglia to wróg!”, „Anglia planuje napaść na nas w 1911!”, oraz pangermański akompaniament „Do Niemiec należy świat!” W każdym kraju, gdy powietrze gęstniało od rozmów o wojnie, nasilał się równocześnie instynkt patriotyczny. Dawniejszy, głębszy, bardziej naturalny niż jakakolwiek przynależność klasowa, nie dawał się łatwo wykorzenić, dlatego że tak chciał Manifest komunistyczny. Na nieszczęście dla światowego braterstwa robotnik, jak każdy inny człowiek, czuł, że ma ojczyznę.

Podczas ostrej dyskusji odezwał się we Francji głos wyrażający tendencję przeciwną niż Niemiec Noske. Był to głos socjalisty, Gustave'a Hervé, krzykliwego proroka antypatriotyzmu i antimilitaryzmu. Dawny zwolennik Déroulède'a, przeszedł do drugiej ostateczności i zyskał rozgłos w całym kraju swoim powiedzeniem w czasie sprawy Dreyfusa, że dopóki istnieją koszary wojskowe, będzie miał nadzieję zobaczyć tam trójkolorowy sztandar zatknięty w podwórzu na gnojowisku. Doprowadziło to do zwolnienia go ze stanowiska nauczyciela i do procesu o podżeganie do buntu — jednak Briand skutecznie go obronił. Hervé, uważający mistyczną *patrie* za Molocha wsysającego robotników w swoją uzbrojoną paszczę, gdzie przelewali nawzajem swoją krew, nadal kontynuował kampanię przeciw armii i krajowi, nie dając się poskromić mimo dalszych procesów i kary więzienia. „Na rozkaz mobilizacji powinniśmy odpowiedzieć buntem! — wołał. — Wojna domowa to jedyna wojna, która nie jest głupia”. Na kongresie Francuskiej Partii Socjalistycznej w 1906 roku, w połowie pierwszego kryzysu marokańskiego, a następnie na kongresie w 1907 roku, wyraził te uczucia w projekcie rezolucji. Wszyscy syndykaliści intelektualisci, wielbiciele Sorela, Bergsona i Nietzschego, skupili się udzielając mu poparcia. Kultywowali oni „mit” strajku powszechnego, lecz nie należeli do ludzi, którzy musieliby realizować go w praktyce; tamci byli nieobecni. CGT nie uczestniczyła w kongresach SFIO, a w każdym razie uważała, że strajk powszechny ma służyć celom rewolucyjnym, a nie zapobieżeniu wojnie.

Guesde, reprezentujący zagorzałych marksistów, występował przeciw

Hervému na tej zasadzie, że skoro wojna nieodłączna jest od systemu kapitalistycznego i poprzedza jego agonię, zapobieganie jej byłoby bezskuteczne, a dla socjalistów równałoby się wywoływaniu własnej klęski.

Jaurès, jako wybitna postać w partii, musiał pokierować kongresem, aby zajął odpowiednie stanowisko. Wierząc, że właściwy ład społeczny znajduje się w zasięgu ręki, uważał wojnę za wielce szkodliwą: nie za korzystną sposobność dla klasy pracującej, lecz za wroga robotników. Zapobieżenie jej stało się w następnych latach najważniejszym jego celem. Twierdził od dawna, że strajk powszechny, jeśli nie jest dobrze zorganizowany zarówno co do środków, jak i co do celów, staje się „rewolucyjnym romantyzmem”, ale równocześnie stanowi jedyny sposób, w jaki klasa pracująca może dać odczuć swoją siłę, aby zapobiec grożącej wojnie. Chciał go poprzeć także dlatego, że dla utrzymania niepewnej jedności SFIO ważne były ustępstwa na rzecz syndykalistycznie nastawionego skrzydła. Jaurès, trzeźwo myślący, podobnie jak Bebel, był równocześnie nadal idealistą; problem strajku powszechnego rozstrzygnął wmawiając sobie, że w razie groźby wojny masy jakoś same z siebie ogarnie zapał potrzebny do powstania w spontanicznym i skutecznym proteście, bez uprzedniego planowania czy organizacji. W tej jednej, istotnej dziedzinie Jaurès najbardziej zbliżył się do myślenia nie głową, lecz „własną brodą”. Zgodził się na rezolucję nie tak jednoznaczną, jak projekt Hervégo, lecz zobowiązującą francuskich socjalistów do agitowania przeciw wojnie wszelkimi sposobami, obejmującymi akcję parlamentarną, zgromadzenia publiczne, protesty ludowe, „nawet strajk powszechny i powstanie”.

Była to retoryka, lecz Jaurès wierzył lub wmawiał sobie, że „nieustanna agitacja” może tego dokonać. Nie zadowalał się nadzieją, lecz sam uprawiał agitację na masowych zgromadzeniach socjalistycznych i podczas swych podróży z przemówieniami po całej Francji. Od tej chwili w Tuluzie, Lille, Dijon, Nimes, Bordeaux, Guise, Reims, Awinionie, Tulonie, Marsylii i naturalnie w Carmeaux, „na każdej chyba stacji kolejowej we Francji, Jaurès wysiadał któregoś dnia z pociągu, z walizczką w ręce, wielki komiwojażer pokoju”. Także za granicą, w Londynie, Brukseli i w innych stolicach, rozbrzmiewał jego głos, jakby starał się fizycznie unieść swych słuchaczy i tak podniecić, aby ich zapał w razie potrzeby mógł się zamienić w czyn. Podczas jednej podróży do Anglii razem z Vanderveldem odwiedzili Hatfield, siedzibę Cecilów, która, jak powiedział Jaurès, interesowała go

bardziej niż Oxford.

Problem wojny, wysiłek, aby pogodzić wszystkie kierunki między ekstremistycznymi poglądami Hervégo i Noskego, dominował od tego czasu w socjalizmie. Problem ten wystąpił natychmiast z całą ostrością na najbliższym kongresie, zbierającym się po raz pierwszy na niemieckiej ziemi, w sierpniu 1907 roku.

Choć klasa robotnicza Berlina stanowiła twierdzę socjalizmu, przywódcy partyjni nie odważyli się zrobić kongresu w stolicy, pod nosem kajzera. Wybrali na jego siedzibę Stuttgart w południowych Niemczech, stolicę Wirtembergii. Osiemset osiemdziesięciu sześciu delegatów, reprezentujących dwadzieścia sześć krajów lub narodowości, zebrało się w największej sali miasta. Przybyli tam między innymi Ramsay MacDonald z Anglii, De Leon i „Duży Bill” Haywood ze Stanów Zjednoczonych, Plechanow, Lenin, Trocki i Aleksandra Kołłataj — przedstawiciele różnych rosyjskich frakcji; Madame Kama z Indii, „czerwone dziewice”, Róża Luksemburg i Klara Zetkin, a wśród wielojęzycznych tłumaczy Angelica Bałabanow z Włoch w towarzystwie „gwałtownie protestującego upartego młodzieńca o ogorzałej twarzy”, Benita Mussoliniego. Dla zademonstrowania siły socjalistów odbyła się w niedzielę w dniu otwarcia demonstracja na polu za miastem. Robotnicy z rodzinami przybyli ze wszystkich stron, wypełniając ulice prowadzące do miejsca zebrania, gdzie ustawiono tuzin udrapowanych na czerwono trybun dla mówców. Grały orkiestry, stowarzyszenia chóralne śpiewały socjalistyczne hymny, podczas gdy czujna policja obserwowała uważnie zebranie z dwóch balonów na uwięzi. Około drugiej po południu zgromadził się pięćdziesiątysięczny tłum, aby wysłuchać sławnych socjalistów wśród „niezwykłego entuzjazmu, lecz bez żadnego zamętu”. Bebel w swoim przemówieniu gratulował brytyjskiemu proletariatu wspaniałego sukcesu w niedawnych wyborach, nadmieniając, może z odcieniem zazdrości, że choć rząd sprytnie mianował Johna Burnsa członkiem gabinetu, na pewno nie udało mu się zmienić bojowej taktyki partii. Głośne brawa wywołało przemówienie Jaurès’a, wygłoszone po niemiecku. Choć po jednorazowym przeczytaniu zdołał on nauczyć się na pamięć swego przemówienia przetłumaczonego na niemiecki oraz recytować z pamięci długie ustępy z Goethego, nie opanował potocznego języka na tyle, aby zarezerwować pokój w hotelu.

Później na sali, przy znakomitej niemieckiej organizacji, każdy, jak można przypuszczać, miał uczucie, że obraduje pod okiem policji. Gdy Harry Queich, delegat angielski, wyraził się lekceważąco o obradującej w tym czasie konferencji haskiej jako o „wieczerzy złodziei”, kanclerz von Bülow, który sam nie żywił wielkiego szacunku dla konferencji, zmusił rząd Wirtembergii, aby Quelcha wydalili. Bebel natychmiast poczuł niepokój i nawet nie protestował. Przez pozostały czas obrad kongresu na pustym krześle Quelcha leżały stale kwiaty.

Kongres jak zwykle dzielił się na komisje do spraw: prawa wyborczego, kobiet, mniejszości, imigracji, kolonializmu i innych problemów; główny ośrodek uwagi stanowiła komisja antimilitarystyczna. Problem obowiązków klasy pracującej w obliczu groźby wojny i rosnącego militarizmu, umieszczony na porządku dziennym przez Francuzów, rozpętał pięciodniową debatę. Hervé we wstępnej tyradzie ponownie zaproponował masowe sprzeciwienie się mobilizacji, ściśle mówiąc — powstanie. Propozycję poparli niemieccy radykałowie pod przewodnictwem Róży Luksemburg i Karla Liebknechta w nadziei, że takie powstanie mogłoby się przerodzić w rewolucję, jednak wpływowi działacze partyjni, od starych marksistów, jak Bebel i Kautsky, aż po nowych nacjonalistów z gatunku Noskego, przesunęli się zdecydowanie na prawo. Dyskusja toczyła się, „można powiedzieć, w zasięgu słuchu Wilhelmstrasse”, jak to określił Vandervelde, toteż Niemcy przytłumili nieco swą zwykłą elokwencję, choć może nie tylko z ostrożności; przesunięcie miało charakter ideologiczny. Ulegali nastrojom narodu, przy czym jedni przyznawali się do tego otwarcie, inni wciąż udawali coś przeciwnego, dostosowując się do istniejącej rzeczywistości w okresie ekspansji kraju, z której robotnik ciągnął materialne korzyści. „Nieprawdą jest, że robotnicy nie mają ojczyzny — twierdził Georg von Vollmar, jeden z głównych rewizjonistów — miłość ludzkości nie przeszkadza nam być dobrymi Niemcami” u. On i jego grupa, powiedział, nie zaakceptują antynacjonalistycznego internacjonalizmu.

Jaurès zaproponował taką samą rezolucję, jaka została właśnie uchwalona przez kongres francuski, kładącą nacisk na „agitację” i traktującą strajk powszechny jako środek ostateczny.

Prawdopodobieństwo, że strajk bez planu i organizacji mógłby okazać się skuteczny, równało się prawdopodobieństwu, że armia wyruszy bez rozkazów, kwater, składów zaopatrzenia, żywności czy amunicji. Nawet

gdyby Druga Międzynarodówka zgodziła się na strajk powszechny, nie miała władzy, żeby nakazać to wchodzącym w jej skład partiom, z których każda musiałaby zorganizować osobno strajk swojego narodu. Jeśli akcja nie byłaby równoczesna i międzynarodowa, robotnicy, którzy przeprowadziliby ją najskuteczniej, otwarliby tylko swemu narodowi drogę do klęski. Skuteczność strajku powszechnego zapewnić mogły tylko — jak to stale podkreślał Guesde — jak najlepsza organizacja i dyscyplina proletariatu. Gdyby strajk okazał się skuteczny, jego jedynym wynikiem byłoby narażenie krajów bardziej nowoczesnych na militarne pokonanie przez kraje zacofane. Stwarzało to przerażający i nierozwiązalny dylemat. Jaurès nie rezygnował, bo uważał strajk powszechny raczej za ideę mającą pobudzić masy niż za realną możliwość. Spacerując z Bernsteinem po jednym z parków Stuttgartu usiłował go przekonać, że deklaracja na rzecz strajku miałaby duże znaczenie dla pobudzenia ducha. „Wszystkie moje zastrzeżenia dotyczyły niewykonalności tego — mówił później Bernstein — ale on wracał wciąż do moralnych skutków takiego zobowiązania”. Znacznie później powiedział Clemenceau, że przeznaczeniem Jaurèsa było „głosić braterstwo narodów z tak niezachwianą wiarą... że nie zrażała go brutalna rzeczywistość faktów”.

Bebel sprzeciwiał się strajkowi powszechnemu, uważając, że jest nierealny. Partia niemiecka, w przeciwieństwie do francuskiej współpracująca ściśle ze związkami, patrzyła na strajk z ich punktu widzenia. Choćby każdy członek związku był dobrym socjalistą, związki jako całość nie miały ochoty tracić funduszy na lekkomyślny gest przeciw władzy państwowej. Nie dysponowały rezerwami pieniężnymi na podtrzymanie strajku powszechnego nawet w czasach pokojowych. Opieranie się obronie Ojczyzny w kraju ogarniętym gorączką wojenną postawiłoby socjalistów w złej sytuacji, powiedział Bebel. Potwierdzał to nawet Kautsky. Podkreślał, że strajk jest niemożliwy bez zgody związków. Prywatnie on i podobnie myślący przyjaciele pocieszali się, jak Jaures, przekonaniem, że tak czy inaczej, gdyby wojna nadeszła, „rozwścieczeni” robotnicy sami by przeciw niej powstali. W całej tej gadaninie o strajku — gdzie był głos robotnika, człowieka bezpośrednio zainteresowanego? Nie było go słycać. Robotnik siedział w domu, obchodziła go praca, szef, choroba dziecka, dzisiejsza kolacja, jutrzejsze święto. Jeśli myślał o strajku, to tylko w sprawie płac; jeśli myślał o wojnie, to widział w niej jakieś niejasne wielkie wydarzenie z atmosferą podniecenia i męstwa. Mniej myślał o strajkowaniu przeciw wojnie niż o pójściu na wojnę, aby rozgromić obcych i ochronić kraj. Bebel go znał.

„Nie łudźcie się”, powiedział do angielskiego delegata i powtórzył dawne swoje stwierdzenie, że z chwilą gdy ojczyzna znajdzie się w niebezpieczeństwie, każdy socjaldemokrata weźmie karabin na ramię i pomaszeruje ku francuskiej granicy.

Jeśli Bebel był wciąż jeszcze papieżem socjalizmu, był to papież świecki; pochodnię moralną przejął Jaures, „największa nadzieja Drugiej Międzynarodówki”, jak wyraził się Vandervelde w przemówieniu inauguracyjnym. Tryskał on energią, pochłonięty wielką kampanią przeciw wojnie, zachwycony, że znajduje się w Niemczech. Siedząc w ogródku wiejskiej piwiarni z pieniącym kuflem w ręce zawołał: „Piwo! Vandervelde, niemieckie piwo!”, jego towarzysz uważał ten młodzieńczy entuzjazm za czarujący. Pewnej nocy, gdy wracał z wycieczki przez średniowieczną Tybingę w ulewnym deszczu i ciemnościach, uparł się, aby wysiąść z dorożki, i stanął przed sławnym uniwersytetem, choć nic nie było widać.

Wykorzystując swój wpływ w partii Bebel występował przeciw wyraźnemu zobowiązaniu do strajku nie tylko dlatego, że przekonany był o jego nierealności, lecz głównie z obawy przed represjami rządu niemieckiego, może nawet przed przywróceniem antysocjalistycznej ustawy. Od ostrzeżenia Engelsa: „Legalność nas zabija”, minęło już trochę czasu i Bebel osiągnął wiek dojrzały, dobrze mu się powodziło, nie chciał, aby jego partia znów zeszła w podziemie. Musiał walczyć nie tylko z Francuzami, proponującymi rezolucje odmiennej treści, lecz także z radykałami z własnej partii, wspomaganymi przez groźnego poplecznika. Wskazując go przyjacielowi Róża Luksemburg powiedziała: „To jest Lenin. Zwróć uwagę na jego czaszkę, świadcząca o uporze i zawziętości”. Postanowiła wraz z nim, że każda rezolucja powzięta przez kongres w sprawie militarystyki musi przypominać klasie robotniczej o jej obowiązku zamieniania każdej wojny w rewolucję. Na prywatnych posiedzeniach Lenin prowadził długie negocjacje z Beblem, który nalegał, aby nie było „w rezolucji nic, co umożliwiłoby prokuratorowi w Berlinie zdelegalizowanie partii”. Po wielu przeróbkach i dyskusjach, które Lenin uważał za przydługie, lecz bogate w dialektykę, wypracowano zadowalającą formułę i włączono do najważniejszej rezolucji.

W ostatecznym tekście, zredagowanym przez komisję pod kierownictwem Bebla, zdołano uwzględnić wszystkie poglądy (z wyjątkiem powstańczego strajku Hervego) w taki sposób, aby nie zaalarmować prokuratora w Berlinie ani nie zrazić żadnej ważnej sekcji kongresu. Bebel

zwyciężył. Rezolucja nie wspominała strajku powszechnym. Potwierdzała raz jeszcze walkę klas, wojnę jako nieodłączną cechę kapitalizmu oraz żądanie, żeby armie stałe zostały zastąpione przez armie obywateli; stwierdzała jednak, że „Międzynarodówka nie ma możliwości podyktowania w sposób obowiązujący, jak klasa robotnicza ma prowadzić walkę przeciw militarystom”. Rezolucja zalecała, jak zwykle, „nieustanną agitację” i deklarowała poparcie dla arbitrażu i rozbicia. Dodatek wprowadzony przez Lenina i Różę Luksemburg, przykrojony do granic przyzwoitości, wzywał klasy pracujące ich przedstawicieli w parlamentach, aby z całych sił starali się zapobiec wybuchowi wojny, „stosując środki, jakie uznają za najskuteczniejsze”; gdyby wojna mimo to wybuchła, powinni dążyć do szybkiego jej zakończenia, a tymczasem „wykorzystywać kryzys, jak się tylko da, aby przyspieszyć obalenie kapitalizmu”.

W roku 1909 w jednym kraju lud powstał przeciw wojnie, co wywołało tragiczne skutki. Nie był to ruch zorganizowany, lecz wybuch spontaniczny, podobnie jak powstanie rosyjskie z 1905 roku. „Czerwony Tydzień” w Barcelonie, nazwany przez Hiszpanów *la semana tragica*, był masowym protestem przeciw poborowi żołnierzy do kampanii w Maroku, uważanej przez robotników za wojnę prowadzoną w interesie właścicieli kopalń w górach Riff. Strajk, zainicjowany przez Federację Pracy w Barcelonie, zmienił się z dnia na dzień w protest całego ludu, zwłaszcza kobiet, przeciw wojnie, władcom, reakcji, Kościołowi i wszystkim grupom uciskającego reżimu. Powstanie zostało krwawo zgniecione ogniem karabinowym, a proces i skazanie jednego człowieka, Francisca Ferrera, wywołało oburzenie socjalistów, lecz nie skłoniło ich do zastanowienia się nad problemami i techniką buntu.

W tym samym roku Krajowa Federacja Pracy w Szwecji ogłosiła strajk powszechny przeciw coraz częstszemu stosowaniu lokautów przez pracodawców. Strajk ten, który objął blisko 500 000 robotników i trwał miesiąc, został stłumiony przez rząd, który zagroził zwolnieniem na zawsze z pracy i utratą emerytur, a także dzięki temu, że bogaczom udało się zorganizować brygady do wykonywania podstawowych usług. Łatwiej dało się zorganizować działalność niż bezczynne siedzenie z założonymi rękami.

W tym samym roku Austro-Węgry zaanektowały Bośnię-Hercegowinę i

cień wojny przysunął się bliżej; wyzwanie to Rosja, która nie otrząsnęła się jeszcze ze swych kłopotów, musiała spokojnie przełknąć, tym bardziej że kajzer, jak oświadczył, stanął „w błyszczącej zbroi” po stronie swego sojusznika. Socjaliści austriaccy nie mogli powstrzymać uczucia narodowej dumy. Socjalistyczna wiedeńska „Arbeiter Zeitung” opublikowała serię szowinistycznych artykułów, co ze złośliwą radością podchwyciła serbska prasa burżuazyjna, podkreślając, że międzynarodowa solidarność klasy pracującej nie jest taka mocna, jak można by było przypuszczać.

W Anglii nastrojom anty germańskim poddał się Blatchford, który mimo całego swego socjalizmu popierał, jako stary żołnierz, wojnę burską. W swoim piśmie „Clarion” prowadził teraz razem z Hyndmanem kampanię w sprawie poboru do wojska. Keir Hardie, piętnujący ich jako zdrajców socjalizmu, wciąż wierzył „bezwzględnie, że zorganizowani robotnicy nigdy nie wezmą udziału w jeszcze jednym przelewaniu robotniczej krwi”. Nie był w tym odosobniony. Panował silnie zakorzeniony mit zwartej klasy robotniczej, bohaterskiej i świadomej swojej siły. Wierzył w to Sam Gompers, pochodzący, jak Hardie, z rodziny robotniczej i przez całe życie interesujący się robotnikami i ich problemami. Po pobycie w Europie w 1909 roku, gdzie uczestniczył w Międzynarodowym Kongresie Związków Zawodowych, odjechał z ogólnym wrażeniem, że „masy w Europie kierują się dziś solidarnymi uczuciami”. Jako nieświadomy socjalista, wciąż uważał, że walka robotników o ich prawa będzie miała pierwszeństwo „przed wojnami narodów, w których ludzie pracy nie są zainteresowani”. Wiedział i stwierdził to w innym kontekście, że strajk powszechny „jest niemożliwy w obecnym stadium organizacyjnym świata pracy”, ale i on wierzył, że w jego klasie tkwi „głęboko zakorzenione postanowienie”, aby odmówić dokonania ostatniego kroku, jeśli chodzi o obowiązek służby wojskowej — strzelania do towarzyszy robotników. Duch międzynarodowych kongresów związków zawodowych, gdzie delegaci rozmawiali z sobą i łamali się chlebem, dotrze, jak pisał, poprzez ich sprawozdania do wszystkich zorganizowanych robotników, którzy zrozumieją i nie zechcą wzajemnie się zabijać. „Nawet nie zorganizowani” będą czytali relacje i słuchali powracających delegatów, przez co udzieli im się duch oporu. Mężowie stanu dobrze wiedzą, że gdy teraz wydadzą rozkaz „Na front!”, nastąpią „masowe demonstracje pokojowe” — Gompers nie odważył się powiedzieć: masowy opór. „Istnieje zgodna opinia powszechna — kończył — że decydującą przeszkodą do wojny w Europie jest dziś zdecydowanie przeciwne temu stanowisko

robotników w różnych krajach”.

Gompers był normalnym, praktycznym i zdrowo myślącym człowiekiem, lecz żył w okresie szczególnie sentymentalnym. To, że jak Jaures mógł uwierzyć w ostateczne: Stój ! osiągnięte dzięki masowym demonstracjom”, świadczy, jak dalece rozprzestrzeniła się idea klasy robotniczej jako Bohatera.

Gompers udał się do Europy, gdyż chciał, aby Amerykańska Federacja Pracy przystąpiła do Międzynarodowej Federacji Związków Zawodowych. Jeśli jakakolwiek akcja zorganizowanego świata pracy przeciw wojnie miała osiągnąć skutek, był to jedyny organ, który mógł to spowodować, zakładając, że miał ochotę i że posiadał ku temu środki. Nie miał ani jednego, ani drugiego. Międzynarodowa Federacja, założona w 1903 roku na propozycję związków angielskich i francuskich, lecz przy sprzeciwie Niemców, reprezentowała dwadzieścia siedem federacji zawodowych lub przemysłowych i miała ponad siedem milionów członków w dziewiętnastu krajach. Cyfry wyglądały bardziej imponująco niż rzeczywiste funkcje, które przeważnie ograniczały się do sekretarskich. Federacja informowała związki członkowskie o sytuacji zawodowej i robiła, co mogła, aby udaremnić starania pracodawców o werbowanie cudzoziemskich łamistrajków. Chcąc zjednać dla organizacji wielkie i dysponujące dużymi środkami finansowymi związki niemieckie, wybrano Niemcy na jej siedzibę; sekretarzem został Carl Legien, szef Niemieckiej Krajowej Federacji Związków Zawodowych. Na odbywających się co dwa lata kongresach sprawy polityczne i socjalne, wysuwane zazwyczaj przez Francuzów, nie były mile widziane. W 1909 roku federacja zebrała fundusz pomocy strajkowej w wysokości 643 000 dolarów na szwedzki strajk powszechny; większość tej sumy pochodziła od związków niemieckich i skandynawskich, bardzo mało od brytyjskich, francuskich czy amerykańskich. Nie osiągnięto całkowitej solidarności. Przy silnych wpływach niemieckich i apolitycznej orientacji organ ten nie mógł się interesować ideami międzynarodowego strajku powszechnego.

Jedną z najsilniejszych jednostek w całej federacji stanowiła Międzynarodowa Federacja Pracowników Transportu — marynarzy, dokerów i kolejarzy. Założona w 1896 roku, reprezentowała czterdzieści dwa związki w szesnastu krajach i miała 468 000 członków. Keir Hardie, którego, jak Jauresa, niepokoił przede wszystkim problem wojny, na tej właśnie federacji opierał swoje nadzieje na międzynarodowy strajk w przypadku

wojny. Gdyby tylko pracownicy transportu sami, lub razem z międzynarodówką górników, rzucili narzędzia, mogliby, jak uważał, powstrzymać wojnę. Także i tutaj problem stanowiła konieczność równoczesnej akcji we wszystkich krajach, lecz zapal Hardie'ego pozwolił mu przeskoczyć tę trudność i wystąpił on ze swą propozycją na najbliższym kongresie socjalistycznym w Kopenhadze, w sierpniu 1910 roku.

Wybór Kopenhagi na miejsce kongresu Międzynarodówki w 1910 roku świadczył o znaczeniu, jakie uzyskał socjalizm. Duńska Partia Socjalistyczna, jedna z najsilniejszych w Europie, kierowała zarządem miejskim stolicy. Komitet, pragnąc zaimponować światu organizacją i sprawnością, wydał wspaniałe przyjęcie, a socjalistyczny burmistrz wygłosił przemówienie powitalne. Odpowiadając głosem „dźwięcznym i donośnym, który wprawiał serca w drżenie”, Vandervelde dał wyraz uczuciom delegatów, zdających sobie sprawę z wielkiego wydarzenia, kiedy to wolny lud, rządzący w Ratuszu, wita Czerwoną Międzynarodówkę. Liczba głosujących na socjalistów w świecie doszła teraz do ośmiu milionów. Socjaliści francuscy odnieśli w maju nowe zwycięstwo wyborcze: otrzymali ponad milion głosów i zwiększyli liczbę deputowanych z 54 do 76. Choć był to wątpliwy powód do dumy, Briand, wciąż określający się jako niezależny socjalista, został nawet premierem. Wydawało się, że socjalizm osiągnął stadium, w którym mógł skutecznie realizować swoje zadanie jako „surowe sumienie” ludzkości.

W Kopenhadze sumienie to przemawiało ustami Keira Hardie, który wspólnie z Edouardem Vaillant z Francji zaproponował rezolucję, aby „członkowskie partie i organizacje robotnicze rozważyły, czy wskazany i wykonalny jest strajk powszechny, zwłaszcza w gałęziach przemysłu dostarczających materiałów wojennych, jako jedna z metod zapobieżenia wojnie, i aby akcja w tej sprawie podjęta została na następnym kongresie”. Proponując to Hardie przyznawał, że robotnicy nie są gotowi do strajku przeciw wojnie, ale nie tracił nadziei, że będą gotowi, gdy nadejdzie pora.

Musimy nimi dobrze pokierować”, powiedział. Rezolucję jego poparł Vandervelde i Jaurès, który skłaniał się ku temu tym bardziej, że podejmował właśnie skuteczne starania, zależne częściowo od akceptacji strajku powszechnego, aby zbliżyć CGT do SFIO. Ponadto, pod wpływem niepokoju z powodu biurokratycznych tendencji partii niemieckiej, coraz bardziej brał pod uwagę potrzebę stosowania taktyki masowej.

Niemcy i Austriacy sprzeciwiali się zdecydowanie wnioskowi Hardie'ego z tych samych powodów co przedtem: że namawianie do strajku w przypadku wojny może doprowadzić do oskarżenia o zdradę i konfiskaty funduszy. Starzejący się i chory Bebel nie uczestniczył w kongresie, lecz nawet bez niego nacisk Niemców spowodował negatywny wynik głosowania. W drodze kompromisu postanowiono skierować rezolucję do Biura w Brukseli w celu rozważenia na następnym kongresie. Nawet takie postawienie sprawy niepokoiło Niemców. Z trudem przekonał ich argument Vanderveldego, że jeśli odmówią, Brytyjczycy i Francuzi sami będą realizowali ten plan. Uchwalono rezolucję o antymilitaryzmie, taką samą jak w Stuttgarcie, z uzupełnieniem, że zorganizowana klasa robotnicza w krajach członkowskich „rozważy, czy strajk powszechny powinien zostać w razie potrzeby proklamowany celem zapobieżenia zbrodni wojny”. Równie nerwowo, choć nie tak szybko, jak kapitaliści w Hadze z rozbrojeniem, socjaliści rozprawili się ze strajkiem powszechnym.

W ciągu kilku tygodni okazało się w sposób dobitny, że robotnicy nie mogą osiągnąć zwycięstwa w strajku transportowym. W październiku we Francji premier Briand złamał strajk kolejarzy na wszystkich liniach państwowych i prywatnych zarządzając pobór robotników do wojska na okres trzech tygodni, przy czym nieobecność w pracy stanowiła podstawę do oskarżenia o dezercję. Tłumacząc się obroną kraju Briand twierdził, że tę akcję podyktowało mu jego sumienie patrioty. Jego sumienie dawnego socjalisty nie podyktowało mu jednak wywarcia nacisku na przedsiębiorstwa, aby przyznały podwyżkę płac, jakiej domagali się kolejarze.

Nadszedł rok 1910. Procesem w toku, a nie faktem dokonany, było przejmowanie władzy przez nową klasę, czego sygnały dostrzegł Balfour w brytyjskich wyborach z 1906 roku. W próbie sił takiej jak francuski strajk kolejowy okazało się, że klasa robotnicza nie rozporządza rzeczywistą siłą. Akcja międzynarodowa była złudzeniem. Socjaliści mówiąc o tym i wierząc w to, obracali się raczej w sferze nadziei i teorii niż w realiach rzeczywistości. W tym okresie miała miejsce jedna rzeczywista próba międzynarodowej akcji klasy robotniczej. Podczas gdy socjaliści dyskutowali w Kopenhadze nad możliwościami strajku powszechnego w przemyśle wojennym, ci właśnie ludzie, których udział byłby rozstrzygający, Międzynarodówka Pracowników Transportu (ITF), z natury rzeczy

najbardziej międzynarodowy związek, obradowali również w Kopenhadze. Raz, w czasie wojny burskiej, członkowie z Holandii, sprzyjający Burom, wzywali usilnie do międzynarodowego bojkotu brytyjskiej żeglugi; przywódcy ITF odrzucili jednak stanowczo propozycję, twierdząc, że w tym stadium nie jest możliwe zainteresowanie robotników ruchem międzynarodowym w celach politycznych. Co innego bezpośrednie cele związków zawodowych. Teraz w 1910 roku postanowili ogłosić własny strajk międzynarodowy dla zmanifestowania pretensji do armatorów. Namawiali do tego usilnie delegaci brytyjscy, Ben Tillett i Havelock Wilson, podczas gdy delegat niemiecki Paul Muller ostro się sprzeciwiał, podobnie jak jego rodacy sprzeciwiali się równocześnie propozycji Keira Hardie na kongresie socjalistycznym. Muller twierdził, że w obecnej chwili strajk marynarzy byłby „czystym szaleństwem” i z pewnością skończyłby się katastrofalnie. Kapitanowie by triumfowali, przywódcy związkowi utraciliby wpływy, ludzie popadliby w nędzę i musieliby w końcu błagać na kolanach o pokój. Ponieważ strajk żeglugowy, podobnie jak strajk przeciw wojnie, działałby na korzyść żeglugi w tych krajach, których związki do niego nie przystąpiły, i ponieważ Niemcy i Brytyjczycy współzawodniczyli w sprawach żeglugowych, akcja musiała mieć charakter międzynarodowy. Herr Muller uległ silnym naciskom i kongres uchwalił jednogłośnie strajk marynarzy przeciw „brutalnemu i bezlitosnemu” odmówieniu przez armatorów we wszystkich krajach dyskusji nad żądaniem związków w sprawie komisji arbitrażowej. Wszyscy zgodzili się, że strajk „musi być i będzie międzynarodowy”.

Na następnych zebraniach komitetu marynarzy w Antwerpii w listopadzie i w marcu Brytyjczycy oświadczyli, że będą zdecydowanie strajkowali w 1911 roku, a Belgowie, Holendrzy, Norwegowie i Duńczycy zadeklarowali swoje poparcie. Niemcy stwierdzili teraz, że nie mają żadnego powodu do strajku, i wycofali się. Termin ustalono na 14 czerwca. Tymczasem wycofali się także Duńczycy i Norwegowie; Duńczycy, bo udało im się wynegocjować korzystny układ pięcioletni, a Norwegowie dlatego, że po odrzuceniu ich żądań czuli się za słabi, by je wymusić. Brytyjczycy w każdym razie zorganizowali wielki strajk transportowy podczas lata koronacji wraz z Belgami i Holendrami, jednak dramatyczny wysiłek Brytyjczyków najbardziej rzucał się w oczy. ITF zorganizowało solidarnościowe akcje w innych portach kontynentalnych; zapobiegły one werbowaniu łamistrajków i pomogły marynarzom brytyjskim w realizacji ich żądań. Ogólnie nie

osiągnięto jednak zamierzonej pierwotnie solidarności w strajku. Usiłowania ITF w 1911 roku wykazały, jak na próbie generalnej, czego można oczekiwać od klasy robotniczej w międzynarodowej akcji.

Mimo to socjaliści nadal niezłomnie głosili „powstanie” robotników na całym świecie na wypadek wojny. Ulegali pod tym względem tendencjom owego okresu, aby przyodziewać rzeczywistość w szaty sentymentalizmu. Nieliczni intelektualiści, lekarze, pisarze i psychologowie społeczni, zaczęli patrzeć na człowieka bez złudzeń, nie reprezentowali jednak wówczas ogółu. Była to awangarda, podobnie jak „czarnowidzę” w rodzaju Wedekinda. Ogół wołał przyjemniejsze widoki: doskonałe akty Bouguereau w tonacji perłowej, nieprawdopodobnie piękne dziewczęta Gibsona — istoty, jakie nigdy nie pojawiły się na lądzie ani morzu. Tak samo, na swój sposób, postępowali socjaliści.

Optymistyczne poglądy przeważały w Niemczech, gdzie w wyborach powszechnych w 1912 roku socjaldemokraci uzyskali zdumiewającą liczbę 4 250 000 głosów, to jest 35 procent, i zdobyli 110 miejsc poselskich. Partia rosła tak szybko i innym socjalistom wydawała się tak potężna, iż uważali ją za „niewzruszoną” 90 i sądzili, że coraz bardziej zbliża się chwila, kiedy ruch socjalistyczny w Niemczech „obejmie większość ludności i zerwie pęta feudalno-kapitalistycznego państwa”. Tak wielka ilość socjalistów w kraju oznaczała, że proporcjonalnie wzrosła ich liczba także w wojsku, co doprowadzi w końcu do momentu, kiedy armia nie będzie już mogła być użyta przeciw robotnikom.

Istniała jednak nadal rozbieżność między wielkością partii a jej faktycznym wpływem, na co zwrócił uwagę Jaures podczas kongresu w Amsterdamie — co więcej, rozbieżność ta stawała się coraz widoczniejsza wraz z rozrostem partii. Niemieccy socjaliści nie zrobili w Parlamencie wielkiego użytku ze swego triumfu wyborczego z 1912 roku. Tego samego roku, gdy rząd powiększył armię o trzy korpusy, sprzeciwili się ustawie o pełnomocnictwach, lecz nie posunęli się tak daleko, aby przeciwstawić się podatkowi przeznaczonemu na pokrycie spowodowanych tym kosztów. Kiedy jeden z nich, Philipp Scheidemann, został wybrany pierwszym wiceprzewodniczącym Reichstagu, jego oświadczenie, że nie pójdzie złożyć oficjalnej wizyty kajzerowi, wywołało nową wersję dyskusji o spodniach.

Uczestniczyły w niej wszystkie partie, nie tylko socjaliści. Istotnym problemem w tej sprawie stało się pytanie, czy Scheidemann złoży wizytę, jeśli drugi wiceprzewodniczący będzie nieobecny, i czy Bebel zgodzi się, aby socjaliści przyłączyli się do zwykłej owacji dla monarchy. Ostatecznie anulowano wybór Scheidemanna z powodu jego zasad, unikając w ten sposób poważnych problemów.

Wśród socjaldemokratów rewizjonizm dotrzymywał kroku wzmagającemu się w kraju nacjonalizmowi. Właśnie powodzenie odwróciło uwagę socjalizmu od programu maksymalnego i skierowało ku programowi minimalnemu i rzeczywistym możliwościom. Oddaliła się czerwona zorza rewolucji. Wyznawcy powtarzali wciąż z nieposkromionym zapałem marksistowskie tezy, lecz wewnętrznie przekonani byli teraz tylko ci, którzy nadal pozostali „nielegalni” — Rosjanie. Na zebraniu lewicowej grupy w Lipsku pewien austriacki socjalista zwrócił się do gospodarzy jako do rewolucjonistów. „My, rewolucjoniści? — przerwał Franz Mehring. — Cóż znowu! Tamci są rewolucjonistami”, i wskazał głową Trockiego, zaproszonego w charakterze gościa.

Dla Jaurèsa najważniejszym zadaniem stało się wypracowanie i narzucenie polityki zapobiegającej wojnie na warunkach dających się pogodzić tak z obronnością Francji, jak z wiarą w socjalizm. Również w jego kraju wzmagał się nacjonalizm, duch wojowniczości i *revanche*. Wszędzie dawał się odczuć napór Niemiec, cień Sedanu wydłużał się coraz bardziej. Tak rozumujący ekstremiści, jak Guesde, nie uważali, że pokój musi być równoznaczny z interesami robotników; Jaurès tak uważał. Wierzył teraz, że jedyną zgodną z socjalizmem drogą, by stawić czoło groźbie wojny, jest armia obywatelska. Jeśli cały naród będzie stanowił armię rezerwową, po przejściu wszystkich sześciomiesięcznych ćwiczeń, i jeśli oficerowie zostaną wybrani spośród szeregowców, kraj nie da się wciągnąć w wojnę w interesie kapitalistycznych podżegaczy wojennych. W wojnie obronnej przeciw inwazji, twierdził, tylko armia złożona z całego narodu może mieć nadzieję, że odeprze okropny „zalew”, jaki przygotowywali Niemcy przez użycie rezerw na linii frontu.

Kampania Jaurèsa nie polegała jedynie na socjalistycznym krasomówstwie. Podobnie jak w *Les Preuves* w odniesieniu do sprawy Dreyfusa, starał się wykazać doskonałość swego założenia, badając i opracowując przez okres trzech lat sposób reorganizacji systemu

wojskowego. Wyniki swojej pracy ujął w projekcie ustawy przedłożonej Parlamentowi w listopadzie 1910 roku oraz w siedmiusetstronicowej książce *l'Armée Nouvelle*, wydanej w 1911. Niestrudzenie propagował swoją sprawę w Parlamencie, w socjalistycznej gazecie „l'Humanité”, której był założycielem i dyrektorem, na zebraniach i wykładach; kohorty prawicy, zwłaszcza nie przebierająca w epitetach „Action Française”, obrzucały go za to grzmiącymi obelgami, jako „zdrajcę”, pro-Niemca, „pacyfistę”.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że Bałkany, gdzie ścierały się interesy Rosji i Austrii, stanowią punkt zapalny Europy. W październiku 1912 roku, kiedy Liga Bałkańska, tj. Serbia, Grecja i Czarnogóra, zachęcona przez Rosję, wypowiedziała wojnę Turcji, wydawało się, że nadeszła już straszna chwila. W Belgradzie Trocki przyglądał się serbskiemu Osiemnastemu Pułkowi Piechoty, maszerującemu na wojnę w nowo wprowadzonych mundurach koloru khaki. Żołnierze mieli na nogach skórzane sandały, a na czapkach gałązki zieleni, co nadawało im wygląd „ludzi poświęconych na ofiarę”. Właśnie te gałązki zieleni i skórzane sandały najbardziej mu uświadomiły grozę wojny. „Ogarnęło mnie poczucie historycznej tragedii, poczucie bezsilności wobec losu, współczucie dla ludzkiej szarańczy”.

Chcąc wykazać, że robotnicy całego świata zgodnie przeciwstawiają się wojnie, Biuro w Brukseli zwołało na dzień 24 i 25 listopada nadzwyczajny kongres, mający się odbyć w Bazylei, na granicy między Szwajcarią a Niemcami i Francją. Pięćset pięćdziesięciu pięciu delegatów z dwudziestu trzech krajów pospieszyło do Bazylei. Uchwalono jednogłośnie manifest, zredagowany uprzednio przez Biuro, który deklarował „gotowość na wszelkie ofiary” przeciw wojnie, nie precyzując jednak, jakie to mają być ofiary. Po przemówieniach, wygłoszonych przez najbardziej utalentowanych mówców socjalizmu, m. in. Keira Hardie, Adlera, Vanderveldego, zabrał głos Jaurès, uznawany obecnie milcząco za najbardziej wpływową osobistość w całym ruchu. Bebel, wprawdzie obecny, tracił już siły; było to, jak się później okazało, jego ostatnie wystąpienie na arenie międzynarodowej.

Jaurès przemawiał z kazalnicy katedry, udostępnionej przez władze kościelne, mimo strachu burżuazji przed „niebezpiecznymi” konsekwencjami. Dźwięk kościelnych dzwonów przypominał mu, jak mówił, motto do Pieśni dzwonów Schillera; *Vivos voco mortuos plango, fulgura frango* (Wzywam żywych, oplakuję zmarłych, tłumię gromy). Pochylając się naprzód, mówił przekonywająco do zwróconych w górę twarzy: „Wzywam

żywych, aby się bronili przed potworem, który pojawia się na horyzoncie. Opłakuję niezliczonych zmarłych, rozkładających się teraz na Wschodzie. Tłumię gromy wojny, którymi grozi nam niebo”.

Tak się złożyło, że te konkretne gromy zostały stłumione przez kapitalistycznych mężów stanu: zwołali oni w grudniu 1912 roku do Londynu konferencję, która ograniczyła i — zbierając się ponownie w maju — zlikwidowała wojnę, nim rozszerzyła się ona w konflikt między Rosją a Austrią.

W marcu 1913 Francja, postępując zupełnie przeciwnie niż zalecał Jaurès, powiększyła swoją armię, przedłużając okres służby wojskowej z dwu lat do trzech. Jaurès użył całej swojej energii, aby do tego nie dopuścić i wprowadzić w zamian zasadę kraju pod bronią. Przez następne sześć miesięcy Ustawa o Trzyletniej Służbie stanowiła najważniejsze wydarzenie w życiu Francji. Uchwalenie jej stało się hasłem skupiającym nacjonalistów, opór przeciw niej symbolem lewicy. Jaurès potępił to posunięcie jako „zbrodnię przeciw Republice” i zgromadził stu pięćdziesiąt tysięcy tłum na wiecu protestacyjnym na wolnym powietrzu. Kierownictwo opozycji uznało go za największego orędownika pokoju. W tym charakterze stał się przedmiotem dalszych ataków jako pacyfista i pro-Niemiec. Po zacieklej siedmioletniej dyskusji ustawa przeszła dnia 7 sierpnia. Jaurès, równie wytrwały jak podczas sześciolatniej zaciętej walki po Rennes o rehabilitację Dreyfusa i Picquarta, przewodził teraz ruchowi dążącemu do uchylenia ustawy.

W 1913 zmarł siedemdziesięcioletni Bebel. Trzy dni trwała procesja robotników i socjalistów z wielu krajów przed trumną otoczoną setkami wieńców i wiązanek czerwonych kwiatów. Kierownictwo partii objął jego następca z wyboru, Hugo Haase, prawnik i deputowany z Królewca. W sierpniu 1913 w obecności Andrew Carnegie'ego i przedstawicieli czterdziestu dwu państw należących do Stałego Trybunału Arbitrażowego otwarty został w Hadze Pałac Pokoju, co „Times” nazwał „najszcześniejszą okolicznością”. Badania przeprowadzone we Francji w 1913 roku w środowisku studentów wykazały, że słowo „wojna” wywiera urok, który „stale ożywia odwieczny instynkt wojowniczy w duszy człowieka”.

Siła klasy robotniczej nadal rosła. W 1914 roku liczba członków związków zawodowych zarówno w Niemczech, jak w Wielkiej Brytanii

sięgała trzech milionów, a jednego miliona we Francji. Socjaliści w Danii stanowili największą partię; we Włoszech, w wyborach w 1913 roku ilość socjalistów w Parlamencie powiększyła się z 32 do 52 posłów; we Francji w wyborach z kwietnia 1914 roku — z 76 do 103. Socjaliści belgijscy mieli nie tylko 30 posłów i 7 senatorów, lecz również 500 mandatów w radach komunalnych. Po długim i zaciętym oporze klasy rządzącej przeciw równemu prawu wyborczemu czuli się wreszcie dość silni, aby wymusić swoje żądania za pomocą strajku powszechnego. Wbrew niecierpliwym radykałom, którzy domagali się natychmiastowej akcji, Vandervelde i jego współtowarzysze uważali za konieczne długie i staranne przygotowania; mimo tego i mimo że do strajku przyłączyło się 400 000 robotników, wstrzymujących się od pracy przez dwa tygodnie, nie udało im się zwyciężyć i strajk się załamał.

W sierpniu miał się odbyć w Wiedniu dziesiąty kongres Drugiej Międzynarodówki dla uczczenia pięćdziesiątej rocznicy założenia Pierwszej Międzynarodówki i dwudziestej piątej rocznicy Drugiej. Głęboko wierzono w jej cele i dążenia. W maju zebrała się w Bazylei francusko-niemiecka komisja posłów socjalistycznych, z Jauresem i Hugonem Haasem, aby omówić sposoby zbliżenia między obydwu krajami. Intencje mieli dobre, lecz musieli się ograniczyć do słów. W Anglii Keir Hardie na konferencji ILP w kwietniu w połowie przemówienia obrócił się nagle twarzą do rządów siedzących za trybuną dzieci z socjalistycznych szkół niedzielnych. Zwracając się bezpośrednio do nich mówił, jak piękny jest świat przyrody, jak piękny może się stać świat człowieka. Mówił, jak niepotrzebna jest wojna i ubóstwo, jak bardzo się starał zapewnić im lepsze życie i mimo że nie udało się to jemu i jego towarzyszom, może się to jeszcze udać im, dzieciom. „Jeśli to miały być moje ostatnie słowa, powiedziałbym: Żyćcie dla tych lepszych czasów”.

Sensację z rodzaju tych, do jakich Europa była przyzwyczajona wywołała w końcu czerwca wiadomość, że serbscy patrioci zamordowali arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, austriackiego następcę tronu, w nie znanym mieście na zaanektowanym terytorium Bośni. Nie zaalarmowało to zbytnio ogółu. Potem nagle, w miesiąc później, 24 lipca straszliwy wstrząs spowodowało oświadczenie, że Austria postawiła Serbii ultimatum z taką „brutalnością”, jak pisała niemiecka socjalistyczna gazeta „Vorwärts”, że „można to interpretować jedynie jako celową chęć sprowokowania wojny” Europa

stała u progu kryzysu na największą skalę. Czy będzie taki jak Agadir i wojna bałkańska, pełen namiętnych wyzwania i intryg, lecz dający się w końcu zażegnać? Ludzie czekali z rozpaczną nadzieją. „Liczyliśmy na Jaurès”, pisał o wiele później Stefan Zweig, że zorganizuje socjalistów, aby powstrzymać wojnę.

Przywódcy socjalistyczni naradzali się. Jeśliby demonstracja odbyła się dopiero za miesiąc w Wiedniu, mogło już być za późno. W powietrzu dawało się odczuć gotowość, narastającą wojowniczość. Biuro w Brukseli zwołało nadzwyczajne posiedzenie kierownictwa na 29 lipca. Zebrali się Jaurès, Hugo Haase, Róża Luksemburg, Adler, Vandervelde, Keir Hardie, przedstawiciele partii włoskiej, szwajcarskiej, duńskiej, holenderskiej, węgierskiej oraz przedstawiciele kilku frakcji rosyjskich, razem około dwudziestu osób, wszyscy „z uczuciem beznadziejności i zawodu”. Co mogli zrobić? Jak mogli dać wyraz woli klasy robotniczej? Jaka właściwie była ta wola? Nikt nie zadawał tego pytania, bo nikt nie wątpił, że chciano pokoju, ale jedna odpowiedź padła już dwa dni wcześniej w Brukseli, na kongresie związków zawodowych, w którym uczestniczyli Léon Jouhaux, przewodniczący CGT, i Carl Legien, szef niemieckich związków zawodowych. Jouhaux z niepokojem starał się dowiedzieć, co zrobią niemieckie związki. Francuzi, powiedział Jouhaux, ogłoszą strajk, o ile Niemcy również to zrobią; Legien jednak milczał. W każdym razie nie przygotowano żadnych planów.

Przez cały tydzień prasa socjalistyczna we wszystkich krajach występowała ostro przeciw militarystom, wzywała klasę robotniczą wszystkich krajów, aby „trzymała się razem”, aby „połączyła się i zwyciężyła” militarystów, aby podjęła „nieustanną agitację”, zgodnie z programem Międzynarodówki. Organ francuskich związków zawodowych, „La Bataille Syndicaliste”, stwierdzał: „Robotnicy muszą zareagować na wypowiedzenie wojny rewolucyjnym strajkiem powszechnym”. Robotnicy przybywali tłumnie na wiece masowe, słuchali nawoływań, maszerowali i krzyczeli, nie było jednak żadnych oznak chęci do strajku ani też żadnego planu.

Pewnego deszczowego dnia przywódcy socjalistyczni zebrali się w Brukseli w Maison du Peuple, wspaniałym nowym budynku belgijskiego ruchu robotniczego, gdzie mieścił się teatr, biura, sale konferencyjne, kawiarnia i sklepy spółdzielcze. Podczas spotkania dowiedzieli się, że Austria wypowiedziała wojnę Serbii, lecz że inne kraje nie są jeszcze

zaangażowane. Nadzieja, że robotnicy jakoś powstaną — to „jakoś”, którego tak długo się trzymali — stanowiła wszystko, co im pozostało. Każdy delegat spodziewał się, że jego sąsiad przyniesie wiadomość o wielkim spontanicznym wybuchu w jego kraju, wyrażającym robotnicze Nie! Przemówienie Adlera nie dawało nadziei na powstanie w Austrii. Haase, zbyt niespokojny, aby usiedzieć na miejscu, informował o protestach i masowych wiecach w Niemczech, a zarazem zapewniał swoich kolegów, że „kajzer nie chce wojny, nie z miłości do ludzi, lecz z tchórzostwa. Boi się konsekwencji”. Jaurès robił wrażenie „kogoś, kto straciwszy nadzieję na normalne rozwiązanie, oczekuje cudu”. Hardie był pewien, że brytyjscy transportowcy mogą ogłosić strajk, ale to przekonanie nie miało podstaw. Kilka tygodni wcześniej napisał on: „Jedynie powiązanie związków zawodowych z ruchami socjalistycznymi umożliwi robotnikom wywarcie wpływu na rządy i tym samym położenie kresu wojnie”. Jedynym krajem, gdzie doszło do takiego powiązania, były Niemcy. Delegaci rozprawiali przez cały dzień, ale powzięli jedną tylko decyzję, zmienili mianowicie datę i miejsce kongresu, który miał się odbyć w Wiedniu, na 9 sierpnia i Paryż, gdzie miała zostać podjęta dalsza dyskusja.

Wieczorem odbył się wiec w Cirque Royal. Zgromadziły się tam tłumy belgijskich robotników ze wszystkich dzielnic miasta i z przedmieść. Przywódcy weszli na trybunę; Jaurès stanął obok Haasego i objął go ramieniem, jakby przeczył tym gestem wrogości Niemiec i Francji. Przemawiał w kulminacyjnym momencie wiecu z coraz większą elokwencją, aż cała sala zatrzęsa się od siły jego słów. „Drżał cały, tak silne były jego uczucia, jego obawy, jego pragnienie, aby uniknąć zbliżającego się starcia”. Gdy skończył, tłum poniesiony entuzjazmem ruszył na ulicę, formując pochód. Maszerujący ludzie nieśli białe transparenty z napisem „*Guerre à la guerre!*” i na zmianę albo wykrzykiwali te słowa, albo śpiewali Międzynarodówką.

Następnego dnia, gdy delegaci odjeżdżali, Jaurès żegnając się z Vanderveldem uspokajał go: „Będzie tak jak z Agadirem — raz dobrze, raz źle — ale jest niemożliwe, aby sprawy nie dały się ułożyć. Chodź, zostało mi jeszcze kilka godzin do odjazdu pociągu. Chodźmy do muzeum obejrzeć flamandzkie prymitywy”. Ale Vandervelde, który odjeżdżał do Londynu, nie mógł pójść i już nigdy nie zobaczył Jaurèsa. W drodze powrotnej do Paryża Jaurès, wyczerpany poprzednim napięciem, usnął w pociągu. Jego towarzysz,

Jean Longuet, patrząc na jego „cudowną twarz” doznał „nagle uczucia... że on nie żyje. Zdrętwiałem ze strachu”. Po przyjeździe jednak Jaurès obudził się i niezmordowany jak zwykle, poszedł do Parlamentu porozmawiać z posłami, a potem do redakcji „l'Humanité”, aby napisać artykuł na następnym dniu.

Angelica Bałabanow i dwaj delegaci, którzy wyjechali z Brukseli innym pociągiem, siedzieli następnego ranka przy śniadaniu na dworcu w Bazylei, gdy dwaj towarzysze z Niemieckiego Komitetu Centralnego przebiegli obok wyraźnie podnieceni. „Nie ma już teraz wątpliwości co do wojny — powiedział jeden z delegatów, który przed chwilą rozmawiał z Niemcami przed dworcem. — Przyjechali tu, żeby złożyć pieniądze niemieckiej partii na przechowanie”. Tego samego dnia w Berlinie kanclerz Bethmann-Hollweg zapewniał pruskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, że „nie ma się czego obawiać ze strony partii socjaldemokratycznej” i że „nie będzie wcale mowy o strajku powszechnym ani sabotażu”.

W Paryżu 31 lipca, w dniu niemieckiego ultimatum do Rosji i ogłoszeniu *Kriegsgefahr*, to jest wstępnej mobilizacji, świadomość, że Francja stoi u progu wojny, trzymała ludzi w napięciu. Gabinet nie przestawał obradować, niemiecki ambasador przyjechał do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i odjechał, co wyglądało złowieszczo, jakby życie w kraju zamarło. Jaurès poprowadził delegację socjalistów do biura premiera Vivianiego, swego dawnego towarzysza, i wrócił, aby zorganizować akcję partii w Parlamencie. O dziewiątej wieczór wyczerpany troskami wyszedł z biur „l'Humanité” z kilkoma kolegami na obiad w Café Croissant, za rogiem, przy Rue Montmartre. Gdy siedział tyłem do okna jedząc i rozmawiając, pojawił się na ulicy młody człowiek, który chodził za nim od poprzedniego wieczora. Ten superpatriota, jak się później okazało, pod wpływem szaleńczego fanatyzmu wymierzył rewolwer w „pacyfistę” i „zdrajcę”, oddając dwa strzały. Jaurès osunął się na bok i upadł twarzą na stół. Po pięciu minutach już nie żył.

Wiadomość rozeszła się po Paryżu jak płomień. Tłumy zgromadziły się na ulicy przed restauracją tak szybko, że zrobienie przejścia dla karetki zabrało policji piętnaście minut. Kiedy wynoszono ciało, zapadła głęboka cisza. Gdy dźwięk karetki, eskortowanej przez policjantów na rowerach, ginał w oddali, zerwał się nagły krzyk, jakby protestujący przeciw oczywistości śmierci: „Jaurès! Jaurès! *Vive* Jaurès! „Gdzie indziej zdumieni ludzie oniemieli z żalu. Wielu płakało na ulicach. „Serce mi pęka”,

powiedział Anatol France, usłyszawszy tę wiadomość. Ministrów, poinformowanych podczas nocnego posiedzenia gabinetu przez pobladłego urzędnika, ogarnęło zdumienie i strach. Zamajaczyła wizja zamieszek robotniczych i wojny domowej w przededniu wojny zewnętrznej. Premier wystosował do ludności apel o jedność i spokój. Zaalarmowano wojsko, lecz następnego dnia w obliczu grożącego krajowi niebezpieczeństwa wszędzie panował tylko głęboki żal i głęboki spokój. W Carmaux górnicy wstrzymali pracę. „Ścieli potężny dąb”, powiedział jeden z nich. W Lipsku socjalista z Hiszpanii, student uniwersytetu, błądził godzinami na oślep po ulicach; „wszystko przybierało barwę krwi”.

Wiadomość o śmierci Jaurès'a ukazała się w gazetach w sobotę, 1 sierpnia. Tego samego popołudnia Niemcy i Francja ogłosiły mobilizację. Przed wieczorem grupki rezerwistów z wiązkami i bukietami kwiatów maszerowały na dworce kolejowe wśród wymachiwania i wiwatów cywilów. Taki sam entuzjazm i podniecenie panowały w każdym kraju. W Niemczech 3 sierpnia socjaliści odbyli naradę, aby zdecydować, czy poprzeć w głosowaniu kredyty wojenne. Zaledwie kilka dni wcześniej „Vorwärts” drwił z pretekstu wojny obronnej. Ale teraz rząd mówił o rosyjskim niebezpieczeństwie i o francuskiej agresji. Bernstein, poprawiacz Marksa, zapewniał, że rząd zamierza zbudować „złoty most” dla socjalistów, i przytaczał jako dowód fakt, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych przesłało oficjalne kondolencje z powodu wielkiej straty, jaką ponieśli przez śmierć Jaurès'a. Ze wszystkich 111 socjalistycznych posłów sprzeciwiło się tylko jedenastu, a wśród nich Haase, Róża Luksemburg, Karl Liebknecht i Franz Mehring; poddali się jednak surowej dyscyplinie większości. Następnego dnia socjaldemokraci głosowali jednogłośnie wraz z resztą Reichstagu za kredytami wojennymi.

Kajzer oznajmił: „Od tej chwili nie znam żadnych partii, znam tylko Niemców”. We Francji przewodniczący Parlamentu, Paul Deschanel, wygłaszając do powstałych z miejsc posłów mowę pochwalną o Jaurèsie, powiedział: „Nie ma tu już teraz przeciwników, są tylko Francuzi”. Żaden socjalista w obydwu parlamentach nie kwestionował tych oświadczeń podstawowej lojalności. Léon Jouhaux, szef CGT, stwierdził: „W imieniu organizacji syndykalistycznych, w imieniu wszystkich robotników, którzy udali się już do swoich pułków, i w imieniu tych, którzy wraz ze mną udadzą się tam jutro, oświadczam, że idziemy na pole bitwy chętnie, pragnąc

odeprzeć najeźdźcę”. Jeszcze przed końcem miesiąca Vandervelde przystąpił do wojennej koalicji rządowej w Belgii, a Guesde do rządu „świętego przymierza” we Francji. Guesde ministrem! Plemienny zew patriotyzmu zyskał w ten sposób najsilniejsze świadectwo.

W Anglii, gdzie poczucie narodowego zagrożenia nie było tak silne jak na kontynencie, Keir Hardie, Ramsay MacDonald i kilku liberałów wypowiedziało się przeciw walce. Gdzie indziej nie wystąpiła żadna rozbieżność, żaden strajk, żaden protest; nie wahano się podnieść karabinu przeciw towarzyszom robotnikom z innego kraju. Kiedy zabrzmiało wezwanie, robotnik, o którym Marks powiedział, że nie ma ojczyzny, identyfikował się z krajem, nie z klasą. Okazało się, że jest członkiem krajowej wspólnoty jak każdy inny. Siła jego antagonizmu, która miała obalić kapitalizm, znalazła lepszy cel w cudzoziemcu. Klasa robotnicza poszła na wojnę chętnie, nawet ochoczo, tak jak klasa średnia, jak wyższe sfery, jak wszyscy.

Jaurès został pochowany 4 sierpnia, w dniu, w którym wojna stała się powszechna. Na górze dzwony, które wspominał w Bazylei, biły teraz jemu i całemu światu: „Wzywam żywych, oplakuję zmarłych”.

Postowie

Cztery następne lata były, jak pisał Graham Wallas, „czterema latami najbardziej wytężonego i najbardziej heroicznego wysiłku rasy ludzkiej”. Kiedy skończył się ten wysiłek, złudzenia i entuzjazm, możliwe aż do roku 1914, zaczęły powoli tonąć w morzu ogromnego rozczarowania. Ludzkość zapłaciła wielką cenę, a zyskała za to jedynie bolesną świadomość swoich ograniczeń.

Wyniosła wieża, zbudowana w okresie świetności cywilizacji europejskiej, była budowlą pełną majestatu i namiętności, piękna i bogactw, ale także ciemnych lochów. W porównaniu z okresem późniejszym jej mieszkańcy bardziej polegali na sobie, mieli więcej ufności, więcej nadziei; życie ich miało więcej świetności, rozrzutności i elegancji, żyli w większej beztrójce, wesołości, bardziej cieszyli się wzajem swoim towarzystwem i rozmową; żyli też w większej niesprawiedliwości i hipokryzji, w większej biedzie i nędzy; odznaczali się większą uczuciowością, często fałszywą, mniejszą tolerancją dla przeciętności; wykazywali więcej godności w pracy, więcej zapału, bardziej rozkoszowali się przyrodą. Niezależnie od tego, co ludzkość zyskała później, trzeba powiedzieć, że wiele wartości pozytywnych zginęło bezpowrotnie wraz ze Starym Światem. Wspominając te czasy w roku 1915 Emile Verhaeren, belgijski poeta socjalista, dedykował swoje dzieło, „ze wzruszeniem człowiekowi, jakim byłem niegdyś”.